

Valerio Massimo Manfredi

Imperium Smoków



Książnica



Valerio Massimo Manfredi
**Imperium
Smoków**

Anatolia, rok 260. Broniacy Edessy Rzymianie ustępują pod naporem Persów. W pułapkę zastawioną przez wroga wpada cesarz Walerian, legendarny wódz Akwila i dziesięciu jego najwaleczniejszych ludzi. Zostają skazani na roboty w kopalni, z której nikt dotąd nie wyszedł żywy. Walerian wkrótce umiera z wyczerpania, pozostałym udaje się jednak uciec. Znajdują schronienie w oazie, gdzie przychodzą z pomocą tajemniczemu zbiegowi ściganemu przez Persów. Człowiek ów zdąza w najodleglejsze rejony ówczesnego świata – do Chin, potężnego kraju o kulturze zarazem wyrafinowanej i okrutnej. Akwila i jego legionisanci wyruszają razem z nim przez lasy Indii, Himalaje, pustynie Azji Środkowej. Dopiero na miejscu dowiadują się, że eskortują księcia, który będzie musiał walczyć z bezlitosnym uzurpatorem...

ISBN 83-250-0004-X



9 788325 000042

ISBN 978-83-250-0004-2

P T W A 0 3 2 0 0 0 1

Cena det. 29,90 zł

www.klasonica.com.pl

Valerio Massimo Manfredi

Imperium Smoków

Przełożyła z włoskiego

Joanna Kluza

Wydawnictwo „Książnica „

Tytut oryginału L'impero dei draghi

Opracowanie graficzne Marek J. Piwko

Copyright © 2005 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano Published by arrangement with Grandi & Associati

For the Polish edition

Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2006

ISBN 83-250-0004-X

978-83-250-0004-2

Wydawnictwo „Książnica” Sp. z o.o.

Al. W. Korfantego 51/8

40-160 Katowice

tel. (032) 203-99-05, 254-44-19

faks (032) 203-99-06

Sklep internetowy:

<http://www.ksiaznica.com.pl>

e-mail: ksiazki@ksiaznica.com.pl

Wydanie pierwsze Katowice 2006

Skład i łamanie

Z.U. „Studio P”, Katowice

Mirelli i Danilowi

Ten, kto chce rządzić światem
za pomocą siły,
w końcu i tak nie spełnia
swych zamiarów.
Świat to beczka pełna duchów,
której nie da się uformować.

Laozi, „Księga drogi

Czytając na grobowcu imię cesarza Waleriana
wielu sądzi, że Persowie
oddali zwłoki tego samego Waleriana, którego pojмали...
Trebiliusz Polion, „Historia Augusta”, XXII, 8

PODZIĘKOWANIA

Przed wszystkim dziękuję mojemu przyjacielowi Lorenzowi De Luca, który natchnął mnie i zachęcił do napisania tej powieści, a następnie wspierał wiedzą pasjonata w dziedzinie sztuki wojennej. Bez niego książka prawdopodobnie nie ujrzałaby światła dziennego. Na specjalne podziękowania zasługuje Aurelio De Laurentis, który uwierzył w tę opowieść od samego początku. Jestem również dłużnikiem sinolog Rosy Cascino za nieustającą uwagę, z jaką śledziła moje starania, by umieścić akcję książki w Chinach III stulecia naszej ery. Dziękuję też Marcowi Lucchettiemu z „Soldiers”, który przeprowadził dla mnie szczegółowe badania na temat armii i sił zbrojnych Cesarstwa Rzymskiego w czasach Waleriana i Galiena. Dowolność, z jaką potraktowałem to, co z taką pieczołowitością zdołał odtworzyć, wynika jedynie z potrzeb narracji.

Niechaj wyrazy wdzięczności przyjmą również Laura Grandi, Stefano Tettamanti i Franco Mimmi za to, że przeczytali z wnikliwością i cierpliwością niniejsze stronicę, poświęcając na to własny czas. **hasb but not least**; czułe podziękowania należą się też mojej żonie Christine, która jest najsurowszym z moich czytelników. Jej dokładność, a zarazem kreatywność odegrały istotną rolę w pisaniu tej książki.

V.M.M.

1

Przybrawszy różowy odcień, skąpane w promieniach zachodzącego słońca ośnieżone szczyty gór Taurus połyskiwały niczym klejnoty na tle pograżonej jeszcze w ciemnościach doliny. Po chwili wierzchołki i zbocza potężnego łańcucha górskiego jął zakrywać lśniący woal budząc do życia uśpiony las.

Gwiazdy zbladły.

Pierwszy poszybował na powitanie słońca sokół; jego przenikliwe wołanie odbiło się echem od skalistych ścian, wąwozów i stromych zboczy, pośród których płynął spieniony Korsotes. Jego wody wezbrały pod wpływem topniejącego śniegu.

Szapur I, Król Królów, władca Persów i nie tylko Persów, pan czterech stron świata, wzдрыgnął się słysząc ów krzyk, podniósł oczy wpatrzone w lot tego pana przestworzy, po czym podszedł do araba czystej krwi w olśniewającej uprzęży, trzymanego za uzdę przez stajennego. Niewolnik ukląkł na ziemi, aby król mógł wesprzeć stopę na jego ugiętej nodze i wskoczyć na siodło. Kolejni dwaj niewolnicy podali mu łuk i bułat w pochwie ze złota, chorąży zaś stanął u jego boku dzierżąc królewski sztandar ze złotym wizerunkiem Ahury Mazdy.

Jego dowódcy czekali nań pośrodku pola bitwy w pełnym rynsztunku, siedząc na krytych drogocennymi czaprakami rumakach, których łby chroniły żelazne płytki kolczugi. Naczelny wódz Ardawasd pokłonił się nisko na jego widok, po czym to samo uczynili wszyscy pozostali. Następnie na znak króla spiął konia i ruszył przed siebie. Stanąwszy po obu stronach Szapura niczym wachlarz, wszyscy dowódcy zaczęli schodzić po zboczu.

Tymczasem promienie słońca zdążyły już dotrzeć do doliny zalewając blaskiem wieże górującej nad stepowym płaskowyżem, smaganej pustynnym wiatrem Edessy.

Kogut przywitał wschodzące słońce długim pianiem.

Marek Metellus Akwila, legat Drugiego Legionu Augusta, od dawna już znajdował się na dziedzińcu swego domu, odziany i osłonięty zbroją.

Ten urodzony w południowej Italii żołnierz zdążył się zahartować podczas długiej służby na wszystkich granicach cesarstwa; od ciągłego wykrzykiwania rozkazów na polu bitwy jego głos stał się głęboki i ochrypliwy, mowa zaś szorstka. Wysoko sklepione kości jarzmowe, mocno zarysowana szczeka i prosty nos świadczyły o jego arystokratycznym pochodzeniu, jednakże krótko, niemal grubiańsko obcięte włosy i zarost, który nie oglądał brzytwy, świadczyły o surowym żołnierskim życiu i oswojeniu ze zmęczeniem. Z racji swego imienia rodowego, a także z powodu bursztynowych oczu i drapieżnego spojrzenia przed zbliżającą się bitwą we wszystkich oddziałach na południe od gór Taurus znany był jako „wódz Orzeł”.*

Właśnie przypiął u pasa gladius — odziedziczoną po przodkach przestarzałą broń, której nie zamierzał odwieść na kołek ani wymienić na miecz, jaki żołnierze mieli w rynsztunku. Co więcej, do siodła miał przytroczony jeszcze jeden i zwykł mawiać, że za pomocą dwóch gladiusów może pokonać dłuższe od nich miecze.

— Pianie koguta w oblężonym mieście to dobry znak — powiedział, podczas gdy przyboczny przymocowywał mu na plecach czerwony płaszcz, znak jego pozycji. — Skoro mimo panującego wokół głodu zdołał przeżyć, my też przeżyjemy.

Podszedł do ołtarza lararium i złożył wprawdzie skromną, lecz jakże cenną w czasach tak dotkliwego niedostatku garść mąki orkiszowej dla duchów przodków, po czym ruszył do wyjścia.

* Aquila (łac.) - orzeł (ten przypis i następne pochodzą od tłumaczki).

— Marku — zatrzymał go głos małżonki.
— Klelio, dlaczego zerwałaś się tak wcześniej?
— Wychodzisz bez pożegnania?
— Nie chciałem cię budzić. Wczorajszej nocy czuwałaś do późna i źle spałaś.

— Martwię się. Czy to prawda, że cesarz chce się spotkać z Persem?

— To nie do wiary, jak kobiety zawsze potrafią zgłębić tajemnice, które staramy się przed nimi ukryć — uśmiechnął się Marek Metellus.

— Cesarz ma żonę — odpowiedziała mu uśmiechem Klelia — która ma swoje kobiety do towarzystwa, a te z kolei mają przyjaciółki...

— No właśnie.

— A więc?

— Obawiam się, że tak.

— Pojedzie na spotkanie?

— To bardzo prawdopodobne.

— Ale dlaczego?

— Twierdzi, że dla pokoju warto nawet narazić życie.

— A ty? Nie zrobisz nic, żeby go powstrzymać?

— Przemówię, jeśli zapyta mnie o zdanie, a wtedy postaram się go przekonać. Kiedy jednak podejmie decyzję, moje miejsce będzie u jego boku.

Klelia spuściła głowę.

— Może chce jedynie zyskać na czasie. Galien jest w Antiochii. Wystarczyłoby kilka dni szybkiego marszu, żeby stanął tu z czterema legionami i uwolnił miasto. — Chwyciwszy ją pod brodę, ujrzał, że ma oczy pełne łez. — Klelio... Nie wiesz, że płacz przy pożegnaniu męża to zły znak?

Klelia usiłowała otrzeć łzy. W tej samej chwili rozległ się pospieszny tupot dziecięcych nóżek po schodach i wołanie:

— Ojcze! Ojcze!

— Co ty tu robisz, Tytusie?! Wracaj natychmiast do łóżka!

— Obiecałeś, że zabierzesz mnie wieczorem do palestry.

Marek Metellus przykucnął, by spojrzeć synkowi w oczy.

— Otrzymałem wezwanie od cesarza. On jest ojcem całego narodu, synu, kiedy więc nas wzywa, musimy stanąć u jego boku. A teraz wracaj do łóżka i postaraj się zasnąć.

Malec natychmiast spoważniał.

— Odejdiesz z cesarzem i zostawisz mnie samego.

Marek Metellus spochmurniał na twarzy.

— Co też ty mówisz? Możesz być pewien, że wrócę. Obiecuję, że wrócę przed wieczorem. Przecież wiesz, że Rzymianin zawsze dotrzymuje słowa.

Ucałowawszy zalaną łzami małżonkę, wyszedł.

Przed drzwiami czekali już na niego dowódcy, centurioni Elius Kwadratus i Sergius Balbus. Pierwszy z nich pochodził z Italii, z Privernum, drugi zaś z hiszpańskiej Saragossy. Obaj mieli twarze poorane bruzdami, noszące ślady licznych bitew stoczonych we wszystkich zakątkach cesarstwa, twarze jak wykute z kamienia, krzacaste brwi i szorstki zarost. Kwadratus nosił krótkie włosy rzadniejące na skroniach; był wysoki i barczysty, Balbus zaś odznaczał się niższym wzrostem i śniadą skórą, miał wszakże jasne oczy i złamany nos, świadczący o jego upodobaniu do bójk.

Metellus włożył na głowę hełm, zawiązał go pod brodą i rzuciwszy im porozumiewawcze spojrzenie, oznajmił:

— Idziemy.

Przemierzali powoli puste i ciche o tej porze ulice miasta; każdy z nich pograżył się z ciężkim sercem we własnych myślach.

Nagle rozległo się ponowne pianie koguta, ulicę zaś zalało światło promieni słonecznych, odbijając się w bazaltowym bruku, na którym ich cienie kładły się aż do ostatnich domów, jakie mieli za plecami.

Na rozstaju dróg spotkali kolejną grupkę dowódców, którzy najwyraźniej zmierzali na to samo spotkanie. Marek rozpoznał swego przyjaciela.

— Witaj, Lucjuszu Domicjuszu.

— Witaj, Marku Metellusie — odrzekł tamten.

Doszedłszy razem do forum, ruszyli do kwatery głównej, skąd widać było galerię na przedpiersiu. Zmiana warty: rytmiczne kroki, metaliczny brzęk oszczepów ocierających się o tarcze. Powitania. Suche rozkazy.

- Ostatnia straż właśnie schodzi — zauważył Marek Metellus.
- W dniu dzisiejszym — poprawił go Lucjusz Domicjusz.
- W dniu dzisiejszym — potwierdził Metellus.

Lucjusz Domicjusz był przesądny.

Dotarli do wejścia do pustej kwatery głównej, gdzie czekał już na nich Kasjusz Silwa, dowódca twierdzy, długoletni towarzysz broni i kompan Galiena, syna cesarza.

Na widok trzech legatów trzymający straż pretorianie wyprężyli się i wprowadzili ich do środka. Centurioni i niżsi rangą dowódcy zostali na zewnątrz.

Przywitał ich osobiście gotowy do drogi i uzbrojony cesarz Licyniusz Walerian.

— Oświadczam, że postanowiłem pojechać na spotkanie z Szapurem. Wczoraj w nocy oddział naszych, składający się z jakichś pięćdziesięciu żołnierzy, udał się na ziemię niczyją na prawym brzegu Korsotesu. Po drugiej stronie rzeki tyle samo perskich jeźdźców pilnuje obszaru, gdzie ma się odbyć spotkanie. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane: nasi pełnomocnicy przygotowali zagadnienia, o których będziemy rozprawiać, aby uprościć nam zadanie. Wygląda na to, że chociaż Edessa odgrywa bardzo ważną rolę jako miasto leżące na szlaku kupieckim między Anatolią i Syrią, Szapur jest skłonny zakończyć jej oblężenie w zamian za traktat, który określi na nowo stosunki między obydwojoma naszymi cesarstwami i zapewni trwały pokój. Żąda, byśmy zrezygnowali z kilku ziem w Adiabene i Kommagenie, ale bez ograniczeń. Jestem gotów pertraktować. Ponieważ wróżby wydały mi się pomyślne, postanowiłem pojechać na spotkanie.

— Podjąłeś mądrą decyzję, cesarze — przyznał Kasjusz Silwa.

Lucjusz Domicjusz Aurelian przysłuchiwał się słowom cesarza z ponurą miną, zaciskając dłoń na jelcu miecza. Był zeń wspaniały żołnierz; podczas licznych kampanii powalił własnymi rękami niemal dziewięciuset nieprzyjaciół i tyleż nacięć zrobił na drzewcu swego oszczepu. Dobywał miecza z pochwy z taką szybkością, że żołnierze

zwali go Aurelian manu in ferrum, „Aurelian z ręką na mieczu”. Poprosił o głos.

— Słyszałem, że twój syn Galien jest w Antiochii i że mógłby tu dotrzeć wraz z czterema legionami w ciągu pięciu dni. Po co więc narażać się na niebezpieczeństwo?

— Ponieważ mamy zapas jadła tylko na dwa dni — odparł Silwa.

— Możemy je tak podzielić, żeby wystarczyło na dłużej; odrobina głodu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

— Nie jest to wyłącznie sprawa jedzenia — odrzekł cesarz. — Nie wiadomo na pewno, czy Galien nadejdzie i czy zajmie mu to jedynie pięć dni. Nasi szpiedzy donoszą, że wzdłuż całego szlaku prowadzącego z Antiochii Persowie rozmieścili oddziały jeźdźców, które mają na celu nie dopuścić, abyśmy się porozumiewali, i zatrzymać dostawę pożywienia. Nie. Muszę jechać na spotkanie z Szapurem. Chociażby po to, by poznać jego zamiary. Jeśli zdołamy wnieść podwaliny trwałej ugody, tym lepiej. Jeżeli uda mi się zyskać trochę czasu i zapobiec zbrojnemu atakowi, dopóki nie nadejdzie Galien, będę wielce rad z tego osiągnięcia. Już samo to, że właśnie Szapur poprosił o spotkanie, napędza mnie otuchą. — Po czym zwrócił się do Marka Metellusa: — A ty czemu nic nie mówisz? Co o tym sądzisz?

— Nie jedź, cesarzu.

Walerian spojrział nań bardziej zdziwiony niż zagniewany.

— Dlaczego? — zdumiał się.

— Ponieważ całe to przedsięwzięcie mi się nie podoba. Na miłą śmierdzi podstępem.

— Powziąłem wszelkie środki ostrożności: spotkanie ma się odbyć na neutralnej ziemi, pod gołym niebem. Każda ze stron będzie miała pięćdziesięcioosobową eskortę. Nic się nie może stać. Pojadę, już postanowiłem. A poza tym nie chcę, aby Szapur pomyślał, że cesarz Rzymian się boi.

Wyszedł w towarzystwie pozostałych dowódców.

— Wobec tego jadę z tobą — oświadczył Metellus stając u jego boku.

— Nie — odrzekł cesarz. — Lepiej, żebyś został tutaj. — Przysunął się tak blisko, że następne słowa wypowiedział mu niemal prosto do

ucha. — Chcę mieć pewność, że kiedy wrócę, zastanę bramę otwartą.

— W takim razie zostaw Lucjusza Domicjusza; to najlojalniejszy człowiek, jakiego znam. Cieszy się ogromnym poważaniem wśród żołnierzy i wiele razy znalazł się w podobnej sytuacji. Ja przydam ci się bardziej za murami.

Przyjrząwszy się Metellusowi, a następnie stojącemu kilka kroków z tyłu Lucjuszowi Domicjuszowi, cesarz skinął głową.

— Niech tak będzie. Ty pojedziesz ze mną, Lucjusz Domicjusz zostanie w mieście. Niechaj niebiosa sprawią, by moja decyzja okazała się słuszna...

— Nie ma znaczenia, kto pojedzie z tobą, cesarze — uśmiechnął się Kasjusz Silwa. — Tak czy inaczej wkrótce wszyscy zasiądziemy wspólnie do wieczerzy, chyba że Szapur zechce cię zaprosić pod swój zbytkowny namiot.

Kiedy stajenny przyprowadził cesarskiego wierzchowca, Marek Metellus posłał po swojego. Jak zwykle przyboczny zdążył mu przytroczyć do siodła drugi gladius.

Lucjusz Domicjusz podniósł wzrok ku przedpiersiu. Stojący na wieży strażniczej żołnierz trzykrotnie pomachał czerwonym płótnem.

— Dają znak, że wszystko gotowe — oznajmił.

Na przedpiersiu białe płótno poruszyło się, od prawej strony na lewą, a potem od lewej na prawą.

— I że wszędzie panuje spokój. Nie widać nic podejrzanego.

— Znakomicie — stwierdził Walerian. — W drogę.

Klelia zdołała położyć synka z powrotem do łóżka i szła właśnie na górny taras w nadziei, że uda jej się zobaczyć, co się dzieje za murami miasta, gdy nagle usłyszała jakiś hałas.

Nadstawiła ucha, ale hałas się nie powtórzył. Widocznie jej się tylko wydawało. Ruszyła więc po schodach na górę, lecz znów usłyszała wyraźny i ostry dźwięk, który zdawał się dochodzić z podziemi.

Klelia wzięła ze stolika świecę i zapaliwszy ją od płomienia lampy oliwnej, zesza na parter. Martwiła ją nieobecność męża i to, że jest sama w domu. Co się mogło stać?

Usiłowała rozpoznać hałas: z pewnością pochodził z podziemi. Otworzywszy drzwi do piwnicy, jęła schodzić po stopniach trzymając wysoko świecę.

— Kto tam? — zapytała głośno. Odpowiedziało jej coś w rodzaju rżenia.

— Kto tam? — powtórzyła.

Gdy nadstawiła ucha, usłyszała odgłos szurania nogami dochodzący zza niewielkich żelaznych drzwi. O ile wiedziała, zamykały one kanały odpływowe starych term, które prowadziły poza mury miasta, odkąd zaś mieszkała w tym domu, nigdy ich nie otwierano. Zajrzawszy do środka, usłyszała kolejny hałas, zwielokrotniony przez pustkę. Odsunęła więc rygiel i zaczęła ciągnąć z całych sił, aby otworzyć, zapierając się dłońmi o krawędź. Drzwi zaskrzypiały, jęknęły i zniecka ustąpiły. Klelia cofnęła się zaś, wrzeszcząc z przerażenia.

W progu stał półnagi zakrwawiony mężczyzna, który spoglądał na nią przez chwilę wytrzeszczonymi oczami, po czym zwałił się na ziemię rżąc w agonii.

Klelia natychmiast zdała sobie sprawę, że ten nieszczęśnik nie stanowi dla niej żadnego zagrożenia, ponieważ właśnie umiera. Przewróciwszy go na plecy, położyła mu pod głowę szal i poszła po czarkę, aby dać mu wody.

Gdy mężczyzna upił parę łyków, przemówił.

— Zostaliśmy zdradzeni... Ostrzeżcie... Ostrzeżcie...

— Kim jesteś? — zapytała Klelia. — Kim jesteś? Mężczyzna był u kresu sił.

— Napadli na nas z zaskoczenia i roznieśli w pył... ostrzeżcie cesarza, żeby nie szedł... Żeby nie szedł na... to pułapka... to... — Po czym głowa opadła mu bez życia.

Klelia poczuła dreszcz, w jednej bowiem chwili uświadomiła sobie, co się stało i co może się wkrótce stać, jeśli nie postara się powstrzymać śmiercionośnej maszyny, wprowadzonej w ruch przez wroga.

Wbiegła czym prędzej po schodach na górę, przemierzyła korytarz i wypadła na ulicę. Po czym puściła się pędem przez opustoszałe jeszcze miasto.

*

Gdy straż otworzyła bramę, niewielka świta cesarska wyruszyła na spotkanie. Słońce, które znajdowało się już wysoko nad horyzontem, paliło gorącymi promieniami jałową, kamienistą ziemię wokół miasta, porośniętą krzewami szarłat i pistacji terpentynowej. Po prawej stronie płynął przez chwilę Korsotes, po czym skręcał na zachód przecinając im drogę.

Straż, która przez całą noc pilnowała brodu, czekała na nich niedaleko, na ziemi niczyjej, aby przeprowadzić ich na drugi brzeg, gdzie mieli się spotkać z królem perskim Szapurem. Kiedy cesarz i jego świta znaleźli się w odległości mniejszej niż sto stóp, zbliżając się do brodu, na spotkanie wyruszył im centurion, który uczynił znak powitania, wraz z pięćdziesięcioma jeźdźcami.

Zauważywszy coś dziwnego, Metellus spochmurniał na twarzy, po czym skinął na Balbusa.

— Co się dzieje, wodzu? — zapytał tamten cicho.

— Białe nogi.

— Co takiego?

— Sam zobacz. Oni aż do wczoraj nosili spodnie. To Persowie, a nie Rzymianie.

— A niech to! A gdzie nasi?

— Prawdopodobnie zostali zabici. Ostrzeż cesarza, a ja spróbuję dać znać Lucjuszowi Domicjuszowi. Jeszcze możemy się uratować.

Balbus podszedł do cesarza i szepnął mu coś na ucho.

Tymczasem Metellus, osłoniwszy oczy przed słońcem, jął wypatrywać w kierunku murów.

Lucjusz Domicjusz, który spoglądał z niepokojem na niewielką grupkę zbliżającą się do brodu, drgnął na widok znaków.

— Bia-łe-no-gi—wysylabizował bezgłośnie.— Białe nogi! — wrzasnął po chwili. — Persowie! Zdrada! Cesarz zaraz wpadnie w pułapkę. Trębacz, trąb na trwogę! Larum! Wypuścić jazdę! Prędko, prędko! Otwierać bramę!

Kiedy stojący na straży legionieści rozwarli wrota, trębacz zadał w bucinę wzywając na zbiórkę oddział jazdy, który stacjonował w pobliżu, niedaleko kwatery cesarza.

Wkrótce przed otwartą bramą stawiło się około stu jeźdźców, następni zaś gotowali się, by przyjść im z pomocą, powstrzymywał ich wszakże Kasjusz Silwa dowodzący oddziałem pretorianów.

— Kto dał rozkaz wyjścia? Postradaliście zmysły? Stać, stać, mówię!

— Ja dałem rozkaz! — krzyknął z przedpiersia Lucjusz Domicjusz. — Cesarz jest w niebezpieczeństwie. Ktoś szykuje zasadzkę, ja ich zabieram, i to natychmiast!

— Ja odpowiadam za twierdzą — odparł Silwa — rozkaz wymarszu zaś teraz, kiedy właśnie toczą się rozmowy, wydaje mi się szaleństwem, oznacza bowiem narażenie naszych na gwałtowną reakcję Persów, a więc na pewną śmierć. Nie ma powodu przypuszczać, że cesarz jest w niebezpieczeństwie. Wszędzie panuje spokój. Zamknąć bramę!

— Co ty wygadujesz? — zawołał Lucjusz Domicjusz podbiegając do wrót. — To zdrada! Odpowiesz za to!

Silwa dał znak towarzyszącym mu pretorianom.

— Legat Lucjusz Domicjusz Aurelian zostaje zatrzymany z powodu nieposłuszeństwa. Wykonać! A wy — zwrócił się do żołnierzy z oddziału straży — zamknijcie bramę.

Otoczywszy Lucjusza Domicjusza, który zmuszony był oddać im miecz, pretorianie zabrali go ze sobą. Żołnierze zaś jęli zamykać ciężkie wrota.

Tymczasem Klelia, która dotarła zdyszana do oddziału straży, przyglądała się owej scenie czując, jak serce jej zamiera. Jej mąż był za bramą, nie wiedząc o niczym, podczas gdy tutaj, w środku, właśnie zawiązano spisek!

Rozejrzała się wokoło z niepokojem, na widok zaś stajennego, który prowadził właśnie konia za uzdę, nie zawahała się ani chwili. Zakaśawszy stołę za kolana, odepchnęła go tak mocno, że upadł na ziemię, po czym wskoczyła na grzbiet wierzchowca i pomknęła ku bramie. Koń, który stanął dęba przed zamykającymi się właśnie wrotami, kopnął w nie przednimi kopytami otwierając sobie drogę na zewnątrz. Klelia popędziła go jeszcze mocniej i puściła się galopem.

Tymczasem oddział cesarski zbliżał się do brodu, fałszywy orszak zaś podchodził do brzegu strumienia. Nikt nie zdążył jeszcze wykonać

żadnego ruchu, decyzja wszakże już zapadła.

— Gdy tylko przekroczą rzekę — powiedział Metellus — zawrócimy i ruszymy w kierunku miasta. Zyskamy wystarczającą przewagę, żeby się uratować.

— O ile ktoś otworzy bramę — odrzekł Balbus. — Skoro otrzymaliśmy naszą wiadomość, nie pojmuję, dlaczego nie przybiegli nam na pomoc.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy wszedł mu w słowo Kwadratus:

— Patrzcie, chyba zrozumieli. Ktoś nadjeżdża od strony miasta. Ależ... ależ to kobieta! — zawołał po chwili.

Marek Metellus spojrzął na mury w osłupieniu.

— To Klelia! Moja żona! — wykrzyknął.

Tymczasem fałszywy orszak zaczął przeprowadzać się przez bród.

— Jedź! — cesarz dał znak Metellusowi.

Tamten zaś ruszył galopem, widząc, że Klelia pędzi ku niemu krzycząc coś. Kiedy znalazła się niemal w połowie drogi między nim a murami Edessy nadal mknąc naprzód, nagle z murów wyleciało coś do góry szerokim łukiem: strzały!

Powietrze przeciął świst. Parę strzał wbiło się w ziemię, trzecia zaś trafiła w cel i Klelia spadła z konia.

Metellus natychmiast rzucił się ku niej. Kiedy zeskoczył w biegu z wierzchowca i chwycił ją w ramiona, jeszcze oddychała. Strzała zraniła ją w plecy i przeszła na wylot, cała zaś stola poplamiona była krwią.

Metellus przytulił ją mocno, płacząc ze złości i żalu, całując posiniąte wargi, czoło, włosy.

— To pułapka — szepnęła Klelia. — Orszak został wybity... Silwa jest... jest... Błagam, uciekaj, jedź do naszego syna. Teraz został sam...

— Pojadę. Obiecuję.

Klelia opuściła głowę i osunęła się bez życia. Marek Metellus w tej samej chwili poczuł, że umiera wraz z nią.

Gdy podniósł wzrok na uparcie zamkniętą bramę, na mury, rozpoznał czerwony płaszcz — z pewnością należał do Silwy.

Zwróciwszy się zaś ku rzece, spostrzegł szalejącą bitwę. Cesarz został otoczony!

Na ten widok Metellus opanował się; odzyskał zimną krew i determinację. Rzuciwszy na ciało żony garść ziemi na znak symbolicznego pochówku, przełknął łzy i wskoczył na konia popędzając go do szaleńczego galopu ku brzegowi Korsotesu.

Wpadłszy między szeregi perskich wojowników z fałszywego orszaku, trzymając miecz w każdej ręce, dwóch z nich powalił do rzeki, po czym rzucił się na pozostałych ze straszną zaciekłością. Uderzał ze wszystkich stron, rozszarpywał na kawałki, przebijał, kaleczył i rozłupywał kości i czaszki, otwierając sobie tym samym drogę ku osaczonemu Walerianowi.

Zewsząd nadbiegali kolejni perscy żołnierze, toteż Metellus pojął, że zostało mu niewiele czasu, by umożliwić cesarzowi ucieczkę. Kiedy się jednak odwrócił, Walerian, którego zepchnięto z konia, wpadł właśnie do wody otoczony chmurą nieprzyjaciół.

— Ratujcie cesarza! — krzyknął i rzucił się naprzód niczym szarżujący byk.

Zeskoczywszy z konia, natarł na wroga wzywając swoich na pomoc.

— Balbus, Kwadratus, do mnie!

Obaj centurioni stanęli u jego boku niczym mastyfy, po czym wyprostowani jak wieże jęli okładać tarczami każdego, kto się nawinął, przebijając mieczami tych z przodu, przewracając, depcząc i przygważdżając do ziemi wewnętrzną krawędzią tarczy tych, którzy upadli. Walerian bronił się zaciekle z niezwykłym jak na jego wiek animuszem, musiał wszakże jednocześnie stawiać opór rwącej rzece i odpierać ciosy wroga. Kiedy stracił równowagę, o mało nie został zabity przez jakiegoś Persa, który właśnie podniósł oszczep. W tej samej jednak chwili Persa zaatakował od tyłu Metellus, który odciął mu ramiona dwoma ciosami zadanymi z błyskawiczną szybkością, następnie zaś wpełznął do wody niczym wyrwane z korzeniami drzewo i stanął u boku cesarza. Osłaniany przez Balbusa i Kwadratusa pomógł mu wsiąść na konia, gdy zaś wierzchowiec poczuł na zadzie

klepięcie klingą miecza, pogalopował ku miastu.

Walerian pędził co koń wyskoczy, zdawał sobie bowiem sprawę, że jego ludzie narażali własne życie, by go ocalić. Zamierzał właśnie wyprowadzić z Edessy wszystkie wojska, jakie tam stacjonowały, aby przyjść im z odsieczą i odpłacić Persowi za jego dwulicowość, gdy niespodziewanie ze znajdującego się po prawej stronie koryta rzeki wyłonił się oddział nieprzyjaciół, który pomknął na zachód odcinając mu drogę do miasta.

Skręcił w przeciwnym kierunku z nadzieją, że zdoła dotrzeć do jednego z wysuniętych posterunków na szlaku do Nisibis, wtem jednak wyrósł przed nim jak spod ziemi oddział piechoty zagradzając mu przejście.

Walerian nie zwolnił ani trochę, przeciwnie, spiąwszy konia do wspaniałego skoku, poszybował nad linią żołnierzy. Gdy wylądował po drugiej stronie za nimi, pognął jeszcze szybciej nabierając przekonania, że teraz nic mu już nie grozi, i snując plany pomszczenia swych walecznych wojowników, pokrzyżował mu je wszakże widok olbrzymiego hufca jeźdźców i piechoty, który wylaniał się zza wznoszących się przed nim wzgórz. Był to Szapur we własnej osobie, jadący wśród łopoczących purpurowych sztandarów na czele armii perskiej, która rozciągała się w długą linię zamykając wszelkie przejścia i drogi.

Zrozumiał, że nie ma już żadnej możliwości ucieczki, cesarz Rzymian zawrócił ku rzece, by zginąć z mieczem w dłoni wraz ze swymi żołnierzami, by zakończyć godną śmiercią nienaganne życie, kiedy jednak miał się rzucić w wir toczącej się jeszcze w wodzie walki, nagle zagrzmiały trąby, wszyscy zaś wojownicy perscy rozstąpili się zostawiając Rzymian samych pośrodku szerokiego kręgu zbrojnych.

Zdyszani, zmęczeni, broczący krwią z licznych ran żołnierze małego oddziału wyprężyli się, by powitać cesarza, który nie zdołał się uratować.

Wydstawszy się z rzeki, Marek Metellus Akwila ustawił swych ludzi wzdłuż brzegu, by wyszli na spotkanie przeznaczenia.

2

Uderzywszy piętami po bokach konia, Szapur podjechał niespiesznie do grupki Rzymian.

Tymczasem Walerian dał znak swym żołnierzom, by nie ruszali się z miejsca, po czym wyszedł sam na spotkanie z wrogiem. Pers nosił jedwabne, kunsztownie haftowane półprzezroczyste spodnie, miał długie wąsy podkreślone do góry, na głowie mitrę o wypracowanych kształtach, ozdobioną długimi strusimi piórami, a u boku zwisał mu miecz w złotej pochwie wysadzanej klejnotami. Pokryty zaś błotem i kurzem Rzymianin miał porozczepiany pancerz, podartą tunikę, a na ramionach i nogach głębokie rany, z których ciekła krew.

Na znak Szapura dwaj żołnierze gwardii rzucili się na cesarza Rzymian i powalili go na ziemię zmuszając, by przed nim ukląkł.

Metellus zaś wyrwał się do przodu krzycząc:

— Puśćcie go, tchórze! Walcz ze mną, barbarzyńco, jeśli masz odwagę! Zsiądź z konia! Wyrwę ci te pióra i wsadzę do gardła, łajdaku, psi synu!

W tej samej chwili spadła mu na głowę sieć, unieruchamiając go niczym lwa w klatce. Pozostałych zaś otoczono i rozbrojono.

Szapur ledwie na nich spojrział, po czym skinął swym żołnierzom i oddalił się między rzędy wojowników do obozu, z którego wyjechał przed świtem.

Przez oka spowijającej go sieci Marek Metellus dostrzegł osobliwą postać: mężczyznę albo raczej, sądząc po budowie ciała, chłopca odzianego podług mody, jakiej nigdy wcześniej nie widział, o twarzy ukrytej za czarnym szalem, odsłaniającym jedynie czarne jak węgiel oczy w kształcie migdałów. Tuż przedtem, nim tajemniczy osobnik zniknął zmieszany w orszaku Szapura, ukradkiem wymienili znaczące spojrzenia.

Zostali kolejno skuci łańcuchami za ręce i nogi, począwszy od Waleriana, po czym zaprowadzono ich do walącej się chaty. Na widok cesarza w łańcuchach Metellus nie potrafił powstrzymać łez. Następnie przywiązano ich do siebie nawzajem, pierwszego z nich zaś,

centuriona Balbusa, do siodła ostatniego z jeźdźców, którzy mieli ich eskortować do miejsca przeznaczenia. Oprócz cesarza i wodza Metellusa było ich dziesięciu: dwóch centurionów Elius Kwadratus i Sergius Balbus, *optio* o imieniu Antoninus Salustius i siedmiu legionistów: Lucjanus, Sewer, Rufus, Septymiusz, Publiusz, Emilian i Marcjanus.

Szli przez cały dzień bez jedzenia i picia, pod palącym słońcem, na postój zaś pozwolono im dopiero po zachodzie. Dostali chleb, daktyle i trochę wody. O zmroku położyli się między kamieniami, by odpocząć, nie mając nic dla osłony przed dojmującym zimmem.

Od chwili gdy zmuszono go do ugięcia kolan przed wrogiem, cesarz nie odezwał się ani słowem, teraz zaś siedział skulony na uboczu, z plecami wspartymi o skałę.

Marek Metellus był przybity śmiercią żony, bolesną stratą, z którą nie potrafił się pogodzić, i wstrząśnięty z powodu rozłąki z synem, miał wszakże nikłą nadzieję, że go jeszcze zobaczy. Nigdy dotąd nie czuł się tak bliski rozpaczy, jednakże widok cesarza, człowieka, który poświęcił życie służbie państwu i narodowi, który mimo podeszłego wieku bił się z niewiarygodną walecznością, w zamian zaś doznał nieznośnego upokorzenia ze strony wroga, kazał mu zapomnieć o własnych cierpieniach i wzbudził litość dla jego upodlenia.

Przysunął się bliżej, chcąc dodać mu otuchy.

— Nie masz sobie nic do zarzucenia, cesarze: naraziłeś się na śmiertelne niebezpieczeństwo, aby uzyskać pokój. Szczęście nas opuściło. To się mogło przydarzyć każdemu.

Walerian powoli odwrócił ku niemu twarz podnosząc skute łańcuchami ramiona i poranione nadgarstki.

— Naprawdę wierzysz, że stało się to za sprawą szczęścia, które nas opuściło?

Metellus nie odpowiedział.

— Sądzisz, że nie widzieli nas z murów Edessy?

— Myślę, że widzieli, cesarze — odrzekł Metellus. — Kiedy człowiek traci możliwość porozumienia z innymi, traci też zdolność śledzenia wypadków. Wszystko mogło się zdarzyć. Być może spoglądającym z wysokości wież strażnikom wydawało się oczywiste, że nie

zdolają przyjść nam z odsieczą. Może ktoś wolał nie narażać na niebezpieczeństwo wyczerpanych i niedożywionych oddziałów wiedząc, że i tak byłoby z góry skazane na klęskę. Jestem jednak przekonany, że nasi zjawią się za kilka dni, że przyjdą nas uwolnić, przekonasz się. Znam Lucjusza Domicjusza: to człowiek, który nie boi się niczego i nikogo. Skoro z nie znanych nam powodów nie wyszedł za mury, oznacza to, że wymarsz został tylko opóźniony. Może nawet jest już za tamtymi skałami, widzisz?

Walerian spojrział nań wzrokiem pełnym przerażenia. Jego twarz, na której zmęczenie i niedożywienie odcisnęły swe piętno, wyglądała jak kamienna maska.

— Za tamtymi skałami nikogo nie ma, wodzu Metellusie. Nikogo. I nikt po nas nie przyjedzie. Właśnie dlatego poprosiłem, żebyś został.

Metellus spuścił głowę, zraniony jego słowami.

— Jak możesz tak mówić?

— Bo dowództwo nad twierdzą znajdowało się w rękach Kasjusza Silwy.

— Wiem, co masz na myśli... Nie chciałem o nim wspominać, ponieważ jest bliskim przyjacielem twojego syna Galienu, lecz moja żona Klelia wymieniła jego imię tuż przed śmiercią.

Kiedy wypowiadał imię ukochanej, zaszkliły mu się oczy. Rana była jeszcze zbyt świeża, ból zaś zbyt silny, by mógł nad nim zapanować.

— Twoja żona — westchnął Walerian — oddała życie, żeby cię ocalić. Niepotrzebnie. Gdyby bogowie mnie wysłuchali i pozwolili nam wrócić, przysięgam, że postawiłbym jej pomnik, taki jak dawnym bohaterkom naszej historii, aby uwiecznił jej pamięć i chwałę. Niestety w obecnej sytuacji jesteśmy niewolnikami bez imion. I wszystko wskazuje na to, że nic się nie zmieni. Silwa zostawił nas własnemu losowi, a może nawet dopuścił się czegoś gorszego... W tej chwili nie potrafię nawet odsunąć od siebie podejrzenia, że mój syn Galien uknuł wraz z Persami to przekłętą spotkanie, tę niegodziwość.

Metellus nie wiedział, co powiedzieć. Cóż mógł bowiem rzec człowiekowi, który zaledwie kilka godzin wcześniej był panem połowy

świata, teraz zaś znalazł się całkowicie na łasce fałszywego i bezlitosnego wroga, człowiekowi zakutemu w łańcuchy, cierpiącemu z powodu ran i nękanemu przez chłód, a przede wszystkim przez podejrzenia na temat najboleśniejszej zdrady, zdrady rodzonego syna?

Milczenie ponownie przerwał Walerian, tak jakby czuł się winny, że udaremnił wysiłki tego szlachetnego żołnierza, który pragnął ulżyć mu w cierpieniu i upokorzeniu.

— Musisz okrutnie za nią tęsknić, prawda? — zapytał.

— Tak bardzo, że wolałbym umrzeć, niż żyć bez niej. Zakochaliśmy się w sobie, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, i uciekliśmy razem, żeby uniknąć małżeństw, które zaplanowali dla każdego z nas rodzice.

— Rozumiem — odparł cesarz — i zdaję sobie sprawę, że nie istnieje nic, co mogłoby ci wynagrodzić tę stratę. Musimy być jednak silni i stawić czoło losowi, jak przystało na rzymskich żołnierzy. Nie pozwólmy, aby nasi ciemiężyciele cieszyli się, że nas pognębili i upokorzyli.

Metellus skinął głową znużony.

— Jest jeszcze coś, co mnie dręczy, co nie daje mi spokoju.

— O co chodzi? — zapytał Walerian.

— O mojego syna Tytusa. Co się z nim stanie? Kto go ochroni? Obawiam się że Lucjusz Domicjusz nie ma żadnej władzy za murami Edessy, bo inaczej przyszedłby nam z odsieczą. Moja żona zaś nie żyje. Nie jestem w stanie ochronić najdroższej mi na świecie osoby. Wyobraź sobie, że dałem mu słowo, iż wrócę przed wieczorem. A ja nigdy w życiu nie złamałem słowa.

— Ta obietnica była przede wszystkim nadzieją, przyjacielu — odrzekł cesarz — to zaś, czy nadzieje się ziszcza, zależy od nas w małym stopniu. Potraktuj to jednak jak przysięgę. Przysięgi ludzi sprawiedliwych docierają aż do boskich tronów. Widzisz tamtego żołnierza? — wskazał młodego legionistę o kędzierzawych włosach. — Właśnie przeżegnał się znakiem krzyża. On też składa przyrzeczenia i modli się do swojego chrześcijańskiego boga, żeby nas wszystkich ocalił i pozwolił wrócić do domów. Powiadają, że to potężny bóg, potężniejszy od samego Jowisza, który siedząc przez wieki na

swym tronie naoglądał się tyle ludzkiej głupoty, że jest już tym rozczarowany i zmęczony.

Metellus przyjrzał się żołnierzowi. Miał na imię Emilian i pochodził z jego legionu. Był to dzielny młodzian z Mesyny, zręczny władający mieczem, szybki biegacz, świetny pływak. W nieszczęściu lepiej mieć przy sobie odważnych ludzi niż tchórzy.

— Jak się masz, żołnierzu? — zagadnął podchodząc do niego.

— Dobrze, wodzu, zważywszy na okoliczności.

— To mi się podoba. Zawsze powinniśmy myśleć, że mogło być gorzej. Żyjemy, jesteśmy wszyscy razem, u boku cesarza. Pamiętajcie, dopóki cesarz żyje i jest z nami, to my stanowimy środek świata.

— Nasi nas uwolnią, prawda, wodzu? — powiedział Septymiusz opierając się na łokciach.

— Mam taką nadzieję, ale nie możemy być tego pewni. Znajdujemy się na ziemi wroga, a nasze najlepsze jednostki są obleżone w Edessie. Skąd pochodzisz? — zapytał widząc, że jego włosy są jasne niczym łan pszenicy, oczy zaś niebieskie.

— Z Condate w Galii.

— Takich jak ty powinni wysyłać do walk na północy. Źle znosicie upały i zbyt szybko dostajecie bąbli od słońca.

— Przyzwyczałem się, ale... tak, mam nadzieję, że kiedy te okropności się skończą, wrócę w moje strony.

— Moje nadzieje spoczywają w Lucjusz Domicjusz Aurelianie. Jeśli tylko będzie mógł, zrobi wszystko co się da, żeby uratować nas i cesarza.

— „Aurelian z ręką na mieczu” — dodał Marcjanus, legionista z Siódmego Ferrata. — To prawdziwy mężczyzna. Nigdy nie widziałem takiego wojownika jak on. Możecie być pewni, że o nas nie zapomni. On nigdy nie zapomina o swoich żołnierzach. Wiele razy widziałem, jak naraża własne życie, żeby odprowadzić w bezpieczne miejsce rannego albo wręcz odciągnąć tego, który poległ.

Żaden z obu centurionów: ani Balbus, ani Kwadratus nie odezwał się słowem. Obaj mieli już swoje lata, obaj z niejednego pieca chleb jedli, toteż życie nauczyło ich, by nie robić sobie złudnych nadziei.

Siedzieli na uboczu z głowami wspartymi o kamień i zdawali się spać, Metellus doskonale jednak wiedział, że są przytomni i że dokładnie słyszeli całą rozmowę.

— Trzymajcie się blisko jeden drugiego — powiedział na koniec do swych żołnierzy — to się rozgrzejecie. Dziś w nocy będzie zimno, a te łotry na pewno nie dadzą nam ani jednej derki.

— Wolałbym się przytulić do jakiejś ślicznotki, na przykład do jednej z tych dziewczek z Antiochii o jędrnych cyckach, niż do centuriona, ale w życiu nie można mieć wszystkiego — ośmielił się zażartować Marcjanus.

— Trzeba się zadowolić tym, co mamy — uśmiechnął się Metellus. — Lepiej już z tego żartować, niż upadać na duchu. Bo od tej pory musimy liczyć wyłącznie na siebie. Musimy przeżyć, żołnierze, za wszelką cenę musimy przeżyć. W tej chwili to nasz jedyny cel. Nie pozostawimy żadnego z nas własnemu losowi; każdy będzie mógł liczyć na pomoc innych. Razem może nam się udać, wierzcie mi. Ale chcę, żebyście wiedzieli jedno: należymy do gwardii cesarskiej i jak nigdy przedtem musimy się wywiązać z naszych obowiązków i dochować przysięgi na wierność cesarowi. Nikt nie będzie miał prawa odejść, jeśli on nie będzie w stanie dotrzymać nam kroku. Czy wyraziłem się jasno? Wszelkie próby ucieczki na własną rękę zostaną potraktowane jako dezercja, ja zaś osobiście zajmę się wydaniem i wykonaniem wyroku.

Pokazał łańcuch trzymając go w dłoniach. Po czym skuliwszy się obok uschniętego pnia tamaryszku, przysypał sobie nogi i ramiona piaskiem usiłując zasnąć. Przy każdym ruchu żołnierzy lub jego samego rozlegało się wszakże dzwonienie łańcuchów, które podwójnie nie dawało mu spokoju, nie dość bowiem, że nie pozwalało zasnąć, to na dodatek uświadamiało z całą mocą, iż stał się niewolnikiem. Toteż choć starał się ze wszystkich sił nie poddawać, obraz umierającej Klelii i wspomnienie twarzy syna, którego miał nigdy więcej nie zobaczyć, napełniały jego serce niewysłowioną goryczą.

Modlił się, aby duchy przodków dały mu jakiś znak, że nad nim czuwają, aby Jowisz *Optimus Maximus* przyszedł z pomocą cesarzowi,

jego przedstawicielowi na ziemi i najwyższemu kapłanowi, odpowiedziało mu jednak przeciągłe wycie szakali, które krążyły po stepie w poszukiwaniu padliny.

Wreszcie zmęczenie wzięło górę nad cierpieniem i lękiem, sprwadzając na Rzymianina twarde sen.

Obudził ich kopniakiem jeden ze strażników, po czym niewolnik rozdał każdemu po garści daktyli i ruszyli w dalszą drogę. Zmierzali na wschód posuwając się po południowych zboczach gór Taurus. Mieli zatem dotrzeć w głąb imperium perskiego przez najbardziej dzikie i nieprzyjazne regiony. Wodę dostawały najpierw konie i wielbłądy, a na końcu więźniowie, jeśli coś zostało. Maszerowali bez postojów, maruderom zaś pomagali strażnicy okładając ich biczami. Było oczywiste, że nikogo nie obchodziło, czy przetrwają, a ich życie nie miało żadnej wartości, nawet jako niewolników na sprzedaż.

Drugiego dnia wędrówki do kolumny dołączyła następna grupa więźniów, prawdopodobnie pochodzących z Południa, mieli bowiem ciemną skórę i kędzierzawe włosy, ich odzienie zaś stanowiły jedynie lniane opaski na biodra. Pośrodku karawany podążały wielbłądy z zapasami jada i bukłakami z wodą, po bokach szli więźniowie, a na końcu jechali strażnicy. Za nimi z kolei posuwał się oddział około stu wojowników, wśród nich zaś Metellus dostrzegł z daleka tajemniczą postać o oczach w kształcie migdałów, na którą zwrócił uwagę pierwszego dnia. Osobnik sprawiał wrażenie człowieka wolnego, poruszał się bowiem swobodnie wzdłuż kolumny, Marek zauważył jednak, że perscy żołnierze nie spuszczały go z oka.

Trzeciego dnia strażnicy zdjęli im ze stóp łańcuchy, dzięki czemu odczuli ogromną ulgę przy chodzeniu, tym bardziej że na kostkach potworzyły im się rany, które przyciągały chmary much i gzów.

— To dobry znak — powiedział Metellus do swych towarzyszy.
— Świadczy o tym, że jesteśmy do czegoś potrzebni. Może każą nam gdzieś pracować, zależy im więc na tym, żeby utrzymać nas przy życiu.

— Spójrzcie! — zawołał w pewnej chwili Septymiusz.

— To nasze zbroje. — Po czym wskazał na jedyny wóz, jaki podążał wraz z kolumną, ciągniony przez muły.

— To dobre klingi i dobre pancerze — dodał Emilian. — Dlaczego mieliby je wyrzucać?

— Dla nich to zdobycz. Jest wśród nich także kirys cesarza — uważał Kwadratus.

— Gdyby tylko wpadły w nasze ręce — odezwał się Lucjanus, w połowie Rzymianin, w połowie Grek, pochodzący z Nikomedii — zadalibyśmy bobu tym łotrom.

— Oszczędzaj siły — uciszył go Balbus — aż będziemy na miejscu. Nie czeka nas tam raczej nic dobrego, oczywiście jeśli dojdziemy żywi.

Pomimo trudów, jakie musiał znosić, cesarz zachował całą swoją godność: miał wyprostowane plecy, twardy wzrok i wysoko uniesioną głowę. Białe włosy kontrastowały z ogorzałą od słońca skórą, jego niezwykła duma zaś budziła niejaki szacunek nawet u pilnujących go strażników, którzy z pewnością zdawali sobie sprawę, kim jest. Odzywał się rzadko, najczęściej zamknięty w sobie i zatopiony w jakiejś surowej wewnętrznej samotności.

Chociaż nie jadł i nie pił od wielu godzin, nigdy nie rzucał się na strawę ani na wodę, lecz czekał, aż mu podadzą, czego nie omieszkali robić jego żołnierze, którzy starali się oddać mu cześć i w jakikolwiek sposób zmniejszyć niewygody i trudy owego morderczego marszu.

Kiedy strażnicy biczowali go lub uderzali drzewcem włóczni, znosił ból ze stoickim spokojem, nie wydając żadnego jęku ani nie pokazując po sobie, że właśnie otrzymał cios. Wyglądało na to, że jedynym celem, jaki mu pozostał, było nie tyle ocalenie życia, ile godności i honoru.

Szli ponad miesiąc, gdy zaś przeprawili się przez Tygrys mostem pontonowym, jęły się rysować przed nimi wzgórza wschodniej Mezopotamii i stopniowo rosło w ich oczach ogromne pasmo górskie.

— Prowadzą nas do Persji — stwierdził Metellus.

— Skąd wiesz, wodzu? — zapytał Kwadratus.

— To są góry Elam — odrzekł Metellus. — Odgradzają one płaskowyż Persji, który rozciąga się na tysiąc pięćset mil aż do granic Baktrii.

— A więc byłeś już kiedyś w tych stronach?

— Nie, ale czytałem o wyprawach Krassusa do Mezopotamii, Marka Antoniusza do Armenii, a zwłaszcza o podróży Aleksandra.

— Prowadzą nas do samego serca swojego imperium — wtrącił Walerian — skąd trudno będzie uciec.

— To prawda — przytaknął Metellus — ale przekonasz się, że twój syn Galien już rozpoczął układy w sprawie wykupu. Na pewno wkrótce się to skończy i będziemy musieli pokonać tę drogę jeszcze raz, tylko z powrotem... Przynajmniej ty, cesarze.

Walerian przyglądał mu się przez chwilę surowym, zbolałym wzrokiem, po czym rzekł:

— Wiesz, że to nieprawda. Tak czy inaczej nigdy nie zgodziłbym się wracać sam.

Przez piętnaście dni wspinali się po stromych ścieżkach, przez jary i wąwozy gór Zagros, przez niedostępne i niemal puste kamieniste obszary, zamieszkałe przez zdziczałych koczowników, przyglądających się z daleka karawanie, która posuwała się powoli wśród stukotu końskich kopyt i brzęku niewolniczych łańcuchów.

W miarę jak podążali ku górze, powietrze stawało się coraz bardziej czyste i przejrzyste, widoczna zaś za ich plecami Mezopotamia jawiła się jako pożółkła równina spowita mlecznymi oparami. Roślinność zmieniała się niemal za każdym zakrętem ścieżki: palmy były coraz niższe i rosły coraz rzadziej, aż w końcu ustąpiły miejsca oleandrom, tamaryszkom i żarnowcom, z czasem zaś również coraz bardziej majestatycznym sosnom i cedrom. Wśród skalistych wąwozów, czarnych bazaltów i białych wapieni płynęła z szumem woda, mamiąc i dręcząc swym szemraniem spragnionych wędrowców, oślepionych przez stojące wysoko na niebie słońce, które paliło skórę, oczy i mózg.

Potem ich oczom ukazał się płaskowyż: bezkresny, wypalony, suchy i nieprzyjazny, chłostany nieustannymi podmuchami wiatru, od

którego mieli spękane wargi, krwotoki z nosa i zaczerwienione oczy.

Tutaj postoje były obowiązkowe, znaczyły je zaś nieliczne oazy, zieleniące się na dnie kotlin, w których zbierała się odrobina wilgoci. Rosły tam karłowate palmy, ceratonie i wszelkiego rodzaju rośliny kolczaste. Wszystkie trawy były suche i twarde, potrącane zaś przez kopyta koni i mułów wydzielały silny zapach.

Wieczory, kiedy to strażnicy wydawali rozkaz zatrzymania się w oazie, stanowiły dla więźniów chwile wytchnienia i niemal przyjemności. Słońce chowało się wówczas za horyzontem niczym ogromna ognista kula, rozpalając niebo i pokrywając złotem czupryny tamaryszków czy akacji, wiatr ustawał bądź zmieniał się w ciepłą bryzę, powietrze przepęniały silne papachy egzotycznych roślin, woda muskana powiewem wiatru marszczyła się niczym purpurowy płaszcz, po czym rozlegało się smutne, rozdzierające wycie szakali, witających pierwsze promienie księżyca.

Wraz z nadejściem zmierzchu każdy wspominał to, co zostawił za sobą: towarzyszy, żonę i dzieci, narzeczoną, której złożył obietnicę, starych rodziców, którzy wyczekiwali na próżno powrotu syna. W miarę jednak jak noc ciemniała, niebo zaś obsypywało się miriadami gwiazd, owa krótka chwila wytchnienia ustępowała miejsca godzinom dojmującego lęku, ponurego przeczucia, bolesnego przeświadczenia o własnej bezsilności.

Wówczas szukali ratunku snując plany na przyszłość, które obowiązkowo obejmowały ucieczkę i powrót do domu, albo opowiadając stare historie, zasłyszane tak wiele razy z ust centurionów, którzy zdawali się urodzeni w zbójach i hełmach na głowach.

— Słyszeliście kiedyś o Zaginionym Legionie? — zapytał pewnego dnia Publiusz, żołnierz z Drugiego Legionu Augusta, pochodzący ze Spoletum.

— Ja tak — odrzekł Rufus, jego rudowłosa towarzysz broni, niepokonany w rzucie oszczepem i to zarówno w bitwie, jak i podczas igrzysk — ale zawsze myślałem, że to bajka. Kiedy cały oddział zostaje wybito do nogi, zawsze układa się jakieś opowieści, że zaginał,

aby nie wzbudzać przerażenia wśród wojska.

— W tym wypadku jednak się mylisz — wtrącił Elius Kwadratus.
— Zaginiony Legion istnieje, albo raczej istniał naprawdę, ale nikt nie wie, co się z nim stało.

— Czy to prawda, wodzu? — zapytał Marka Metellusa Emilian, jakby oczekiwał autorytatywnego potwierdzenia tak bajecznej historii.

— Podobno tak — odparł Metellus. — Powiadają, że kiedy triumwir Krassus wpadł pod Karrami w zasadzkę urządzoną przez armię Partów pod wodzą Sureny, jednemu z jego legionów udało się w nocy znaleźć przejście i uciec przed zagładą. Podobno zdołali się uratować razem z orłem i wszystkim.

— A potem? — dopytywał się Antoninus.

— A potem legion zniknął, jakby się zapadł pod ziemię. Nigdy więcej o nim nie słyszano. Żaden z jego żołnierzy nie wrócił do ojczyzny.

Zaległa cisza, przez kilka chwil zaś słychać było jedynie cichy szelest wiatru, który poruszał liśćmi ceratonii.

— A twoim zdaniem co się z nim stało? — zapytał Emilian.

Metellus wzruszył ramionami.

— Wszystko mogło się stać. Mogli trafić na jeden z pustynnych obszarów, które podobno występują w środkowej Azji; to jałowe pokryte solą przestrzenie, które ciągną się na setki mil. W tych miejscach człowiek traci orientację z powodu oślepiającego światła i słonej kurzawy, która przenika wszędzie. Mogli się dostać na ziemię dzikich i krwiożerczych ludów, które ich uśmierciły. Albo schwytano ich i zmuszono, by strzegli odległych granic, skąd nigdy nie wrócili... Ale prawda... Sądzę, że nigdy nie poznamy prawdy. A teraz śpijcie. Jutro czeka nas jeszcze cięższy marsz.

Niekiedy cesarz wzywał do siebie swych oficerów: legata Marka Metellusa Akwile, dwóch centurionów Sergiusa Balbusa i Eliusa Kwadratusa, a także *optio* Antoninusa Salustiusa, urządzając coś w rodzaju narady wojennej, której przewodniczył, jednakże tematy obrad były zawsze takie same: ból z powodu razów, pragnienie i głód,

przygnębienie panujące wśród żołnierzy, ewentualne próby ucieczki, do których należało zniechęcać, zakończyłyby się bowiem niechybnie pojmaniem i potwornymi mękami.

Przypuszczenie to potwierdziło się pewnego wieczoru w samym środku lata, kiedy to nabatejski więzień, którego niedawno przyłączono do karawany, podjął się ucieczki korzystając z burzy piaskowej, po trzech dniach zaś został schwytany.

Strażnicy go rozebrali, przywiązali do trzech pali wbitych w ziemię, następnie wycięli mu powieki i nasikali do odsłoniętych oczu. Po czym zostawili na pastwę mrówek i skorpionów.

Jego wrzaski słyhać było całymi godzinami, dopóki nie zagłuszył ich wiatr.

Pewnego razu Metellus odniósł wrażenie, że tajemniczy młodzieniec, którego widział w Edessie, usiłował uciec, okazało się jednak, że była to tylko konna przejażdżka. Wybrał się on na wysoki grzbiet, gdzie dołączyło doń wkrótce dwóch jeźdźców z eskorty. Zostali tam wszyscy trzej aż do wieczora, jakby napawając się widokiem zachodzącego słońca, po czym wrócili do swych namiotów.

Po trzech miesiącach wędrówki wszyscy, bez żadnych strat, dotarli do celu. Byli bardzo wychudzeni i wycieńczeni, ale żywi, co samo w sobie zakrawało na cud.

Celem okazała się kopalnia turkusów w sercu Persji, piekło zwane Aus Daiwa. Tam mieli żyć tak długo, jak się da. Tam też mieli umrzeć jeden po drugim, o ile nie stanie się cud, który odmieni ich los.

3

Szapur przerwał oblężenie Edessy, prawdopodobnie zadowolony tym, co zdołał osiągnąć.

W całej tysiącletniej historii Rzymu jedynym wydarzeniem, które można by przyrównać do tej klęski, było porwanie przez Kartagińczyków

konsula Atiliusza Regulusa podczas pierwszej wojny punickiej, pięćset lat wcześniej. Regulus był wszakże jedynie republikańskim urzędnikiem, choćby nawet wysokiego szczebla, urząd ten zaś piastowało się przez rok i można było znaleźć zastępcę. Licyniusz Walerian natomiast był cesarzem, ojcem narodu, jego poniżenie i uwięzienie zaś oznaczało katastrofę o niewyobrażalnych następstwach.

Galien wkroczył do miasta zaledwie miesiąc później i został powitany przez Kasjusza Silwę ze wszystkimi honorami, mimo że w tych okolicznościach jakiegokolwiek uroczystości wydawały się nie do pomyslenia. Ustawione w szyku wojsko okrzyknęło go wszakże nowym władcą, on zaś dokonał przeglądu odziany w purpurę i w diademie na głowie. Wygląd prowincjonalnego urzędnika, jaki nadawała mu górna warga tworząca dziobek nad dolną, kłócił się z paludamentem, jaki miał na sobie, i z otaczającym go wojskowym przepychem. Wszedłszy na podium, wygłosił swą pierwszą oficjalną mowę.

— Żołnierze! — powiedział. — To co się stało, przyprawiło mnie o głęboki smutek i ból. Uwięzienie mojego ojca to skutek zdrady i dwulicowości naszego wroga. Nie można nic zarzucić ani wam, ani waszym dowódcom. Wiem, że wielu waszych towarzyszy podstępnie zgładzono, wiem, że inni, a wśród nich Marek Metellus Akwila, polegli w walce lub zostali wzięci do niewoli wraz z moim ojcem. Bolejemy nad ich losem nie mniej niż nad niedolą cezara, toteż aby go ocalić, składamy ofiary bogom i robimy wszystko co możliwe. Wiem, że małżonka legata, czcigodna Klelia, zginęła od strzał Persów, podczas gdy postanowiła doń dołączyć.

— Od strzał Rzymian! — zawołał jakiś głos.

— To przykład bohaterstwa godnego najlepszej tradycji kobiet rzymskich — ciągnął niewzruszony Galien. — Ich syn zostanie objęty opieką przez rodzinę cesarską, wykształcony i wychowany na koszt państwa. Natychmiast wyślę posłańca, aby rozpoczął układy w sprawie wykupu mojego ojca. Żadna cena za jego wolność nie zostanie uznana za zbyt wysoką...

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle na obszernym dziedzińcu korpusu gwardii rozległ się czyjś głos:

— Honor Rzymu odkupuje się nie złotem, lecz żelazem, Galienie!

Nastąpiła pełna zdumienia cisza. Owo zdanie, które wszyscy znali od dzieciństwa, jako że uczyli się go już w szkolnych ławach, które wypowiedział pewien bohater republikański siedem wieków wcześniej, a które padło nie wiadomo skąd, silnie wstrząsnęło wszystkimi. Galien popatrzył w osłupieniu na Kasjusza Silwę, który też rozejrzał się wokoło nie rozumiejąc, skąd pochodził głos.

Wówczas z ustawionych w szyku wojsk dobiegł kolejny okrzyk:

— Uwolnić Lucjusza Domicjusza Aureliana!

Do głosu tego jęły dołączać następne, aż wołanie zmieniło się w jeden wspólny rytmiczny, rozkazujący okrzyk, który domagał się odpowiedzi. Galien rzekł parę słów do Silwy, który w odpowiedzi szepnął mu coś na ucho. Wtedy człowiek, który obwieścił się nowym cesarzem, podniósł dłoń nakazując milczenie, po czym krzyki stopniowo ucichły.

— Legat Lucjusz Domicjusz Aurelianus został jedynie tymczasowo zawieszony w czynnościach, aby uniknąć niebezpiecznych sporów na szczeblu dowodzenia w chwili najwyższego zagrożenia. Zresztą chwila ta już minęła przynosząc niestety przykre rozwiązanie, toteż nie ma powodu, by utrzymywać w mocy to zarządzenie. Lucjusz Domicjusz otrzymuje zatem z powrotem swój stopień i funkcję dowódcy Dziesiątego Legionu Gemina.

Ze stojących w szyku wojsk podniósł się kolejny okrzyk, tym razem radosny. Po chwili zjawił się Lucjusz Domicjusz w eskorcie dwunastu pretorianów, Galien zaś osobiście oddał mu miecz. Legat bez słowa przypiął go do pasa, skłonił głowę i spiorunowawszy wzrokiem Kasjusza Silwę, zszedł do swych legionistów zajmując miejsce w szeregu jak zwykły żołnierz.

Galien pozostał jeszcze w mieście przez dziesięć dni, podczas których zwołał zebranie dowódców odpowiedzialnych za linię obrony na Wschodzie. Wśród nich znalazł się waleczny oficer Septymiusz Odenat, który dowodził obroną Palmyry, dużego miasta leżącego na szlaku

karawanowym na wschód od Damaszku, oraz osroeńskimi i syryjskimi wojskami pomocniczymi stacjonującymi w fortecy Dura Europos nad Eufratem.

Lucjusz Domicjusz również otrzymał wezwanie, chociaż wszyscy wiedzieli, jak zaciekle nienawiścią darzy Kasjusza Silwę. Ogromne uznanie, jakim cieszył się wśród żołnierzy, nie pozwalało wszakże go pominąć. Lepiej znaleźć delikatniejszy sposób, aby go odsunąć. Galien wysłał go więc na czele oddziału, aby bronił granicy na Dunaju przed najazdem Sarmatów — było to bardzo trudne i niebezpieczne przedsięwzięcie, zważywszy na znaczną przewagę barbarzyńców nad siłami rzymskimi.

Niejednemu przyszło do głowy, że ów pomysł poddał sam Silwa, który wkrótce potem został mianowany prefektem pretorianów, dzięki czemu stał się najpotężniejszym człowiekiem w państwie zaraz po cesarzu. Lucjusz Domicjusz przyjął zadanie bez mrugnięcia powieką, „Aurelian z ręką na mieczu” nie mógł się przecież cofnąć przed wezwaniem do walki. Przed wyjazdem poprosił wszakże Galiena o posłuchanie. W sali audiencyjnej obecni byli również Septymiusz Odenat, dowódca wojsk nad Eufratem, i jego żona Zainab, słynąca z nadzwyczajnej urody w całym Oriencie. Odenat był tak zazdrosny, że zabierał ją wszędzie ze sobą. Lucjusz Domicjusz spoglądał jej przez chwilę w oczy, ona jednak nie spuściła wzroku. Po czym podszedł do Galiena.

— Chcę, byś wiedział — przemówił — że uważam cię jedynie za regenta *pro tempore*, dopóki twój ojciec pozostaje w niewoli, i tylko pod tym warunkiem zgadzam się wykonywać twoje rozkazy. Nie zamierzam nazywać cię cezarem, ponieważ tytuł ten nic nie znaczy bez twego ojca, lecz po prostu będę się do ciebie zwracał po imieniu.

Galien nie odpowiedział, wyraz jego twarzy nie pozostawiał wszakże wątpliwości co do tego, jakie rozczarowanie i gniew wzbudziły w nim te otwarcie wyzywające słowa. Był to jednak bezsilny gniew, podniesienie ręki na Lucjusza Domicjusza Aureliana mogło bowiem oznaczać bunt albo nawet coś gorszego.

— Będę walczył tak jak zawsze — ciągnął tymczasem Aurelian — i wykonywał twoje rozkazy najlepiej jak potrafię. Proszę cię tylko o jedno: oddaj mi pod opiekę syna Metellusa, małego Tytusa. Nie ma rodziców, jego matka zaś zginęła tragiczną śmiercią. Wychowam go jak własnego syna, każdego dnia będę mu przypominał o waleczności jego ojca, o mądrości i odwadze matki i będę go bronił nawet za cenę własnego życia.

— Niestety nie mogę spełnić twojej prośby, Lucjuszu Domicjuszu — zmarszczył czoło Galien. — Pole bitwy to nie jest odpowiednie miejsce dla chłopca. Poza tym twoje zadanie jest niebezpieczne i właśnie dlatego wybrałem ciebie; wiem, że należysz do najlepszych dowódców w całym wojsku. Chłopiec musi mieć zapewnione wykształcenie, opiekę, najlepszych nauczycieli i traktowanie, na jakie zasłużył dzięki waleczności swego ojca i poświęceniu matki. Dziękuję, że się zaoferowałeś; prośba ta przysparza ci chwały, ale nie miej mi za złe, iż nie mogę jej spełnić.

Lucjusz Domicjusz przygryzł wargę, jak to miał w zwyczaju, gdy chciał stłumić przyływ gniewu, po czym rzekł:

— Jestem pewien, że chłopiec będzie traktowany tak, jak na to zasługuje. Chcę jednak, abyś dobrze sobie zapamiętał to, co ci powiem. Jeśli mu się coś stanie, cokolwiek: jeśli spadnie ze schodów albo zrani się podczas zabawy czy pływania, albo jeśli zapadnie na jakąś poważną chorobę, nawet jeśli dostanie niestrawności z przejedzenia, uczynię cię za to osobiście odpowiedzialnym, znajdę cię, gdziekolwiek będziesz, i każę za to zapłacić.

— Jak śmiesz mi grozić? — oburzył się Galien. — Jak śmiesz stawiać warunki swojemu cesarzowi?

— Mój cesarz przebywa w niewoli u Persów, ja zaś jestem pewien, że wkrótce go sprowadzisz, że zapłacisz każdą cenę, aby go wykupić, tak jak zapowiedziałeś i uroczyście przyrzekłeś. Jeśli Walerian nie wróci wraz ze swoją świtą w rozsądnym czasie, odpowiedzialność za to również spadnie na ciebie. Żegnaj.

Po czym nie pozostawiwszy mu czasu na odpowiedź, obrócił się na pięcie i odszedł mijając pretorianów, z hełmem pod pachą i prawą dłonią wspartą na jelicu miecza, jak zawsze.

Nazajutrz wyruszył na czele legionu wśród ryczenia trąb i łopotania labarów, kierując się ku Cezarei, następnie Ankyrze i Bizancjum, wprost do Sirmium, gdzie znajdowała się kwatera główna wojsk nad-dunajskich, którymi dowodził Publiusz Festus, dzielny oficer i dobry wojownik.

Na widok tylnej straży Dziesiątego Legionu Gemina, znikającej za zakrętem drogi na północ, Galien i Silwa odetchnęli z ulgą. Pozostawwszy w Edessie dwa manipuły Drugiego Legionu Augusta, wrócili do Antiochii wraz z synem Metellusa.

Zabranie go nie było wcale łatwe. Krzyczał bowiem, że jego ojciec obiecał wrócić, że chce na niego zaczekać i być w domu, kiedy się zjawi.

Wówczas jeden z niewolników Galiena chwycił go za ramię mówiąc:

— Twój ojciec już nie wróci. Teraz z pewnością nie żyje.

Tytus ugryzł go w rękę i usiłował uciec, został jednak złapany i zabrany, mimo że krzyczał, wierzgał i płakał.

W połowie lata w Antiochii wsiedli na statek do Rawenny, następnie udali się do Mediolanu, gdzie Galien kazał sobie postawić rezydencję.

Pieczę nad Tytusem powierzono zarządcy pałacu. Miał się zająć nauką chłopca, ten był wszakże nieznośny. Odmawiał jedzenia i nie chciał nikogo widzieć. Chował się pod łóżko, by nikt go nie znalazł, i bez przerwy próbował uciec ze swego więzienia, toteż trzeba było wyznaczyć strażnika, który go stale pilnował.

Chociaż Galien był zajęty sprawami państwa, trapił się z powodu chłopca, który marniał w oczach, pamiętał bowiem ostrzeżenie Lucjusza Domicjusza, wiedział zaś doskonale, że „Aurelian z ręką na mieczu” nigdy nie rzuca słów na wiatr. Zastąpił nauczyciela, zgryźliwego i despotycznego starca, młodziutką, piętnastoletnią niewolnicą.

— Kim jesteś? — zapytał Tytus na jej widok.

— Jestem osobą, która ma ci służyć. Zwą mnie Tilia.

— Nie potrzebuję nikogo. Idź sobie.

— To ja potrzebuję ciebie.

Tytus zerknął na nią spod oka.

— Chciałabym cię namówić, żebyś coś zjadł.
— Nie jestem głodny.
— Apetyt rośnie w miarę jedzenia.
— Powiedziałem, że nie jestem głodny.
— Jeśli nie namówię cię do jedzenia, dostanę baty. Zadadzą mi straszliwy ból. Stary zarządca to psi syn.
— W tym się z tobą zgadzam.
— I cieszy go, gdy może komuś zadać ból.
— Też tak uważam.

Tilia podeszła bliżej i usiadła obok niego.
— Przyniosłam ci czarkę gorącego rosółu. Sama go ugotowałam; będzie ci smakował.

Tytus milczał.

— Jeśli nie będziesz jadł, umrzesz. A kiedy wróci twój ojciec, umrze z żalu. Czy właśnie tego chcesz?
— Powiedzieli, że mój ojciec nie żyje.
— Kłamali.

Tytus rozpromienił się i otworzył usta, by zapytać, skąd to wie, dziewczyna zaś wyzyskując sposobność wlała mu do buzi łyżkę rosółu.

— Smakuje ci? — upewniła się.

— Dlaczego sądzisz, że kłamali? — odpowiedział pytaniem na pytanie chłopiec. — Mam na myśli śmierć mojego ojca. Co ty możesz o tym wiedzieć? Przecież jesteś tylko niewolnicą.

Tilia dała mu kolejną łyżkę rosółu, wykorzystując wyłom, jaki udało jej się zrobić w obronie chłopca, po czym rzekła:

— Dlatego że twój ojciec to wódz Akwila, żywa legenda. Wszyscy o nim mówią. I wszyscy uważają, że został pojmany przez Persów razem z cesarzem Walerianem. Jego ciała nie znaleziono, chociaż znaleziono ciała innych, którzy zginęli tamtego dnia w Edessie.

— Ty też tam byłaś? — zapytał znów Tytus.

— Nie. Przyjechałam później, wraz ze świtą Galiena, razem z kucharzami i szafarzami, którzy towarzyszą dworowi. Ponieważ jednak rzecz miała miejsce niedługo przedtem, niektórzy żołnierze poszli zabrać zwłoki poległych zaraz po odejściu Persów.

— Co za różnica? Jeśli mój ojciec został niewolnikiem, i tak go więcej nie zobaczę.

— Nieprawda. Galien obiecał, że Persom zapłaci okup za uwolnienie cesarza, a jeśli cesarz wróci, to z pewnością razem z twoim ojcem i wszystkimi, których pojmano wraz z nim.

— A kiedy to się stanie?

— Myślę, że niedługo. Na pewno rozmowy już trwają.

— A jeżeli nie dojdą do porozumienia?

— Możliwi zawsze dochodzą do porozumienia.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Sporo wiesz jak na niewolnicę.

— To naturalne. Niewolników nie traktuje się jak żywe istoty, ludzie rozmawiają więc w naszej obecności tak swobodnie, jakbyśmy byli częścią umeblowania albo posągami. Teraz musisz tylko nabrać sił czekając na dzień, gdy wróci twój ojciec i będziesz mógł go przytulić.

Tytus dokończył rosół, kiedy zaś Tilia sobie poszła, zbliżył się do okna i oparł brodę o parapet. Widział stąd pospieszną krzątanicę niewolników i żołnierzy, która przywiodła mu na myśl twierdzą w Edessie, wraz z palestrą, gdzie często widywał ojca wprawiającego się we władaniu mieczem i rzucaniu oszczepem. Wspominał karawany przybywające z Dury i Damaszku, z Palmyry i Tapsakos, z Nisibis i Ktezyfontu i wiozące różnobarwne tkaniny, starannie wyczelowaną broń, szkło, kamienie szlachetne, ozdabiane strusie jaja, pawie pióra i egzotyczne zwierzęta. Tęsknił za nimi, podobnie jak tęsknił za rodzicami, za matką, której nigdy już nie zobaczy, i za ojcem — bohaterem, którego podziwiał bardziej niż jakąkolwiek znaną mu ludzką istotę. Serce przepęniała mu nadzieja, że on żyje, i usiłował sobie wyobrazić, gdzie się teraz znajduje, czy doskwiera mu głód i zimno i czy cierpi upokorzenia ze strony swych ciemniejszych. Spoglądając na ciemniejące na wschodzie niebo próbował obliczyć dzielącą go odeń odległość, po czym zamykał oczy i starał się go zobaczyć siedzącego w cieniu palmy albo wędrującego po bezkresnej dalekiej ziemi za kołyszącymi się wielbłądami. Wysilał swą dziecięcą wrażliwość aż do bólu, aby odgadnąć jego myśli i poczuć ojcowską miłość, której tak bardzo mu brakowało.

*

W Mediolanie panowały wilgoć i duchota. Miasto wiecznie spowi-
jały opary mgły, które ustępowały niezwykle rzadko, pozwalając doj-
rzeć w oddali szczyty Alp. Kiedy pozwalano mu wychodzić w towa-
rzystwie jednego z preceptorów bądź strażników, nigdy nie znajdował
nic naprawdę ciekawego z wyjątkiem straganów obwoźnych handla-
rzy, którzy przybywali na forum w dni targowe.

Z czasem Tilia stała się jego jedyną przyjaciółką, lecz wyłącznie
wewnątrz pałacu. Kędy wychodził, zawsze towarzyszyli mu mężczyź-
ni, którzy nie spuszczały go z oka.

Pewnego dnia, gdy przebywał z dziewczyną w ogrodzie, zapytał:

— Co to jest zakładnik?

— Gdzie usłyszałeś to słowo? — Tilia spojrzała nań zaskoczona.

— Wymówił je jeden ze strażników w rozmowie z moim precep-
torem.

— Ale nie rozmawiali o tobie.

— Myślę, że tak. A bo co, to brzydkie słowo?

— Nie, nie aż tak. Oznacza specjalnego gościa. Kogoś, kto jest
dobrze traktowany, ale nie może odejść, kiedy chce.

— W takim razie chodzi właśnie o mnie.

— Obawiam się, że tak. Ale mogło być jeszcze gorzej, wierz mi.

— Możliwe. Jednak bardzo mi brak rodziców. Jak sądzisz, kiedy
znów zobaczę ojca?

Tilia spojrzała mu w oczy. Znalazła w nich taką głębię uczuć, jaką
rzadko spotykała w swym życiu, tak silną nadzieję, że niespełnienie
jej byłoby okrucieństwem, podsycanie zaś podłością.

— Trudno powiedzieć — odrzekła. — Nie wiemy, gdzie prze-
trzymywany jest cesarz Walerian i jego gwardia. Nie wiemy, dokąd
się udali ani w jakim stadium znajdują się rozmowy w sprawie okupu.
Moim zdaniem powinno to potrwać od sześciu miesięcy do roku.

— Tak długo? — jęknął chłopiec.

— Czas szybko leci, mały. Gdyby moje przewidywania się sprawdziły, moglibyśmy mówić o szczęściu.

— Ale wszystko może jeszcze pójść źle, prawda?

Tilia pogłaskała go po głowie.

— Niestety zły los istnieje. Spójrz na mnie: urodziłam się niewolnicą i nigdy nie znałam swoich rodziców. Nawet nie wiesz, jak okrutnie mi ich brakuje, jak bardzo pragnę być z nimi. Każdego dnia i każdej nocy usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądają, jakie mają głosy, choćby jak mają na imię. — Podczas gdy mówiła, oczy chłopca zwilgotniały, na jego twarzy zaś pojawił się wyraz przygnębienia. Na samo wyobrażenie myśli, jakie musiały mu przebiegać przez głowę, poczuła smutek, próbowała więc znaleźć jakieś słowa otuchy. — Trzeba jednak ufać bogom i ludzkim cnotom. Twój ojciec to wielki człowiek, a z tego co słyszałam, cesarz także. Wielcy ludzie chodzą ścieżkami, których nie znają zwykli śmiertelnicy. I wiesz co? Dobre myśli przynoszą dobre rzeczy. Nie przychodzi ci na myśl żadne wydarzenie z życia twojego ojca ani żadne jego słowa, które stanowiłyby dobrą wróżbę? Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Chłopiec westchnął głęboko, po czym milczał dłuższą chwilę. W końcu rzekł:

— Tak, coś by się znalazło.

— Co takiego?

— Tamtego poranka ojciec obiecał, że wróci przed wieczorem.

— To bardzo piękna obietnica.

— Ale jej nie dotrzymał.

— Nieważne. To nie była jego wina. Liczy się życzenie, a to jest dobre życzenie, wierz mi.

Chwyciwszy go za rękę, odprowadziła do pałacu, gdzie czekał nań preceptor, który miał mu udzielić kolejnej lekcji gramatyki.

Dotarłszy do Sirmium w Panonii pod koniec sierpnia, Lucjusz Domicjusz Aurelian osiedlił się wraz ze swym legionem w obszernym obozowisku postawionym na prawym brzegu Dunaju.

Publiusz Festus, dowódca wojsk naddunajskich, przyjął go z ogromną serdecznością.

— Nawet nie śmiałem mieć nadziei, że otrzymam aż takie wsparcie: jednego z najlepszych wodzów cesarstwa. I niezwykłego legionu: Dziesiątego Gemina. Podziękuję temu, kto wpadł na ten pomysł.

— To Galien, za namową Kasjusza Silwy.

— Nie wyglądasz na zadowolonego. Wyobrażam sobie, że lepiej by ci było w Antiochii albo w Aleksandrii, ale przywykniesz. Tutaj nie ma zbyt wielu rozrywek. Co najwyżej partyjka kości z którymś centurionem.

— Nie gram o złoto — odparł Lucjusz Domicjusz.

— Właśnie. To prawda. „Aurelian z ręką na mieczu” to oficer nieskazitelny, starej daty. Twoja sława cię prześcignęła... Ale kobiety w tych stronach są piękne i nie gardzą tobą.

— Kobiety nie stanowią zmartwienia. Kiedy ruszamy do ataku?

— Co takiego?

— Pytam, kiedy ruszamy do ataku. Chciałbym to mieć za sobą i wrócić do swojego obozu w Edessie. Mam tam sporo do zrobienia.

Publiusz Festus zwlekał z odpowiedzią.

— Legacie, obawiam się, że nie zdajesz sobie w pełni sprawy, jak się rzeczy mają. Za rzeką czeka ponad siedemdziesiąt tysięcy uzbrojonych po zęby barbarzyńców, którzy przywykli do walki na tej bezkresnej równinie siedząc na koniach nie do zdarcia. Będziemy mieli szczęście, jeśli nie przejdą na tę stronę i nie ruszą ławą na nasze stanowiska. Mamy wszystkiego trzy legiony razem z twoim i jeśli będziemy musieli się bić na otwartej przestrzeni, z pewnością przegramy.

— Nie twierdzę, że należy wyprowadzić wszystkie nasze siły. Proszę, żebyś pozwolił mi załatwić tę sprawę. Mnie i mojemu legionowi.

Publiusz Festus pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Nawet mi to przez myśl nie przeszło. To by było istne samobójstwo, ja zaś będę potrzebował ciebie i twoich ludzi, jeśli ci barbarzyńcy na nas ruszą.

— Więc co mam tutaj robić, po prostu czekać?

— Czekać, legacie, czekać. I mieć nadzieję, że nie przeprowią się na ten brzeg.

Lucjusz Domicjusz spojrział w oczy swemu dowódcy.

— Nigdy w życiu na nic nie czekałem — oświadczył.

Po czym wstał, lekko skinął głową i wyszedł.

4

Kopalnia w Aus Daiwa znajdowała się w odosobnionym miejscu na płaskowyżu, w strefie całkowicie pozbawionej roślinności, chłostanej ciągłym wiatrem, który cichł dopiero przed zachodem słońca. Studnia, kilka chat dla górników, budynek z niewypalanych cegieł dla strażników i zbrojownia stanowiły jedyne urozmaicenie krajobrazu. Pośrodku głównego placu zaś stał olbrzymi młot do rozdrabniania kruszcu. Poruszany był za pomocą kołowrotu, który ciągnął linę napiętą przez wielkie koło pasowe. Kołowrót wprawiało w ruch pół tuzina drążków, z których każdy pchało czterech ludzi.

Kiedy młot podnosił się na wysokość wierzchołka podpory w postaci kratownicy, odsuwał się dybel blokujący koło wciągarki do sworznia, tylne koło obracało się swobodnie do tyłu, młot opadał zaś z łoskotem na zwalone na stos skały rozkruszając je na kawałki. Następnie młot rozpoczynał z jękiem na nowo swą syzyfową pracę.

Kuchnię stanowiło zwykłe palenisko na świeżym powietrzu; gotowano na nim strawę dla wojska.

Ledwie nadeszła karawana z więźniami z Edessy, jeden ze strażników przywitał ich szturchańcami i kopniakami, po czym kazał im się ustawić przed chatami. Następnie wygłosił po persku swego rodzaju przemowę. Jego słowa przetłumaczył zdanie po zdaniu inny więzień — kościsty bezzębny starzec, który oznajmił, że zwą go Uksal.

— To jest miejsce, w którym umrzecie. Nieważne kiedy, ale na pewno tutaj. Nikomu nigdy nie udało się stąd uciec. Najbliższa wioska, jak zapewne zauważyliście po drodze, znajduje się o trzy dni

marszu stąd, następna zaś o siedem. Jeżeli ktoś spróbuje uciec, niech wie, że ruszy za nim pościg, zostanie schwytyany w ciągu paru godzin i wbity na pal pośrodku placu. Nasz kat jest niezwykle zręczny: potrafi wsunąć pal w ciało człowieka od końca do końca nie przebijając żadnego narządu, dzięki czemu może on żyć całe dni. Bunt, jakikolwiek bunt będzie potraktowany tak samo. Zwykle nieposłuszeństwo lub niewykonanie normy wydobywania, obowiązującej każdego z was, karane będzie dziesięcioma batami albo trzema dniami na palu bez wody i jadła. Ilość surowego kruszcu do wydobywania na dzień wynosi pięćdziesiąt libr. Na noc będziecie skuwani. Na dzień łańcuchy będą zdejmowane, żebyście mogli lepiej pracować. Słomę w chatach zmienia się raz na miesiąc. Kiedy jeden z was umrze, jego grupa musi wrzucić trupa do tej rozpadliny. To wszystko, co powinniście wiedzieć.

Skończywszy mówić, strażnik otworzył jedną z chat, Uksal zaś wprowadził do środka nowo przybyłych. Razem dwudziestu trzech mężczyzn, w tym dwunastu Rzymian.

Pokazawszy każdemu z nich postanie ze słomy, założył im na kostki obręcze z pierścieniami, przez które przetykało się łańcuch, a następnie przytwierdzało go do pierścienia w klepisku i zamykało na kłódkę. Uksal przykuł również samego siebie, po czym oddał klucz strażnikowi, który wyszedł zawierając za sobą drzwi.

Gestem nakazał wszystkim milczenie, dopóki kroki strażnika nie umilkły w oddali, po czym rzekł półgłosem:

— Teraz wolno nam mówić, ale nikt nie może tego usłyszeć z zewnątrz. Jeśli coś usłyszą, zostaniemy ukarani, a zapewniam was, że to nic przyjemnego. Tutaj wasze życie nie jest nic warte.

— Skąd znasz nasz język? — zapytał siedzący obok Metellus.

— Jako dziecko przez dziesięć lat byłem na służbie u pewnego rzymskiego kupca, który handlował kamieniami szlachetnymi i miał kram w Buprasium, w zatoce.

— A skąd się tu wziąłeś?

— Chociaż byłem wolnym człowiekiem, kupiec sprzedał mnie pewnemu perskiemu panu, żeby spłacić długi. Nie mogąc się pogodzić

z niewolnictwem, usiłowałem zbiec i zesłali mnie tutaj.

— To znaczy, że można tutaj długo żyć — zauważył Lucjanus. — Wyglądasz na starego.

— Nie licz na to — odparł Uksal. — Ja żyję, bo jestem im potrzebny. Jestem dość dobry w obróbce kruszcu. Poza tym ten psi syn, mój pan, nauczył mnie czegoś, co pozwoliło mi przeżyć, o ile to można nazwać życiem. A teraz pozwólcie, że wam wyjaśnię coś jeszcze. Zaczniemy od jadła: górnicy jedzą wyłącznie suszone warzywa i mączkę rybną, które rozdaje się raz dziennie, rano. Na wieczerzę jest miska ciemnej brei o ohydny zapachu, której składu nigdy nie udało mi się odkryć. Tym lepiej. Woda jest wydzielana, ponieważ jej brakuje. Starajcie się nie pić za dnia, kiedy człowiek najwięcej się poci. Pijcie wieczorem, gdy zaczyna się robić chłodniej; wtedy organizm ją całą wykorzysta. Czasami jadło nie dociera albo z powodu burzy piaskowej, albo z innych przyczyn, których nie znam. W takich wypadkach strażnicy jedzą, a my nie. Karaczany i szczury mogą wam pomóc przeżyć. Potrafię je upiec na węglach w kuźni i mogę was zapewnić, że wcale nie są złe. Zresztą da się je też jeść na surowo. Można się przyzwyczaić. Co do zachowania: zapomnijcie, że jesteście ludźmi, że macie imiona, ojczyznę, rodzinę. Zapomnijcie o honorze i dumie albo prędko umrzecie. Nigdy nie reagujcie, nie patrzcie w oczy strażnikowi, nie pomagajcie kompanowi, który źle się czuje. Wszelkie przejawy solidarności grupowej uznawane są za groźbę, za próbę spisku. Ludzie, którzy was pilnują i karzą za byle przewinienie, często postępują tak dlatego, że gdyby się coś stało, ich kara wcale nie byłaby mniejsza od naszej, przeciwnie. Persowie mają niewiarygodną fantazję, jeśli chodzi o zadawanie bólu...

— Wiem o tym — wtrącił Metellus. — Czytałem „Historię Persji” Ktezjasza.

— A to co takiego? — pokręcił głową Uksal.

— Dzieło greckiego medyka, który żył na dworze cesarza Artakserksesa.

— Aha — powiedział Uksal. — Ty jednak szczególnie mnie martwisz. Jesteś żołnierzem, prawda?

- Wszyscy jesteśmy żołnierzami.
- Ale ty bardziej. Twój wygląd to ciągle wyzwanie, twój wzrok to prowokacja. Jeśli chcesz przeżyć, ukryj jedno i drugie.
- Muszę przeżyć — odparł Metellus — i moi towarzysze także.
- Znakomicie. W takim razie zróbcie, jak powiedziałem, to może zdołacie przetrwać chociaż jakiś czas.

W miarę jak mówił, na twarzach mężczyzn, którzy przecież przywykli przez lata stawiać czoło najgorszym niebezpieczeństwom i stale narażać życie, malowały się coraz większe przygnębienie i rozczarowanie. Perspektywa życia bez cienia nadziei, w hańbie i upokorzeniu, które trwałyby kto wie jak długo, a którym kres położyłaby podła śmierć, niejednemu z nich kazała myśleć o samobójstwie, z pewnością bardziej honorowym końcu dla żołnierza.

Uksał zdawał się czytać w ich myślach, po chwili bowiem rzekł:

— Jutro przekonacie się, że piekło istnieje, ale pamiętajcie, że jest coś jeszcze gorszego: trzeci poziom, dolne korytarze. Temu, kto tam trafi, najpierw wypalają piętno, a potem już nigdy nie ogląda słońca. Wyłania się z tych ciemnych chodników tylko jako trup. Niektórzy z was prawdopodobnie postanowią targnąć się na własne życie; to tutaj reguła. Zazwyczaj robi tak dwóch lub trzech z dziesięciu, ale to zależy od typu człowieka. Jeszcze was nie znam, więc nie mogę się wypowiadać. Widziałem, jak jedni roztrzaskiwali sobie czaszki rzucając się na skały, inni skakali z góry do studni albo przebijali się kilofem. Szanuję ten wybór, bo sam nie raz go rozważałem. Ale jeśli chcecie mojej rady, spróbujcie zacisnąć zęby. Nigdy nie wiadomo, co komu pisane. Prawdę mówiąc są tacy, co stąd wyszli.

- Ilu? — zapytał Publiusz.
- Trzech... W ciągu dwudziestu lat.
- To niewielu — mruknął z sarkazmem Kwadratus.
- Zależy od punktu widzenia — odrzekł Uksał.
- A wiesz, jak im się to udało? — zaciekawiał się Balbus.
- Nie mam pojęcia.

Zostali wykupieni? — podpowiedział Metellus.

— Możliwe. Ale nie mam pewności.

— Jesteśmy ci wdzięczni za ostrzeżenia i wiedzę, jakiej nam dostarczyłeś, ale teraz chyba powinniśmy pójść spać. Jutro zacznie się praca w kopalni.

— Nie ma za co. Tkwimy w tym samym łańnie. Uznałem za słuszne przedstawić wam, jak się sprawy mają. Jeszcze jedno: nie ufajcie nikomu, nie rozmawiajcie z nikim, kogo nie znacie. Tutaj wszyscy są szpiegami. Gotowi byłiby was sprzedać i donieść na was za dodatkową łyżkę zupy.

— Jak przypuszczam, ty też jesteś szpiegiem — zauważył Metellus.

— Nie.

— Niby dlaczego nie?

— Bo mam swoją dumę. Zachowałem ją na zawsze, ponieważ zawsze ją skrywałem. Nie wszyscy są jednakowi i właśnie dlatego nigdy nie zdecydowałem się na odebranie sobie życia. Zresztą poznałem tu mnóstwo ciekawych ludzi. Wielu z nich zmarło, szczęśliwcy. Inni nadal żyją.

— Dziękujemy za rady. A teraz, o ile pozwolisz, lepiej będzie, jeśli postaramy się zasnąć.

— Jeszcze tylko jedna rzecz... jedno pytanie.

— Mów.

— Przed waszym przybyciem po obozie rozeszła się dziwna wieść.

— Ach tak?

— Właśnie — przytaknął Uksal. — Podobno wśród was jest jakaś wyjątkowo ważna osobistość...

Metellus nie odpowiedział.

Tymczasem Uksal, wychyliwszy się do przodu, jał się przyglądać twarzom nowo przybyłych.

— Zastanawiam się, który z was jest tą grubą rybą, tym wielkim panem.

Metellus nadal milczał. Uksal zatrzymał wzrok na twarzy Waleriana.

— To ty. Nie ma wątpliwości. To możesz być tylko ty... Cesarz Rzymian... Nie do wiary... — Uśmiechnął się szyderczo. — Los człowieka nie ma sensu... Nie ma żadnego sensu. Władateś połową świata, a

teraz znaczysz mniej od tego bezzębego starca, który przed tobą stoi.

Znajdujący się najbliżej Metellus chwycił go za łachmany.

— Dość tego, starcze. Jeszcze słowo, a sprawię, że ode chce ci się żartować.

Uksał uśmiechnął się krzywo.

— Uspokój się, dowódcu, twój cesarz z pewnością nie mnie powinien się bać. Po prostu nigdy w życiu nie widziałem cesarza. Gdybym umarł wczoraj, nie miałbym takiej okazji. — Legł na swojej wiązce słomy, lecz nie przestawał mamrotać: — Nie do wiary... Nie do wiary.

Metellus także się położył.

— Starajcie się odpocząć, żołnierze, i starajcie się przeżyć. Za wszelką cenę; targnięcie się na własne życie to też dezercja. Pamiętajcie o tym.

Obudzono ich, gdy wokół było jeszcze ciemno, po czym zdjęto im łańcuchy. Gdy strażnik rozdał im łopaty i kilofy, Metellus zauważył, że podczas rozdzielania narzędzi uzbrojone oddziały straży ustawiły się w szyku kilka kroków dalej, z mieczami w dłoniach. Wsiadali po pięciu na platformę podtrzymywaną przez liny na kołowrotach, po czym zjeżdżali pod ziemię do miejsca rozgałęzienia korytarzy. Każdy z nich dostał zapaloną lampę oliwną do oświetlenia ciasnych i ciemnych chodników kopalni.

Kiedy zaś przybysze zgromadzili się na wyznaczonym im odcinku, Metellus przemówił do cesarza:

— Cezarze, nie powinieneś zbyt ciężko pracować. Jest nas jedenaśtu i możemy wydobyć również twoją część kruszcu. To będzie zaledwie odrobina wysiłku więcej dla każdego z nas, ale twoje życie jest cenne, naszym obowiązkiem zaś jest chronić je na wszelkie sposoby.

— Nie. Tutaj wszyscy jesteśmy równi — odrzekł spokojnie, lecz zdecydowanie Walerian. — Będę wydobywał swoją część. To niesprawiedliwe, żebyście się dla mnie poświęcali.

Inni również zaofiarowali pomoc.

— Cezarze — powiedział Kwadratus — powinieneś oszczędzać siły na dzień, w którym zapłacą za ciebie okup. Odpowiadasz za imperium,

jestes ojcem narodu i musisz wrócić bez względu na koszty.

— Jestem teraz nikim, przyjaciele. Jedyne towarzyszem niedoli. Przykro mi, że muszę rozwiązać wasze nadzieje, ale gdyby mój syn rozpoczął rozmowy w sprawie wykupu, już byśmy to zauważyli. Wieści między władcami krążą o wiele szybciej, niż posuwa się karawana, która nas tu przywiodła. A teraz zabierzmy się do roboty. Czas, jaki nam pozostał, ledwie wystarczy na wykonanie dziennego zadania wyznaczonego nam przez strażników.

Ujął kilof i zaczął uderzać z mocą w skałę. Rozkruszone kawałki poleciały na wszystkie strony.

Wówczas Metellus, Kwadratus, Balbus i Antoninus również chwycili za kilofy i zabrali się do kopania. Pozostali zaś jęli zbierać kruszec, wkładać do koszy i zanosić je do głównego korytarza, gdzie znajdował się wyciąg. Jeden ze strażników zapisywał liczbę koszy wydobytych przez każdego górnika, po czym na jego znak wyciąg wyjeżdżał ze zgrzytem na górę.

W miarę jak praca posuwała się naprzód, korytarz jął wypełniać miazgi pyłu, który osiadał na górnikach przemieniając ich w białe zjawy, zatykał płuca, palił w oczy. Trudności w oddychaniu sprawiały, że kończyny stawały się jak z waty, upał zaś czynił wszelki wysiłek nieznośnym.

Dzień ciągnął się bez końca, kiedy zaś Metellus i jego kompani wyszli z powrotem na powierzchnię, ledwie trzymali się na nogach. Cuchnąca zupa wydała im się wybornym posiłkiem, spływająca zaś do gardeł woda balsamem.

— Wszystko jest względne — powiedział filozoficznie Uksal rozdzielając wodę. — W normalnych warunkach każdy porzygałby się na widok tej brei, ale po całym dniu piekła, jakie musieliście znosić, wcale tak źle nie smakuje, prawda?

— Masz rację, starcze — przytaknął Antoninus łykając zupę z zamkniętymi oczami.

— A teraz posłuchajcie uważnie: od jutra musicie osłaniać nos i usta mokrymi szmatami, bo inaczej niedługo nie będziecie mogli oddychać.

— Dlaczego to dla nas robisz? — zapytał Walerian przysuwając się bliżej. — Przecież ten, kto uczynił cię niewolnikiem, był Rzymianinem, powinieneś więc nas nienawidzić.

Uksal uśmiechnął się bezzębnyimi ustami. Najwyraźniej czuł się zaszczycony mogąc sobie swobodnie gawędzić z cesarzem Rzymian.

— Mój pan był nie tylko Rzymianinem, ale przede wszystkim łajdakiem, a tacy są wszędzie. A powód? Nie znam. Może dlatego, że wyglądacie i mówicie jak ludzie cywilizowani.

— My też mamy kopalnie, w których pracują niewolnicy dokładnie tak samo jak my teraz.

— Niewolnicy istnieją wszędzie i zawsze będą istnieć pod różnymi postaciami, ale kiedy podróżowałem po waszym świecie, widziałem także świątynie, place, biblioteki, fontanny i akwedukty, drogi jak w żadnym innym miejscu, termy z gorącymi i zimnymi łaźniami. Pewnego razu znalazłem się w mieście o nazwie Lambaesis, położonym w samym środku pustyni, pośrodku niczego. Mimo to była tam biblioteka pełna książek, targ wraz z niewolnikami, którzy pilnowali prawidłowego pomiaru wag i pojemności stągwi do odmierzania ilości wina i oliwy, a także fontanna zasilana wodą z akweduktu, która docierała setki tysięcy mil stąd... Podczas podróży zaś co wieczór zatrzymywałem się w miejscu, gdzie mogłem się najeść i wyspać w czystym łóżku i gdzie żołnierze strzegli mnie przed złodziejami, oszustami i zabójcami.

Walerian spoglądał nań ze wzruszeniem. Oto ten skromny podróżnik po jego imperium wspominał aspekty życia codziennego, na które on sam miał wpływ jako władca przez lata swego panowania.

— Twoje słowa sprawiły mi przyjemność — rzekł — chociaż nie są w pełni uzasadnione. Świat Persów znasz wyłącznie z tej piekielnej dziury. Może gdybyś miał okazję odwiedzić Persepolis, Pasargady, Babilonię, Suzę, opowiadałbyś o nich z zachwytem.

— Możliwe — zgodził się Uksal — ale człowiek ma takie a nie inne doświadczenia. Wiesz, zawsze marzyłem, żeby zostać obywatelem rzymskim. Możesz w to uwierzyć?

— Wierzę — odparł Walerian. — To nadal marzenie wielu ludzi. Ale o ile to jeszcze coś znaczy, nadal posiadam władzę, żeby spełnić twoje pragnienie. Nikt mnie nie pozbawił moich funkcji, toteż za człowieczeństwo, jakie okazałeś mnie i moim towarzyszom, ja, Licyniusz Walerian Cezar, ogłaszam cię obywatelem rzymskim.

Uksal rozejrzał się wokoło ze zdumieniem, po czym znów popatrzył na cesarza.

— Jestem obywatelem rzymskim. Nie do wiary. Gdyby mi to ktoś powiedział, nigdy bym nie uwierzył. A co to oznacza?

Wówczas wtrącił się Sergius Balbus:

— Cóż, po pierwsze możesz głosować i wybierać urzędników sądowych, następnie zaś przekazać spadek i obywatelstwo swoim dzieciom. W razie procesu masz prawo do dwóch instancji sądowych, w razie skazania na karę śmierci masz prawo umrzeć szybko, przez ścięcie głowy...

— Hm... Obawiam się, że nie będę mógł się cieszyć tymi wszystkimi przywilejami, ale i tak jestem zadowolony. Dziękuję ci, cesarzu.

Uśmiechnąwszy się, Walerian podszedł do wiadra po swoją porcję zupy.

— Teraz, skoro jesteśmy rodakami — zaczął Kwadratus przysuwając się do Uksala — powiedz mi jedno, starcze: czy nikt nigdy nie pomyślał, żeby posłużyć się narzędziami do pracy i pozabijać dozorców i strażników?

— Sądzę, że tak — odparł Uksal. — Ale nikt nigdy nie próbował, przynajmniej odkąd ja tu jestem.

— A to dlaczego, jeśli wolno zapytać?

— Bo po miesiącu przebywania w kopalni człowiek ledwie ma siłę wygramolić się z tej dziury wieczorem i doczołgać do swojego barłogu ze zgniłej słomy, a co dopiero porwać się na walkę z ludźmi dobrze odkarmionymi, w pełni uzbrojonymi i dziesięciokrotnie liczniejszymi.

— Rozumiem — burknął Kwadratus.

— Doskonale. A teraz kładźcie się, bo zaraz przyjdzie strażnik i nas skuje.

Gdy rozległ się szcęk rygli, Uksal dał wszystkim znak, by zamilkli i się położyli. Wówczas wszedł strażnik i przeciągnął łańcuch

przez pierścienie, które mieli przy kostkach, z wyjątkiem tego na nodze Uksala, po czym zapiawszy łańcuch na kłódkę, wyszedł zamykając za sobą drzwi.

— Tym razem cię nie skuł. Dlaczego? — zdziwił się Antoninus.

— Czasami to robią, czasami nie — odrzekł Uksal. — I tak wiedzą, że nie będę próbował. Oni czują, kiedy ktoś się poddaje. A zresztą dokąd miałbym pójść? Nie zdążyłbym ująć pół mili, a już by mnie złapali, a ja nie zamierzam skończyć wbity na pal.

Wkrótce wszyscy zasnęli albo przynajmniej sprawiali takie wrażenie, Metellus długo wszakże leżał z otwartymi oczami rozmyślając o Klelii i swym synku Tytusie, za którymi tęsknił z każdym dniem coraz mocniej. Nigdy dotąd nie znalazł się w tak rozpaczliwym położeniu, toteż po raz pierwszy przyszło mu do głowy, jak bardzo los może pogmatwać ludzkie życie. Pamiętał, że tamtego poranka, gdy wraz z cesarzem udał się na spotkanie z Szapurem, ogarnęło go coś jakby przecucie niebezpieczeństwa, nie wyobrażał sobie jednak nawet, że jego życie ulegnie tak diametralnej zmianie, że może dobiec kresu w szybkiej kopalni, w ciemnym kącie, gdzie nikt go nie znajdzie.

A jednak mimo ogromnego przygnębienia, jakie go ogarnęło, usiłował się zastanowić: skoro los wywołał tak głębokie zmiany w jego życiu, równie dobrze z jakichś innych, chwilowo niewyobrażalnych powodów mógł znów odwrócić bieg wydarzeń. Najważniejsze było to, aby pozostali przy życiu i chronili osobę cesarza.

Spojrząwszy w górę, dostrzegł przez szparę w drewnianym stropie gwiazdę. Świeciła mocnym drżącym blaskiem, on zaś starał się odgadnąć, do jakiej konstelacji należy. Usiłował zająć czymś umysł, nie pogrążyć się w rozpacz. Próbował wyobrazić sobie wszelkie możliwe drogi ucieczki, nie zważając na to, co powiedział Uksal. Wróg odebrał mu wprawdzie wolność, ale nie spryt, nie wolę, nie zdolność myślenia. Były to jeszcze nietknięte zasoby, które w razie potrzeby mogły się wyostrzyć w najwyższym stopniu. Stanowiły ciągle jeszcze potężną broń, którą powinien zataić przed strażnikami, aby móc ją w

pełni i jak najlepiej wykorzystać, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Przez wiele lat ćwiczone go w walce, w wytrzymałości na zmęczenie, ból i niewygody, lecz próba, jakiej miał zostać teraz poddany, była gorsza od najcięższej bitwy, od najbardziej wyczerpującego marszu, od najboleśniejszej rany. Poprosiwszy zatem w głębi serca swych przodków, aby pomogli mu przetrwać ową otchłań upodlenia, poddał się w końcu wyczerpaniu i zmęczeniu, pograżając się w strasznym stanie: w pół jawie, pół śnie, w pół życiu, pół śmierci.

5

Mijały miesiące, a każdy składał się z jednakowych dni przepętnionych nadludzkim wysiłkiem, wyrzeczeniami i upokorzeniami. Mijały kolejne pory roku. Jesień, zima, słońce schodzące coraz niżej, następnie wznoszące się wysoko, chaty, które najpierw stawały się lodowate, potem zaś gorące i rozpalone albo duszne za dnia, a nocą wypełnione przejmującym chłodem. I potem znów zachody słońca i burzowy piasek, który wciskał się w każdą szczelinę pokrywając wszystko szarym pyłem — ludzi i przedmioty.

Pierwszy zmarł chrześcijanin Emilian, pewnej nocy późną jesienią. Nie zabiła go ciężka praca, którą wytrzymywał, lecz uwięzienie, ciemność, razy i bezustanne kary, wymierzane przez jednego z dozorców, który zawziął się nań bez żadnego wyraźnego powodu. W końcu legionista nie mógł też znieść upokorzenia. Przestał jeść i z dnia na dzień gaś w oczach.

Jego żydowski bóg nie był w stanie go uwolnić ani ocalić mu życia. Dla Metellusa i jego kompanów było rzeczą oczywistą, że bogowie nie przejmują się ludzkimi sprawami. Ale nie dla Emiliana. On żywił bowiem przekonanie, że jest osobiście kochany przez swego boga, który zgodził się znieść męki pod prokuratorem Poncjuszem Piłatem dwieście trzydzieści lat wcześniej, aby odkupić grzechy całej ludzkości. Uważał, że po śmierci istnieje inne życie, w którym jego

bóg wszystko mu wynagrodzi. Oby tak było, pomyślał Metellus zamykając mu oczy.

— Śpij, żołnierzu — powiedział. — Twoje męki się skończyły. Dokądkolwiek pójdziesz, zabierz ze sobą część naszych serc, które do ciebie należą.

Po czym zwrócił się do Uksala:

— Chciałbym cię prosić o przysługę.

— Nie jestem w stanie zrobić zbyt wiele, ale mów.

— Zapytałbyś dowódcę strażników, czy możemy go pochować? O ile wiem, chrześcijanie chcą być pochowani.

— Zapomnijcie o tym. Persowie wierzą, że umarli zakażają ziemię, która jest święta. Dlatego umieszczają ich na szczytach wież jak ta, którą widać tam, na wzgórzu. Nazywają je „wieżami milczenia”. Ciała zostają pożarte przez sępy, kości zaś rozkładają się powoli na słońcu, mrozie, deszczu i śniegu. Być może mają rację. Moim zdaniem to lepsze, niż zakopywać ludzi pod ziemią. Tak czy inaczej nie macie wyboru. Wrzucicie go do przepaści razem z innymi. To nie zrobi dużej różnicy.

— Oczywiście, że zrobi — odrzekł Metellus. — Oczywiście, że zrobi. Każdy mój żołnierz po śmierci otrzymuje honory żałobne od ustawionych w szyku oddziałów.

— Ty uparty Rzymianinie — burknął Uksal — nie widzisz, co z was zostało? Potrafisz sobie wyobrazić, jak wyglądasz? Chciałbym mieć zwierciadło, żebyś mógł się zobaczyć. Wyglądasz jak wrak człowieka, jak...

— Nie potrzebuję zwierciadeł — wpał mu w słowo Metellus. — Przeglądałem się w oczach moich żołnierzy, w ich twarzach i ranach, przeglądałem się w całkowitym upokorzeniu mojego cesarza.

Zrobiwszy z dwóch akacjowych kijków i długich prętów powiązane nosze, dał znak swym ludziom, by położyli na nich ciało Emiliana.

Kiedy zaś szykowali się do wyjścia, powstrzymał ich Uksal.

— Zaczekajcie, do licha. Chcecie dać się zabić? Pozwólcie mi chociaż uprzedzić dozorcę, że zamierzacie odprowadzić waszego przyjaciela do przepaści.

Metellus kazał żołnierzom stanąć. Uksal wrócił po chwili.

— Dobrze, ale dopiero gdy się ściemni. Nie idźcie w szeregu, tylko rozproszeni. Nie pokazujcie żadnych śladów dyscypliny, ciała zaś nie nieście na ramionach, tylko trzymając nosze w dłoniach. A twój dowódca niech zostanie tutaj. Lepiej, żeby nie szedł.

— Zgoda — rzekł Metellus rzucając porozumiewawcze spojrzenie Walerianowi.

Odczekawszy, aż słońce znajdzie się nisko nad ziemią, wyszli niosąc ciało swego towarzysza. Przemierzyli plac odprowadzani nieuwważnym wzrokiem przez strażników, którzy spożywali na uboczu wieczerzę, ledwie jednak oddalili się na dostateczną odległość, Metellus rozkazał żołnierzom podnieść ciało Emiliana na ramiona, pozostającym zaś iść za prymitywnymi marami równym krokiem, w dwuszeregu. Dotarłszy nad krawędź przepaści, położyli je na ziemi.

— Czy ktoś zna chrześcijańskie modlitwy? — zapytał Metellus.

— Ja — odezwał się Sewer.

— Też jesteś chrześcijaninem?

— Nie. Ale byłem.

— Wobec tego zmów modlitwę, a my posłuchamy. Sewer spuścił głowę i zaczął:

— *Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen tuum...* Kiedy zaś skończył, Metellus również zmówił modlitwę:

— Boże chrześcijan, przyjmij tego walecznego żołnierza, rozweśl jego wzrok światłem, bo ciemność go zabiła i zadawałaby mu znów śmierć po wszystkie czasy. — Po czym zwracając się do swego martwego żołnierza rzekł: — Zostaniesz pochowany tak, jak na to zasłużyłeś.

Rozejrzawszy się wokół, by upewnić się, czy nikt ich nie widzi, wziął garść ziemi i przysypał nią zwłoki Emiliana grzebiąc je zgodnie z rytuałem.

— *Sit tibi tetra levis, Aemili...* — szepnął.

W tej samej chwili przez głowę przemknął mu obraz własnej dłoni posypującej ziemią woskową twarz Klelii, jego oczy zaś napełniły się łzami, których nie potrafił powstrzymać.

Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Kiedy dał znak swym żołnierzom, przechyliłi nosze ku przepaści wrzucając ciało do środka. Uderzywszy o nierówności skalnej ściany niczym bezwładna kukła, zwłoki spadły na dno z głuchym plaśnięciem.

Gdy popatrzyli po sobie, każdy w zaczerwienionych i zmęczonych oczach towarzyszy ujrzał to samo nieme pytanie: kto następny zostanie zepchnięty do przepaści?

Kiedy wracali w milczeniu do obozu, Metellus podszedł do Sewera. Mężczyzna miał trzydzieści pięć lat, z czego piętnaście służył w legionie, wszystkie zwieńczone honorowym wyróżnieniem.

— Naprawdę byłeś chrześcijaninem? — zapytał.

— Tak.

— Więc dlaczego już nie jesteś?

— Bo myślę, że chrześcijanie zmieniają nas do tego stopnia, że tracimy zdolność do obrony i walki.

— Według ciebie nie można być jednocześnie dobrym wojownikiem i chrześcijaninem?

— W teorii tak. W praktyce nie. Sądzę, że każdy z nas chciałby odłożyć broń, ale kto zrobi to pierwszy? W moich stronach powiadają, że kto stanie się owcą, zostanie pożarty przez wilka.

— W moich też — przytaknął Metellus.

— Poza tym chrześcijaninowi nie wolno pragnąć zemsty. Powinien wybaczać własnym wrogom. Wyobrażasz to sobie? Jak myślisz, wodzu, co mnie trzyma przy życiu? Z każdą godziną chowam urazę, lecz mam nadzieję, że pewnego dnia dostanę w swoje ręce choć na chwilę jednego z dozorców.

— Wystarczy, żołnierzu. Cokolwiek trzyma cię przy życiu, jest dobre. Chwyć się tego mocno pazurami. Jeśli będziemy dostatecznie twardzi, dostatecznie zuchwali i dostatecznie cierpliwi, doczekamy się tej chwili. My, Rzymianie, mamy siłę, której świat nam zazdrości, siłę, która pozwoliła nam zwyciężyć wszystkie narody, z jakimi przyszło nam walczyć. Siła ta nosi nazwę *virtus*. Można nas pokonać tylko wtedy, gdy o niej zapomnimy.

Maszerowali tak długo, aż dotarli do obozu. Strażnicy z konnego patrolu nocnego już objeżdżali okolicę. Sewer naraz przystanął.

— Wodzu — powiedział.

— Tak?

— Uratujemy się?

— Minął już rok, odkąd tu jesteśmy, a większość z nas nadal żyje. Moim zdaniem to niezwykle. Myślę... Tak... Myślę, że może nam się udać.

— Chcesz przez to powiedzieć, że zapłacą za nas okup?

Metellus spojrział mu w oczy.

— Obawiam się, że nie, żołnierzu. Obawiam się, że upłynęło zbyt dużo czasu. Gdyby to zrobili, już bylibyśmy wolni. Musimy liczyć tylko na siebie.

Tymczasem dołączyli do nich pozostali.

— Czy to znaczy, że masz plan, wodzu?

Chociaż Metellus nie zamierzał okłamywać swych żołnierzy, którzy ślepo mu ufali, odrzekł stanowczym głosem:

— Tak, mam pewien plan.

Gdy dotarli do chaty, usłyszeli rżenie. Leżący na słomie cesarz oddychał z trudem, wstrząsany dreszczami.

— Marcjanusie! — zawołał Metellus.

Marcjanus podszedł bliżej i ukląkł obok cesarza. Nie był wprawdzie medykiem, przez wiele lat służył wszakże w infirmerii. Dotknąwszy czoła cesarza, rzekł:

— Gorące.

— To widać — zauważył z niepokojem Metellus.

— To z powodu różnicy ciepła. Za dnia panuje potworny upał, a w nocy jest zimno. Człowiek wychodzi z kopalni mokry od potu, ledwie zaś znajdzie się na powierzchni, wiatr znad płaskowyżu przejmuje go do szpiku kości.

— Więc co możemy zrobić?

— Trzeba by go okryć wełnianymi derkami, podać gorące napoje i wykadzić wszystko.

— Nie martwcie się o mnie — powiedział Walerian otwierając oczy. — Śmierć będzie dla mnie jedynie wyzwoleniem. Nie róbcie nic, żeby uratować mi życie; w ten sposób tylko przedłużycie moje konanie.

— Niestety, cesarze, nie możemy nic zrobić — odparł Metellus — ale gdybyśmy mogli, uczynilibyśmy to, bo mocno w ciebie wierzymy.

Marcjanus otarł mu czoło, podał odrobinę wody do picia, po czym przytknął ucho do jego piersi i posłuchał przez chwilę, jak z trudem oddycha.

— Spróbuj zasnąć, cesarze — powiedział, po czym zwrócił się do kompanów: — Jeśli każdy z was da mi trochę słomy ze swojego posłania, przykryję go i ogrzeję.

Pozostali zabrali się do zbierania słomy, by okryć ciało cesarza, Uksał powstrzymał ich wszakże gestem dłoni. Potem wyjrzał przez szparę w drzwiach.

— Za chwilę przyjdą zakuć nas w łańcuchy — oznajmił. — Jeśli mnie nie skują, może uda mi się znaleźć derkę. To niebezpieczne, ale próbuję.

Kiedy zerwał się zimny wiatr, gwizdząc między deskami, mężczyźni usiłowali otulić się lepiej łachmanami, aby się przed nim osłonić.

Wkrótce zjawił się dozorca, który przełożył łańcuch przez pierścienie na kostkach więźniów, pomijając wszakże Uksala. Strażnicy uważali starca za swego sprzymierzeńca, toteż zostawiali mu odrobinę swobody ruchów. Gdy dozorca sobie poszedł, Uksał odczekał, aż się ściemni, po czym sam opuścił chatę. Wrócił po chwili niosąc owczą skórę.

— Proszę — powiedział. — Pod tym będzie mu w miarę ciepło.

— Dziękuję — odrzekł Metellus. — Nie zapomnę ci tego.

Tymczasem wiatr przybrał na sile, mężczyźni przysunęli się więc do siebie z głośnym brzękiem łańcuchów, aby ogrzać się nawzajem.

Metellus, który był najbliżej cesarza, co chwila dotykał mu dłonią czoła. Czując, jak okryty owczą skórą Walerian trzęsie się z zimna i szczęka zębami, cierpiał w duchu, nie był bowiem w stanie ulżyć jego mękom.

— W tym roku zapowiada się bardzo sroga zima — przemówił do Uksala. — Czy znajdzie się jakiś sposób, żeby ochronić się przed zimnem?

— Czasami rozdają derki albo owcze skóry, ale nie umiem powiedzieć, jak to będzie w waszym wypadku. Nie wiem, jak kazano im was traktować.

— Czy to znaczy, że pozwolą nam umrzeć z zimna w tej norze?

— Nie mogę tego wykluczyć — westchnął Uksal.

Metellus jął rozmyślać o swym dalekim domu, o dniach, kiedy spał obok Klelii, o ciepłe jej ciała i zapachu włosów; na wspomnienie zaś, jak otulał synka, który spał w izbie obok, chroniony przez wiszący na ścianie mały złoty amulet, serce mu się ścisnęło. Poczuł, że brak mu sił, że przygnębienie może wziąć górę i odebrać mu chęci, by walczyć i iść naprzód. Nagle z zadumy wyrwał go głos Sewera.

— Wodzu, powiedziałeś, że masz plan. Czy to prawda? Wydostaniesz nas z tej dziury?

— Daj mu spokój — zbeształ go Balbus. — Z cesarzem jest źle.

— Teraz musimy się postarać go wyleczyć — odrzekł Metellus. — Może Uksal zdoła wytargować dla niego bardziej ludzkie traktowanie. Ale gdy nadejdzie czas... Tak, wydostanę was stąd.

— Obiecałeś — przyświadczył Rufus.

— Tak — zgodził się Metellus. — Tak, obiecałem. Ale teraz musimy się zająć cesarzem. Nie odejdziemy bez niego.

Wszyscy umilkli, ostatnie słowa ich dowódcy przeczyły bowiem w pewnym stopniu poprzednim, sprawiając, że obietnica stała się zbędna bądź nie do dotrzymania. Jak można uciekać z człowiekiem w takim stanie?

Wypalony gorączką Walerian bredził w malignie zdania bez związku, chwilami zaś tracił zmysły.

Kiedy nastał świt, Metellus przemówił do Uksala.

— Ten człowiek nie jest w stanie pracować. Nie może ustać na nogach.

— Wiem — odparł starzec.

— Myślisz, że pozwolą mu leżeć?

— Mnie o to pytasz? Nigdy mnie coś takiego nie spotkało.

— Pomóż mi. Porozmawiaj z dozorcą.

— Spróbuję. Ale nie mamy nic, czym moglibyśmy go przekupić. Tylko coś, o co zamierzamy poprosić. Dlaczego miałby się zgodzić?

— Nie wiem dlaczego, do licha! Ale mimo wszystko spróbuj, dobrze? Spróbuj, niech cię piorun! — wrzasnął Metellus.

Uksał mruknął coś pod nosem, po czym rzekł:

— Nie musisz podnosić głosu. W ten sposób niewiele osiągniesz. Mam tylko nadzieję, że zanim ten psi syn otworzy kłódkę, wpadnie mi jakiś pomysł do głowy.

Wstał, podszedł do cesarza i długo mu się przyglądał. Walerian miał poszarzałą twarz, czarne kręgi pod wpadniętymi oczami, na ciele zaś pełno sińców, brudne, pozlepiane od kurzu i potu włosy. Westchnął.

W tej samej chwili odemknęły się skrzypiące drzwi i wszedł strażnik. Krzyknąwszy coś w swoim języku, otworzył kłódkę i zabrał się do wyciągania łańcucha z pierścieni. Gdy Uksał wymruczał parę słów po persku, tamten tylko wzruszył ramionami. Uksał nalegał opanowanym, niemal chłodnym tonem, jakby coś objaśniał.

Mężczyzna odpowiedział warknięciem, po czym przysunął się do Waleriana, zerknął nań z ukosa i z powrotem spojrzął na Uksała burcząc pod nosem.

Gdy Metellus popatrzył na niego pytającym wzrokiem, starzec skinął potakująco głową.

Wkrótce znaleźli się przed wejściem do kopalni. Walerian pozostał w chacie leżąc na pościeli ze słomy.

— Co mu powiedziałaś? — zapytał Metellus.

— Powiedziałem, że jeśli zmusi Waleriana do pracy w kopalni, będzie odpowiedzialny za jego śmierć, duch zmarłego cesarza zaś staje się żądny zemsty i bardzo niebezpieczny. I że zada mu najohydniejszą śmierć w oczach Persów: pogrzebie go żywcem pod osuwiskiem w kopalni.

— I on w to uwierzył?

— Może nie. Ale po co się narażać? W gruncie rzeczy to go nic nie kosztuje, ja zaś przyrzekłem, że wieczorem dostarczymy taki sam urobek jak zawsze.

— Jestem ci bardzo wdzięczny. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia zdołam ci się odplacić za to, co dla nas robisz.

— Nie zrobiłem nic wielkiego, ale podoba mi się sama myśl, że mogę wyświadczać przysługi cesarzowi. To się nie zdarza często i nie każdemu.

— W samej rzeczy nie — zgodził się Metellus.

Balbus i Kwadratus zadbali o to, aby wieczorem ilość wydobytego kruszcu była taka sama jak zwykle, jakość zaś jeszcze lepsza. Pracowali bez wytchnienia, żeby przy ważeniu nie mieli kłopotów i żeby mogli jak najprędzej wrócić do chaty. Metellus cały czas był myślami przy cesarzu, który leżał sam, w gorączce, w tej walącej się ruderze. A także przy swoim synku. Usiłował wyobrazić sobie, gdzie on się teraz znajduje, jak jest odziany, kto mu towarzyszy. Zastanawiał się, czy on również go wspomina i jest przekonany, że nie żyje. Już sama ta myśl sprawiała mu niewysłowioną mękę.

Najgorsze do zniesienia były ostatnie godziny, kiedy to obolałe od pracy i skurczów mięśnie odmawiały posłuszeństwa, każdy zaś ruch kosztował go ogromny wysiłek.

Gdy nadeszła pora wynurzyć się na powierzchnię, Metellus i jego żołnierze asystowali przy ważeniu kruszcu, który okazał się najlepszej jakości, jego ilość zaś znacznie przekroczyła ustaloną normę. Nikt się zatem nie sprzeciwił, by wrócili do chaty, z ich słów zaś Uksał wynioskował, że zarządcy kopalni byli bardzo zadowoleni. Wówczas zaświtała mu nadzieja, że jego przyjaciele zdołają tu jednak przeżyć.

— Wasz wynik to przypadek czy celowe działanie? — zagadnął Metellusa.

— O czym mówisz?

— Chyba mi nie powiesz, że zdobyliście się na taki wysiłek jedynie po to, by przypodobać się prześladowcom.

— Nie. Staram się im tylko pokazać, że warto nas utrzymywać przy życiu, ponieważ przynosimy im większy zysk niż inni.

— Pomysł prosty, ale skuteczny. W rzeczywistości to jedyny powód, dla którego powinni was utrzymywać przy życiu. Zastanawiam się tylko, jak długo dacie radę pracować w takim tempie.

— Może przyjdzie im do głowy, żeby nas lepiej karmić.

— Zapomnijcie o tym — odrzekł Uksał.

Tym razem wszakże starzec się mylił, tego wieczoru bowiem posiłek wydał się lepszy i bardziej obfity. Oprócz zupy po raz pierwszy dostali również chleb.

Metellus usiłował nakarmić Waleriana, lecz mu się nie udało. Stan zdrowia cesarza jeszcze bardziej się pogorszył. Był zlany zimnym potem z powodu ogromnego wysiłku, jaki sprawiało mu oddychanie, serce biło mu szybciej, cały zaś organizm wydawał się ogarnięty znużeniem nie do pokonania.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Metellus Marcjanusa.

Tamten pokręcił głową w zamyśleniu.

— Może przeżyje jeszcze kilka dni, ale równie dobrze może nie przetrwać nawet nocy...

— Wiesz co? — przerwał mu nagle Uksal. — Wpadło mi coś do głowy. Coś w rodzaju olśnienia.

— O czym ty mówisz? — zapytał Metellus.

— Pamiętasz, jak oglądałeś przepaść, do której wrzucamy umarłych?

— Ledwie ją widziałem.

— Dobrze. Otóż ta przepaść to koryto rzeki, które prawie przez cały rok jest wyschnięte. Nie wiem, skąd ta rzeka płynie, ale sądzę, że z gór. Teraz, kiedy w górach pada, albo kiedy pod koniec zimy na szczytach topnieje śnieg, koryto może zalać woda. Na kilka dni, a niekiedy zdarza się, że zaledwie na kilka godzin, ten wyschnięty wąwóz zamienia się w rwący, spieniony i bystry potok, który płynie z szumem po leżących na dnie głazach, między skalnymi ścianami. Zabiera ze sobą wszystko, co spotka na swej drodze. Kiedy woda przestaje płynąć, pozostaje czyste dno: nie ma żadnych zwłok, które gniją na słońcu, nie ma kości ani trupich czaszek, które śmieją się w twarz otwartymi szczękami.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz — powiedział Kwadratus wybuchając śmiechem.

— Do niczego — odparł Uksal. — Po prostu podczas jednej z takich powodzi coś mi się przytrafiło tam, w kopalni, i zastanawiałem się, czy...

— Bogowie! — przerwał mu Metellus. — Cesarz zaniemógł.

Oddech Waleriana zamienił się w przedśmiertne rżenie. Z unoszącej się kościstej klatki piersiowej sterczały żebra i mostek. Chory miał szkliste oczy i wyglądał, jakby stracił przytomność.

Zbliżywszy się doń tak blisko, jak tylko pozwalał na to łańcuch, Metellus zdał sobie sprawę, że cesarz stara się mu coś powiedzieć.

— Jestem tutaj, cesarze — rzekł biorąc go za rękę.

— Musisz wrócić, Marku Metellusie... Musisz wrócić...

— Ale nie bez ciebie.

— Nie, dobrze wiesz, że to już koniec. Rodzony syn mnie opuścił...

— Nie mów tak... Nie możemy tego wiedzieć na pewno... I nie poddawaj się, musisz walczyć. Pomożemy ci.

— Brak mi tchu, synu...

Metellus drgnął na dźwięk określenia, którym przez te wszystkie lata cesarz nigdy go nie nazwał. Pojął więc, że słowa, które za chwilę usłyszy, będą słowami prawdy, bez litościwych kłamstw.

— Posłuchaj mnie... — ciągnął Walerian. — Galien nie ma dość sił, by rządzić w pojedynkę. Ulegnie wpływom chrześcijan, nie zdoła utrzymać w ryzach dowódców wojskowych... Musisz wrócić i ocalić imperium przed rozpadem. Obiecuj mi to... Obiecuj to człowiekowi, który umiera.

— Obiecuję. Zrobię wszystko, aby wykonać twoje rozkazy...

— Wrzuć moje ciało do przepaści i nie myśl o niczym. Deszcz mnie umyje, a wiatr pogrzebie... — Z oczu popłynęły mu łzy po zapadłych policzkach. — To moja wina — dodał z ogromnym wysiłkiem. — Powinienem był wiedzieć. Ale serce ojca jest ślepe, rozumiesz?

— Nie zadręczaj się, cesarze. Wkrótce twoje męki się skończą. Przodkowie są gotowi przyjąć cię do siebie. Uwolnij swą duszę od trosk, wznieś ją na wyżyny. Wkrótce staniesz się bogiem, my zaś będziemy w ojczyźnie, pod niebem Italii, składać ofiary twemu cieniowi. Przynrzekam.

Przez chwilę dał się słyszeć jedynie świst wiatru wiejącego przez szpary w dachu, po czym nawet wiatr ucichł. I nagle w tej nierzeczywistej ciszy

rozległ się głos Marka Metellusa Akwili:

— Cesarz nie żyje.

6

Jeszcze przed świtem Uksal opuścił chatę i poszedł naradzić się z dowódcą strażników.

— Ich cesarz nie żyje — oznajmił.

— Kiedy umarł?

— Dziś w nocy.

— Na co?

— Z wycieńczenia. A niby z czego? Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zaraz odprowadzą go do przepaści.

— Zgoda. Ale przypomnij im, jakie są zasady.

— Znają je doskonale. Przecież nie są głupi. Przyślij kogoś, żeby otworzył kłódkę. Chcą wrócić na czas, kiedy zaczyna się praca. Teraz muszą kopać też za tych dwóch, których brakuje.

— Jak widzę, do tej pory świetnie dawali sobie radę.

— A wiesz, jak im się to udaje? Są doskonale zorganizowani: każdy wykonuje tę część pracy, do której najlepiej się nadaje ze względu na budowę ciała lub na posiadane zdolności. Dzięki temu nie ma przestojów. Gdyby cała kopalnia była zorganizowana w ten sposób, wydobyć by się podwoiło.

— To ciekawe. Może mógłbym zamienić parę słów z tym Rzymianinem.

— Jeśli chcesz, przyprowadzę go do ciebie wieczorem.

— Sam ci powiem, kiedy zechcę się z nim widzieć.

— Oczywiście, mój najszlachetniejszy panie.

— A teraz precz mi z oczu, psie.

Uksal powrócił do chaty w towarzystwie dozorczy, który otworzył kłódkę uwalniając więźniów.

Metellus i jego żołnierze ułożyli ciało Waleriana na noszach, z których korzystali już przy pochówku Emiliana. Niebo nadal było usiane gwiazdami i jedynie na wschodzie, nad wierzchołkami gór, widniała

delikatna różowa poświata. Ruszyli w milczeniu piaszczystą ścieżką prowadzącą do przepaści, przed nimi zaś kroczył Uksal oświetlając drogę lampa oliwną. Tymczasem znów zaczął wiać lodowaty chłostzący wiatr, ciągnąc za sobą z płaskowyżu suche krzaki szarlatu poszukujące bardziej gościnnych miejsc, gdzie mogłyby zapaść korzenie.

Po chwili ścieżka jąła schodzić ku przepaści, znajdujący się zaś za ich plecami obóz zniknął im z oczu. Wówczas Metellus rozkazał żołnierzom, by postawili nosze na ramionach i maszerowali równym krokiem, tak jakby byli odziani w czerwone płaszcze legionów i jakby mieli przed sobą orla.

Gdy dotarli na krawędź przepaści, Metellus polecił im położyć ciało na ziemi, po czym dał znak Balbusowi, Kwadratusowi i Publiuszowi, aby pomogli mu wyrwać parę suchych pniaków tamaryszku i ułożyć w stos. Wkrótce dołączyli do nich pozostali, podczas gdy Uksal na próżno usiłował ich powstrzymać.

— Co wy wyprawiacie? Oszaleliście?

— Nie martw się, starcze. Nikt nie zauważy. Wiatr przybiera na sile i wieje z północy. Zabierze ze sobą dym i zapachy.

— Ale po co? Jaki jest sens narażać życie?

— Cesarz Rzymian musi zostać pochowany z należnymi mu honorami żałobnymi, bo inaczej bogowie nie przyjmą go do siebie. Jego prochy muszą być wyspane do urny.

— Prochy to prochy! — krzyknął Uksal. — Jesteście szaleni... szaleni... Chyba nie wierzycie w te bzdury?

— Zaraz się przekonasz — odrzekł Metellus.

Gdy stos był gotowy, powkładali między pnie długie pędy, które miały podsycać płomień. Przygotowali rodzaj prymitywnego ustrium.

— Podaj mi lampę — polecił Metellus.

— Ani myślę.

— Albo mi ją oddasz, albo cię wrzucę do przepaści.

— Naprawdę byłbyś zdolny to zrobić? — zapytał osłupiały Uksal.

— Nie zastanawiałbym się ani chwili. Lampa — powtórzył stanowczo, wyciągając rękę.

Uksał oddał mu lampę kręcąc głową z niedowierzaniem.

Wyciągnąwszy korek, Metellus wylał na pędy roślin olej skalny, po czym przytknął do nich płonący knot. Stos natychmiast zajął się ogniem, który podsyczał dodatkowo silny wiatr z płaskowyżu.

— Żołnierze — rozkazał Metellus — uformować szyk!

Obaj centurioni ustawili legionistów w dwóch szeregach z prawej i lewej strony stosu.

Tymczasem Metellus powiedział akcentując dobitnie każde słowo:

— Cześć Licyniuszowi Walerianowi Augustowi, cesarzowi Rzymian!

Mężczyźni podnieśli ręce, jakby trzymali w nich oszczepy legionu, i krzyknęli:

— Cześć!

Uksał pokręcił głową ze zdumieniem. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Właśnie teraz, gdy wszystko zdawało się układać jak najlepiej, gdy dzięki jego zręcznym zabiegom cała grupa miała uzyskać korzyści, a może nawet drobne przywileje, ta głupia i niepotrzebna ceremonia mogła wszystko zepsuć.

— Odchodzę — oświadczył. — Nie chcę być wmieszany w to szaleństwo. Nawet sobie nie wyobrażacie, co się może stać, jeśli was przyłapią.

— Możesz odejść — odparł Metellus. — My zostaniemy jeszcze trochę. Dołączymy do ciebie później.

Uksał zawrócił, dotarłszy zaś do końca obozu, usiłował zakraść się po cichu do chaty, jeden z dozorców wszakże go zauważył.

— A gdzie reszta? — zapytał.

— Reszta? Właśnie nadchodzą. Przystanąli, żeby odmówić te swoje zaklęcia i modlitwy. Wiesz, Rzymianie mają mnóstwo religii, toteż każdy modli się po swojemu. Zaraz tu będą.

Tymczasem nad wierzchołkami gór wstało słońce, wiatr zaś zmienił kierunek przynosząc do obozu zapach spalenizny.

— Ależ to jest... — zaczął zaniepokojony dozorca.

— Ognisko straży. Dziś rano jest zimno — rzekł Uksal starając się odwrócić jego uwagę. Dozorca odepchnął go jednak mocno, powalając na ziemię, po czym pobiegł ku przepaści. Uksal zaś nie mogąc go powstrzymać, ruszył za nim krzycząc: — Dokąd pędzisz? Tam nic nie ma. Stój!

Gdy dozorca dotarł na miejsce, ogień już przygasał, popiół zaś leżał ułożony w kształt okręgu.

— Co tu robicie? — zawołał.

— Zapytał, co robicie — przetłumaczył Uksal podchodząc do nich zdyszany.

— Ogrzewamy się — odparł Metellus. — Zaraz wracamy.

Dozorca rozejrzał się wokoło, lecz po wyrazie ich twarzy domyślił się, że mają coś do ukrycia. Przeszukawszy czubkiem miecza popiół, znalazł kawałek na wpół zwęglonej materii, do której przylegało coś, czego nie dało się rozpoznać.

— Spaliliście trupa! — wrzasnął. — Sprofanowaliście ogień, przekłęci! — Po czym odwracając się twarzą w kierunku obozu zawołał: — Prędko! Prędko! Świętokradztwo!

Metellus rzucił się na niego chcąc mu zamknąć usta, po czym obaj potoczyli się na skraj przepaści.

— Nie! Co robisz? — krzyknął Uksal, tymczasem jednak pozostali strażnicy, słysząc wołanie kompana, nadbiegli i otoczyli ich wszystkich. Metellus puścił swego przeciwnika i wstał dysząc ciężko.

— On nie ma z tym nic wspólnego — oznajmił wskazując na Uksala. — To wyłącznie nasza wina.

— Powiedział, że nie mam z tym nic wspólnego — przetłumaczył starzec.

Natychmiast skuto im ręce i nogi, po czym zawleczono do obozu.

— Coście najlepszego zrobili? — lamentował Uksal.

— Przecież was uprzedzałem, uprzedzałem was. Teraz już nikt i nic nie zdoła was ocalić.

— Przestań krakać, starcze — uciszył go Kwadratus.

— Skoro musimy umrzeć, umrzemy i wreszcie skończy się to okropieństwo.

— Sam nie wiesz, co mówisz — odparł Uksal. — Nie wiesz, co mówisz.

Włos mu się jeżył na samą myśl o mękach, jakie będą musieli znośić.

Dowódca strażników podchodził kolejno do każdego więźnia bacznie im się przyglądając. Gdy stanął przed Metellusem, patrzył mu prosto w oczy przez kilka chwil i już miał go minąć, lecz nagle odwrócił się i rąbnął go kijem w żołądek, aż tamten z bólu zgiął się wpół. Zanim Marek zdążył się wyprostować, uderzył go w kark przewracając na ziemię.

Otworzywszy oczy, Metellus ujrzał przed sobą jakiś nieokreślony kształt, jakby płonąca kulę. Ledwie odzyskał ostrość widzenia, uzmysłowił sobie, że to rozżarzone żelazo do piętnowania i że zaraz wypała mu nim oczy. Zamierzali go oślepić.

W jednej chwili świadomość czekającej go potworności obudziła drzemiące w nim resztki sił wyzwalając całą energię, jaka mu pozostała. Był pewien, że wkrótce otrzyma wszystko albo nic. Wrzasnąwszy ile sił w płucach, chwycił gołymi rękami rozżarzone żelazo wyrывая je strażnikowi, który wcale się tego nie spodziewał, następnie obrócił je w powietrzu i wepchnął do ust krzyczącego przeciwnika.

Krzyk ustał, po czym rozległ się syk przypalanego mięsa. Zaraz potem żelazo spadło na głowę nieszczęśnika roztrzaskując mu czaszkę.

Tymczasem Balbus i Kwadratus rzucili się naprzód używając łańcuchów jako broni. Balbus potężnym ciosem pięści powalił na ziemię pierwszego Persa, który się nawinął, i nim tamten zdążył się otrząsnąć, okręcił mu łańcuch wokół szyi i go udusił. Kwadratus natomiast skoczył na dozorcę, który miał klucze, przewrócił go i przycisnął mu łańcuch do ust niczym końskie wędzidło. Powybijał wszystkie zęby i wyłamał szczękę. Wrzask tego biedaka przeszedł stopniowo w zwierzęcy charkot, niewyraźne rżenie. Wówczas pozostali towarzysze rzucili się w przypiływie rozpaczliwej siły na dozorców i otoczyli ich. Balbus, Kwadratus i Metellus, którzy zdążyli odebrać nieprzyjaciołom broń, siekli na wszystkie strony z nieodpartą mocą. Widząc, że strażnik z kluczami pada na ziemię, Marcjanus skoczył ku niemu, i podczas gdy

dwaj inni rzucili się do ucieczki, by wszcząć alarm, chwycił je i uwolnił swych kompanów.

— Tędy! — zawołał Uksal. — Prędko, tędy, do zbrojowni!

Rzymianie pobiegli jego śladem, gdy tymczasem strażę już pędziły ku nim usiłując ich pozabijać. Wyłamawszy rygiel uderzeniem topora, Kwadratus wpadł do środka pierwszy, a za nim reszta. Ledwie zdążyli zatrzasnąć za sobą drzwi, utkwily w nich dziesiątki strzał.

Zaległa niekończąca się cisza, podczas której około trzydziestu uzbrojonych po zęby strażników pomknęło ku drzwiom do zbrojowni przebijając się przez tumany kurzu wzniesione w czasie bitwy. Kiedy zaś kurz opadł, ich osłupiałym, pełnym niedowierzania oczom ukazał się niesamowity widok. Oto stało przed nimi dziesięciu rzymskich żołnierzy w zbrojach i z mieczami w dłoniach: Metellus, Balbus, Kwadratus, Marcjanus, Publiusz, Rufus, Sewer, Lucjanus, Septymiusz i Antoninus.

Straże nie zdążyły się otrząsnąć ze zdumienia, gdy tamci ruszyli do ataku. Walczyli niczym piekielne furie, niczym demony wojny, z dziką wściekłością, z oszalałą zaciętością. Żaden cios nie okazał się chybiony, żaden ranny nie wywinął się śmierci.

Marek Metellus Akwila zagrzewał swych żołnierzy do walki, zdawał sobie bowiem sprawę, że owa nadludzka moc wkrótce się wyczerpie pozostawiając ich bezbronnych na łasce wroga. Wszyscy musieli zginąć, należało wszystkich zabić. Kiedy zaś wreszcie jego miecz przeciął pustkę, uświadomił sobie, że dokonali rzeczy niemożliwej. Oto dziesięciu niewolników, dziesięciu wycieńczonych więźniów, w ciągu kilku chwil rozgromiło trzydziestu dobrze uzbrojonych i dobrze wykarmionych wojowników.

Popatrzyli po sobie z niedowierzaniem, zdyszani, powaleni krwią, kurzem i potem. W końcu Metellus podniósł miecz mówiąc ostatkiem sił:

— Cezar został pomszczony.

Po czym zwałił się bez czucia na ziemię.

Zaraz po nim runęli pozostali, wyczerpani. Nawet dziecko potrafiłoby ich teraz pokonać bez trudu. Zużyli całą swą energię aż do ostatniej iskiereki, byleby odzyskać utraconą wolność.

Nagle do Metellusa podszedł Uksal i potrząsnął nim.

— Nie pora na odpoczynek. Jazda, wstawać. Musimy coś zrobić.

Metellus dźwignął się z trudem i rozejrzał dokoła. Pozostali więźniowie tymczasem otoczyli ich kołem przyglądając się oniemiałi i osłupiali całą scenie.

— Powiedz im, że są wolni, że jeśli chcą się uratować, muszą się do nas przyłączyć i pokonać zewnętrzną straż.

— Mrzonki — potrząsnął głową Uksal. — Nikt się nie ruszy. Wiedzą, że nie da się przekroczyć murów i że każdego, kto zostanie złapany, czyli wszystkich, wbiją na pal.

— Przetłumacz! — krzyknął Metellus. — Natomiast wy, Rufus, Marcjanus i Sewer, pójdzicie z Balbusem. Narzućcie na plecy perskie płaszcze i pokażcie się na zewnętrznych posterunkach straży. Ktoś mógłby nabrać podejrzeń.

Balbus wyznaczył żołnierzom najbardziej rzucające się w oczy posterunki straży, aby zostali zauważeni. Po czym wrócił na miejsce.

Uksal przetłumaczył na wszystkie znane sobie języki to, co kazał mu powtórzyć Metellus, skutek jednak był dokładnie taki, jak przewidział. Wprawdzie jego słowa wznieciły w oczach tych ludzi niemal szalony błysk, zaraz jednak kolejno pospuszczali głowy z rezygnacją. Tu i ówdzie rozległ się szmer, po czym zapadła cisza.

— Jest tak, jak przypuszczałem — stwierdził Uksal. — Nie czują się na siłach. Kiedy ptak siedzi w klatce przez całe życie, nawet jeśli otworzysz mu drzwi, i tak nie wyfrunie. Świat zewnętrzny go przeraża. Wyobraź sobie, że otacza nas tu setka dobrze uzbrojonych ludzi.

— W takim razie pójdziemy sami.

— To samobójstwo, ale masz rację. To nie jest życie. Jesteście żołnierzami, przynajmniej zginiecie z mieczem w dłoni. Ale teraz pozamykaj z powrotem więźniów. Ktoś mógłby nabrać ochoty pobawić się w szpiega, żeby zyskać przychylność dozorców.

— Pozamykać ich? — powtórzył Metellus.

— Nie masz wyboru. Zresztą w ten sposób ich ocalisz. Nie będzie ich można oskarżyć o bunt.

Metellus polecił Kwadratusowi, Lucjanusowi, Publiuszowi i Sertymiuszowi, aby odprowadzili więźniów do chat, kiedy zaś żołnierze wykonali rozkaz, niespodziewanie zwrócił się do Uksala:

— Coś powiedział?

— Ja? Nic.

— Nie teraz, wcześniej... Wcześniej...

— O co ci chodzi?

— Wczoraj w nocy, w chacie, kiedy ci przerwałem. Właśnie mówiłem, że była powódź... I co dalej?

— Ach, to. Byłem w jednym z korytarzy na trzecim poziomie, żeby zabrać trupy kilku więźniów, i wtedy zobaczyłem, że jedna ze ścian mocno przecieka.

— Czu to znaczy, że tamta ściana styka się z dnem kanału?

— Coś w tym rodzaju. Woda nie mogła pochodzić z innego źródła.

— Myślisz, że punkt styku ze ścianą kanału może się znajdować poza zewnętrznym murem straży?

— Jestem o tym przekonany, ale nie mam pewności.

— Potrafiłbyś odnaleźć to miejsce?

— Chyba tak.

— Więc chodźmy.

Przywołał do siebie zbliżającego się właśnie Kwadratusa.

— Zbierz ludzi, weźcie łopaty, kilofy, lampy i ruszajcie za mną.

Kwadratus spełnił polecenie i wszyscy poszli za nim z wyjątkiem Balbusa, który pozostał na miejscu, by obsługiwać wyciąg.

— Tędy — powiedział Uksal, po kilku krokach zaś dodał: — Bądźcie ostrożni; na dole znajdziemy ludzi, przygotujcie się więc na niezbyt przyjemny widok. Wy też mieliście tam skończyć.

Zeszli aż na drugi poziom, po pokonaniu zaś stromych schodów wykutych w skale stanęli przed żelaznymi drzwiami, zamkniętymi od

zewnątrz na rygiel. Na dole znajdował się otwór, prawdopodobnie do podawania jadła. Uksal wprawdzie odsunął rygiel, do otwarcia drzwi potrzeba było wszakże siły Kwadratusa. Za nimi ciągnął się wąski korytarz wiodący do wnętrza ziemi. W powietrzu unosił się nieznośny odór odchodów i zgnilizny. Popatrzyli po sobie, Uksal jednak przywołał ich do porządku:

— No to jak, ruszymy się wreszcie czy wolicie tak stać i medytować o przyszłości?

— Ruszmy się — rozkazał Metellus, który pierwszy poszedł korytarzem trzymając wysoko lampę.

Gdy dotarli do końca, znaleźli się w dość obszernej jamie, ich oczom zaś ukazał się żałosny widok: larwy ludzkie, drapiące ściany drewnianymi oskardami przy świetle paru lamp oliwnych. Na widok grupy tak nietypowo uzbrojonych żołnierzy skazańcy przerwali pracę i odwrócili się, aby im się przyjrzeć. Wyglądali jak duchy: czarne kręgi pod oczami, zapadnięte policzki, długie zmierzwione brody, chwiejące się spróchniałe zęby, chude niczym u szkieletów kończyny. Bez przerwy kasłali i z trudem trzymali się na nogach. W kącie zaś niektórzy z nich ubijali kruszec w mózdzierzu i zbierali turkusy do koszyka.

— Dostają tyle jadła, ile wydobędą kamieni. Aż trudno uwierzyć, że ci biedacy jeszcze trzymają się przy życiu. Większość z nich umiera w tym piekle już po kilku miesiącach. Chodźcie za mną, tędy.

Po czym ruszył wąskim korytarzem, wiodącym w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszli.

— A co zrobimy z nimi? — Kwadratus wskazał więźniów.

— Zapomnijcie o nich — odrzekł Uksal. — Nie daliby rady zrobić nawet stu kroków na otwartej przestrzeni. Natychmiast oślepiłoby ich słońce, skóra zaś pokryłaby się ranami. Pozwólcie im umrzeć w spokoju.

Posuwali się jeszcze trochę, aż dotarli do rozwidlenia, a wówczas Uksal skręcił w prawo. Wkrótce znaleźli się przed kolejną jamą, długą na jakieś pięć kroków i szeroką na trzy, bez wyjścia.

— To było tutaj — powiedział Uksal. — Przynajmniej tak mi się wydaje.

— Tak ci się wydaje? — powtórzył Publiusz.

— A co myślisz? To się zdarzyło co najmniej trzy lata temu, jeśli nie cztery. Skoro jesteś taki mądry, dlaczego sam nie znajdziesz drogi do wyjścia?

Metellus tymczasem nakazał wszystkim milczenie i przysunął lampę do ściany.

— To ta — oświadczył. — Jeszcze widać różnicę w kolorze.

Postawiwszy lampę na ziemi, chwycił kilof i zaczął kuć. Mur był z dość kruchego piaskowca, który nie stawiał zbytniego oporu. Septymiesz i Lucjanus również złapali kilofy i jęli walić na przemian, tak że oskardy uderzały o ścianę bez przerwy, pozostawiając po sobie spore ilości gruzu. Wkrótce cała trójka musiała przerwać zdyszana i zmęczona, Publiusz jednak zmienił tego, który wydał mu się najbardziej wyczerpany, dzięki czemu praca szła dalej.

Od czasu do czasu Uksal podnosił z ziemi kawałki gruzu, które sprawiały wrażenie coraz bardziej wilgotnych, w miarę jak otwór się powiększał. W pewnej chwili wszakże wydały mu się bardziej suche.

— Stać! — krzyknął.

— Co jest? — zapytał kaszłąc i sapiąc Publiusz.

— Chciałbym, żebyście dotknęli tych kawałków piaskowca i powiedzieli, co o nich sądzicie. To znaczy, które z nich wydają wam się wilgotne, a które suche. Wolałbym, żeby wyobraźnia nie spletała mi głupiego figla.

Metellus pobierał gruz, który wskazał mu Uksal, w jego ślady zaś poszli Kwadratus, Publiusz i Septymiesz.

— Ten jest na pewno wilgotny — stwierdził Metellus.

— Ten z kolei jest bardziej suchy — zauważył Kwadratus.

— A tutaj mam jeszcze jeden kawałek, który jest bardziej suchy — powiedział Septymiesz.

— Oto co myślę — oświadczył Uksal drapiąc się po brodzie. — Najpierw natrafiliśmy na warstwę suchą, potem na wilgotną, czyli wewnętrzną, a następnie znów na suchą.

Według mnie to oznacza, że zbliżamy się do ściany zewnętrznej, która wychodzi na kanał i jest wystawiona na działanie słońca.

— Chyba masz rację — przytaknął Metellus.

— W takim razie musimy położyć wszystko na jedną szalę. Podczas gdy wy będziecie kopać dalej, ja zawrócę z kilkoma ludźmi, żeby Balbus wyciągnął mnie na powierzchnię. Weźmiemy zapas wody i jadła i zejdziemy na dół. Jeśli moje przewidywania się sprawdzą, w tym czasie wy zdążycie już prawie dotrzeć na zewnątrz. Przy odrobinie szczęścia wydostaniemy się stąd i może nawet zdołamy przeżyć. Gdybyśmy jednak trafili w sam środek straży... Cóż, przynajmniej porządnie się przedtem najemy. W ten sposób chociaż umrzemy z pełnym brzuchem.

— Moim zdaniem to może się udać, starcze — uznał Metellus. — Przynajmniej taką mam nadzieję. Rób, jak uważasz, my tymczasem będziemy kopać dalej.

Uksał cofnął się wraz z Publiuszem i Antoninusem po omacku, zostawili bowiem lampę innym, którzy natychmiast zabrali się do roboty. Zmęczenie zaczęło narastać, toteż przerwy na odpoczynek stawały się coraz częstsze.

— Miejmy nadzieję, że prędko wrócą, bo inaczej umrzemy — powiedział Septymiusz.

— Milcz! — uciszył go niespodziewanie Metellus.

— Co jest?

Metellus dał mu znak, aby był cicho, po czym jął uderzać o kamień czubkiem kilofa.

— Słyszycie?

— Jakby było pusto — stwierdził Septymiusz rozpromieniony. Z powodu wychudzenia wyglądał jak niedożywiony młokos.

— Tak, tak, słyhać, jakby było pusto. Jazda, ruszać się, do roboty!

Zabrali się z powrotem do kopania, ich zapał zaś wzrastał, w miarę jak ściana się rozpadła.

— Stać! — rozkazał Metellus. — Po tym cośmy przeszli, głupio by było wszystko zepsuć z powodu pośpiechu i niecierpliwości.

Odwróciwszy kilof, jął stukać w cienką warstwę piaskowca jego rękojescią, aż wydrążył otwór, przez który wpadł promień światła.

Mężczyźni spojrzeli po sobie w milczeniu, chociaż mieli ochotę krzyczeć z radości.

Metellus przystawił oko do dziury, po czym powiększył ją i wytknął na zewnątrz całą głowę. Po chwili cofnął się, kiedy zaś przemówił, miał łzy w oczach.

— Udało się. Jesteśmy na zewnątrz!

7

Król Królów, Szapur I, znajdował się jeszcze w swych komnatach poddając się ceremonii ubierania, gdy wprowadzono posłańca, który miał absolutne pierwszeństwo. Mężczyzna dotknął czołem ziemi przed swym władcą, czekając na znak wezyra, by wstać i przemówić.

— Panie mój — zaczął — Rzymianin zmarł dziesięć dni temu. W kopalni turkusów w Aus Daiwa. Zgodnie z twym rozkazem przybywam, aby cię o tym powiadomić.

Król zdawał się wstrząśnięty tą nowiną. Oddaliwszy gestem balwierza, który trefił mu brodę, zapytał:

— Jak umarł?

— Jak wszyscy, którzy pracują w kopalni. Z wycieńczenia, gorączki i od wszelkiego rodzaju krzywd.

— Czy powiedział coś przed śmiercią?

Posłaniec spuścił głowę zmieszany.

— Wybacz, wielki panie, ale zmarł w nocy i nie było przy nim nikogo oprócz jego kompanów, Rzymian, których pokonałeś i wtrąciłeś do więzienia dzięki sile swego ramienia. Ale nie mógł zbyt wiele powiedzieć. Od jakiegoś czasu był bliższy śmierci niż życia.

— A kiedy żył, nigdy nic nie mówił? Nigdy nie prosił o pomoc, nie błagał?

Posłaniec zamierzał właśnie odpowiedzieć zgodnie z tym, co jego zdaniem sprawiłoby przyjemność władcy, ten wszakże przerwał mu, nim zdążył otworzyć usta:

— Mów prawdę — rozkazał.

— Nigdy nic nie mówił. Milczał od przyjazdu aż do śmierci.

Szapur spuścił głowę i nie odzywał się przez jakiś czas, po czym zapytał:

— A jego ciało... Co z nim zrobiono?

— Wrzucono je do przepaści, podobnie jak ścierwa wszystkich twoich wrogów, którzy pokutują za swoje winy w kopalni.

Szapur milczał jeszcze przez chwilę przechadzając się po sypialni odziany w szatę z różowo-złotego jedwabiu.

— Chcę, żeby dostarczono mi tutaj, do pałacu, jego zbroję i broń. Dlaczego ich jeszcze nie przyniesiono?

Posłaniec zawahał się z odpowiedzią.

— Zadałem ci pytanie — ponaglił władca z rozdrażnieniem.

— Zbroje i broń Rzymian były przechowywane w zbrojowni, lecz nikt z pałacu królewskiego się ich nigdy nie domagał.

— Teraz się ich domagam.

— Wasza wysokość nie będzie musiał żądać po raz drugi. Gdy tylko przyjadę do obozu, przekażę twój rozkaz, a należne ci trofeum zostanie dostarczone, panie, jak najszybciej.

Na znak, że może odejść, posłaniec oddalił się zgięty w ukłonie aż do samych drzwi. Tymczasem Szapur zwrócił się do wezyra, leciwego dostojnika, który pochodził ze starego rodu, a zwał się Artabanem.

— Nie powiedział ani słowa, nie błagał o litość, nie prosił, by zdjęto mu to nieznośne brzemie.

— Czy gdyby to uczynił, wysłuchałbyś go?

— Może.

— Prawdziwa wspaniałomyślność to ta, która nie czeka na prośby.

— Czy to znaczy, że nie jestem wspaniałomyślny? Że nie jestem wielkoduszny? Rozpowszechniłem w moim królestwie kulturę Greków i Hindusów, pozwoliłem, by każdy wyznawał własną religię. Czyż to nie jest wielkoduszność?

— Nie twierdzą, że nie, mój panie. Twierdzą, że być może teraz odczuwasz litość, która nigdy dotąd nie była twoim udziałem, tylko dlatego, że on nie żyje. Tylko dlatego, że zdajesz sobie sprawę, iż nikt nie jest bezpieczny. Nawet cesarz może stać się więźniem swego wroga i zginąć. Na dodatek zastanawiasz się, czy potrafiłbyś umrzeć tak jak on, czy umiałbyś znieść nędzę, upokorzenia, świadomość, że wszyscy o tobie zapomnieli. Nie sztuka polec w bitwie z mieczem w dłoni, w słońcu, w stanie najwyższego uniesienia, w ferworze walki.

— Miał taką śmierć, na jaką zasłużył. Rzymianie to rabusie, którym ciągle mało; nawet cały świat nie potrafi zaspokoić ich chciwości.

— Niektórzy mówią to samo o nas.

— Po czyjej ty jesteś stronie?

— Jeszcze masz wątpliwości? Czy nie służyłem ci wiernie przez całe życie? Moim obowiązkiem jest mówić ci nawet rzeczy nieprzyjemne. Jestem twoim ministrem, a nie dworakiem. Zresztą Rzymianie nie zawsze byli tacy. Za panowania twojego poprzednika Chosroesa ich cesarz oddał mu jego córkę, którą trzymał jako zakładniczkę, nie żądając nic w zamian.

— Hadrian... — odrzekł Szapur. — To był wielki człowiek.

— Nie on jeden. W całej tej historii nie podoba mi się to, że Walerian został oszukany, schwytany w pułapkę. Gdybym wtedy był w Edessie, odradziłbym ci to. To nie było godne ciebie. Nie było też godne ciebie to, co kazałeś mu wycierpieć potem. W gruncie rzeczy Walerian nie splamił się żadną zbrodnią. Usiłował umocnić granice ziem, o które toczyły się nieustanne walki.

— To miała być dla niego przestroga. Jego następcy muszą sobie zdać sprawę, co ich czeka, jeśli znów rzucą wyzwanie królowi Persów. Zobaczysz, że Galien nie ośmieli się przedsięwziąć jakichkolwiek kroków przeciwko mnie.

Artaban skinął głową z powagą i rzekł:

— Nie trzeba się kłopotać Galieniem... Należy się za to martwić o Septymiusza Odenata, obrońcę wschodnich granic. Kiedy wracałeś z Edessy, miał odwagę na nas napaść. Twoje łupy i branki wpadły w jego ręce, ty zaś nadal nosisz bliznę po otrzymanej ranie... — Chociaż

Szapur zmarszczył brwi, Artaban ciągnął niewzruszony: — Jego jazda jest równie dobra jak nasza, piechota zaś jeszcze lepsza. Nasze wojsko nie dało rady go pokonać i odebrać mu tego, co zagarnął.

— Kiedy go pokonam, będzie musiał odbyć karę dziesięciokrotnie cięższą niż ta, którą poniósł cesarz.

— Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Odenat to wielki wojownik, ale także człowiek niezwykle ambitny. Jeszcze większe ambicje jednak ma jego żona, przepiękna Zainab. Galien to człek rozumny, lecz słaby. Moi szpiedzy donoszą, że Zainab naciska męża, aby odłączył się od cesarstwa i stworzył własne królestwo. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, będzie musiał wejść z nami w układy. Karawany docierające do Palmyry, siedziby Odenata i Zainab, przeciągają przez nasze ziemie. Nie uśmiecha im się zatem prowadzić z nami wojny, nam z nimi zresztą też nie. Imperium rzymskie zaznało z twoich rąk największego upokorzenia wszechczasów. Nie żądaj zbyt wiele szczęścia, panie. Jeśli zgodnie z moimi przypuszczeniami Septymiusz Odenat oddzieli się od Galiena, Cesarstwo Rzymskie zostanie znacznie osłabione, on sam nie zdoła wszakże zdobyć takiej potęgi, jaką ma Rzym. Musimy dbać o nasze interesy: dopóki na Zachodzie znajdzie się ktoś, kto kupi cenne towary ze Wschodu, dopóty my będziemy czerpać z tego korzyści. Królowie odczuwają potrzebę zdobycia sławy dzięki wojnom i bitwom, aby potomni zapamiętali ich imiona, lecz dobry minister musi zadbać o to, aby kwitł handel, bo tylko w ten sposób zapewni krajowi dobrobyt i bogactwo.

— Muszę to przemyśleć — odparł król. — Muszę się zastanowić. Ty tymczasem zbieraj wszelkie wiadomości, które mogą się okazać przydatne. — Po czym dał znak balwierzowi, który zabrał się z powrotem do trefienia królewskiej brody gorącym żelazkiem.

Zrozumiawszy, że nadeszła pora, aby się oddalił, wezyr zadał rytualne pytanie:

— Jestem ci jeszcze potrzebny, mój panie?

Szapur odprawił go gestem ręki, wezyr się wszakże ociągał.

— O co chodzi? — zapytał król.

— Jest coś, o czym nigdy nie wspomniałeś i czego nigdy nie zdołałem się dowiedzieć. Ustalenie tego jest dla mnie ważne.

— Co masz na myśli?

— Czy Galien kiedykolwiek wyraził gotowość zapłacenia okupu za ojca?

Odprawiwszy znów balwierza wraz z jego żelazkiem, Szapur spojrzął wezyrowi w oczy.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć? — zapytał.

— Przez zwykłą ciekawość. Ja też jestem ojcem i byłem synem. Ciekawi mnie, czy władza może mieć dla kogoś aż takie znaczenie, aby przysłonić uczucia i więzy krwi. Poza tym zawsze wydawało mi się rzeczą osobliwą, że wezyr nie otrzymuje żadnych wieści o ewentualnych negocjacjach. To sprawa wagi państwowej, która bezpośrednio mnie dotyczy.

Szapur nadal wpatrywał się w oczy ministra z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

— Powiniennem przepędzić wezyra, który sądzi, że władca pozwoli się kierować więzami krwi. Najwyższe interesy państwa są o wiele ważniejsze od pokrewieństwa.

— Ja nie jestem królem, mogę więc sobie pozwolić na uczucia.

Szapur zignorował tę uwagę mówiąc:

— Tak. Galien zaofiarował okup.

— Ile?

— Nie podał granicy.

— A ty mu odpowiedziałeś, panie?

— Nie.

— Dlaczego?

— To sprawa osobista.

— Czy powiadomiłeś Waleriana, że jego syn był gotów zapłacić okup?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo chciałem, żeby wycierpiał wszystko, co tylko człowiek może wycierpieć. Dla ojca to gorsze niż najstraszniejsze męki.

— A więc nawet władcy miewają uczucia.
— Nie mogłem tego wykluczyć.
— Rozumiem. W tym wypadku cierpienie jest o wiele większe.
Czy to również z powodów osobistych?
— Tak — odparł król.
— Wybacz mi, że ośmielę się zapytać, o co chodzi.
— Pytaj, ale nie otrzymasz odpowiedzi.
Artaban skinął głową nie dodając ani słowa więcej.
— A teraz możesz odejść — odprawił go Szapur.
Skłoniwszy się nisko, wezyr wycofał się w tej pozycji aż do drzwi, podczas gdy Król Królów ponownie oddał swe policzki w ręce balwierza.

Wróciwszy do swych komnat, Artaban usiadł za stołem do pracy. Mocno go zaniepokoiło, że król zataił przed nim gotowość zapłacenia okupu przez Galienu. Trzymanie w tajemnicy tak ważnej wiadomości mogło pogorszyć jego stosunki z władcą i zaszkodzić pozycji, jaką zajmował. Teoretycznie powinien zostać powiadomiony pierwszy i sam prowadzić negocjacje. Dlatego rozmyślał na ten temat, zwłaszcza zaś owe osobiste powody, o których wspominał król podczas ich rozmowy, nie dawały mu spokoju. Przecież nie musiał się przyznawać, że właśnie nimi się kierował — mógł po prostu nie odpowiadać. Może chciał mu dać do zrozumienia, że darzy go szacunkiem, lecz akurat tą sprawą musiał się zająć sam?

Odkąd został wezyrem, nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Postanowił zatem wezwać swego najlepszego szpiega, starego nubijskiego eunucha, który był mu bezgranicznie oddany, a który od lat cieszył się zaufaniem królowej matki, króla i wielu innych osobistości na dworze. Miał na imię Ardaszir, mogło być ono wszakże narzucone przez dwór. Może sam już nawet nie pamiętał swego prawdziwego imienia.

Mimo wyraźnej otyłości spowodowanej zarówno kastracją, jak i słabością do indyjskiej kuchni, której dania kucharz z Taksili przygotowywał mu codziennie z ogromną dbałością i wyrafinowanym kunsztem, Ardaszir zjawił się dość szybko.

— Jak się miewasz? — zapytał wezyr, ledwie wszedł.

Ardaszir otarł pot z czoła, po czym wziął krzesło i wydobywszy z kieszeni wachlarz z bażancich piór, jął się wachlować.

— Jak na biednego starca przystało — odrzekł eunuch. — Co chcesz wiedzieć, najjaśniejszy?

— Nie chcę jednej wieści. Jest coś, co mi umyka, chciałbym zatem pojąć, o ile zdołam, co zatajono przede mną w tym pałacu i dlaczego.

— O co chodzi?

— Król powiedział mi dopiero teraz, że Galien, syn cesarza Rzymian, jakiś czas temu wyraził gotowość zapłacenia okupu. Ale nikt mnie o tym nie powiadomił. Król zataił to z powodów osobistych, których nie chciał mi zdradzić. Z tego co mi wiadomo, król nigdy nie spotkał Galiena przy żadnej okazji ani Waleriana przed zasadzką w Edessie. Czy ty coś wiesz na ten temat?

— Nie. Ale instynkt mi podpowiada, że w grę wchodzi kobieta.

— Słyszałem od wielu osób, że eunuchowie znają się najlepiej na kobieciej naturze — uśmiechnął się Artaban — i jeśli wierzyć pogłoskom, są najlepszymi kochankami.

— To stare dzieje, najjaśniejszy — westchnął Ardaszир — teraz już jestem zbyt leciwy. Ale rzecz jasna, skoro człowiek jeszcze w dzieciństwie zostaje tak okrutnie okaleczony, cóż, rozwija w sobie niezwykłą wrażliwość, nader cenioną przez kobiety. Nasze pieszczoty zaś potrafią dać im więcej rozkoszy niż obcowanie, niejednokrotnie brutalne, z rozpalonym samcem, który zachowuje się jak knur w czasie rui. Ale wracając do przedmiotu naszej rozmowy, przyznam się szczerze, że nie mam pojęcia, co to mogą być za „osobiste powody”, o których wspominał król. Właśnie dlatego od razu pomyślałem o kobietach... W taki czy inny sposób zawsze chodzi o kobiety.

— Jesteś pewien, że nie przychodzi ci do głowy nic, co pomogłoby mi zrozumieć?

— W pewnych kręgach na dworze od jakiegoś czasu krążą słuchy...

— Jakie słuchy?

— Że kilka lat temu podczas negocjacji król ujrzał żonę Septymusa Odenata, dowódcy Waleriana strzegącego wschodnich granic. To Syryjka o imieniu Zainab, która słynie z niesamowitej urody.

— Słyszałem o niej.

— Żaden mężczyzna nie potrafi się oprzeć jej urokowi. Przy najmniej tak powiadają. Niestety nigdy jej nie widziałem.

— A jaki to ma związek z tym, o co cię zapytałem i co mówił król?

— Prawdopodobnie żadnego. Moim zdaniem jest to wszakże jedyna sprawa osobista, w którą mógłby być zamieszany Król Królów, najjaśniejszy Szapur, nasz pan i władca.

Artaban spojrział eunuchowi w oczy usiłując dostrzec w nich choćby najdelikatniejszy podtekst. Ardaszir zaś przemówił zupełnie innym tonem, niczym ktoś, kto usiłuje wytłumaczyć prostą rzecz osobie opóźnionej umysłowo.

— Zabawmy się w przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że król uległ jej urokowi i że od tamtej pory nie potrafi się uwolnić od myśli o tej kobiecie. Wyobraźmy sobie, że gdy otrzymał od Galiena propozycję wykupu, sam wysunął kontrpropozycję...

— Zainab zamiast złota?

— Pamiętaj, że to tylko przypuszczenie. Ty to powiedziałeś, najjaśniejszy, nie ja. Jeśli jednak przyjmujemy, że nasze przypuszczenie jest słuszne, należy wziąć pod uwagę wiele ważnych rzeczy. Z pewnością król nie mógł zwrócić się z tym żądaniem bezpośrednio do Odenata, który właśnie odebrał mu łupy i sporą część haremu, napadając nań zdradziecko. Mógł jednak zażądać od Galiena, aby zmusił dowódcę do oddania żony w ramach zadośćuczynienia za zniewagę, jakiej dopuścił się wobec króla perskiego. Byłby to układ zmuszający obu cesarzy do zachowania tajemnicy: Walerian w zamian za Zainab.

— Gdyby tak było — odrzekł Artaban — Galien nie zdołałby narzucić Odenatowi, aby oddał żonę Szapurowi, i negocjacje w sprawie okupu za Waleriana utknęłyby w martwym punkcie.

— Oczywiście mamy do czynienia z całkowicie nierzeczywistym przypuszczeniem — uściślił Ardaszir. — Znasz nas, eunuchów, wiecznie oczarowanych opowieściami o wielkiej miłości, i to właśnie dlatego, że owe jakże słodkie i zarazem straszne przeżycia nie są nam dane. — Zakończył zdanie długim westchnieniem.

— To jasne — przytaknął wezyr. — Jedynie nierzeczywiste przypuszczenie i parę pogłosek z korytarza. Potraktuję je tak, jak na to zasługują. Z pewnością jednak rozumiesz, dobry przyjacielu, że na moim stanowisku muszę wziąć pod uwagę wszystko, nawet ptasie trele i szelest wiatru w królewskich ogrodach.

— To bardziej niż słuszne — zgodził się eunuch. — W każdym razie miło było zamienić z tobą parę słów, najjaśniejszy. Pamiętaj, że zawsze jestem gotów ci służyć.

Pocałowali się na pożegnanie w oba policzki, po czym eunuch oddalił się ku drzwiom, jego pulchne ciało zaś trzęsło się jak galareta przy każdym kroku.

Artaban westchnął. Prawdopodobnie Ardaszir podał mu słuszne wyjaśnienie tego, co się stało. Tłumaczyło to także milczenie Szapura, który nigdy nie zechciałby się przyznać, nawet przed swym oddanym ministrem, że oszalał na punkcie kobiety i że pomieszał sprawy państwa z nieczystą sprawą o charakterze osobistym. W każdym razie poczuł ulgę. Wynikało z tego bowiem, że król nie stracił do niego zaufania, lecz że kierował się wstydem bądź powściągliwością, które w żadnej mierze mu nie zagrażały. Pokrzepiony na duchu nabrał przekonania, że otrzymał — choćby w zawołowanej formie (zresztą nie mogło być inaczej) — prawdziwe wieści na temat braku okupu za Waleriana.

Rozparłszy się wygodnie na krześle, cieszył się chwilą spokoju, po czym zabrał się do czytania listów, które przygotował mu sekretarz, od czasu do czasu kreśląc na dole arkusza odpowiedź, jaką należało wysłać. W porze południowego posiłku przerwał na chwilę, aby powrócić do pracy w całkowitej ciszy na wiele godzin. Dopiero na widok zapadających za oknem ciemności zorientował się, że słońce właśnie zachodzi i że zbliża się pora wieczery.

Wkrótce do jego komnaty wkroczy sługa z wiadomością, że podano do stołu, sekretarz zaś przypomni mu gości, z którymi miał wieczerać, oraz powody, dla których zostali zaproszeni.

Tymczasem zjawił się jeden z członków gwardii cesarskiej, który nawet nie zapukał do drzwi.

— Król chce cię widzieć.

Wezyr wybiegł na korytarz i wpadł zdyszany do jednej z sal audiencyjnych, gdzie czekał nań Szapur. Słyszając jego kroki, władca odwrócił się gwałtownie. Artabanowi wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że król jest wściekły i że część gniewu spadnie na niego.

— Zniknęli! — krzyknął król. — Rozpłynęli się w powietrzu i wszelki słuch o nich zaginał!

— Wybacz, panie, ale kto zniknął?

— Rzymianie! Przekłęci, zniknęli bez śladu! Jak to możliwe?

— Nie rozumiem... czyż nie powiadomiono nas, że Walerian nie żyje?

Usiłując pohamować złość, Szapur zwrócił się do mężczyzny, którego obecność Artaban dopiero wtedy zauważył, i dał mu znak, by przemówił.

Wyszedłszy zaś z cienia, mężczyzna oświadczył:

— Oczywiście, że nie żyje, ale było z nim dziesięciu ludzi, którzy zniknęli. Oddział jazdy, który wkroczył do obozu zaniepokojony panującą w nim dziwną ciszą, zastał większość więźniów zamkniętych razem w jednej chacie, za to brakowano dziesięciu Rzymian, a także przechowywanych w zbrojowni pancerzy i broni. Szukaliśmy ich wszędzie, ale nie zdołaliśmy ich znaleźć. Nie ma po nich śladu. Wraz z nimi zniknął stary skazaniec, który ze względu na długoletnie doświadczenie w tym miejscu służył dozorcóm pomocą.

— A co z uzbrojonymi strażnikami? — zapytał Artaban podchodząc bliżej.

— Nie żyją. Zabici.

— Więźnióm udało się w jakiś sposób zdobyć broń, zabić dozorców i uciec. Gdzie tkwi tajemnica? — zdumiał się Artaban.

— Było około trzydziestu dobrze uzbrojonych i dobrze wykar-
mionych dozorców. Ich zaś było dziesięciu, wszyscy wyczerpani i
niedożywieni. Nie wyglądali już nawet jak istoty ludzkie. Poza tym
obozu strzeże ponad trzystu żołnierzy na koniach, którzy pilnują każ-
dego wyjścia. Nikt nic nie zauważył.

— Ja w cuda nie wierzę — oświadczył Artaban. — Musieli się
wydostać którymś wyjściem i byłoby dobrze, gdyby się znaleźli, bo
inaczej naczelnik obozu za to odpowie.

— Naczelnik obozu znajdował się wśród zabitych — wyjaśnił po-
słaniec — za to dowódca straży zewnętrznej wysłał za nimi pościg na
śmierć i życie. Poprosił najbliższe garnizony o wsparcie i właśnie
dokładnie przeczesuje teren. Jest to obszar w dużej części pozbawiony
roślinności i nieprzystępny. Nie ma tam wielu miejsc, w których mog-
liby się ukryć. Znajdziemy ich, panie. Nasz dowódca jest pewien
powodzenia. Mimo to pragnął, aby król, nasz pan, wiedział, że nie on
ponosi winę za tę ucieczkę, lecz naczelnik obozu... który musiał nie
docenić wytrzymałości tych Rzymian. Jest zresztą wielce praw-
dopodobne, że już ich złapano. Opuściłem Aus Daiwa, gdy tylko za-
uważyliśmy ucieczkę, i potrzebowałem dziesięciu dni, żeby tu do-
trzeć. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wkrótce zjawił się następny
posłaniec z wiadomością, że zbiegowie zostali pojmani.

Siny z wściekłości Szapur milczał — był to oczywisty znak, że
ową niewygodną sprawą powinien się zająć wezyr.

Artaban ruchem ręki nakazał posłańcowi, by poszedł za nim.

— Nasz pan i władca zaznał już dość przykrości z powodu twoje-
go zuchwalstwa. Chodź ze mną, postaramy się zrozumieć coś z tego
steku bzdur, których tu naopowiadałeś.

Posłaniec jednak ani drgnął. Szapur rozkazał mu podejść bliżej.

— Czego jeszcze chcesz? Zaczynam tracić cierpliwość!

— Mój panie, niestety mam dla ciebie jeszcze jedną złą wiado-
mość: gość o świdrujących oczach też uciekł.

— Co takiego?

— Niemal w tym samym czasie — odparł trzęsąc się postłaniec. — Poprosił, żeby mu pozwolono zwiedzić zoroastryjski monastyr, więc ktoś z nim tam poszedł, ale potem zniknął. Kapłani nie potrafili nic powiedzieć, strażę zaś zauważyły jego zniknięcie, kiedy było już za późno. Powiadomiliśmy wszystkie garnizony stąd aż do Oceanu. Nikt się nie prześliźnie.

Szapur najwyraźniej nie miał już siły, by się rozzłościć. Nakazawszy posłańcowi gestem milczenie, przywołał do siebie Artabana.

— Roześlij czym prędzej gońców, aby ostrzegli naszego przyjaciela, że powinien mieć się na baczności, ponieważ nasz gość uciekł i może się zjawić w najmniej oczekiwanej chwili. Daj mu do zrozumienia, że to na pewno jakiś spisek pomógł mu w ucieczce i żeby uważał. Zapewnij go o naszej bezwarunkowej pomocy w poszukiwaniach, a także o tym, że zrobimy wszystko co się da, aby go schwytać, i tak dalej. Nie możemy sobie pozwolić na to, by utracić jego przyjaźń. W najbliższych latach to właśnie on i jego rząd mają nam pomóc w nawiązaniu umów handlowych o nieocenionej wartości.

— Bądź spokojny, mój panie, twoja wiadomość dotrze pierwsza.

— Liczę na ciebie — odrzekł król. — Tylko tobie mogę zaufać... A jak postępują prace w Persepolis?

— Dobrze, wasza wysokość, są prawie na ukończeniu. Sam zobaczysz to чудо: ogromną rzeźbę, która przedstawia klęczącego Waleriana błagającego o litość waszą wysokość na koniu, w oślepiającym blasku chwały. Pod spodem zaś właśnie ryją opis twoich wyczynów po persku, partyjsku i grecku.

— Doskonale, a teraz idź, nie ma czasu do stracenia.

Skłoniwszy się do samej ziemi, Artaban wziął posłańca pod ramię i wyszedł na korytarz. Ledwie zdążyli opuścić salę audiencyjną, przycisnął go brutalnie do ściany i syknął:

— Mów prawdę, jeśli chcesz wyjść żywy z tego pałacu.

Mężczyzna spuścił wzrok i rzekł:

— Wyjechałem po dwóch dniach nieustannych poszukiwań, które prowadzono w promieniu siedmiu parasang od kopalni w Aus Daiwa.

— Siedmiu parasang? W tych warunkach nie mogli prze czesać tak dużego obszaru w ciągu dwóch dni.

— Niektóre patrole pojechały nawet dalej, ale nic ni, znalazły, żadnego śladu, żadnego znaku.

— W takim razie rozplynęli się w powietrzu, jak stwierdził król.

— Nie wiem, co powiedzieć, najjaśniejszy. Zajrzeliśmy pod każdy kamień i przetrzepaliśmy każdą karawanę w promieniu siedmiu parasang, ale nic nie znaleźliśmy. Żołnierze ze straży zewnętrznej nie opuścili swych posterunków ani na krok, lecz nie widzieli żywej duszy.

Puściwszy go wreszcie, wezyr rozkazał mu pójść do swych komnat.

— Skoro nie ma ich daleko, szukajcie bliżej. Zrozumiałeś?

— Co chcesz przez to powiedzieć, najjaśniejszy? Przeszukaliśmy każdą piędź ziemi w obozie.

— Przepytaście pozostałych więźniów?

— Tak. Zeznali, że Rzymianie zamknęli ich w chacie i że nie mają najmniejszego pojęcia, dokąd mogli uciec.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie, jeśli nie chcesz skończyć wbi-ty na pal. Wracaj do obozu i każ przewrócić chaty od nowa do góry nogami, a także korytarze i tunele kopalni; przecież nie mogli tak po prostu zniknąć. Może ukryli się gdzieś blisko i czekają, aż przerwiecie poszukiwania, żeby ruszyć dalej. Znajdź ich i przyprowadź mi, zrozumiałeś?

— Tak, najjaśniejszy.

— I prześlij mi jak najwięcej wieści na temat gościa o świdrujących oczach, kiedy tylko wpadniecie na jego ślad, bo ja też muszę się z tego wyliczyć.

— Doskonale, najjaśniejszy.

— Ruszaj natychmiast i jak najprędzej daj mi znać.

— Uczynię to, najjaśniejszy — wyjąkał posłaniec błądy niczym sprane płótno.

— No to jazda. Nie ma ani chwili do stracenia.

Mężczyzna oddalił się pędem. Wkrótce potem z balkonu swej komnaty wezyr ujrzał, jak wylania się z południowej bramy pałacu i galopuje wzniecając tumany kurzu.

8

Odczekawszy, aż kompani wrócą z zapasami jadła, przepaść zaś pograży się w ciemnościach, Metellus powiększył otwór w ścianie kopalni i wreszcie wyszedł na zewnątrz.

Gdy przez ograniczone pole widzenia pomiędzy ścianami przepaści, przypominające świetlny pomost, dostrzegł usiane gwiazdami niebo i Drogę Mleczną, poczuł, jak po policzkach płyną mu łzy wprost z serca, płuca zaś wypełniają się powietrzem, jakby to był jego pierwszy oddech w życiu, jakby narodził się po raz drugi.

Pochylił się, aby zanurzyć dłonie w wilgotnym piasku, wśród otoczków o krawędziach zaokrąglonych przez wodę, wiatr i zmieniające się pory roku, po czym wciągnął w nozdrza zapach krzaku mięty i musnął dłonią kwiaty maleńkiego żarnowca wystającego ze ściany. Miał cudowne wrażenie, że wite i dotyka świata po raz pierwszy.

Cierpienia, jakich zaznał w ciągu minionych przerażających miesięcy, utrata żony, rozłąka z synem, śmierć kompanów i cesarza — wszystko to wydało mu się odległe w obliczu wolności. Uświadomił sobie bowiem, że odzyskał życie i że zrobi wszystko, by go bronić. Czuł w sobie niezwyciężoną siłę i moc; w głębi serca był przeświadczony, że po takim cudzie jest gotów stawić czoło każdemu wyzwaniu i odcisnąć na wszelkich wydarzeniach piętno swej wiary i niezachwianej determinacji.

Wbrew jego oczekiwaniom na dnie przepaści wcale nie unosił się odór trupów, albowiem zmienna i wszechpotężna natura zdążyła rozłożyć ciała, przekształcając je w inne substancje, w inne byty: dzięki zwierzęta, słońce, wiatr, kurz... Niedaleko, w delikatnej poświacie odbitej przez wapienne ściany skał, dostrzegł bielejące porozrzucane kości. Kości tak wielu nieszczęśników, kości jego kompanów, którzy przybyli do tego odległego pustego miejsca, by umrzeć.

Pierwsze chwile odzyskanej wolności przyniosły tak intensywne doznania, że Metellus zatracił poczucie czasu, pod dotknięciem dłoni Kwadratusa na ramieniu zaś wydało mu się, że zbudził się ze snu.

— Wodzu...

Popatrzył na swych żołnierzy: byli zarośnięci, wychudli, ich ciała i dusze nosiły ślady nieludzkiego więzienia, w ich oczach wszakże lśnił jakiś magiczny, niemal szaleńczy blask, zdolny rozjaśnić mroki nocy. Blask zwycięstwa nad śmiercią, nad ciemnościami, nad rozpaczą.

Objął ich wszystkich po kolei spoglądając w ich czerwone od wzruszenia i tez oczy, przy każdym zaś uścisku rozlegał się chrzęst pancerzy, zgrzyt żelaza ocierającego się o żelazo. Był to uścisk żołnierzy twardych jak głaz, znów gotowych na wszystko, bo wszystko już stało się ich udziałem.

W tej samej chwili Metellus zdał sobie sprawę, że jeśli pozwoli sobie na choćby odrobinę owej niewysłowionej radości, może to oznaczać koniec wszystkiego, co dotąd zdobyli.

— Teraz musimy zakryć szparę, którą wydrążyliśmy w ścianie piaskowca. Ty, Publiusz, jako najchudszy z nas wszystkich, wejdiesz do środka i zasypiesz otwór zostawiając tylko małą szczelinę, żeby móc wydostać się na powietrze. Resztę zrobimy z zewnątrz. Ale tymczasem zjedzmy coś i napijmy się; musimy odzyskać siły.

— Powoli — powiedział Marcjanus. — Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, żeby najadać się do syta. Zbytne napełnienie żołądka może się okazać niebezpieczne. Kiedyś w Panonii uwolniliśmy pewnego więźnia, który przez trzy miesiące żywił się wyłącznie surową rzepą. On zaś napchał sobie brzuch bochenkiem chleba i soloną wieprzowiną. Wkrótce potem zmarł. Żujcie tak długo, aż przerobicie jadło na papkę, i dopiero wtedy połykajcie. Pijcie małymi łykami. Gdy tylko poczujecie, że jesteście syci, przestańcie jeść. Lepiej jeść mniej, za to częściej. Jeśli mnie posłuchacie, ocalicie skórę i odzyskacie siły. Jeżeli jednak pozwolicie sobie na łakomstwo, zginiacie.

Tymczasem Uksal rozdał zapasy, które zabrał z obozowej szpiarni: chleb z jęczmienia, jarzyny, orzechy. I wodę.

Zaraz potem Publiusz zabrał się do pracy idealnie zasypując szparę, gdy zaś znalazł się na zewnątrz, dokończył dzieła z zadziwiającym znanstwem, zalepiając gliną otwór i wygładzając ręką tak długo, aż

została jedynie szczelina, przez którą zdołał przełożyć ramię i którą następnie zatkał doskonale dobranym wielkością kamieniem. Przez wiele lat należał do murarń i zachował biegłość w tym fachu.

Wówczas wszyscy usiedli, aby się narodzić. Metellus zwrócił się do Uksala, jedyne go człowieka, który miał jakiegokolwiek rozeznanie w okolicy.

— Zawdzięczamy ci wolność, Uksalu, ale nadal jesteśmy od ciebie zależni. Co powinniśmy zrobić, dokąd mamy się udać?

Starzec odpowiedział z pewnym namaszczeniem, świadom roli przewodnika, jaką odgrywał teraz przed tą garstką uciekinierów.

— Moja rada to się stąd nie ruszać.

— Co takiego?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Łada chwila puszcza za nami w pościg wszystkich ludzi, gotowych do przeszukania każdego zakamarka, do pójścia każdym możliwym tropem. Przetrzęsą każdą karawanę i każdy karawanseraj w promieniu wielu mil. Kiedy przekonają się, że nic nie znajdują szukając daleko, znów zaczną szukać w okolicy, nie wpadną jednak raczej na pomysł, by próbować nas znaleźć pod ziemią, a nawet jeśli to zrobią, i tak nic nie odkryją. Dopiero wtedy się stąd ruszymy i jak najprędzej oddalimy. Czy wyrażam się jasno?

— Doskonale. Ale czy to się uda? — powątpiewał Metellus.

— A mamy inne wyjście?

— Nie, moim zdaniem nie.

— Tutaj jest dosyć bezpiecznie, bo dla nich to miejsce nieczyste i potwornie się go boją. Co więcej, będziemy mieli czas na odzyskanie sił i przygotowanie się do wędrówki.

— A broń i broń? — zapytał Balbus. — Co z nimi zrobimy?

— Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to ukryć je, zostawić tutaj, ale wcale nie wiadomo, czy to najlepsze rozwiązanie. Oddział uzbrojonych ludzi wzbudza szacunek i zawsze ma możliwość pertraktowania, narzucenia swojej woli albo wykorzystania własnej

siły i najęcia się jako eskorta. Rzecz jasna w sprzyjających okolicznościach.

— Nie widzę sprzyjających dla nas warunków w promieniu co najmniej dziesięciu mil — zauważył Antoninus — ale nasze pancerze można rozłożyć na części; kolczugi nie zajmują zbyt wiele miejsca. Musimy zostawić tylko tarcze. Są za duże.

— Więc tak zróbmy — odrzekł Balbus — jeśli wszyscy jesteśmy zgodni.

— Kiedy będziemy gotowi do marszu — powiedział Uksal — przydadzą nam się zwierzęta juczne. Niedaleko stąd znajduje się prawie niewyczerpane źródło, do którego przychodzi się napić stadko dzikich osłów. Widziałem je wielokrotnie z góry, kiedy szedłem wyrzucać odpadki. Moglibyśmy urządzić zasadzkę i zdobyć w ten sposób wygodny środek transportu dla nas, naszych zapasów i broni.

— O ile mnie pamięć nie myli, byliście dobrymi myśliwymi — rzekł Metellus zwracając się do Septymiusza i Lucjanusa. — Zajmijcie się budową pułapek i złapaniem osłów.

Obaj skinęli głowami.

— Wystarczy przywiązać je na kilka dni i karmić tą odrobiną jedzenia, które można znaleźć naokoło, a pójdą za nami posłusznie jak baranki. Liny możemy upleść z tej roślinności, która wyrasta spośród skał.

Gdy Metellus skinął na Antoninusa, który należał do fabri, tamten od razu wiedział, że właśnie jemu przypadło to zadanie.

— I co jeszcze? — zapytał Metellus.

— Będziemy posuwać się wzdłuż przepaści — ciągnął Uksal — dopóki nie natrafimy na wodę i dopóki ten wyschnięty wąż nie przekształci się w strumyczek, a potem w potok i dopóki nie natkniemy się na jakiś dopływ. Czeką nas męcząca wędrówka, ale przynajmniej nikt nas nie zobaczy i będziemy szli drogą, po której jeźdźcy na koniach nie zdołają nas ścigać. O ile się nie mylę, na zachód stąd płynie Khaboras, który ma źródło w przepięknej oazie, gdzie jest o wiele łatwiej się ukryć albo nająć się jako eskorta dla jakiejś karawany. Karawany ciągną wszędzie, nawet do samego serca Azji. Jeśli uda nam

się wędrować cały dzień od oazy, znajdziemy jakąś łódź i dopłyniemy nad brzeg Oceanu. Myślę, że tam wreszcie będziemy bezpieczni i każdy ruszy w swoją stronę.

— Jak zdołamy ci się odwdziżyć? — zapytał Metellus.

— Już to robicie. Rozmawiam z tobą przecież jako wolny człowiek, wdycham wspaniałe wieczorne powietrze, jestem wśród przyjaciół. Nawet gdyby to miała być moja ostatnia noc, i tak było warto. Ale nie spiesz się z podziękowaniem. Zanim dotrzemy nad brzeg Oceanu, wiele może się jeszcze zdarzyć.

— To prawda — zgodził się Kwadratus — ale jak słusznie powiedziałaś, i tak było warto. Dopiero teraz do mnie dotarło, że umrzeć jako wolny człowiek jest tak samo ważne, jak żyć.

— To oczywiście — ciągnął Uksal — że wszystko musimy robić w nocy. Za dnia trzeba zacierać wszelkie ślady. Nawet najmniejsza wskazówka mogłaby nas zdradzić. Wówczas naprawdę nie pozostałoby nam nic innego jak śmierć, jeśli zaś do tego dojdzie, musicie mi obiecać, że pierwsze cięcie mieczem będzie przeznaczone dla mnie. Gdybym żywy wpadł w ich ręce, moim mękom nie byłoby końca.

Metellus podał mu dłoń.

— Słowo rzymskiego żołnierza — powiedział — znaczy więcej niż przysięga.

— Dobrze. A teraz poszukajmy schronienia na dzień. Dwóch z was niech pójdzie w górę kanału, dwóch w dół. Ten, kto pierwszy znajdzie odpowiednią kryjówkę, przyjdzie nas powiadomić. Nie hałasujcie, nie rozmawiajcie. Jeśli nas nakryją, będziemy zgubieni.

Metellus wysłał Kwadratusa i Antoninusa ku dolinie, Balbusa z Septymiuszem zaś ku wzgórzu.

To Septymiusz znalazł pierwszy dobrze schowany załom skalny osłonięty płytą wapienną.

— Kiedy byłem mały, spędziłem wiosnę u mojego wuja w górach. Lubiłem łązić po jaskiniach. Żadnej nie przepuściłem. Dalej, chodźcie, ta wygląda na porządną.

Kompani ruszyli za nim w milczeniu niczym cienie, po czym wśliznęli się kolejno przez szczelinę zastępującą wejście do grotu. Jako że na dnie leżał suchy piasek, wszyscy wyciągnęli się na nim wygodnie,

wyczerpani długotrwałym napięciem, wysiłkiem i gwałtownymi uczuciami, które targały nimi w ciągu ostatnich godzin. Pierwszy objął wartę Metellus w towarzystwie Uksala, który nie chciał go zostawić samego.

— Nie ufasz mi? — zapytał Metellus. — Wiesz, ile razy trzymałem wartę w legionie?

— W legionie byłeś zdrowy, dobrze odkarmiony i w pełni sił. Tutaj jesteś zaledwie wrakiem i rozpaczliwie potrzebujesz snu. Gdybyś został sam, zasnąłbyś przed upływem godziny.

— A ty nie?

— Starzy ludzie mało śpią. I lubią sobie pogadać... Mamy piękną noc, wodzu Akwilo. Takie jest imię twojego rodu, zgadza się?

— Tak.

— Prawdziwe żołnierskie imię, słowo daję. Co innego mógłbyś robić nosząc takie imię?

— U nas powiadają: *nomen est omen*, czyli w imieniu zapisane jest przeznaczenie.

Uksal zmienił temat.

— Ile gwiazd... — szepnęła wznosząc oczy. — Ale cuda... A przecież to jest to samo niebo, które mieliśmy nad głowami w obozie.

— A kto je kiedykolwiek widział? Kiedy wracaliśmy z kopalni, byliśmy tacy zmęczeni, że padaliśmy jak zabici zaraz po wychłeptaniu zupy.

Uksal spojrział na szkielet leżący nieopodal między dwoma głazami.

— Kto to może być?

— A co za różnica? Jeden z wielu, którzy umarli w tym piekle.

— Przynajmniej przestał cierpieć. Szczerzy teraz wszystkie zęby. Śmieje się z nas, bo zapracowujemy się na śmierć, zamartwiamy i wymyślamy tysiące sztuczek, byleby tylko przedłużyć nasze nędzne życie choć o jedno tchnienie. On wie, że jak trzeba umrzeć, to trzeba, i że nie warto tak zabiegać. Właśnie dlatego się śmieje. Nie sądzisz?

— Możliwe. Ale się myli. Nie ma w życiu ani jednej chwili, która nie zasługiwałaby na to, by ją przeżyć. Nawet kiedy znalazłem się w

najczarniejszej biedzie, ważne było dla mnie to, że żyję, że jestem wśród przyjaciół, że oglądam świty i zmierzchy, że słyszę śpiew ptaków, nocą zaś wycie szakali. I nadzieja. Nadzieja, która nigdy nie umiera. Na przykład że zobaczę jeszcze mojego synka.

— Ach, twojego synka...

— Za dziesięć dni są jego urodziny. Gdybym był z nim, urządziłbym wspaniałą zabawę. Podarowałbym mu małą zbroję, którą bym zamówił u zręcznego płatnerza, i płaszcz trybuna wojskowego. Nie marzy o niczym innym! To dobry chłopiec. Uczy się, słucha swego preceptora, jest mądry i kochający. Kiedy wracałem wieczorem z kwatery głównej, wybiegał mnie przywitać, odpinał mi miecz od pasa, pomagał rozwiązać nagolenice. Przynosił mi czyste ręczniki do kąpiele, sam zaś siadał na brzegu wanny, żeby ze mną porozmawiać i zadawać tysiące pytań.

— To musi być pięknie mieć dzieci — westchnął Uksał.

— Jeżeli masz szczęście, to tak. Miałeś kiedykolwiek dzieci?

— A niby jak? Żeby mieć dzieci, potrzeba żony. A kto by zechciał kogoś takiego jak ja? Czasami się zastanawiam, jak by wyglądały, gdybym je miał. A twój synek na przykład jak wygląda?

— To ładny chłopiec — odrzekł Metellus. — Ma czarne głębokie oczy jak jego matka i gładką skórę o pięknym złocistym odcieniu.

— Nie jest podobny do ciebie?

— O tak, na pewno, sędzę, że tak. W usposobieniu, w sposobie bycia, nawet poruszania się.

— Odnajdziesz go — powiedział Uksał. — Jestem tego pewien.

Metellus nie odpowiedział. Spuścił tylko głowę i milczał.

W tej samej chwili rozległ się hałas, echo dalekiego rżenia, nawoływania. Obaj spojrzeli po sobie wzrokiem pełnym niepokoju. Zaraz jednak Uksał roześmiał się bezzębnymi ustami.

— Nie wiedzą, gdzie nas szukać, hi, hi, hi!

— Ćśś — uciszył go Metellus. — Chcesz, żeby nas ktoś usłyszał?

— Uspokój się. Oni gonią w piętę. A wiesz dlaczego? Bo są przekonani, że z trzeciego poziomu jeszcze nikt nie wyszedł żywy. A tymczasem nam się to udało. Pewnie teraz przetrząsają każdy kąt: chaty, wysypisko śmieci, stodołę, przeszukują więźniów, każą im się rozbierać i defilować przed strażnikami. Już to kiedyś widziałem, wiele lat temu. Patrz! — zawołał niespodziewanie. — Przeszli na drugą stronę — wskazał światła na przeciwnym brzegu wąwozu. — Żeby się tam dostać, musieli bardzo nadłożyć drogi. Słyszałem, że przez wąwóz nie można przejść na przestrzeni wielu mil ani od strony gór, ani od strony doliny. Właśnie dlatego zbudowali obóz w tym miejscu.

Wkrótce poruszających się nocą jeźdźców pochłonęły ciemności. Spojrzawszy na gwiazdy, Metellus rzekł:

— Czas na zmianę warty. Idę obudzić Kwadratusa. Ty też powinieneś się trochę przespać.

Kiedy wreszcie mógł się wyciągnąć na suchym piasku, otulony naturalnym ciepłem jaskini, poczuł się w zgodzie z samym sobą i z przyrodą, która go otaczała i chroniła w tym ukrytym załomie skalnym. Jego sen był wprawdzie krótki, za to głęboki.

Obudziły go promienie słońca i głos Uksała:

— Ogolimy się, wodzu?

— Co takiego?

Starzec stał nad nim z miską wody, gąbką, nożyczkami i brzytwą.

— Gdzieś ty znalazł te przybory?

— Kiedy wróciłem po zapasy jedła i wody, zauważyłem, że w składzie jest mnóstwo innych rzeczy, więc się obsłużyłem. Widać na miłą, że jesteście zbiegłymi skazańcami. Porządne golenie sprawi, że zaczniecie wyglądać jak prawdziwi panowie.

Metellus poddał się ochoczo mękom Uksała, ten zaś pokaleczył mu policzki brzytwą, która z pewnością pamiętała lepsze czasy, i nożyczkami, których używano zapewne do strzyżenia owiec. Niemniej jednak wszyscy obecni z samym Uksalem na czele wyrazili szczerzy zachwyt, po czym żołnierze jak jeden mąż ustawili się w kolejce do podobnego zabiegu. Za sprawą owego prostego rytuału uprzejmości

poczuł się trochę tak, jakby znów znaleźli się w cywilizowanym świecie; była to dla nich niemal zapowiedź rychłego powrotu do normalnego życia.

Jadło było racjonowane tak, aby wystarczyło na pobyt w jaskini i czekającą ich wędrówkę. Jednakże Publiusz i Lucjanus, którzy służyli w Palestynie i w Arabii, wkrótce zauważyli, że rosną tam rośliny dające niewielkie bulwy o smaku orzechów laskowych i bardzo pożywne. Po zapadnięciu zmroku wychodzili, aby je zrywać, natarłszy się uprzednio ziemią, aby zlać się z otoczeniem.

Trudniejsze okazało się natomiast schwytywanie osłów. Najpierw upletli liny z włókien roślinnych, następnie wykonali sidła, na koniec zaś zastawili pułapki poświęcając przy tym sporą ilość bulw, aby zwabić zwierzęta.

W ciągu trzech dni zdołali pojmać trzy osły, dwie samice i młodego samca, które wśród wierzgania i grzebania kopytami odprowadzili aż do swej kryjówki, gdzie oswoili je z obecnością człowieka i przyzwyczaili do otrzymywania jadła od tych, którzy je złapali. Z tych samych włókien, z których ukręcili liny, upletli także maty, mogące im posłużyć jako posłania oraz do wielu innych rzeczy.

Pewnego dnia, wypróbując drogę prowadzącą wzdłuż ściany wąwozu na górę, pod osłoną ciemności zdołali dotrzeć do takiego miejsca na brzegu kanału, z którego dało się obserwować obóz Aus Daiwa. Można było zauważyć poruszenie wśród żołnierzy, którzy biegali tam i z powrotem. Na ogromnej pustej przestrzeni, która ciągnęła się we wszystkich kierunkach aż po horyzont, drgały światła.

Postanowili odczekać jeszcze dwa dni, nim wyruszą, jako że tyle właśnie brakowało do nowiu, kiedy to panują całkowite ciemności.

Owinąwszy osłom kopyta, objuczyli je pancierzami, które przykryli matami, kiedy zaś zgasł ostatni promień słońca, rozpoczęli wędrówkę. Odzyskali siły zarówno podczas wymuszonego odpoczynku, jak i dzięki odżywcemu jadłu, do którego nie przywykli od wielu miesięcy.

Posuwali się z niezwykłą ostrożnością, bardziej dbając o to, by nie narobić hałasu, niż szybko się poruszać, gdy zaś przystanęli nazajutrz o świcie, musieli mieć za sobą niewiele ponad milę. Znaleźli się w niebezpiecznym miejscu, nie osłonięci i nadal zbyt blisko obozu. Wystarczyło, by jakiś patrol przejeżdżał wschodnim brzegiem wąwozu, a mogli zostać zauważeni.

Postanowili rozdzielić się na trzy grupy, posuwające się w odległości trzystu kroków jedna od drugiej, dzięki czemu w razie gdyby zjawił się patrol, nie zostaliby schwytani wszyscy naraz, po czym ruszyli dalej w nadziei, że wkrótce znajdą jakąś kryjówkę.

W pewnej chwili centurion Elius Kwadratus, jadący na czele małej straży przedniej, usłyszał na brzegu kanału tupot kopyt, polecił więc kompanom, aby przywarli do ściany, Antoninusowi zaś, który kroczył u jego boku, aby zawrócił i ostrzegł pozostałych.

Antoninus ledwie zdążył. Jeszcze chwila bowiem, a grupa, w której skład wchodził Balbus, Uksal i Lucjanus, znalazłaby się na widoku. Wstrzymując oddech odczekali, aż rozlegnie się odgłos cichnącego w oddali galopu, po czym dołączyli do reszty kompanów, którzy zdążyli się już przygotować na najgorsze, na zaciętą walkę do ostatniej kropli krwi.

— Bogowie czuwają nad nami — powiedział Metellus. — Chodźmy dalej, nie mamy wyboru.

Przeszli jeszcze milę, niekiedy kryjąc się w cieniu wysokich skał i występów, wznoszących się na wschodniej krawędzi wąwozu, zawsze jednak z sercem w gardle, że ktoś ich zobaczy, aż znaleźli w końcu schronienie, które zdołało pomieścić ich wszystkich. Okresowe powodzie złożyły miazgę piaskowic zamkniętą między dwiema warstwami krzemionki tworząc dość szeroką i wystarczająco głęboką jamę, aby można w niej było stanąć. Wśliznęli się czym prędzej do środka, najpierw osły wraz z tobołami, a następnie ludzie, na koniec zaś wreszcie odpoczęli pozwalając sobie na odrobinę snu.

Metellus polecił Publiuszowi i Antoninusowi, aby obejrzelik dokładnie ścianę w poszukiwaniu miejsca, z którego można by wejść na górę, żeby obserwować okolice, obóz Aus Daiwa, o ile nadal jest

widoczny, oraz straż zewnętrzna, która powinna się znajdować za ich plecami.

Odziani jedynie w krótkie tuniki, obaj wdrapali się po występie skalnym, który umożliwił dotarcie niemal na sam szczyt, po czym objęły wartę na resztę dnia zapewniając pozostałym poczucie bezpieczeństwa.

Wróciwszy wraz z zapadnięciem zmierzchu, wyczuli poruszenie wśród siedzących w grocie towarzyszy. Okazało się, że Septymiusz i Lucjanus za pomocą oszczepów upolowali samca kozicy, którego właśnie odzierali ze skóry.

— Na Herkulesa! — zawołał Kwadratus. — Nie wiedziałem, że z was myśliwi.

— Jestem na pół Celtem — odrzekł Septymiusz. — U nas człowiek uczy się polować na dzika, zanim umie mówić.

— Ja jestem w połowie Grekiem — dodał Lucjanus — i lubię pieczone mięso. Nie mogę się już doczekać!

— Nie ma mowy — przywołał ich do porządku Metellus. — Jesteśmy jeszcze za blisko obozu. Dym i zapach mogłyby nas zdradzić. Mięso zjemy na surowo. W takiej postaci też jest odżywcze.

— Na surowo? — powtórzył jak echo Uksal. — Ktoś, kto prawie nie ma zębów jak ja, na pewno sobie z tym nie poradzi. A to oznacza, że będę jadł mąkę z ciecierzycy i wodę.

Kompani rozdrobnili wszakże sztyletem wnętrzności, serce i wątrobę, dzięki czemu nadawały się do jedzenia nawet dla niego. Następnie odcięli kolejne kawałki i zakonserwowali je owijając w maty z nadzieją, że upieką je bądź uwędzą, gdy tylko będzie to możliwe.

Wydawało się, że są w dobrych nastrojach, dało się wszakże wyczuć ogarniający ich namacalny niepokój, nieprzezwyciężony lęk. Strach, że owa odzyskana wolność prędzej czy później się skończy i że los nie pozwoli każdemu z nich odebrać sobie życia, nim wpadną w ręce prześladowców. Wycie szakala zbiegło się z pojawieniem się na niebie ledwie widocznego sierpa księżyca, wyznaczając pierwszą zmianę warty dla centuriona Sergiusa Balbusa i legionisty Septymiusza. Uzbrojeni jedynie w sztylety i miecze ukryli się więc za dwoma ogromnymi głazami pośrodku koryta rzeki, w odległości dziesięciu

kroków od siebie, i rozpoczęły czuwanie nasłuchując w ciszy najdrobniejszego szelestu, wypatrując najmniejszego cienia w mroku nocy.

Od czasu do czasu Balbus wołał do swego kompana:

— Ej, jasnowłoso! Jesteś tam?

— Jestem, centurionie — odpowiadał Septymiusz. — Jestem.

9

Wznowili wędrówkę po zakończeniu drugiej zmiany warty, po jakimś czasie zaś teren, którym szli, stał się bardziej dostępny. Dno wąwozu się poszerzyło, boczne ściany obniżyły się stając się mniej strome, wyłożone zaś kamieniami wygładzonymi przez wiatr koryto miało dwie zalety: po pierwsze maszerowało im się po nim wygodniej, a po drugie nie zostawiali śladów, po których wróg zdołałby ich dogonić.

Na dodatek biel wapiennych głązów i ścian odbijała minimalną ilość światła, która pozwalała im widzieć, gdzie stawiają nogi. Do świtu zdążyli przebyć jakieś trzy mile w całkowitym milczeniu i z pełnym spokojem. Pojawiła się już nadzieja, że resztę drogi zdołają pokonać bez przeszkód, w rzeczywistości jednak żaden z nich nie miał odwagi w to uwierzyć, jakby wszystko do tej pory przychodziło im zbyt łatwo.

Znalazłszy kolejne osłonięte miejsce, w którym mogliby się ukryć, czekali, aż zapadnie zmierzch. Metellus wysłał Lucjanusa i Septymiusza, którzy najwyraźniej dobrze się rozumieli, na przespiesi po okolicy, aby upewnili się, czy nie widać gdzieś pościgu. Wprawdzie nie mieli oni zbyt wielkiej swobody ruchów na pozbawionym roślinności i niemal płaskim terenie, stanowili wszakże rodzaj straży przedniej, która mogła uchronić towarzyszy przed niespodziankami, ostrzec przed nadejściem perskiego patrolu bądź karawany, z czego to pierwsze oznaczałoby śmiertelne niebezpieczeństwo, drugie zaś ocalenie.

Posuwali się tak przez kolejne cztery noce, aż dotarli do miejsca, w którym koryto rzeki zamieniło się w łożysko wystlane otoczkami i żwirem, obrośnięte kolczastymi krzewami i pachnącymi ziołami. Wówczas przystanęli, aby się naradzić.

— Od tej pory znajdziemy się na otwartej przestrzeni — przemówił Metellus. — Jeśli nadejdzie patrol, od razu nas zobaczy. Z drugiej strony nie możemy zawrócić ani siedzieć w wąwozie w nieskończoność. Uksal zna tę okolicę najlepiej, dlatego jego zdanie będzie ważniejsze niż kogokolwiek z nas.

— Nie mam zbyt wiele do powiedzenia — zaczął Uksal. — Uważam, że nie pozostało nam nic innego, jak pójść dalej tym wyschłym łożyskiem. Mimo wszystko brzegi znajdują się choć trochę wyżej i zapewniają jaką taką osłonę. W razie niebezpieczeństwa położymy się płasko na ziemi i zaczekamy, aż minie zagrożenie. W nocy też będzie nam łatwiej się ukryć, mimo że księżyc zaczyna świecić coraz mocniej. O ile dobrze pamiętam, po dwóch lub trzech postojach powinniśmy dotrzeć do szlaku, którym podążają karawany idące ku oazom bądź ku brzegowi Oceanu, a wtedy nadzieja na ocalenie zacznie wzrastać z każdym dniem.

— O bogowie! Prawdziwy z ciebie strateg! — zawołał Balbus z przekąsem. — Jeszcze trochę, a prześcigniesz wodza Metellusa.

— Skoro masz lepszy pomysł — odparł Uksal — nikt nie broni, żebyś go nam przedstawił. Ja mówię tylko to, co wiem, i proponuję to, co uważam za słuszne.

— Balbus żartował — wtrącił się Metellus. — Ja też jestem tego samego zdania. Musimy mieć tylko nadzieję, że szczęście nadal będzie nam sprzyjać. Martwi mnie natomiast brak jadła. Za kilka dni skończą nam się zapasy, podobnie zresztą jak woda. Musimy to jakoś rozwiązać.

— Wodę powinniśmy znaleźć już niedługo, bo roślinność w łożysku jest coraz bujniejsza. A co do jadła, być może wiem, jak moglibyśmy je zdobyć, jeśli dotrzemy do oazy nad Khaborasem. W razie zaś gdyby sytuacja stała się rozpaczliwa, zawsze mamy jeszcze osły.

— Skoro tak — odrzekł Metellus — ruszajmy w drogę i niech Fortuna nam sprzyja. Jedyne środki ostrożności, jaki możemy przedsięwziąć,

to wysłanie jednego z nas naprzód jako straż przednią, drugiego zaś na tyły jako straż tylną. Nic więcej nie da się zrobić.

Na straż przednią wybrano Antoninusa, na straż tylną z kolei Kwadratusa, każdy z nich zaś miał się trzymać od małego orszaku w odległości około pół mili. Wraz z pierwszym brzaskiem obaj dołączali z powrotem do kompanów, aby zdać im relację.

Pokonali w ten sposób przestrzeń między dwoma postojami, wynoszącą jakieś dwie parasangi, czyli niewiele ponad sześć mil rzymskich. Rankiem podczas drugiego postoju Kwadratus stawiał się na zbiórkę ze zmartwioną miną.

— Co się stało? — zapytał Metellus.

— Widziałem kogoś, wodzu. Kogoś, kto według mnie nas śledzi.

— Ilu ich jest?

— Jeden.

— Tylko jeden? To dziwne.

— Ja widziałem jednego. I jestem prawie pewien, że jedzie sam.

— Na koniu?

Kwadratus przytaknął.

— Persowie poruszają się raczej w licznych oddziałach — wtrącił Uksal. — To prawie niemożliwe, żeby kręcili się w pojedynkę, z prostego powodu, że jeśli jeden z nich coś zauważy, nie ma możliwości nikogo o tym powiadomić, chyba że straci z oczu tego, kogo ściga.

— Masz całkowitą słuszość — zgodził się z nim Metellus. — W takim razie kto to może być?

— Nie mam pojęcia — odparł Kwadratus. — Kilka razy widziałem go z daleka na zboczu góry, a potem zniknął.

— Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić — powiedział Metellus. — Wyjść mu na spotkanie, a może nawet go zaskoczyć, najlepiej jeszcze przed świtem. Weź ze sobą Publiusza, który jest zwinny i szybki, i postarajcie się dowiedzieć, kto to i czego chce. Ale nie narażajcie się niepotrzebnie, nie dokonujcie żadnych zuchwałych posunięć. Naszym celem jest poznanie jego zamiarów, ale tak, żeby nas nie zobaczył.

— Zrobimy wszystko co w naszej mocy — zapewnił Kwadratus.
— Możesz na nas liczyć.

— Znakomicie. Wobec tego prześpijcie się trochę, a potem ruszajcie w drogę. Weźcie miecze i sztylety, mogą się wam przydać. Przy najmniejszej zapowiedzi niebezpieczeństwa zawróćcie brzegiem i spróbujcie dołączyć do nas jak najszybciej.

— Tak jest, wodzu — odrzekł Kwadratus, który oddalił się wraz ze swym towarzyszem, po czym obaj położyli się na macie pod osłoną ogromnego krzewu tamaryszku.

Przy pierwszej zmianie warty wstali i wzięwszy broń, ruszyli w drogę w kierunku przeciwnym do tego, w którym posuwali się do tej pory.

Maszerowali z ogromną ostrożnością starając się pozostawać jak najdłużej pod osłoną rzadkiej roślinności, głązów bądź wzniesień terenu. Blask pierwszego sierpa księżyca pozwalał na dość dobre rozróżnienie zarysów krajobrazu, na czyściutkim zaś niebie lśniło mnóstwo gwiazd. W pewnej chwili Kwadratus dał swemu towarzyszowi znak, żeby się zatrzymał.

— Co się stało?

— Nie czujesz? To zapach spalenizny.

— To prawda. Teraz też go poczułem.

— Ognisko. Na dodatek wcale nie tak daleko.

— Pójdziemy rzucić okiem?

— Tak, ale będziemy się czołgać. Lepiej nie igrać z losem.

Oddaliwszy się od siebie na kilka kroków, jęli posuwać się z wielką przecznością, starając się nie hałasować, macając ziemię stopami i dłońmi, aby nie potrać żadnego kamyka, który turlając się mógłby ich zdradzić. Przemierzali w ten sposób pół mili, dopóki Kwadratus nie zaśpiewał jak syczek; sygnału tego używali zawsze podczas kampanii wojskowych chcąc uprzedzić o obecności śledzonej osoby.

Odpowiedziawszy w ten sam sposób, Publiusz zbliżył się ostrożnie.

Kwadratus pokazał palcem zgaszone ognisko, które nadal wydziełało silny zapach dymu. Obaj rozejrzeli się wokoło kilka razy, po czym podeszli bliżej.

Kwadratus zanurzył dłonie w popiele.

— Jest jeszcze ciepły. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zgasić ogień.

— Prawda — przytaknął Publiusz również rozcierając popiół w dłoni. — Pewnie nie chce marnować wody, której ma niewiele.

— Nie gadaj głupstw. Do zgaszenia ogniska wystarczy piasek. Czyżby celowo nas tutaj zwabił, żeby...

Nie zdążył jednak skończyć zdania, Publiusz trącił go bowiem łokciem, chcąc zwrócić jego uwagę. Dawał mu znaki oczami pełnymi zdumienia i lęku.

Otóż nie dalej jak dwadzieścia stóp przed nimi siedział nieruchomo na koniu jakiś człowiek. W świetle księżycy był dość dobrze widoczny: miał szczupłą budowę ciała, niczym chłopiec, nosił spodnie i kaptan, a całą niemal twarz zasłaniał mu kawałek czarnej materii, przytwierdzony z obu stron do filcowego nakrycia głowy o niespotykanym kształcie.

— Według ciebie ma broń? — szepnął Publiusz.

— Obawiam się, że tak — odrzekł Kwadratus. — Nie ruszaj się. Nie wiemy, co zamierza.

Tymczasem jeździec dotknął piętami boków konia, po czym zaczął się obracać w kółko okrążając obu mężczyzn, których miał przed sobą. Mimo że otaczała ich absolutna cisza, stukot kopyt był prawie niesłyszalny.

— Zupełnie jakby nie dotykał ziemi — mruknął Publiusz, który zamierzał się odwrócić, aby nie stracić z oczu tajemniczego jeźdźca.

— Nie ruszaj się — syknął Kwadratus. — Nie stawiaj mu czoła. Przecież nie zada nam ciosu w plecy. Jeśli będziemy się obracać razem z nim, pomyśli, że się boimy.

— Święta racja — przytaknął przez zęby Publiusz zatrzymując się w pół kroku.

Skończywszy swój krótki taniec wokół dwóch mężczyzn tkwiących nieruchomo przy ognisku, jeździec znów przystanął przed nimi. Nagle w jego rękach znalazł się nie wiadomo skąd łuk z nałożoną na napiętą cięciwę strzałą.

— To już koniec — szepnął Publiusz. — Zegnaj, centurionie, spotkamy się w Hadesie.

Kwadratus nie odpowiedział. Wpatrywał się w grot strzały jak zaczarowany. Jeździec celował weń przez chwilę, po czym powoli puścił cięciwę, odłożył łuk i spiął konia znikając za jedną z nierówności terenu.

Legioniści spojrzeli po sobie bez słowa i czym prędzej zawrócili.

Gdy dotarli do swych kompanów o pierwszym brzasku, opowiedzieli im, co się wydarzyło. Wysłuchawszy ich relacji z ogromną uwagą, Metellus zapytał Uksala:

— Co ty na to? Kto to mógł być? Na pewno nie perski zwiadowca, bo inaczej dłaczego by im darował życie?

— Ja też nie sądzę, żeby to był zwiadowca wysłany za nami w pościg. Po pierwsze nie poprzestałby na mierzeniu do nich z łuku, po drugie nie byłby sam. Nasuwa się tylko jedno spostrzeżenie: nie chce, żeby mu się ktoś plątał pod nogami. Gdyby znów się natknął na kogoś z nas, tym razem nie zawahałby się strzelić.

— Podzielał twoje zdanie — zgodził się z nim Kwadratus. — Gdyby zamierzał nas pozabijać, miał czas, żeby to zrobić. Po prostu chciał nam dać wyraźnie do zrozumienia, żebyśmy się trzymali z daleka i że jeśli jeszcze raz będziemy mu deptać po piętach, bez namysłu do nas strzeli.

— Mówicie, że nosił coś w rodzaju czarnego woalu, który zasłaniał mu twarz? — upewnił się Metellus.

— Tak, przyczepiony u góry do dziwnego nakrycia głowy. Miał na sobie skrzyżowany na piersiach kaftan ściągnięty pasem, do tego spodnie i buty, które zakrywały mu stopy.

Przez głowę Metellusa przemknął obraz jeźdźca z osłoniętą twarzą, którego widział przez chwilę w Edessie, wśród wojowników z orszaku Szapura, potem zaś z daleka, podczas wędrówki po płaskowyżu.

— Ten osobnik jest jakiś dziwny — uznał Sewer. — Sledzi nas, ale jednocześnie nie pozwala, żebyśmy szli za nim.

— Wcale nie jest powiedziane, że nas śledzi — zauważył Balbus, który do tej pory milczał. — Może po prostu podąża tą samą drogą. Może też przed kimś albo przed czymś ucieka, tak jak my.

— To możliwe — odrzekł Metellus — i dlatego nie przejmowałbym się nim zbyt. Róbmy dalej swoje. Teraz będziemy maszerować, dopóki jest chłodno. Kiedy zrobi się za gorąco, schowamy się w jakimś osłoniętym miejscu, jeśli takie znajdziemy, a jeśli nie, sami coś zbudujemy. Dalej, naprzód.

Ruszył pierwszy, za nim Balbus i Kwadratus, następnie Uksal i Lucjanus wraz z osłami, na końcu zaś Antoninus, Sewer, Marcjanus, Publiusz i Rufus, który nigdy nie rozstawał się ze swym oszczepem, nawet podczas marszu.

Świt nie kazał na siebie długo czekać, dając o sobie znać najpierw delikatną różową smugą po lewej stronie, następnie zaś świetlistym łukiem, który pogasił po kolei wszystkie gwiazdy. Gdy wstało słońce, bezkresny nagi krajobraz, rzeźbiony dopiero co przez blade światło i mieszaninę barw od nocnego granatu do porannego różu, która ozdabiała go mnogością kolorów i niewyraźnych cieni, przeistoczył się w wapienną, oslepiającą równinę, w bezkształtną płytę, na której rozgrzane powietrze rysowało złudne obrazy.

Widząc, że jego żołnierze ociekają potem, Metellus dał rozkaz, by się zatrzymali i zbudowali osłonę przed słońcem z kilku patyków i mat. Następnie odwiązali osły, aby mogły swobodnie skubać krzewy tamaryszku i inne rośliny o kulistym kształcie i mocnej zielonej barwie, które potrafiły rosnąć pośrodku tej kamiennej pustyni.

Położywszy się jeden obok drugiego, okryli twarze szmatami usiłując zasnąć. Na warcie zostali Rufus wraz z Publiuszem, który ciągle wpatrywał się w horyzont.

— Tam jest — stwierdził nagle.

— Kto?

— On. Łucznik na koniu.

— Nic nie widzę.

— Tam, gdzie jest ten tuman kurzu. Na tamtym pagórku.

— Masz dobry wzrok. Teraz, kiedy mi powiedziałeś, też go widzę. Ale co on robi?

— Nic. Siedzi nieruchomo na koniu w samym środku pustyni.

— I mózg mu się nie gotuje?

— Nie mnie o to pytaj. Nie wiadomo, skąd pochodzi ani kim jest. Powiadają, że Azja jest tak ogromna, że zajmuje całą resztę świata. Istnieją lądy, gdzie mieszkają potwory, które mają tylko jedną nogę albo które zamiast twarzy mają jedno oko na samym torsie.

— Wierzysz w to?

— Nie wiem, ale mogę cię zapewnić, że on nie jest taki jak my. Stoi przed nami, jakby wyrósł spod ziemi. I kto wie, co czai się za tą czarną zasłoną, która zakrywa mu prawie całą twarz. Dobrze wiesz, że centurion Kwadratus to wojownik, który nie wie, co to trwoga, a przecież kiedy w blasku księżyca zobaczył go przed sobą celującego z łuku, zbladł jak płótno.

— W blasku księżyca wszyscy są bladzi jak płótno.

— Zamilkniecie wreszcie? — uciszył ich Kwadratus.

— Chciałbym się zdrzemnąć godzinkę lub dwie, jeśli pozwolicie.

Obaj wprawdzie zamilkli, nie przestali się wszakże wpatrywać w ciemną sylwetkę stojącą bez ruchu na zboczu wzgórza.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie — podjął szeptem Rufus — on woli nie jechać przodem. Przepuszcza nas pierwszych, żeby nie natrafić na jakąś niespodziankę.

— Albo nie ma pojęcia, w którą stronę jechać, i snuje się za nami w odpowiedniej odległości z nadzieją, że znamy drogę.

— Tak, to możliwe. Dowódca ma jednak rację. Zostawmy go w spokoju i zajmijmy się swoimi sprawami. Prędzej czy później zniknie.

I rzeczywiście zniknął tak, jak się pojawił. Rufus i Publiusz odwrócili od niego uwagę spoglądając na osły, które zaczęły się trochę za bardzo oddalać, kiedy zaś popatrzyli z powrotem na wzgórze, jeździec zdążył się już rozpląnąć w drżącym powietrzu rozgrzanym przez słońce.

Przed wieczorem każdy z nich zjadł po kilka daktyli i orzechów, wypił ostatnią rację wody, którą Marcjanus nalewał im do drewnianej czarki, po czym ruszyli w dalszą drogę posuwając się nieodmiennie po wyschniętym korycie rzeki.

Wędrowali jeszcze przez dwie noce mając w żołądkach niewiele jadła i w ogóle nie pijąc. W końcu zmęczenie jeło się stawać nie do zniesienia. Z pewnością nie sposób wynagrodzić trwającą półtora roku mordęgę, potworny wysiłek i nieludzkie traktowanie za pomocą długiego marszu i racjonowanej żywności. Posuwali się naprzód dzięki sile woli i wytrwałości, które zdołali umocnić podczas najstraszniejszych prób.

Najwięcej zmartwień przysparzał Uksal, wiek, zmęczenie i wzruszenie wywołane tą przygodą zdawały się bowiem odciskać większe piętno na jego kruchym ciele niż na kimkolwiek innym.

Wreszcie o świcie trzeciego dnia w korycie rzeki, po którym wędrowali, jeła się pokazywać coraz obfitsza roślinność, Uksal zaś nabrał otuchy aż do tego stopnia, że przekonał wszystkich, by szli dalej, zamiast budować schronienie na dzień.

— Po co ten pośpiech? — zapytał Metellus. — Skoro czekaliśmy tak długo, możemy poczekać jeszcze trochę.

— Jestem pewien, że już blisko — odrzekł Uksal. — Widzisz te ptaki? To zięby, które codziennie potrzebują wody. Zobaczysz, że jesteśmy blisko.

I nie mylił się. W ciągu dwóch godzin zdążyło się ochłodzić, pośrodku koryta rzeki zaś pojawiła się gęsta plama roślinności.

— Ja pójdę pierwszy — oznajmił Uksal. — Nigdy nic nie wiadomo. Zaczekajcie na mnie i postarajcie się, żeby nikt was nie zobaczył.

Wyruszył w pojedynkę, a kiedy wrócił po jakimś czasie, miał mokre włosy i odzienie, usta zaś rozciągnięte w uśmiechu, który można by nazwać promiennym, gdyby w dziąsłach zostały mu jeszcze zęby.

— Woda — powiedział.

— Woda? — powtórzył z niedowierzaniem Metellus.

— A także daktyle i pistacje. Mnóstwo.

Metellus nic nie odpowiedział, za to w sercu podziękował swym przodkom i dobroczynnemu duchowi Klelii, że strzegli go aż do tej pory. Podązał za Uksalem, który odgrywał rolę przewodnika, aż na szczyt wielkiego wzniesienia, gdzie przystanął, aby napawać się widokiem ocalenia. Spoglądał na swych żołnierzy, którzy pobiegli do gaju

składającego się z palm i wybujałych krzewów tamaryszku, niemal nie potrafiąc uwierzyć, że oto uczynili kolejny krok ku wolności.

„Woda i jadło — zastanawiał się posuwając się za nimi — dodadzą nam sił i odwagi, by iść dalej. Teraz może być już tylko lepiej. Znajdziemy osady ludzkie, targi i karawany, które zawiodą nas jeszcze dalej od tego piekła.”

Gdy oczyma duszy ujrzał synka, wydało mu się, że to właśnie on poprzez swoje myśli i wiarę w jego powrót przysłał mu wodę, której miał się wkrótce napić. Żywił przekonanie, że za sprawą dobrych myśli osób, które go kochały, wydarzenia przybierały pomyślny obrót dla niego i dla jego kompanów.

Woda tryskała między dwiema wapiennymi skałami napełniając naturalne wgłębienie aż po brzegi, stamtąd zaś z bulgotem spływała kaskadą przez szczelinę, zasilając potok, który torował sobie drogę wśród lśniących otoczaków i czystego piasku.

Tymczasem jego żołnierze, rozebrawszy się do naga, nabierali wodę w złęczone dłonie i polewali się nią nawzajem śmiejąc się i żartując niczym mali chłopcy, zmywając z siebie pot, kurz i brud, który oblepiał im skórę i włosy. Metellus, który zdążył już ugasić pragnienie, również przyłączył się do wspólnej kąpieli doznając wrażenia, że odzyskał siły i wiarę w przyszłość.

Gdy wyszli z wody, było już południe. Wyciągnęli się w cieniu, by wyschnąć i odpocząć, zostawiając na straży Marcjanusa na zewnątrz oazy.

Lucjanus zauważył, że wokół jest pełno śladów zwierząt.

— Tutaj zdobędziemy nawet mięso — powiedział.

— O zmiernych przyjdą do wodopoju gazele, kozice i antylopy. Wystarczy się przyczołgać i cierpliwie czekać, a potem zadać celny cios.

— A będzie można rozpałcić ognisko? — upewnił się Sewer.

— Moim zdaniem nie ma już niebezpieczeństwa — odrzekł Uk-sal. — Znajdujemy się wiele mil od obozu Aus Daiwa, od ucieczki zaś minęło już sporo czasu. Tamci sami nie wiedzą, gdzie nas szukać, a poza tym jesteśmy teraz na szlaku, którym wędrują karawany. Dym z

ogniska nikogo tutaj nie dziwi, na dodatek w nocy go nie widać. Wystarczy zasłonić płomień matami, palmowymi liśćmi, czym się tylko da.

— Nie zgadzam się z tym — zaprotestował Metellus — ale jeśli wszyscy popierają ten pomysł, jestem gotów spróbować. Musimy nabrać sił, kawałek pieczonego mięsa zaś to zbyt silna pokusa nawet dla dowódcy legionu.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem, po czym położyli się spać. Resztę dnia spędzili na zrywaniu wprawdzie jeszcze niedojrzałych, lecz już nadających się do jedzenia daktyli i pistacji, aby upiec je przy ogniu, kiedy go rozpalą.

Tymczasem Lucjanus i Septymiesz przegonili wszystkich znad źródła i zabrali się do przygotowywania zasadzki. Gdy dołączył do nich Rufus z nieodłącznym oszczepem, całej trójce pozostało tylko czekać, aż się ściemni. Puścili wolno osły, ich obecność powinna bowiem podziałać uspokajająco na dzikie zwierzęta.

Oczekiwanie trwało dłużej, niż się spodziewali. Tuż po zachodzie słońca nadeszła młoda gazela, zwęszywszy coś jednak, oddaliła się wielkimi susami. Następnie zjawił się szakal, który spokojnie ugasił pragnienie, po czym potruchtał z powrotem. Gruba zwierzyna przybyła dopiero w środku nocy: antylopa i para kozic. Korzystając ze słabego księżycowego światła Lucjanus wycelował z łuku i strzelił. Ugodzona w udo samica kozicy zerwała się do ucieczki, a wówczas wkroczył Rufus ze swym oszczepem, trafiając ją w bok.

Zwierzę padło na ziemię wierzgając, samiec i antylopa zaś w paru skokach zniknęły w ciemnościach. Septymiesz dobił samicę nożem, po czym odarł ze skóry i poćwiartował. Tymczasem Uksal zabrał się do rozpalania ogniska na sposób koczowników, pocierając sykomorowy patyk o wgłębienie w suchej gałęzi tamaryszku. Wkrótce się zmęczył, toteż zastąpili go Balbus i Kwadratus, którzy prędko nauczyli się tej metody. Po chwili w wyniku tarcia z gałęzi tamaryszku uniósł się dym, który uwolnił płomyk.

Był to pierwszy posiłek, jaki zjedli po dziewiętnastu miesiącach niewoli, na dodatek Uksal przyprawił mięso pachnącym słonym zielenem rosnącym wśród kamieni.

— Gdybyśmy mieli odrobinę wina... — rozmarzył się Antoninus.
— Wyobrażacie sobie? Nie wiem, co bym dał za tyk *massico*.

— Mamy wodę — odrzekł Metellus — a to już cud.

— Wodzu — powiedział Rufus — teraz damy sobie radę, prawda? Chyba już przestali nas szukać.

Urwawszy łądygę dzikiego owsa, Metellus obracał ją przez chwilę w palcach, po czym rzekł:

— Zawsze musisz starać się myśleć tak jak nieprzyjaciel. Co byś zrobił na ich miejscu? Poddałbyś się?

Rufus nie odpowiedział.

— Trzeba się zadowolić tym, co mamy — ciągnął Metellus. — Każdy dzień to kolejne zwycięstwo. Tak, może nam się udać. Z każdą godziną jesteśmy coraz bliżej wolności, ale tamci nie zrezygnują. Tego możemy być pewni. A teraz zgaście ognisko, pozacierajcie ślady, załadujcie wszystko na osły i ruszajmy w drogę.

Mały orszak powędrował znikając w mroku.

10

W odległości trzech czy czterech mil na zboczu wzgórza pojawiła się karawana, składająca się z tuzina objuczonych wielbłądów i niewielkiej eskorty konnych. Słońce świeciło im prosto w plecy, toteż widać było jedynie ich ciemne sylwetki, szlak zaś, jakim podążali, wydawał się mniej więcej zgodny ze szlakiem Metellusa i jego żołnierzy, którzy ciągle szli wzdłuż koryta strumienia, aby nikt ich nie zobaczył. Wielokrotnie dowódca oddalał się o kilkaset kroków w lewo bądź w prawo, pragnąc się upewnić, czyjego mały orszak jest widoczny. Przekonawszy się jednak, że ponad krawędź koryta wystają zaledwie głowy najwyższych z nich, które nie sposób zresztą dostrzec w ciemnościach, uspokoił się.

Postanowił, że będą wędrować tylko w nocy, strategia ta okazała się bowiem najlepsza jak do tej pory, wyruszeni wszakże już o zmierzchu

i maszerowali również w pierwszych godzinach świtu, aż do wschodu słońca. W ten sposób udało mu się wydłużyć odległość, jaką pokonywali w każdym etapie, niemal do siedmiu, ośmiu mil.

W miarę jak posuwali się naprzód, prąd wody stawał się coraz bystrzejszy przybierając postać strumyczka, który zasilał dość obfitą roślinność. Żywiło się nią niemało zwierząt, a także chmary kuropatw i dropi, które nierzadko wzbogacały pożywienie grupy dodając jej sił. Z wyjątkiem Uksala wszyscy byli raczej młodzi, toteż ich ciała, które przez długi czas musiały się obejść niemal bez jadła, bardzo dobrze znosiły wprawdzie skromny, za to pożywny pokarm, jaki udało im się upolować. Wigor czerpali jednak przede wszystkim z radości, że odzyskali wolność, i z silnego postanowienia, że nigdy więcej z niej nie zrezygnują, bez względu na cenę.

W tym stanie ducha wędrowali dalej trzymając się ciągle karawany, którą dostrzegli z daleka. Prawdopodobnie składała się z kupców podążających w towarzystwie niewolników, z przewodników oraz ich eskorty, wszyscy zaś musieli rozbijać obóz nad strumieniem, gdzie rozpalali ognisko i gotowali strawę.

W połowie drugiego etapu, począwszy od chwili, gdy dojrzeli karawanę, strumyk niespodziewanie zniknął pod ziemią i pojawił się z powrotem dopiero prawie po ośmiu milach. Wody sobie wprawdzie nabrali, jadła wszakże znów zaczęło brakować.

Pewnego wieczoru do Uksala, który piekł sobie coś właśnie na rozgrzanym kamieniu, podszedł Kwadratus.

— Co to jest? — zapytał centurion. — Ładnie pachnie.

— Coś dobrego — odrzekł Uksal. — Spróbuj.

Kwadratus nie kazał sobie dwa razy powtarzać, po czym w jego ślady poszła reszta kompanów.

— Co to było? — zapytał na koniec Sewer. — Nigdy czegoś takiego nie jadłem.

— Larwy — odparł Uksal.

— To znaczy robaki? — wykrzyknął Sewer z obrzydzeniem.

— Nazywaj to, jak chcesz. Najważniejsze, że mamy co jeść — odezwał się za jego plecami Metellus. — Nie chcę żebyście stracili siły. Przyda nam się każda iskierka energii.

Pokonawszy kolejne dwa odcinki po trzy parasangi, z ulgą stwierdzili, że znów pojawił się strumień, który towarzyszył im już przez resztę drogi. Pod koniec szóstego etapu, tuż przed świtem, dotarli do obszaru porośniętego wybujałymi palmami, wśród których wił się strumień, wpadający następnie do Khaborasu. Ta wielka rzeka, rozbłyskująca w całej dolinie, płynęła z północy na południe pomiędzy dwiema niskimi ścianami piaskowca, gdzie wyźłobiła sobie koryto. Wszędzie widać było karawany robiące postoje pod palmami i wzdłuż brzegów rzeki, a także te nadciągające ze wszystkich stron. Na lewym końcu dużego gaju palmowego leżała wioska składająca się z niskich chat z niewypalanej cegły, powalanych błotem.

— Oaza nad Khaborasem! — zawołał Uksal. — A nie mówiłem?

— Nigdy nie wątpiłem w twoje słowa — powiedział Metellus kładąc mu dłoń na ramieniu. — Jesteśmy ci wdzięczni. To ty, Uksalu, jesteś prawdziwym dowódcą tej wyprawy. Bez ciebie nigdy nie zdołalibyśmy dotrzeć aż tutaj. Ale obawiam się, że teraz czekają nas trudności. W tym miejscu krzyżują się szlaki kupieckie ze wszystkich kierunków. Nikt zaś nie wie o tym lepiej niż nasi wrogowie. Jestem pewien, że w karawanach i w wiejskich chatach znajdują się perscy szpiedzy albo nawet przebrani żołnierze.

— Jaka więc jest twoja rada, wodzu? — zapytał Kwadratus.

— Moja rada jest taka: niech na zwiady pójdą Uksal i Septymiusz i niech wezmą ze sobą dwa osły. Septymiusz będzie udawał niewolnika, dzięki czemu nie będzie musiał się odzywać, na dodatek co noc będzie tu wracał, żeby złożyć nam sprawozdanie. Kiedy Uksal ugada się z jakąś karawaną, do której będziemy mogli się dołączyć, wtedy się pokażemy i ruszymy dalej w nadziei, że na dobre oddaliliśmy się od niebezpieczeństwa.

— Moim zdaniem to rozsądny pomysł. A kiedy wyruszamy? — upewnił się Uksal.

Metellus popatrzył na słońce.

— Ludzie, którzy nie mają nic do ukrycia, podróżują za dnia, sądzą więc, że powinniście się zjawić wieczorem. Trzeba będzie długo czekać.

Znalazłszy polanę w cieniu palm, każdy oddał się własnym zajęciom, by zabić czas: a to praniu odzienia w strumieniu, a to wycinaniu kostura, a to ostrzeniu oselką swego miecza bądź sztyletu, a to wyplataniu koszyka z wikliny.

Publiusz natomiast wolał cofnąć się korytem strumienia wraz ze swym kompanem jakieś pół mili.

— Ten łucznik na koniu ciągle nie daje ci spokoju, prawda? — zapytał go Rufus.

— Wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy komar lata wokół ciebie bez przerwy nieznośnie bzycząc i chociaż cię nie kąsa, ty i tak stale myślisz: „Zaraz mnie ugryzie, zaraz mnie ugryzie” i nie potrafisz się skupić na niczym innym?

— Tak, wyobrażam sobie.

— Z tym jest tak samo. Dałbym sam nie wiem co, byleby się dowiedzieć, gdzie teraz jest i co mu chodzi po głowie.

Dotarli do dość wysokiego wzniesienia, z którego rozciągał się szeroki widok, zdołali wszakże dostrzec w oddali jedynie jakąś karawanę, prawdopodobnie zmierzającą do oazy nad Khaborasem.

— Myślę, że poszedł w swoją stronę. Wierz mi, nigdy więcej go nie zobaczymy — stwierdził Rufus.

— Mam taką nadzieję, ale serce mi podpowiada, że się mylisz. Tak czy inaczej zostanę tu trochę. Jeśli chcesz wrócić, nie zatrzymuję cię.

Rufus dotrzymał mu towarzystwa, nic się jednak nie wydarzyło: jeździec nie wyłonił się z ogromnej pustki. Kiedy zaś słońce znalazło się wysoko na niebie, gorące powietrze pustyni sprawiło, że jęli widzieć osobliwe obrazy, jakieś ulotne kształty tańczące po chropowatych ścianach skał, tumany kurzu, wykrzywiałe się i wijące niczym przekłętę duchy w słonecznym skwarze.

— Wracajmy — powiedział Rufus po kilku godzinach daremnego czuwania. — Czekamy na zjawę. Już ci to mówiłem. Pewnie pojechał w swoją stronę.

Kiedy Publiusz niechętnie ustąpił, obaj ruszyli brzegiem do obozowiska.

— Wiesz co? — odezwał się po chwili. — Jestem pewien, że pojawił się znowu, ledwieśmy się odwrócili. A to psi syn. Gdzieś pośrodku pustyni...

— Oszalałeś na jego punkcie — odrzekł ze spokojem Rufus. — Ja w ogóle o nim nie myślę. Może się pojawiać i znikać, kiedy tylko zechce. Jedyne, na czym mi teraz zależy, to wśliznąć się do jakiejś karawany, dostać do pierwszego lepszego portu na Oceanie, wsiąść na statek handlowy płynący na zachód, a za dwa lub trzy miesiące powinniśmy już być w moim wiejskim domu na Sycylii. Mógłbyś się ze mną zabrać; to ładny domek z kamienia, a obok płynie strumyk, który napędza młyn. Rosną tam drzewa owocowe i oliwne, jest pastwisko dla owiec. Mam także kury; moja żona co rano zbiera koszyk jajek.

— Ja też mieszkam na wsi — odrzekł Publiusz. — W okolicy Spoletum. Mam pola pszenicy, piękną winnicę i dębowy las, w którym pasą się świnię. Robię z nich takie szynki i kiełbasy, o jakich ci się nie śniło.

— Nawet o tym nie wspominaj — powiedział Rufus.

— Lepiej nie mieć złudzeń; niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Według mnie najgorsze dopiero nas czeka. Słyszałeś, co mówi dowódca? On uważa, że ta oaza to najlepsze miejsce, żeby nas szukać.

Nagle Publiusz odwrócił się, jakby chciał zaskoczyć kogoś, kogo w rzeczywistości nie było.

— Ach! — zawołał Rufus potrząsając głową. — Naprawdę się nie poddajesz, co?

Publiusz nie odezwał się już do końca drogi.

Słoneczne, oślepiająco jasne popołudnie przebiegło w osobliwej i podejrzanej ciszy, przed dokonaniem tak ważnego i zarazem niebezpiecznego kroku, jakim miało być wkroczenie do zamieszkaney, pełnej ludzi osady, każdy pogrążył się bowiem we własnych myślach.

Ci spośród nich, którzy nie mogąc znieść zniewolenia pod żadną postacią najdotkliwiej odczuli uwięzienie, czyli Kwadratus i Balbus, ale również Septymiusz i Antoninus, zastanawiali się, czy nie byłoby

lepiej przedłużyć, o ile się tylko da. okres wolności pośród dzikich ostępów, zamiast narażać się na jej utratę w zaludnionej wiosce, gdzie mogliby jej nigdy nie odzyskać. Zdawali sobie jednak sprawę, że wszyscy muszą dzielić wspólny los, że uratują się wszyscy albo nikt. Nie opuszczała ich także świadomość, że ich mała armia ma swego wodza, komendanta Akwilę, legata z Drugiego Legionu Augusta, jednego z najwaleczniejszych dowódców w cesarstwie i najlepszego przewodnika, jakiego mogliby sobie zażyczyć.

Pocąc się w stojącym powietrzu w cieniu palm, co chwila zerkali spod oka na Metellusa, aby przekonać się, w jakim jest nastroju. Wyraz twarzy dowódcy, zaprzątniętego planami na najbliższe dni, był wszakże nieodgadniony. Musiał unikać wszelkich pomyłek, opracowując jak najlepszy szlak, który pozwoliłby im zdobyć wolność na zawsze.

Uksal i Septymiesz wrócili dopiero nazajutrz o zachodzie słońca, pokazując zaś zawartość słomianego kosza starzec zawołał:

— Chleb! Przyniosłem wam chleba, dzielni wojownicy. Co wy na to?

— Chleba? — powtórzył Lucjanus. — Chyba już zapomniałem, jak smakuje.

— Patrzcie, jakie śliczności! — powiedział Septymiesz wyciągając bochenki. — Jest tego tyle, że aż za dużo!

— Jak wam poszło? — zapytał natychmiast Metellus.

— Dobrze. Moim zdaniem dobrze — odrzekł Uksal. — Zawarliśmy znajomość z pewnym indyjskim kupcem, niejakim Darumą, a Septymiesz zapracował nawet u niego na ten koszt chleba, który dopiero co wyjął z pieca. Wyrusza za kilka dni. Zamierza iść w dół rzeki przez dzień lub dwa, żeby dostać się do jakiegoś portu, w którym mógłby wsiąść na statek i dopłynąć aż do Oceanu.

— Mówiłeś mi o nas?

— Powiedziałem, że czekam na przyjaciół, którzy chcą się zabrać statkiem, ale że nie możemy sobie pozwolić, aby go wynająć. Jednym słowem nie omówiłem jeszcze dokładnie szczegółów, ale już przygotowałem grunt.

— Nie zauważyliście nic podejrzanego? — Metellus zwrócił się do Septymiusza. — Miałeś okazję rozejrzeć się po okolicy?

— Nie za bardzo. Widziałem tylko kupców, robotników, niewolników i ludzi wszelkiej maści: Persów, Żydów, Ormian, Arabów, mieszkańców Kommageny i Adiabene. Spotkałem nawet jednego, co mówił po łacinie; był to Syryjczyk z Emesy, który opowiedział mi mnóstwo ciekawych rzeczy.

Uksał zabrał się do krojenia chleba, tymczasem Lucjanus rozpałał właśnie ognisko od żaru, który nosił zawsze w pudełku z palmowego drewna, gdzie spoczywał przykryty popiołem.

— Jakich rzeczy? — dopytywał się Metellus.

— Przede wszystkim że kiedy Odenat wracał do ojczyzny z legionami z Palmyry i z osroeńskimi wojskami pomocniczymi, napadł na Szapura odbierając mu łupy, które tamten zagarnął podczas wojen, i narażając go na poważne straty. Podobno Szapur dosłownie cudem ocalał.

Metellus spojrział na Septymiusza z niepokojem.

— To dobra wiadomość, ale w jaki sposób rozmowa zeszła na taki temat?

— Gdy nabieraliśmy wody ze studni, usłyszałem, jak porozumiewa się po łacinie ze swoim niewolnikiem, zapytałem więc, skąd jest, a on mi odpowiedział. Wiesz, jak to jest: już po chwili wyjawiał, że jechał w konwoju wiozącym zapasy, kiedy Odenat udał się za Szapurem i niezle załazł mu za skórę, zanim wozy z łupami zdążyły przekroczyć most nad Tygrysem.

Metellus trzasnął pięścią w udo.

— Dobrze rozegrane, na Herkulesa! Chciałbym tam być, żeby zobaczyć tego wystrojonego w piórka koguta, tego napuszonego pawia, tego tchórzliwego psa syna...

— Też mi to przyszło do głowy — ciągnął Septymiusz — i przyszło mi jeszcze do głowy, że gdyby atak miał miejsce wcześniej, być może odzyskalibyśmy wolność, a może nawet cesarz by jeszcze żył. Niestety! Tak czy inaczej ów Syryjczyk sporo wiedział: powiedział, że Galien nie pokazał się już więcej na Wschodzie, że otacza się chrześcijańskimi ministrami i że na południe od Anatolii rządzi Odenat,

który zachowuje się jak niezależny władca.

— Wcale mnie to nie dziwi — odparł Metellus. — Odenat to znakomity dowódca, ale wysoko mierzy, jego żona zaś mierzy jeszcze wyżej i potrafi zmusić go do uległości, kiedy tylko zechce... W jakim języku mówił ten cały Daruma? — zapytał po chwili.

— Uksal rozmawiał z nim po persku, ja z kolei słyszałem, jak układa się z jakimś Syryjczykiem po grecku, o ile się nie mylę.

— W takim razie chodźmy. Zaprowadź mnie do niego.

— Teraz?

— Nie warto tego odkładać; zjemy chleb po drodze. Chodźmy.

Ruszyli do oazy, gdzie rozpalano właśnie liczne ogniska, które rzucały różową poświatę na zwisające z wysoka liście palm. Podczas wędrówki mijali grupy członków rozmaitych karawan przygotowujących się do wieczery: arabskie kobiety o wytatuowanych twarzach, młodych niewolników syryjskich, Ormian w długich płaszczach w kolorze błękitu, ochry i czarnym i w szarych tunikach, Hindusów, z których jedni mieli włosy proste, inni zaś kręcone, Żydów w nakryciach głowy z białego lnu, a nawet Etiopczyków. Wszędzie słychać było szmer, krzątanie, a także śmiechy i krzyki dzieci, które baraskowały wśród palm i tysiąca kanałów irygacyjnych. Ani Metellus, ani jego żołnierze nie ulegli jednak urokowi tego jakże pogodnego i kojącego obrazu i choć nie dali tego po sobie poznać, nie umknął im ani jeden szczegół, który mógł budzić podejrzenia.

— To jest obóz Darumy — powiedział w pewnej chwili Uksal. — Tam, w głębi, w pobliżu chat z cegły. Pozwólcie, że pójde pierwszy.

Reszta kompanów zwolniła kroku niemal przystając i czekała, aż Uksal da im znak, by się zbliżyli.

Daruma siedział pośrodku polany, na której jego ludzie piekli właśnie przy ogniu barana. Odziany był w suknię koloru ochry, która sięgała do ziemi nie maskując ani potężnej sylwetki, ani sadła na brzuchu, nosił srebrne kolczyki, włosy zaś miał związane w węzeł na

karku. Sądząc po licznych siwych pasmach, które odcinały się wyraźnie od kruczoczarnej czupryny, mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat.

Podszedłszy do Hindusa, Metellus powitał go po grecku:

— Chaire!

— Chaire — odrzekł Daruma. — Witaj w moich skromnych progach, nieznajomy.

Mówił w jakimś wschodnim koine z silnym, lecz nieokreślonym akcentem. Tego typu greką posługiwali się wszyscy od Bizancjum po Aleksandrię, aż hen w kramach bławatnych nad Zatoką Perską, nad Morzem Czerwonym i nad śródziemnomorskim wybrzeżem Arabii; rozumieli ją przede wszystkim nie-Grecy, mieszkańcy Aten zaś z pewnością nie potrafiliby nią władać.

— Domyślam się, że jesteś dowódcą twojej małej karawany — powiedział Daruma.

— Moi kompani obdarzyli mnie zaufaniem — odparł Metellus usiłując dostosować swój język do sposobu wystawiania się człowieka, którego miał przed sobą.

Daruma usiadł na macie zapraszając gości, by poszli w jego ślady. Metellus i jego żołnierze przycupnęli krzyżując nogi z wyraźnym trudem.

— Nie mam ze sobą poduszek — uśmiechnął się Daruma. — Maty są o wiele wygodniejsze do przewożenia i zajmują mało miejsca.

— Maty bardzo nam odpowiadają — zapewnił go Metellus nieco skrepowany.

— Wasz towarzysz mówił, że chcecie się nająć do pracy.

— Powiem ci, jak sprawy stoją — odrzekł Metellus. — Otóż wieźliśmy ładunek tkanin i skór do portu w Hormusii, gdy napadła na nas banda zbójców. Uratowaliśmy się tylko my, na dodatek udało nam się schwytać te trzy osły, które uciekły na pustynię podczas ataku. Cudem ocaleliśmy żywiąc się tym, co zdołaliśmy znaleźć. Nie mamy złota, lecz chcemy się dostać do wybrzeża, gdzie poszukamy statku, który by nas zabrał. Umieemy robić wszystko; dobrzy z nas rzemieślnicy, kowale i cieśle, możemy pracować jako tragarze albo...

Kiedy niewolnik postawił u stóp swego pana wazę pełną świeżo upieczonego mięsa, ten jął je rozdzielać między gości.

— Pewnie jesteście głodni — powiedział z dziwną miną. ni to bawczwą, ni to zaciekawioną.

— Tak — potwierdził Metellus bez wahania — jesteśmy głodni.

Wówczas na znak Darumy niewolnik obszedł dokoła wszystkich trzymając wazę przed sobą. Każdy z nich wziął kawałek pieczystego i już miał się weń wgryźć z łapczywością człowieka, który od dawna nie skosztował porządnej stawy, piorunujący wzrok Metellusa przywołał ich jednak do porządku. Marek, który także się poczęstował, spokojnie zabrał się do jedzenia pod czujnym okiem gospodarza. Czując na sobie jego spojrzenie zdawał sobie sprawę, że tamten bacznie się przygląda jemu i jego żołnierzom, choć stara się tego po sobie nie pokazywać; uświadamiał sobie, że nie umknął mu żaden szczegół ich wyglądu, wyrazu twarzy ani też skrępowanie czy przezorność, którą dostrzegł w ich oczach.

Daruma puścił również w obieg amforę palmowego wina, które okazało się zaskakująco chłodne i musujące.

— Jak to robisz, że jest takie chłodne? — zapytał Metellus, żeby podtrzymać rozmowę.

— Bez przerwy moczę zbiornik, w którym jest przechowywane. Spływająca po nim woda schładza amforę i znajdujące się w niej wino. Nauczyłem się tego od pustynnych nomadów, przywykłych do życia w warunkach, których nie zniosłby żaden mieszkaniec miasta.

— Jesteśmy ci wdzięczni za twą uprzejmość i gościnę — podziękował mu Metellus. — Chciałbym móc kiedyś spłacić mój dług...

— Kim jesteś? — zapytał znieacka Daruma spoglądając mu z bliska prosto w oczy.

Marek zawahał się przez chwilę.

— Nie umiesz kłamać — nie dawał za wygraną Daruma — ani siedzieć w tej pozycji. Przywykłeś do wydawania rozkazów i do tego, że nie musisz nawet nic mówić, by twoje życzenia zostały spełnione. Pochodzisz zatem z Zachodu i prawie na pewno jesteś żołnierzem.

Powiedziałbym, że rzymskim dowódcą... Właściwie mógłbym się o to założyć. Ci ludzie, z wyjątkiem starca, to twoi podwładni.

Mówił tak cicho, by słyszał go jedynie jego rozmówca. Chociaż Metellus usiłował ukryć zakłopotanie, wsunął niemal niedostrzegalnie prawą dłoń pod tunikę i położył na jelicu miecza.

— To nie będzie konieczne — powstrzymał go Daruma nawet nań nie patrząc. — W moich stronach też panuje zwyczaj, że swoich gości się nie zdradza. Dopóki będziecie jeść mój chleb, nie spadnie wam włos z głowy.

Położywszy dłonie na kolanach, Metellus odetchnął głęboko.

— Mógłbym pomyśleć — ciągnął Daruma — że jesteście zgrają szpiegów wysłanych z misją do imperium perskiego, lecz męki, jakich zaznaliście, blizny, które usiłujecie ukryć pod nędznym odzieniem, i strach w oczach podpowiadają mi, że uciekacie przed poważnym niebezpieczeństwem. Czy byłbym bardzo daleki od prawdy, gdybym powiedział, że jesteście uciekinierami z obozu Aus Daiwa, których Persowie ścigają po całej okolicy?

— Jakiej odpowiedzi się po mnie spodziewasz? — zapytał Metellus.

— Żadnej. I tak wiem, że trafiłem w sedno.

— Więc dlaczego udzieliłeś nam gościny?

— Z czystej ciekawości. Te długie wędrówki są śmiertelnie nudne, dlatego nie przepuszczam żadnej okazji, żeby zająć się cudzymi sprawami, o ile uznam, że są wystarczająco podniecające. Tak czy inaczej nie dałem wiary ani jednemu słowu tego starca, jak również twoim opowieściom, chociaż on potrafi kłamać o wiele lepiej niż ty.

— A teraz, skoro już wiesz, co zamierzasz zrobić?

— Masz dzieci? — zapytał Daruma, jakby w ogóle nie usłyszał.

Metellus, którego owa niespodziewana zmiana tematu wprowadziła w zdumienie, odrzekł tylko:

— Syna. Ale nie wiem, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje.

— A więc nie masz żony.

— Miałem. Zabili ją.

— Persowie?

— Rzymianie.

— Najbardziej logiczne pytanie brzmiałoby: więc dlaczego nie przeszedłeś na stronę wroga? Jak przypuszczam, jesteś wysokiej rangi żołnierzem i z pewnością posiadasz wiedzę, która jest wiele warta, bez wątpienia jednak już byś to uczynił, aby uchronić się przed niewolą. Zdaje się, że rozumiem. Należysz do tych Rzymian, których rzeźby widnieją na łukach i kolumnach: nieugiętych, twardych jak skała, nieustraszonych, ale także trochę głupich.

— Możliwe — odparł oschle Metellus.

— Nie obrażaj się, staram się tylko zrozumieć, jaki jesteś. Chyba powinienem wiedzieć, kogo zabieram, nie?

— Czy to znaczy, że...

— Jak ci na imię? — przerwał mu ponownie Daruma.

Chociaż jego sposób prowadzenia rozmowy, polegający na ciągłym przerywaniu i przeskakiwaniu z tematu na temat, drażnił Metellusa, odrzekł bez wahania:

— Marek Metellus Akwila.

— Ludzie muszą drżeć ze strachu na sam jego dźwięk.

— To imię, które nigdy nie zostało splamione.

— Tak też myślałem. A teraz posłuchaj: powiesz swoim żołnierzom, że mogą spać w tamtym namiocie obok wielbłądów. Ty zaś będziesz moim gościem.

Metellus spuścił głowę.

— Przywykłem wszystko dzielić z moimi żołnierzami.

— Tym razem zrobisz wyjątek, aby sprawić mi przyjemność. Wydaje mi się, że sobie na to zasłużyłem.

— Chyba nie dam rady zasnąć; muszę osobiście dopilnować zmiany warty.

— Wcale nie musisz. Perscy żołnierze przetrząsnęli to miejsce od góry do dołu już trzy razy. Zajrzeli dosłownie pod każdy kamień i nie sądzę, żeby jeszcze wrócili. Poza tym mam swoich strażników, którzy nie znoszą, jak ktoś się wtrąca w to, co do nich należy. Ale skoro ci to nie odpowiada, możecie wrócić tam, skąd przyszliście.

— Nie — odparł Metellus. — Zgadzam się i dziękuję ci również w imieniu moich ludzi. Więc zabierzesz nas ze sobą?

— To zależy.

— Od czego?

— Wkrótce się dowiesz.

Mówiąc to Daruma wstał i oddalił się w kierunku swego namiotu.

11

Gdy Uksal zaprowadził żołnierzy do namiotu, Metellus został jeszcze przez chwilę przy ognisku. Była piękna noc, on zaś przebywał w gościnie u zamożnego kupca i dopiero co zjadł wieczerzę, na którą składały się świeży chleb, pieczone mięso i chłodne wino. Jego żołnierze spożyli godny posiłek i położyli się na przyzwoitych posłaniach. Żywił uzasadnioną nadzieję, że Daruma zabierze ich ze sobą i zawiezie aż nad Ocean, skąd może nawet zdołają wrócić do ojczyzny. Odnosił niemal wrażenie, że długotrwała niedola, śmierć cesarza i jednego z towarzyszy oraz okrutne cierpienia to była tylko zmora, zły sen, który skończy się wraz z nastaniem świtu. Jedna wszakże myśl przywołała go do przykrej rzeczywistości: nieutulony żal po stracie żony i tęsknota za synem, o którym od tak dawna nie miał żadnych wieści.

Ufając swemu wiernemu przyjacielowi „Aurelianowi z ręką na mieczu”, wierzył, że uczyni on wszystko, aby zająć się małym Tytusem i aby go chronić. Może wziął go do siebie podtrzymując w chłopcu pamięć o ojcu i nadzieję na jego powrót.

Od chwili gdy znalazł się w niewoli, potem zaś się z niej wyzwolił, nie było wieczoru, by kładąc się na spoczynek nie prosił swych przodków o opiekę nad sobą i nad synkiem, któremu przyrzekł, że wróci w dniu, gdy zmuszony był wyruszyć w podróż, chociaż każdy inny uznałby ją za bezpowrotną.

„Gdzie jesteś, synku? — zapytał sam siebie. — Gdzie jesteś, mój mały?” Wydawało mu się, że chłopiec jednocześnie zadaje sobie to

samo pytanie. „Gdzie jesteś, tatusiu?” I być może ich myśli spotykały się gdzieś na krzywiźnie nieba rozpalając spadające gwiazdy... Jak choćby ta, która kreśliła właśnie w ciemnościach ognistą linię wiodącą aż do liści palm.

W gruncie rzeczy wcale się nie mylił. Gdyby bogowie wysłuchali jego ojcowskich modlitw, przekonałby się, że właśnie w tej chwili Tytus stał na balkonie pałacu cesarskiego, podobnie jak on wpatrując się w niebo.

Przeglądała mu się niewolnica Tilia. Odkąd została przydzielona do jego służby, zdążył urosnąć i w pewnym stopniu przywyknąć do swego nowego położenia. Pobierał lekcje u swoich preceptorów, uczył się greki, matematyki, gramatyki i kaligrafii. Traktowano go z szacunkiem i pilnowano przez całe dni aż do zmierzchu, kiedy to Tilia znów przejmowała nad nim opiekę.

Rzadko widywał Galiena, jedynie podczas oficjalnych uroczystości, a i to z daleka. Był przekonany, że tamten go unika, aby nie musieć odpowiadać na pytania, które by mu zadał: „Gdzie jest mój ojciec? I gdzie jest twój?”

Nie spotkał też więcej Lucjusza Domicjusza, przyjaciela ojca, bohatera zwanego przez żołnierzy „Aurelianem z ręką na mieczu”. Niedawno dotarła wieść, że poprowadził legiony przeciw Sarmatom aż za Dunaj i że w bitwie, w której zginęło ponad dwadzieścia tysięcy barbarzyńców, własnoręcznie wykosił przeszło pięćdziesięciu z nich. Jednak mimo że miał do tego pełne prawo, nie pozwolono mu na tryumfalny wjazd do miasta, ponieważ jak krążyły słuchy, Galien mu zazdrościł. Przeciwnie, Aurelian został zesłany do Mezji, którą opanowali Goci.

Wszystkie wieści przekazywała mu zawsze Tilia, która będąc młodą niewolnicą mogła podsłuchiwać nie zwracając na siebie uwagi, zupełnie jakby była posągiem albo meblem.

— Dlaczego barbarzyńcy są na nas źli? — zapytał pewnego dnia Tytus swego nauczyciela, retora z Trewiru o złotej bródce i płowych włosach przypominających siano.

— Nie są na nas źli — odparł tamten. — Po prostu usiłują się tu wedrzeć, bo też chcą się cieszyć tymi wszystkimi pięknymi rzeczami,

które posiadamy. Gdybyś miał wybierać, czy mieszkać w wozie podczas zimowego chłodu i letniego skwaru, mogąc się umyć jedynie od czasu do czasu, cierpiąc głód i pragnienie, czy też w domu z jadem każdego dnia, z ogrzewaniem zimą i fontannami, które chłodzą powietrze latem. z bibliotekami i ogrodami, co byś wybrał? Wiesz, ile akweduktów ma Rzym? Jedenaście. A wiesz, ile ma Mediolan? Siedem. Wiesz, ile komnat jest w tym pałacu? Trzysta. A ile bibliotek w cesarstwie? Około pięciu tysięcy, a w nich trzynaście milionów książek. A ile jest dróg? Dwieście tysięcy, a co piętnaście mil znajduje się stacja drogowa. Kiedy to możliwe, staramy się ich powstrzymać za pomocą traktatów, a kiedy nie da się inaczej, za pomocą wojska. W chwili obecnej to właśnie robią nasi wodzowie w Panonii i Mezji.

— Jeden z naszych wodzów to przyjaciel mojego ojca — powiedział Tytus.

— Ach tak? A który to?

— Lucjusz Domicjusz, zwany „Aurelianem z ręką na mieczu”, człowiek, który nie żartuje. Jeśli ktoś mnie skrzywdzi, będzie miał z nim do czynienia.

— Nikt cię nie chce skrzywdzić.

— Więc dlaczego mnie tutaj uwięzili?

— Nie jesteś więźniem, tylko gościem. „Tutaj” zaś oznacza pałac cesarski, najpiękniejsze miejsce, w którym każdy pragnąłby zamieszkać.

— Mnie się nie podoba i chcę stąd odejść.

— Jesteś za mały.

— Więc dlaczego nie pošlecie po mojego ojca?

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nawet cesarz. Kiedy Tytus mówił o ojcu, ogarniał go tak głęboki smutek, że jego mała duszyczka nie potrafiła sobie z nim poradzić. Bez względu na to co akurat robił, oddalał się zatem i płakał w ukryciu z rozpaczą i tęsknoty, dopóki starczyło mu łez.

— O czym myślisz?

Metellusa wyrwał z zadumy głos Darumy, który odezwał się niespodziewanie za jego plecami. Sam nie wiedział, jak długo siedział tak

pograżony we własnych myślach. Spojrzawszy na ognisko, stwierdził, że został już tylko popiół. Musiało minąć sporo czasu.

— O moim synku — odrzekł.

— Sądzisz, że grozi mu niebezpieczeństwo?

— Wszystko możliwe. Nie mam o nim żadnych wieści. Brak wiadomości bywa gorszy niż złe wiadomości.

— Nie masz nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować?

— Mam przyjaciela; jest dowódcą jednej z dużych jednostek bojowych w naszym wojsku. Wiem, że zrobi wszystko, aby go chronić, ale może się znajdować zbyt daleko, bez możliwości udzielenia mu pomocy. Może nawet już nie żyje; to się zdarza na wojnie.

— Ale nie wodzom.

— To człowiek, który staje w pierwszej linii, a nie z tyłu. Pierwszy stawia czoło niebezpieczeństwu, na które naraża własnych żołnierzy. Ja też zawsze postępowałem w ten sposób. Należymy do tych Rzymian twardych jak skała, ale i trochę głupich, jak sam powiedziałeś.

— Każdy ma swoje wady i zalety. Nikt nie jest doskonały — zauważył filozoficznie Daruma.

— Przypuszczam, że Persowie wyznaczyli cenę na nasze głowy. Nie kusi cię, żeby sięgnąć po nagrodę?

— Kupuję i sprzedaję towary, nie ludzi.

— Ale nasza obecność w twojej karawanie, nawet przez krótki czas, naraża cię na poważne niebezpieczeństwo. Kto ci każe to robić?

— Pod koniec wieczery zadałeś mi pytanie, a ja ci odpowiedziałem: „To zależy”.

— Od czego?

— Od tego, jak wiele jesteście gotowi poświęcić, ty i twoi ludzie.

— Wszystko w zamian za wolność.

— W takim razie możemy to rozważyć. O ile nie jesteś zbyt zmęczony, ma się rozumieć.

— Nie jestem. Słucham.

— Nie jestem tu z powodów handlowych.

— W tym się zgadzamy. Mów dalej.

— Miałem się spotkać z pewną osobą, która nie przyszła. Umowa była taka, że jeśli w ciągu piętnastu dni nie zjawi się tu, w oazie, spotkanie przesunie się na południe, do portu na Khaborasie, o dwa dni drogi stąd.

— Zamierzasz zatem wyruszyć.

— Zaraz jutro, a najpóźniej pojutrze. Niepokoi mnie jednak to, że ów osobnik się nie zjawił, toteż przydałby mi się oddział uzbrojonych i doświadczonych żołnierzy.

— Masz na myśli nas?

— Znajdujecie się w opłakanym stanie, ale sprawiacie wrażenie ludzi, którzy niejedno widzieli i musieli stoczyć niejedną walkę, lecz przeżyli...

— Ponad osiemnaście miesięcy w Aus Daiwa.

— Wydaje się niemożliwe... W każdym razie jeśli zgodzicie się eskortować tę karawanę, jestem gotów was karmić i płacić wam co dziesięć dni w srebrnych szklach, aż do końca podróży. Potem pójdziecie, gdzie wam się żywnie spodoba. Z tym co zarobicie, będziecie mogli wrócić do ojczyzny.

Metellus pokręcił głową.

— Nie odpowiada ci to?

— Wspominałeś, że już masz straż. Po co ci jesteśmy potrzebni?

— Skłamałem. Nie chciałem, byście wiedzieli, że moja straż składa się tylko z usługnych niewolników, bo mogłoby wam przyjść do głowy coś głupiego. Zresztą ty też mnie okłamałeś. W razie nagłej konieczności to dopuszczalne. No to jak, umowa stoi?

— Mnie to bardzo odpowiada. Po prostu trudno mi w to uwierzyć.

— Może nie wyraziłem się dość jasno. Tutaj człowiek naraża życie.

— Jak dotąd nic innego nie robiłem, więc dlaczego miałbym się tym przejmować?

— A twoi żołnierze?

— Odpowiada im to, co dla nich postanowię.

— W takim razie umowa stoi — oświadczył Daruma.

— Zważywszy na to, jak się sprawy mają, zdaje się, że powinienem objąć wartę — stwierdził Metellus.

— Moi ludzie czuwają; myślę, że tej nocy to powinno wystarczyć. Świeci piękny księżyc, widać prawie jak w dzień, ale jeśli dzięki temu będziesz spokojniejszy, postaw na straży któregoś z twoich. W moim namiocie czeka na ciebie posianie. Dobrej nocy, wodzu Akwilo.

— Dobrej nocy, Darumo — odrzekł Metellus. — I... dziękuję. Uśmiechnąwszy się, Daruma zniknął w namiocie.

Metellus tymczasem wydobył spod tuniki miecz, przypiął do przewieszzonego przez ramię pasa i ruszył do namiotów, w których spali jego żołnierze. Balbus czuwał.

— Przypuszczałem, że nie będziesz poległ na nikim innym. Tak czy inaczej dokończ pierwszą wartę, centurionie, znów jesteśmy na służbie. Daruma najął nas do eskortowania karawany.

— Nie kpisz sobie ze mnie, wodzu?

— Ani trochę. W zamian będzie nas karcił i płacił aż do końca podróży. Wydaje mi się, że to dobry układ.

— Wspaniały. Prześpij się, ja wyznaczę warty.

Nim się położył, Metellus zrobił jeszcze obchód obozowiska. Oaza pogrążona była w ciszy, ogniska pogaszone, nawet zwierzęta: osły, muły, ogromne wielbłądy z Baktrii, smukłe dromadery spały spętane, okryte czaprakami, które zdobiły czarne i niebieskie pompony. Słychać było jedynie cichy plusk wody w kanałach, któremu odpowiadał szum majestatycznie płynącego Khaborasu. Księżyc opromieniał kanały srebrnym blaskiem, między pniami wiekowych palm przelatywał zaś od czasu do czasu cień drapieżnego ptaka, którego wielkie skrzydła przemykały cicho niczym nocne myśli.

Metellus wrócił do namiotu Darumy marząc o kilku godzinach prawdziwego snu na porządnym pośłaniu, kiedy jednak już miał wejść do środka, usłyszał, że przywiązany do pala przed wejściem pies warczy odslaniając kły.

Rozejrzał się dokoła, lecz wszędzie panował spokój. Przypomniał sobie, że zdaniem niektórych ludzi psy potrafią podobno usłyszeć dźwięki nieuchwytnie dla ludzkich uszu, wyteżył wzrok ponad palmy, ku wapiennym wzgórzom okalającym oazę od północy. Wydało mu się, że widzi coś jakby ledwie dostrzegalny tuman mgły.

Ale przecież to nie mogła być mgła... Kurz, konie!

Nagła świadomość, że ku oazie podąża właśnie galopem oddział jeźdźców, ścięła mu krew w żyłach. Pomyślał, że oto ich sen dobiegł końca, ale że przynajmniej zginą jak mężczyźni, z mieczem w dłoni. Gdy popędził do namiotów, Balbus już był w pogotowiu.

— Coś się dzieje, wodzu. Ptaki podrywają się do lotu, zwierzęta są niespokojne...

— Obudź wszystkich, prędko, niech chwytają za broń. Zbliży się do nas oddział jazdy.

Wybudzeni gwałtownie ze snu przez centuriona żołnierze zerwali się na równe nogi i ustawili wokół swego dowódcy.

— Na pewno jada tu, żeby nas pojmać — przemówił Metellus — ale ja się nie dam złapać żywcem, nie wrócę do tego bagna. Kto jest tego samego zdania, niech chwytą za broń i idzie ze mną.

W jednej chwili wszyscy stanęli u jego boku. Stopniowo ich uszu dochodził ledwie słyszalny tętent końskich kopyt.

— Nie ruszać się bez rozkazu. Schowamy się za tamtymi palmami, pod osłoną domów. To najmniej widoczne miejsce. Jeżeli nas otoczą, wycofamy się wszyscy do przesmyku między tymi dwiema budowlami, które mamy za plecami, i będziemy walczyć, dopóki starczy nam sił. Nie wiem, co innego mógłbym wymyślić. Możemy wybierać między szybką śmiercią, a długą męką. Pozbądźcie się wątpliwości, nie wahajcie się. Powinniśmy się cieszyć, że w ogóle mamy jakiś wybór. Chcę wam tylko powiedzieć, że jestem z was dumny, że jesteście najwaleczniejszymi żołnierzami i najlepszymi przyjaciółmi, o jakich mógłbym marzyć. Skoro jest nam pisane, że jutro zjemy wspólną wieczerzę w Hadesie, niech tak będzie! Naprzód!

Każdy zajął taką pozycję za palmą, by widzieć zarówno dowódcę, jak i swych towarzyszy. Lucjanus i Septymiesz napięli łuki, Rufus balansował oszczepem, Publiusz i Antoninus ściskali w dłoniach miecze, Sewer i Marcjanus zaś sztylety. Natomiast obaj centurioni, Balbus i Kwadratus, dzierżyli i miecze, i sztylety wypatrując w ciemnościach,

skąd może nadejść pierwszy cios.

Wszyscy pocili się obficie w oczekiwaniu na potyczkę, na krótką i zaciętą walkę, która miała im zesać śmierć. Nagle w chwili najwyższego napięcia rozległ się głos Uksala.

— Dzieje się coś dziwnego, spójrzcie no tam! — zawołał wskazując ścieżkę wiodącą przez wschodnią część oazy, gdzie wkrótce pojawił się otulony czarnym płaszczem samotny jeździec, który pędził co koń wyskoczy.

— Co do licha... — zaklął Metellus.

Nie zdążył skończyć zdania, gdy z północy wypadł nagle oddział jazdy, przemierzając oazę niemal z taką samą szybkością jak osobnik, który dopiero co ich minął. Po chwili oddalili się na południe zostawiając za sobą gęsty tuman kurzu.

— Nie nas ścigali — stwierdził Uksal.

— Na to wygląda — przytaknął Metellus z głośnym westchnieniem ulgi.

— Gonili tego jeźdźca — zauważył Kwadratus.

— Czy któryś z was go widział? — zapytał Metellus.

Wówczas do przodu wystąpił Publiusz.

— Przeniknął jak błyskawica, na dodatek w cieniu palm, ale mógłbym przysiąc, że to ten sam, który jechał za nami aż do przedwczoraj.

— Nie słuchaj go, wodzu — wtrącił Rufus. — Oszalał na punkcie tego jeźdźca, chociaż nawet nie wie, co to za jeden. Śni o nim po nocach i widzi go wszędzie...

— Co pozwala ci sądzić, że to właśnie on? — zapytał Publiusza Metellus.

— Czarny płaszcz, drobna budowa ciała, sposób, w jaki trzyma się na koniu. Raczej się nie mylę, wodzu.

— On czy nie on, to niewiele zmienia — wtrącił Uksal. — Najważniejsze, że odjechali i że to nie nas szukali. Przez chwilę myślałem, że to już koniec.

— Ja też — przyznał Metellus.

— Co się tu dzieje? — rozległ się za ich plecami czyjś głos.

Odwróciwszy się, Metellus ujrzał przed sobą Darumę w nocnym stroju.

— Właśnie przez oazę przejechał oddział perskich jeźdźców. Wydaje się, że ścigali innego jeźdźcę, który przemknął jak błyskawica mając nad nimi niewielką przewagę.

Daruma spochmurniał na twarzy.

— Jeźdźca? Widzieliście go?

— Ja go widziałem — odrzekł Publiusz, po czym opisał go, podobnie jak to uczynił przed Metellusem.

— W którą stronę się oddalił? — zmarszczył brwi Daruma.

— W tamtą — odparł Publiusz wskazując kępę roślinności rozciągającej się na południe zgodnie z biegiem rzeki.

Daruma westchnął i skinął na Metellusa, aby poszedł za nim do namiotu.

— Siadaj — powiedział, kiedy znaleźli się w środku.

— Wolę stać. Tak mi wygodniej.

— Martwię się... — zaczął Hindus.

— Sądzisz, że to może być osoba, z którą miałeś się spotkać?

— Tak.

Z zewnątrz dochodził rozproszony gwar, szczekanie psów, nawoływania w wielu językach. Chociaż owo niespodziewane wtargnięcie wyrwało podróżujących karawaną ludzi ze snu, nikt nie był w stanie udzielić żadnych wyjaśnień, co tylko wzmagало zamieszanie.

Daruma, który pogrążył się na jakiś czas w zamyśleniu, rzekł:

— Nie warto teraz się zamartwiać. I tak nie możemy nic zrobić. Musimy natychmiast ruszać. Jeszcze jutro. Bądźcie gotowi o świcie, odziani i uzbrojeni. Kazałem zanieść nowe szaty do namiotów twoich żołnierzy. Chyba będziemy maszerować dzień i noc, bez odpoczynku. Musimy dotrzeć jak najszybciej do portu na Khaborasie. A teraz idź spać; czeka nas długa podróż.

Metellus wyszedł, by wydać rozkazy Balbusowi, po czym wrócił i położył się na wskazanym mu pościeli. Nim zamknął oczy wyczerpany, przemknęła mu przez głowę myśl, że być może właśnie kończy się jego przygoda, zaczyna zaś przygoda kogoś innego, o kim jeszcze nic nie wie.

Wyruszyli o świcie, gdy pianie kogutów rozbrzmiewało w pogrążonej w ciemnościach oazie, nawet się nie posiliwszy Jadło i napoje zostały rozdane podczas podróży.

Wędrowali przez cały dzień w palącym słońcu. Daruma, który siedział na dużym wielbłądzie, osłonięty baldachimem, co chwila prze-mywał sobie twarz mokrą chusteczką. Mimo obaw najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z wygód.

Niedaleko, po prawej stronie, płynął Khaboras, którego brzegi zieleńiły się od palm, gęstych kęp sykomor i figowców oraz wielkich krzewów oleandrów.

Metellus ustawił żołnierzy po obu stronach karawany, podczas gdy Uksal podążał za jednym z osłów, który został już udomowiony. W miarę jak posuwali się naprzód, zaczęły się pojawiać pierwsze łodzie: zwykle wiklinowe kosze wyścielane wyprawioną skórą wołową, którą wysmarowano smołą, aby nie przepuszczała wody, od czasu do czasu zdarzały się jednak również prawdziwe statki z drewna, z szerokimi żaglami w kształcie trapezu i podwójnym sterem na rufie. Niekiedy znajdowały się one tak blisko brzegu, że można było dostrzec uwijających się na pokładzie marynarzy. Działo się tak dlatego, że rzeka wyżłobiła koryto w skale wapiennej i jedynie na niektórych odcinkach brzegi były niskie opadające wraz z jej biegiem.

Właśnie tam wyrastały wioski składające się z chat, które zbudowano z niewypalanej cegły wysuszonej na słońcu. Widać było kobiety, które wracały znad rzeki z glinianymi dzbanami na głowach, wdzięcznie kołysząc biodrami. Nagie dzieci o ciemnej skórze bawiły się w wodzie wrzeszcząc i chlapiąc na wszystkie strony. Owe małe osady podobne były do jakiegokolwiek wioski nad mare Internum, w Mezopotamii czy w Egipcie. Potężne mocarstwa odbierały tym pokojowo nastawionym wspólnotom młodych chłopców, napełniały ich nienawiścią i wojowniczością w stosunku do wroga, którego należało pokonać bez względu na to, kim był, po czym wysyłały na wojnę. Każdy żywił przekonanie, że racja jest po jego stronie, każdy uważał, że jego świat jest lepszy i że trzeba go rozszerzyć i narzucić innym wszędzie, gdzie tylko się da.

Metellus doskonale pamiętał, że nieraz miał podobne myśli. Pamiętał jednak również, że im więcej podróżował, im więcej poznawał krajów, nabierał coraz większego przekonania, że jego świat jest jedynym, w którym warto żyć. Nigdzie indziej nie spotkał się z obrazem człowieka, który można by porównać z wizerunkiem zrodzonym z zetknięcia cywilizacji Aten i Rzymu. Długa zaś i okrutna niewola u wroga, który nie przestrzegał praw ludzi i za nic miał odwagę, męstwo czy wierność, tylko go w tym przekonaniu utwierdziła.

Potrafił zrozumieć, że inne narody również są przeświadczone o własnej słuszności. Nie potrafił wszakże zapomnieć, że Walerian, jego cesarz, stracił wolność i życie, ponieważ wierzył w lojalność przeciwnika, ponieważ sądził, że warto narazić się na wszelkie niebezpieczeństwo, byleby uzyskać i utrzymać pokój w każdym zakątku znanego mu świata, od brzegów Atlantyku aż po ujście Indusu.

Pograżywszy się w tych rozmyślaniach, maszerował w milczeniu w promieniach piekącego słońca.

12

Podróż nie zgotowała im żadnych szczególnych niespodzianek. Przed zmierzchem spostrzegli garstkę uzbrojonych ludzi, którzy mogli się okazać rozbójnikami, lecz na widok broni, trzymanej przez Metellusa i pozostałych Rzymian ostentacyjnie na wierzchu, zrezygnowali z wszelkich prób ataku, o ile takie właśnie mieli zamiary. Oddalili się zatem na swych dromaderach znikając za jakimś wzniesieniem.

Do portu rzecznego dotarli nazajutrz wieczorem. Była to zakurzona miejscina przycupnięta na dnie zakola rzeki, otoczona różnorakimi palmami oraz gęstymi kępami czerwonych i białych oleandrów. Zakole otaczało niewielkie nabrzeże z wypalanej cegły, służące do cumowania sporej liczby statków.

Daruma nakazał Metellusowi i jego ludziom, aby każdy z nich zasłonił sobie twarz opaską, którą nosił owiniętą wokół głowy. Było

niemal pewne, że w porcie znajdują się perscy żołnierze lub szpiedzy, którzy tylko czekają na swe ofiary.

— Rozejdźcie się, ale nie traćcie z oczu jeden drugiego

— Po czym wskazując zieloną flagę dodał: — Kiedy zobaczycie, że powiewa na maszcie któregoś ze statków, będzie to znaczyło, że to nasz i że macie wsiąść na jego pokład, gdy tylko się ściemni, ale pojedynczo, nie wszyscy naraz. Schowajcie broń pod płaszczami i nie wszczynajcie z nikim kłótni. Nie rozmawiajcie ze sobą w obecności innych ludzi, bo jeśli jakiś szpieg usłyszy choć jedno słowo po łacinie, będzie po was. Porozumiewajcie się ze sobą za pomocą znaków i tak, żeby was nikt nie zauważył. Pamiętajcie, że to już ostatnia przeszkoda na drodze do całkowitej wolności. Jeśli ją pokonacie, będzie po wszystkim: niewola stanie się tylko odległym wspomnieniem, ale jeden fałszywy krok może odebrać wam wszystko i zniweczyć cały wysiłek, jaki w to włożyliście. Ostatnie chwile są najbardziej niebezpieczne. Wystarczy drobnostka: dziwne spojrzenie lub zachowanie, jedno słowo, które wymknie się wam w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiedniej chwili. Pamiętajcie: jeśli zostaniecie pojmani, nie znam was, nigdy was nie widziałem. Czy to jasne? Wtedy nie będę mógł dla was nic zrobić, nic.

— Już i tak dużo zrobiłeś, Darumo — odrzekł Metellus — i nie chcemy, żebyś narażał dla nas życie. Damy sobie radę. Sam pouczę żołnierzy, jak mają się zachować.

— Doskonale. A teraz musimy się rozdzielić.

Metellus i jego kompani postanowili, że nie będą wchodzić do tawern, od których roilo się przy nabrzeżu, ani kupować jadła od kramarzy, aby nie rzucać się w oczy. Posilali się zatem czerstwym chlebem i popijali wodę z manierek przechadzając się jak gdyby nigdy nic po zatłoczonych uliczkach mieściny.

Stoły kramarzy ugięły się pod najrozmaitszymi towarami: apetycznymi daktylami, pieczoną w ceglanych piecach macą, solonymi suszonymi rybami, świeżymi rybami słodkowodnymi i brzoskwiniami. Leżały tam też dynie, melony i małe dzikie gruszki, które musiały być bardzo twarde. Nie zabrakło również sprzedawców zwierząt: węży, małp oraz ptaków o jaskrawym upierzeniu, należących do nieznanых gatunków. Żołnierze byli oczarowani całym tym widowiskiem,

zapachem pieczonych mięs, egzotycznych przypraw i ziół. Znajdowali się tam także handlarze wonności, sprzedający swe olejki we flakonikach z kolorowej masy szklanej bądź alabastru.

Trudno było rozeznaczyć się w ich cenach, nie ulegało wszakże wątpliwości, że wonności to towar dla bogatych kupców z sakiewką wypchaną srebrem i złotem, którzy targowali się pokrzykując we wszystkich językach, a następnie dokonywali zakupu, przy czym zarówno kupujący, jak i sprzedający żywili przekonanie, że ubili znakomity interes.

Marek Metellus po raz pierwszy opuścił granice cesarstwa jako wolny obywatel. Wiele razy myślał, aby wybrać się w taką podróż, lecz imperium było tak rozległe, że gdy człowiek już niemal dotarł na jego kraniec, uświadamiał sobie, że czas wracać.

Z jednej strony czuł się wyobcowany, z drugiej jednak podniecony nową sytuacją, która przyprawiała o coś w rodzaju zawrotu głowy wywołanego bezkresem, brakiem granic. Zdawał sobie sprawę, że Azja posiada nieporównywalnie większy obszar i że zamieszkuje ją właściwie nieskończona liczba narodów. Myślał o zawsze jednakowych przestrzeniach, które przemierzył, o wyludnionych nizinach, o niezmiennie błękitnym bezchmurnym niebie. Przypominając sobie opowieści o bajecznych ludach i zwierzętach, czytane przezeń na kartach „De Mirabilibus” Pliniusza, doszedł do wniosku, że tak naprawdę wszelkie wybryki natury istnieją jedynie w ludzkiej wyobraźni, która wyolbrzymia je, w miarę jak człowiek odkrywa i poznaje coraz więcej. Chyba że starożytni herosi — Herkules, Tezeusz, Odyseusz — pozabijali wszystkie potwory wiele lat temu. Aleksander też musiał czuć się zawiedziony, gdy w Indiach nie spotkał ani hipogryfów, ani chimery, ani mrówek, które wydobywają złoto z wnętrza ziemi.

Przechadzał się w towarzystwie Uksala, który znał język i nie budził podejrzeń, i słuchał tego, co mówi, starając się odgadnąć sens jego słów. Nagle na stole jednego z kupców ujrzał zabawkę: wyrzeźbionego w akacyjowym drewnie i pomalowanego słonika z ruchomą trąbą, która huśtała się w przód i w tył.

— Możesz mi go kupić? — szepnął Uksalowi do ucha. — To znaczy dla mojego synka.

Uksal, który trzymał pieniądze całej grupy, jął się długo i zajadłe targować, dopóki nie uzyskał odpowiadającej mu ceny. Zapłaciwszy kilkoma drobniakami, wziął figurkę.

— Masz nadzieję prędko wrócić — stwierdził, gdy się oddalili.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo dzieci szybko rosną i zabawki przestają je cieszyć.

— Masz rację — westchnął Metellus. — Ale dla mnie czas zatrzymał się w chwili, gdy dostałem się do niewoli. Dla mnie mój syn zawsze pozostanie tym małym chłopcem, którego zostawiłem, nawet gdyby rozłaka miała potrwać jeszcze tysiąc lat.

— Wiesz — powiedział Uksal — zdaje się, że słyszałem już podobną historię. Opisano ją w jakimś starym poemacie: to opowieść o mężczyźnie, chyba żeglarzu, co powraca na swoją wyspę po wieloletniej nieobecności i odnajduje syna, który stał się mężczyzną.

— To „Odyseja” — odrzekł Metellus. — Poemat nosi tytuł „Odyseja” od imienia głównego bohatera, Odysa, który zostawia nowo narodzonego syna, kiedy zaś bierze go w ramiona, tamten ma dwadzieścia lat i nosi imię Telemach.

— Tak, to musi być ta opowieść, ja jednak życzę ci, żebyś zobaczył swojego synka o wiele wcześniej, zanim skończy dwadzieścia lat.

— Ja też sobie tego życzę, Uksalu — westchnął Metellus. — Też sobie tego życzę...

Uksal szedł przez chwilę w milczeniu, podczas gdy nad coraz mniej zatłoczonymi ulicami i białymi tarasami osady zapadał zmrok. Naraz Metellus spojrział w kierunku portu, po czym trącił starca łokciem.

— Zielona flaga — powiedział. — Daruma znalazł łódź.

Wsiedli na pokład ostatni, po tym jak wszyscy kompani zdążyli przejść po trapie z drewna i trzciny, łączącym łódź ze stałym lądem.

Poleciwszy, by zapalono latarnie na dziobie i rufie, Daruma postawił na wachcie dwóch ludzi: jednego Hindusa o imieniu Saraganda i jednego Rzymianina, Antoninusa. Następnie nakazał rozdać wieczrę, na którą składały się bardzo aromatyczne i ostre potrawy kupione na łądzie: solona koźlina, ryby pieczone w tymianku i ślazier, solona maca upieczona w piecu z cegieł i palmowe wino.

Z przycumowanych nieopodal łodzi dobiegały pokrzykiwania marynarzy, którzy odpoczywali po całym dniu pracy upijając się i zabawiając z portowymi dziewczkami. Wśród Rzymian nadal panowało wszakże napięcie, poza tym nie zdążyli jeszcze nabrać zaufania do reszty załogi, o której nic nie wiedzieli. Jedli i pili w milczeniu, bez przerwy spoglądając w stronę brzegu, aby nie dać się zaskoczyć.

W pewnej chwili Metellus podszedł do Darumy.

— Kim są członkowie załogi? — zapytał.

— Są z Taprobane. Tutaj nikt nie rozumie, co mówią, więc nie ma niebezpieczeństwa. Na dodatek nikogo nie znają, bo przecież zjawili się dopiero kilka dni temu. Pracują dla mnie od lat i zawsze dobrze im płaciłem. Możecie być spokojni.

Metellus skinął głową.

— Po prostu wszystko idzie zbyt gładko i wydaje się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

— Nic nie idzie gładko — zaprzeczył Daruma. — Czy to nocne wtargnięcie w sam środek oazy było dla ciebie czymś normalnym? Jeśli w dodatku mężczyzna, który uciekał na koniu, naprawdę był tym, na kogo czekałem, teraz może już nie żyje.

— Masz rację — przytaknął Metellus. — Kiedy człowiek wiele wycierpi, staje się samolubny i zaczyna myśleć wyłącznie o sobie.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie — odezwał się Daruma — ciągle jeszcze grozi nam niebezpieczeństwo. W dół rzeki płyną łodzie z królewskimi żołnierzami na pokładzie, w porcie bez wątpienia roi się od szpiegów, wzdłuż brzegów zaś z pewnością krążą oddziały łuczników na koniach i są porozstawiane straże. O ile dobrze zrozumiałem, jesteście więźniami, na których bardzo im zależy. Jeśli więc mamy dalej

podróżować wspólnie, lepiej żebyś mi wyjawiał całą prawdę.

— Jaka?

— Dlaczego było was dziesięciu w Aus Daiwa? I w jaki sposób udało się wam uciec? To właściwie niemożliwe.

— Jeżeli ci powiem, przysięgasz, że nikomu nie powtórzysz?

— Wierzyłbyś słowu kupca? — uśmiechnął się Daruma.

— Pomyślałem sobie, że gdybyś miał nas zdradzić, już byś to zrobił.

— To prawda. A więc?

— Dajesz słowo?

— Jeśli ono jest coś warte, masz moje słowo.

Metellus wahał się jeszcze przez chwilę, doszedł jednak do wniosku, że w końcu Daruma ma prawo wiedzieć, na co się naraża oferując im gościnę.

— Byłem dowódcą gwardii Licyniusza Waleriana Augusta, ostatniego cesarza Rzymian, który zmarł uwięziony w Aus Daiwa po tym, jak został podstępnie pojmany w Edessie przez Szapura. Po jego śmierci zdołaliśmy uciec dzięki pomocy Uksala, który doprowadził nas do oazy nad Khaborasem. Dalszy ciąg już znasz.

— O wielki Trimurti!

— Co powiedziałeś?

— Wezwałem naszą najwyższą Trójkę, podobną do tej, którą czcicie na waszym Kapitolu w Rzymie.

— Byłeś w Rzymie?

— Nie, lecz znam kogoś, kto był. Ale nie zmieniamy tematu. Siedzicie po uszy w bagnie, a ja razem z wami. Mogłeś mi to powiedzieć od razu.

— Czy wtedy też byś nas ze sobą zabrał?

— Nie.

— Więc sam widzisz.

— Jak dawno uciekliście?

— Nie liczyłem dokładnie, ale myślę, że będzie jakiś miesiąc, półtora albo i więcej.

— Ładne rzeczy — westchnął Daruma. — Jak nas złapią, co najmniej żywcem obedną ze skóry.

— Wiem.

— Z drugiej jednak strony jak dotąd jeszcze was nie schwytali. Jak wam się to udało bez koni i na niemal zawsze otwartej przestrzeni?

— Przez wiele dni ukrywaliśmy się w miejscu, które uważają za niedostępne: w wąwozie, gdzie wrzucają trupy.

— Znakomite... I co dalej?

— Kiedy wydało nam się, że przestali nas szukać w tej okolicy, ruszyliśmy naprzód idąc wyłącznie w nocy i zawsze po dnie wąwozu, dopóki nie natrafiliśmy na wodę, potem zaś posuwając się wzdłuż jej brzegu dotarliśmy do miejsca, gdzie łączy się z Khaborasem.

— Cofam to, co powiedziałem na temat głupoty Rzymian. Ale teraz musimy być ostrożni, żeby nie zepsuć wszystkiego w ostatniej części podróży.

— Długo mamy tu zostać?

— Co najmniej trzy dni. Taka była umowa, ja zaś dla bezpieczeństwa dodałem jeszcze jeden dzień. Przez ten czas nie będziecie schodzili na ląd. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, ja wam to dostarczę.

— Zgoda — oświadczył Metellus. — Ale jest pewien kłopot.

— Jaki?

— Zawarliśmy z tobą układ. Płacisz nam za eskortowanie twojej karawany. Skoro nie możemy opuścić łodzi, jak mamy się wywiązać ze swoich obietnic?

— Przyjdzie na to czas, zapewniam cię.

— Ale gdzie i kiedy?

— Tego też dowiedzie się w stosownej porze. A teraz postarajcie się zachować spokój tak długo, jak będzie to konieczne.

Spędzili zatem trzy dni w stanie zawieszenia i odrętwienia. W południe panował nieznośny upał. Metellus i jego ludzie leżeli wyciągnięci między takielunkiem, w cieniu żagla, który rozwijali niczym chroniący przed słońcem parasol, pocąc się w męczącym zaduchu i na próżno marząc o kąpieli w rzece, tej Wszakże zabronił im gospodarz. Dopiero wieczorem pojawiała się lekka bryza przynosząca orzeźwienie.

O tej porze nawet spotkanie przy wieczerzy urastało do rangi wydarzenia.

Daruma większość dnia spędzał na łodzi w towarzystwie swoich dwóch lub trzech ludzi, najwyraźniej w nadziei spotkania tego, na kogo czekał. Wracali dopiero o zmierzchu niosąc wiklinowe kosze pełne jądła dla załogi. Metellus nigdy nie pytał o wieści na temat osoby, której wyglądali, zdawał sobie jednak sprawę, że Daruma bardzo się martwi. Z każdym dniem wzrastało niebezpieczeństwo, że ich obecność na pokładzie wyjdzie na jaw, zarazem jednak zmniejszało się prawdopodobieństwo, że przybędzie tak bardzo wyczekiwany gość.

Czwartego dnia wieczorem Daruma podjął decyzję.

— Jutro wyruszamy — zapowiedział. — Gdyby jeździec, którego widzieliście w oazie nad Khaborasem był tym, na kogo czekam, powinien się tu zjawić co najmniej dwa dni temu, zważywszy, że posuwaliśmy się z prędkością wielbłądów i osłów. Nie mogę dłużej czekać. Ale będzie jeszcze jedna, ostatnia możliwość spotkania w porcie na Oceanie.

— Jak uważasz — odrzekł Metellus. — Przykro mi, że nie doszło do twojego spotkania. Jesteśmy gotowi wyruszyć w każdej chwili.

Podnieśli kotwicę nazajutrz, tuż przed świtem. Zepchnąwszy łódź na środek rzeki za pomocą wbitych w dno żerdzi, marynarze ograniczyli się do manewrowania sterami rufowymi, aby utrzymać kurs. Posuwali się z umiarkowaną, lecz stałą prędkością, krajobraz zaś przesuwał się przed ich oczami z przyjemną różnorodnością kształtów i nastrojów. Niekiedy mijali stada małych gazel, które gasząc pragnienie, na widok łodzi podnosiły czarne pyszczki, nie uciekały jednak — najwyraźniej zdążyły przywyknąć do ruchu rzeczno-ego. Od czasu do czasu natykali się również na różowe czerwonaki, które zagłębiały zakrzywione dzioby w brzegu w poszukiwaniu pożywienia.

Antoninus, Publiusz, Rufus i pozostali przyglądali się temu z podziwem. Nawet Metellus napawał się widokiem owego krajobrazu, który z każdym meandrem, z każdym cyplem stawał się coraz bardziej różnicowany i zachwycający za sprawą skał o barwie ochry i żółci,

coraz wyższych i bardziej strzelistych palm czy rybackich i rolniczych osad mnożących się wzdłuż brzegów.

— To mi przychodzi na myśl niektóre obszary Dolnego Egiptu...
— zaczął Metellus, przerwał mu wszakże krzyk marynarza, który wdrapał się na bocianie gniazdo.

Ów ciemnoskóry lśniący od potu mężczyzna wskazywał jakiś punkt na brzegu.

— Na wszystkich bogów! — zawołał Publiusz. — Przecież to on!

Jeździec z czarną zasłoną wokół głowy galopował właśnie po zboczu ku rzece, tuż za nim zaś ukazał się pościg składający się z jakichś dwudziestu perskich żołnierzy, którzy mknęli co koń wyskoczy usiłując go dogonić. Musieli dopiero co wpaść na jego ślad, szybkość, z jaką pędzili, była bowiem zbyt duża, by zdołali ją utrzymać przez dłuższy czas nie zajeżdżając swych wierzchowców.

Daruma podbiegł do burty krzycząc:

— To on! Przybijaj do brzegu! Przybijaj!

Sternik, który nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać, rzucił się do drążka łączącego oba stery i popchnął go z całej siły w prawo powodując gwałtowny skręt w lewo. W tym miejscu brzegi były niskie, lecz strome, jeździec zaś mknął jak błyskawica w kierunku meandra, gdzie roślinność tworzyła gęstą dużą plamę zieleni, być może szukając schronienia, jego los wszakże zdawał się przesądzony.

— Łuki i oszczepy! — krzyknął Metellus, po czym żołnierze rzucili się w okamgnieniu ku lewej burcie szykując się do ataku.

Tymczasem sternik ustawił drążek sterowy pośrodku, dzięki czemu łódź płynęła teraz równolegle do brzegu, w odległości jakichś dwudziestu stóp od niego. Jeździec, który najwyraźniej zauważył ów manewr, również zbliżył się do brzegu, lecz nie zwolnił. Podążający z tyłu Persowie jęli wypuszczać strzały, których grad zasypywał uciekiniera z coraz większą celnością, ani jedna wszakże go nie dosięgła. Zupełnie jakby wyczuwał, którędy polecą, i w ostatniej chwili się uchylał. Kiedy Metellus również dał rozkaz do ataku, dwóch jego ludzi trafiło do celu powalając tyleż samo nieprzyjaciół i spowalniając

pościg.

— Przybijaj do brzegu! — wrzasnął Daruma.

Sternik jednak tylko krzyknął coś w odpowiedzi wcale nit zmieniając kursu, bał się bowiem, że utkną na mieliźnie. Wówczas Daruma, chwyciwszy go z nieoczekiwaną siłą za kark, obalił na pokład i sam porwał drążek sterowy kierując łódź ku brzegowi. I chociaż kil dwukrotnie zahaczył o dno, kadłub wytrzymał, łódź zaś podpłynęła na mniej niż osiem, dziewięć stóp od brzegu.

Daruma wrzasnął jeszcze głośniejszym głosem. Było to zaledwie jedno słowo wypowiedziane suchym, ostrym tonem, prawdopodobnie rozkaz albo namowa w innym języku.

Jeździec, który natychmiast posłuchał, na oczach osłupiałych żołnierzy i członków załogi stanął na grzbiecie konia i wykonał akrobacyjny skok. Poszybował w powietrzu, jakby nic nie ważył, wylądował na pokładzie z głuchym tupnięciem, z rozpostartymi ramionami i ugiętymi kolanami, nieruchomiejąc całkowicie, niczym przygwożdżony do desek.

Daruma natychmiast skierował łódź na środek rzeki, a podczas gdy Persowie wypuścili grad strzał, Metellus i jego żołnierze podnieśli drewnianą grodz osłaniając się nią niczym wielką tarczą i przyjmując większość pocisków na siebie. Ledwie jednak znaleźli się poza zasięgiem strzał, każdy z nich obrócił się na pięcie, jakby pragnął się upewnić, że nie śni. Tajemniczy osobnik ciągle stał na pokładzie nieruchomy niczym posąg, podczas gdy członkowie załogi i Rzymianie zacieśniaли pierścień wokół niego, aby zobaczyć z bliska ten cud.

— To on? — zapytał zdumiony Metellus Darumę.

Hindus skinął potakująco głową.

— Co mu krzyknąłeś?

— Skacz!

— W jakim języku?

Daruma wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „Później ci wyjaśnię”, po czym podszedł do mężczyzny, który spadł z nieba. Dopiero wówczas Metellus nabrał pewności, że gdzieś już widział te oczy. Tak dziwne, tak inne i skośne. Uświadomił sobie również, że obcy przyszły musi odnosić to samo wrażenie. W okamgnieniu Rzymianin

wrócił do Edessy, do owej rozdzierającej chwili, kiedy to Walerian został zmuszony do ukłęknięcia przed Szapurem, i na nowo ujrzał przed sobą te niewiarygodnie czarne błyszczące oczy.

Tymczasem Daruma podszedł do przybysza i skrzyżowawszy ręce na piersi, skłonił się przed nim głęboko. Tajemnicza istota zaś wyprostowała się, następnie złączyła lewą dłoń zaciśniętą w pięść z otwartą prawą ledwie pochylając głowę i oddaliła się na dziób, gdzie stanęła nieruchomo wpatrzona w horyzont.

Żołnierze Metellusa spoglądali po sobie oniemiała ze zdumienia.

— Przecież mówiłem, że to on — przerwał milczenie Publiusz.

— To znaczy kto? — zapytał Rufus.

— Ten, który jechał za nami po pustyni.

— Możliwe — odrzekł Rufus — ale kto to jest?

— Ja bym raczej powiedział: „Co to jest?” — wtrącił Lucjanus nie spuszczać wzroku z nieruchomej postaci na dziobie.

— Człowiek, a niby co innego? — odparł Antoninus.

— A gdyby to był bóg? — przemówił Sewer. — Nigdy nie widziałem człowieka, który unikałby strzał w ten sposób i... latał.

— Nie latał — sprostował Antoninus. — Tylko wykonał skok.

— Ach tak? Nazywasz to skokiem? Spróbuj, zobaczymy, czy też tak potrafisz.

Metellus przerwał ten spór dając swym żołnierzom znak, by się uciszyli, po czym podszedł do Darumy.

— To naprawdę on?

— Bogom niech będą dzięki, tak. Już straciłem nadzieję.

— Ale kto to jest, jeśli wolno spytać?

— Książę.

— Z jakiego kraju?

— Z Chin.

Metellus spojrział nań ze zdziwieniem.

— Z Chin? A co to takiego?

13

— Chiny? — powtórzył z uśmiechem Daruma. — Chiny to Kraj Jedwabiu, który na waszych jakże niedokładnych mapach nosi nazwę Sera Maior.

— Okazuje się, że ktoś z naszych musiał tam być — stwierdził Metellus. — Najpewniej kupcy, ale może także jakieś poselstwo. Słyszałem, że za panowania Marka Aureliusza jakiś urzędnik ze stanu ekwitów wraz z paroma centurionami dotarł aż do ich stolicy. Ale o ile mi wiadomo, opis tej podróży gdzieś zaginął. A ty dobrze znasz ten kraj?

— Dość dobrze. Jeżdżę tam co dwa, trzy lata, by negocjować cenę partii jedwabiu, który sprzedaję na perskich i indyjskich bazarach. Zanim towar do was dotrze, zdąży przejść przez wiele rąk przysparzając każdemu część zarobku.

— To właśnie tam go poznałeś? — Metellus wskazał głową mężczyznę siedzącego na dziobie.

Mężczyzna ten miał na sobie szary kaftan z żółtą lamówką, zakończony przy szyi czymś w rodzaju stójki. Nosił też szerokie spodnie i dziwaczne buty, jakich Metellus nigdy dotąd nie widział, podobne do obuwia noszonego przez kobiety we Frygii i Kapadocji. Twarz nadal zasłaniał mu czarny woal, którym miał owiniętą całą głowę.

— Tak — potwierdził Daruma. — Poznałem go tam kilka lat temu.

— Kto to jest? — zapytał po raz drugi Metellus.

— Książę. Książę swojego narodu, syn cesarza.

Metellus, któremu przyszedł na myśl Galien, poczuł przebiegający mu po krzyżu dreszcz. Miał wrażenie, że przypaść mu w udziale osobliwy los, którego pragnęłyby uniknąć, lecz który jednocześnie bardzo go pociągał.

— Jak to się stało, że zwykły kupiec został dopuszczony przed oblicze władców tego kraju?

— To długa historia, którą później ci opowiem... jeśli starczy mi czasu.

— A skąd się wziął obok Szapura?

Daruma milczał jakiś czas, nim odpowiedział. Łódź płynęła z prądem między oddalającymi się coraz bardziej brzegami, w miarę zaś jak rzeka stawała się szersza, malała prędkość prądu, spowalniana dodatkowo przez wiejący z południa wiatr.

— Został wysłany na dwór króla perskiego — rzekł wreszcie Hindus — jako ambasador i gość. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, ale wydawało się mądrym pomysłem. Jako że wszystkie karawany przewożące jedwab na zachód wędrują przez Persję, nawiązanie bezpośrednich stosunków między obydwojma krajami mogłoby się okazać pożyteczne...

— A ponieważ ty zajmujesz się handlem jedwabiami, poparłeś ten pomysł — wpadł mu w słowo Metellus nie odrywając oczu od księcia.

Żołnierze również mu się przypatrywali. Spod oka, rozmawiając między sobą półgłosem, albo otwarcie i bez ceregieli, tak jak się ogląda egzotyczną istotę, która przybyła z dalekich krajów. Obcy ciągle jednak wbijał wzrok w horyzont, najwyraźniej zamknięty w swoim świecie. Zupełnie jakby dopiero co nie uniknął śmierci, jakby nie dokonał właśnie czegoś, do czego nie byłby zdolny żaden śmiertelnik. Co to był za człowiek? Jaka krew płynęła w jego żyłach?

Daruma znów zamilkł na chwilę, kiedy zaś przemówił, jego głos wydawał się donośniejszy za sprawą wiatru, który wprawiał w drżenie wanty niczym struny harfy.

— Pogoda się zmienia — powiedział tak, jakby głośno myślał, po czym powracając do tematu dodał: — Tak, ale przypuszczam, że każdy zrobiłby to samo. I tak minęły dwa lata bez żadnych wieści od księcia.

„Dwa lata”, pomyślał Metellus. Prawie tyle, ile trwała jego niewola w Aus Daiwa.

— Kiedy się skończyły te dwa lata? — zapytał.

— Jakies pół roku temu. Właśnie wtedy wyruszyłem w podróż, żeby doszło do tego spotkania.

A zatem w dniu, w którym Walerian dostał się do niewoli pod murami Edessy, książę był gościem albo też nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że jest więźniem.

Nagle do Darumy podszedł jeden z członków załogi i pokazał mu coś na wzgórzach, które wznosiły się w odległości kilku mil od zachodniego

brzegu. Były to biegnące dromadery.

— Myślisz, że nas gonią? — zapytał Metellus spoglądając w ich kierunku.

— Za wiele ode mnie wymagasz. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że Wielki Król używa dromaderów do przekazywania pilnych wiadomości przez pustynię, tam gdzie konie nie zniósłoby takiego wysiłku i pragnienia. Jeśli ci ludzie przewożą listy, prawdopodobnie dotyczą one nas, ja zaś oddałbym zawartość mojej sakiewki, byleby się dowiedzieć, co zawierają. Ale jasnowidztwo to nie moja specjalność.

Metellus nic nie powiedział, lecz na myśl, że coś może jeszcze zagrażać odzyskaniu wolności przez niego i jego żołnierzy, ścisnęło mu się serce. Na pewno znaleźliby jakiś port u ujścia rzeki, gdzie ze statków oceanicznych rozładowywano towary, które miano następnie przenieść na barki rzeczne albo karawany podążające na zachód.

Zachód. Myśl ta nie dawała mu spokoju, wzrok zaś uparcie podążał za zachodzącym słońcem, które zmierzało w kierunku jego ojczyzny.

Edessa. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy? Czy zobaczy jeszcze swego syna? I co zostanie po powrocie? Zastanawiając się nad tym, co się wydarzyło za murami miasta, dochodził do wniosku, że jego życie będzie w jednakowym niebezpieczeństwie w kraju jak teraz, na obcej ziemi. Będzie musiał się ukrywać, działać w cieniu, uderzać z bezlitosną determinacją. Wraciał, by dotrzymać obietnicy, by naprawić błąd. Postąpił w dobrej wierze, był bowiem pewien, że Aurelian spełnił swój obowiązek i że Silwa stanie na wysokości zadania jako dowódca. Wiedział jednak, że gdyby posłuchał rozkazu cesarza, który polecił mu zostać w Edessie, być może zdołałby uniknąć katastrofy, przyjąć z odsieczą Walerianowi na czele oddziału wojska, uwolnić go w chwili, gdy dostał się do niewoli...

Przez głowę ciągle przewijały się rozmaite wizje tego, co mogłoby się zdarzyć, podsycane wyrzutami sumienia, które tkwiły zazwyczaj nieruchomo na dnie umysłu niczym krokodyl, co to siedzi przyczajony w mule, dopóki woda jest zmacona, lecz gdy tylko wraca spokój,

wynurza się na powierzchnię, by kasać jego duszę.

Walerian powierzył mu zadanie niemożliwe do wykonania: wrócić, aby umocnić władzę w państwie. On zaś złożył obietnicę, dał słowo umierającemu cesarzowi... Wiedział, że porywanie się na zbyt trudne przedsięwzięcia niemal zawsze oznacza narażanie własnego życia, był jednak żołnierzem, który przywykł do myśli, że śmierć to mniejsze zło w porównaniu z utratą honoru.

Rzeka płynęła nadal coraz wolniej, on zaś widział na własne oczy, jak stado dromaderów oddala się na południe, po czym prędko znika za horyzontem. Na wodzie znajdowało się teraz wiele dużych i małych łodzi, których przybywało, w miarę jak posuwali się naprzód. Niektóre z nich, podobnie jak ich łódź, płynęły z prądem, inne znów podążały w górę rzeki z rozwiniętymi żaglami, wykorzystując siłę wiejącego z południa wiatru.

W pewnej chwili, gdy słońce jęło zachodzić, ujrzał, jak książę wstaje i przeciąga się w sposób, jakiego nigdy dotąd nie widział, rozprostowując na przemian ramiona i nogi, następnie zaś palce w rozmaitych kierunkach. Co to były za dziwne gesty? Jakiś taniec? Sposób rozciągania mięśni po długim bezruchu? A dlaczego tak długo się nie ruszał?

Wówczas popatrzył na swoich żołnierzy — każdy z nich był czymś zajęty. Publiusz rzeźbił coś sztyletem w kawałku drewna, Uksał wyrabiał łyżki z akacjowego kija, Lucjanus cerował swoje odzienie igłą sieciarską, Sewer i Marcjanus, rozebrawszy swe pancerze folgowie na części i ułożywszy w szeregu na pokładzie, oglądali je teraz uważnie jeden po drugim ściskając cęgami każdy pierścień, aby się nie zgubił, Rufus ostrzył oszczep, Antoninus przy pomocy Septymiusza robił prymitywną wędkę do łowienia ryb, Balbus zaś przesuwał powoli oselkę po mieczu rozmawiając półgłosem z Kwadratusem.

Dla nich bezczynność była męką, przejmowała nieznośną nudą. Z kolei zastygnięcie w bezruchu przez owego przybysza wydawało się wszystkim czymś nienaturalnym i niemal niemożliwym. Dowodem na to, że świat jest o wiele większy, niż wyobrażali sobie Rzymianie, prawie tak ogromny, że imperium cesarów rozciągnięte na wszystkie

ziemie mare Internum musiało sprawiać wrażenie drobnostki. W miarę jak rozciągały się przed nimi lądy, zakrzywiała się linia horyzontu i zmieniały konstelacje, podobna różnorodność mogła się jedynie nasilać.

Może w tak odległych miejscach reguły życia także były inne, może to, co było dobre w Rzymie czy w Aleksandrii, przestawało takie być na ziemi owych małych ludzi o skośnych oczach, którzy pewnie postrzegali rzeczywistość również na ukos, zgodnie z własnym sposobem pojmowania i oceniania. Myśli te nie poruszały go już jednak aż tak bardzo; były to sprawy, o których chciałby opowiedzieć synkowi pewnego dnia, gdy złe chwile miną i wszystko się ułoży.

Nagle wyrwał go z zadumy głos Hindusa:

— Gotowe, wodzu.

— Co jest gotowe?

— Nie czujesz zapachu? Wieczera gotowa.

— Bogowie... Już wieczór. Nie wiedziałem, że tak późno.

— Przez długi czas byłeś pogrążony w zamyśleniu i nie chciałem ci przeszkadzać. Kiedy człowiek pozostaje w niewoli przez tyle miesięcy, jego umysł odczuwa potrzebę rozszerzenia swoich możliwości poprzez wyobraźnię, marzenia, sny. Brak wolności hamuje wszelką zmyślność, pozbawia człowieka wszelkich możliwości rozwoju. Pierwsze co odzyskuje, to przeszłość...

— To prawda — przytaknął Metellus — wraz z jej upiorami.

— Ale także przyszłość wraz z jej nadziejami — odrzekł Daruma.

— Nadzieje... — szepnął Metellus. — Niewiele mi zostało, ale nawet jedna jedyna i na dodatek nikła oznacza życie. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak się teraz czujemy ja i moi ludzie. Zupełnie jakbyśmy wyszli ze śmiertelnego odrętwienia. Stopniowo odzyskujemy świadomość tego, do jakiego stanu nas doprowadzono, tego co nam zostało i co nam odebrano...

— A teraz jedz — powiedział Daruma. — Z pełnym żołądkiem spojrzysz na świat lepszym okiem.

Usiedli w kole wraz z członkami załogi, którzy nie musieli wykonywać żadnych manewrów. Dołączył też do nich młody przybysz, który swoim zwyczajem przysiadł na piętach. Zdjąwszy czarną zasłonę, pokazał gładką, niemal dziecięcą twarz, długie, nieprawdopodobnie czarne i lśniące włosy związane na karku krótkim rzemykiem, małe, ładnie wykrojone usta, woskową cerę odznaczającą się osobliwą jednorodną białością. Twarz, która nie była w stanie się zaczerwienić. Metellus zastanawiał się, czy oznacza to, że młodzieniec nie jest zdolny do wściekłości ani do żadnych gwałtownych uczuć. Albo że posiada coś w rodzaju wrodzonej zimnej krwi, ataraksję, na której temat filozofowie Zachodu snuli rozmaite przypuszczenia i teorie.

Wówczas Uksal wystąpił naprzód i rozdał wszystkim nowiusieńkie łyżki, które dopiero co wystrugał z kawałków akacjowego drewna, wkrótce po nim zaś pojawił się kucharz z talerzami i dużą miską pełną ryby duszonej w oliwie z warzywami, przyprawionej szafranem i pieprzem.

Mężczyźni zabrali się z zapałem do jedzenia, Metellus zaś widząc, że młodzieniec o skośnych oczach nie je, podał mu swą łyżkę z lekkim skinieniem głowy. Tamten nie wyciągnął ręki, żeby ją wziąć, lecz powiedział półgłosem parę słów.

— Co mówił? — zapytał Metellus Darumę.

— Jeśli chcesz, mogę go zapytać, czy zechce z tobą porozmawiać. Zna perski.

— A kto ci powiedział, że mówię w tym języku?

— Słyszałem, jak w oazie nad Khaborasem zamieniłeś kilka zdań z poganiaczem mułów.

— I pozwoliłeś, żebym przez cały ten czas mówił w koine?

— Pomyślałem, że chciałeś zostawić sobie w rezerwie jeden język i że powody, dla których to robisz, nie powinny mnie obchodzić.

— A ja? — wtrącił się Uksal. — Mnie też nie powinny obchodzić? Przez półtora roku musiałem być tłumaczem jak głupiec, a ty nawet nie powiedziałeś, że znasz perski?

— Owszem, znam — odparł Metellus — ale chciałem to zachować w tajemnicy. Mogłoby nam się wymknąć niechcący jakieś słowo i ktoś mógłby usłyszeć... Nie powodował mną brak zaufania, Uksalu.

Kiedy gra toczy się o najwyższą stawkę, ostrożności nigdy za wiele.

Uksal burknął coś pod nosem, po czym wsadził nos w talerz.

Tymczasem Daruma, zamieniwszy z gościem kilka słów tonem pełnym szacunku, zwrócił się do Metellusa:

— Zapytałem go, czy zgadza się przeprowadzić z tobą rozmowę.

— Ach tak? — odrzekł Metellus. — I jaką otrzymałeś odpowiedź?

— Zgadza się. Możesz do niego przemówić. Po persku.

— Dziwne to przeznaczenie — zaczął Metellus zwracając się do księcia po chwili zastanowienia — które skrzyżowało nasze drogi, panie.

— Nie aż tak dziwne — zaprzeczył książę. — Ludzie tacy jak my, na których spoczywa ogromna odpowiedzialność, nigdy nie spotykają się przypadkiem.

— A więc z jakiego powodu?

— Ponieważ podążają tymi samymi drogami, tymi samymi szlakami. Prędzej spotkają się dwaj królowie, których dzieli ogromna odległość, niż jeden z nich zaszczyty spojrzeniem tego, kto mu czyści latrynę.

Ton księcia był pozornie chłodny i obojętny. Metellus usiłował skierować rozmowę na bardziej swojski temat.

— Nie chcesz zjeść z nami? — zapytał.

— Ilość jadła, jaka mieści się w tym przyrządzie — odparł tamten — jest niestosowna dla osoby dobrze wychowanej.

Mówiąc to wyjął z wewnętrznej kieszeni kaftana dwie pałeczki i przystąpił do jedzenia nabierając z talerza maleńkie porcje stawy, tak skąpe, że ruchy jego szczęk były prawie niewidoczne.

— Na wszystkich bogów — zdumiał się Uksal — je jak ptaszek.

— Je tyle, ile mu potrzeba — stwierdził Daruma. — Sami widzieliście, ile ma w sobie energii.

— Właśnie — przytaknął Metellus. — Już mu niewiele zostało. Zdaje się, że wkrótce dopłyniemy nad brzeg Oceanu.

Daruma porzucił rozmowę.

Uksał też się nie odzywał, na chwilę zapadło więc osobliwe milczenie, pozostali bowiem również przyglądali się przybyszowi spod oka, ich uwagi nie uszło jednak i to, że Metellus jął teraz nabierać z talerza mniejsze porcje jadła i wyłącznie na czubek łyżki. Po czym zaczęli rozmawiać między sobą półgłosem.

— Daruma mówi, że pochodzisz z wielkiego kraju na Wschodzie... — zaczął Marek po persku.

— Zhong Guo — odrzekł przybysz.

— Tak się nazywa twój kraj?

— Tak — powiedział. — A twój?

Zawahawszy się przez chwilę, Metellus odparł po łacinie:

— Imperium Populi Romani.

— Gdzie leży?

— Na dalekim Zachodzie, w jego skład wchodzi całe morze.

— To musi być państwo, które nazywamy Taqin Guo, co oznacza Kraj Zachodni.

Metellus zauważył, że słowo **GUO** musi oznaczać „kraj” albo „ziemię”, skoro występuje w obu nazwach.

— A zatem wiecie o naszym istnieniu, podobnie jak my wiemy o waszym, ponieważ kupujemy od was duże ilości jedwabiu... Daruma mówił też, że jesteś księciem — ciągnął. — Chciałbym, abyś wiedział, że jesteśmy zaszczytzeni mogąc dzielić z tobą tę część podróży.

Księżę podziękował za tę uprzejmość lekkim skinieniem głowy.

— Czy mogę poznać twoje imię?

— Dan Qing — odrzekł księżę.

— Moje brzmi Marek Metellus Akwila.

— W twoim języku wszystko wydaje się bardzo zagmatwane.

— W twoim zaś wszystko wydaje się bardzo proste, ale zarówno dla mnie, jak i dla ciebie są to wrażenia powierzchowne.

Metellus uświadomił sobie, że gdy księżę się doń zwracał, zawsze patrzył mu prosto w oczy, co wprawiało go w zakłopotanie. Jego spojrzenie

wydawało mu się tajemnicze i nieprzeniknione.

Wtem rozmowę przerwał niespodziewany, tym razem dość silny, poryw wiatru.

— Wieje z zachodu — zauważył Uksal.

— Zgadza się — przytaknął Metellus.

— Nie podoba mi się — stwierdził Septymiesz — ale to niewiele znaczy. Wiatr jest jak ludzki los: może się zmienić w każdej chwili.

Skinąwszy na kucharza, aby zabrał puste talerze, Daruma puścił w obieg dzban palmowego wina. Każdy się poczęstował oprócz Dana Qinga, który wypił jedynie parę łyków wody. Po czym wstał, skłonił się i zniknął pod pokładem.

— Nie zauważyłem, żebyście dużo ze sobą rozmawiali — powiedział Metellus zwracając się do Darumy. — To dziwne jak na dwóch ludzi, którzy mieli umówione spotkanie i wspólny plan ucieczki.

— Nie byliśmy wystarczająco odosobnieni. Zaraz do niego pójde i będziemy mogli porozmawiać nie zwracając na siebie uwagi. Ten, kto będzie chciał się przespać, dostanie matę i derkę. Nocą mimo gorąca na pokładzie panuje wilgoć. Chyba nie muszę ci przypominać, żebyś miał oczy otwarte — dodał. — W nocy na nasz żaglowiec mogą napaść małe łodzie pirackie, bardzo szybkie i bardzo niebezpieczne, a poza tym zagrożenie, przed którym uciekacie, jeszcze nie minęło.

— Wiem — odparł Rzymianin. — Nie damy się wziąć z zaskoczenia.

Kiedy Daruma zszedł pod pokład, Metellus zebrał żołnierzy i przydzielił wachty. Podczas gdy na zachodzie pozostał delikatny odbłask zgasłego słońca, z wody wynurzył się wielki czerwony księżyc kreśląc na jej powierzchni długą złotą ścieżkę.

Okolo północy pojawił się znowu Dan Qing, który podobnie jak poprzednio stanął nieruchomo na dziobie, gdzie pozostał aż do świtu. Metellus przyglądał mu się wielokrotnie, nie potrafiłby wszakże powiedzieć, czy czuwa czy też śpi. Jego pozycja, z głową lekko pochyloną na piersi, umożliwiała i jedno, i drugie, jeśli zaś nawet od czasu do czasu przysypiał, wyglądało na to, że ma czujny sen. Nie umknął

mu żaden ruch, żadna zmiana kursu czy kierunku wiatru.

Noc upłynęła w spokoju. Księżyc zaszedł po drugiej wachcie, pozostawiając niebo usiane niewiarygodnie błyszczącymi gwiazdami, wśród których widniał biały płaszcz Drogi Mlecznej. Metellus, który wraz z Kwadraturem objął ostatnią wachę tę przed świtem, zauważył, że o wschodzie słońca Dan Qing pozwolił sobie na odrobinę snu, wsparłszy głowę o zwój liny. Chociaż wydawał się niemal dziecięco kruchy, jego wygięte w łuk ciało sprawiało wrażenie, że może się w każdej chwili napiąć z tą samą siłą, która umożliwiła mu wykonanie owego oszałamiającego skoku.

Chętnie by z nim porozmawiał, dowiedział się czegoś więcej o tym dalekim kraju, z którego przybył aż do granic Cesarstwa Rzymskiego, zapytał, skąd się bierze jedwab, na Zachodzie bowiem wygadywano na ten temat niestworzone rzeczy, między innymi krążyła całkowicie szalona opowieść, mianowicie że przędą go jakieś robaki. Nie chciał jednak zakłócać jego głębokiej samotności, nawet jeśli wkrótce mieli się rozstać i pójść każdy w swoją stronę, ku światom, które zostawili dawno temu, na zawsze tracąc okazję do rozmowy.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca pojawił się Daruma odziany w szatę do ziemi, wykonaną z jasnej tkaniny przypominającej len, lecz o wiele lżejszej. Jako że rzeka rozszerzyła swe koryto jeszcze bardziej, jej niskie piaszczyste brzegi się oddaliły.

— Za parę godzin ujrzymy Ocean — odezwał się Daruma.

— Tam nasze drogi się rozejdą. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni za to, co... — zaczął Metellus.

— Nie wydaje mi się — przerwał mu Daruma.

— Co to znaczy: „Nie wydaje mi się”?

— Że nasze drogi się rozejdą. Pojedziecie ze mną i z księciem.

— Chyba żartujesz. Nie...

— Zawarliśmy umowę. Czy Rzymianin tak właśnie dotrzymuje danego słowa?

— Chyba nie sądzisz, że pojedziemy z tobą aż w to miejsce...

— Do Chin? Właśnie tak sądzę.

— Tego nie było w umowie.

— Oczywiście, że było. Wynająłem was jako eskortę aż do kresu podróży.

— Ale tu jest kres podróży. Na brzegu Oceanu. Nawet Aleksander zatrzymał się na brzegu Oceanu. Darumo, zostawiłem synka samego, bez matki, w rękach wrogów. Rozumiesz? Kiedy wszedłem z tobą w układy, myślałem wyłącznie o nim. Zawarłem umowę w dobrej wierze z myślą o brzegu Oceanu, kiedy więc dopłyniemy do ujścia rzeki, uznam to zadanie za wykonane.

Daruma spuścił głowę, najwyraźniej pograżając się w zadumie, po chwili zaś rzekł:

— Zawdzięczacie mi życie, Rzymianie, zatem domagam się spłaty długu. A ponieważ nie ma na świecie nic cenniejszego niż życie, powinniście zrobić wszystko, czego zażądam, aby wywiązać się przynajmniej w części. Ach, to ci dopiero filozofia! Dokąd zamierzacie pójść, kiedy zejdziemy na ląd? Nie macie dość złota, aby zapłacić za przewóz karawaną.

— Popłyniemy morzem.

— Ale Persowie będą sprawdzać porty, poza tym...

— To ryzyko, które muszę podjąć.

— Podróżując ze mną — ciągnął Daruma, jakby nie słyszał — zobaczycie rzeczy, o których nawet wam się nie śniło, i poznacie świat, którego żaden wasz rodak nigdy nie widział i pewnie nigdy nie ujrzy. Otrzymacie tak hojną zapłatę, że do końca swoich dni nie będziecie musieli się troszczyć o zarobek. Na koniec zaś odprowadzę was z powrotem aż do granic waszego świata. Uczynię to osobiście albo zlecę zaufanym przewodnikom, by mnie zastąpili.

Żołnierze, którzy zdążyli się tymczasem zgromadzić w pobliżu, przyglądali się z niepokojem, jak ich dowódca spiera się z Daruma. Nawet Dan Qing patrzył na nich wzrokiem, w którym wreszcie było coś podobnego do uczucia. Może obawa, a może i rozczarowanie.

Skierowana przez sternika ku zachodniemu brzegowi, łódź oddalała się od głównego nurtu.

14

Kiedy łódź zbliżyła się do zachodniego brzegu, Metellusowi zdawało się niemal, że to dobry znak, spojrzenie Darumy nie zapowiadało wszakże nic przyjemnego, z nieodgadnionego wzroku Dana Qinga zaś nie dało się nic odczytać. Nagle upał stał się nie do zniesienia, unosząca się znad rzeki wilgoć dusząca, od zachodu zaś nadciągała ściana niskich, nabrzmiątych chmur.

Ich oczom ukazało się portowe miasto z mnóstwem zakotwiczonych żaglowców, statków o różnych kształtach, gdzie roilo się od półnagich marynarzy, którzy ładowali i wyładowywali towar, zszywali i łatali żagle, naprawiali i sprawdzali wiosła i stery, pokrzykując we wszystkich językach. Ich nawoływania mieszały się z piśkiem mew, które przelatywały tuż nad powierzchnią wody w poszukiwaniu resztek wyrzuczanych z łodzi.

Metellus omiatał wzrokiem każdy żaglowiec wypatrując znajomych kształtów. Gdyby znalazł na przykład jakąś jednostkę aleksandryjską, mógłby wykorzystać swój wysoki stopień wojskowy i domagać się wpuszczenia na pokład. Kapitan statku handlowego zaś mógłby potraktować jego żądanie jako znakomitą okazję zaskarżenia sobie łask po powrocie do ojczyzny.

— Co robimy, wodzu? — zapytał podchodząc doń Balbus.

— Wracamy do domu — odparł stanowczo Metellus.

— Ale zdaje się, że tamten — Balbus popatrzył spod oka na Darumę — jest innego zdania. Chyba się nie mylę?

— Rzeczywiście jest innego zdania. Mówi, że powinniśmy eskortować go razem ze skośnookim księciem aż do Sera Maior, czyli do, jak je nazywa, Chin. Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie, ale

teraz powinien wreszcie pojąć, że nie może nas do niczego zmusić.

— A jeśli nie będzie chciał?

— Co przez to rozumiesz?

— Może na nas donieść, oddać w ręce Persów. W gruncie rzeczy kto go powstrzyma?

— Nasz gość. On też jest poszukiwany przez Persów, a Daruma prawdopodobnie odpowiada za jego nietykalność. Dopóki jest z nami, nie mamy się czego bać. Kłopoty mogą się zacząć dopiero, gdy się rozdzielimy...

W tej samej chwili odezwał się głos marynarza siedzącego na bocianym gnieździe.

— Okręt wojenny z prawej burty!

Daruma w okamgnieniu zerwał się na równe nogi.

— Opuścić wiosła, wszyscy na stanowiska, ster w lewo! — krzyknął.

Kiedy dowódca załogi przekazał rozkaz marynarzom, ci włożyli wiosła do dulek i zaczęli wiosłować ze wszystkich sił. Ledwie łódź oddaliła się od ujścia rzeki, pozostali zabrali się do rozwijania żagla.

Spojrawszy w kierunku wskazanym przez marynarza, Metellus dostrzegł, jak z portu wyłania się żaglowiec o smukłych kształtach, napędzany siłą jakichś pięćdziesięciu galerników i z taką samą liczbą wojska na pokładzie. Na rufie widniał znak przypominający skrzydlatą istotę: symbol Ahury Mazdy.

— Żołnierze, w szyku bojowym!

Wszyscy chwycili za broń i stanęli przy prawej burcie. Uksał odważnie zajął miejsce w szeregu wraz ze swymi kompanami, tak jakby mógł się na coś przydać w walce, Kwadratus odepchnął go wszakże bez ceregieli.

Chociaż łódź Darumy na szczęście płynęła z prądem, okręt wojenny utrzymywał kurs i prędkość, żeby przeciąć im drogę.

— Najwyraźniej ktoś nas uprzedził, żeby zgotować piękne powitanie — stwierdził Daruma.

— Jesteś pewien, że chodzi im o nas? — zapytał Metellus.

— A niby o kogo? — odburknął Daruma spoglądając z niepokojem na perski statek, który posuwał się coraz szybciej.

— Zaczyna wiać — zauważył Dan Qing podchodząc bliżej. — Postaw żagiel.

— Przecież nie ma żadnego wiatru — zaprotestował Metellus rozglądając się dokoła.

Dan Qing wpatrywał się weń przez chwilę wzrokiem wyzutym z uczuć, po czym rzekł:

— Właśnie nadchodzi.

— Róbcie, co mówił — rozkazał Daruma.

Marynarze postawili żagiel. Wkrótce na maszcie zawisł nieruchomo ogromny prostokąt płótna. Metellus pokręcił głową i dołączył do swych żołnierzy. Okręt wojenny znajdował się niemal w połowie ujścia rzeki, sternik Daruma zaś nadal sterował na lewą burtę usiłując znaleźć przy przeciwnym brzegu jakiś przesmyk, przez który zdołałyby uciec, nim zbliżający się żaglowiec przetnie im drogę.

— Bądźcie gotowi — powiedział Metellus. — Jest ich pięciu na jednego.

— O ile dobrze pamiętam, to dla nas nie pierwszyna — zauważył Kwadratus.

— Przygotować się do odparcia ataku! — krzyknął natychmiast Metellus sięgając po miecz.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle w łódź uderzył poryw wiatru wzdymając żagiel, który napreżył się, aż zaskrzypiał maszt. Choć sternikowi udało się utrzymać ster, łódź i tak niebezpiecznie zbliżyła się do lądu. Dowódca załogi rozkazał wiosłować w szybszym tempie na lewej burcie, dzięki czemu zrównoważono siłę dryfowania kierując łódź ku brzegowi, gdzie wiatr, nie natrafiając na przeszkodę w postaci stałego lądu, popchnął ją z całej mocy nadając jej ogromną prędkość.

Pozbawiony masztów okręt wojenny zrezygnował z pościgu zmieniając kurs.

— Jesteśmy uratowani — powiedział Daruma.

Metellus odetchnął z ulgą, jego żołnierze i członkowie załogi zaś nie kryli radości. Ukisał zaczął tańczyć na pokładzie, czym rozbawił wszystkich.

Wówczas rzymski dowódca podszedł do Darumy mówiąc:

— Teraz jesteście bezpieczni, dalej zaś znajdziesz sposób, by wynająć eskortę, na której będziesz mógł polegać tak jak na nas. Tutaj nasze drogi się rozchodzą. Przybijaj do brzegu.

— A jak? — zdumiał się Daruma. — Popatrz na rzekę; nie sposób przez nią przebrnąć; pełno w niej wystających skał. I posłuchaj wiatru. Wiesz, co to jest?

— Nie jestem marynarzem.

— To monsun, który wieje ku wschodowi bez ustanku, dzień i noc, z niepokonaną siłą.

— Przybij do brzegu — powtórzył Metellus tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Jeśli będzie trzeba, popłyniemy wpływ. To tylko ruch powietrza. Przywykłem do gorszych przeszkód.

Tymczasem wiatr się wyraźnie nasilił, chmury zaś zbliżyły się z przerażającą prędkością; widać było czarną ścianę, którą raz po raz przecinały błyskawice, czemu towarzyszyły odległe groźne grzmoty. W jednej chwili obca i wroga przyroda pokazała swą niszczycielską potęgę. Przyzwyczajony do śródziemnomorskiej łagodności Metellus spoglądał na tego potwora z niespodziewanym lękiem. Naraz niebo przeszła błyskawica wpadając do morza rozdieranego oślepiającymi strumieniami ognia, po niej zaś nastąpił ogłuszający grzmot pioruna.

— Wszyscy na stanowiska! — wrzasnął dowódca załogi.

— Zrzucić żagiel! Cała naprzód!

Metellus pobladł na ten widok. Daruma, któremu gwałtowny podmuch wiatru potargał włosy, spojrział nań z ironicznym uśmiechem.

— Nie ma obawy, wodzu, to tylko ruch powietrza. Powiedz swoim ludziom, żeby stale się czegoś trzymali, jeśli nie chcą wpaść do morza. — Po czym sam mocno chwycił się burty.

Słońce przykryła groźna warstwa chmur, zanim jednak zasłoniły je całkowicie, posłało ostatni promień oświetlając siną, spienioną taflę wody.

— To jest właśnie Ocean, wodzu! — zawołał Daruma.

— Nikt i nic nie zdoła mu się oprzeć.

Dan Qing, który w kilku susach dopadł dziobu, złapał się want mocujących fok do bomu, niczym jeździec, który czepia się cugli spłoszonego konia. Uksal schował się jak szczur w skrajniku dziobowym, za zwojem liny.

Popychana gwałtownie od rufy łódź jęła się kotysać na wysokich jak góry falach, zanurzając się w głębinach, które się przed nią otwierały, następnie zaś czym prędzej wyłaniając się z powrotem.

Potem z nieba zaczęły się łać strugi deszczu, który chłostał pokład z niespotykaną gwałtownością, do ulewy zaś dołączyły fale, zmywające deski od dziobu aż po rufę. Przez jedyny właz w zęzie jęła przeciekać woda.

Daruma podszedł do Metellusa trzymając się burty.

— Potrzebuję dwóch silnych ludzi do pomocy w zęzie! — wrzasnął. — Nie mogę odrywać załogi od manewrów. Prędko, bo inaczej zaraz pójdziemy na dno!

— Rufus, Septymiesz, natychmiast do pompy! — krzyknął Metellus.

Obaj żołnierze podbiegli do pompy w zęzie i zaczęli naciskać dźwignię. Była to machina wytworzona w Rzymie, jak głosiła cecha jej budowniczego. Wystawiwszy na zewnątrz płócienny wąż, Rufus wręczył jego koniec przemokniętemu Publiuszowi, który trzymał się lewej burty, po czym wrócił na dół i zaczął pompować ze wszystkich sił.

Pompa z trudem wyciągała wodę, która wdzierając się bez ustanku, obaj obsługujący ją mężczyźni zaś korzystali z nielicznych chwil wytchnienia, jakie dawała im nawałnica, aby nabrać sił. Zajęcie to wymagało ogromnego wysiłku, toteż chcąc, aby wypompowywanie wody odbywało się bez przerw, Metellus rozdzielił pracę na zmiany.

Burza ciągnęła się przez długie godziny, wycieńczona załoga zaś dwoiła się i troiła, by utrzymać łódź na powierzchni. Od czasu do czasu Metellus spoglądał w ciemnościach na Dana Qinga, widząc zaś, jak stoi wyprostowany na dziobie, uczepiony burty, miał wrażenie, że to on nie pozwala łodzi zatonać, to on prowadzi ją wśród wzburzonych fal dzięki jakiejś tajemniczej sile, której nie potrafił pojąć, lecz która jak mu się zdawało, przenikała cały kadłub sprawiając, że mimo

zamętu, mimo bryzgów piany, grzmotów, wichury i błyskawic takielunek i maszt trzymają się razem. Na pokładzie panował niemal całkowity mrok. W bladym świetle, jakie rzucało na pokład parę lamp wiszących na wantach grotmasztu, ledwie można było dostrzec sylwetki ludzkie przypominające zjawy, sterowane wrzaskami dowódcy załogi, który usiłował przekrzyczeć łoskot nawałnicy.

Nagle wkrótce po północy fala, która uderzyła z większą siłą niż pozostałe, omiatając pokład aż do skrajnika dziobowego, wymyła Uksala z jego kryjówki i popchnęła w kierunku prawej burty. Ściekająca na zewnątrz woda zrobiła w poszyciu kadłuba dziury szerokości około dwóch stóp. Starzec został wyrzucony za burtę przez fale, lecz uczepił się wsporników nadburcia, by nie wpaść do morza. Chociaż wzywał pomocy ile miał sił w płucach, Metellus zauważył, co się dzieje, dopiero po chwili, po czym pobiegł mu na ratunek.

Uksał trzymał się jedynie na lewej ręce, która ślizgała się nieubłaganie, z nogami zwisającymi w powietrzu. Metellus chwycił jego dłoni tuż przed tym, nim starzec wpadł do morza, kolejna fala jednak zmyła z pokładu również jego, przez tę samą dziurę. Zdołał złapać się wspornika i otoczyć go lewym ramieniem, podczas gdy prawą ręką ciągle trzymał Uksala.

— Tędy, tędy! Prędko! — wrzasnął.

Przy potwornym łoskocie i ogromnym zamęcie nikt go wszakże nie usłyszał. Nagle fala zalała prawą burtę wyrywając Uksala z jego uścisku. Starzec zniknął w odmętach piany krzycząc rozpaczliwie. Metellus zaś walczył ze wszystkimi siłami starając się dosięgnąć wspornika także drugą ręką. Rozhuśtał się usiłując nabrać rozpędu, by wdrapać się na pokład, lecz fale uderzały weń jedna po drugiej powodując stopniową utratę sił. Czuł, że zaraz wciągnie go czarna otchłań Oceanu. Wrzasnął ostatni raz, nim pochłoną go bałwany, nim wpadnie w ramiona śmierci.

W tej samej chwili jednak na jego nadgarstkach zacisnęły się dwie żelazne dłonie, po czym wyciągnęła go z wody jakaś nadzwyczajna siła. To Dan Qing wisiął głową w dół przytrzymując się stopami o nadburcie. Odczekawszy, aż nadejdzie kolejna fala, wykorzystał jej

moc wyrzucając ciało Rzymianina z impetem do góry. Metellus ucze-
pił się obiema rękami burty i wdrapał się na pokład. Tymczasem Dan
Qing odepchnął się biodrami do tyłu, po czym poszybował nad nad-
burtie i wylądował na deskach.

Oszołomiony Metellus zdołał tylko wyjąkać:

— Dziękuję.

Skinąwszy nieznacznie głową, Dan Qing wrócił na swoje miejsce
na dziobie.

Burza zaczęła cichnąć dopiero o świcie, gdy Daruma waz z do-
wódcą załogi zabrali się do liczenia tych, co przeżyli, w bladym świe-
tle przebijającym przez postrzępione chmury.

Metellus podszedł do swoich.

— Uksal nie żyje — oznajmił. — Dlaczego nikt nie odpowiedział,
kiedy wołałem pomocy?

— Wodzu — odrzekł Lucjanus — każdy wrzeszczał, a na dodatek
wszystkich zagłuszało morze. W takim rozgardiaszu nie sposób było
rozróżnić dźwięki. Każdy się czegoś trzymał, żeby nie dać się zmyć
przez fale. Jedni zeszytnieli z zimna, inni byli otepiali ze zmęczenia,
jeszcze inni wypompowywali z dołu wodę. Przykro mi...

— Biedny Uksal — dodał Balbus, który dopiero co wynurzył się z
ładowni.

— Zawdzięczamy mu życie — stwierdził Rufus. — Bez niego
nigdy byśmy się nie wyrwali z tego piekła.

— Jeśli wrócę do domu w Spoletum — oświadczył Publiusz —
postawię na dziedzińcu ołtarz i w każdą rocznicę jego śmierci będę
składał żałobną ofiarę jego cieniowi. Był dobrym człowiekiem i poko-
chał nas.

— Dziś w nocy straciłem dwóch członków załogi — powiedział
Daruma podchodząc. — Wy też straciliście jednego z waszych, praw-
da?

— Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby go uratować, ale
sam też bym zginął, gdyby nie on — odrzekł Metellus Wskazując
Dana Qinga. — Ciągłe nie mogę pojąć, jakim cudem mnie usłyszał i
zdążył mnie złapać za nadgarstki tuż przed tym, nim wpadłem do
wody.

Daruma uśmiechnął się nieznacznie.

— Ludzie jego pokroju zostali ukształtowani przez wyjątkową filozofię, która pozwala im dostrzec każdą siłę wibrującą w powietrzu i odróżnić ją od tysiąca innych. To nadzwyczajne u tak młodego człowieka.

Metellus spojrział nań osłupiały nie wiedząc, co odpowiedzieć, po czym zerknął jeszcze raz na Dana Qinga, który zdjął odzienie, aby wyschło, i siedział teraz ze skrzyżowanymi nogami mając jedynie wąską przepaskę wokół bioder.

— Wiatr już wystarczająco ucichł — zwrócił się do dowódcy załogi Daruma. — Możemy podnieść żagiel. Teraz musimy sprawdzić, co ocalało po burzy, wysuszyć wszystko, co się da, kiedy tylko wędzie słońce, i odzyskać siły. — Zszedł do ładowni, Metellus zaś podążył za nim. — Bez tej pompy byśmy sobie nie poradzili — przyznał Daruma wskazując maszynę z brązu przytwierdzoną do stołu.

— Dwa cylindry, pompa ssąco-tłocząca — rzekł Metellus. — Została stworzona do kopalni, ale wszędzie się dobrze spisuje. Jak ją zdobyłeś?

— Dbam o to, by mi niczego nie brakowało. Pochodzi z Aleksandrii, ale kupiłem ją w Hormusii. Zrozumiałeś wreszcie, dlaczego nie da się płynąć na zachód? Monsun to wiatr, który wieje w tym kierunku bez przerwy przez sześć miesięcy. Żaden statek nie może płynąć pod wiatr, chyba że ma wiosła, a i to na ograniczoną odległość. To jasne nawet dla kogoś, kto nie jest żeglarzem. Wkrótce dotrzemy do ujścia Indusu. Gdybyście się zdecydowali zejść na ląd, musielibyście zaszyć się w jakiejś dziurze na pół roku, jeśli nie więcej, czekając, aż wiatr się zmieni, wśród komarów, smrodu i gorączki, bez złota, nie znając języka i nie mając żadnej pewności, że ktokolwiek was zabierze, skoro nie jesteście w stanie zapłacić. Moglibyście trafić choćby do niewoli albo do jakiejś wioski w głębi ładu, gdzie harowalibyście przez cały dzień w zamian za miskę ryżu.

— Co to jest ryż? — zapytał Metellus.

— Zboże rosnące na bagnach. Niedługo go skosztujecie... Jeśli natomiast zdecydujecie się wyruszyć razem ze mną, zobaczycie wspaniały kraj, przejedziecie przez najwyższy łańcuch górski na świecie,

czyli indyjski Kaukaz, który opisują kronikarze Aleksandra. Hindu-kusz, jak zwiemy go my. A kiedy odprowadzimy Dana Qinga do domu, sam was odstawię z powrotem, tak jak powiedziałem.

— W ciągu sześciu miesięcy? — zapytał podejrzliwie Metellus.

— No, może trochę później, ale dla was to i tak lepiej, bo gdybyście szli sami, musielibyście się co jakiś czas zatrzymywać, żeby pracować na dalszą podróż. Nie wyobrażaj sobie, że znajdziesz statek, którym popłyniecie prosto do Aleksandrii leżąc do góry brzuchem na pokładzie i grzejąc się w słońcu. Wierz mi, wodzu, to rozsądna propozycja, jedyna sensowna... Co ty na to?

Metellus westchnął. Spojrzał w górę: przez szpary między deskami przeświecały promienie słońca.

— Muszę się narodzić z moimi ludźmi — odparł. — Dam ci odpowiedź przed wieczorem.

Daruma skierował się do włazu, aby wydostać się na pokład. Metellusa, który poszedł za nim, zalało jaskrawe światło dnia. Po czystym niebie mknęły obłoki postrzępione przez wiatr, deski pokładu zaczęły miejscami wysychać, wszędzie zaś wisały części odzienia, które wyglądały niczym dodatkowe żagle. Morze uspokoiło się, fale stały się łagodniejsze, szersze i niższe, woda zaś skrzyła się tysiącem iskier. Tuż nad jej powierzchnią wyginały swe grzbiety delfiny, wyskakując ponad Ocean, po czym spadały rozbryzgując bielusięnką pianę.

„Muszę wrócić do syna, muszę wrócić, żeby wykonać to, co rozkazał mi cesarz. Ale muszę wrócić żywy”, pomyślał Metellus. Na wspomnienie Uksala, który spał na dnie Oceanu, poczuł ściskającą mu gardło kulę.

— Sami widzieliście, że nic nie dało się zrobić; wiatr i burza zepchnęły nas na wschód.

— Gdzie jesteście, wodzu? — zapytał Rufus.

— Nie wiem — przyznał Metellus. — Zdaje się, że o miesiąc drogi statkiem od ujścia Indusu.

— Indusu? — powtórzył Kwadratus. — Przecież to na końcu świata!

— Niezupełnie. Myślę, że świat jest o wiele większy, niż przypuszczamy. Dopiero co poznaliście wielkość i siłę Oceanu.

— Więc co zrobimy? — zapytał Lucjanus tonem, który w innych warunkach ściągnąłby nań przykładową karę.

Udawszy, że nie słyszał, Metellus przekazał im to, co mówił Daruma.

— Nie zamierzam nikogo zmuszać — dodał na koniec. — Każdy z was może sam zdecydować. Kiedy przybijemy do Indii, każdy dokona wyboru, czy zostaje z nami czy też woli wrócić na własną rękę. Co do mnie, uważam propozycję Darumy za rozsądną, więcej: myślę, że to jedyna możliwość powrotu do domu, nawet jeśli się on opóźni.

— Ufasz Darumie, wodzu? — zafrasował się Septymiusz. — W gruncie rzeczy krótko go znamy. To tylko kupiec, a nie wydaje mi się, żeby można było polegać na słowie kupca.

— Moim zdaniem Daruma to ktoś więcej niż kupiec. Nie wiem kto, ale jestem tego pewien. Podjęcie się uwolnienia księcia z *Sera Maior* i dostarczenia go bezpiecznie aż do ojczyzny nie wydaje mi się drobnostką. Musicie zdać sobie sprawę, że *Dan Qing* jest odpowiednikiem *Galienu* w imperium o wiele większym od naszego. Zresztą jak dotąd Daruma zawsze dotrzymywał słowa i wywiązywał się z obowiązków w stosunku do nas.

— Jest nas dziesięciu i mamy broń — zauważył Publiusz.

— Kiedy nas przygarnął, byliśmy ludzkimi wrakami. Gdyby chciał się nas pozbyć, nasza broń nie na wiele by się nam przydała. Jestem wdzięczny, że tego nie zrobił, i gotów mu zaufać. Ale powtarzam: każdy z was może sam zdecydować. W tym wypadku nie chcę brać na siebie odpowiedzialności wydawania wam rozkazów. Jedno jest pewne: ten wiatr wieje bezustannie i z jednakową siłą przez sześć miesięcy w kierunku wschodnim, a więc nie sposób zawrócić, chyba że łądem. Chcę wam także przypomnieć, że pięćset lat temu *Aleksander* spróbował tej samej drogi i stracił dwadzieścia tysięcy ludzi na tej słonej pustyni bez ani jednego źdźbła trawy i kropli wody. A przecież miał całą armię, zwierzęta juczne, wozy, którymi przewoził wodę i jadło,

oraz przewodników wywodzących się z tubylców. Nie wiem, jaki los czekałby tego, kto zechciałby się zapuścić na tę odludną ziemię zamieszkaną przez dzikich zbójów. Innym wyjściem byłoby przeczekać na brzegu, aż wiatr zmieni kierunek, ale tam też mogą czyhać niespodzianki. Sami zdecydujcie. Macie dużo czasu do namysłu. Jeśli postanowicie pójść ze mną, zobaczycie krainy, których nikt dotąd nie zgłębił, i przeżyjecie przygodę, o której kiedyś będziecie mogli Opowiadać wnukom. Będziecie jedynymi, którzy przemierzali jako żołnierze dwa największe imperia na ziemi, którzy dotarli do miejsc, o jakich istnieniu Aleksandrowi Wielkiemu nawet się nie śniło.

Zapadła niespodziewana cisza. Żołnierze zdążyli się już oswoić z myślą, że wkrótce wrócą do domu, toteż ów jakże odmienny i pełen niewiadomych pomysł poruszył ich do głębi. Dodatkowy wstrząs wywołała możliwość podjęcia samodzielnej decyzji, dotychczas bowiem przywykli do tego, że otrzymują rozkazy od swego dowódcy, a potem je wykonują.

Pierwszy przerwał milczenie Kwadratus.

— Jeśli ty idziesz, idę z tobą — rzekł bez wahania.

— Ja też — powiedział Balbus, drugi centurion.

— I ja, wodzu — dodał Antoninus. — Możesz na mnie liczyć.

Porozumiawszy się błyskawicznie wzrokiem, Lucjanus i Septymiusz obwieścili swą decyzję:

— Ani nam się śni czekać, aż wiatr się zmieni. To my jesteśmy wiatrem. My z Drugiego Legionu Augusta, na Herkulesa!

— Racja! — zawołali chórem pozostali.

— W takim razie wszystko jasne — stwierdził z uśmiechem Metellus. — Cieszę się, że postanowiliście pójść ze mną. — Już miał odejść, by przekazać wiadomość Darumie, zatrzymał się jednak. — Aha, zapomniałbym: to ostatnia decyzja, jaką pozwoliłem wam podjąć. Od tej chwili wracamy do starej dobrej zasady: ja wydaję rozkazy, wy je wykonujecie.

Metellus podszedł do księcia lekkim krokiem i stanął nie co z boku.

— U nas opowiadają pewną historię — zaczął — podobną do tego, co się wydarzyło dziś w nocy.

Chociaż Dan Qing milczał, ledwie dostrzegalne skinienie głowy dało Markowi do zrozumienia, że słucha.

— To się stało trzy wieki temu — ciągnął Metellus. — Pewien wielki człowiek z naszego narodu, zdobywca, założyciel naszego imperium... jego imię brzmi Cezar... przepłynął w nocy na małej łodzi niewielką część *mare Internum*. Ten odcinek morza patrolowała potężna flota jego wroga, która po drugiej stronie cieśniny zgromadziła całą armię. Cezar musiał za wszelką cenę dołączyć do swego wojska, które walczyło właśnie z nieprzyjacielem, aby poprowadzić je do zwycięstwa, podjął się więc przeprawy w całkowitych ciemnościach i na niebezpiecznych wodach. Gdy był w połowie drogi, rozpętała się burza, łódź zaś przypominała kruchą łupinę orzecha pozostawioną na pastwę fal. Przerażony i wycieńczony sternik nie mógł utrzymać kursu, a wówczas podszedł doń Cezar i rzekł: „Dalej, mój drogi, miej tylko odwagę i nie bój się niczego. Wieszysz Cezara, a razem z Cezarem płynię jego szczęście!”* Sternik, który odzyskał siłę i ducha, by stawić czoło żywiołom, zdołał doплыć na drugi brzeg. Cezar pokonał wroga i został założycielem imperium, które rozciąga się na wszystkie ziemie *mare Internum*, zwanego przez nas „Naszym”, i na wszystkie ludy, które mieszkają w jego sąsiedztwie. Każde dziecko w szkole słyszy tę opowieść...

— Jaki jest jej cel? — wtrącił Dan Qing.

— Nauczyć młodych, aby nigdy nie poddawali się zniechęceniu i nabrali przekonania, że każdy jest kowalem własnego losu, który zależy od naszej siły ducha, determinacji i odwagi. Dziś w nocy ocaliłeś mi życie i przyszedłem ci podziękować. Ocaliłeś jednak również samego

* Plutarch z Cheronei, „Żywoty sławnych mężów”, przeł. Mieczysław Brożek.

siebie i być może los twojego kraju. Podobnie jak to uczynił nasz Cezar przepływając przez morze podczas burzy.

Dan Qing odwrócił się twarzą do Marka.

— Twoje słowa brzmią jak wróżba — odrzekł — ale czeka nas bardzo długa droga, liczne niebezpieczeństwa i niewielu przyjaciół. Ilu ludzi czekało na waszego zdobywcę za wzburzonym morzem?

— Pięćdziesiąt tysięcy — odparł Metellus.

— To niedużo. Ale i niemało. Ja jestem sam.

Metellus przyjrzał mu się uważnie, usiłując odczytać, co kryje się w jego nieprzeniknionych oczach.

— Sam?

Dan Qing tylko skinął potakująco głową.

Metellus spodziewał się, że tamten poprosi go o pomoc, Dan Qing odwrócił wszakże wzrok ku połyskującej powierzchni morza.

Człowiek ten budził w nim osobliwy szacunek i trudne do przezwyciężenia poczucie dystansu. Kiedy mówił, odnosiło się wrażenie, że jego głos dochodzi z otchłani, rozpałał w nim jednak coraz większą ciekawość za sprawą owej niezwyklej siły przenikającej jego ciało, tej samej, niemal niewytłumaczalnej energii, która pozwoliła mu go uratować przed utonięciem.

— Daruma poprosił mnie, abym eskortował cię wraz z moimi żołnierzami aż do miejsca przeznaczenia.

— Czy Daruma wyjaśnił ci, co nas czeka?

— Nie. Ale mogę sobie wyobrazić.

— I zgodziłeś się?

— Tak.

— Dlaczego?

— Jestem żołnierzem. Nie boję się żadnych przeciwności. A poza tym Daruma przyrzekł, że odstawi nas z powrotem. I tak nie mamy innego wyboru.

— Moim zdaniem to dobry powód.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Pytaj.

— Dlaczego dziś w nocy ocaliłeś mi życie?

- Bo jesteś dowódcą mojej eskorty.
- To doskonały powód — odparł Metellus, po czym się oddalił.

Płynęli z ogromną prędkością, wieczorem zaś w odległości kilku mil ujrzeli kolejny żaglowiec zmierzający w tym samym kierunku. Wraz z nadejściem nocy podróż przebiegała względnie spokojnie i bez przeszkód, około północy wszakże niebo się zachmurzyło i zaczęło padać. Ulewa trwała jakąś godzinę, wiatr jednak nie przybrał na sile i nie wzburzył fal. W bladym świetle lamp wyciągnięty na macie Metellus co jakiś czas otwierał oczy i rozglądał się dokoła. Daruma spał pod pokładem, jego ludzie zaś na pokładzie. Kwadratus wyznaczył wszakże wachtę — może nie do końca ufał załodze, a może powodowało nim dwudziestoletnie przyzwyczajenie skrupulatnego, zdyscyplinowanego i czujnego centuriona.

W godzinach czuwania Metellus zastanawiał się nad przygodą czekającą zarówno jego, jak i podległych mu żołnierzy na ogromnym nieznanym lądzie, wśród ludzi, o których istnieniu nawet nie wiedział. Chwilami dochodził do wniosku, że popełnił szaleństwo przyjmując propozycję, chwilami zaś, że postąpił słusznie, że dokonał jedyne rozsądnego wyboru w tych warunkach. Jednakże największe obawy budziło w nim uczucie, że oddala się coraz bardziej od swego świata, syna i powierzonej mu misji. Doznał nawet swego rodzaju zawrotu głowy, który zapierał mu dech w piersiach. Leku na ów niepokój szukał we śnie, pragnąc, aby ukołysało go nieustanne uderzanie fal o kadłub i ciepły powiew wiatru.

O świcie zbudził go krzyk jednego z marynarzy z Taprobane, który wdrapał się na bocianie gniazdo. Spojrzawszy uważnie na rozciągający się przed nim horyzont, Daruma zawołał:

— Patrzcie! Tam, gdzie wieje!

Wszyscy podbiegli na dziób, po czym zobaczyli, jak znad powierzchni morza wznosi się fontanna wody, wysoko niczym maszt żaglowca, następnie zaś wygina się jakiś ogromny grzbiet, a na koniec wynurza się i opada z powrotem olbrzymi dwupłetwowy ogon.

— Tam! — krzyknął Balbus. — Jeszcze jeden!

— A tam następny! — zawtórował mu Antoninus.

Metellus wpatrywał się osłupiały w ów niesamowity widok: oto wylaniają się z wody niemal do połowy potwory większe niż łódź, na której płyną, z grzbietami pokrytymi morskimi żyłkami niczym kałużby oceanicznych statków, po czym rzucają się z powrotem do morza z głośnym pluskiem, rozbryzgując nieprawdopodobne ilości piany.

— Co to jest, wodzu? — zapytał Lucjanus. — Myślisz, że nas atakują?

— To wieloryby — odezwał się za ich plecami głos Darumy. — Stworzenia równie wielkie jak niegroźne. Bawią się jak ryby jednocześnie jedząc. Otwierają paszcze i połykają całe ławice sardynek.

— Czytałem o nich w dziele Onezykryta — powiedział Metellus — dowódcy floty Aleksandra, kapitana królewskiego okrętu, który wrócił z Indii aż do ujścia Tygrysu i Eufratu. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że zobaczę je na własne oczy.

— Nie pożałujesz, że wybrałeś się w tę podróż, Rzymianie. Wreszcie zrozumiesz, czym jest świat i jak małe jest to bajoro, wokół którego zbudowaliście swoje imperium, w porównaniu z oceanami, które otaczają nieskończony bezkres ziemi. Jestem pewien, że to cię czegoś nauczy, bo wyglądasz na człowieka, który łatwo pojmuje.

Metellus nie odpowiedział, obserwując w milczeniu taniec owych morskich olbrzymów, ich lśniące grzbiety, ich ogromne ogony uderzające o fale, fontanny wody, wzbijające się w niebo. W pewnej chwili jeden z tych potworów wynurzył się niemal tuż obok łodzi, mógł więc dojrzeć jego maleńkie oko znajdujące się blisko końca paszczy. Małą szarą gałkę bez wyrazu, która zdawała się weń wpatrywać, nim zniknęła pod wodą.

— A więc wszystkie te opowieści o morskich potworach, które rozbijają w pył okręty i pożerają żeglarzy, to tylko bajki — stwierdził Metellus, gdy wieloryby zniknęły z pola widzenia.

— Bajki? — powtórzył Daruma. — Jaibalu! — zawołał do jednego ze swych Taprobańczyków, na co podszedł do nich ciemnoskóry

pólnagi marynarz. Wówczas Daruma chwycił coś, co tamten miał zawieszzone na szyi, i pokazał Metellusowi. — Czy to wygląda jak bajka?

— Bogowie! A co to takiego?

— Ząb. Ząb długiego na trzydzieści stóp potwora, który ma trzy rzędy takich zębów, szybkiego jak błyskawica, żarłocznego i niezmordowanego łowcy. Zatapia kły we wszystkim, co się rusza... Odwróć się, Jaibalu — powiedział do marynarza.

Tamten spełnił polecenie pokazując ogromne blizny biegnące od pośladków aż po kolana.

— To pamiątka po tym morskim tygrysie. Jaibal miał szczęście. Inni zostali rozerwani na strzępy i pożarci. To się zdarza głównie poławiaczom pereł, którzy muszą nurkować w wodach, gdzie roi się od takich bestii. A potem narzekacie, że perły są drogie. Gdybyście znaleźli się oko w oko z podobnym potworem na głębokości czterdziestu stóp, na pewno zmienilibyście zdanie.

— Perły — powtórzył Metellus. — Kupiłem żonie tylko jedną, na piątą rocznicę ślubu, kiedy urodził się nasz syn.

Gdy Jaibal powrócił do swych zajęć, Daruma kazał sobie podać napar z ziół, częstując nim także Metellusa.

— Widziałem, że rozmawiałeś z Danem Qingiem.

— Podziękowałem mu za uratowanie życia tamtej nocy.

— Nie powinienesz być.

— Dlaczego?

— Ponieważ to chiński książę. Jest synem cesarza, którego uważa się z kolei za syna niebios. Człowiek jego rangi na ogół nie rozmawia z nikim, kto nie został mu przedstawiony z zachowaniem odpowiedniego ceremoniału. Jak zapewne zauważyłeś, wchodząc na pokład mojego statku tylko skinął mi głową na znak szacunku. Powinienesz być najpierw poprosić mnie, abym cię przedstawił.

— A ty powinienesz być mnie uprzedzić.

— To prawda, ale w gruncie rzeczy lepiej, że wszystko potoczyło się samo. Skoro ci odpowiedział, oznacza to, że w obecnej sytuacji protokół nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Metellus spojrział na Dana Qinga. Siedząc na piętach zda wał się jak zwykle pogrążony w zadumie.

— Co on robi, kiedy siedzi w tej niewygodnej pozycji, która każdemu człowiekowi potamałaby kolana?

— Medytuje.

— Medytuje? A nad czym?

— Jego medytacja nie skupia się na żadnym określonym przedmiocie. On szuka tao, czyli drogi.

— Drogi dokąd?

— Nie ma żadnego „dokąd”.

— A więc medytuje nad niczym i szuka drogi, która nie prowadzi w żadnym kierunku.

— Mniej więcej, chociaż to nie jest takie proste. Właśnie za sprawą tej medytacji udało mu się wykonać skok z konia i wylądować na mojej łodzi bez najmniejszego wahania. Również za sprawą medytacji potrafi tkwić w takiej pozycji całymi godzinami, jakby nic nie ważył. Tao to złożone pojęcie filozoficzne, stworzone przez jednego z największych mistrzów o imieniu Kong Fuzi. Zgodnie z jego teorią przyroda nie ma ani końca, ani celu, lecz jest owładnięta wewnętrzną siłą, która nią kieruje i powiadamia o swoim istnieniu. Tao to owa uniwersalna dusza, która przenika kosmos, ziemię, a także sposób bycia istoty ludzkiej. Człowiek, który postrzega tao czyniąc z niego nośnik, nie zmienia siłą biegu wydarzeń, lecz poddaje mu się pozwalając się unosić.

Metellus uśmiechnął się.

— Mamy takie powiedzenie: *Faber quisque est suae fortunae*. Wiesz, co to znaczy?

Daruma upił łyk naparu z suszonych liści.

— Wprawdzie bardzo słabo znam łacinę, ale tyle jeszcze potrafię zrozumieć: „Każdy jest kowalem swego losu”.

— Właśnie. To całkowite przeciwieństwo tego, co przed chwilą powiedziałeś.

— To nie oznacza rezygnacji z podejmowania decyzji. Pamiętasz ten skok? Gdyby go wykonał chwilę wcześniej, wpadłby do wody, gdyby zaś skoczył chwilę później, zginąłby pod gradem strzał. Poszybował w powietrzu dokładnie w chwili, gdy poczuł, że między przeciwnymi losami otwiera się droga. W tym właśnie momencie wystarczyła nawet

umiarkowana siła, aby osiągnąć ów niewiarygodny rezultat. Tymczasem wy, ludzie Zachodu, zawsze sprawiacie wrażenie, że wioślujecie pod prąd i pod wiatr.

Daruma spociał się usiłując wyjaśnić tak trudne pojęcia w języku, który nie był jego mową ojczystą. Posługiwał się a to perskim, a to koine, jego rozmówca zaś starał się mu pomóc podpowiadając właściwe słowa.

— W takim razie można by zapytać, jak nam, Rzymianom, udało się zbudować imperium i zachować je przez całe wieki — odrzekł z sarkazmem Metellus. — I jak nam, zaledwie garstce zbiegów, udało się znieść przeciwności losu, prześladowania ze strony wroga, pokonać jego przeważające siły w niewiarygodnie krótkiej i zaciętej walce, przemierzyć dziesiątki mil w ciemnościach, żywiąc się tylko tym, co zdołaliśmy znaleźć, cierpiąc z powodu pragnienia i skurczów żołądka wywołanych głodem.

— Muszę przyznać, że to niemałe osiągnięcie — zgodził się Daruma — ale to nie ma znaczenia. Marnotrawienie energii jest szaleństwem, cena, jaką trzeba zapłacić w postaci cierpienia, niepotrzebnie wysoka, rezultat zaś zaledwie owocem przypadku... Ale wracając do Dana Qinga, nie ulega wątpliwości, że ma o tobie wysokie mniemanie. Nigdy nie narażałby życia dla byle kogo, tym bardziej że znacie się tak krótko.

— Nieprawda. Jestem niemal pewien, że pierwszy raz zobaczył mnie w Edessie.

— I co zobaczył? — zapytał Daruma, podczas gdy chłopiec okrętowy dolewał mu do czarki naparu z liści.

Metellus również się napił czując lekko cierpki, lecz przyjemny smak i aromat.

— Widział, zdaje się, jak walczę w obronie cesarza. Aż do utraty tchu.

— To wiele wyjaśnia... — Daruma pokiwał głową z powagą.

Metellus upił kolejny łyk naparu uświadamiając sobie, że zaczyna się przyzwyczajać do osobliwego smaku pachnących liści.

— Co robił w Edessie razem z Szapurem? I co ty robiłeś w oazie nad Khaborasem? — zapytał patrząc swemu rozmówcy prosto w oczy. — Skoro mam iść z wami, chyba powinienem to wiedzieć.

W tej samej chwili na rufie rozległo się wołanie, toteż Metellus się obejrzał. Otóż załoga zarzuciła sieć, teraz zaś jęła ją wyciągać. Żołnierze podbiegli natychmiast z pomocą, w miarę zaś jak sieć podnosiła się coraz wyżej, pokład zapełniał się podskakującymi rybami, które czym prędzej pozbierano do koszyków, aby je oczyścić i przygotować z nich wieczerzę.

Westchnąwszy głęboko jak ktoś, kto ma przed sobą trudne zadanie, Daruma rozpoczął swoją opowieść:

— Chiny to bardzo stare imperium, może nawet najstarsze na świecie, od kilkudziesięciu lat wszakże wstrząsają nim nieustanne zawirowania. Napierający od północy barbarzyńcy i wewnętrzne wojny domowe podzieliły ten olbrzymi kraj na trzy królestwa. Jedno na Północy, drugie pośrodku i trzecie na Południu. Każdym z nich rządzi dowódca wojsk, który ogłosił się wangiem, czyli władcą. Każdy z nich z kolei jest przekonany, że ma prawo i obowiązek zjednoczyć cesarstwo, a co za tym idzie usunąć z drogi dwóch pozostałych. Wynikiem tego jest ustawiczna i przerażająca wojna, która spowodowała wydłupanie niegdyś bardzo bogatych wsi, zniszczenie kwitnących miast i ograniczenie handlu do połowy. Zubożenie chłopów i obniżenie liczby ludności zmniejszyło pobór wojskowy, dlatego też na Północy, za wielkim obronnym murem, pozwolono się osiedlić Xiong Nu, barbarzyńskim koczownikom ze stepów, którym przyznano ziemie w zamian za zaciągnięcie się do armii. W wyniku tego zamętu i upadku Królestwo Północy, największe i najpotężniejsze, stało się prawdopodobnie ostatnim bastionem dzięki swej ogromnej stolicy, mogącej się poszczycić największą biblioteką w kraju, wraz z dwudziestoma tysiącami żaków, którzy oddają się najróżniejszym dziedzinom nauki.

Metellusa zdumiały niewiarygodne podobieństwa do Cesarstwa Rzymskiego: ataki barbarzyńców z północy, częste stacjonowanie rozmaitych ludów wewnątrz murów obronnych, stopniowa barbaryzacja

wojska, a także wojny domowe, które bez przerwy siały śmierć w państwie.

— Jedną z najdotkliwszych plag, jakie spadały na Królestwo Północy — ciągnął swój wywód Daruma — była wszechwładza pałacowych eunuchów...

— Przynajmniej tego u nas nie ma — nie mógł się powstrzymać Metellus.

— Eunuchowie? W Chinach to częste zjawisko. Chirurdzy zaś są tak zręczni, że liczba tych, którzy przeżywają operację, jest większa niż liczba tych, którzy umierają. Tak czy inaczej wśród ostatnich cesarzy wielu było jeszcze dziećmi w chwili, gdy zasiadali na tronie, wobec czego musieli albo pozwolić swym matkom, aby rządziły w ich imieniu, albo oprzeć się na eunuchach, którym często, dzięki przebiegłości i sprytowi, udaje się przeniknąć do najpotężniejszych ośrodków władzy. W wypadku Dana Qinga miała miejsce rzecz wyjątkowa, wydarzenie, którego ciągle nie potrafię do końca zrozumieć.

Nagle wiatr się wzmógł mocno nadymając żagiel, aż skrzypiał maszt w jarzmie. Od wschodu tuż nad powierzchnią wody jeły się gromadzić chmury. Metellus usłyszał głos Antoninusa, który mówił do Rufusa:

— Jeśli tak dalej pójdzie, czeka nas kolejna burzliwa noc.

— Mów dalej — poprosił Darumę.

— Trzy lata temu Dan Qing wyruszył z poselstwem na dwór percki, zostawiwszy rządzenie państwem najwierniejszemu ministrowi swego ojca, regentowi Liu Bangowi. Po upływie owych trzech lat ktoś zaczął się poważnie martwić jego zbyt długą nieobecnością. Był to jego nauczyciel Wangzi, mądry i pobożny człowiek, który żyje w pewnym górskim klasztorze. Znam go od dawna, ponieważ podczas podróży zawsze zatrzymuję się w jego pustelni, gdzie zaznaję szczodrej gościny. To on zorganizował owo poselstwo, porozumiał się z zaprzyjaźnionymi kapłanami zoroastryjskimi, zadbał o przekazanie Danowi Qingowi wiadomości, w której podał dzień spotkania z moją karawaną u źródła Khaborasu, a następnie w porcie nad rzeką.

— A teraz — dokończył Metellus — książę wraca do imperium, które już do niego nie należy. Musi pokonać ministra zdrajcę i przejąć

z powrotem władzę, nie mogąc liczyć na nikogo z wyjątkiem starego mnicha, jeśli dobrze pojąłem sens twoich słów. Coś bardzo podobnego spotkałoby mojego cesarza, gdyby udało mi się go przywieźć z powrotem.

— Czy Dan Qing mówił ci coś? — zapytał Daruma.

— Powiedział, że jest sam.

— A więc sprawy właśnie tak się mają.

— Przecież są chyba jakieś oddziały, które pozostały mu wierne. Przyjaciele, którzy mu coś zawdzięczają, urzędnicy, którzy przysięgli mu wierność...

— Skoro powiedział, że jest sam, to znaczy, że nie może albo nie chce na nikogo liczyć. Albo prawie.

— Jest coś, co musimy sobie wyjaśnić, Darumo. Już raz o mało się nie pokłóciliśmy z tego powodu.

— Zdaje się, że wiem, co chcesz powiedzieć.

— Chcę wiedzieć, dokąd dokładnie mamy eskortować Dana Qinga. Kiedy naszą misję będziemy mogli uznać za zakończoną i kiedy rozpocznie się podróż powrotna, którą zobowiązałeś się doprowadzić do szczęśliwego końca.

— Nie bój się, wodzu, nie jestem ani bohaterem, ani wojownikiem. Wkroczyliśmy do Chin od południa poprzez góry i pojedziemy aż do klasztoru, o którym ci wspomniałem. Tam nasze drogi się rozejdą. Dan Qing uda się na spotkanie przeznaczenia, my zaś odstawimy łądunek przypraw korzennych na nizinę, następnie zabierzemy łądunek jedwabiu i zawrócimy. Od tej chwili będziesz mógł zacząć liczyć dni, które dzielą cię od Taqin Guo.

— Taqin Guo... to dla Chińczyków Cesarstwo Rzymskie.

— Tak je nazywają. Dla nich to baśniowe miejsce na dalekim Zachodzie, o którym prawie nic nie wiedzą.

— To się wydaje możliwe — powiedział Metellus. — Kupujemy ogromne ilości towarów z Chin, sporo też sprzedajemy, a mimo to żadne z obu imperiów nie spróbowało się dotąd porozumieć z drugim, tak jakby były to dwa różne światy.

— Odległości... — odparł Daruma. — Odległości, wodzu. Są tak ogromne, że trzeba ustanowić pośredników. Najciekawsze, że ich rolę odgrywają Persowie, wasi zażarci wrogowie, którzy zresztą nie zawsze

pozostają w najlepszych stosunkach ze swoimi wschodnimi rozmówcami.

— To prawda. Już dwieście lat temu cesarz Tyberius skarżył się, że złotem zarobionym na naszym handlu jedwabiem i kamieniami szlachetnymi Persowie opłacają wojnę przeciwko nam.

— To mnie wcale nie dziwi — oświadczył ze spokojem Daruma. — Chciwość i pragnienie gromadzenia skarbów jest waszą kolejną cechą charakterystyczną.

Metellus już miał coś odpowiedzieć, w tej samej chwili jednak przypomniał mu się werset Wergiliusza: *Quo non mortalia pectora cogis, sacra auri fames.* *

Więc zamilkł.

16

Wieczera była gotowa o zachodzie słońca. Metellus i jego kompani przyglądali się, jak na ruszcie pieką się ryby, o których istnieniu nawet nie wiedzieli, o lśniących barwach, niebieskawych refleksach albo metalicznozielone. Mięsiwa były wyborne, przyprawione mnóstwem ziół, w szczególności pieprzem, na który na Zachodzie mogli sobie pozwolić wyłącznie bardzo bogaci ludzie.

Dan Qing usiadł ze wszystkimi, lecz nieco na uboczu. Otrzymał swoją porcję pierwszy, po czym postawiono przed nim napar z suchych liści, którego Metellus miał już okazję spróbować. Pozostałym podano wino palmowe.

Słońce zaszło w glorii ciężkich chmur o czarnych brzuchach i purpurowych brzegach, jego ostatnie promienie zaś kreśliły na powierzchni Oceanu płomieniste smugi, które lizały lódź.

* „Do czegoż to nie popychasz śmiertelnych serc, przeklęta żądzo złota?” - „Eneida”, ks. III, przel. Wanda Markowska.

Mężczyźni prowadzili wesołą pogawędkę. Rozprawiali głównie o kobietach, z czego Metellus był zadowolony. Od lat nie słyszał takich rozmów, ostatni raz kiedy wieczerali w obozie, pod namiotem w górach Taurus podczas patroli wokół Edessy. Potem już nie było na to ani czasu, ani sposobności, ani nawet chęci.

Temat ów stanowił znak, że odzyskali radość życia. Nawet Metellus czuł w sobie siłę i energię, które przepełniały mu serce. Tym boleśnieszka była wszakże jego rana, kierował bowiem swe pragnienia, z każdym dniem gorętsze, ku komuś, kto już nie istniał. A przecież jej wyobrażenie nadal go urzekało: myśl o jej pełnych ustach, obfitych piersiach typowych dla kobiet z Południa, krągłych biodrach budziła w nim obrazy, wyraźne, ciągle żywe. Wspominał ich ostatnią wspólną podróż do Italii. Misję na Sycylii. Pewne popołudnie w Segeście... Siedzieli obok siebie pod kamienną kolumnadą wielkiej świątyni, aby podziwiać zachodzące słońce, snując plany na przyszłość, gdy na dobre powróci ze Wschodu, do domu, który kupią być może w pobliżu tego cudownego miejsca, do gaju oliwnego, do winnicy, do różanego ogrodu, do jaśminów, których woń będzie się unosiła wieczorem w powietrzu. Zamierzali wychować swe dziecko zgodnie z duchem przodków, on sam zaś miał je nauczyć robić wino i hodować pszczoły. Zamierzali mieć więcej dzieci, które rosnęłyby w spokoju, które żyłyby pogodnie w cieniu samotnych kolumn. Wspominał świergot ptaków, które szukały gniazda na architrawie podpierającym niebo.

Wszystko to zniknęło w jednej chwili rozdzierającego bólu, podczas błyskawicznego rozlewu krwi.

— Nie jesz? — rozległ się głos Darumy.

Metellus otrząsnął się z zamyślenia. Spojrzawszy na jadło w misie, przystąpił do wieczery.

— Wiem, co czujesz, ale zaczekaj, aż przybijemy do brzegu, a wtedy wszystko się zmieni. Zobaczysz ciągłą różnorodność krajobrazów, miasta, krainy, góry, usłyszysz ryk tygrysa i słonia. Indie! Doznasz tylu nowych wrażeń, że twoje życie zacznie płynąć niczym strumień, który wyzłobił sobie kolejne koryto po tym, jak trzęsienie ziemi zaspało mu stare. Morze natomiast jest zwierciadłem naszych

myśli i to na nieszczęście tych najskrytszych i najsmutniejszych. odbija się w nim wszystko to, co chowamy w najdalszych zakamarkach duszy, wszystkie niewypowiedziane lęki, spod jego falującej tafli wyziera twarz śmierci, za horyzontem, który oddala się coraz bardziej, którego nigdy nie można osiągnąć.

— Mówisz jak jeden z nas — uśmiechnął się Metellus — jak jeden z naszych poetów. Sądziłem, że wasza filozofia zdołała się rozprawić z tymi lękami.

— Nasza tak. Ale nie twoja. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, co się dzieje w twoim umyśle.

— A więc wiesz, że nie ma powodu do zmartwienia: przeżyję. I zrobię to, co muszę.

Wieczera wkrótce dobiegła końca, z morza zaś wyłonił się księżyc oświetlając ogromną płynną przestrzeń. Metellus przyglądał się przez jakiś czas łuskowej tafli Oceanu, w której jego promienie odbijały się tysiącem drżących faset, po czym oparł się o nadburcie, aby napawać się owym cudnym widokiem, który przypominał mu bardzo mare Internum. Przemierzał w odwrotnym kierunku drogę Nearcha, dowódcy floty Aleksandra, i Onezykryta i już wkrótce miał zobaczyć to, o czym wielki zdobywca macedoński jedynie marzył. Chętnie by porozmawiał ze skośnookim księciem, wyczuwał wszakże jego dumę i wyniosłość, które stanowiły dlań przeszkodę nie do pokonania. Był nim oczarowany, owszem, wręcz urzeczony, zarazem jednak ciągle miał przed oczyma jakże ludzkie i zbolące oblicze Waleriana, starego cesarza, zmarłego z wycieńczenia wśród swych żołnierzy z godnością i siłą ducha, z którą nie mogłyby się równać żadne poszukiwania filozoficzne.

Wolał więc towarzystwo Darumy, który popijał swój napar z suszonych liści.

— Naprawdę w Chinach wiedzą o naszym imperium?

— Owszem, tak jak powiedziałem. Ale ich wiedza nie jest o wiele większa ani nie różni się zbytnio od tej, którą wy macie na temat Chin. Opowiadają tam wszakże pewną historię: otóż półtora wieku temu, za panowania cesarza Hedio, pewien chiński wódz o imieniu Ban Chao dotarł wraz ze swoją armią aż do Morza Kaspijskiego,

przemierzywszy przedtem ogromne pustynie Azji Środkowej. Stamtąd zaś wysłał swego namiestnika o imieniu Gan Ying na poszukiwanie władcy Taqin Guo, czyli Cesarstwa Rzymskiego!

— Skąd to wiesz? — Metellus spojrział nań ze zdumieniem.

— Usłyszałem od mnichów z fortecy. Strzegą oni kopii dokumentów i dzieł, które spłonęły w pożarze Wielkiej Biblioteki w Luoyangu.

— Mów dalej. I co się wtedy stało z Ganem Yिंगiem?

— Dotarł aż na brzeg jakiegoś morza wewnętrznego.

— Pontus Euxinus?

— Być może. Opis zawarty w naszych źródłach nie jest zbyt jasny. Ale wydaje mi się, że to było to. Podobno doszedł tam zaledwie w ciągu dwóch dni wędrując od granicy Taqin Guo.

— Nie do wiary. Musiał się znajdować w okolicach Tigranocerty albo Fazis, w Armenii... I co dalej?

— Gan Ying miał perskich przewodników. Kiedy zorientowali się, że zamierza dotrzeć do granic Cesarstwa Rzymskiego i rozmawiać z cesarzem, powiedzieli, że nigdy mu się to nie uda, że odległość dzieląca go od Taqin Guo jest tak samo duża jak ta, którą zdążyli już przebyć. Wówczas zniechęcony Gan Ying zawrócił nie osiągając zamierzonego celu. Persowie nie chcieli, aby obydwa cesarstwa porozumiewały się ze sobą bez pośredników.

— Pewnie. Myta, jakie Persowie każą płacić za przepuszczenie karawan z jedwabiem, przysparzają im zawrotnych ilości złota, ale być może to nie jest jedyny powód. Obydwa imperia leżały zbyt daleko od siebie, by jedno obawiało się drugiego, mogłyby wszakże być zainteresowane współpracą albo wręcz zjednoczeniem się przeciwko wspólnym wrogom. Na przykład Persom.

— Nienawidzisz ich, prawda?

— Nienawiść to uczucie osobiste. Nie może być skierowane do całego narodu. Nienawidzę tych, przez których mój cesarz i jeden z kompanów zmarli w wycieńczeniu. Nie szczędzili nam żadnych cierpień ani upokorzeń. Ale możliwe, że wszystko to nie miałyby miejsca,

gdyby zapłacono za nas okup Widzisz, pewien wielki dziejopis grecki uważa, że historia to w większości owoc przypadku. Wydarzenia, o których mi opowiedziałeś, zdają się potwierdzać tę teorię. Co by się stało, gdyby półtora wieku temu obydwa cesarstwa nawiązały bezpośrednie stosunki? Jak potoczyłyby się losy ludzkości, jaki bieg obrałaby historia? Tymczasem jakiś perski przewodnik za pomocą drobnego kłamstwa sprawił, że nie doszło do owej wielkiej, epokowej przemiany. Tak więc dla Chin nadal pozostajemy Taqin Guo, mityczną krainą na dalekim Zachodzie. Chiny zaś dla nas nadal pozostają jedynie Sera Maior, krajem, gdzie wytwarza się jedwab...

Chociaż Metellus zamilkł, Daruma domyślał się, co mu chodzi po głowie.

— Sądziś, że teraz ty możesz dokonać tego czynu, mam rację? Na pewno jest to możliwe. Wyobraź sobie, jak osobliwe skutki mogłoby mieć zetknięcie obu wielkich imperiów. Pomyśl, jakiego zwrotu mógłbyś dokonać w dziejach!

Po raz pierwszy odkąd go znał, Daruma wydawał się naprawdę podniecony.

— Nie chcę teraz zaprzętać sobie tym głowy — odrzekł Metellus. — Moim jedynym zmartwieniem jest wrócić jak najszybciej do ojczyzny. Ale... Gdybym mógł... Oczywiście pomysł ten mnie urzeka. Zastanawiam się tylko, jak można w ogóle nawiązać jakiegokolwiek stosunki z ludźmi pokroju Dana Qinga. Mój cesarz codziennie rozmawiał z najniższymi rangą żołnierzami.

— Ponieważ mówili tym samym językiem. Jeśli chcesz się porozumieć z Danem Qingiem, musisz nauczyć się jego języka, ale nie tylko tego, w którym się mówi, także tego, w którym się myśli.

Metellus spojrział nań z powątpiewaniem.

— Jeśli chcesz, pomogę ci — oświadczył Daruma, po czym zycząc mu dobrej nocy poszedł spać pod pokład.

Metellus tymczasem chwycił kielich palmowego wina i nim księżyc skrył się za chmurami, wylał odrobinę do morza składając ofiarę duchowi Uksala, który pływał wśród fal.

Trzydzieści dni później dotarli do ujścia Indusu. Zapowiedź wielkiej rzeki stanowiła ogromna żółtawa plama rozciągająca się pośrodku ciemnoniebieskiej tafli Oceanu. Na szerokim estuarium roiło się od statków, brzegi zapełniał gęsty tłum kupców, żeglarzy, robotników i wieśniaków. Wszyscy zeszli na ląd z wyjątkiem Dana Qinga, który został na pokładzie. Najwyraźniej miejsce to w ogóle go nie ciekawiło. Ale jeśli Bawet tak było, nie dał tego po sobie poznać. Metellus i jego Żołnierze rozpięchli się po bazarze po raz pierwszy jako ludzie wolni. Strach bowiem i świadomość, że jest się śledzonym, poszukiwanym i ściganym bez wytchnienia, to również niewola.

Tutaj rzeczywiście czuło się, że to zupełnie inny świat: odmienne były zwyczaje, stroje i kolor skóry. Nawet zwierzęta były dziwne: małpy, papugi, słonie... No i krowy, przede wszystkim krowy, które przechadzały się spokojnie tam, gdzie im się żywnie podobało. Krowy te zresztą miały wyjątkowy wygląd, charakteryzował je osobliwy garb na grzbiecie, tuż za szyją. Zupełnie jak u wielbłądów.

Daruma w towarzystwie garstki marynarzy załatwiał sprawunki na dalszą podróż. Z tego co rozumiał Metellus, łódź miała na pewnym odcinku popłynąć w górę rzeki wykorzystując częściowo siłę monsunu, następnie zaś, nie wiedział jednak dokładnie gdzie, po zarzuceniu kotwicy mieli się zabrać Z jakąś karawaną, by dotrzeć do celu.

W pewnej odległości od bazaru Balbus, Kwadratus i pozostali spostreżli tłumek zgromadzony wokół drzewa, które było tak ogromne, że mogłoby przykryć cały legion. Z gałęzi zwisały prawdziwe roślinne kolumny, w rzeczywistości korzenie, które po zetknięciu z ziemią przekształcały się w pnie podtrzymujące konary zbyt wysunięte na zewnątrz. Metellusa ogarnął jeszcze większy zachwyt, gdy utworawszy sobie drogę wśród gawiedzi, ujrzał powódzbiegowiska. Otóż na ziemi siedział po turecku pogrążony w medytacji chudy jak szkielet mężczyzna w turbanie na głowie, o szarej i chropowatej skórze i z długą brodą. Trzymał ręce skrzyżowane na kolanach, wnętrzem dłoni skierowane ku niebu. Tkwił tak nieruchomo, że sprawiał wrażenie posągu i przypominał mu dawną postać z kultury greckiej: filozofa

Diogenesa, cynika, który mieszkał w beczce i pił z drewnianej czarki. Musiał należeć do owych *gymnosophistae*, o których wspominały jego pisma na temat Aleksandra. Jak choćby ten indyjski mistrz, co to szedł za macedońskim władcą w drodze powrotnej aż do Persepolis, po czym spalił się żywcem na stosie żałobnym. Kalanos...

Ów kościsty starzec, podobnie jak Kalanos, również pokazywał, że nie boi się śmierci: na łonie wił mu się śmiertelnie jadowity wąż, który unosił się na wysokość jego szyi, niemal dotykając rozwidlonym językiem twarzy.

Żołnierze Metellusa także rozdziawili usta ze zdumienia.

— To doprawdy dziwny kraj — szepnęła osłupiały Balbus.

— Zgadza się — przyznał Antoninus. — Kiedy wrócimy do domu, będzie co opowiadać.

Tymczasem Rufus oddalił się od reszty towarzyszy.

— Pójdę rozejrzeć się w porcie. Nigdy nie wiadomo... Może uda mi się znaleźć jakiś nasz okręt.

— Zapomnijcie o tym — odparł Metellus. — Zostaną tu unieruchomione co najmniej sześć miesięcy, dopóki wiatr się nie zmieni. Zresztą daliśmy słowo. Pytałem, czy któryś z was jest przeciw, czy chce spróbować wrócić na własną rękę, i wszyscy odpowiedzieliście, że chcecie zostać ze mną. I zostanieie, na Herkulesa. Przysięgam, że zostanieie!

— Nikt nie zamierza się wycofać, wodzu! — obruszył się Rufus. — Chciałem tylko zamienić dwa słowa po łacinie, gdyby to było możliwe. I może nawet przekazać pozdrowienia rodzinie. Czasami z ust do ust, po drodze... Wiesz, nigdzie nie jest powiedziane, że wszyscy wrócimy; czekają nas jeszcze ciężkie próby, być może ataki, walki. To nie będzie zwykła przejażdżka. Dlatego pomyślałem sobie, że gdyby mi się udało przekazać wiadomość...

— Wrócimy, Rufusie. I to wszyscy razem. Obiecuję. I wyprawimy ucztę, będziemy wspólnie wspominać niebezpieczeństwo i cierpienia, które razem przeżyliśmy, i będziemy się z nich śmiać... A teraz chodźmy do Darumy; pewnie już na nas czeka.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie chudemu jak szkielet starcowi, wokół którego owijał się wąż, oddalili się roztrzającą gapiów.

Podczas gdy płynęli jeszcze przez jakiś czas w górę Indusu, Metellus usiłował rozpoznać miejsca, które mijał Aleksander podążając w przeciwnym kierunku. Po prawej stronie rozciągały się głębokie Indie, których macedoński zdobywca nigdy nie widział. Marek zaś zastanawiał się, co czuł, gdy przechyliwszy się przez burtę królewskiego okrętu, spoglądał na zmieniający się przed jego oczyma baśniowy krajobraz, na słońce wschodzące nad mglistym horyzontem, nad gęstymi koronami olbrzymich drzew ze stadami tysięcy ptaków. Z pewnością cierpiał; jego ciągle głodna nowych doznań dusza przeżywała mękę na widok oddalającego się horyzontu, który zakrzywił się na krańcach świata odrzuconych przez los.

A czy jemu się powiedzie? Czy zdoła wraz ze swą maleńką armią dotrzeć na koniec świata, aż nad gładki Ocean? W miarę jak posuwali się do przodu, mityczne obrazy z „Naturalis Historia” i „De Mirabilibus”, na podstawie których stworzył sobie wyobrażenie ziem na dalekim Wschodzie, ustępowały miejsca rzeczywistym obrazom przyrody, które budziły w nim nie mniejszy zachwyt niż legenda.

Nocą, gdy przybijali do bagnistego brzegu, jego uszu dobiegały odgłosy nieznanych zwierząt, a niekiedy nawet głuchy ryk tygrysa, który wychodził na łowy. Na dźwięk ten marynarze z Taprobane trzęśli się ze strachu spoglądając po sobie wytrzeszczonymi oczyma, jego kompani zresztą też popatrywali jeden na drugiego zatrwożeni. Jedyne Dan Qing zdawał się nie wiedzieć, co to lęk. Niekiedy schodził na ląd uzbrojony tylko w nóż i zanurzał się w pojedynkę w gęste zarośla. Wprawdzie Metellus często proponował mu swe towarzystwo, Chińczyk wszakże zawsze odmawiał. Najwyraźniej przechadzanie się po puszczy nie stanowiło dlań większego niebezpieczeństwa, zresztą musiał to być jeden z jego mało zrozumiałych zwyczajów.

Niemal wszędzie spotykali słońce. Te cudowne istoty, budzące zdumienie na Zachodzie, gdzie uważano je za dzikie bestie do tego

stopnia, że ich walki pokazywano w amfiteatrach, tutaj traktowano jako zwierzęta pociągowe. Przesuwały one i podnosiły pnie drzew na trąbach albo ciągnęły ogromne ciężary na workach i saniach.

Często zdarzały się burze, a wówczas otwierało się niebo przed dziobem łodzi pojawiały się ściany wody, błyskawice zaś, po których następowały przerażające grzmoty, rozświetlały niewiarygodnie szerokie połacie ziemi niczym za dnia. Jako że przepływali coraz częściej przez obszary zalane przez występujące z brzegów rzeki, widywali indyjskie krokodyle, które taplały się leniwie w błotnistej wodzie albo bity się o padlinę jakiegoś utopionego zwierzęcia domowego, tłukąc o fale łuskowatymi ogonami i kłapiąc potężnymi szczękami z suchym trzaskiem.

Innym znów razem ich oczom ukazywały się ogromne cętkowane węże, które prześlizgiwały się między gałęziami wystającymi nad wodą albo wiły się wytwornie, żłobiąc bruzdy w mętnych moczarach rozciągających się wzdłuż brzegów. Daruma wyjaśnił, że potwory te są w gruncie rzeczy nieszkodliwe dla człowieka, podczas gdy inne mają tak trujący jad, że ten, kogo ukąszą, może umrzeć w ciągu paru chwil.

Przyroda, z jaką się stykali, była przerażająca i niemal zawsze wroga, za to miała nieodparty urok. Przy każdym kolejnym odkryciu żołnierze dawali wyraz swym zachwytem.

W pewnym momencie monsun zaczął wiać za bardzo na ukos, to też wszyscy zeszli na ląd, łódź zaś odprowadzono do ujścia rzeki, za portem. Dalej ruszyli na piechotę.

Czekała ich ponadmiesięczna wyczerpująca wędrówka aż do zbiegu trzech wielkich lewych dopływów Indusu: Hyfazis, Akesinu i Hydraotesu. To właśnie tam Aleksander wznosił bogom olimpijskim dwanaście ołtarzy, aby zaznaczyć kres swojego marszu na wschód. Metellus poprosił Darumę, by zasięgnął języka na ich temat, przyszło mu bowiem do głowy, że miło byłoby zwiedzić to miejsce, nikt jednak nic nie wiedział. Od przygody młodego króla macedońskiego upłynęło przecież pięć i pół wieku, zresztą greckie królestwo Baktirii także dawno już przestało istnieć. Zmiotły je ludy, które imperium chińskie odepchnęło od swych granic.

Przez cały ten czas Metellus spędził wraz z Darumą wiele godzin ucząc się mowy Dana Qinga. Sam Daruma dał mu skądinąd do zrozumienia, że to bardzo poprawi ich wzajemne stosunki i ułatwi im porozumiewanie się. Dla księcia bowiem wystawianie się w obcym języku, nawet jeśli go znał, stanowiło nieznośne upokorzenie, które w połączeniu z jego naturalną arystokratyczną dumą stwarzało barierę nie do pokonania.

— Nie robię tego dla niego — powiedział Metellus. — Ciekawi mnie ta składająca się z pojedynczych sylab mowa, tak odmienna i daleka od naszych języków. Z drugiej strony zawsze mnie ciągnęło do nauki języków. W Edessie byłem jedynym dowódcą mówiącym po persku tak, że dało się go zrozumieć.

— To prawda — przyznał Daruma. — Masz wrodzone zdolności i bardzo szybko się uczysz.

W głębi serca myślał, że być może w duszy Marka Metellusa rodziła się coraz silniejsza ciekawość nowego świata, która skłoniła go w końcu, by nauczył się tamtejszej mowy, tak jakby miał tam zostać na długi czas albo nawet na zawsze.

Pewnego dnia Metellus zapytał o góry, o których słyszał jedynie jakieś mętne pogłoski albo sprzeczne opowieści.

— To indyjski Kaukaz — wyjaśnił Daruma. — Tak je nazywacie, bo tak właśnie je nazwał wasz Aleksander. To najwyższe góry świata. Ich wierzchołki wznoszą się aż ku domom bogów, zbocza pokrywa skorupa lodu, o tej porze roku zaś ciepłe monsuny wywołują straszliwe lawiny: ze szczytów spadają z potwornym hukiem masy śniegu zdolne zasypać całe miasta, niszczyć do cna puszcze i ciągnąc za sobą głazy tak wielkie jak domy. W miarę jak człowiek wspina się coraz wyżej, powietrze staje się coraz ostrzejsze, oddychanie trudniejsze, zmęczenie z każdym krokiem większe, aż w końcu nie sposób je wytrzymać. Słyszałem, że niektórzy ludzie po wdrapaniu się na zbocze jednej z takich gór i przekroczeniu wszelkich rozsądnych wysokości w ciągu jednego dnia byli w stanie przejść zaledwie sto kroków.

Metellus ucieszył się, że jego kompani nie rozumieją słów Darumy, ponieważ wzbudziłyby w nich trwogę. Byli to znakomici żołnierze,

wspaniali wojownicy, przywykli wszakże do walki z innymi istotami ludzkimi, toteż myśl, aby rzucić wy zwanie przyrodzie, przepełniłaby ich lękiem, zresztą w nim też budziła obawy. Jediną rzeczą, jaka przyniosła mu spokój, była pogoda ducha Darumy, która musiała stanowić konsekwencję długich lat doświadczenia.

— Opowiadasz mi to wszystko, żeby mnie przestraszyć? — zapytał. — Zazwyczaj postępujemy odwrotnie: ukrywamy trudności, aby nie budzić przerażenia w podległych nam ludziach.

— Sam zdecydujesz, jak przemówić do swoich żołnierzy. Co do mnie, wolę, abyś wiedział, co nas czeka; nie chcę, żeby mnie coś nagle zaskoczyło i żebym musiał niańczyć eskortę, która wpadła w panikę.

— Wyobrażam sobie, że niejednokrotnie znalazłeś się w podobnych warunkach.

— Istotnie.

— I że wyszedłeś z tego cało, skoro możesz teraz o tym rozmawiać.

— Wydaje mi się to oczywiste.

— W takim razie my też damy sobie radę. Nie boimy się żadnych przeciwności ani niebezpieczeństw. U nas też są dość wysokie góry, Alpy, nasze legiony zaś przemierzają je we wszystkich porach roku.

— Tym lepiej — odrzekł Daruma. — Właśnie takiej odpowiedzi się po tobie spodziewałem.

Pokonywali około siedmiu mil dziennie, od czasu do czasu robiąc postoje w wioskach, aby kupić jadło i napełnić bukłaki wodą. Ujrzeni rosące na bagnach zboże, którego ziarno było o wiele drobniejsze niż normalne, lecz miało bardzo podobny kolor. Jadło się je gotowane z dodatkiem zieleniny lub ryby i było wyjątkowo smaczne. Mężczyźni zastanawiali się, dlaczego nie można zjeść kawałka wołowiny, skoro wokół jest tyle krów. Usłyszeli wówczas, że w tym kraju krowy są święte i że zabicie jednej z nich traktuje się jak zbrodnię równą zabójstwu istoty ludzkiej. Brak mięsa wynagradzały im częściowo owoce; występowały tak obficie i z taką różnorodnością, miały tak delikatny

smak i zapach, że pochłaniali ogromne ich ilości.

Posuwali się naprzód równym krokiem. Dan Qing jechał na przodzie na karym koniu, jak zwykle głównie milczący. Obok, nieco z tyłu, na grzbiecie bułanego wierzchowca kłusował Marek Metellus. Następnie szli obaj centurioni, za każdym z nich zaś podążał rząd składający się z trzech żołnierzy. Legioniści trzymali się w pewnej odległości jeden od drugiego, pilnując wielbłądów prowadzonych przez Darumę. Karawanę zamykali Antoninus i Rufus ze swym nieodłącznym oszczepem.

Zgodnie z rozkazem Sergiusa Balbusa maszerowali *expediti*, lekko uzbrojeni, lecz rytmicznie, podczas gdy ich rozłożone na segmenty zbroje jechały wśród ładunku karawany. Zastanawiali się, kiedy będą musieli je poskładać i znów przywdziać, aby zakończyć służbę.

Niebo niemal ciągle pokrywały gęste niskie chmury, z których od czasu do czasu spadała na ziemię gwałtowna ulewa. A wtedy gleba stawała się natychmiast śliska, zamieniając się w żółtawe błoto, przez które przepływały potoki mętnej wody, odzienię od razu przemakało, deszcz zaś spływał po plecach, ramionach i nogach aż na ziemię. Schowani pod trzciniowymi matami mieszkańcy wiosek przyglądali im się z ciekawością, myśląc, że pewnie musi im się bardzo spieszyć, skoro nie zatrzymują się wcale i nie czekają, aż przestanie padać.

Pewnego dnia równiny jeły się wybrzuszać, ścieżka stała się bardziej stroma, wspinając się ku owemu dachowi z ołowianych chmur. Roślinność zrzedła i zaczęła się zmieniać. Wilgotna puszcza stopniowo ustąpiła miejsca drzewiastym paprociom, następnie zaś wiecznie zielonym majestatycznym drzewom. Metellusowi przypominały one libańskie cedry, które często widywał we wschodnich prowincjach cesarstwa.

— Rzeczywiście to są cedry — wyjaśnił Daruma. — W naszym języku nazywamy je *Deodara*.

— Co to znaczy?

— Drzewo Boga — odrzekł uroczyście Daruma.

— Naprawdę? — zdumiał się Metellus. — Przypomina mi grekę.

— Bo tak jest — przytaknął Daiuuiiici. — W koine powiedziałbyś Diosdendron.

— Jak to możliwe?

— Pewnie ci się to wyda dziwne, ale nasz język ma wiek wspólnego z greką. Możliwe, że w zamierzchłych czasach nasze narody mieszały blisko siebie.

— Żydzi twierdzą, że u zarania dziejów wszyscy ludzie mówili tym samym językiem, lecz kiedy zgrzeszyli pychą wobec ich straszego Boga, zostali rozproszeni i rozdzieleni, a wtedy ich języki też zaczęły się między sobą różnić...

Oddając się bez reszty rozmowie, prawie nie zwrócili uwagi, że chmury jęły się przekształcać w gęstą mgłę. Posuwali się w milczeniu przez owe mleczne opary, niemal onieśmieleni głuchym bezkresem, który pochłaniał i jakby rozpraszał wszystkie odgłosy. Po czym całun stopniowo stał się coraz rzadszy, aż w końcu całkiem się rozwiął, a w niespodziewanym i niemal oślepiającym blasku słońca ukazały się góry, lśniące od lodu szczyty, szpiczaste wierzchołki przebijające niebo.

17

Metellus osłupiał na widok olbrzymiego pasma gór. W najśmielszych snach nawet sobie nie wyobrażał podobnego zjawiska, które zapiera dech w piersiach i jednocześnie przeraża. Łańcuch górski wznosił się na niekończącym się płaskowyżu, najwyższe szczyty zaś wyglądały niczym kryształowe pinakle lśniące jak diamenty. Jedne otaczały chmury, inne odcinały się na tle przejrzystego nieba o tak głębokiej szafirowej barwie, jakby to był środek nocy. Przypomniawszy sobie skromną bryłę Olimpu, na podstawie którego Grecy stworzyli wyobrażenie na temat siedziby bogów, uśmiechnął się w duchu: jakże maleńki wydawał się jego świat w porównaniu z tą tytaniczną przyrodą!

Teraz wreszcie zrozumiał, dlaczego Aleksander uznał ów olbrzymi łańcuch za Kaukaz i właśnie tu umiejscowił męki Prometeusza. Nie

mogąc oderwać wzroku od niebotycznych szczytów, które były tak wysokie, że od samego patrzenia kręciło się w głowie, spojrzął na swych żołnierzy i wyczytał w ich oczach jeszcze większe zdumienie.

Po chwili do jego uszu dotarł głos Antoninusa.

— Jestem przekonany, że ten, kto zdoła się wdrapać na jeden z tych wierzchołków, zobaczy wszystkie krańce ziemi i otaczający ją Ocean.

— Nikt nie może wejść na te szczyty. Każdy, kto się choćby zbliżył do ich stoków, opowiadał straszne rzeczy. Nie sposób przekroczyć pewną granicę i wspinać się wyżej choćby z powodu chłodu, który staje się tak dotkliwy, że zabija każdego, kto wystawi się na jego działanie, nawet na krótki czas — oświadczył Daruma odgadując sens słów wypowiedzianych przez Antoninusa. — Powietrze zresztą też nie nadaje się do oddychania, bo staje się za rzadkie.

Rozmowa ta nie trwała zbyt długo, jako że wszystkie siły spożytkowali na wspinaczkę, która skracała częstotliwość oddechu i wywoływała zadyszkę.

Metellus zauważył, że tubylcy są raczej niskiego wzrostu i mają bardzo szerokie klatki piersiowe. Przyszła mu do głowy myśl, że to za sprawą głębokich oddechów. Podczas wędrówki zwrócił także uwagę na obecność kamiennych budowli w kształcie sześcianu, zwieńczonych kolumnami, a niekiedy nawet iglicami. Sprawiały wrażenie bardzo starych. Podczas postoju zapytał Darumę, co to takiego.

— W naszym języku mówimy na nie **stupy** — odrzekł kupiec. — Z początku budowano je po to, by przechowywać w nich relikwie naszego filozofa albo proroka, albo cudotwórcy, sam nie wiem, jak powiedzieć w **kolnie**. Potem zaś stawiano je po prostu jako pomniki na cześć jego nauki i czynów. Nazywał się Siddhartha, ale potem nazwano go Buddą, co znaczy „oświecony”. Jego słowo dotarło także do Chin, gdzie w wielu miejscach spotkasz jego podobiznę. Zawsze zobaczysz go w postawie medytacji, która umożliwiła mu osiągnięcie oświecenia i równowagę duchową.

— A zatem tao Dana Qinga ma coś wspólnego z naukami tego filozofa?

— Częściowo tak. Mistrz księcia Lu człowiek, który czerpał obficie z dwóch filozofii: Buddy i mędrców chińskich, mistrza Kong Fuzi i mistrza Laozi. Widzisz, wodzu, ścieżka oświecenia nakreślona przez...

Metellus przerwał mu jednak z westchnieniem źle skrywanego zniecierpliwienia.

— Obawiam się, że trudno mi będzie za tobą nadażyć w tym względzie, Darumo. Zbyt wiele wymagasz od prostego żołnierza.

— Nie przejmuj się — uśmiechnął się Daruma. — Może nawet ja nie zpuściłbym się o wiele dalej. Jestem tylko kupcem.

— Wcale nie jestem tego taki pewien — odparł Metellus — ale przypuszczam, że będziemy mieli jeszcze czas, żeby się poznać. Co zaś do filozofów i proroków, zawsze unikałem ich jak zarazy.

— Dlaczego? — zapytał Daruma. — Czyżbyś się bał zmierzyć z ideami ludzi, którzy zaszli wyżej niż ty?

— Możliwe — zgodził się Rzymianin — ale jestem tylko żołnierzem. Od takich jak ja wymaga się, aby zapewnili bezpieczeństwo i pokój wewnątrz państwa, żeby również filozofowie mogli prowadzić swoją działalność, żeby sędziowie mogli wymierzać sprawiedliwość, artyści zaś i poeci tworzyć swoje dzieła. Aby tego dokonać, musimy stawić czoło tym, którzy nie mają co jeść, nie potrafią budować domów ani uprawiać ziemi, musimy się bić z prymitywnymi istotami powodowanymi dziką żądzą podboju, tą samą, która kierowała naszymi przodkami u początków pierwszej republiki. Widzisz, Darumo, moim zdaniem ludzie odwołują się do proroków i cudotwórców, kiedy przestają mieć pewność, że nasze miecze są w stanie trzymać ich przy życiu i zapewnić im posiadanie dóbr. Ostatnimi czasy u nas też bardzo rozwinęła się religia pewnego żydowskiego nauczyciela o imieniu Chrystus, o którym powiadają, jakoby był synem bożym. Prorok ten został skazany na śmierć ponad dwieście lat temu przez naszego prokuratora za bunt, teraz zaś jego słowo powoli podbija nasze imperium. A wiesz dlaczego? W rzeczywistości nawet on nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa państwa, a tym bardziej naszego świata, za to obiecuje

swoim wyznawcom szczęście w innym świecie, czyli w miejscu, którego nikt nigdy nie widział i z którego nikt nigdy nie powrócił. Ludzie kierują się ku bogom, gdy są zrozpaczeni, gdy nie mogą już wierzyć w nic innego. Skoro zaś starzy bogowie już nie budzą zaufania, szukają nowych.

— Mamy pewną nazwę na określenie takich, co myślą podobnie jak ty.

— My też — przerwał mu Metellus. — Nazywamy **ich** sceptykami. Niestety to słowo też pochodzi od pewnej szkoły filozoficznej. Ale zapamiętaj, Darumo, ludzie tacy **jak** ja być może nie potrafią prowadzić błyskotliwych rozmów, mają jednak pewną zaletę: przywykli do tego, by liczyć wyłącznie na siebie i na tych, co mają taką samą siłę ducha.

— Masz na myśli ich? — Daruma wskazał rzymskich żołnierzy, którzy rozbijali obóz.

— Właśnie ich — potwierdził Metellus.

— A jednak cudowny skok Dana Qinga zrobił na tobie wrażenie. A przecież był to rzeczywisty czynek popełniony przez człowieka z krwi i kości, takiego jak ty.

— To prawda — przyznał Rzymianin — ale po co mu taka zwinność, skoro nie potrafi nawet porozumieć się z innymi, spędzając większość czasu skupiony na sobie? Czym różni się od kamienia albo drzewa, albo jeśli wolisz, od filozofa zamkniętego we własnych przekonaniach?

Odwróciwszy się na chwilę, by zerknąć na Dana Qinga, siedzącego na piętach przed małą **stupą**, Daruma rzekł:

— Trudno sądzić człowieka po pozorach. Czasem milczenie i samotność mogą być karą, którą człowiek sam sobie wymierza.

Nazajutrz ruszyli dalej, dotarłszy zaś do przełęczy, obejrzeni się za siebie spoglądając na długą krętą ścieżkę, którą dopiero co szli, a która z wysokości wydawała się jeszcze bardziej stroma. Postanowili przemocować w miejscu, gdzie znajdowała się zagroda dla zwierząt i karczma. Wewnątrz skromnej budowli z kamienia i drewnianych bali starzec z rzadką brodą i oczami jak u Dana Qinga podawał stałym bywalcom duszoną baraninę z gotowanym ziarnem bagiennego zboża

okraszonym zwierzęcym tłuszczem.

Nie było to z pewnością ulubione jadlo rzymskich żołnierzy, ale nie mieli innego wyjścia. W miejscu takim jak to, z dala od świata, nie mogło być wielkiego wyboru.

Na przełęczy przełożyli ładunek na wielbłądy z Baktrii, które nadawały się o wiele lepiej do wędrówki po górzystym terenie i do panującego tam chłodu.

Ruszyli w dalszą drogę nazajutrz, najpierw schodząc na płaskowyż, potem zaś z powrotem się wspinając. Po kilku dniach marszu wszyscy zaczęli się uskarżać na ból oczu i mdłości. Metellus znalazł lekarstwo na bolące oczy: czarne opaski z maleńkimi szparkami, które chroniły oczy przed zbyt ostrym światłem. Na mdłości zaś Daruma rozdał po prostu sól do żucia.

Tymczasem Dan Qing wcale nie sprawiał wrażenia, że męczy go chodzenie po tak niedostępnym terenie. Być może dlatego, że wreszcie znalazł się u siebie, w miarę bowiem jak posuwali się naprzód, mijani ludzie stawali się coraz bardziej doń podobni z wyglądu, chociaż górale mieli głęboko pobrużdżone twarze i cerę barwy terakoty z powodu słońca i niesamowitej suszy, jaka tam panowała. Rzymianie natomiast zdawali sobie sprawę, że każdy ich krok budzi wyraźną, choć skrywaną ciekawość tubylców.

Było oczywiste, że nigdy dotąd nie widzieli w tamtych stronach żadnego przedstawiciela ich rasy, dzieci zaś, ciekawskie jak w każdym zakątku świata, podchodziły tak blisko, aby dotknąć owych dziwacznych osobników o zarośniętych twarzach, o ramionach włochatych niczym u małp i o okrągłych oczach. Największe zaciekawienie wzbudził w nich Septymiesz, jego niebieskie oczy i jasne jak len włosy. Podchodziły tak blisko, aż dotykały jego kolan, po czym natychmiast uciekały ze śmiechem, chowając się za nogami rodziców.

Minąwszy pierwszą przełęcz, przemierzali kolejnych piętnaście odcinków, aż zatrzymali się przed następną, jeszcze wyższą. Tam zaś zostawili wielbłądy z Baktrii i przełożyli ładunek na osobliwe małe woły o niezwykle długiej sierści, zdaniem Darumy jedyne zwierzęta zdolne pokonać czekającą ich wysokość. Wędrowali przez krajobraz

o coraz bardziej wyjątkowej i dzikiej urodzie: ośnieżone szczyty górowały nad karawaną niczym lodowe piramidy rzucające błękitnawe refleksy, ścieżka pięła się po zboczach gór zwężając się coraz bardziej, tworząc występy skalne nad ścianami i nad przepaściami, które ścinały krew w żyłach. Kiedy potrącony przez kogoś kamyk spadał do wąwozu, słyhać było odgłos żwiru i mnóstwa innych kamieni odbijających się od ścian przepaści, co dawało wszystkim jasno do zrozumienia, że jeden fałszywy krok oznacza pewną śmierć.

Posuwali się powoli za miejscowymi przewodnikami, którzy prowadzili za uzdę kosmate woły niosące ładunek, z każdym dniem, niemal z każdą godziną przywykając do oddychania tym jakże odmiennym powietrzem, oswajając oczy z coraz ostrzejszym światłem, z coraz większą przejrzystością.

W miarę jak wspinali się wyżej i wyżej, chłód robił się dotkliwszy, krawędzie przepaści zbliżały się do siebie, aż w końcu stało się oczywiste, że będą musieli przedostać się na drugą stronę i że w tym celu trzeba przejść przez drewniany most zawieszony na linach między obiema skalnymi ścianami ponad przepaścią. Na twarzach żołnierzy, którzy popatrzyli po sobie w osłupieniu, Metellus wyczytał strach. Choć zaprawieni w bojach i przyzwyczajeni do wszelkich niebezpieczeństw, nie zdążyli jeszcze przywyknąć do przerażającej dzikości tego dalekiego świata. Jedynie spokój i stanowczość dowódcy oraz przykład centurionów zapewniały im poczucie bezpieczeństwa, z jakim zawsze poddawali się dyscyplinie.

— Musicie tylko patrzeć przed siebie — powiedział Metellus — nigdy w dół. W gruncie rzeczy to zaledwie parę kroków. Dokonywaliście o wiele większych wyczynów.

Najtrudniejsze okazało się przeprowadzenie zwierząt. Pierwszy ruszył Balbus wraz z miejscowym przewodnikiem, niosąc linę, którą zaczepił do przeciwległej skały, następnie zaś przywiązał nią woły, aby nie przemieszczały się zbyt na boki, a tym samym nie zachwiały całą konstrukcją. Potem przyszła kolej na ludzi. Dan Qing przedostał się na drugą stronę bez trudu i nie trzymając się liny, Daruma zaś przeszedł ostatni w eskorcie Lucjanusa i Rufusa, którzy

podtrzymywali go z obu stron.

Pogoda psuła się z każdą chwilą, w wąskim gardle hulał coraz zimniejszy porywisty wiatr, od którego most zaczął się chybotać. Wystarczyłoby nawet drobne opóźnienie, aby uniemożliwić przejście. Kiedy Daruma postawił stopy na przeciwległej krawędzi, jeśli schodzić wydeptaną ścieżyną, mimo że prędko zbliżał się zmierzch. Ledwie doszli do mniej stromego miejsca, gdzie chłód był bardziej znośny, rozbili obóz wycieńczeni i zeszywniali od mrozu.

Posuwali się naprzód następnego dnia i przez wiele kolejnych, aż wreszcie znaleźli się przy rozwidleniu, do którego od wschodu docierał szlak przecinający bok skalistego pasma górskiego wyżłobionego przez liczne głębokie jary. Tam zrobili postój, aby odpocząć i wymienić kosmate woły na wielbłądy z Baktrii i kilka koni, raczej drobniejszych i włochatych, za to niezwykle wytrzymałych.

Tamtejszy system wymiany zwierząt wprowadził Metellusa w zdumienie. Przypominał mu trochę system wymiany koni stosowany w cesarstwie wzdłuż *cursus publicus*, ogromnej sieci dróg, która docierała nawet do najdalszych zakątków położonych w Afryce czy Brytanii. Z tą tylko różnicą, że tutaj nie istniało jedno państwo, które by tym wszystkim zarządzało, lecz wymagania podróżnych i zwyczaje miejscowych wspólnot.

— Bardziej na północ żyją plemiona koczownicze, które hodują najlepsze konie na świecie — wyjaśnił Daruma. — Chińczycy nazywają je „końmi, które toczą krwawą pianę” i są gotowi za nie zapłacić niebotyczne ilości złota. Niektórzy cesarze oddali ich barbarzyńskim wodzom własne córki za żony, byleby tylko dostać stado tych wspaniałych rumaków. Kiedy dojdziemy do Imperium Smoków, na pewno je zobaczysz.

— Imperium Smoków? — zdziwił się Metellus. — Co to znaczy?

— To znaczy Chiny — odparł Daruma. — To jeszcze jedna nazwa tego kraju. Smok to powszechnie znana tamtejsza postać mityczna, która przybiera różne formy, albo demona, albo obrońcy.

Wiele słów i zwrotów Daruma wypowiadał po chińsku, aby zmusić swego ucznia, by wprawiał się w posługiwaniu tym językiem, chociaż zdawał sobie doskonale sprawę, że tamten myśli wyłącznie o jednym: o powrocie do ojczyzny.

Przez cały ten okres Metellus bardzo rzadko rozmawiał z Danem Qingiem; wymieniali zaledwie zdawkowe uprzejmości po persku, podając sobie jadło podczas wspólnych posiłków, spotykając się ranniem bądź kładąc się spać wieczorem. Nie przestał wszakże studiować jego mowy, każdego dnia poświęcając na naukę z Darumą długie godziny po wieczery, a niekiedy także czas na postojach. Nic więc dziwnego, że zrobił znaczne postępy.

Gdy pokonywali ostatnie odcinki, pogoda nad ogromnymi łańcuchami górskimi ponownie uległa pogorszeniu, toteż znów znaleźli się w samym środku burzy śnieżnej, czegoś, do czego w ogóle nie byli przygotowani i co okazało się niezwykle uciążliwe. Zaczął wiać lodowaty i ostry niczym brzytwa wiatr, który przenikał aż do kości i którego żadne odzienie nie było w stanie zatrzymać. Następnie przyszła kolej na drobny kłujący grad, podczas gdy wichur dął w wąwozach skarżąc się żałośnie. Metellus i jego kompani musieli wykazać ogromną siłę ducha i wytrzymałość, aby nie ulec chładowi i zmęczeniu.

Dan Qing przyglądał im się wielokrotnie swymi skośnymi oczami i gdyby ktoś potrafił odgadnąć, co kryje się w jego nieprzeniknionym wzroku, zrozumiałby, że to podziw dla wytrzymałości, jaka cechowała ludzi z Taqin Guo, dla zaciętego uporu, z jakim stawiali czoło siłom przyrody.

Warunki pogodowe pogarszały się coraz bardziej; chłód stał się tak przenikliwy, że wędrowcy z ledwością poruszali zgrabiałymi kończynami. Nagle na zakręcie ścieżki, podczas gdy schodzili w wirującym śniegu, coś przemknęło niczym błyskawica przed księżącym wierzchowcem, który odskoczył gwałtownie, rżąc z przerażenia.

Zaskoczony Dan Qing upadł do tyłu, koń zaś runął obok niego na ziemię zaatakowany przez irbisa.

Dan Qing leżał ściśnięty między swym wierzchowcem a krawędzią przepaści. Gdyby usiłował się wydostać, mógłby spaść w otchłań. Tymczasem irbis na jego widok puścił szyję konia, który już był w

agonii, i skierował się ku ludzkiej zdobyczy odsłaniając zakrwawione kły i wyciągając zakończoną pazurami łapę. Wtedy to Publiusz, który podążał tuż za księciem, skoczył do przodu wymachując płaszczem przed nosem zwierzęcia. Rozzuchwalony z powodu głodu irbis ryczał groźnie, atakując pazurami tych, których uważał za przeciwników gotowych odebrać mu zdobycz. Kiedy Publiusz próbował dobyć miecza, który z powodu mrozu nie chciał wyjść z pochwy, nadbiegli Balbus i Antoninus, którym udało się odciągnąć Dana Qinga. W tej samej chwili irbis drapnął pazurami w ramię Publiusza, który ześliznął się ze skały.

— Pomóście mu! — krzyknął Metellus.

Kiedy irbis skoczył, Marek odwrócił się i wyrwawszy znajdującemu się tuż za nim Rufusowi oszczep, okręcił się błyskawicznie na pięcie i przebił nim zwierzę dokładnie w momencie, gdy miało go dopaść.

— Pomóście mi! — zawołał Publiusz. — Jestem tutaj, pomóście mi!

Podczas gdy Metellus usiłował się wydostać spod ciała martwego irbisa, Kwadratus, Balbus i Septymiusz chwycili się za ręce tworząc łańcuch ludzki, po czym złapali dłoń Publiusza, który wisiał uczepiony występu skalnego.

Septymiusz zdążył go chwycić, zanim spadł w przepaść, po czym wyciągnął do góry. Wyjąwszy zaś oszczep z ciała irbisa, Metellus przyglądał się konającej bestii, która wydychała przez nozdrza obłoki pary, plamiąc krwią nieskazitelną biel śniegu. Było to wspaniałe zwierzę, jakiego nigdy dotąd nie widział, bielusieńkie — jedynie ciemne cętki na futrze pozwalały dostrzec jego kształt na śniegu.

Kiedy Marek Metellus się odwrócił, ujrzał przed sobą Dana Qinga. Stojąc nieruchomo niczym śnieżne posągi patrzyli sobie w oczy w milczeniu, po czym Rzymianin podszedł do Publiusza, który ciągle drżał z zimna i strachu, i uściskał go niczym ocalonego od śmierci syna. Ruszyli w dalszą drogę pod naporem burzy, po zachodzie słońca zaś dotarli wyczerpani do miejsca postoju, którym okazał się szałas z drewnianych bali wraz ze stojącą obok stajnią. Głodni i zdrętwiali od chłodu zdołali zagnać zwierzęta pod dach, sami zaś powlekli się do

szałas, gdzie pośrodku izby w ogromnym palenisku płonął ogień, nad nim zaś znajdował się zrobiony w dachu otwór, przez który ulatniał się dym. Nad paleniskiem umieszczono kociołek, w którym coś bulgotało. Na jednej z sufitowych belek wisiała dymiąca lampka zasilana tłuszczem zwierzęcym.

Na owej skórze siedzieli mężczyzna i kobieta w podeszłym wieku, którzy zdawali się wpatrywać w garnek trzymając w dłoniach czarki. Na głowach mieli futrzane czapki i oboje nosili długie kozuchy. Gdy Daruma do nich przemówił, starzec dał wszystkim znak, aby się rozgościli. Dan Qing wszedł ostatni i przysiadł w kącie na piętach.

Kobieta zaś rozdała wszystkim czarki i zdjawszy z ognia kociołek, naląła każdemu porcję rosółu z kawałkiem baraniny. Gorąca strawa tchnęła wprawdzie w wycieńczonych mężczyzn odrobinę życia, wprawiła ich jednak także w głębokie odrętwienie. Żaden nie miał ochoty do rozmowy; ledwie skończyli jeść, wszyscy Rzymianie pod wpływem panującego wewnątrz ciepła padli na owcze skóry jeden po drugim i niemal natychmiast pograżyli się w mocnym śnie.

Powodowany bardziej przyzwyczajeniem niż obawą Metellus wyszedł na dwór na krótki obchód. Zza gęstej zasłony chmur wynurzył się właśnie księżyc zalewając widmowym blaskiem chłostane ciągle przez nawałnicę góry. Konie i pozostałe zwierzęta jeszcze spokojnie chrupały siano ze żłobów, w oddali zaś słychać było odbijający się od dna doliny krzyk nocnego ptaka. Wracając do szałas, Marek natknął się na Dana Qinga.

— Dlaczego to zrobisz? — zapytał po persku książe.

— Płacę mi za to — odrzekł Metellus i nie dodając nic więcej wszedł do środka.

Nazajutrz przyroda pokazała zupełnie inne oblicze. Wschodzące słońce barwiło na różowo ośnieżone szczyty odsłaniając całą krasę soczyście zielonych łąk porastających wewnętrzne zbocza gór. Wiatr ucichł, po niebie zaś jał krążyć uroczyście orzeł zataczając szerokie koła. Pierwszy wyszedł Kwadratus i rozprostowawszy ścierpnięte kończyny, zbliżył się do poidła, po czym przebił warstwę lodu i obmył twarz zimną wodą.

Wkrótce wynurzyli się pozostali, na końcu zaś Dan Qing w towarzystwie Darumy. Przewoźnicy zaprzęgli i objuczylu zwierzęta, po czym gospodarze rozdali wszystkim czarki z gorącym mlekiem. Kiedy Daruma zapłacił im w indyjskich monetach, karawana ruszyła w drogę. Wędrowali przez dwa dni, aż dotarli do szerokiej równiny, gdzie jęli mijać inne, mniejsze bądź większe karawany, które podążały w przeciwną stronę ze swoimi towarami. Niemał wszyscy ludzie byli teraz podobni do Dana Qinga, z czego Metellus wywnioskował, że cel musi być już niedaleko. Obliczywszy, ile czasu zajęło im dotarcie do tego miejsca od ujścia Indusu, uznał, że do miejsca przeznaczenia, od którego miał się rozpocząć marsz z powrotem, brakuje im około miesiąca drogi.

Pokonali kolejnych dwanaście odcinków wędrując dwanaście mil dziennie, przemierzając stopy, a następnie całkowicie bezwodną pustynię, po której nie sposób było się poruszać bez miejscowego przewodnika znającego drogi i studnie, gdzie dało się napoić ludzi i zwierzęta.

Teraz Metellus nabrał pewności, że wędruje po ziemiach, których nawet Aleksander nie widział podczas swego długiego marszu na wschód, daleko poza Marakandę, a także za Aleksandrię. Był pewien, że przemierzył lądy, które Herodot uważał za należące do najstarszych ludów, do Issedonów i Hippomolgów, sam zaś wygląd nieba i jego gwiazdozbiorów wydawał mu się odmieniony. Przypomniawszy sobie, że Antoninus pełnił w armii funkcję mierniczego, zastanawiał się, czy potrafiłby sporządzić mapę obszarów, przez które przeszli, uprzytomnił sobie jednak, że brakuje odpowiednich przyrządów, punktów odniesienia i przyborów do pisania oraz rysowania. Przyszło mu do głowy, że gdy dotrą na miejsce, będzie mógł wykonać gromę; jeśli zabierze ze sobą materiały piśmiennicze, zdoła narysować mapę w drodze powrotnej. Taka mapa byłaby nieocenionym skarbem, opisem ziem, które umykały właśnie pod cierpliwymi i nieustającymi krokami jego żołnierzy.

Zarówno jemu samemu, jak i jego kompanom nie dawała spokoju myśl, że przemierzają właśnie ziemię bez końca, że w miarę jak się oddalają od swego świata, maleje on coraz bardziej, zupełnie jak wtedy,

gdy spoglądamy na przedmioty i ludzi z wysokiej wieży bądź z nad krawędzi wąwozu.

Azjatycki bezkres zapierał dech w piersiach: niekończące się pustynie, płaskie stepy ograniczone jedynie linią horyzontu, pogrążone w bezdennej ciszy albo przeniknięte powtarzającym się wołaniem jakichś tajemniczych i ukrytych istot. Słońce, które zachodziło niemal w jednej chwili, rzucało krwawe błyski na złoty piasek, ustępując natychmiast miejsca gwiazdom drżącym na bezkresnym niebie. Niekiedy w samym środku nocy rozlegał się nagle delikatny szum: to stada skrzydlatych zjaw przelatywały w ciemnościach nad ich głowami przemierzając niewidzialne ścieżki. Księżyc wyłaniał się niczym ogromna srebrna tarcza oświetlając widmowy krajobraz i wywołując długie wycie szakali, czasami zaś jego łagodny sierp muskał faliste brzegi zasp śnieżnych, a kiedy wreszcie zachodził, na progu świtu czuwała samotnie gwiazda poranna.

Olbrzymi obszar przemierzały w obu kierunkach kolejne karawany, najczęściej składające się z wielbłądów, które poruszały się charakterystycznym kołyszącym krokiem. Metellus często zadawał sobie pytanie, dlaczego nikt na nie nie napada, dlaczego rozbójnicy nie usiłują przechwycić cennych ładunków, które wiozą, doszedł jednak do wniosku, że wszystkim za bardzo zależy na dostarczeniu towarów na miejsce, zyski z przewozu zaś są zbyt duże, aby cokolwiek miało zakłócić podróż.

Podczas niekończącej się wędrówki Dan Qing i Metellus nie przyjaźnili się ze sobą; ich stosunki pozostały takie jak przedtem. Jedyny wyjątek stanowiły chwile, gdy spotkali się po raz pierwszy na łodzi Darumy. Z początku Marek usiłował sobie jakoś wytłumaczyć zachowanie Chińczyka i doszedł do wniosku, że jest po prostu inny, jego sposób myślenia zaś i edukacja zbyt odległe, by można go było zrozumieć. Dzielące ich różnice zdawały się pogłębiać, i to znacząco, i nawet Daruma sprawiał wrażenie, że nie chce, by coś się zmieniło.

Pewnego dnia, kiedy zbliżali się do przełęcz między dwoma niewielkimi skalnymi wzniesieniami, gdzie postanowili rozbić obóz, podszedł do niego indyjski kupiec.

— Najwyższy czas, żebyście włożyli całe zbroje — oświadczył.
— Im szybciej, tym lepiej.

— Dlaczego? — zapytał Metellus. — Do tej pory wystarczały nam lekkie panczerze.

— Ponieważ dotarliśmy do granicy Chin i od jutra możemy się spodziewać najgorszego. Na pierwszym postoju będziemy mieli okazję kupić wszystko, czego nam potrzeba.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali czegokolwiek — potrząsnął głową Metellus. — Moi żołnierze nigdy nie posłużyliby się bronią, z którą nie zdążyli się oswoić, poza tym mają całkowite zaufanie do naszego typu uzbrojenia. Nie przejmuj się: mamy kolczugi i części kirysów folgowych, które jesteśmy w stanie złożyć. Co do tarcz i hełmów, będziemy musieli je zrobić sami, jeśli znajdziemy gdzieś kuźnię. Ale jak się zorientowałeś, że dotarliśmy na miejsce?

— Widzisz te postaci po obu stronach przejścia? — odpowiedział pytaniem na pytanie Daruma.

Metellus nie zdążył otworzyć ust, gdy Dan Qing pogalopował w stronę, którą wskazywał kupiec, po czym zeskoczył na ziemię i skłonił się kilka razy przed czymś, czego nie dało się jeszcze dokładnie zobaczyć.

Dopiero podszedłszy bliżej, Metellus spostrzegł po obu stronach przełęczy dwa wykute w skale olbrzymie posągi. Przedstawiały skrzydlate potwory w budzących przerażenie pozach.

Wówczas Daruma spojrział mu głęboko w oczy i zawołał:

— Witaj w Imperium Smoków!

18

Pierwszy postój na chińskiej ziemi wypadł w karawanseraju, gdzie zatrzymywały się karawany przewożące jedwab. Była to kwadratowa budowla z czterema wieżyczkami na rogach i wewnętrznym dziedzińcem otoczonym kolumnadą. Pośrodku stała fontanna otoczona basenem z rzeźbionego kamienia.

Po bokach umieszczono młyn, piec, kuźnię i tartak. Pierwszy i ostatni napędzane były przez bystry strumień, który wartko spływał z gór, wprawiając w ruch mechanizmy ze stałą prędkością. Sewer i Antoninus, oczarowani owymi zmysłnymi urządzeniami, podeszli bliżej, aby przekonać się, jak działają.

Metellus tymczasem dołączył do Darumy, który pertraktował właśnie z urzędnikiem odpowiedzialnym za pracę wszystkich czterech warsztatów, aby udostępnił rzymskim *fabri* kuźnię. Ponadto kupił dla każdego z nich konia.

Publiusz i Rufus otrzymali zadanie złożenia pancerzy folgowych i sprawdzenia oczek w kolczugach. Lucjanus nasadził oszczepy na drzewce, kiedy zaś Sewer i Antoninus wrócili z przespiegów, polecił im zrobić z desek z tartaku tarcze i wykuć nowe hełmy. Metellus, który zajrzał, jak im idzie robota, przystanął na chwilę, aby porozmawiać z Sewerem zajęтым wycinaniem tarcz. Budował je po swojemu, z drewna i żelaza.

Podczas tych kilku dni postoju, kiedy pokrzepiali się i nabierali sił, Metellus i jego kompani mieli okazję wyrobić sobie pogląd na świat, do którego właśnie wkroczyli, na temat panujących w nim stosunków, monet, którymi płacono, na temat zwyczajów i obyczajów, a także wierzeń.

Istotnie, nie zabrakło też małej świątyni zbudowanej z drewna i pomalowanej na jaskrawe kolory: płomienną czerwień, biel, ochrową żółć i zieleń. Jakiś święty, być może kapłan lub wróżbita, wygłaszał przepowiednie dla podróżnych, którzy go odwiedzali. Siedząc na piętach w typowej dla tych ludzi pozie rzucał na ziemię kości, na których narysowane były niezrozumiałe znaki. Były to głównie zwierzęce łopatki, na których gładkiej powierzchni łatwo było kreślić magiczne symbole.

— To wróżenie z kości — wyjaśnił Daruma. — W zależności od tego, na którą spadną stronę, wróżbita przepowiada przyszłość odczytując wyryte na nich znaki. Dan Qing jest znawcą w tej dziedzinie. Nauczył go tego jego mistrz, wielbny Wangzi.

— Dan Qing — mruknął Metellus. — Mam wrażenie, że minął cały wiek, odkąd wskoczył na naszą łódź, a prawie nic o nim nic wiem.

Jak ci ludzie traktują władzę, skoro rządzącemu nie wolno nawet zamienić słowa ze zwykłym człowiekiem?

Mówiąc to wodził wzrokiem za księciem, który wspinał się właśnie na koniu po kredowej skale górującej nad karawanserajem.

— Ja też nie znam dobrze jego historii — przyznał Daruma — ale krążą o nim dziwne pogłoski; być może jego przeszłość kryje niezbyt przyjemne sprawy, jakieś tajemnice, których nie można wyjawić. W tym kraju najwyższa władza często wiąże się z okrucieństwami, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

— Władza wszędzie jest jednakowa, ale zdaję sobie sprawę, że kraj ten bardzo różni się od mojego. Co właściwie masz na myśli? — zapytał Metellus.

Daruma obdarzył go uśmiechem.

— Kiedy wielki cesarz Huangdi ustanowił zasady, na jakich opierało się jego królestwo, kazał pozamykać wszystkie szkoły filozoficzne i spalić wszystkie książki oprócz jednej kopii, która miała być przechowywana w królewskiej bibliotece. Pewna grupa mędrców, filozofów i pisarzy dała wyraz swemu niezadowoleniu...

— I co dalej?

— A to, że Huangdi kazał pogrzebać żywcem czterystu sześćdziesięciu z nich we wspólnej mogile.

— Rozumiem. Przypuszczam, że od takich postępków nawet najbardziej rozmowny władca staje się zamknięty w sobie — odrzekł z sarkazmem Metellus. — Trudno mi jednak pojąć, jak można pogodzić taką postępową filozofię jak ta, o której mi mówisz, z równie okrutnym sprawowaniem władzy. Najlepszy nasz cesarz też był filozofem. Nazywał się Marek Aureliusz Antoninus i był władcą mądrym, surowym i mężnym.

— Myślę, że jego sława dotarła aż do Chin, wraz z imieniem An Dong — odparł Daruma.

Spojrząwszy jeszcze raz w kierunku zbrocza, Metellus zobaczył postać siedzącego na koniu Dana Qinga wpatzonego w horyzont i porośnięte lasami łańcuchy górskie, które za sprawą wierzchołków opadających ku

kolejnym równinom, kolejnym rzekom i kolejnym górcom przypominały fale. Świat ten zdawał się nie mieć końca.

Kiedy Daruma wynajął kilku tragarzy, paru wielbłądników i chińskiego medyka, ruszyli w dalszą drogę. Wędrowali przez kilka dni, dopóki nie natrafili na wystarczająco odległe i samotne miejsce w dębowym lesie, gdzie żołnierze przywdziali zbroje, jakby służyli w swoim oddziale.

Gdy stary centurion Sergius Balbus stanął przed Metellusem, ten popatrzył nań zdumiony. Miał nawet symbol swojego stopnia wojskowego, poprzeczny grzebień na hełmie wykonany z końskiego włosa oraz laskę dowódcy.

— Oddział w szyku bojowym, wodzu — obwieścił.

Skinąwszy głową, Metellus dokonał dokładnej inspekcji, zaglądając każdemu z nich w oczy i lustrując każdy szczegół ich stroju bitewnego, od hełmu po wielką kwadratową tarczę, idealnie zrekonstruowaną, a nawet pomalowaną, jak to było w zwyczaju przed zbliżającą się bitwą. W oczach owych zaprawionych w bojach wojowników ujrział dumę i wzruszenie, na których widok coś go ścisnęło za gardło.

Pod koniec tego pospiesznego rytuału wojskowego Metellus przystanął przed dwoma fabri, Sewerem i Antoninusem, aby wyrazić podziw dla ich zręczności.

— Jak widzę, nie zapomnieliście swojego fachu — powiedział.

Wówczas naprzód wystąpił Antoninus.

— Mamy coś dla ciebie, wodzu — oznajmił wyjmując spod płaszcza pancerz swego dowódcy: zbroję o anatomicznym kształcie, wykutą z wypolerowanego żelaza, z wizerunkiem Gorgony wyrzeźbionym pośrodku klatki piersiowej. Obok leżał nowiusieńki hełm wykonany na miarę w karawanserajowej kuźni.

Metellusowi dosłownie odebrało mowę. Zbroja była doskonała i tak lśniąca, jakby dopiero co wyszła z rąk płatnerza.

— Ale jak wam się udało... — zaczął.

— Podzieliliśmy ją na pół i każdy przewiózł swoją część pod siodłem osła, a potem połączyliśmy ją z powrotem w karawanserajowej

kuźni. Ci barbarzyńcy osłupieli na jej widok.

— Nie do wiary — rzeki Metellus. — Pomóżcie mi ją włożyć.

W chwili gdy Antoninus umieszczał mu pancerz na ramionach, a Sewer zawiązywał na bokach, Metellus przypomniał sobie ostatni raz, kiedy ktoś pomagał mu włożyć zbroję. Było to w jego domu, w Edesie, pod kolumnami perystylu, tuż przed tym, nim udał się na naradę wojenną z cesarzem. W domu, do którego już nie wrócił, a który z pewnością zastałby pusty i ciemny albo w rękach najeźdźców, gdyby przekroczył jego próg.

Westchnąwszy, włożył podany mu przez Sewera hełm, po czym stanął przed swą maleńką armią w całej okazałości i chwale należnej jego randze. Dzięki długim marszom jego ciało wyglądało teraz jak w czasach świetności, mięśnie ramion i nóg, wyrzeźbione podczas miesięcy nieustannego wysiłku, były ogorzałe od słońca znad Oceanu i niebotycznych gór indyjskiego Kaukazu.

Podszedł doń wyraźnie wzruszony Kwadratus.

— Ave, wodzu — powiedział stając na baczność. — Czekamy na twoje rozkazy, jak zawsze. Gdybyśmy tylko mieli naszego orła...

— Orzeł jest tu, w naszych sercach — odrzekł Metellus — i jeszcze natchnie nas odwagą, jak to miało miejsce w przeszłości. Uciekliśmy z niewoli, która złamałaby każdego, pokonaliśmy furię Oceanu, topiel Indusu, burzę śnieżną w wąwozach Paropamisos, teraz zaś jesteśmy o krok od zakończenia misji. Gdy tylko odstawimy księcia Dana Qinga do miejsca przeznaczenia, wreszcie wyruszymy w drogę powrotną. Jestem pewien, że wszystkim nam się uda zobaczyć ojczyznę i że na nasz widok wielu zadrży ze strachu, tylu innych się wszakże uraduje.

Kiedy się odwrócił, by przeszli w szyku marszowym, stanął wprost przed Danem Qingiem, który spoglądał mu prosto w oczy.

— To co przed chwilą zobaczyłem, zrobiło na mnie wrażenie — oświadczył książe.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Metellus.

— Nigdy dotąd nie widziałem żołnierzy, którzy by nosili zbroje z taką dumą, okazywali tak wielkie przywiązanie i zarazem tak ogromny szacunek swemu dowódcy.

— U nas żaden oficer nie jest w stanie dowodzić, jeśli nie zaskarbi sobie poważania i szacunku swoich ludzi. Nie może wydawać rozkazów, jeśli przedtem nie udowodni, że sam potrafi je wykonać, ani żądać poświęceń od swych żołnierzy, jeśli przedtem nie pokaże, że sam potrafi się zdobyć na największe wyrzeczenia. Tak czy inaczej to są żołnierze, którym powierzono twoją osobę, i mogę cię zapewnić, że nie znajdziesz lepszych.

Dan Qing skinął potakująco głową, po czym dotknął lewą pięścią wnętrza prawej dłoni. Ów gest powitania wykluczał wszakże mocny uścisk ręki, do którego przywykł Metellus. Rzymianin odpowiedział mu skinieniem głowy i dał rozkaz wymarszu.

Jechali przez kilka dni po ścieżkach zagubionych wśród krajobrazów porośniętych krzewami, niskimi sosnami i kępami pacioreczników indyjskich, spomiędzy których wybijały się bardziej majestatyczne rośliny, tam gdzie w rozpadlinach skalnych zagościła grubsza warstwa żyznej gleby.

Wraz z upływem czasu roślinność stawała się coraz bardziej gęsta i coraz bujniejsza, pojawiły się też strumyczki krystalicznej wody, wijące się z pluskiem wśród wysokich skał i lśniącego żwiru. Zaczęły się także pokazywać zwierzęta, głównie małpy o wspaniałych barwach. Ich długa sierść, falująca przy każdym ruchu, miała złoty kolor, łapy zaś brązowy, jakby nosiły nogawice w innym odcieniu. W pewnej chwili podszedł do nich na odległość zaledwie kilku kroków ogromny samiec, mogli się więc przyjrzeć jego pyszczkowi przypominającemu twarz starego filozofa, o płaskim nosie i małych oczkach, które błyszczały niczym węgielki.

Gdzieś tam na skałach przy strumieniu, wzdłuż którego się posuwali, widniały nacięcia w kształcie zwierząt: jeleni, byków, koziorożców o długich zakręconych rogach oraz postaci myśliwych, którzy ścigają zwierzynę z łukami i strzałami. Niekiedy można też było dostrzec magiczne znaki, tak jednak stare, że nawet Daruma nie potrafił

ich odczytać. Korzenie tej cywilizacji zdawały się sięgać początków samej ludzkości.

Po jakimś czasie Metellus zauważył, że Daruma stał się niespokojny; ciągle rozglądał się na wszystkie strony, niekiedy zaś przystawał nasłuchując. Dan Qing również często się nagle odwracał, nawet na dźwięk trzepotu skrzydeł jakiegoś ptaka, który podrywał się w lesie do lotu, gdy zbliżali się obcy przybysze.

Karawana Darumy ustawiła się w długi rząd z powodu ciasnej doliny, którą właśnie przemierzali; szlak ten był z pewnością mniej wygodny i bardziej niedostępny, za to nie uczęszczany. Wszystko wskazywało na to, że zamiast do ojczyzny ich towarzysza podróży wkroczyli na ziemię wroga. W pewnej chwili Rufus i Publiusz, zapuściwszy się w las po usłyszeniu jakiegoś dziwnego dźwięku, krzyknęli przerażeni na widok istoty, która okazała się zupełnie nieszkodliwa. Było to coś w rodzaju niedźwiedzia o biało-czarnym futrze, z plamą na pysku, który wyglądał jak maska.

— Uspokójcie się — powiedział Daruma, który przybiegł na ich krzyki. — On się żywi wyłącznie pędami trzciny.

Jednakże również Metellus wyczuwał czyjaś obecność. Jego instynkt zaprawionego w bojach wojownika, który walczył w puszczech Germanii i Panonii, podpowiadał mu, że coś jest nie tak, nie pozwalając mu się odprężyć nawet w chwilach, gdy wszystko wydawało się całkowicie spokojne. Nagłe poderwanie się do lotu chmury ptaków, trzask gałęzi złamanej przez uciekające zwierzę, natarczywe i niepokojące wołanie nocnego ptaka — wszystko to wzmagало napięcie, toteż raz za razem padał rozkaz, by chwycić za broń. Dan Qing zdawał się odzyskiwać spokój, jego gesty stały się na powrót opanowane i umiarkowane, widać było wszakże wyraźnie, że nieustannie kontroluje własne zmysły, że drzemie w nim błyskawiczna zdolność reakcji.

Teraz on także nosił zawieszony u pasa miecz, który pojawił się znikąd; nikt nie potrafił sobie przypomnieć, jak i kiedy wziął się u boku księcia. Był dłuższy niż gladiusy legionistów i miał wspaniale rzeźbioną rękojeść, która odznaczała się wyrafinowanym kunsztem.

Nagle Sewer, który wyruszył na zwiady wraz z Marcjanusem, wyprzedzając karawanę o jakieś sto kroków, krzyknął:

— Co to było? Widziałeś? Co to było?

Metellus popędził konia i dołączył do nich.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Ptak! — zawołał Sewer rozpościerając ramiona, jakby chciał pokazać rozpiętość skrzydeł. — Ptak wielki jak dziesięć orłów.

— Prawdziwy potwór — potwierdził Marcjanus.

— Co ty wygadujesz? — zbeształ go Metellus. — Takie zwierzęta nie istnieją.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy wtem rozległ się syk przypominający świst wiatru, nad nimi zaś przemknął olbrzymi cień, który wyglądał jak skrzydła gigantycznego nietoperza. Kiedy rozsierzony Metellus podniósł wzrok, dostrzegł jedynie niewyraźny kształt lecący nad gęstymi konarami drzew.

— Co się stało, co takiego zobaczyliście? — dopytywał się z lekkim niepokojem Dan Qing, który właśnie nadjechał.

— Drogę przeciął nam cień jakiegoś olbrzymiego ptaka — odrzekł Metellus. — I to dwa razy. Najpierw widzieli go Sewer i Marcjanus, a potem ja sam.

— Skąd wiecie, że to był ptak? — zapytał Dan Qing.

— Właśnie, skąd? — powtórzył Daruma, który dołączył do nich zdyszany, popędzając swego wielbłąda.

— Na niebie są tylko chmury i ptaki — odparł Sewer. — A skoro jestem pewien, że to nie był cień chmury, pomyślałem sobie, że to cień ptaka. Wskazywał na to jego kształt. Ale może to potwierdzić nasz dowódca, on też go widział.

— Czy w tym kraju żyją istoty takiej wielkości? — zapytał Metellus zwracając się do Darumy.

— Jesteśmy w Imperium Smoków, wodzu — uśmiechnął się tamten. — Nie zapominaj o tym.

— Słyszeliśmy także coś w rodzaju cichego syku, niewiele głośniejszego niż westchnienie — dodał Marcjanus — ale to trwało tylko

chwilę. Kiedy spojrzałem w niebo, to coś zdążyło już zniknąć za wąwozem.

— Obawiam się, że nasz przyjazd nie pozostał nie zauważony — oznajmił Dan Qing. — Prawdopodobnie ktoś nas szpiegował... z nieba.

— Ktoś? — zdumiał się Metellus. — Co to znaczy „ktoś”? Bóg? Demon? Skrzydlaty smok?

— Człowiek — odparł Dan Qing. — I już wie, że tu jesteśmy.

Książę wydawał się teraz bardziej niespokojny; rozglądał się na wszystkie strony obserwując każdą gałąź, każdy listek. Nagle rozległ się ledwie słyszalny odgłos, na co jego miecz poszybował w górę, po czym na ziemię spadła z drzewa przecięta na pół szyszka sosnowa, podczas gdy sprawcy owego małego zamieszania — wiewiórka — oddaliła się skrzecząc i przeskakując z gałęzi na gałąź.

Wszyscy spoglądali na księcia w osłupieniu, gdy chował miecz do pochwy z niewiarygodną precyzją.

— Od tej chwili musimy zachować najwyższą ostrożność — oświadczył Dan Qing, po czym wsiadł z powrotem na konia i powoli ruszył.

Wówczas Antoninus, który jechał obok Rufusa, szepnął:

— Wiedziałem, że to nie człowiek. Musi być albo bogiem, albo demonem.

— Co miał na myśli książę mówiąc, że to człowiek... — zaczął Metellus zbliżając się do Darumy. — To znaczy ten cień, który przeleciał nam nad głowami? Chyba nie zamierza nam wpierać, że w tym kraju są latający ludzie.

— Nie wiem, co miał na myśli. Ostatnio krążą dziwne pogłoski. Mogę ci tylko powiedzieć, że wiedza tutejszych mieszkańców jest ogromna. Ich cywilizacja jest starsza o ponad dwa tysiące lat.

— Mam już dość tych tajemnic i tego, że zachowuje się tak, jakby był bogiem. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu. Jak daleko jeszcze?

— Nie potrafię dokładnie określić. Nie jedziemy zwykłą drogą. Trzymamy się tego wąwozu, żeby nas nikt nie zobaczył, ale chyba wiem, dokąd zmierzamy. Teraz postarajmy się nie przejmować bardziej

niż to konieczne i posuwać naprzód.

Podążali stromą, porośniętą lasami doliną wzdłuż strumienia przez kolejne cztery dni, podczas których nie wydarzyło się nic osobliwego. Napięcie opadło, nikt też nie zaprzętał sobie więcej głowy tajemniczym cieniem, który przeciął im drogę. Wieczorem piątego dnia, kiedy wszyscy najwyraźniej zapomnieli o tym wydarzeniu, postawił ich na nogi niespodziewany zduszony krzyk, podczas gdy jeden z przewodników upadł na ziemię przebity strzałą. Następna strzała zaś świśnieła tuż koło ucha Antoninusa, po czym utknęła w pniu drzewa.

— Uwaga! — zawołał Metellus. — Ochraniajcie księcia! Jeszcze nie skończył zdania, gdy w powietrze uniosła się chmara strzał powalając kolejnych ludzi z karawany i wbijając się w tarcze osłaniających się legionistów. W okamgnieniu z lasu wyskoczyła zgraja uzbrojonych odzianych na czarno wojowników, którzy rzucili się na Dana Qinga i jego obrońców z głośnym krzykiem i odkrytymi mieczami.

W chwili ataku Rzymianie znajdowali się jeszcze w szyku marszowym, toteż mogli się jedynie ustawić przodem do wroga. Istniało niebezpieczeństwo, że zostaną otoczeni i wybici jeden po drugim.

— Wycofać się do mnie, prędko! Rzucić wszystko i wycofać się! — krzyknął Metellus. — Przegrupować się!

Sam miał już jednak na karku napastnika, który zasypywał go cio-sami.

Wojownicy ci odznaczali się przerażającą zręcznością i błyskawiczną szybkością. Przeciwnik zaatakował go serią wypadów, które Metellus odparował za pomocą tarczy i miecza, jednocześnie usiłując się wycofać, aby znaleźć się obok Dana Qinga, którego obecność wyczuwał w pobliżu, za plecami. Stanął u jego boku w chwili, gdy natarli nań kolejni dwaj żołnierze. Zaatakowali go robiąc młynek mieczami, które lśniły oslepiająco, wyglądając raczej jak błyskawice niż ostrza. Dan Qing bronił się z taką samą zadziwiającą zręcznością. Metellus nie przestawał wrzeszczeć, aby przekrzyczeć odgłosy zaciętej walki i aby usłyszeli go towarzysze, którzy stopniowo ustępowali pola

osłaniając się tarczami i zadając cios za ciosem. Widział, jak oszczep Rufusa świsnął w powietrzu przebijając jednego z tamtych latających demonów, który zwałił się na skały z trzaskiem łamanych kości, Kwadratus przerwał rdzeń kręgowy następnemu uderzeniem tarczy, stojący zaś plecami do siebie Publiusz i Sewer próbowali się bronić przed przeważającymi siłami wroga.

— Rufus jest ranny! Rufus jest ranny! — usłyszał naraz widząc, jak Balbus i Sewer zwierają szyki w obronie leżącego kompana.

Nagle kątem oka dostrzegł, że jedno ramię Dana Qinga krwawi, zaraz po nim zaś bok, po czym ogarnęła go furia, jakiej nie doświadczył od dawna. Poczuł, jak w piersiach niczym ognista kula wzbiera mu cudowna energia, która domaga się ujścia. Zmiażdżwszy hełmem twarz stojącego naprzeciw wojownika, obrócił się na pięcie i wbił gladius w plecy temu, który szykował się właśnie, by powalić Dana Qinga.

— Wszyscy do mnie! — wrzasnął głośno, by zagłuszyć coraz bardziej przenikliwe i świrdrujące okrzyki wroga.

Wszyscy w jakiś cudowny sposób znaleźli się blisko niego, w miarę zaś jak się wycofywali, odległość między nimi malała, aż w końcu stanęli obok siebie ramię w ramię. Trzej nieprzyjaciele walczyli jeszcze z Metellusem i Danem Qingiem, zostali już wszakże odcięci od swych towarzyszy, od których dzielił ich zwarty szereg rzymskich żołnierzy. Sześciu z nich utworzyło mur, dwóch zaś — Kwadratus i Balbus — odwróciło się przychodząc z odsieczą swemu dowódcy. Chociaż trzej wrogowie padli jeden po drugim, ranny Dan Qing zaczął tracić siły.

— Zewrzeć szyki! — zawołał Metellus.

Mała armia natychmiast otoczyła ciasno słabnącego księcia, osłaniając go ścianą własnych tarcz. Przeciwnicy dobyli nagle innej broni, długich zaostrzonych harpunów, po czym jęli wykonywać widowiskowe skoki, chcąc uderzyć z wysoka, Rzymianie jednak zagrodzili im drogę przyciskając daszki hełmów do krzywizny ciężkich tarcz, po czym natychmiast odpowiedzieli atakiem gladiusów. Teraz mur stał się nie do przebiccia. Bitwa toczyła się nadal, tym razem wszakże

przewagę zyskali Rzymianie. Na każdy rozkaz Metellusa rozsuwała się ściana z tarcz wypuszczając na zewnątrz chmurę oszczepów, które uderzały z nieubłaganą precyzją. Gdy Metellus podniósł w pewnej chwili głowę, aby nabrać powietrza, ujrzał, jak kilku napastników rzuca się z drzew we wspaniałych skokach z zamiarem przedostania się przez mur obrońców i zaatakowania Dana Qinga.

— Testudo! — krzyknął.

Natychmiast sześciu jego żołnierzy cofnęło się o krok i unieśli tarcze nad głowy.

Napastnicy wylądowali na dachu nie do przebiccia, najeżonym mieczami i sztyletami, które wystawały spomiędzy krawędzi tarcz. Jedni, z poranionymi stopami i nogami, runęli na ziemię i zostali natychmiast dobici. Dwóch innych, którzy wpadli do środka, zakłuto oszczepami.

Rufus został wprawdzie odciągnięty przez swoich poza mur z tarcz przypominający skorupę żółwia, potrzebował wszakże natychmiastowej pomocy.

Daruma, który do tej pory chował się w ukryciu, wyszedł, a wraz z nim jego słudzy. Ich ciemne twarze poszarzały ze strachu, oni sami zaś poruszali się wśród poległych nieprzyjaciół z najwyższą ostrożnością.

— Hej, tutaj! — zawołał Daruma. — Leży tu jeszcze jeden żywy!

Podszedł do niego Dan Qing, który przyciskał do krwawiących ran kawałki tkaniny.

— Nie dajcie mu umrzeć — nakazał. — Zmusimy go do mówienia i wszystko nam wyśpiewa.

Daruma polecił swoim ludziom, aby zajęli się rannym, ledwie jednak się doń zbliżyli, tamten zacisnął szczęki, z kącika ust zaś wypłynęła mu strużka jakiejś ciemnej cieczy, a po kilku chwilach wstrząsany konwulsjami wyzionął ducha.

Rozchyliwszy mu wargi, Daruma wyjął rozbitą skorupę pięćprzecznego jajka.

— Trucizna — stwierdził. — Ten człowiek już nam nic nie powie.

19

— Trucizna? — powtórzył Metellus.

— Zgadza się — przytaknął Daruma. — Nie ma żadnych wątpliwości. — Po czym podszedł do kolejnego zabitego, tego, którego Rufus trafił w locie oszczepem, otworzył mu usta i wydobyl skorupkę następnego jajka w czarne cętki. — Trzymają je w ustach — ciągnął pokazując je wszystkim — są oblane woskiem, a w środku mają truciznę. Wystarczy lekki nacisk języka, żeby skorupka pękła, a wtedy trucizna natychmiast zaczyna działać. Jeśli ci ludzie skrywają jakąś tajemnicę, nie ma obawy, że ją zdradzą. Jak wiadomo, umarli nie mówią.

— Latające Lisy — odezwał się za ich plecami Dan Qing.

— Co to znaczy? — zapytał Metellus.

— Musimy stąd natychmiast zniknąć — odrzekł książę. — To nie jest odpowiednie miejsce do pogaduszek. Porozmawiamy później.

— Przecież jesteś ranny — sprzeciwił się Metellus. — Jeden z moich żołnierzy też stracił dużo krwi.

— Dobrze, opatrzcie go — zgodził się książę — ale pospieszcie się. Trzeba wysłać kogoś na zwiady. Niewykluczone, że jest ich więcej.

Marcjanus zajął się Rufusem: przycisnąwszy brzegi rany kleszczami, przemył ją winem palmowym, po czym zabrał się do zszywania za pomocą igły i nici.

— Wasza medycyna jest bardzo prymitywna — zauważył Dan Qing na widok grymasu bólu na twarzy Rufusa.

— Robimy co w naszej mocy — odparł Metellus z rozdrażnieniem. — Nie są to sprzyjające warunki i o ile mi wiadomo, w okolicy nie ma infirmerii.

Tymczasem Daruma dał znak jednemu ze swych sług, który skłoniwszy się wielokrotnie, podszedł do księcia i zabrał się do opatrywania jego ran. Miał liczne, lecz niezbyt głębokie nacięcia od wrogich mieczy. Metellus podniósł z ziemi jeden z nich i przyjrzał mu się uważnie: był o wiele dłuższy od gladiusa, obosieczny, z jelicem ozdobionym kością słoniową i kolorowymi kamieniami. Na klindze miał

wyryte osobliwe znaki, które wyglądały jak symbole magiczne. Metal odznaczał się wyborną jakością, czego dowodem były rysy, jakie pozostawił na gladiusach, i nacięcia na tarczach. Kiedy jednak Rzymianin spróbował się nim zamachnąć, doszedł do wniosku, że ciężar klini powodował znaczny skręt nadgarstka, co utwierdziło go w przekonaniu, że lepiej posługiwać się własną bronią, dla niego bowiem gladius stanowił jedynie przedłużenie ramienia.

Tymczasem słudzy Darumy otoczyli Dana Qinga tworząc coś w rodzaju zastony uniemożliwiającej podglądanie czynności, jakie wykonywał przy nim chiński medyk. Kiedy Rufus został posadzony na grzbiecie konia z ręką wiszącą u szyi, Dan Qing również był gotów do drogi, najwyraźniej bez żadnych ograniczeń. Wydawał się jedynie bardziej zmęczony i osłabiony.

Posuwali się miarowym krokiem, lecz w pełnym rynsztunku bojowym, niosąc nawet ciężkie kwadratowe tarcze.

— Dobra robota, faber — pochwalił Metellus zwracając się do Sewera.

— Dziękuję, wodzu.

— Testudo zdała egzamin. Tarcze wytrzymały. Nie spodziewali się takiej techniki.

— Nie przewidziałem, że tak szybko nas zaatakują. Nie zdążyłem wprowadzić w życie mojego pomysłu. Ale na najbliższym postoju zabierzemy się do pracy.

Poklepawszy go po ramieniu, Metellus wrócił na swoje miejsce u boku księcia.

W miarę jak posuwali się naprzód, odgłosy puszczy stawały się coraz liczniejsze i coraz bardziej zróżnicowane: słychać było ptaki, małpy, wszelkiego typu zwierzęta, a raz nawet widzieli węża o cętkowanej skórze, prześlizgującego się po konarach drzewa. Podczas postoju pierwszej nocy po napadzie Latających Lisów usłyszeli wręcz ochrypły ryk tygrysa.

Słudzy Darumy popatrzyli po sobie z przerażeniem.

— Czego się boją? — zapytał Kwadratus widząc, że drżą jak liście. — Tygrys to przecież tylko lew w paski, ja zaś widziałem mnóstwo zabitych lwów.

— Nigdy nie słyszałeś o ludojadach? — uśmiechnął się Daruma.
Kwadratus wyraźnie spuścił z tonu.

— Przypuszczam, że jeśli tygrys jest głodny, je to, co mu się trafi, a jeśli trafi mu się człowiek, mogą sobie wyobrazić, że...

— Nie rozumiałeś. Ludojady pożerają ludzi i koniec. Wystarczy, żeby raz spróbowały ludzkiego mięsa, a nie będą chciały jeść nic innego. Między innymi dlatego, że człowiek to najłatwiejsze zwierzę do upolowania.

— To zależy — odparł Kwadratus kręcąc mieczem młynka przed nosem Darumy.

— Moi przewodnicy widzieli mnóstwo tygrysów. Ludojady zaś rozpoznaje się po długim i głuchym ryku, który przed chwilą słyszeliście. Na twoim miejscu nakazałbym żołnierzom mieć się w nocy na baczności, tym bardziej że nie możemy zostawić zapalonych ognisk, aby nas nikt nie zobaczył; możliwe, że śledzą nas inne Latające Lisy. Niewykluczone, że...

Przerwał na widok Dana Qinga, który podszedł właśnie do Metellusa i zagał rozmowę. Spoglądał na nich z wyraźnym wzruszeniem, jakby był świadkiem wydarzenia niezwyklej wagi.

— Zawdzięczam ci życie — powiedział Dan Qing. — Tym razem nie zdołałbym uciec.

— Ty też mnie uratowałeś — odrzekł po chińsku Metellus.

— Jak to możliwe? — zdumiał się Dan Qing.

— Przecież ci mówiłem, że moi żołnierze to najlepsi wojownicy.

— Nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że mówisz moim językiem.

— Nauczył mnie Daruma, a potem wprawiałem się przy chińskich tragarzach, których wynajęliśmy po zejściu z gór.

— A więc to były te wasze niekończące się rozmowy. Nigdy bym nie przypuszczał, że barbarzyńca może się nauczyć naszego języka w tak krótkim czasie. — Jako że Metellus nie odpowiedział na zaczepkę, Dan Qing ciągnął: — Ty i twoi żołnierze... Muszę przyznać, że nie sądziłem, abyście byli w stanie odeprzeć atak Latających Lisów.

— Nie było ich wielu, poza tym nie znali naszego sposobu walki. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których ci się nie śniło. Zdaje się, że masz nader mylne wyobrażenie na temat tego, co cię otacza.

Dan Qing, który również zignorował zaczepkę, rzekł:

— Z początku powiedziałem Darumie, że was nie chcę, że będziecie tylko ciężarem...

— Niewykluczone, że masz rację.

— Myliłem się.

— Wróć?

— Obawiam się, że tak. Poruszają się i działają w małych niezależnych grupach. Ale nie zdołaliśmy się dowiedzieć, kiedy może nastąpić kolejny atak.

Metellus, który przeszedł z powrotem na perski, nie czując się jeszcze na siłach, by swobodnie rozmawiać w nowym języku, zapytał:

— W jaki sposób nas odkryli? Przecież przez cały czas posuwaliśmy się ciasnym wąwozem, na dodatek porośniętym gęstą roślinnością.

— Z nieba. Pamiętasz cień tamtego ptaka, który zauważyli twoi żołnierze? Nie mylili się: właśnie dlatego tych wojowników nazywają Latającymi Lisami. Latają na jedwabnych skrzydłach rozpiętych na bambusowych trzcinach, wykorzystując siłę wiatru, podobnie jak to robią żaglowce.

— Nie do wiary... — odparł osłupiały Metellus. — U nas człowiek latający na sztucznych skrzydłach to bardzo stara legenda, która się źle kończy: człowiek ten wpada do morza... — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś tak wywijał mieczem ani żeby ludzie tak lekko unosili się w powietrzu jak tamci wojownicy i zresztą jak ty sam... Jak to możliwe?

— Wy, barbarzyńcy z Zachodu, zostaliście nauczeni, aby ćwiczyć sprawność ciała, nas natomiast uczą, żeby ćwiczyć sprawność umysłu, umysł zaś podróżuje tam, gdzie chce.

— Piękne słowa, ale nadal nie mogę tego pojąć.

— Widziałeś, jak ciała unoszą się w powietrzu — odrzekł Dan Qing spoglądając prosto przed siebie. — Podczas gdy wykonywali swoje ruchy, góra błyskawicznie stała się dołem, a dół górą i tak dalej...

Właśnie w tym tkwi cała tajemnica, a to oznacza, że nic nie ma wartości absolutnej: to, co jest po prawej stronie, jednocześnie jest po lewej i na odwrót. Ten, kto potrafi głęboko wierzyć w tę prawdę, znajdzie się w górze z taką samą łatwością, z jaką dotyka stopami ziemi... Ale masz rację: to tylko słowa. Aby znaleźć drogę, potrzeba długiej, głębokiej medytacji.

Metellus zastanawiał się w milczeniu, usiłując zrozumieć, w jaki sposób sens owej doktryny może wywierać wpływ na ruch ciała, i czuł się zagubiony, rzucony w niepewny i zagmatwany wymiar.

— Tak czy inaczej — ciągnął Dan Qing — ja też chcę ci zadać pytanie: jaka siła popchnęła twoich żołnierzy i ciebie samego do walki z o wiele bardziej doświadczonym i szybkim wrogiem, znającym o wiele bardziej rozwiniętą sztukę walki, nie pozwalając wam ulec przerażeniu ani zniechęceniu, skoro nie znacie drogi, nie potraficie osiągnąć równowagi wewnętrznej między siłami naturalnymi, jedyną potęgą, która jest w stanie zwyciężyć?

— To się nazywa *virtus* — odrzekł Metellus patrząc mu prosto w oczy.

Dan Qing nawet nie próbował powtórzyć tego słowa.

— Co to takiego? Co to znaczy?

— Znaczy „męska siła”, ale tak naprawdę trudno to dokładnie wytłumaczyć. To siła, która popycha nas do tego, by jeśli to konieczne, oddać życie za rodzinę i ojczyznę nie licząc na nic, co najwyżej na to, że ludzie będą o nas pamiętać.

— Dzisiaj narażaliście życie dla mnie. Nie należę ani do twojej rodziny, ani do ojczyzny.

— Daliśmy ci słowo i to wystarczy. To także jest *virtus*.

— I to wystarczy, żeby podsycać owo męstwo?

— *Virtus* to przekonanie, obraz samego siebie, w który uczysz się ślepo wierzyć już od dziecka. Uczysz się tego od ojca, który z kolei nauczył się od swego ojca. Ten, kto tę siłę posiadał, wie, że żadna przeskoda nie jest nie do pokonania, żadna próba zbyt ciężka, żadne poświęcenie zbyt wielkie, nawet jeśli trzeba poświęcić życie. Tylko ten, kto posiada *virtus*, potrafi znieść trudy dyscypliny, czyli ducha, który

jednoczy naszych żołnierzy, który tworzy z nich mur nie do przebycia, skałę. Dyscyplina zaś sprawia, że siła całego oddziału jest obecna w każdym człowieku, nawet jeśli jest sam i otoczony, nawet jeśli ktokolwiek inny poddałby się temu co nieuniknione.

Podczas gdy Metellus mówił, Dan Qing nie spuścił zeń oka ani na chwilę.

— Potrzebuję ciebie i twoich żołnierzy — rzeki wreszcie — aby odzyskać moje cesarstwo zagarnięte przez uzurpatora.

— Obawiam się, że dziesięciu ludzi, choćby i najwaleczniejszych, to za mało, żeby odzyskać imperium — zauważył Metellus.

— A właśnie że damy radę. Wiem to, czuję. A ty musisz mi pomóc, nie mam bowiem nikogo, komu mógłbym zaufać. Muszę zaprowadzić na nowo prawo i porządek, muszę przywrócić pokój, muszę zjednoczyć kraj podzielony na trzy części. Zastanów się przez ten czas, który nam jeszcze został, zanim dotrzemy do zamku mojego mistrza, do Klasztoru Szemrzących Wód. Pomyśl o tym, proszę cię...

Te niemal błagalne słowa wywarły na Metellusie ogromne wrażenie, nigdy by się bowiem nie spodziewał, że usłyszy je kiedykolwiek z ust księcia.

— Jeśli zrobisz to, o co cię proszę, ciebie i twoich żołnierzy czeka nieograniczona nagroda. Jestem pewien, że jeśli ty zgodzisz się mi pomóc, oni zrobią to samo. Wystarczy jeden twój znak, a pójdą za tobą na koniec świata.

— Właśnie dlatego staram się nie nadużywać władzy — westchnął Metellus. — Ich życie i los spoczywają bowiem w moich rękach i niekiedy ta odpowiedzialność jest dla mnie nieznośnym ciężarem.

— Dlaczego? — zapytał Dan Qing. — To przecież tylko żołnierze, a ty jesteś ich panem. Liczy się twoja wola.

— Nie. Mylisz się, książę. Liczy się ich życie. Dla dowódcy życie jego żołnierzy to najcenniejszy skarb.

— Nie rozumiem cię, ale przyjmuję twój sposób myślenia. Tak czy inaczej kiedy tylko dotrzemy do zamku mojego mistrza, będziecie mogli zawrócić. Jeśli odejdziesz, i tak pozostanę ci wdzięczny i zachowam

wspomnienie o tobie do końca życia. Tam odzyskam władzę nad wiernym mi wojskiem i będziemy mogli się pożegnać. Jeśli jednak zdecydujesz się zostać, podaruję ci nowe przeznaczenie i to tak wielkie, o jakim ci się nawet nie śniło.

Skinąwszy głową w zamyśleniu, Metellus spojrział swymi bursztynowymi oczami w czarne jak węgle oczy księcia.

— Jak daleko jest do klasztoru twojego mistrza?

— Osiem dni drogi. Ale będą to dni pełne niebezpieczeństw.

— Doprowadzimy cię na miejsce. Potem zaś za twoją zgodą odejdziemy wraz z Darumą, jedynym człowiekiem, który zna drogę powrotną i może nas odstawić do kraju. Do domu.

— Skoro tak chcesz, odejdziecie z błogosławieństwem moim i moich przodków — westchnął Dan Qing. — Ale pozwól, żebym jeszcze przez osiem dni łudził się, że zmienisz zdanie... A teraz za to, że obroniliście mnie przed atakiem wroga i zgodziliście się mnie eskortować aż do miejsca przeznaczenia, pragnę mianować ciebie i twoich żołnierzy moją strażą przyboczną. Od tej chwili będziecie się nazywali Czerwonymi Diabłami, ty zaś, wodzu, otrzymasz nowe imię w moim języku. Uczyni cię ono częścią Państwa Środka, Zhong Guo, i członkiem mojej rodziny.

— Nie zasługuję na taki wielki zaszczyt, książę — odrzekł Metellus — ale przyjmuję go z wdzięcznością również w imieniu moich żołnierzy.

— Powiedz mi jeszcze, jak brzmi imię twojego rodu — poprosił Dan Qing.

— Aquila — odparł Metellus po łacinie. — Tak brzmi imię mojego rodu.

— A co oznacza?

— Oznacza największego i najszlachetniejszego ptaka drapieżnego. Dla nas to symbol i insygnia naszych oddziałów bojowych, a także zwierzę uważane przez króla wszystkich bogów za święte.

— W takim razie — zaczął uroczyście książę — twoje imię będzie brzmiało Xiong Ying, Dumny Orzeł.

— Będę je nosił z dumą, dopóki pozostanę na twojej ziemi, i zachowam w sercu, gdy powrócę do ojczyzny, do końca moich dni — odrzekł Metellus.

Na to Dan Qing skinął głową, Marek Metellus zaś uczynił to samo.

Ruszyli w dalszą drogę. Metellus i Dan Qing jechali obok siebie, Sewer i Marcjanus po lewej i prawej stronie w lesie, reszta zaś rzędem poprzedzając karawanę Darumy. Podążali nie napotykając trudności przez kolejne trzy dni. Co wieczór Marcjanus opatrywał Rufusa, mimo że Daruma zaofiarował pomoc chińskiego medyka, który z najwyższym taktem i ostrożnością zajmował się ranami księcia. Trzeciego dnia wieczorem dotarli do miejsca, gdzie dolina otwierała się nagle odsłaniając przed nimi bajeczny widok: okalające ją ściany lasu obniżyły się pochylając ku szerokiej równinie.

Strumień rozdzielił się na dziesiątki sztucznych kanałów wypełniających obszerne zagłębienia, które ciągnęły się wzdłuż pochyłości doliny ułożone jeden nad drugim, tworząc pochyłą ścianę lśniących zwierciadeł oblanych różową poświatą przez promienie zachodzącego słońca. W dole, niemal na dnie, znajdowała się wioska złożona z drewnianych chat pokrytych dachówką, wewnątrz zaś pały się stada bawołów i owiec. Pośrodku wznosiła się budowla bardziej okazała niż inne: coś w rodzaju ufortyfikowanego domu z wieżami na kilku kondygnacjach. Każdą kondygnację wieńczył dach z odchylonymi ku górze narożnikami, Metellus zaś zauważył, że rzędy dachówek kończą się antefiksem ozdobionym dokładnie tak, jak za czasów bogów w jego ojczyźnie.

Był to urzekający obrazek, który garstce przybyszów odebrał mowę. Wsparci na tarczach wpatrywali się w ów idylliczny krajobraz, w tęcze barwy basenów, w których odbijały się promienie zachodzącego słońca, w lasy strzelistych i tak giętkich trzcin, że sprawiały wrażenie zieleniejących łąk zbóż przygiętych przez wiatr. Po niebie przepływały pierzaste chmury zaróżowione od chylącego się ku zachodowi słońca, nad dachami chat zaś zaczął się unosić dym.

— Tutaj się urodziłem, Xiong Ying — zwrócił się do Metellusa książę. — Matka jechała właśnie na spotkanie z ojcem, który prowadził kampanię wojskową na południowej granicy, kiedy nagle poczuła bóle, musiała więc poprosić o gościnę mieszkańców wioski, żeby urodzić. Tamten dom przypominający wieżę zbudowali tutejsi wieśniacy w darze dla mnie i nikt nie może tam wchodzić, jeśli ja akurat go nie zamieszkuję. Ludzie są mi tutaj oddani i wierni, dlatego też sądzę, że możemy się czuć bezpiecznie.

Metellus miał ochotę zapytać, czy nie mógłby ich zwolnić i kazać się odstawić do fortecy mistrza Wangzi mieszkańcom wioski, doszedł jednak do wniosku, że stanowiłoby to niemal obrazę, książę poprosił bowiem, aby zastanowił się przynajmniej do ósmego dnia. W głębi duszy czuł także żal. Oto w miejscu tak odległym od domu znalazł się w sytuacji jakże podobnej do tego, co zostawił za sobą: do chaosu panującego wśród urzędów oraz zamętu i braku stabilizacji w państwie, o którym sądził, że trafiło w ręce władcy godnego szacunku. W pewnym stopniu i jakimś nieodgadnionym zrzędzeniem losu poczuł, że znów stoi przed takim samym zadaniem, jakie otrzymał w ojczyźnie: być strażą przyboczną cesarza, człowiekiem, któremu władca mógłby ślepo ufać.

Dan Qing przywołał tymczasem Darumę, wyrывая Metellusa z zadumy.

— Wyślij kogoś z wiadomością, że nadjeżdżam. Ludzie będą chcieli oddać mi honory.

— Zaraz to uczynię, książę — rzekł Daruma, po czym wysłał znającego chiński umyślnego na koniu, aby uprzedził mieszkańców wioski, że wkrótce najznamienitszy gość zaszczyca ich swą obecnością.

Kiedy Dan Qing dał znak do wymarszu, Metellus rozkazał swym żołnierzom, aby ruszyli w drogę.

Wprawdzie widok owej uroczej doliny olśnił przybyszów, sam ich wygląd budził wszakże głębokie zdumienie wśród tubylców, którzy ciągle jeszcze zajęci byli pracą. Ich pola były to tafle wody, w których uprawiali bagienne zboże przy pomocy bawołów o długich i płaskich rogach. Wieśniacy nosili na głowach dziwaczne kapelusze w kształcie stożków, uplecione z wikliny albo ze słomy. Na widok osobliwego

orszaku podnosili głowy, ich ciekawość zaś budziły przede wszystkim szaty żołnierzy, jakich nigdy dotąd nie widzieli: czerwone tuniki i lśniące zbroje, rzeźbione nagolenice oraz ozdobione grzebieniami hełmy. Skąd się wzięli ci potężni wojownicy o jakże mocnej budowie ciała i wysokim wzroście?

Rozpoznawszy jednak osobistość, która podążała wyprostowana na koniu obok jednego z owych dziwacznych wojowników w hełmach z grzebieniami na głowach — toż to sam książę Dan Qing! — jeden z wieśniaków jął bić czołem o ziemię na jego widok. Ów rodzaj szacunku, który był tak głęboki, że sprawiał wrażenie uwielbienia, nie uszedł uwagi Metellusa, który uświadomił sobie zarazem, jak ogromną łaskawością obdarzył go właśnie Dan Qing.

W miarę jak posuwali się naprzód, u bram wioski dało się zauważyć mrowiący się tłum, krzążących się mężczyzn i kobiety, rozkrzyczane dzieci, nadbiegające ze wszystkich stron i wyrrywające się matkom. Na wietrze jeły powiewać sztandary, w ostatnich promieniach słońca lśniła broń, dostojnicy, którzy jeszcze przed chwilą mieli na sobie skromne odzienie wieśniaków, teraz przywdziali szaty w jaskrawych kolorach. Wyglądało to tak, jakby nagle zstąpił z nieba jakiś bóg i odwiedził to miejsce, Metellusa zaś uderzyły radość i wzruszenie, jakie owi prości ludzie przeżywali na widok świętej osoby.

Dotarwszy do bram wioski, zsiadli z koni. Dan Qing oddał uzdę stajennemu, który nadbiegł czym prędzej, i ruszył dalej piechotą. Metellus i jego kompani uczynili to samo podążając za nim w pewnej odległości.

Dostojników zaskoczyła nieoczekiwana i nieprzewidziana wizyta, zebrali się wszakże na placu, przywdziawszy jaskrawe jedwabne tuniki ozdobione postaciami smoków bądź motywami kwiatów. Gdy Dan Qing przystanął przed nimi, wszyscy padli na twarz, Metellus zaś po raz kolejny poczuł się nieswojo nie mogąc się do nich przyłączyć.

Kiedy Dan Qing uczynił nieznaczny gest ręką, wszyscy wstali, po czym jęli kolejno podchodzić do księcia, aby osobiście złożyć mu hołd.

Nagle z lewej strony rozległ się tętent, następnie zaś pojawiła się grupa jeźdźców galopujących na koniach w tumanach czerwonego kurzu.

Metellus już miał dobyć miecza, Daruma wszakże pokręcił głową: to miejscowe oddziały wierne księciu, inaczej nie mogliby podjechać tak blisko, bo ktoś by uprzedził o ich przybyciu. Znalazłszy się w niewielkiej odległości, przystanęli, ten zaś, który wyglądał na ich dowódcę, zeskoczył na ziemię, po czym reszta zrobiła to samo.

W ogólnym zarysie ich zbroje nie różniły się zbyt od zbroi Metellusa i jego kompanów: nosili hełmy o wyjątkowym kształcie z klapkami na karku i policzkach, pancerze łuskowe z brązu połączone żelaznymi pierścieniami, skórzane tuniki do kolan, spodnie ze sztywnej tkaniny i buty ze skóry z zawiniętymi czubkami. Na szyi mieli związane chustki chroniące przed otarciem przez kirysy.

Znalazłszy się kilka kroków od księcia, dowódca oddziału padł na twarz, po czym żołnierze poszli w jego ślady. Kiedy zaś Dan Qing dał mu znak, że może wstać, natychmiast rzucił Metellusowi spojrzenie pełne wrogości i wypowiedział jakieś zdanie oschłym i bardzo twardym tonem.

Chociaż Rzymianin nie zdołał zrozumieć dokładnie sensu, domyślił się z grubsza, w czym rzecz.

— Co on powiedział? — zapytał Darumę.

— Dlaczego obce diabły nie padają na twarz przed twoim majestatem?

Dan Qing odpowiedział oficerowi, który przemówił, cedząc słowa, tak aby zrozumiał go również Metellus:

— Oni też to zrobią, skoro znaleźli się na tej ziemi.

Po czym spojrział Markowi w oczy z miną kogoś, kto oczekuje potwierdzenia albo gestu świadczącego o posłuszeństwie.

Metellus odwzajemnił jego spojrzenie z szacunkiem, lecz i stanowczością, po czym rzekł po persku:

— Rzymski żołnierz nie pada na twarz przed nikim, książe...

Kiedy wypowiadał te słowa, w oczach jednego i drugiego pojawił się ten sam błysk; obaj przypomnieli sobie tę chwilę, gdy patrzyli na siebie w Edessie, kiedy to Walerian został zmuszony do ugięcia kolan

przed Szapurem. Ów nieoczekiwany obraz sprawił, że rysy twarzy Metellusa ściągnęły się boleśnie, po czym Rzymianin dodał cedząc słowa:

— Nawet przed bogami.
Dan Qing milczał.

20

Dostojnicy z wioski odprowadzili księcia do jego rezydencji, gdzie zamierzali wydać ucztę na jego cześć, Dan Qing odwiódł ich jednak od tego pomysłu.

— Czcigodni przyjaciele — rzekł, ledwie znaleźli się w środku — nie chcę żebyście robili sobie kłopot z mojego powodu i żebyście porzucali pracę przy żniwach, które jak widzę, trwają w najlepsze. Pragnę jednak z wami porozmawiać, usłyszeć, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności, i naradzić się wspólnie z wami nad tym, co robić dalej.

Tymczasem doszli do sali audiencyjnej. Dan Qing usiadł pośrodku głównej ściany na jedwabnej poduszce, pozostali zaś zajęli kolejno miejsca po obu jego stronach w zależności od pozycji, jaką zajmowali w hierarchii, i od stopnia zażyłości, jaka łączyła ich z księciem. Dowódca, który przyjechał na czele oddziału, stał przy drzwiach dopóty, dopóki władca nie dał mu znaku, aby podszedł bliżej.

— Chodź tutaj, Baj Renjie.

Postąpiwszy kilka kroków naprzód, dowódca ponownie padł na twarz, po czym wstał i podszedł do księcia zatrzymując się w odległości pięciu kroków od swego pana.

— Jak zapewne wiecie — zaczął Dan Qing — moja dłuższa nieobecność spowodowana była zdradą. Nie znam tylko imienia winowajcy. Trzy lata temu wyruszyłem do Persji na czele poselstwa, którego celem było ustanowienie stosunków z królem Szapurem, lecz gdy nadeszła pora powrotu, zostałem zatrzymany przy użyciu całej listy wymówek, które nie miały żadnego uzasadnienia poza tym, że jak się domyślałem, coś się zmieniło w Luoyangu i że władza przeszła

w inne ręce. Wielokrotnie domagałem się wyjaśnień od króla Szapura, ale to było jak rzucanie grochem o ścianę. Zawsze udzielał mi bardzo grzecznych, lecz wymijających odpowiedzi, zawsze okazywało się, że moja obecność podczas oficjalnych uroczystości, a nawet wypraw wojennych jest niezbędna, traktowano mnie niezmiennie jak najznamienitszego gościa, lecz nie mogłem odejść.

Do sali wkroczyła właśnie grupa sług niosąc napoje i owoce na małych stolikach z różanego drewna, które postawili u stóp księcia i dostojników.

Pociągnawszy łyk naparu z liści, który miał zwyczaj pijać również na łodzi Darumy, Dan Qing mówił dalej:

— Dopiero na początku roku otrzymałem wiadomość, że powstał plan mojego uwolnienia. Musiałem skorzystać z ograniczonej możliwości ruchu i udać się na spotkanie karawany, która miała mnie zawieźć aż tutaj. Nie było to łatwe; wielokrotnie narażałem życie, ale w końcu udało mi się wrócić i ciągle nie mogę uwierzyć, że wreszcie, po tak długim czasie, jestem wśród was. Wszystko to zawdzięczam memu wiernemu indyjskiemu przyjacielowi Darumie oraz żołnierzom, których widzieliście u mojego boku. Zaledwie trzy dni temu przeżyliśmy gwałtowny atak Latających Lisów i gdyby nie oni, zginąłbym i nie siedział teraz z wami snując plany na przyszłość. Oni także zaznali niewoli, o wiele cięższej i bardziej okrutnej niż moja, przetrwali zaś dzięki sile ducha, której być może i my powinniśmy się od nich nauczyć...

Baj Renjie powstrzymał z trudem wyraz pogardy, Dan Qing ciągnął wszakże niewzruszony:

— Przybyli z potężnego imperium Taqin Guo, które znalazło się w nie lepszej kondycji niż nasze, i mogę was zapewnić, że dorównują legendzie, jaka krążyła za czasów cesarza Yuandiego.

— Czyżbyś miał na myśli legendę o Trzystu Najemnych Diabłach? — zapytał jeden z dostojników.

— Owszem — przytaknął Dan Qing.

— Z całym szacunkiem — wtrącił Baj Renjie — ale to tylko legenda, od tamtego czasu zaś minęło ponad trzysta lat.

Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, panie, nie wydaje mi się słuszne, abyś upokarzał twe wierne sługi wołąc obcych, których ledwie znasz, a którzy nie są niczym innym jak najemnikami.

— Skoro uczynił to wielki cesarz Yuandi, nie widzę powodu, dla którego nie mógłbym i ja. Nie zamierzam nikogo upokarzać, jedynie uhonorować tych ludzi, którzy narażali własne życie i otrzymali rany, żeby mnie ocalić. Ty też powinieneś być im wdzięczny. Ale może zaślepia cię zawiść, Baj Renjie.

Dowódca, który z trudem pohamował oburzenie, milczał.

— Jakie są twoje zamiary, panie? — zapytał inny dostojnik.

— Pragnę udać się do tajemniczego schronienia mojego mistrza Wangzi i narodzić się z nim. Teraz jednak chcę od was usłyszeć, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Kto wydał rozkaz, żeby trzymać mnie w Persji jak więźnia? Dotarły do mnie pewne pogłoski, ale to mi nie wystarczy. Może wiadome wam są jakieś szczegóły, które koniecznie powinienem poznać?

Starszyzna i dostojnicy popatrzyli po sobie tak, jakby żaden z nich nie miał odwagi przemówić pierwszy.

— Co się dzieje? Co was powstrzymuje od mówienia? — rozgniewał się Dan Qing.

Wreszcie zabrał głos starzec o szacownym wyglądzie, z długą białą brodą. Miał na sobie jedwabną tunikę w stonowanym odcieniu żółci, ozdobioną znakami zodiaku. Był strażnikiem domu, które to zadanie przekazała mu osobiście cesarzowa zaraz po porodzie. Znał zarówno wiele tajemnic przyrody, jak i ludzkiego serca.

— Wkrótce po twoim wyjeździe — zaczął — stan zdrowia twego ojca, już i tak nie najlepszy, znacznie się pogorszył. Żył w zamknięciu, otoczony medykami i służbą i prawie nic nie było o nim wiadomo. Rządy znajdowały się w rękach mądrego Liu Banga, ale on także pojawiał się publicznie coraz rzadziej i zaczęły krążyć pogłoski, że ktoś inny przejął władzę, ktoś, kto cieszył się jego zaufaniem, kogo on ochraniał i kto powinien zasługiwać na jego szacunek. Nic więcej nie potrafisz ci powiedzieć. Jak wiesz, nasza wioska leży z dala od świata,

toteż wieści docierają późno i nierzadko przeinaczone. Jedno wydaje mi się pewne, mianowicie to, że twój ojciec jest już wraz ze swymi przodkami w niebiosach.

Na te słowa Dan Qing pochylił głowę i dopiero po długim milczeniu przemówił:

— A zatem nie potrafisz powiedzieć, kto zatrzymał mnie w Persji.

— Cokolwiek bym rzekł, mogłoby się okazać nieprawdą, toteż mając wątpliwości lepiej milczeć. Jedno jest pewne: bez względu na to, kto to zrobił, jest moim wrogiem.

— Jak już mówiłem, trzy dni temu zostałem napadnięty przez oddział Latających Lisów, które prawdopodobnie zadałyby mi śmierć, gdyby nie towarzyszący mi wojownicy. Wydarzenie to oznacza niestety dwie rzeczy: po pierwsze uzurpator zawarł układ z Latającymi Lisami albo wręcz stoi na ich czele, po drugie wie o moim powrocie.

— A zatem któryś z twoich ludzi cię zdradził — stwierdził Baj Renjie.

— To nic pewnego — zaprzeczył starzec. — Niewykluczone, że podczas długiej podróży księcia zauważył jakiś szpieg. Perski król mógł też powiadomić dwór w Luoyangu o jego ucieczce, w wyniku czego na granicy wzmożono czujność.

— Twoja zawiść jest śmieszna, Baj Renjie — powiedział książę — a próba wzbudzenia podejrzeń w stosunku do tego, kto zwrócił mi wolność i umożliwił powrót, chybiona i niesprawiedliwa. Będę potrzebował wsparcia ze strony wszystkich tych, którzy zechcą mi pomóc, w szczególności zaś z twojej, ponieważ zawsze byłeś mi wierny. Ale domagam się szacunku dla ludzi o okrągłych oczach, nawet jeśli są barbarzyńcami i bardzo się od nas różnią. Zrozumiałeś, Baj Renjie?

Dowódca skłonił się głęboko.

— Nie zamierzam tu pozostać dłużej, niż to absolutnie konieczne, nie chcę bowiem narażać na niebezpieczeństwo wioski, która jest mi bardzo droga.

— Dla ciebie jesteśmy gotowi na wszystko, panie — zapewnił jeden z dostojników.

— Wiem, ale to jedynie wzmaga moją odpowiedzialność — odrzekł ksiączę.

Wszyscy obecni spojrzeli po sobie zdumieni, niemal nie wierząc własnym uszom.

— A teraz zostawcie mnie samego, muszę się zastanowić.

Wszyscy opuścili salę. Zanim się pożegnał, Baj Renjie podszedł bliżej.

— Masz dla mnie jakieś rozkazy, panie?

— Na razie nie.

— Czy powinienem mieć na oku barbarzyńców?

— Nie sądzę, aby to było konieczne.

— A gdyby zechcieli się oddalić?

— Nie zrobią tego. Nie wiedzieliby, dokąd pójść, jedyną zaś ich myślą jest powrót do domu. Nie masz się więc czego obawiać. Już wydałem dyspozycje, aby zapewniono im jadło i spanie. A teraz odejdz.

Baj Renjie wycofał się w ukłonach, ani razu nie odwracając się plecami do księcia, aż dotarł do progu.

Odczekawszy, aż usłyszy odgłos zamykanych drzwi zewnętrznych, Dan Qing zbliżył się do schodów i jął się po nich wspinać.

Z każdym stopniem odnosił wrażenie, że cofa się w czasie, do lat młodości, potem do okresu dorastania, a na koniec dzieciństwa. Przypomniawszy sobie czas, który spędził w tym miejscu wśród prostych ludzi, wieśniaków i pasterzy, z woli ojca, który zostawił go tu na długo. Przypomniawszy sobie również chwilę, kiedy po raz pierwszy ujrzał swą siostrę Yun Shan, niebiańską istotę o twarzy w kolorze kości słoniowej i nieskazitelnie czystym czole. Przez wiele lat była towarzyszką jego zabaw, powierniczką, cennym nefrytowym obrazkiem. Potem zaś nastąpiło coś strasznego, tragiczne wydarzenie, które głęboko ją zraniło tworząc między nimi mur żalu. Od swego wyjazdu nie miał o niej żadnych wieści, teraz zaś zastanawiał się, gdzie jest i jakie żywi doń uczucia.

Dotarłszy na najwyższe piętro, omiótł spojrzeniem dolinę, nad którą położył się mrok zmierzchu, zbocza gór i falistą linię pagórków, aż do miejsca, w którym znajdował się olbrzymi dąb i skalisty wierzchołek. Odczekał pogrążony w zadumie, dopóki nie ujrzał nikłego blasku

ogniska u stóp skały i smużki unoszącej się ku ciemniejącemu niebu. Wówczas wrócił na dół, wsiadł na konia i podążył ku miejscu, w którym widział ogień.

Przemierzywszy wioskę wśród pełnych szacunku mieszkańców, ruszył ścieżką wiodącą ku wzgórzu. Jechał powoli kierując się bladym światłem ogniska, które połyskiwało między lśniącymi łodygami bambusa i chropowatymi pniami dębów. Zatrzymał się na widok wychudzonej postaci szamana, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku, nad którym wisiał miedziany garnek.

— Dowiedziałem się o twoim przyjeździe — oznajmił starzec niemal nie odrywając oczu od płomieni.

— Ktoś musiał szybko dać ci znać. Przyjechałem dopiero niedawno.

— Wiem o wszystkim, co dzieje się w tej wiosce. Długo cię nie było.

— Teraz zaś, kiedy wróciłem, wszystko się zmieniło. Władza mojego ojca wpadła w ręce uzurpatora. Wiesz, kto to jest?

— Nie. Ale ty chyba wiesz.

— Dopiero co postawiłem stopę na ojczystej ziemi. Nie mam o niczym pojęcia.

— A jednak w głębi duszy coś przeczuwasz. Czyż nie mam racji?

Dan Qing nie odpowiedział. Wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w płomienie i chwilami wydawało mu się, że zmieniają się one w potworny pożar, który pochłania całą ziemię.

— Czyż nie mam racji? — powtórzył szaman.

— Co przez to rozumiesz? Że niebiosa odebrały mojej rodzinie władzę, podobnie jak odebrały ją Hanom trzydzieści lat temu? Że to co się stało, czyli *geming*, miało miejsce z woli niebios?

— Ty to powiedziałaś, nie ja. A zatem to twoje przecucie. A to zły znak. Zresztą w twoich żyłach płynie również krew Hanów, mimo że ich dynastia wyginęła.

— Co mam robić?

— Zajrzeć w głąb siebie. Przekonać się, czy istnieje jakaś przyczyna tego wszystkiego, czy jakieś działanie nie zakłóciło harmonii,

nie przerwało strumienia energii życiowej niosąc ze sobą bałagan i zamęt, przemoc i wojnę.

— Marzyłem, by zapewnić mojemu ludowi ład i dobrobyt. Marzyłem, żeby zjednoczyć kraj.

— Dlaczego więc masz wątpliwości? Dlaczego przyznał cię do mnie jakiś dziwny pośpiech?

— Rzuć losy, szamanie, powiedz mi, kto jest uzurpatorem. Co się kryje pod jego maską?

Szaman wsypał do ognia garść liści i wciągnął w nozdrza gęsty żółtawy dym, który uniósł się z płomieni, po czym wyjąwszy z sakwy święte kości, trzykrotnie rzucił je na ziemię obok ogniska.

— Co widzisz? — ponaglił go Dan Qing.

— Widzę wiele poświęconych istnień i nienawiść, którą może ugasić tylko śmierć. Nie potrafię jednak dostrzec, gdzie uderzy... Ponieważ to ty ukrywasz wróżbę. To ty nie masz odwagi patrzeć i dlatego nie ty zadasz decydujący cios, nie ty powalisz wroga. Ktoś inny będzie musiał to zrobić za ciebie. Ktoś, kto nie uczynił żadnego zła w Państwie Środka. Co do ciebie zaś, jeśli odważysz się zajrzeć w głębi własnej duszy, zobaczysz twarz uzurpatora. Zegnaj, książę.

Zamknawszy oczy, pogrążył się w nieprzeniknionym odrętwieniu.

Dan Qing również pozostał nieruchomy i milczący przez jakiś czas, usiłując zrozumieć wiadomość od szamana, w głębi serca czuł jednak, że nie jest jeszcze gotów, aby odkryć prawdę, i że tylko mistrz, czcigodny Wangzi, może mu pomóc jej poszukać.

Z zadumy wyrwało go rżenie konia. Chwyciwszy go za uzdę, wrócił do wioski. Dom w kształcie wieży oświetlały teraz pomalowane odświętnie na jego cześć lampiony, stanowiły one wszakże jedyny uroczysty akcent. Najwyraźniej złe wieści przyćmiewały te dobre.

Wieczereę zjadł sam, jak przystało człowiekowi jego stanu, po wszystkich tych miesiącach spędzonych wśród towarzyszy podróży, po tylu wspólnych wędrówkach doskwierała mu jednak samotność. Uświadomił sobie bowiem, że mimo ciągłych starań, aby zachować dystans, polubił ich sposób życia. A nawet język. Skończywszy jeść,

otworzył drzwi do biblioteki i czytał aż do późna w noc pewien stary tekst, który ocalał z pożaru księgozbioru w Luoyangu. Była to opowieść o Najemnych Diabłach, cudzoziemskich żołnierzach, którzy pojawili się z nienacka u zachodnich granic kraju trzysta czternaście lat wcześniej. Nikt nie wiedział, skąd się wzięli.

Panujący wówczas cesarz Yuandi rozkazał ich wygnać i odzyskać fortecę, za każdym jednak razem ci nieposkromieni wojownicy, którzy wychodzili na otwarte pole i walczyli osłaniając głowy tarczami, odpychali jego wojska. W końcu cesarz, pełen podziwu dla owych wojowników, którzy przyszli znikąd, zaproponował im, aby zostali na jego służbie jako straż przyboczna. Od tej pory zyskali sławę z powodu swego męstwa i wierności. Sporo ich poległo w boju podczas wojen, których nie brakowało, aż zostało ich zaledwie trzystu i właśnie ta liczba przeszła do legendy. Powiadano, że gdyby dynastia została zagrożona, powstawaliby z grobów, aby wziąć udział w ostatniej bitwie.

Położył się na łóżku, w którym spał jako młodzieniec, w którym śnił o pierwszych kobietach, snuł pierwsze fantazje o miłości, po czym wezwał w myślach duchy przodków, aby wskazały mu właściwą drogę i pomogły w przedsięwzięciu, które ze wszech miar wydawało się beznadziejne.

— Jak się dzisiaj miewasz, Rufusie? — zapytał Metellus rannego kompana.

— Czuję się o wiele lepiej, wodzu — odpowiedział za niego Marcjanus. Rufus pogrążony był bowiem w głębokim śnie. — Wczoraj wieczorem przyszedł jeden z ich medyków. Oświadczył, że przysłała go ksiączę, aby zaopiekował się naszym towarzyszem. Z początku chciałem dać ci znać, ale potem pomyślałem sobie, że byłoby niegrzecznie odrzucić ich pomoc, więc pozwoliłem mu obejrzeć Rufusa.

— Doskonale się spisałeś. O ile się orientuję, ich medycyna jest na wyższym poziomie niż nasza.

— Masz całkowitą słusność, wodzu. Ich medyk tylko wszedł i połał czymś ranę. Następnie opatrzył ją i zszył na nowo jedwabną nicią z taką zręcznością, jakiej nigdy w życiu nie widziałem. Co chwila

pytałem Rufusa, czy go boli, a on odpowiadał: „Nie, prawie wcale. Czuje, jak igła wbija mi się w ciało i jak nić ściąga brzegi rany, ale nie odczuwam prawie żadnego bólu.” Gdybym tylko miał taką miksturę, kiedy musiałem składać do kupy poszarpane kończyny naszych żołnierzy po bitwie. Wrzaski bólu, męki... Nie sposób do tego przywyknąć, wodzu.

Skinąwszy głową, Metellus przyłożył dłoń do czoła rannego-

— Ma gorączkę, ale niezbyt wysoką.

— Śpi od dziesięciu godzin. Na pewno za sprawą lekarstwa, które podał mu ich medyk. Rufus powiedział mi przed zaśnieciem, że był to jakiś ciemny i bardzo gorzki płyn podobny do piołunu. Na gorączkę zaś najlepszym lekiem jest sen. Zobaczysz, że obudzi się głodny jak lew i gotów do wymarszu.

— Mam taką nadzieję. — Metellus skierował się do wyjścia.

— Wodzu, mogę ci zadać jedno pytanie?

— Oczywiście.

— Kiedy zmienimy kierunek wymarszu? To znaczy kiedy wracamy do domu?

— Nie potrafię ci tego powiedzieć. Musimy zaufać Darumie, a także księciu. Ale zdaje się, że jesteśmy już blisko celu. Zaledwie o kilka dni drogi.

— A co potem?

— Daruma musi załatwić swoje sprawy, sprzedać towar i kupić nowy, a to mu zajmie trochę czasu... Poza tym zanim opuścimy księcia Dana Qinga, będziemy się musieli upewnić, że jest bezpieczny.

— Rozumiem. Ale potem wrócimy, prawda?

— Pewnie. Dlaczego pytasz, masz wątpliwości?

— Właśnie, razem z kompanami dokonaliśmy paru obliczeń. Najbardziej boimy się tego, że gdy dotrzemy do morza, wiatr znów zmieni kierunek i trzeba będzie poczekać kolejnych sześć miesięcy i...

Metellus podniósł dłoń, na co Marcjanus zamilkł.

— Wasz los leży mi na sercu bardziej niż własny, żołnierzu. To musi ci wystarczyć.

— Tak, wodzu — odrzekł Marcjanus, Metellus zaś wyszedł.

Znad porośniętych lasem wzgórz, które otaczały wioskę od wschodu, wyjrzało słońce, jego jasne promienie zaś odbijały się w niezmiernie-
rzonej ilości oczek wodnych, rozsianych wszędzie wokół. Ze spokoj-
nych tafli wody podrywały się do lotu wielkie czaple siwe, a stada
bielusięnkich czapli nadobnych opuszczały korony drzew, w których
spędziły noc, odlatując przez dolinę niczym radosny korowód wyru-
szający na powitanie świtu.

Chłopi opuszczali swe chaty i szli wzdłuż stawów, gdzie każdy z
nich pracował przy sianiu bagiennego zboża, które stanowiło ich naj-
częstsze pożywienie. Za nimi zaś podążały psy oraz dzieci, które plu-
skały się w wodzie.

Nagle wpadł na Publiusza, Septymiusza i Antoninusa, którzy wy-
glądali na bardzo poruszonych.

— Wodzu, wodzu!

— Co się stało?

— Ten kraj jest niesamowity. Wiesz, że tutaj ryby wcale nie są
srebrne, tylko złote?

— Jesteście pewni? Nie wypiliście sobie przypadkiem z samego
rana?

— Nie, chodź, sam zobacz!

Zaprowadzili go do niewielkiej fontanny, która wpadała do ob-
szernego kamiennego basenu. W środku pływały ryby o niezwyklej
urodzie, o barwie złotawej czerwieni, długich ogonach przezroczy-
stych niczym welony — zadziwiające stworzenia. Metellus przyglądał
im się przez chwilę oczarowany, po czym zapytał:

— Gdzie jest Daruma?

— Z Kwadratusem i resztą, tam, obok drzew.

— Muszę z nim pomówić — oznajmił i ruszył wraz z towarzy-
szami ku grupce otaczającej kępę przepięknych roślin, na których
wisały okrągłe owoce, również w kolorze złota.

— Są jadalne? — zapytał Antoninus.

— Pewnie — przytaknął Daruma. — Spróbuj. Już dojrzały.

Antoninus zerwał owoc i zanurzył w nim zęby, natychmiast jednak wypluł klnąc w żywy kamień.

— Ach! Jakie gorzkie i szczypiące, otrułeś mnie!

Pokręciwszy głową z milczącym uśmiechem, Daruma zerwał następny owoc, obrał ze skóry i pokazał jego wnętrze: coś w rodzaju ogromnej jagody podzielonej na cząstki, które jął oddzielać od siebie i rozdawać żołnierzom.

Metellus również skosztował jednej.

— To rajski owoc, najlepszy, jaki kiedykolwiek jadłem — stwierdził. — Ale co to takiego?

— To pomarańcza. Jest także symbolem równości, ponieważ natura podzieliła ją na idealnie równe części, tak że każda z nich ma dokładnie to, co mają pozostałe.

— A te? — Septymiesz wskazał owoce podobne, lecz o owalnym kształcie i w lśniącym żółtym kolorze. — Są jadalne?

— Oczywiście — odparł Daruma. — Spróbuj.

— Nie dam się nabrać — powiedział Septymiesz, wzięwszy się do obierania owocu ze skóry.

— Widzę, że szybko się uczysz — pochwalił z zadowoleniem Daruma.

Septymiesz włożył do ust dwie spore cząstki, lecz jego twarz natychmiast wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

— Ach! To okropne! — wrzasnął plując.

— Po prostu inne — odrzekł Daruma. — Trzeba przywyknąć. — Wzięwszy z rąk Septymiusza owoc, oderwał jedną cząstkę i zjadł ze smakiem. — To cytryna — wyjaśnił po chwili. — Jest trochę kwaśniejsza i nieco bardziej gorzka, ale podobnie jak wiele innych gorzkich rzeczy posiada mnóstwo zalet.

Kiedy Metellus, który rozglądał się po okolicy, zajrzał do kuźni, zastał przy pracy Sewera.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— W porządku, wodzu. Właśnie robię tarcze... Dokonuję pewnej przeróbki, która znacznie je usprawni.

— Przeróbki? A na czym ona polega?

— Dowiesz się w swoim czasie, wodzu. Najpierw muszę się upewnić, że to działa i...

Sewer nie skończył mówić, gdy wtem nadjechał galopem młodzieniec z wioski i oznajmił, że księżę Dan Qing chce się widzieć z Metellusem.

21

— Wzywałeś mnie? — zapytał Metellus wchodząc do skryptorium biblioteki w towarzystwie sługi.

Dan Qing siedział tyłem do niego, na macie, z tabliczką na kolanach i pisał coś na arkuszu czegoś podobnego do papirusu, lecz z wyglądu o wiele cieńszego i bardziej giętkiego.

— Dlaczego wczoraj nie złożyłeś mi hołdu tak jak wszyscy moi poddani? Jestem prawowitym następcą tronu imperium i wszyscy mieszkańcy tej ziemi winni mi oddawać cześć zgodnie z tysiącletnim rytuałem. Twoja odmowa upokorzyła mnie przed poddanymi i dowódcą Bajem Renjie.

— Znajduję się na tej ziemi — odparł Metellus — ale do niej nie należę. Ja i moi żołnierze nie jesteśmy twoimi poddanymi.

— Chcesz mi wmówić, że w twoim kraju nie oddaje się czci cesarzowi?

— Raz w roku, w dniu jego urodzin, palimy kadzidło przed opiekującym się nim bóstwem, ale podczas rozmowy stoimy przed nim i zwracamy się do niego po imieniu. Podczas wypraw wojennych dzieli z nami jadło i kwaśne wino, a także śpi na ziemi jak najędźniejszy z żołnierzy. Co wcale nie przeszkadza, byśmy byli gotowi za niego umrzeć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jedyny stosunek, jaki może nas łączyć, księżę, to stosunek równości, mężczyzny z mężczyzną.

Dan Qing podniósł się i stanął twarzą do niego.

— U nas stosunek osoby do cesarza traktuje się jako cnotę zwaną yi, co oznacza „sprawiedliwy”, natomiast jedyny stosunek równości występuje między przyjaciółmi. Nazywa się xin, co oznacza „wierność”.

Mogę cię traktować jak przyjaciela, Xiong Ying, ale czy ty jesteś gotów być wierny?

— Sądzę, że tak — odrzekł Metellus — jeśli ty też jesteś gotów.

Skinąwszy nieznacznie głową, Dan Qing usiadł z powrotem i zabrał się do pisania. Metellus podszedł bliżej zaciekawiony tym, co nabierało kształtu na białym arkuszu.

— To jakieś magiczne znaki? — zapytał. — Przypominają te wyryte na kościach, których szaman używał do przepowiedni w karawanseraju.

— To nie są magiczne znaki — zaprzeczył książę — lecz nasze pismo.

— Skomplikowane. Ani jeden znak nie jest podobny do drugiego... Nasz system jest sprawniejszy: za pomocą dwudziestu trzech bardzo prostych symboli można napisać wszystkie słowa.

— W jakim języku?

— W naszym, po łacinie.

— A więc każdy, kto chce zrozumieć, co piszecie, musi się jej nauczyć.

— Oczywiście.

— W tym kraju używa się ponad stu różnych języków. Każdy z tych znaków odpowiada określonemu pojęciu, takiemu jak „człowiek”, „dom”, „drzewo”, i jest rozpoznawalny dla wszystkich, każdy jednak nazywa go właściwym słowem we własnym ojczystym dialekcie. Nikt nie musi się naginać, aby uczyć się nazw w obcym języku. Te znaki szanują wolność umysłu, jeszcze ważniejszą niż wolność ciała, na której tak bardzo ci zależy. Dlaczego ugięcie karku przed władcą wydaje ci się takie straszne?

— Słyszałeś kiedyś o pewnym królu z Zachodu, młodym i wielkim zdobywcą o imieniu Aleksander?

— Tak, słyszałem o nim w Persji, gdzie mówią nań Iskandar i gdzie uważają go za demona. W przeszłości do nas też dotarły o nim wieści.

— Kiedy po odziedziczeniu korony Persów dotarł do granic Indii, zapragnął przyjąć również ich zwyczaje, zażądał więc, aby jego towarzysze uginali kark witając się z nim. Gdy odmówili, powstał spór nie

do rozwiązania, a nawet pozawierały się spiski, żeby go zabić. To obrazuje, jak bardzo godność istoty ludzkiej, choćby najniższej, jest dla nas ważna.

— Macie niewolników? — zapytał Dan Qing. Metellus zamilkł na chwilę zaskoczony, po czym rzekł:

— Tak, mamy.

— U nas cesarz Wang Mang zniósł niewolnictwo dekretem ponad dwieście lat temu — oznajmił Dan Qing nie dodając ani słowa więcej.

Metellus też nie wiedział, co powiedzieć, zatem poprzestał na przyglądaniu się księciu, podczas gdy tamten zabrał się znów do pisania.

— Skąd bierzecie taki biały papierus? — zapytał po chwili.

— Nie wiem, co to takiego ten twój „papierus” — odrzekł Dan Qing. — To jest papier.

— Papier? — powtórzył pełen podziwu Metellus.

— Papier — przytaknął książę. — Robimy go z namoczonych szmat. Wybielamy je ługiem, niekiedy też nasączamy zapachem jaśminu, róży lub fiołka. — I wyjąwszy z szuflady arkusz, podsunął mu go pod nos.

Metellus poczuł jego delikatny zapach, po czym chwycił w dłoń i wystawił pod światło podziwiając cudowną przezroczystość i jednolitą konsystencję.

— Perfumowane arkusze — powiedział. — Dlaczego?

— Do pisania listów miłosnych. Ukochana rozpoznaje, że to wiadomość od ciebie, po zapachu, jeszcze nim zdąży przeczytać list. Czyż to nie piękne?

Metellus skinął potakująco głową. Oczy zaszyły mu mgłą ze wzruszenia.

— Myślisz o niej, Xiong Ying, prawda?

— Tak.

— Była twoją ulubioną nałożnicą?

Przez chwilę w nieprzeniknionych oczach księcia odbijało się spojrzenie Metellusa, a wraz z nim pełna tajemniczości udreka wywołana przez te słowa.

— Moją żoną, książę — odparł. — My, Rzymianie, mamy tylko jedną małżonkę, często na całe życie.

— Moim zdaniem to zakrawa na barbarzyństwo — stwierdził Dan Qing — ale skoro tak wam się podoba... Bardzo ci jej brak?

— Strasznie.

— Chciałbyś, żeby przeczytała twoje słowa?

Metellus spuścił głowę i zamilkł na jakiś czas. W końcu jednak rzekł:

— Oddałbym wszystko, żeby tak się stało... Ale obawiam się, że to niemożliwe; nie ma takiej wiadomości, która zdołałaby dotrzeć do królestwa umarłych.

— Nikt ci nie został? — zapytał Dan Qing.

— Syn, siedmioletni chłopiec. Nawet nie mogłem się z nim pożegnać. I nie wiem, co się z nim dzieje.

Dan Qing spuścił głowę. Zgodnie z mechanizmami władzy, do których zdążył przywyknąć, chłopiec powinien już nie żyć.

Metellus westchnął i również zamilkł, podczas gdy Dan Qing zabrał się z powrotem do pisania, kreśląc maleńkim pędzelkiem wytworne znaki.

— Co to znaczy „Latające Lisy”? — zapytał nagle.

— To zwierzęta żyjące w ogromnych puszczech na południu. Przypominają lisy, ale mają między przednimi i tylnymi łapami błonę, która rozciąga się, gdy przeskakują z gałęzi na gałąź, dzięki czemu szybują w powietrzu jak ptaki.

— Ale mówią o nich miałeś na myśli ludzi, nie zwierzęta. Ludzi, którzy napadli na nas w dolinie.

— Odzianych na czarno — ciągnął Dan Qing kładąc pędzelek na podpórcę z lakierowanego drewna — bezlitosnych, szybkich jak błyskawica, niezrównanych wojowników, ślepo oddanych swemu przywódcy i misji. Każdy, kto ma ich po swojej stronie, może być pewien zwycięstwa.

Metellus podszedł do kamiennej ściany, na której wisiąca skorupa żółwia tak wielkiego, jakiego nigdy dotąd nie widział. Przesunął dłoń po jej gładkiej jak wypolerowany heban powierzchni.

— A jednak nam udało się ich pokonać.

— Bo nie spodziewali się takiego sposobu obrony... Szyku, któremu nigdy wcześniej nie musieli stawić czoła.

Metellus jeszcze raz pogładził wielki pancerz.

— My na to mówimy *testudo*, czyli żółw. Żółw pokonał Latające Lisy... nawet jeśli nasza taktyka przypomina bardziej jeżozwierza... To dziwne, jak często człowiek porównuje własne zachowania do zachowań zwierząt...

— Nie ludź się, Xiong Ying, kiedy zrozumieją, znajdą jakiś sposób...

— Możliwe. Ale widzisz, mamy takie bardzo stare powiedzenie ukute przez naszego wielkiego poetę: „Lis zna wiele sztuczek. Jeżozwierz tylko jedną, za to dobrą.”

Dan Qing odwrócił ku niemu twarz, a wtedy jego oczy rozjaśniły się na chwilę.

— To dobre powiedzenie — stwierdził.

— Ale kim oni są naprawdę? Skąd pochodzą?

Dan Qing wstał rozprostowując nogi z płynną wytwornością węża albo ryby, która porusza się w wodzie. Podszedł do wykutego w ścianie sekretarzyka, otworzył go i wyjął zeń wiązkę trzciniowych listewek związanych sznureczkami, kiedy zaś rozwinął je na posadzce, ich oczom ukazał się tekst napisany chińskim pismem.

— Wiele wieków temu — zaczął książkę przebiegając wzrokiem owe stare linijki — żył w Państwie Środka pewien mistrz o imieniu Mo. Był to ponury okres w dziejach, naznaczony nieustannymi walkami między najpotężniejszymi rodzinami, toteż mistrz wysnuł teorię, wedle której rodzina i więzy rodzinne stanowiły źródło wszelkiego zła, wszelkiego partykularyzmu i egoizmu. Wymyślił społeczeństwo, w którym każdy człowiek czuje się członkiem jednej wspólnoty, bez podziału na rodziny: każdy ojciec jest w niej ojcem wszystkich, każdy syn synem wszystkich, każde miasto miastem wszystkich, każdy zaś obywatel obywatelem każdego miasta bez wyjątku...

— My też mieliśmy mistrza, który stworzył podobną teorię. W języku naszych największych filozofów zwie się ona *cosmopolitismos* — nie mógł się powstrzymać Metellus, natychmiast jednak dodał: — Mów dalej, proszę.

— Mistrz Mo uważał wojnę za najgorsze zło, za działanie człowieka najbardziej znenawidzone w niebiosach, wojowników zaś

przyrównał do krwiożerczych mastyfów pochodzących z otchłani... Postanowił zatem przeciwstawić im się wszystkimi sposobami... Łącznie z wojną! Metellus pokręcił głową zdumiony.

— My też znamy pojęcie absurdu tego typu: nazywamy je *paradoxon*.

— Mo był przekonany, że żadne działanie człowieka nie jest złe samo w sobie. Dopiero cel je takim czyni. Ze swoich wyznawców uczynił tajną sektę, która podzieliła się na wiele samodzielnych ugrupowań rządzących się żelaznymi zasadami. Sekta ta uprawiała wszelkiego rodzaju techniki walki, z których jedne były całkowicie obronne, inne zaś odznaczały się niszczycielską siłą rażenia, techniki oparte na panowaniu nad umysłem i jego nieograniczoną energią... Gdy jakąś rodzinę spotkała krzywda, gdy jakaś wspólnota, nieważne: wioska czy wręcz całe miasto, zaznała niesprawiedliwej przemocy, wówczas ludzie ci zaczęli działać. Poruszali się w ciemnościach niczym duchy, atakowali z szybkością błyskawicy, po czym rozpływali się w mroku. Czasami wyłaniali się znikąd, jakby odpowiadali na wezwanie, które tylko oni byli w stanie usłyszeć, ich oddziały zaś formowały się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, jakby je ktoś wyczarował. Uderzali z niesamowitą siłą, zawsze zostawiając swe piętno, aby sens kary oraz to, dla kogo była przeznaczona, stały się oczywiste. Jeśli ktoś z nich został ranny w walce, nigdy nie pozwolił się pojmać żywcem, aby nie zdradzić tajemnic sekty...

— Zupełnie jak ci, którzy na nas napadli... Ale skoro mają słuszny cel, dlaczego...

— Nie ma większej pokusy niż władza. Wszystko, co stworzył człowiek, narażone jest na niebezpieczne wypaczenia, powinieneś o tym wiedzieć — ciągnął Dan Qing. — Czy tak wspaniałe narzędzie mogło się oprzeć pokusie władzy?

Metellus pomyślał o legionach, nadzwyczajnej sile wojskowej Rzymu, którą stworzono do jego obrony, potem jednak przekształcono w narzędzie krwawych podbojów, ludobójstwa, okrutnych wojen domowych.

Tymczasem Dan Qing snuł dalej swą opowieść.

— Po śmierci mistrza Mo sekta przetrwała w ukryciu, przez długi czas wydawało się wręcz, że zniknęła, nikt więc nawet nie podejrzewał, że w ogóle istnieje. W rzeczywistości w owych długich okresach milczenia jej adepci doskonalili swoje techniki, czynili nieustanne postępy, opracowywali coraz bardziej wymyślne sposoby porozumiewania się. Sekta o takiej skuteczności działania wiąże się ze ściśle tajną hierarchią, całkowitą nietykalnością i ślepym posłuszeństwem. Tajność była tak ogromna, że niekiedy ludzie dochodzili do wniosku, że przekonanie o istnieniu sekty to jedynie wytwór wyobraźni, legenda, jakich wiele krąży po tym bezkresnym kraju. Wcale niewykluczono, że podobne pogłoski rozpuszczali sami jej członkowie. W ciężkich chwilach wszakże jej adepci pojawiali się nagle zadając cios, nierzadko w miejscach, które dzieliła znaczna odległość, i w najróżniejszych sytuacjach. O ile wiadomo, od pewnego momentu, jakieś pięćdziesiąt lat temu, nastąpił jej poważny upadek, przywódcy sekty bowiem zaczęli wykorzystywać jej olbrzymią potęgę i tajniki sztuki walki do sadzania na tronie albo strącania zeń kolejnych pretendentów. Była to prawdopodobnie jedna z przyczyn, które doprowadziły najpierw do schyłku, potem zaś do całkowitego końca chwalebnej dynastii Han, rządzącej krajem przez ostatnie cztery wieki... I do podziału imperium na trzy oddzielne, rywalizujące ze sobą królestwa: Wei, Shu i Wu.

Metellus poczuł kolejny silny zawrót głowy. Cztery wieki! Jedna dynastia rządziła tym krajem przez okres dłuższy niż wszystkie dynastie cesarskie Rzymu razem wzięte.

— Wojownicy ci — ciągnął Dan Qing — którzy zapomnieli o przyczynach swojego powstania i istnienia, stali się znani jako Latające Lisy. Inni z kolei, znajdujący się w mniejszości, oddzielili się od współbraci, którzy zeszli na złą drogę. Schronili się w tajnym miejscu, którego położenia nikt nie potrafił określić, i założyli wspólnotę żyjącą według zasad braterstwa, dzieląc się jadłem, bogactwami ziemi, zapasami wody, uprawiając rolę i hodując owce, a także medytując, w czym nie mają sobie równych.

— Ale teraz — wtrącił Metellus — Latające Lisy są przeciwko tobie i chcą twojej śmierci. Dlaczego?

Dan Qing zwinął wiązkę trzciniowych listewek i schował do sekretarzyka, po czym zamknął go na klucz.

— Odpowiedź może być bardzo prosta — stwierdził. — Z powodu żądy władzy...

— Albo? — nie ustępował Rzymianin.

Dan Qing przygwoździł go swym magnetycznym wzrokiem, od którego nie było ucieczki.

— Opowiadam ci właśnie, zresztą sam nie wiedząc dlaczego, o rzeczach, których nie wyjawilibym nikomu, i to mnie niepokoi.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że uczucia mogą budzić w tobie niepokój. My nie potrafimy ukrywać uczuć; można je łatwo odczytać z naszych twarzy, które zmieniają kolor. Ale ty ani się nie czerwienisz, ani nie bledniesz; twoja twarz przypomina woskową maskę.

— Wasza rasa dopiero się rozwija; materia, z której się składacie, znajduje się jeszcze w fazie chaosu. Nasza zaś dawno już osiągnęła stan doskonałości... Co nie zmienia faktu, że podlegamy woli niebios. Niebiosa zaś mogą zdecydować, czy odebrać władzę dynastii bądź cesarzowi, którzy okryli się hańbą, posunęli się do tyranii albo splamili nieuleczalnym zepsuciem. W tym wypadku następuje *geming*, odwołanie, po nim zaś bunt, którego nic nie jest w stanie powstrzymać. To z kolei rodzi niepokój, przed którym nie może uciec nawet Huangdi, nawet cesarz... Ale ty dochowasz mi wierności, prawda, Xiong Ying?

— Nie potrafiłem pomóc własnemu cesarzowi, musiałem patrzeć, jak umiera niczym nędznik. Jeśli dam radę, pomogę ci, ale muszę wiedzieć, za kogo walczę. Opowiedz mi o swoim niepokoju, książę.

— Mój ojciec był dobrym człowiekiem, mądrym władcą, któremu leżało na sercu los narodu. Ja zaś marzę tylko o tym, by z powrotem zjednoczyć Państwo Środka, dlaczego więc niebiosa miałyby odebrać władzę mojej rodzinie? Latające Lisy słuchają jakiejś ciemnej siły, jestem tego pewien.

— A czy sam nie uczyniłeś czegoś, czego mógłbyś się wstydzić? Nic, od czego twoja twarz płonęłaby pod tą woskową maską?

— Za daleko się posuwasz; nikomu nie wolno zadawać mi takich pytań! — krzyknął Dan Qing. — Każdy inny już dawno by zapłacił za podobną zuchwałość!

— Żadnej niesprawiedliwości? — ciągnął niewzruszenie Metellus zbliżając się do Dana Qinga.

— Co cię skłania do zadawania mi tego rodzaju pytań? Dlaczego gnębisz mnie z taką bezczelnością?

— Ponieważ czuję, że brak ci pewności siebie. Jest coś, czego nie potrafię zrozumieć. Bronisz się, jakbyś miał coś do ukrycia.

Wbiwszy w niego wzrok, Dan Qing powiedział powoli, cedząc słowa:

— Nie uczyniłem nic, czego nie miałbym prawa zrobić.

Po czym odwrócił się doń plecami i pogrzyżył w pełnym pogardy milczeniu.

Metellus już miał wyjść, zatrzymał się wszakże w progu.

— Mamy pewne przysłowie — oznajmił. — Summum jus, summa injuria.

Dan Qing nie odezwał się ani słowem.

— Co znaczy: „Najwyższe prawo to najwyższa niesprawiedliwość” — dokończył Metellus.

Po czym się oddalił.

22

Baj Renjie zjawił się uzbrojony po zęby, kiedy słońce już wstało, i poprosił o przyjęcie przed oblicze Dana Qinga.

— Panie — powiedział — dalsza zwłoka jest niebezpieczna. Latające Lisy wiedzą, że tu jesteś, i w każdej chwili mogą nadejść ich oddziały.

— Jestem gotowy — odrzekł książę. — Zbierz ludzi.

— Czekają tylko na twój znak, żeby wyruszyć, książę.

Kiedy Dan Qing wyciągnął ramiona, dwaj słudzy przemocowali mu zbroję i zawiesili u pasa wspaniały miecz.

— Teraz nie potrzebujesz już barbarzyńców, którzy cię odprowadzili aż tutaj — oznajmił Baj Renjie. — Możesz ich odprawić razem z kupcem.

— Czerwone Diabły będą nam towarzyszyć aż do końca, aż do zamku mojego mistrza Wangzi — odparł Dan Qing.

Baj Renjie nie odważył się wprawdzie na odpowiedź, wyraz jego twarzy nie pozostawiał wszakże wątpliwości co do targających nim uczuć.

Na zewnątrz oficer zastał Metellusa i jego żołnierzy, którzy także uzbrojeni posilali się właśnie, siedząc na ławie przed basenem z rybami. Nie zaszczyciwszy ich nawet spojrzeniem, wrócił do swego oddziału. Składał się on z pięćdziesięciu mężczyzn, z czego połowę stanowili jeźdźcy. Mieli na sobie pancerze z brązowych płytek połączonych żelaznymi pierścieniami, skórzane tuniki i długie buty, na szyjach zaś chustki. Nie nosili hełmów, włosy zaś poupinali na karkach w osobliwe węzły, które przytrzymywały im długie szpilki z kości słoniowej i zwisające na plecy wstążki. Uczesania te przykrywały im okrągłe kapelusze z ciemnego filcu. Jeźdźcy mieli przewieszzone przez ramię łuki i kołczany, piechota zaś uzbrojona była w miecze i sztylety. Metellus zauważył, że nawet oni nie używali hełmów ani tarcz. Zdażył się już skądinąd przekonać, że ich ochronę stanowiła doskonała zręczność w posługiwaniu się bronią szermierczą. Nic więc dziwnego, że Dan Qing zdumiał się na widok oszczepów, tarcz i broni krótkiej w rękach Rzymian.

Kiedy Dan Qing wszedł na plac i podniósł rękę, Baj Renjie dotknął piętami boków wierzchowca i ruszył naprzód. Za nim podążyło dwudziestu pięciu jeźdźców, za którymi z kolei posuwał się książę. Z tyłu za władcą jechał na koniu Metellus, jego żołnierze zaś szli pieszo. Za nimi maszerowała chińska piechota. Pochód zamykał Daruma wraz z swą karawaną, towarzyszył im wszakże krótko.

Pierwszego popołudnia konwój zrobił sobie postój. W prawo prowadziła dość szeroka i wygodna droga, szlak wiodący w lewą stronę był natomiast wąski i stromy i można było dostrzec, jak po kilku miłach pnie się po skalistym zboczu.

Popędziwszy wielbłąda, Daruma podjechał do Dana Qinga.

— Książę — powiedział dając mu znak, żeby się zatrzymał.

Dan Qing tymczasem pociągnął konia za wodze.

— Książę, sądzę, że tu nasze drogi się rozchodzą. O ile zrozumiałem, zamierzasz ruszyć w lewo, ścieżką, którą ja żadną miarą nie mogę podążyć.

— Już kiedyś tędy jeździłeś — zauważył Dan Qing.

— Ale nie z tak dużą karawaną i nie podczas takiego niebezpieczeństwa. W razie ataku byłibyśmy dla was jedynie ciężarem. Pozdrow ode mnie mistrza Wangzi.

— Jestem pewien, że chętnie by cię zobaczył i podziękował, że doprowadziłeś do końca swoją misję.

— Po powrocie prześlę mu wiadomość i wyznaczę spotkanie. Powiedz mu, że bardzo pragnę z nim pomówić, i przekaż, proszę, wyrazy najgłębszego szacunku.

Słyszac to Metellus wystąpił naprzód.

— Powiedziałeś, że się rozdzielamy? Dobrze zrozumiałem?

— Zrozumiałeś doskonale, wodzu — przytaknął Daruma. — Twój chiński jest z dnia na dzień lepszy. Ale nie obawiaj się, wracając zatrzymam się tutaj i razem wyruszymy na zachód.

— Nie ma sensu się rozdzielać — odrzekł Metellus w koine. — Książę ma swoją gwardię i już nas nie potrzebuje.

Dan Qing odwrócił się na te słowa, wyczuł bowiem, że zostały wypowiedziane w języku, którego nie powinien rozumieć. Metellusa, który odgadł jego myśli, ogarnęło zakłopotanie, wywołane również sposobem, w jaki się rozstali po ostatniej rozmowie.

— Nie ulegaj bojaźni... — przykazał Daruma w tym samym języku.

— Nie ulegam bojaźni.

— A właśnie że tak. Myślisz, że w tym bezkresnym kraju stracimy się nawzajem z oczu, że już się nigdy nie odnajdziemy albo że ja pójdę inną drogą, nie dotrzymam słowa i nie odstawię was z powrotem. Otóż mylisz się. Posłuchaj mnie uważnie, to oczywiste, że nie jestem w stanie wdrapać się na tę wąską górską ścieżkę razem z całą

karawaną. Co do was, ledwie dotrzecie do klasztoru, ksiązę podejmie odpowiednią decyzję. Prawie na pewno mistrz Wangzi porozumie się z siłami, które mogą mu udzielić wsparcia w jego przedsięwzięciu. Jeśli wyruszy dalej, sami postanowicie, czy będziecie mu towarzyszyć aż do Luoyangu, gdzie ja zatrzymam się co najmniej przez miesiąc. Jeśli natomiast zostanieecie w klasztorze, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, zaczekasz aż do mojego powrotu.

— A jeśli coś się wydarzy?

— To się może zdarzyć i tak, nawet gdybyśmy się nie rozdzielali. Ale bądź pewien, że ksiązę nie jest niewdzięcznikiem. Tak czy inaczej przydzieliliby ci przewodników, którzy odstawiłby cię z powrotem. Możesz mi zaufać, wodzu, a przekonasz się, że na słowie indyjskiego kupca można polegać równie dobrze jak na słowie rzymskiego żołnierza. Spotkamy się na tych rozstajach za miesiąc albo zobaczymy się w Luoyangu. Ksiązę zawsze wie, dokąd przesłać mi wiadomość. Nie pożałujesz, żeś za nim poszedł, nawet w ostatniej części tej podróży. On się czuje zagrożony i ma do ciebie ogromne zaufanie. Nie zawieź go, a nie będziesz żałował.

Co powiedziawszy, zbliżył się do Dana Qinga i skłonił z głębokim szacunkiem.

— Życzę ci miłej podróży, ksiązę, i wszelkiego szczęścia na przyszłość.

— Wiele ci zawdzięczam, Darumo — odrzekł Dan Qing.

— Będziesz miał okazję się odwdziaczyć — zapewnił go kupiec.

— Specjalne pozwolenie na handel jedwabiem mogłoby się okazać dowodem wdzięczności, który bardzo bym sobie cenił na przykład, ale nadejdzie czas, żeby o tym pomówić, kiedy wszystkie niebezpieczeństwa i czekające nas przygody będziemy mieli za sobą.

Skłoniwszy się głęboko, spiął wielbłąda i skręcił w prawo, za nim zaś podążyli jego niewolnicy i pomocnicy.

— Możesz jechać z nim, jeśli chcesz — oświadczył Dan Qing zwracając się do Metellusa. — Jesteś wolny.

Metellus nic nie powiedział. Czuł na sobie spojrzenia żołnierzy, zagubionych w samym sercu tego bezkresnego kraju, zdawał sobie

wszakże sprawę, że musi dotrzymać danego słowa. Nie chciał opuszczać księcia przed dotarciem do celu, był bowiem pewien, że służy słusznej sprawie, nie chciał jednak również uzależniać swoich ludzi od decyzji innych.

— Odprowadzę cię na miejsce — rzekł — ale jeżeli mam to zrobić, żądam dowództwa całej straży, włącznie z siłami chińskimi.

Dan Qing spojrział nań po raz pierwszy zdumiony i zapytał:

— Dlaczego? Lepiej, żeby każdy dowódca odpowiadał za swoich żołnierzy.

— I tak będzie. Ale każdy z nas otrzyma inne zadania, które ja przydzielę.

— Co przez to rozumiesz?

— Możemy porozmawiać w cztery oczy?

Dan Qing skinął potakująco głową, po czym zsiadł z konia i obaj oddalili się kawałek od pozostałych.

— Skoro to prawda, że Latające Lisy ustaliły nasze pozycje, jest raczej niemożliwe, żeby nie wiedziały, gdzie teraz jesteście. Na pewno nie spuszczały z nas oka przez cały ten czas i prawdopodobnie czają się gdzieś w pobliżu. Skoro nas nie zaatakowały, widocznie nie mają dość silnego wojska.

— Nie można tego wykluczyć — przyznał Dan Qing.

— Zrobią to jednak, gdy tylko znajdą się w dostatecznej liczbie, żeby nas pokonać albo schwytać. Oto mój plan. Wszyscy razem ruszymy przez las, a kiedy się z niego wydostaniemy, jeden z twoich ludzi, przebrany w twoje szaty i w twoją zbroję, pojedzie na twoim koniu. Ty zaś włożysz odzienie jednego ze sług, którzy niosą zapasy. Twój sobowtór uda się wraz z Bajem Renjie i siłami chińskimi drogą do Luoyangu, czyli uczyni coś, co nawet Latające Lisy uznałyby za najbardziej logiczne i naturalne: będzie podróżować pod eskortą własnych rodaków, którym ufa i których rozumie. Tymczasem ty udasz się z nami. Wszyscy będziemy przebrani za chłopów i pójdziemy ścieżką prowadzącą za sobą konie jako juczne zwierzęta. Wyruszymy w dalszą drogę dopiero po zapadnięciu zmroku, podzieleni na trzy grupki, jedna w pewnej odległości od drugiej. Za dnia będziemy czekać nieruchomo w lesie. Tymczasem jeśli się okaże, że się nie pomyliłem,

Latające Lisy podążą za Bajem Renjie i za tym, który cię zastąpi.

— Baj Renjie będzie szczęśliwy mogąc się dla mnie poświęcić.

— Jeśli wolisz, ja mogę zająć jego miejsce. Wtedy dołączę wraz z moimi żołnierzami i twoim sobowtórem do Darumy, ty zaś udasz się tą ścieżką przebrany za sługę, wraz z twoim chińskim dowódcą. Mnie to nie robi większej różnicy, jestem wszakże pewien, że to jedyny sposób, abyś dotarł cały i zdrowy na miejsce. A teraz czekam na odpowiedź.

Dan Qing oddalił się nieco, aby pomedytować przez jakiś czas, po czym wróciwszy do Metellusa, rzekł:

— Zrobimy tak, jak powiedziałeś. I to ty będziesz mnie eskortował.

Następnie wezwał swego chińskiego dowódcę i przedstawił mu cały plan. Baj Renjie spojrział nań z niedowierzaniem i już miał zaprotestować, lecz książę nie dał mu dojść do głosu.

— To moja nieodwołalna decyzja, Baj Renjie. Jeśli jesteś mi wierny, okaż posłuszeństwo. Albo idź precz.

Oficer skłonił się z szacunkiem, tłumiąc gniew. Następnie rozkazał kilku swoim żołnierzom, by skryli się w lesie i przebrali.

— Posłuchaj, Baj Renjie — pożegnał swego oficera Dan Qing — wiem, że ta decyzja przepełnia cię goryczą, moim zdaniem jednak tylko w ten sposób zdołam się uratować i przygotować mój powrót do Luoyangu. Niech niebiosa ci sprzyjają. Jeśli wszystko się powiedzie, spotkamy się w Luoyangu w tawernie Pod Białą Morwą.

Skłoniwszy się, Baj Renjie wsiadł na konia i wyruszył na czele oddziału. U jego boku jechał sługa zastępujący Dana Qinga.

— Poruszają się po raczej odśnieżonym terenie — zauważył Metellus. — Ten, kto chciałby ich szpiegować, musiałby się trzymać w pewnej odległości, aby go nie zobaczyli. Dzięki temu twojego sobowtóra nie odróżnią od ciebie, książę.

Rzymianie i Dan Qing również schronili się wśród gęstej roślinności i jęli przygotowywać do podróży. Zdjąwszy zbroje, mężczyźni

załadowali je na konie, po czym wdziali szaty tubylców i położyli się pod rozłożystym dębem, aby odpocząć przed czekającym ich marszem.

Dni niewoli stanowiły już tylko odległe wspomnienie, każdy z nich był w pełni sił i tryskał humorem. Przyzwyczajeni do długich wypraw wojennych, czuli się w swoim żywiole, dotychczasowa podróż zaś nie przyniosła żadnych szczególnych niebezpieczeństw. Rana Rufusa zdążyła się już zabiłnić i prawie w ogóle nie ropiała, co dowodziło, że medycyna chińska znajdowała się na o wiele wyższym poziomie niż rzymska. Kiedy książę zdjął odzienie przy pomocy dwóch sług, Metellus spostrzegł, że nadal nosi opatrunki na ramionach i torsie, lecz na bandażach nie ma plam, co oznaczało, że on także wkrótce wyzdrowieje.

Zjedli przed zmrokiem wieczerzę składającą się z gotowanego bagiennego zboża z orzeszkami piniowymi i kawałkami mięsa z gołębia, którą przyrządzono jeszcze w wiosce, w książęcej kuchni. Każdy z nich zachował łyżki wystrugane przez Uksala, toteż zajadali z apetytem, przerywając co jakiś czas, aby zerknąć spod oka na Dana Qinga, który podnosił do ust maleńkie ilości stawy za pomocą swoich pałeczek. Metellus usiłował kilkakrotnie się nimi posłużyć, jednakże bez powodzenia, zdecydował się więc na drewnianą żołnierską łyżkę.

Godzinę po zapadnięciu zmierzchu Kwadratus wyszedł ostrożnie na ścieżkę i rozejrzał się po okolicy, aby się upewnić, czy nikogo nie ma. Kiedy wrócił, Metellus dał rozkaz wymarszu, po czym wszyscy ruszyli na piechotę, trzymając konie za uzdy, jakby to były zwykłe zwierzęta juczne.

Pewne odcinki drogi z ubitej ziemi stanowiła skała, wygładzona stopami ludzi, którzy stąpali po niej przez tysiąc lat. Lekki wietrzyk ledwie poruszał gałęziami drzew, które ciągnęły się coraz gęściej po obu stronach drogi. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, toteż musieli się posuwać bardzo powoli, dopóki oczy nie przywykły do ciemności. Aby dodać sobie odwagi w owej atmosferze, która z każdym krokiem posepniała, wśród krajobrazu, gdzie każde drzewo, każdy występ skalny przybierały groźne i niepokojące kształty, mężczyźni rozmawiali ze sobą półgłosem.

— Dowódca Metellus — powiedział Balbus — kazał zastosować tę samą strategię, którą obraliśmy podczas ucieczki z Aus Daiwa: podróżować nocą i zadowalać się pokonywaniem krótkich odcinków, za to bezpiecznie.

— Latające Lisy powinny widzieć w nocy jak koty — odrzekł Kwadratus — żeby nas zobaczyć w tych ciemnościach.

— Moim zdaniem idą już za Chińczykami, którzy eskortują fałszywego księcia.

— To możliwe, ale na pewno dowódca zbyt nie łudzi. Zdaje sobie sprawę, że ta sztuczka zadziała tylko na krótko, akurat tyle, byśmy zyskali trochę czasu.

— Jeszcze pięć dni — wtrącił Balbus — i wyruszymy w drogę powrotną. Wyobrażacie sobie? Ja liczę każdą chwilę, która dzieli mnie od domu. Byłeś kiedyś w Hiszpanii? W Saragossie?

— Lepiej, żebyś za dużo nie rozmyślał — ostudził go Kwadratus. — Zanim dotrzemy do domu, wszystko się może zdarzyć. Wiesz, jak daleko jesteśmy? Wiesz, ile nas jeszcze czeka przygód? Na dodatek kiedy zegnaliśmy się z Darumą, widziałem, że dowódca bardzo się martwi, że on już nie wróci i że znajdziemy się w samym środku tego niezmiernego kraju nie mając pojęcia, dokąd pójsć.

— Nic takiego się nie stanie; w razie czego książę odda nas pod opiekę komuś, kto nas odstawi z powrotem. W końcu to nam zawdzięcza, że dotarł aż tutaj.

— Miejmy nadzieję. Nigdy w życiu tak się nie bałem ani nie widziałem, żeby dowódca Metellus tak się martwił.

Nagle ze szczytów gór odezwało się przeciągłe wołanie, rodzaj skargi witającej wschód księżyca, który wyłonił się zza szczytów. Był to pewnie wilk albo szakal, a może jakieś inne nieznanne zwierzę zamieszkujące tę pełną niespodzianek ziemię.

Podczas wędrówki towarzyszyły im jedynie odgłosy lasu i szum drzew poruszających się przy każdym podmuchu wiatru. Przez jakiś czas w oddali, nad górami, widać było błyskawice, rozświetlające od wewnątrz ogromne czarne cumulonimbusy na tle wygwieżdżonego nieba, gigantyczne chmury zapowiadające burzę. Niekiedy głuchy

grzmot piorunów odbijał się echem od doliny niczym fala.

Książę Dan Qing i dowódca Metellus posuwali się na czele karawany przez całą noc w milczeniu, każdemu zaś ich krokowi towarzyszyło dyszenie wywołane wspinaczką.

Świt zastał ich na niewielkiej polanie usianej pręgowanymi liliami i cudownymi błękitnymi kwiatkami przypominającymi goryczkę. Wówczas Metellus rozkazał wszystkim ukryć się w lesie i położyć się w cieniu gęstej roślinności, aby odpoczęli.

Maszerowali w ten sposób przez cztery dni, odpoczywając wraz z pierwszym brzaskiem i wędrując w nocy, przy coraz jaśniejszym świetle księżyca, wśród silnego zapachu lasu porośniętego kwiatami, jakich nigdy dotąd nie widzieli, o mięsistych jaskrawych płatkach. Jako że ten odcinek gór był prawie bezludny, nader rzadko kogoś mijali. Najczęściej w porze tuż przed świtem lub przed zmierzchem spotykali drwali uginających się pod ciężarem gałęzi pozbieranych w lesie albo pasterzy prowadzących stada na górskie pastwiska.

Piątego dnia rano ich oczom ukazał się klasztor, położony na przeciwległej ścianie głębokiej przepaści, na szczycie skały. Była to masywna budowla z czterema wieżami na rogach, szara niczym górski kamień. Na wschodzie góry były porośnięte lasem i zniżały się ku równinie. Miejsce to sprawiało wrażenie spokojnej, całkowicie odosobnionej pustelni. Konstrukcja odcinała się na tle opalowego nieba, które promienie wschodzącego słońca powoli jęły malować na różowo. Wokół potężnej budowli rozciągały się soczystozielone łąki, z nich zaś strzelały w górę wysokie rośliny, samotne olbrzymy, których sylwetki wydawały się ogromne nawet z tej odległości. Był to niebiański zamek, siedziba ducha, jakiej Metellus nigdy dotąd nie widział ani nawet sobie nie wyobrażał. Podobna budowla, na dodatek tak bardzo górująca nad otoczeniem, w jego świecie stałaby się fortecą nie do zdobycia, pełną uzbrojonych żołnierzy i machin wojennych.

— Kto tam mieszka oprócz twojego mistrza? — zapytał księcia, który podziwiał w skupieniu ów wspaniały widok.

— Wspólnota mnichów, którzy spędzają czas na medytacji i nauce, na kształceniu umysłu i ciała, na poszukiwaniu harmonii wszechświata. Mistrz Wangzi jest ich duchowym przewodnikiem, otaczanym synowską czcią przez każdego z nich, bezgranicznym uwielbieniem dla jego ascetycznych przymiotów i pogodnego uroku jego osoby.

— Co to jest mnich? — zdumiał się Metellus.

— To ktoś, kto postanawia zerwać ze społeczeństwem ludzi, aby stać się pośrednikiem między Ziemią a Niebem, ktoś, kto z poznania samego siebie i poszukiwania najwyższych sił kosmosu czyni cel życia. To człowiek pokorny, który wcale nie uważa, że posiada prawdę, lecz tylko wolę poszukiwania drogi i podążania nią z każdym, kto zechce za nim pójść. Dla mnie i dla innych właśnie takim człowiekiem jest mistrz Wangzi. Gdyby nie on, nadal znajdowałbym się w niewoli u Persów i nigdy nie zdołałbym wypełnić mojej misji.

— Skąd wiedział, że jesteś w niewoli?

— Przed wyjazdem przyjechałem tu w wielkiej tajemnicy, żeby się z nim pożegnać, i powiedziałem mu, że wrócę za rok zdać mu relację. Skoro nie wróciłem ani po roku, ani nawet po dwóch, władza zaś przeszła w inne ręce, wezwał do działania wszystkich swoich szpiegów z Chin, Indii i samej Persji, aby zasięgnęli języka i sprawdzili, co się ze mną stało. Dowiedziawszy się, gdzie jestem, wysłał dwie wiadomości: jedną do mnie, drugą do Darumy, aby urządzić spotkanie. To niemal cud, dlatego też doszedłem do wniosku, że właśnie niebiosy wyznaczyły mi rolę przywrócenia pokoju i porządku w Państwie Środka.

Metellus milczał.

— Ale ruszajmy w dalszą drogę — ponaglił Dan Qing. — Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

— Lepiej nie — odrzekł Rzymianin. — Dotarliśmy bezpiecznie aż tutaj tylko dzięki temu, że ściśle trzymaliśmy się mojego planu. Ulec niecierpliwości teraz, kiedy jesteśmy prawie na miejscu, byłoby nierozważą. Nie mogę się nadziwić, książę: przecież cierpliwość powinna być jedną z podstawowych cnót w twoim wychowaniu.

— To nie jest kwestia cierpliwości, Xiong Ying — odparł książę.
— Otóż na drugą stronę dzielącej nas od zamku przepaści można przejść tylko wiszącym mostem. Nawet w świetle dziennym jest to trudne. Nocą byłoby samobójstwem.

— Przecież świeci księżyc — zauważył Metellus.

— Księżyc nie wystarczy, zresztą jego słabe światło nie dochodzi aż do tego miejsca.

Metellus spojrział mu prosto w oczy.

— Dobrze — powiedział. — Jak daleko jest od mostu do zamku?

— Dwie godziny marszu — odrzekł Dan Qing.

— Takie niebezpieczeństwo jest do przyjęcia — stwierdził Metellus — ale przejdziemy przez most jutro, wraz z pierwszym brzaskiem. Dzisiaj słońce stoi już zbyt wysoko na niebie.

— Jak sobie życzysz — odparł Dan Qing, po czym zanurzył się w lesie.

Po chwili Metellus ujrzał, jak siedzi po turecku pograżony w medytacji, wyprostowany, ze złączonymi dłońmi, tak że ramiona tworzyły koło. Pozostał nieruchomo w tej pozycji przez cały dzień, o zmierzchu zaś stanął przed nim znienacka, jakby przybył z innego świata.

— Jestem gotowy — oznajmił. — Chodźmy.

— Chodźmy — powtórzył Metellus. Po czym dał znak swym żołnierzom, by ruszyli w drogę.

Nagle dołączyli do nich obaj centurioni — Sergius Balbus i Elius Kwadratus. Głos zabrał Kwadratus, który był starszy stopniem.

— Wodzu, powinniśmy włożyć zbroje, bo kiedy przekroczymy próg zamku, znajdziemy się w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie mogą na nas czyhać pułapki.

— To miejsce jest ustroniem dla ducha, centurionie — uśmiechnął się Metellus — oazą pokoju zamieszkaną przez pobożnych ludzi, którzy oddają się medytacji. Nie należy pokazywać broni. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, możesz schować miecz pod płaszczem.

— Mogę to powtórzyć pozostałym? — zapytał Kwadratus.

— Tak, ale broń musi być ukryta.

Kwadratus skinął głową bez zbytniego przekonania, trudno bowiem było uwierzyć, aby najwyraźniej niezdojta forteca miała służyć wyłącznie do medytacji.

Ruszyli dalej tuż po zmierzchu, po ognistym zachodzie słońca, który rozpałił na czerwono rozproszone po bezkresnym niebie chmury, i szli tak długo, aż ujrzeli przed sobą wiszący most.

Metellus chciał się przekonać, czy nie można go przekroczyć od razu, mimo ciemności, ale o mało nie wpadł w przepaść, toteż wrócił do swych żołnierzy, aby zaczekać do świtu.

23

O brzasku Dan Qing pierwszy ruszył po wiszącym moście, konstrukcji równie kruchoj co śmiałej, przerzuconej nad usłaną roślinnością przepaścią, z której buchał zapach kwiatów i mchu oraz rozlegał się szum niewidocznego strumienia, płynącego wartko wśród położonych o wiele niżej skał i głazów. Szedł tyłem trzymając konia za uzdę, zawiąawszy mu przedtem oczy. Dzięki temu zdołał utrzymać go na środku mostu rozdzielając ciężar po równo.

Kiedy Dan Qing znalazł się po drugiej stronie, ruszył Balbus, naśladując go we wszystkim. Następnie przyszła kolej na Sewera, Publiusza, Rufusa i pozostałych, którzy postępowali dokładnie tak samo, w pewnej zaś odległości za nimi poruszał się Kwadratus.

Metellus wraz z koniem rozpoczął przeprawę jako ostatni. Choć zwierzę miało zawiązane oczy, przy najmniejszym zachwianiu okazywało nerwowość i lęk, Metellus zdawał więc sobie sprawę, że wystarczy jeden fałszywy ruch, a most się przechyli i spadną w pachnącą, wilgotną otchłań rozwierającą się pod nimi. Pokładał wszakże ufność w swych przodkach, którzy jak dotąd byli mu łaskawi. Był pewien, że nie opuszczą go właśnie teraz, gdy tak niewiele mu brakuje do powrotu.

Postawiwszy stopy na ziemi, pomyślał, że oto pokonał ostatnią przeszkodę, i nawet mu nie przyszło do głowy, że w drodze powrotnej będzie musiał stawić czoło takim samym, o ile nie większym trudnościom.

— Wszystko poszło dobrze — oznajmił. — A teraz do zamku.

Kiedy Dan Qing zdjął koniowi opaskę, pozostali uczynili to samo, po czym wszyscy wsiedli na swe wierzchowce i ruszyli w dalszą drogę.

Znaleźli się na soczystozielonym płaskowyżu usianym purpurowymi krokusami i kłosami o białych kwiatach przypominających złotogłów. W oddali, po prawej stronie, pasło się spokojnie stado jeleni pod czujnym okiem starego samca o ogromnych rogach. Na ich widok z wysokich dębów, które wznosiły się majestatycznie na skraju łąki w oparach porannej mgły, wzbity się do lotu chmury ptaków.

Spiąwszy swego wierzchowca, Metellus zbliżył się do księcia.

— Wszędzie panuje taki spokój — powiedział. — Zdaje się, że wszystko dobrze się ułożyło.

— Na pewno już nas zobaczyli — odrzekł Dan Qing. — Zaraz wyjdzie nam na spotkanie mój mistrz, jestem tego pewien.

Stojące teraz wysoko na niebie słońce oświetlało stoki okazałej fortecy i posągi dwóch gryfów umieszczone na najwyższej wieży. Kiedy główna brama jęła się powoli rozwierać, pośrodku wejścia ukazała się pod światło czyjaś smukła, zwinna postać.

— Czy to on? — zapytał Metellus.

Dan Qing pokręcił głową nie odrywając wzroku od ciemnej sylwetki stojącej w bramie i rzekł:

— Nie.

— Czy twój mistrz wiedział, że nadjeżdżasz?

— Raczej nie. Nie było czasu, żeby go przedzić.

— Myślisz, że coś mu grozi?

— Nie wiem, ale zaraz się przekonamy.

— Wezmę kilku żołnierzy i pojedę pierwszy. Jakoś się porozumiem.

— Nie. Nie ma powodu do obaw. Prawdopodobnie mistrz Wangzi właśnie medytuje albo naucza nowicjuszy, więc i tak na nic by się to nie przydało.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy z jednej z wież rozległ się ostry przeciągły dźwięk rogu, odbijając się wielokrotnym echem od otaczających ich zboczy.

— Co to znaczy? — zapytał ponownie Metellus.

— Nic. To wezwanie do modlitwy. Właśnie takie dźwięki wyznaczają rytm życia w klasztorze.

— Znasz tego człowieka?

Dan Qing jechał przez chwilę w milczeniu, po czym rzekł:

— W jego wyglądzie jest coś znajomego, ale stoi pod słońce, więc nie potrafię rozróżnić rysów twarzy.

Metellus w zazwyczaj niewzruszonych oczach księcia dostrzegł niepokój.

Kiedy znaleźli się jakieś sto kroków od wejścia, Marek dał swym żołnierzom znak, by zachowali czujność, w tej samej wszakże chwili Dan Qing spał konia i zbliżył się do bramy. Metellus, który jechał tuż za nim wraz ze swymi ludźmi, zdążył usłyszeć, jak mówi:

— Jestem uczniem mistrza Wangzi. Proszę, żebyś powiadomił go o moim przybyciu. Możesz mu powiedzieć, że przyjechał ktoś, na kogo czeka od dawna.

Wysoka, smukła postać skłoniła się głęboko.

— Każdy wędrowiec i każdy pielgrzym jest mile widziany w tych murach. W tej chwili mistrz oddaje się medytacji, ale kiedy tylko będzie to możliwe, powiadomię go o twoim przybyciu, aby przyjął cię jak najprędzej.

Dan Qing spoglądał nań przez chwilę osłupiały, jakby czegoś nie pojmował, lecz młodzieniec, który wyszedł mu na spotkanie, zaprosił go uprzejmym gestem do środka, mówiąc:

— Proszę, wejdźcie.

Dan Qing ruszył naprzód w towarzystwie Metellusa i jego żołnierzy, co jakiś czas spoglądał wszakże spod oka na idącego przed nim mnicha.

— Jak on się czuje? — zapytał w pewnej chwili.

— Dobrze — odparł tamten. — Z pomocą niebios. Ale kim są ci obcy przybysze, którzy ci towarzyszą, jeśli wolno zapytać? — Wskazał na Metellusa i pozostałych.

— To moja służba. Odbyłem długą podróż na Zachód i właśnie stamtąd pochodzą, z Taqin Guo, wielkiego Cesarstwa Zachodniego.

— Taqin Guo... — powtórzył mnich. — Niewielu może o sobie powiedzieć, że tam byli i że stamtąd wrócili. Podobno to bardzo daleko...

Podczas gdy przemierzali ogromny dziedziniec wyłożony łupkiem, Metellus rozglądał się wokoło. Krzątało się tam sporo mężczyzn o ogolonych głowach, odzianych w długie tuniki z szerokimi rękawami. Jedni nieśli owoce w wiklinowych koszach, inni zaś instrumenty muzyczne. Zauważył, że Dan Qing często się za nimi ogląda.

— A oto sam mistrz! — oznajmił nagle ich przewodnik na widok dostojnej postaci odzianej w długą tunikę koloru ochry, stojącej na szczycie jednej z dwu wież, które znajdowały się na tylnej ścianie zamku, pokrytej drewnianym zadaszaniem. — Zaraz wejść na górę i uprzedzę go o twoim przybyciu wraz ze sługami o okrągłych oczach.

Metellus spostrzegł, że wygląd jego i towarzyszących mu żołnierzy budzi ciekawość mnicha, który najwyraźniej nigdy dotąd nie widział żadnego przybysza z Zachodu. Z pewnością chętnie zadałby jeszcze parę pytań na ich temat, powstrzymał się jednak, aby nie wydać się natrętny lub niegrzeczny.

Tymczasem dotarli na drugą stronę dziedzińca, gdzie otwierały się drzwi wiodące do pomieszczeń wewnętrznych. Dan Qing spojrzął w oczy swemu przewodnikowi.

— Mam wrażenie, że gdzieś cię już widziałem.

— To bardzo możliwe — zgodził się młodzieniec. — Nie po raz pierwszy znajduję się w tym klasztorze, ty zaś jesteś uczniem mistrza Wangzi, istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że już się tutaj spotkaliśmy jakiś czas temu. Rozgość się, proszę, zaraz każę ci przynieść herbatę, jeśli masz ochotę wypić ze mną filiżankę.

— Chętnie wypiję z tobą filiżankę herbaty. O ile pamiętam, w klasztorze parzą wysmienitą herbatę.

Skinąwszy głową na znak podziękowania za pochwałę, młodzieniec wskazał mu wejście.

Uwagi mnicha nie uszło spojrzenie, jakie Dan Qing rzucił Metellusowi.

— Rzecz jasna, każę podać coś do picia także twoim sługom. Jeden z braci zaprowadzi ich do pomieszczenia dla służby — oświadczył wskazując zbliżającego się do nich mnicha.

Kiedy Dan Qing dał Metellusowi znak, że mogą iść za mnichem, tamten skinął potakująco głową. Skłoniwszy się, oddalił się w towarzystwie żołnierzy prowadzących konie za uzdy.

Gdy Dan Qing wszedł do komnaty, w której bywał już podczas poprzednich wizyt, uspokoił go zapach drewna sandałowego, z którego były wykonane meble, i woń herbaty dochodząca z przyległej kuchni. Gościnność owego świętego przybytku nakazywała, aby herbata była gotowa o każdej porze dnia, od pierwszego brzasku aż do późnej nocy, dzięki czemu zarówno stali bywalcy, jak i przybysze mogli się rozgrzać ciepłem tego krzepiącego napoju. Mnich oddalił się na chwilę, po czym wrócił niosąc tacę z dwiema parującymi czarkami, które postawił na stoliku z czerwonej laki. Następnie usiadł naprzeciwko niego, podał mu filiżankę, po czym sam wziął drugą i przytknął ją do ust.

Spojrząwszy w jego oczy widniejące nad brzegiem błękitnej czaraki, Dan Qing poczuł, że przenikają go one na wylot. Upił łyk nie spuszczać z nich wzroku, po czym rzekł:

— Moje imię brzmi...

— Dan Qing — dokończył tamten z głębokim ukłonem. — Mój książę.

— A więc wiesz, kim jestem... Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, jak ty się nazywasz.

Młodzieniec wpatrywał się weń nadal wzrokiem, który w innych okolicznościach zostałby uznany za zuchwały w stosunku do potomka cesarskiego rodu, tutaj jednak, w owym duchowym królestwie pokory, każdy mógł sobie pozwolić, by patrzeć.

— Naprawdę mnie nie poznajesz? — zapytał z niespodziewaną i niepokojącą powagą. — Czy też wspomnienie własnego okrucieństwa

stało się dla ciebie tak nieznośne, że wolałeś je odepchnąć? — Mówiąc to, nagle wstał. — Czy muszę rozchylić szaty i pokazać, jak zostałem okaleczony, żebyś sobie przypomniał? — krzyknął.

Słowa te boleśnie dotknęły Dana Qinga.

— Wei — szepnął. — Musisz być Wei... To niemożliwe...

— To ja i jestem tu, żeby się zemścić.

Metellus, Balbus i pozostali przeszli pod łukiem południowej wieży, imponującej budowli z rzeźbionego i malowanego drewna, podążając za mnichem, który prowadził ich ku ogromnym dębowym drzwiom.

Nagle coś spadło na głowę zamykającego pochód Rufusa.

— Przeklęte ptaki! — zaklął Rzymianin ocierając włosy dłonią.

Widząc czerwoną plamę, pokazał ją osłupiały swemu dowódcy. — Przecież to... krew!

Wówczas w umyśle Metellusa zrodził się błyskawicznie obraz sztywno wyprostowanej, nieruchomej postaci mistrza Wangzi na szczycie wieży, tej samej, która teraz wznosiła się nad nimi. Podniósłszy głowę, ujrzał krew kapiącą spomiędzy belek stropu.

— Natychmiast wracać do księcia! — rozkazał. — Do broni!

W tej samej chwili w dłoni towarzyszącego im mnicha pojawił się nie wiadomo skąd miecz, który przeciął powietrze niczym błyskawica. Gdyby Metellus nie zachował czujności i nie zrobił natychmiastowego uniku, obciąłby mu głowę. Na szczęście Antoninus wy dobył zza pasa sztylet, rzucił z nieubłaganą precyzją i trafił w czoło wroga, który zwałił się na ziemię nie wydając nawet jęku skargi.

— Prędko, do księcia! — zawołał po raz drugi Metellus, po czym rzucił się z mieczem w dłoni ku pomieszczeniu dla gości, za nim zaś pobiegli jego żołnierze. Otworzywszy kopniakiem drzwi, wpadł do środka krzycząc:

— Książę! To pułapka! Uważaj!

Jednakże na widok Dana Qinga, unieruchomionego przez uzbrojonych wojowników, stanął jak wryty. Najwyraźniej mężczyzna, który

ich przywitał, był ich przywódcą. Na jego znak jeden z wojowników przytknął ostry nóż do gardła więźnia.

— Rzućcie broń albo każę go zarznąć — powiedział młodzieniec, jego spojrzenie zaś było równie tnące jak ostrze, które dotykało szyi księcia.

Metellus rzucił miecz, co uczynili także jego żołnierze.

— Twoi słudzy są bardzo obrotni — zauważył Wei z sarkazmem. — Zastanawiam się, skąd się dowiedzieli, co się tutaj dzieje.

— Kiedy przechodziliśmy pod południową wieżą — oznajmił Metellus zwracając się do księcia — z góry spadła kropla krwi. Na wieży znajduje się tylko trup twojego mistrza.

Dan Qing wrzasnął z rozpaczy usiłując się wyswobodzić, strażnicy wykręcili mu jednak mocno ręce za plecami, zmuszając, by padł na kolana.

— Nie miałem wyboru — ciągnął niewzruszony Wei.

— Ten stary szaleniec nie chciał zrozumieć moich racji i zachowywał się nierozważnie. Dobrze wiesz, że pomimo swojego wieku ciągle jeszcze potrafił być bardzo niebezpieczny, a twardszy od jego kościstych dłoni mógł się okazać tylko miecz.

— Ty wściekły psie! — ryknął Dan Qing. — Przeklęty! Zapłacisz za tę podłość!

— Bardziej, niż już zapłaciłem? — odrzekł Wei. — Nie sądzisz, że trochę przesadzasz, książę? Wyobrażasz sobie, na jaki nieznośny ból, rozpacz i okrucieństwo skazano mnie tamtego dnia?

Metellus spojrział na Dana Qinga oszołomiony i zdumiony, książę wszakże odwrócił wzrok.

— Tylko chęć zemsty trzymała mnie przy życiu — mówił dalej Wei. — A teraz zdobędę to, czego tak bardzo pragnąłem. Odebrałem ci królestwo. Zanim skażę cię na wieczną rozpacz, odbiorę ci wszystko. Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę. — Po czym zwrócił się do swych ludzi:

— Zabrać ich. — Kiedy zaś żołnierze wykonali rozkaz, dodał:

— Ich broń też. Pod końskimi derkami schowali jej więcej.

Metellus i jego kompani podążyli za strażnikami, którzy zaprowadzili ich na środek dziedzińca i przykuli do drabinki na siano dla zwierząt

jucznych. Dana Qinga z kolei zaciągnięto do wnętrza klasztoru. Mijając próg obejrzał się na Wei i zapytał:

— Gdzie jest Yun Shan?

— Tutaj — odparł tamten z drwiącym uśmiechem.

— Wkrótce ona też wpadnie w moje ręce. Kto wie, może nadal mnie kocha, jak sądzisz?

— Zostaw ją w spokoju — rzekł Dan Qing. — Ona nie ma z tym nic wspólnego; to sprawa między tobą a mną!

Wei obrzucił go spojrzeniem przepelnionym nienawiścią i rozpaczą.

— Yun Shan ma z tym wiele wspólnego, książę, a jakże! To przecie z jej powodu skazałeś mnie na najokrutniejsze upokorzenie.

Młodzieńczy głos, któremu bezskutecznie usiłował nadać bardziej głębokie brzmienie, stanowił niepokojący kontrast z męską drapieżnością widoczną w jego oczach.

Rysy twarzy Wei odznaczały się niezwykłą urodą: skóra była gładka i przezroczysta niczym wosk, lekko wysunięta szczeka nadała mu zaś twardy i władczy wygląd. Miał prosty i umięśniony kark, szerokie barki, wąską talię, długie nogi, palce szczupłe jak u dziewczyny, za to silne i twarde niczym pazury tygrysa. Dan Qing poczuł, jak serce mu zamiera, kiedy żołnierze ciągnęli go za sobą.

Zostawszy sam, Wei jął się przechadzać długimi krokami po pustej sali. Po czym oparł łokieć o ścianę, głowę zaś na ramieniu i zastygł w bezruchu.

Z odrętwienia wyrwał go nagle głos jednego z żołnierzy — wysokiego suchego Mandzura o oczach wąskich niczym szparki.

— Panie, przeszukaliśmy każdy kąt, ale jej nie znaleźliśmy.

— To niemożliwe! — krzyknął Wei. — Za mało się staraliście. Musicie ją znaleźć, rozumiesz, co do ciebie mówię? Jeśli wam życie miłe, musicie ją znaleźć. Wiem, że tu jest! Jestem tego pewien!

Mandzur wyglądał, jakby w ogóle nie słyszał — jego szara kamienna twarz pozostała niewzruszona, gdy skłonił się i wyszedł.

Po chwili wrócił do klasztornych piwnic, aby oznajmić swym ludziom, że poszukiwania nie zostały jeszcze zakończone. Idąc po krętych schodach wiodących do obszernej sali wykutej w kamieniu, minął trupy mnichów, którzy stawili zacięty opór napastnikom. Zwłoki leżały wzdłuż stopni, ich zakrzepła krew zaś pozostawiła na szarym kamieniu czarne smugi. Nagle stanął przed brązowymi drzwiami prowadzącymi do ogromnej sali, którą oświetlały lampy wykonane z tego samego metalu. Wzdłuż murów biegły kolumny wykute w ciemnym kamieniu. Na jednej z krótkich ścian po obu stronach schodów wiodących do potężnego posągu Buddy, uwiecznionego w pozie medytacji, tkwiły dwa smoki z brązu. Olbrzymi brązowy, kunsztownie rzeźbiony trójnóg pełen był oczyszczającej wody, w której pływały purpurowe kwiaty lotosu. Natknął się na pięciu uzbrojonych mężczyzn, którzy właśnie stamtąd wychodzili.

— Dokąd idziecie? — zapytał Mandzur. — Nasz pan kazał nam szukać dalej.

— Tutaj nikogo nie ma — odrzekł dowódca patrolu.

— Przeszukaliśmy każdy kąt.

— Mogą tu być tajne skrytki — zauważył Mandzur.

— Poszukajcie jeszcze raz. Ja tymczasem pójdę przeczesać zachodnie skrzydło. Nie odejdziemy stąd, dopóki nie znajdziemy tej przeklętej zmił.

Zawróciwszy do sali, żołnierze jęli oglądać posadzkę i ściany, część świątyni za posągiem, sam posąg, opukując drzewcami włóczni każdy kamień, każdą piędź muru, a także podstawy i trzony kolumn.

— To na nic — stwierdził w końcu dowódca patrolu.

— Tu nic nie ma. Nawet gdybyśmy tu tkwili cały dzień, i tak nic nie znajdziemy. Chodźmy stąd.

Podniósłszy po raz ostatni do góry pochodnię, by dokładnie obejrzeć belki w stropie, pokręcił głową i wyszedł, za nim zaś podążyli kolejno jego żołnierze.

W tej samej chwili z jednego z wielkich wiązarów dachowych wychyliła się smukła, odziana na czarno postać, która przeczołgawszy się do szczytu jednej z kolumn, ześliznęła się po idealnie gładkim trzonie i dotknęła ziemi bez najlżejszego szmeru. Dopadłszy jednego z żołnierzy,

nim tamten zdążył przekroczyć próg, poderżnęła mu gardło ostrym jak brzytwa sztyletem, drugą ręką podtrzymując bezwładne ciało z taką gracją i lekkością, jakby układała dziecko w kołysce. Następnie w okamgnieniu włożyła jego kaftan, buty i hełm opuszczając przyłbicę, która zasłoniła jej twarz niczym maska. Chwyciwszy łuk i kołczan, ruszyła po schodach, by dołączyć do żołnierzy Wei, wtem jednak czyjaś dłoń zacisnęła się na jej kostce, unieruchamiając ją na chwilę.

— Yun Shan...

Dziewczyna pochyliła się nad konającym mnichem.

— Bao Deng! Mój biedny przyjacielu...

— Uciekaj, ratuj się. Znajdź ludzi z Czerwonego Lotosu. Tylko oni są w stanie cię ochronić.

— Nie znają mnie... Nigdy ich nie widziałam. Mistrz chciał, żebyśmy się spotkali, ale nie zdążył.

— Idź do stolicy... Do tawerny Pod Zielonym Smokiem. Przekaż właścicielowi ten wisiołek, który noszę na szyi... Weź go. — Po czym osunął się, wydawszy ostatnie tchnienie.

Yun Shan otarła łzę i zdjęła z szyi mnicha rzemyk ze srebrnym wisiorkiem, pośrodku którego znajdował się kwiat lotosu z czerwonej emalii. Zamknęła mu oczy i w kilku zwinnych susach dołączyła do niewielkiej kolumny wspinającej się po schodach.

Kiedy mandzurski oficer, który nadchodził właśnie od strony wschodniego skrzydła, wyczytał z oczu swych żołnierzy, że ich poszukiwania nie przyniosły owoców, natychmiast udał się do Wei, aby przynieść mu kolejną złą nowinę.

— Sprawdziłiśmy wszędzie, panie. Obejrzeliliśmy nawet wszystkie trupy jeden po drugim, żeby się upewnić, czy w tym zamieszaniu nie zginęła przez przypadek, i nic. Nie udało nam się jej odnaleźć. Albo otrzymałaś błędne wiadomości, albo zdołała uciec zaraz po naszym wtargnięciu do klasztoru.

— To niemożliwe, wodzu Zhou. Ufam moim szpiegom, to zaś, co ci przekazuję, zawsze jest zgodne z prawdą. Zapamiętaj to sobie, jeśli nie chcesz, żeby spotkało cię coś złego.

Mówiąc to opuścił salę, po czym wyszedł na środek dziedzińca i przez chwilę przyglądał się ze źle skrywaną ciekawością dziesięciu barbarzyńcom z Zachodu, przywiązany do drabinki na siano. W pobliżu zaś kilku jego ludzi podawało sobie z rąk do rąk rzymską broń oglądając ją z zainteresowaniem.

Nagle od północy nadszedł silny wiatr, który przywiał czarne chmury napęczniałe od deszczu. W oddali rozległ się grzmot.

— Każ przeszukać wszystkie wioski w okolicy — polecił Wei zwracając się do mandżurskiego dowódcy — każ obstać drogi, ścieżki, mosty i brody. Chcę dostać tę dziewczynę za wszelką cenę. — Po czym spoglądając po raz kolejny na Metellusa i jego kompanów dodał: — Przywiązać ich do koni. Zabierzemy ich ze sobą.

Jeden ze strażników ich rozkuł, pozostali zaś przyprowadzili konie, a kiedy Rzymianie wsiedli na wierzchowce, przywiązali im dłonie do siodła.

Podczas gdy krępowano również Dana Qinga, reszta żołnierzy Wei ustawiła się na placu przed klasztorem. Księżę doszedł do wniosku, że z pewnością znajdują się wśród nich Latające Lisy, takie jak te, które napadły na nich pod koniec podróży. Miał wrażenie, że rozpoznaje tych znakomitych wojowników po lekkich ruchach, po głębokim spojrzeniu, po sposobie, w jaki trzymali dłonie na rękojeściach mieczy. Gdy Metellus minął go bez słowa, Dan Qing doznał upokorzenia.

— Nie masz prawa mnie osądzać — powiedział. — Nic nie wiesz.

— Być może wiem dostatecznie dużo — odparł Metellus. — Wystarczyło mi to, co zdołałem zrozumieć. Dla takiego człowieka jak ja to niepojęte okrucieństwo. Nawet najbardziej szaleni z naszych cesarzy nigdy nie dopuścili się czegoś podobnego.

Kolumna z Wei jadącym na czarnym rumaku ruszyła naprzód, wierzchowce Dana Qinga i Metellusa zaś przywiązano do tylnej krawędzi jednego z ostatnich wozów, za którymi podążały konie pozostałych Rzymian.

Tymczasem chmury zbiły się w olbrzymie czarne kłębowiska o szarych brzegach, między którymi migały błyskawice przypominające płomienne węże. Od skalistych ścian doliny odbijały się tysiącem ech dudniące grzmoty. Zaczęło padać.

Dan Qing przyglądał się przez chwilę, jak Wei zsiada z konia i chowa się w pierwszym wozie, po czym mówił dalej:

— Potęga naszego państwa opiera się również na przykładowych karach.

— To nie jest kara, lecz bestialskie okrucieństwo, którego nic nie może usprawiedliwić. Cóż zrobił ten chłopiec, że zasłużył na taką potworność?

Nagle Metellusa minął jeden z jeźdźców z eskorty Wei i zajrzał mu głęboko w oczy, w jego wzroku zaś było coś, co przypominało mu oczy Dana Qinga, kiedy spotkał go po raz pierwszy przed murami Edessy. Marek zmusił się, by odwrócić wzrok i słuchać słów księcia.

— Nie ja wydałem rozkaz.

— Ach tak? W takim razie kto?

Dan Qing doznał upokorzenia na myśl, że musi udzielać wyjaśnień jednemu ze swoich poddanych, nigdy dotąd bowiem tego nie robił. Nie mógł wszakże się powstrzymać, więc mówił dalej.

— Wei próbował uwieść moją siostrę, księżniczkę Yun Shan, tymczasem ja nawet go nie znałem. O wszystkim dowiedziałem się od jednego z ministrów mojego ojca; powiedział mi, że Wei jest bardzo ambitny i że zamierza oczarować księżniczkę, aby związać się z nią i w ten sposób wejść do rodziny cesarskiej. Że prawdopodobnie ktoś się nim posługuje, aby wprowadzić do dynastii Han obcą krew.

— Młodzieńcza miłość... Bogowie, zakochał się w twojej siostrze... To mi nie wygląda na aż tak straszną zbrodnię. U nas takie rzeczy zdarzają się co dzień, ale nikogo to nie dziwi. — Kiedy koniec kolumny także ruszył naprzód, Metellus odwrócił się, by dodać otuchy swoim żołnierzom. — Uszy do góry! Po tym cośmy przeszli, coś takiego nas nie przerazi. Czeka nas długa droga, podczas której wiele może się wydarzyć. Chińskie oddziały księcia przyjdą nam z odsieczą.

Chociaż Dan Qing uznał tę wypowiedź za kolejny rozmyślny brak szacunku, zgodził się przecież, że z Rzymianinem, którego zwał Xiong Yingiem, będą go łączyły odmienne stosunki, i rozumiał, że jego obecne zachowanie ma na celu wyłącznie poddanie go próbie, sprawdzenie przed podjęciem decyzji, czy nadal warto obdarzać go przyjaźnią. Była to próba, na którą musiał przystać, toteż ją mówił dalej, jakby nic nie zaszło.

— Mój ojciec obiecał Yun Shan pewnemu księciu z państwa Wu, królestwa, które uniezależniło się od cesarstwa: był to sposób, aby przyłączyć je z powrotem bez rozlewu krwi. Poleciłem ministrowi, żeby odwiódł Wei od jego zamiarów, ale bez skutku. Minister zaś uznał, że należy zastosować przykładową karę, aby to się więcej nie powtórzyło i aby w przyszłości nikomu więcej nie przyszło do głowy, żeby tak postąpić.

— Kazał zatem go wykastrować.

Dan Qing skinął potakująco głową.

— Co za wstyd — stwierdził Metellus nie patrząc mu nawet w oczy.

— Nie ja wydałem taki rozkaz.

— To niczego nie zmienia. Ten, kto ma władzę, jest odpowiedzialny również za to, co robią jego poddani. Moi żołnierze nawet w ferworze walki, nawet w najpodlejszych warunkach wiedzą, że muszą szanować zasady, których ich dowódca jest najwyższym strażnikiem. Zawsze też ja jestem odpowiedzialny za każdy ich postęp, nawet najbardziej niezgodny z moimi zasadami. Nazywamy to „dyscypliną”.

Dan Qing milczał. Słyszał było jedynie rzenie koni i grzmoty rozlegające się w pogrążonej we mgle dolinie.

24

— Żyje.

— Co mówisz? — zapytał Dan Qing zwracając się do Metellusa.

- Twoja siostra żyje.
- Skąd wiesz?
- Jeszcze potrafię rozróżnić kobiece spojrzenie. Kobieta przebrana za mandzurskiego żołnierza! Kto to mógł być, jeśli nie ona?
- Możliwe. A dokąd poszła?
- Nie wiem. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem zniknęła. Może gdzieś krąży, ale równie dobrze mogła zapaść się w las.

Gwałtowne porywy wiatru przybrały na sile, rozdzierając chmury, z których spadła gęsta ulewa, siekąc wszystko dokoła i zamieniając ścieżkę w błotnisty potok. Mężczyźni, którzy zdążyli przywyknąć do tego, by znosić w milczeniu wszelkie przeciwności, wrogość ludzi, przyrody i żywiołów, skulili się pod naporem burzy.

Metellus zerkał na nich od czasu do czasu, a wtedy serce ścisnęło mu się na ich widok. To przecież on namówił ich, by rzucili się z nim w nową przygodę, która okazała się niestety nową niewolą, być może wcale nie mniej okrutną niż ta, z której niedawno uciekli.

Obawiał się, że tym razem los nie okaże się dla nich równie łaskawy, obawiał się, że nie wykorzystał w pełni okazji, jaką stworzyła odzyskana wolność, i zadręczał się szukając na wszelkie możliwe sposoby jakiegoś wyjścia. Co chwila zerkał spod oka na Dana Qinga, dostrzegając jego upokorzenie, rozczarowanie i bezsilność, rozumiał jednak, że nade wszystko pragnie on z kimś porozmawiać, zrzucić przygniatający go ciężar lęku.

— Jak myślisz, kto cię zdradził? — zapytał w pewnym momencie ze wzrokiem utkwionym w dal.

— Nie wiem. To mógł być każdy. W wiosce widziało mnie mnóstwo osób. Wcale nie jest powiedziane, że wszyscy pozostali mi wierni.

— Ale napadły na nas te same Latające Lisy, które teraz trzymają nas w niewoli, nie sądzisz?

— Możliwe.

— A zatem wróg wiedział o twoim powrocie już wtedy, kiedy przekroczyliśmy granicę... Daruma?

— Wykluczone — odrzekł Dan Qing. — Po co miałby mnie uwalniać i ściągać z powrotem do ojczyzny, narażając się na rozliczne niebezpieczeństwa? Mój mistrz mu ufał, nikt zaś nie znał się na ludziach tak jak on.

— Niestety twój mistrz nie żyje...

— Burza zdążyła już zmyć jego krew; te czarne grudki rozpuściły się w wodzie, która zalewa obficie przedpiersia i kamienne schody... Ale ten, kto go zabił, musi zginąć.

— Chcesz się zemścić z powodu zemsty. To bez sensu.

— Nie ja jestem odpowiedzialny za jego tragedię. Nie każ mi tego znów powtarzać.

— To niczego nie zmienia. Wei został zraniony w sposób nieuleczalny. Teraz stał się machiną wojenną, skupiskiem nienawiści i żalu, które mogą znaleźć ujście jedynie w cudzym cierpieniu, jedynie w świadomości, że nadal jest zdolny zadawać ból silniejszy niż ten, który sam musiał znosić.

— Twoje słowa dowodzą, że sam żywisz podobne uczucia... w stosunku do tego, kto zabił ci żonę i odebrał syna. Chyba się nie mylę, Xiong Ying? — Ponieważ Metellus milczał, Dan Qing mówił dalej: — Właśnie dlatego muszę go zabić. Z tych czy innych powodów Wei przestał być istotą ludzką; to dzika bestia, wściekły pies, którego należy zgładzić.

Po gwałtownym ataku szalejąca burza zdawała się uspokajać. Chmury pędziły daleko, ku równinie, pozostawiając na niebie strzępiaste smugi. Dolinę spowiła gęsta mgła, podczas gdy na ziemię jeły spadać wprawdzie cięższe, za to rzadsze krople deszczu. Kolumna posuwała się teraz po obszernej polanie pokrytej płaszczem wyniosłej trawy.

— Czy jest jakaś nadzieja? — zapytał Metellus.

— Nadzieja zawsze umiera ostatnia, jak mówi nasze stare przysłowie — odparł książe.

— Nasze przysłowie mówi to samo. Ale co ty o tym myślisz?

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Latających Lisach?

— Jakby to było wczoraj.

— Ludzie podążający prawdziwą drogą, którą wiele lat temu wytyczył mistrz Mo, nadal istnieją. To najzagorzalsi przeciwnicy Latających

Lisów. Wojujący mnisi związani przysięgą, zdolni do wszelkiego bohaterstwa, gotowi na każde poświęcenie. To ludzie z Czerwonego Lotosu. Tylko oni mogą nas z tego wyciągnąć.

Ledwie skończył mówić, gdy wtem w dolinie rozległ się ostry, przenikliwy krzyk przypominający wołanie orła. Ogarnięty dziwnym niepokojem Wei wychylił się z wozu i obejrzał kilka razy, omiatając wzrokiem zbocza gór z prawej i lewej strony.

— Co to było? — zapytał Metellus.

— Znak — wyjaśnił Dan Qing. — Wiadomość, że nie jesteśmy sami. Prawdopodobnie to ty masz rację: być może Yun Shan rzeczywiście żyje i właśnie obmyśla plan, jak nas uwolnić.

— Yun Shan znaczy... „Odziana w chmury”, prawda? — powiedział Metellus tłumacząc na perski.

— Zgadza się.

— Wszystkie wasze kobiety mają takie urocze imiona?

— Prawie wszystkie. A jak miała na imię twoja żona?

— Klelia.

— Co to znaczy?

— To imię pewnej bohaterki z dawnych czasów. W chwili śmierci oddała mi pod opiekę naszego syna, a ja nawet nie wiem, gdzie on się teraz znajduje ani czy w ogóle żyje... Na dodatek stale się od niego oddalam.

— Nie na zawsze...

Metellus milczał przez jakiś czas.

— Sam nie wiem, co mam o tobie myśleć — wyznał w pewnej chwili, jakby kończąc jakąś myśl.

— Powinieneś przewyciężyć nieufność — odrzekł Dan Qing — o ile cię to ciekawi. Jeśli się jednak zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że jestem jedyną osobą, na którą możesz liczyć, czy ci się to podoba czy też nie.

Metellus nadal się nie odzywał.

— Teraz musimy zjednoczyć nasze siły, żeby spróbować przetrwać — ciągnął Dan Qing. — O reszcie pomyślimy później. Będziesz miał jeszcze czas się przekonać, kim naprawdę jestem.

Metellus obejrzał się po raz kolejny na swych żołnierzy, zastanawiał się bowiem, w jakim są nastroju i czy owa druga niewola ich nie załamała. Spozrzegł, że rozmawiają półgłosem siedząc w siodłach. Może nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a może po prostu woleli o nim nie myśleć wiedząc, że to i tak niczego nie zmieni.

Pod wieczór rozbili obóz na obrzeżach wioski położonej na soczystym zielonym wzgórzu. Więźniów rozwiązano i umieszczono w jednym namiocie, pod strażą uzbrojonych wojowników. Jedynie Dan Qing zajął osobny namiot.

Tymczasem Metellus wygłosił krótką przemowę do swych kompanów.

— Wiem, co sobie myślicie, że pewnie lepiej byśmy zrobili czekając na wiosenny monsun w Indiach i że tym razem być może nie zdołamy odzyskać wolności. Jeśli tak jest, mylicie się. Podjęliśmy najlepszą decyzję, jaką można było podjąć, nawet jeśli teraz wszystko wydaje się stracone.

— Ale co się dzieje, wodzu? — zapytał Balbus.

— Okazało się, że młodzieniec, który powitał nas u bram zamku, przejął władzę podczas nieobecności Dana Qinga. Obaj serdecznie się nienawidzą, jednakże walka na śmierć i życie, jaką prowadzą między sobą, nas nie dotyczy. Jakkolwiek się potoczą sprawy między nimi dwoma, sądzę, że damy radę przeżyć. Ale musimy ustalić jedno: dopóki wszystko się nie wyjaśni, stoimy po stronie Dana Qinga, nawet gdybyśmy mieli narazić własne życie. Daliśmy słowo i go dotrzynamy.

Antoninus pokręcił głową, Metellus wszakże udał, że tego nie zauważył.

— Bądźcie gotowi i nie traćcie ducha — dodał. — Zaprowadzę was do domu, choćby miało mnie to kosztować życie.

Nazajutrz ruszyli w dalszą drogę i przez kolejne trzy dni wędrowali doliną na wschód. Jechali mając ręce przywiązane do siodła, nogi zaś do strzemion, pod czujnym okiem żołnierzy Wei, mandżurskich najemników o groźnym wyglądzie, uzbrojonych w długie zakrzywione miecze. Na czele posuwali się mężczyźni w czarnych szatach, wyposażeni w podwójne łuki oraz bardzo długie i ciężkie strzały. W tych okolicznościach wszelka próba ucieczki równałaby się samobójstwu.

Po pierwszym dniu Dan Qing został oddzielony od reszty i przywiązany do wozu Wei, nader wyszukanego wehikułu, którego górna część przypominała lektykę dla bogaczy, ozdobioną ornamentami z laki i brązu.

Po czterech dniach podróży zauważyli, że dolina jeła się przekształcać w szeroką pofałdowaną równinę, przeciętą wielką rzeką o mulistych wodach, po których płynęły z prądem statki o żaglach w kształcie trapezu, wiozące najrozmaitsze towary. Wszędzie rozciągały się zalane wodą pola, gdzie uprawiano się bagienne zboże, które wraz z mięsem z gęsi i jajkami stanowiło ich codzienne pożywienie. Rzymianie nie mogli się nadziwić temu nadzwyczaj wspaniałomyślnemu traktowaniu, które niekiedy obejmowało nawet poczęstunek sfermentowanym napojem przypominającym wino.

— Dowódca ma rację — powtarzał Kwadratus. — Nie mamy nic wspólnego z wewnętrznymi zatargami tutejszych ludzi. Być może Wei zamierza nas wcielić do swojej armii i dlatego nie chce, żebyśmy stracili zbyt dużo sił.

— To możliwe — zgodził się z nim Antoninus, najwyższy rangą po obu centurionach — a nawet pewne.

W obliczu niejasnej przyszłości każdy skłonny był uwierzyć w hipotezę, która dawała największą nadzieję. Metellus zaś miał złe przeczucia, nikomu ich wszakże nie ujawniał.

Podczas kolejnych trzech dni wędrówki krajobraz nieustannie się zmieniał: mijali niekończące się pnie drzew, które miały ogromne ciemnozielone liście i rosły na nich małe żółte lub czerwone owoce podobne do jeżyn. Uprawianie na tak dużą skalę roślin, które rodzą wyłącznie małe jagody, wydało im się dziwne, widocznie jednak stanowiło to jedną z licznych osobliwości tego bezkresnego i tak różnego od ich ziemi kraju.

W miarę jak posuwali się naprzód, przybywało osad, które stawały się coraz gęściej zaludnione, ulice w nich były brukowane i coraz bardziej uczęszczane. Każdego dnia natykali się na stację drogową, gdzie podróżni mogli zmienić konie, zjeść ciepłą strawę i się przespać. Na stacjach tych kolumna rozbijała obóz w odosobnionych miejscach przeznaczonych dla ważnych gości. Metellus teraz był już pewien, że

zdążają do stolicy. Coraz częściej słyszał słowo Luoyang.

Luoyang zaś ukazał się ich oczom pewnego wieczoru o zachodzie słońca, po wielu dniach wędrówki od miejsca, w którym zostali pojmani. Dla tamtejszych ludzi był on tym samym czym dla nich Rzym, Metellus zaś przyglądał się z podziwem ogromnemu miastu opasanemu imponującym murem, potężnymi wieżami zbudowanymi z wielkich kamiennych bloków pociętych z prawdziwą biegłością. Wewnątrz pyszniły się kolejne wysokie budowle wzniesione na inną modłę — zapewne świątynie albo pałace wielmożów. Ponadto wszędzie rosły drzewa o wybujałych koronach, oświetlone ostatnimi promieniami słońca. Chociaż niebo było zamglone, ogromna kula słońca, która kryła się właśnie za ich plecami, za wierzchołkami dalekich gór, zalewała swym blaskiem wieże, pałace, iglice i szczyty, rozciągając krwawą poświatę, rzucając mieniące się refleksy na malownicze drewno, brąz i ceramikę.

Mimo dręczących ich obaw Metellus i jego kompani spoglądali na ów widok z zachwytem, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie mają okazję podziwiać podobne cuda jako jedyni ze swojego świata. W głębi duszy zastanawiali się też, czy kiedykolwiek uda im się opowiedzieć o swych przeżyciach komukolwiek. Osamotnienie, brak jakichkolwiek wieści, oddzielenie Dana Qinga, jedynej znanej istoty ludzkiej będącej w stanie objaśnić im to, co się wokół działo, albo odczytać niezrozumiałe znaki, sprawiły, że czuli się zdani na los, z drugiej wszakże strony długie dni i godziny marszu, podczas których nic się nie wydarzyło, wzbudziły w nich poczucie spokoju, które w końcu tchnęło we wszystkich nieświadomy optymizm.

Kiedy kolumna przystanęła przed wejściem do miasta, Metellus spostrzegł w pobliżu Wei jakieś zamieszanie. Po chwili ujrzał zakapturzonego jeźdźcę podążającego między dwoma uzbrojonymi żołnierzami. To musiał być Dan Qing. Zakryli mu głowę czarnym workiem, aby nikt go nie rozpoznał.

Wówczas kolumna ruszyła naprzód i posuwała się wolnym krokiem aż do wschodnich bram Luoyangu, które były jeszcze otwarte i których strzegł zbrojny oddział wojska. Ktoś musiał już powiadomić dowódcę straży o przybyciu Wei, natychmiast bowiem zjawił się

wzniciający tuman kurzu szwadron gwardii cesarskiej, aby eskortować karawanę młodego eunucha do wnętrza miasta. Metellusowi wydawało się to dziwne: władza cesarza w stolicy nie mogła być zbyt silna, skoro potrzebował aż tak dużej eskorty.

Żołnierze na koniach, co najmniej pięćdziesięciu, ustawili się po obu stronach karocy z mieczami w dłoniach, podczas gdy pozostali zapalali pochodnie, by oświetlić drogę, która zdążyła się już pograżyć w ciemnościach. Więźniów zaś umieszczono z tyłu, pod okiem tylnej straży.

Z wychodzących na ulicę okien wychylały się pyzate twarze dzieci chcących podziwiać ów imponujący pochód, za ich plecami rozlegały się wszakże wylęknione nawoływania rodziców. Przechodniów było niewiele, ci nieliczni zaś przemykali chyłkiem. Miasto pograżyło się w jakiejś nierzeczywistej ciszy. Kiedy Metellus wymienił niespokojne spojrzenia ze swymi centurionami, tamci przekazali reszcie wiadomość:

— Uważajcie, w każdej chwili może się coś wydarzyć.

— Udało mi się rozluźnić więzy — oznajmił Antoninus. — Jeśli dam radę się uwolnić, pomogę reszcie naszych.

— Dobrze — odrzekł Kwadratus — ale nie rób nic bez rozkazu dowódcy.

Niedaleko od czoła kolumny droga zwązła się aż do miejsca, w którym przecinał ją most wsparty na dwóch grubych kamiennych pilastrach. Jeźdźcy musieli się ustawić gęsiego, jako że nie było dość przestrzeni, aby zmieścić się dwa konie obok siebie, toteż wóz przejechał sam. Nagle z mostu spuściło się po jedwabnych linach na karocę kilku mężczyzn w szarych tunikach i spodniach, z czerwonymi szarfami na ramionach, po czym zabrali się do rozwalania dachu za pomocą mieczy i toporów. Między strażą a napastnikami wywiązała się zażarta bitwa, podczas której żołnierze Wei próbowali się wdrapać na dach.

Tymczasem Metellus i jego kompani stali na uboczu, pilnowani przez grupę najemników z tylnej straży z obnażoną bronią. Musieli mieć żelazne rozkazy odnośnie do więźniów, nie spuścili ich bowiem z oka nawet na chwilę, tak jakby zaledwie parę kroków dalej nic się nie działo, nic nie groziło życiu ich dowódcy.

Napastnicy poruszali się i uderzali z zabójczą prędkością, ich broń tylko śmigiała niczym błyskawice, ich ramiona zaś zadawały krótkie, nieprzewidziane i niewidoczne ciosy, które można było dostrzec dopiero wówczas, gdy trafiali do celu.

Wtem pośród szczęku broni, w rozgorączkowanym kłębowisku, Metellus ujrzał, jak księżę Dan Qing z zasłoniętą czarnym kapturem twarzą szamocze się gwałtownie, jakby dał się porwać przez wir wal-ki, lecz krępujące go liny tylko wrzynały się coraz bardziej w skórę. Jednocześnie Rzymianinowi udało się dostrzec przez krótką chwilę znieruchomiałego w karocy eunucha Wei, którym owładnął albo strach, albo niespodziewane pragnienie śmierci, albo który po prostu pogrzył się w obojętności zatopiony we własnych myślach.

Wszystko trwało zaledwie kilka chwil, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Jadący na czele eskorty oddział, który zdążył już przekroczyć most, natychmiast zawrócił, dotarłszy zaś do zwężenia, jeźdźcy wyskoczyli z siodła przelatując nad łukiem i wylądowali na dachu karocy.

Latające Lisy.

Pierwsi obrońcy, w większości mandżurscy najemnicy, zdążyli już zginać bądź zostali odepchnięci, teraz zaś rozpoczęła się równa walka. Nastąpiła tak szybka i celna wymiana ciosów, że Metellus i jego kompani zapomnieli o niewoli, gdyż pochłonał ich całkowicie widok bitwy, która wyglądała jak starcie nie ludzkich istot, lecz demonów napędzanych jakąś piekielną energią.

Chcąc zyskać swobodę ruchów, mężczyźni z czerwonymi szarfami zeskoczyli z dachu na ziemię, wkrótce jednak przewaga liczebna Latających Lisów stała się nie do pokonania. Najpierw padł jeden z nich, po nim dwóch i trzech następnych: jeden przebity na wylot, drugi z obciętą głową, trzeci zaś roztrzaskany o mur z taką siłą, że pękła mu czaszka. Czwartego natomiast pojmano żywcem i rozbrojono, zanim zdążył zażyć truciznę.

Dopiero wówczas Wei wyszedł z karocy i rozejrzał się dokoła. Kiedy mandżurscy najemnicy podeszli bliżej z zapalonymi pochodniami, jego oczom ukazał się cały ogrom i okrucieństwo rzezi. Osobnik sprawiający wrażenie dowódcy Latających Lisów przysunął się do

jeszcze żywego więźnia i zerwał mu z twarzy chustkę, odsłaniając rysy młodzieńca mającego niewiele ponad dwadzieścia lat.

— Pożałujesz, żeś nie zginął, kiedy osobiście zadam ci męki — powiedział.

— Co to za ludzie, wodzu? — zapytał Publiusz.

Metellus usiłował odczytać znaczenie rozgrywającej się przed jego oczami sceny poprzecinanej głębokimi cieniami i skąpanej w krwawym świetle.

— Wei został napadnięty przez kogoś, kto nie chce się podporządkować jego władzy, ale zwyciężył. Sami widzieliście: Latające Lisy są niepokonane.

— Ale my daliśmy im radę — sprzeciwił się Rufus.

— Ponieważ zaskoczyliśmy je naszym sposobem walki, a także dzięki tarczom Sewera, ale...

Słowa Metellusa zagłuszył wrzask i stek wyzwisk: pojmany żywcem buntownik został trafiony w czoło strzałą wypuszczoną z wysoka, po czym zwałił się na ziemię. Wokół grotu strzały płynęła obficie krew zalewając ciało młodzieńca, którym wstrząsały gwałtowne konwulsje, jakby nie chciał się osunąć w ramiona śmierci, mimo że ta i tak już objęła go w swe posiadanie.

Spojrząwszy w kierunku, skąd strzelano, Metellus spostrzegł wyraźnie na dachu domu naprzeciwko ciemną sylwetkę dzierżącą łuk. Po chwili śmignęły jak błyskawica kolejne dwie strzały, po czym dwaj strażnicy eunucha padli na ziemię śmiertelnie ranni.

Wówczas wreszcie obojętny dotąd Wei stracił panowanie nad sobą.

— Łapać go, przekłęci, łapać go! — krzyknął.

Łucznik wypuścił następną strzałę, która minęła go o włos i utkwiła w nodze jednego z mandżurskich najemników. Mężczyzna upadł na ziemię skręcając się i jęcząc z bólu. Tymczasem łucznik rozpląnął się w powietrzu przeskakując po dachach nieprawdopodobnymi susami.

W powstałym po ataku zamieszaniu ciągle zakapturzony Dan Qing, którego zmuszono do wycofania się, znalazł się zaledwie kilka kroków od rzymskich więźniów.

— Książę, tu jesteśmy — szepnął Metellus starając się, aby go usłyszał.

— To ty, Xiong Ying? Co się stało? — zapytał Dan Qing. — Co to za zamieszanie? Nic wam nie jest? Nie jesteście ranni?

— Nic nam nie jest. Tym, co zorganizowali napad, nie chodziło o nas, ale o Wei.

— I co się stało?

— Atak został odparty. Trzech z nich zginęło. Kilku innych uciekło. Tego, który przeżył, zabił jego kompan strzelający z dachu na przeciwko. A teraz ścigają go Latające Lisy, które celują prosto w dach...

Latające Lisy istotnie chwyciły za łuki nakładając ciężkie strzały, których przeznaczenie było dotąd niejasne: prawdziwe harpuny z przywiązanymi do nich linami. Kiedy je wypuścili, wbiły się w belki gzymsów, dzięki czemu Lisy wspięły się po dachach z błyskawiczną prędkością, aby ścigać uciekającego łucznika.

— On też ma na ramieniu czerwoną szarfę, podobnie jak tamci — ciągnął Metellus. — Teraz ucieka co sił w nogach, a za nim pędzą ludzie Wei, zupełnie jakby unosili się w powietrzu... Bogowie, co to za dziwny kraj!

— Czerwony Lotos... — szepnął Dan Qing. — A więc ciągle nie wszystko stracone. Potrafisz jeszcze coś dojrzeć?

W tej samej chwili Metellus spostrzegł, jak uciekinier znika za dachem, po czym znów się pojawia pośrodku tarasu i ponownie znika.

Na rozkaz Wei pół tuzina jeźdźców z jego gwardii puściło się galopem we wszystkich kierunkach, następnie zaś dał znak swej eskorcie, aby zwarła szyki. Kiedy trupy pozbierano z ziemi i załadowano na wóz, Wei wrócił do karocy i kolumna ruszyła dalej.

— Co się teraz stanie, wodzu? — zapytał Antoninus zwracając się do Metellusa.

— Nie wiem — odparł tamten. — Ale ty rób wszystko, żeby przeżyć. Bez względu na to, co się wydarzy, rób wszystko, żeby przeżyć.

Zza gór wyłonił się księżyc w pełni, oświetlając lśniące od wieczornej rosy dachy Luoyangu. Z tarasu na taras przeskakiwała jakaś postać, wspinała się z zadziwiającą zwinnością na strome pinakle, rzucała się na gałęzie wysokich drzew, których korony strzelały w niebo z pogrążonych w mroku ogrodów, po czym przeskakiwała niczym wiewiórka na wierzchołek kolejnego dachu, za nią zaś posuwały się szybkie i lekkie jak cienie ciemne sylwetki.

Latające Lisy ścigały zbiega bez wytchnienia, osaczając go z obu stron i starając się popchnąć ku miejscu, które znajdowało się nieco niżej, w pobliżu murów. Uciekinier to zniknął, to się znów pojawiał, chowając się za każdym występem, ledwie zaś jego prześladowcy zdążyli go minąć, pędził w innym kierunku. Gdy udało mu się zdobyć pewną przewagę, wdrapał się na szczyt wieży, skąd śledził ruchy goniących, sam nie będąc przez nich widziany. Ujrzawszy, jak jeden z nich przeskakuje z dachu na dach, wypuścił strzałę trafiając go w locie, jego bezwładne ciało zaś poszybowało na ziemię. Wykorzystując chwilę zaskoczenia, łucznik zniknął we włazie i zbiegł po schodach do przedsionka, a stamtąd wydostał się na ulicę. Następnie schronił się pod arkadami, dopóki Latające Lisy nie rozproszyły się w oddali niczym sfera oszalałych ogarów, które zgubiły trop.

Kiedy zapadła cisza, tajemniczy osobnik zdjął chustkę odsłaniając delikatny kobiecy owal twarzy i dwoje czarnych jak węgielki oczu, które zalśniły na chwilę w blasku księżyca niczym oczy młodego tygrysa. Pchnąwszy lekko drzwi, które miał za plecami, znalazł się na niewielkim dziedzińcu wewnętrznym, gdzie czekał nań wierzchowiec przywiązany za uzdę do żelaznego pierścienia.

Odczepił go i wrócił na zewnątrz. Rozejrzał się na boki, nadstawwszy zaś uszu, wyłowił szum dochodzący z głębi ulicy, którą miał przed sobą: z uczęszczanego miejsca, gdzie mógł się schować... Ruszył więc szybko w tamtą stronę trzymając konia za uzdę, kierując się ku słabemu światłu, które dostrzegł na końcu drogi. Wkrótce dotarł na

niewielki plac, do którego przylegał karawanseraj. Zza szerokiego ogrodzenia dochodziły pomieszane ludzkie głosy i głucho pomruki wielbłądów z Baktirii, potężnych zwierząt, które przemierzały wraz z karawanami ogromne odległości wioząc rozmaite towary z drugiego końca świata. Dziewczyna już miała wyjść na otwartą przestrzeń, w porę się jednak cofnęła w cień na widok galopującego oddziału jeźdźców z obnażonymi mieczami. Odczekawszy, aż ów wściekły tętęt kopyt umilknie w oddali, upewniła się, czy nie zbliża się nikt inny, po czym przemierzyła plac i stanęła w drzwiach wielkiego karawanseraju.

Rozejrzała się wokoło przywiązując wierzchowca do drabiny na siano. Zagrodę oświetlały liczne kolorowe lampiony, zalewające ciepłym światłem arkady, bele towaru, posługaczy opiekujących się zwierzętami, różnobarwne, odziane w najprzeróżniejsze stroje postacie, które przybyły ze wszystkich zakątków świata, rozmawiały we wszystkich możliwych językach i zasiadały właśnie do wieczerzy, dobiwszy wcześniej targu z innymi kupcami, również stałymi bywalcami w tym miejscu.

Kiedy dziewczyna uświadomiła sobie, że ciągle ma na ramieniu czerwoną szarfę, rozwinęła ją, słysząc za plecami czyjś głos. Schowała ją za paskiem odwracając głowę w drugą stronę, aby nie musieć patrzeć nikomu w oczy.

— Powoli z tą skrzynią, tam są delikatne rzeczy, niech was licho porwie! — zaskrzeczał głos z wyraźnym obcym akcentem.

Gdy dziewczyna zrobiła przejście, minął ją korpulentny kupiec o ciemnej skórze w towarzystwie dwóch posługaczy, którzy ciągnęli drewnianą skrzynię na rozkołysanym wozie.

Po chwili podszedł do nich chiński pomywacz.

— Wielce czcigodny Darumo — powiedział — twój wielce czcigodny przyjaciel Wu He czeka na ciebie z wieczerzą.

— Już idę, mój chłopcze — odrzekł Daruma pchając swój wystający brzuch ku drzwiom do oberży, które znajdowały się w głębi karawanseraju.

Tymczasem stojąca za jego plecami dziewczyna zręcznie wyciągnęła dłoń i porwawszy płat jedwabiu leżącego na beli surowej wełny,

owinęła się nim, aby ukryć szaty, które nosiła na grzbiecie, po czym także weszła do obozu. Usiadła w głębi zadymionej izby jak zwykły podróżny, w niezbyt oświetlonym miejscu, za to blisko stołu, który zajmowali Daruma i chiński kupiec.

Siedząca pod arkadami grupa mongolskich muzykantów przygrywała na instrumentach strunowych wydobywając z nich ostre i ciągle dźwięki, którym towarzyszyły ich równie przenikliwe głosy. Solista potrafił śpiewać tak głęboko, że dziewczyna poczuła drżenie.

— Rok był okropny... — zaczął chiński kupiec.

— ...produkcja mała, pasożyty zdziesiątkowały jedwabniki... — ciągnął Daruma z pogardliwą miną. — Wu He, znam na pamięć tę wylizankę, która ma na celu wyłącznie zwiększenie zysku z jednej dziesiątej do jednej piątej. Od kiedy cię znam, nigdy nie miałeś dobrego roku, a ceny ciągle zwyżkują.

— O, nie masz powodu, żeby się skarżyć! — zawołał mężczyzna zwany Wu He. — Kto wie, ile zarabiasz tam, na Zachodzie, sprzedając nasz jedwab cudzoziemskim diablom. A tak przy okazji, wiesz, że niedawno przybyło ich paru do miasta? To ludzie o cudzoziemskim wyglądem, odziani w dziwaczne szaty, z pewnością więźniowie, którzy przyjechali wraz z karawaną eunucha Wei, niechaj bogowie mają go w opiece.

Na te słowa dziewczyna nadstawiła uszu usiłując przysunąć się bliżej na swej ławie, tak aby nikt tego nie zauważył i aby mogła lepiej słyszeć. Gest ten nie uszedł uwagi Darumy, który udawał, że niczego nie dostrzegł, i dalej rozmawiał z Wu He.

— Cudzoziemcy, powiadasz? A jak wyglądali?

— Mieli okrągłe oczy, gęste brody przypominające szczecinę dzika, ramiona i nogi owłosione jak małpy... Żelazne osłony na przedramionach. Tak mi ich opisał mój sługa. Był jeszcze jeden, sądząc po odzieniu, chyba Chińczyk, w kapturze na głowie.

Dziewczyna nie mogła już dłużej wytrzymać.

— Niechcący usłyszałem waszą rozmowę, wielmożni panowie — powiedziała. — Bardzo bym chciał zobaczyć tych cudzoziemców, bo

nigdy w życiu takich nie widziałem. Podobno są naprawdę straszni...
Może wiecie, dokąd ich zabrano?

Wu He spojrzął na nią z lekkim zdumieniem, podczas gdy Daruma nie spuszczał z niej badawczego wzroku; to nieoczekiwane wtrącenie się do rozmowy nieznanego, który słyszał ich słowa, wydało mu się bardzo dziwne.

Nie zrażony tym Wu He chętnie udzielił wyjaśnień.

— O ile wiem — zaczął — zabrali ich do...

Jeszcze nie skończył zdania, gdy do oberży wtargnęła grupa żołnierzy cesarskich. Dziewczyna natychmiast spuściła wzrok i odwróciła głowę do ściany, co również nie uszło uwagi Darumy, który złapał ją za rękę i przysunął się bliżej, aby nikt ich nie usłyszał.

— Masz zbyt szczupłą rękę jak na młodzieńca, za to bardzo silną — stwierdził. — Jeśli zaraz mi nie powiesz, kim jesteś i dlaczego ciekawią cię tamci cudzoziemcy, zaraz poproszę żołnierzy, aby zajrzeli ci za pasek, gdzie mogliby zobaczyć piękną czerwoną szarfę...

Wolna dłoń dziewczyny natychmiast wśliznęła się pod szatę w poszukiwaniu rękojeści sztyletu, zastygła jednak, gdy Daruma ją mówił dalej.

— Wśród tych cudzoziemskich diabłów mogą się znajdować moi przyjaciele, na których bardzo mi zależy.

Dziewczyna wypuściła z dłoni rękojeść sztyletu.

— Przyjaciele? — powtórzyła.

— Tak — potwierdził Daruma. — Możemy o tym porozmawiać?

— Możemy — zgodziła się dziewczyna.

— Jak masz na imię?

— Na razie nie mogę ci tego powiedzieć.

— A to dlaczego?

— Ponieważ to nie jest odpowiednia chwila, a poza tym ledwie cię znam. W gruncie rzeczy jesteś obcy.

— Niech ci będzie, ale teraz zrobisz to, co ci każę, następnie pójdziesz do karawanseraju i zaczekasz na mnie pod oknami domu z fontanną.

Dziewczyna skinęła głową.

Tymczasem Daruma, wskazując na stojącą przed nim sporą beczkę, polecił głośno:

— Poczęstuj no winem z granatów tych dzielnych żołnierzy! Na pewno są zmęczeni i spragnieni. Oberżysto, na mój rachunek!

Zaczerpnąwszy posłusznie wina z ogromnej beczki przy pomocy oberżysty, dziewczyna rozdzieliła je między żołnierzy, którzy wypili je łączywie, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem. Kiedy skończyła nalewać, odstawiła czarki i jak gdyby nigdy nic opuściła oberżę kierując się do zagrody. Po chwili żołnierze również wyszli i dosiadłszy koni, pogalopowali pustymi ulicami miasta. W otwartych drzwiach zaś ukazała się okrągła sylwetka Darumy w towarzystwie kupca, który zaczął recytować na nowo swą litanię:

— Jak już mówiłem, czcigodny przyjacielu, ten rok był okropny, wiele drzew morwy uschło z powodu braku wody i...

— Zgoda — odrzekł Daruma. — Zgoda. Ile chcesz za wszystko?

— Siedem i pół tysiąca darien — powiedział prosto z mostu Wu He.

— Niech ci będzie, ty złodzieju i pijawko — odparł Daruma spoglądając nań zniechęcony. — To rozbój w biały dzień, ale nie mam wyboru.

— O, nie mów tak, czcigodny przyjacielu. Jestem pewien, że odbijesz sobie tę drobną podwyżkę na klientach, którzy z kolei tobie będą wymyślać od złodziei i pijawek. Takie jest prawo naszego zawodu.

— Dobrze, już dobrze, ale teraz muszę cię prosić o wybaczenie; jestem bardzo zmęczony i tym razem chciałbym się wcześniej położyć.

Skłoniwszy się z szacunkiem, Wu He oddalił się. Dziewczyna, która przyglądała mu się spod oka, podeszła do konia, jakby zamierzała go odwiązać, nagle jednak tuż nad uchem usłyszała szept Darumy:

— Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Gdy Yun Shan się obejrzała, ogarnęło ją zdumienie na widok Darumy, który znajdował się na przeciwległym krańcu karawanseraju, w

odległości co najmniej trzydziestu kroków, i zdawał się medytować oparty o ścianę oberży.

Po chwili tuż obok znów rozległ się jego głos, który zabrzmiał zupełnie naturalnie.

— Dobrze słyszałaś. Nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy, pamiętasz?

Wypuściwszy z rąk uzdę, dziewczyna przemierzyła dziedziniec i podeszła do kupca.

— Jak to zrobiłeś? — zapytała.

— To zwykła sztuczka. Widzisz, jeśli zbliżysz usta do tej małej wnęki w ościeżnicy drzwi, usłyszysz cię po drugiej stronie kolumnady.

— To ciekawe. A teraz o czym mamy rozmawiać? — dodała Yun Shan.

— Dlaczego wypytywałaś o tych cudzoziemców? I co tu robisz?

— A dlaczego chcesz to wiedzieć? Nie znam cię.

— To bardzo proste: z opisu Wu He wywnioskowałem, że więźniowie, o których wspominał, to nikt inny jak książę Dan Qing i jego straż, ludzie przybyli z dalekiego królestwa Taqin Guo, najdalej położonego na zachód. Kiedy usłyszałem, jak o nich wypytujesz, przyszło mi do głowy, czy przypadkiem oboje nie szukamy tej samej osoby. Jesteś dziewczyną przebraną za mężczyznę, nosisz szarfę Czerwonego Lotosu i uciekasz przed gwardią cesarską.

— Przypuścimy, że tak jest — odparła. — A skąd mam mieć pewność, że nie jesteś szpiegiem?

— Stąd, że cię nie wydałem w ręce cesarskich żołnierzy. Nie miałybyś dokąd uciec, ja zaś otrzymałbym sówitą nagrodę. Wystarczyłaby na pokrycie przynajmniej części podwyżki cen narzuconej przez Wu He na jedwab, który od niego kupiłem.

Yun Shan zerknęła na niego z ukosa, nie odzywając się ani słowem. Usiłowała wybać swego rozmówcę, który z kolei przyglądał jej się ze spokojem. Dziewczyna miała małe, cudownie wykrojone usta, dość duże oczy i ledwie zarysowaną bruzdę między czołem a nosem.

— Jeszcze cię nie przekonałem? — zapytał Daruma.

— Mój mistrz mawiał, że najlepszym sposobem oszukiwania kogoś jest zdobycie jego zaufania.

— Słusznie. Jesteś osobą roztropną. Cóż więc mam uczynić, aby wzbudzić twoją ufność?

— Przekonać mnie, i to szybko. Zaraz wyjeżdżam.

— Jesteś bardzo podobna do twojego brata, księcia Dana Qinga — powiedział Daruma. — To ja sprowadziłem go z Persji do ojczyzny.

— Udowodnij, że to prawda.

— Udowodnić może jedynie twój brat, ale najpierw musimy go znaleźć. Mieliśmy się spotkać w tej oberży, ale minęło już wiele dni, a on się nie pojawił. Niestety ze słów Wu He wynika, że osobnik z zakrytą głową to właśnie on. Na dodatek nie ma żadnych wątpliwości, że cudzoziemcy o okrągłych oczach i szczeciniastym zaroście to jego straż przyboczna. Sam ich wynająłem w Persji. Jest ich dziesięciu, lecz są warci stu innych. To znakomici wojownicy; gdyby nie oni, twój brat nigdy by tu nie dotarł, księżniczko Yun Shan.

Dziewczyna wydawała się wreszcie przekonana.

— To on jest tym więźniem. Sama widziałam, jak Wei zakrywał mu głowę. Usiłowałam tylko wybać Wu He, czy słyszał, dokąd ich zabrali... Skąd wiedziałeś, że jestem jego siostrą?

— Nie wiedziałem. Domyśliłem się tego, ponieważ jesteście do siebie podobni. Ale chodź do mnie, usiądziemy tam — wskazał dwie wełniane poduszki i dywan pod arkadą karawanseraju. Po czym zdmuchnął płomyk gasząc lampion. Zagrodę oświetlały teraz jedynie promienie księżyca, dzięki czemu mogli bezpiecznie rozmawiać w ciemnościach.

Daruma wydał przeciągłe westchnienie.

— Jak to się stało? — zapytał.

— Wei opanował Klasztor Szmerzących Wód. Zabił mistrza Wangzi.

Hindus oparł głowę na dłoniach.

— Znałeś go? — zapytała Yun Shan.

— To właśnie on pomógł mi zorganizować ucieczkę twojego brata z Persji. Rozdzieliliśmy się z Danem Qingiem na skraju drogi wiodącej do Szmerzących Wód. Moja karawana nie zdołałaby przejść

przez most nad przepaścią. Ale zostawiłem go w dobrych rękach: miał pewną eskortę i gościnę mistrza Wangzi... Byłaś tam, prawda?

— Tak, byłam.

— A teraz należysz do Czerwonego Lotosu. Od jak dawna?

— Od miesiąca. Nie miałam na kogo liczyć, więc jeden z mnichów z Szemrzących Wód poradził mi, żebym się do nich udała.

— W takim razie dlaczego ścigali cię ludzie cesarza?

— Usiłowaliśmy uwolnić mojego brata.

— Ale wam się nie udało.

— O mały włos byśmy dali radę. Dowiedziałeś się czegoś więcej od twójgo przyjaciela kupca?

— Nie, ale możemy jeszcze zasięgnąć języka. Kiedy miał miejsce napad?

— Dwa dany po zachodzie słońca.

— I uciekłaś zaraz potem?

— Musieliśmy się wycofać, ponieważ tamci byli silniejsi od nas. Na dodatek mieli po swojej stronie oddział Latających Lisów. Jeszcze nie jestem gotowa, żeby z nimi walczyć.

— A więc skoro Wu He o tym wiedział, to znaczy, że jego szpieg musiał ich zobaczyć niedaleko stąd. I nie później niż po upływie połowy dana. Jedyne miejsce leżące tak blisko karawanseraju, gdzie mogli ich zobaczyć, to Pałac Brązowych Trójnogów.

— Możliwe — przytaknęła Yun Shan. — Rozumujesz rozsądnie.

— To więcej niż prawdopodobne — odrzekł Daruma. — Jak wiesz, Pałac Brązowych Trójnogów to stara budowla z epoki panowania cesarza Wudi, którą twój ojciec kazał odnowić zastępując większą część murów z niewypalanej cegły ociosanym kamieniem. Nadal wszakże pozostaje pewien słaby punkt. Trudność polega na tym, jak uprzedzić księcia o planowanej ucieczce, aby zdążył się przygotować.

— Można temu zaradzić. Czerwony Lotos ma wielu szpiegów nawet w miejscach uważanych za niedostępne.

— Powiedz mi coś o jego eskorcie. To wyjątkowi żołnierze, których chciałbym uratować za wszelką cenę. Mam wobec nich dług,

ponadto zawarłem z nimi pakt, którego pragnę dotrzymać. Czy wszyscy żyli, kiedy widziałas ich po raz ostatni?

— Nie liczyłam ich. Ale mam wrażenie, że było ich około dziesięciu.

— Ich dowódca to człowiek o zadziwiającej sile ducha, który potrafił zaskarbić sobie zaufanie, a może nawet i szacunek twojego brata. Jest dość wysoki, ciemnowłosy, ma bursztynowe oczy, przenikliwe spojrzenie, potężną budowę ciała... Widziałas go? To znaczy czy widziałas mężczyznę o takim wyglądzie... żywego?

— Widziałam. Tak mi się wydaje...

Daruma westchnął.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Yun Shan zawahała się przez chwilę.

— Pamiętam spojrzenie... — powiedziała.

— Oby niebiosa sprawiły, żeby Xiong Ying był przy życiu. To wojownik sławny w swoim kraju, ale również człowiek, który wiele wycierpiał i który patrzył na śmierć swoich najbliższych nigdy nie tracąc ducha. Człowiek, który dotrzymuje danego słowa, nawet gdyby miało go to kosztować życie. Ani on, ani jego żołnierze nie zasługują, żeby odejść z tego świata w męczarniach.

Yun Shan przypomniała sobie owe głębokie bursztynowe oczy, zarazem świdrujące na wylot niczym oczy orła i przepełnione melancholią. Oczy Xiong Yinga...

— Dlaczego nosi chińskie imię?

— Bo nadał mu je twój brat po tym, jak Rzymianin uratował mu życie po napadzie Latających Lisów. Nawet nie potrafiłabyś wymówić jego prawdziwego imienia.

— Co zamierzasz zrobić, żeby ich uratować? — zapytała Yun Shan.

— Musimy jak najprędzej zasięgnąć języka i dowiedzieć się jak najwięcej. Każda chwila może się okazać ostatnią. To miejsce będzie moją kwaterą główną; możesz przysyłać mi tu wieści, kiedy tylko zechcesz.

Yun Shan wstała zamierzając odejść.

— Jeszcze chwilę — powstrzymał ją Daruma.

Dziewczyna znieruchomiła.

— Ile jest prawdy w opowieści, która krąży o tobie i o Wei?

Yun Shan zamierzała przemówić, lecz głos zamarł jej w gardle, oczy zaś napełniły się łzami. Chwyciwszy konia za uzdę, schowała się w cieniu. Daruma został sam.

— Jest prawdziwa — szepnęła do siebie. — Od początku do końca.

26

Yun Shan posuwała się powoli i ostrożnie przez jakiś czas, widząc jednak, że na drodze nikogo nie ma, puściła się galopem. Przemknęła niczym zjawa po cichych ulicach Luoyangu, skąpanych w blasku księżyca. Jej koń zdawał się w ogóle nie dotykać kopytami ziemi, jakby nie dźwigał na grzbiecie żadnego ciężaru, jakby dosiadająca go dziewczyna stanowiła jedność z pędzącymi nogami, z napiętymi pod lśniącą skórą mięśniami. Przelatywała przez opustoszałe place, przeskakiwała przez ogrodzenia, przebiegała przez ukryte ogrody, przez prążkowane cieniami dziedzińce, pod rzeźbionymi kolumnadami, po alejach ciągnących się wzdłuż stojących szeregiem wielkich trójnogów, wśród gasnących płomieni i bladych lampionów.

Biegła, aby uciec od własnych myśli, przed bolesnymi wspomnieniami z przeszłości, przed lękami dnia dzisiejszego, przed cieniami umarłych, przed duchami, które pędziły z równą szybkością po niebie, od czasu do czasu przesłaniając światło księżyca.

Cień.

Cień jeźdźca w głębi ulicy.

Skreśliła, gwałtownie szarpiąc za wodze, po czym pomknęła w przeciwnym kierunku, nie rozpoznając miejsc, sama nie wiedząc, dokąd zanieśie ją rozpędzony wierzchowiec.

I znów kolejny cień.

Jeździec, stojący nieruchomo pod łukiem bramy, zamykał wyjazd z miasta.

Yun Shan rozejrzała się na wszystkie strony w przekonaniu, że wszędzie czyhają chmary żołnierzy cesarza, ulice wszakże były puste.

Jeździec rzucił jej wyzwanie w pojedynkę. Musiała je podjąć-

Podciągnąwszy wodze ku sobie, wyjęła spod siodła pochwę, w której znajdowało się cenne Lodowe Ostrze, miecz wykuty trzy wieki wcześniej dla przodka Xung Zhou przez mistrza z Yue. Kiedy zeskończyła na ziemię i wydobyła go z pochwy, zaśnił błękitnym blaskiem w promieniach księżyca.

Jeździec również zsiadł z konia i dobył miecza. Był odziany na czarno, twarz zaś przykrywała mu turkusowa jedwabna chusta.

Zbliżywszy się do siebie krok po kroku, przystanęli w odległości umożliwiającej wypad, przy którym mogliby się wzajemnie zranić. Klingi mieczy mieniły się puszczać błękitne refleksy, przecinając powietrze z cichym świstem. Ciała zaś poruszały się w tańcu zmuszającym je do poszukiwania idealnej równowagi i ciosu, który zadaje śmierć.

Nagle miecze zderzyły się z prędkością błyskawicy, iskrząc się srebrzyście, zadając ze szczękiem czyste, wyraźne, coraz szybsze, coraz bardziej nieuchronne razy. Zabójcze ostrza muskały ciała, odbijając się od siebie nawzajem, niemal dotykały oczu, czoła, serca, niespodziewanie zmieniając kierunek za sprawą nieprzyjacielskiego umysłu, ramienia, ostrza.

Naraz oboje znieruchomieli trzymając miecze przed sobą i przygotowując się do kolejnego, przemyślanego ataku.

Yun Shan poczuła, że siły tamtego mężczyzny nie doznały żadnego uszczerbku, podczas gdy jej energia wyczerpała się z powodu długiego biegu, zbyt wielu emocji, szaleńczej ucieczki, strachu przed coraz silniejszym wrogiem.

Musiała przezwyciężyć to wrażenie, które ją osłabiało, rzucając się naprzód z krzykiem orła, skacząc jak tygrys i szybując w powietrzu, aby spaść z wysokości niczym błyskawica, zrobić wypad i zadać celny cios między łopatki, trafić od góry w samo serce.

„Trafić od góry w samo serce.”

Uświadomiła sobie, że w tej samej chwili słowa te przelatywały przez głowę tamtego mężczyzny. Przeciwnik uniknął ciosu obracając się na palcach niczym toczący się po podłodze bąk-zabawka. Kiedy Lodowe Ostrze wbiło się w ziemię, Yun Shan upadła na kolano obok niego, z prawą ręką zaciśniętą na jelicu, lewą zaś wspartą o podłoże. Tymczasem klinga wroga uderzyła przecinając rzemień przytrzymujący jej na szyi chustkę, po czym chustka spadła odsłaniając twarz i całe jej woskowe piękno.

Przeciwnik, który mógłby ją dobić jednym ciosem, zastygł w bezruchu, jakby ów widok raził go w samo serce.

— Księżniczka Yun Shan... — powiedział odsłaniając twarz.

— Wei... — odezwała się dziewczyna. — Na co czekasz? Czy nie mnie właśnie chciałeś? No, uderz.

— A więc to ty zamierzałaś mnie zabić — rzekł Wei, jakby nie usłyszał jej słów.

— Chciałam uwolnić brata.

— Twój brat cię unieszczęśliwił, mnie zaś doprowadził do rozpacz — oświadczył okrążając ją. — Musi się przekonać na własnej skórze, co to znaczy rana, której nic nie jest w stanie uleczyć, musi wycierpieć to, co człowiek jest zdolny wycierpieć.

— To ci nie przywróci tego, co utraciłeś.

Yun Shan wyrwała z ziemi Lodowe Ostrze, podczas gdy Wei stał bez ruchu. Trzymał miecz skierowany w dół i ze spuszczonego wzrokiem krążył wokół Yun Shan, która obracała się wraz z nim, nie spuszczać go z oka.

Opuściwszy nagle środek owego idealnego kręgu, Yun Shan podeszła do przeciwnika i przystawiła mu ostrze do gardła.

— Zabiłeś mojego mistrza Wangzi. A ja muszę go pomścić.

— To nie był twój mistrz, lecz twojego brata. On też ponosił odpowiedzialność. Żli nauczyciele muszą płacić za złych uczniów, których rozsiali po świecie na zgubę innych.

Lodowe Ostrze znajdowało się tuż przy szyi Wei, szyi białej i czystej niczym u młodej dziewczyny.

Gdy Wei podniósł głowę, którą trzymał opuszczoną aż do tej pory, na jego policzkach załśniły łzy. Spływały z niewzruszonych oczu po idealnie gładkiej twarzy.

— Jestem w stanie przyjąć śmierć wyłącznie z twojej ręki. Tylko ty możesz na mnie zesać spokój, skoro nie potrafisz dać miłości. Uderz teraz, Yun Shan. Drugiej okazji nie będzie.

Dziewczyna zadała cios prosto przed siebie, Lodowe Ostrze wszakże ledwie drasnęło czoło Wei, po czym natychmiast się cofnęło. Pozostawiło szkarłatną kroplę w miejscu, gdzie żelazo przebiło skórę, kroplę maleńką niczym kropelka rosy, po czym zniknęła w pochwie.

— Możesz to potraktować jako ostatni przejaw współczucia z mojej strony — rzekła Yun Shan. — Obrabiłeś drogę, która prowadzi do otchłani, drogę, po której mogą pójść za tobą jedynie nikczemnicy. Uwolnij mojego brata, a wtedy zapomnę, co zrobiłeś. Uwolnij mojego brata i żołnierzy jego eskorty. Ukryj się w klasztorze, a nikt nie wyrządzi ci krzywdy. Daję ci na to moje słowo.

Wei przysunął się tak blisko, że poczuła na twarzy jego oddech. Widok jego błyszczących oczu ścisnął za serce, głos wszakże był lodowaty i chłostający.

— Zniszczę ten przeklęty ród, którego niebiosy się wyrzekły, i założę nowy — powiedział. — Jeśli jednak miałbym ponieść klęskę, pójdę na spotkanie nowego przeznaczenia bez żalu. — Po czym dodał łamiącym się głosem: — Towarzyszy mi wspomnienie, Yun Shan, wspomnienie miłości, której nie mogło zniszczyć nawet najokrutniejsze ostrze miecza zadające ból mojemu udreżonemu ciału. Żegnaj na zawsze.

Schowawszy miecz do pochwy, wykonał nieprawdopodobny skok lądując lekko wprost na grzbiecie konia. Następnie ruszył w kierunku wsi i zniknął dziewczynie z oczu.

Yun Shan śledziła go wzrokiem przez chwilę, po czym osunęła się na ziemię i zapłakała.

Tymczasem jeździec wpadł galopem przez główną bramę pałacu cesarskiego między dwoma rzędami strażników, którzy czuwali czekając na świt, i pognął aż do majestatycznych schodów wiodących do głównego pawilonu. Następnie oddał wierzchowca stajennym, którzy

nadbiegli czym prędzej, i przeskakując po stopniach wszedł do westybulu oświetlonego sześcioma ogromnymi paleniskami umieszczonymi na monumentalnych trójnogach z brązu.

Powitał go uniżenie stary urzędnik pałacowy.

— Szlachetny panie.

— To niesłychane, co się dzisiaj stało. Napadnięto mnie w moim własnym mieście, o mało nie zginąłem z powodu Czerwonego Lotosu!

Starzec skłonił się zmieszany.

— Zdaję sobie z tego sprawę, czcigodny Wei, z drugiej jednak strony robimy wszystko co w naszej mocy, żeby...

— Nie chcę wszystkiego co w waszej mocy! — wrzasnął Wei. — Chcę, żeby ci ludzie zostali zgładzeni! Co robią twoi szpiedzy? Gdzie oni są? Moje życie jest w niebezpieczeństwie za murami mojego własnego pałacu!

— Czerwony Lotos cieszy się dużym poparciem wśród mieszkańców, panie, nawet w pałacu cesarskim jest wielu jego zwolenników. To i tak ogromne szczęście, że udało ci się schwytać księcia Dana Qinga.

— To nie jest szczęście, ale wynik mojej zręczności, a także tego, że osobiście o to zadbałem — odrzekł eunuch. — Otaczają mnie same ciemięgi i nieudacznicy, mogę zaufać wyłącznie sobie!

Stary urzędnik ciągnął, jakby nie słyszał jego słów:

— Cesarz nie żyje, chociaż nikt o tym nie wie, jego syn zaś znajduje się w niewoli. Pozostało ci ostatnie zadanie do wykonania: zdobyć przychylność narodu, a tym samym niebios.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Wei z niespodziewanym spokojem.

— Musisz przekonać naród, że jesteś narzędziem niebios, które ma ukarać niegodną dynastię, a wówczas twoja władza nie będzie miała granic. Może nawet zdołasz zjednoczyć wszystkie trzy królestwa, przywrócić całemu krajowi jednakowe granice, tak jak powinno być.

— I założyć dynastię, która wygaśnie wraz z moją śmiercią... — uśmiechnął się krzywo Wei.

— To nieprawda. Zawsze można stworzyć ród. Czy wiesz, ile cesarzowych, które nie mogły mieć dzieci, oszukało swych mężów przedstawiając im synów niewolnic jako swoich? Skoro bezpłodne matki mogły się stać rodzicielkami dziedziców, dlaczego to samo nie miałyby się przytrafić ojcu? Wiesz mi, potężny panie, teraz musisz zaskarbić sobie przychyłność narodu.

— Ale jak? Nie kochają mnie, to jedno jest pewne.

Panująca wokół nocna cisza była tak głęboka, że dało się słyszeć ciche syczenie lamp oliwnych oraz delikatny, nieprzerwany świst wiatru wiejącego z północy. Przez chwilę na dziedzińcu zewnętrznym rozlegały się czyjeś kroki, po czym umilkły.

Starzec znalazł wreszcie właściwą odpowiedź.

— Ponieważ mają o tobie wyobrażenie, które różni się z prawdą.

— To znaczy, że jestem o wiele gorszy, niż im się wydaje. Co do tego też nie ma wątpliwości. Ale powiedz mi, co ci chodzi po głowie.

— Niedługo koniec roku. Od lat z powodu zamieszek pogrążających nasz kraj w bólu nie urządza się już uroczystości, do których naród jest przyzwyczajony.

— Święta, iluminacje, darmowe jadło, smoki z kolorowego papieru, którym z nozdrzy leci dym...

— I walki więźniów.

— Nie mów zagadkami. Powiedz wprost.

— Słyszałem, że ci barbarzyńcy, których pojmałeś wraz z księciem, to znakomici wojownicy. Czy to prawda, że pochodzą z Taqin Guo?

— Podobno. Ich wygląd zdaje się to potwierdzać.

— Zajrzałem do tajnych ksiąg, które ocalały z pożaru Wielkiej Biblioteki Luoyang. Podobno w ich kraju istnieje barbarzyński, lecz ciekawy zwyczaj, będący najczęściej oglądanym widowiskiem: walki między niewolnikami albo prawdziwymi wojownikami w ogromnych budowlach z siedzeniami dla widzów. Każ im walczyć na dużym dziedzińcu pałacowym, u stóp schodów, i otwórz pałac dla gawiedzi!

Wei sprawiał wrażenie nieobecnego, ze wzrokiem utkwionym w jakieś odległe chimery.

— Sądzisz, że to zły pomysł?

— Nie, może i masz rację. A grupa dzikich i okrutnych Xiong Nu, schwytych niedawno w pobliżu wielkiego muru, może się okazać godnym przeciwnikiem.

— Mimo całego szacunku, wielmożny panie, uważam, że walka byłaby o wiele bardziej widowiskowa, gdyby przeciwnicy wzbudzali znacznie większy strach.

— Czyżby Xiong Nu nie byli dostatecznie groźni? Kogo masz na myśli, kto twoim zdaniem powinien wystąpić przeciw barbarzyńcom z Taqin Guo?

Starzec spoważniał i spuścił wzrok, nim wreszcie odparł:

— Latające Lisy.

— Dobrze wiesz, że to niemożliwe — oświadczył Wei po chwili wahania.

— A to dlaczego, wielmożny panie? Co stoi na przeszkodzie?

— Zdrowy rozsądek, który powinieneś zawdzięczać podeszłemu wiekowi. Latające Lisy muszą pozostać istotami bezcielesnymi i pozbawionymi twarzy, żeby siać jak największy postrach. Pokazanie ich w świetle dnia, podczas publicznej walki, dowiodłoby, że to istoty z krwi i kości, a zatem śmiertelne, podobnie jak ludzie.

— Rozumiem twój punkt widzenia i doceniam olbrzymią mądrość, ale widząc, jak stają do walki z najstraszniejszymi wojownikami Zachodu, każdy by pojął, że nie sposób się przeciwstawić takiej sile.

— Widowisko byłoby zatem przeznaczone przede wszystkim dla członków Czerwonego Lotosu.

— Jestem pewien, że wśród gawiedzi będzie ich niemało.

Wei zaczął przemierzać ogromny westybul, jego sylwetka zaś odcinała się w widmowym blasku księżyca.

— Sądzisz, że to mi zaskarbi przychylność narodu?

— Bez wątplenia.

Wei pokręcił głową w zamyśleniu. Tymczasem starzec jął mówić dalej:

— Barbarzyńcy powinni wdziać swoje zwykłe szaty i włożyć zbroje, żeby walka stała się jeszcze bardziej podniecająca. Powinno im się też obiecać, że jeśli wygrają, odzyskają wolność. Dzięki temu będą

się bić z większą zaciekłością. Jest jeszcze jeden powód, dla którego tylko Latające Lisy mogą zostać ich jedynymi i godnymi przeciwnikami...

— Jeszcze jeden powód... A jakież to?

— Być może jeszcze nie wiesz, ale nie tylko oni dotarli tutaj aż z ich kraju.

— Co takiego? — zdumiał się Wei.

— Słyszałeś kiedyś o Trzystu Najemnych Diabłach?

— Tak. Ale to tylko legenda.

— To prawda. Trzystu Najemnych Diabłów istniało naprawdę. Ponad trzy wieki temu zjawili się znikąd na naszej zachodniej granicy. Zajęli przygraniczną redutę i osiedlili się tam, najwyraźniej nie mając zamiaru jej opuścić. Chociaż dowódca garnizonu, dzielny człowiek, który pełnił swoje obowiązki z całkowitym oddaniem, ich zaatakował, okazali się tak groźnymi przeciwnikami, że nie było żadnego sposobu, aby ich pokonać. Kroniki piszą, że walczyli osobliwie: z tarczami na głowach, ustawiając się w szyku przypominającym rybie łuski...

— Co to za historia, starcze? — przerwał mu Wei. — To mi się wydaje zupełnie pozbawione sensu. I niby jakim cudem ja nic o tym nie wiem, mimo że czytałem księgi ocalałe z pożaru Wielkiej Biblioteki Luoyang?

— Ponieważ kroniki trzymano w ukryciu i tylko ten, kto widział inskrypcję na skale w Li Cheng, zna tę opowieść.

— Mów dalej — polecił Wei, starcowi zaś wydało się, że dostrzega w jego oczach jakąś ulotną, tajemniczą słabość.

Dał więc znak słudze, który czekał bez ruchu w głębi sali, podobny do posągu. Sługa natychmiast zniknął, po chwili zaś wrócił niosąc parujące naczynie i napełnił dwie czarki z rzeźbionego złota jasnym naparem.

Przysiadłszy na piętach, obaj się napili, po czym starzec podjął swą opowieść.

— Kiedy cesarz Yuandi się o tym dowiedział, bardzo się rozgniewał. Kazał ściąć głowę dowódcy garnizonu, następnie posłał tam młodszego dowódcę ze świeżymi oddziałami i kategorycznym rozkazem przepędzenia barbarzyńców. Tamtemu jednak też się nie udało.

Nieprzyjaciele wyszli bowiem na otwarte pole ciągnąc za sobą maszyny, jakich nigdy dotąd nie widziano, a które wypuszczały pociski o przerażającej sile, następnie zaś urządzili niespodziewany wypad, zaatakowali w tym swoim zamkniętym szyku i rozgromili naszych. Tym razem zdumiony cesarz zapytał, ilu jest tych wojowników i ilu naszych potrzeba, żeby ich pokonać. Odpowiedziano mu, że pięć tysięcy żołnierzy to aż nadto, by rozgnieść tych barbarzyńców jak natrętne robaki, ale wcale tak się nie stało. Kiedy kolejne oddziały ruszyły do ataku, ujrzały nowoczesne umocnienia, które sprawiły, że ta licha reduta z suchego błota stała się nie do zdobycia. Armia ugrzęzła wśród jesiennych deszczów, następnie zmarzła podczas zimowych mrozów, nędzna forpoczta zaś, która zmieniła się w potężną fortecę, ciągle nie dawała żadnego znaku, że zamierza się poddać... Czy mam mówić dalej, panie?

— Mów — polecił Wei.

— Wówczas nasz dowódca, mając dość czekania, aż zmorzy ich głód, postanowił zagrać o wszystko i rozkazał wejść na mury, ale żołnierze ponieśli kolejną klęskę: nagle pod ich stopami otworzyły się fosy, których wcześniej nie było, wyrosły przed nimi ściany ognia, z nieba posypały się gązdy, ich szeregi zaś przetrzebiły śmiertelne pociski. Kiedy naszym udało się w końcu zrobić wyłom, natrafili na drugi mur, zbudowany z ociosanych kamieni. I wieże, z których spadały kolejne pociski... Obleżenie zamieniło się w krwawą rzeź... Cesarz zdał sobie sprawę, że powinien przystąpić do ataku z o wiele większymi siłami, nie miał wszakże sumienia zabijać ludzi, którzy bronili się z takim męstwem, toteż zamiast wysłać przeciw nim nowe wojska, wysłał nauczyciela.

— Nauczyciela?

— Tak, panie. Nauczyciela chińskiego, przyjętego z szacunkiem i potraktowanego dobrze przez barbarzyńców, którzy okazali się mniej barbarzyńscy, niż można było sądzić. Pod koniec zimy ich dowódcy władali już naszym językiem w wystarczającym stopniu, żeby móc prowadzić prostą rozmowę, wobec tego nauczyciel zadał im mnóstwo pytań, które podpowiedział mu sam cesarz: kim są, skąd pochodzą, dlaczego się tu zatrzymali i dlaczego walczą z taką zaciętością. Odrzekli,

że przybyli z dalekiego kraju, który określili mianem największego imperium na ziemi. Imperium posiadającego ponad dziesięć tysięcy miast, strzeżonego przez milion żołnierzy, imperium posiadającego w swym obrębie jeszcze większe morze, po którym pływają tysiące okrętów... Z wielu wskazówek wywnioskowano, że chodzi o bajeczne Taqin Guo.

— A więc to ci sami ludzie — stwierdził Wei, jakby mówił do siebie.

— Ci sami — przytaknął starzec. — Powiedzieli, że brali udział w wielkiej bitwie z Persami, wpadli w zasadzkę i że większość ich kompanów broniła się zaciekle, ale zostali wybici. Tylko ich oddziałowi udało się przedrzeć i uratować. Ponieważ jednak wszystkie drogi były zamknięte z wyjątkiem tej prowadzącej na wschód, obrali ów kierunek i po roku marszu dotarli do naszych granic. Wysłuchawszy ich opowieści, cesarz zaproponował, żeby wstąpili do niego na służbę jako straż przyboczna. Zgodzili się, a podczas misji, jakie im powierzano, wykazali się tak wielkim męstwem, że uznano ich za niepokonanych i nieśmiertelnych. Po wielu latach służby cesarz podarował im ziemie pod uprawę w wiosce zwanej Li Cheng, gdzie podobno nadal mieszkają ich potomkowie. Cesarz postanowił również, że tylko oni mogą poprowadzić go do grobu na wieczność, gdy nadejdzie pora.

— Dlaczego mi opowiedziałeś tę historię? — zapytał na koniec Wei.

— Ponieważ ci ludzie obrośli w legendę i są nią nadal. Jedyne mit może zwalczyć mit: Latające Lisy przeciw wojownikom z Taqin Guo.

— Naprawdę uważasz, że dzięki temu zaskarbiłbym sobie przychyłność narodu?

— Bez wątpienia. Każdy, kto zobaczy Latające Lisy w walce i zda sobie sprawę, że służą ci ludzie, których cechują tak nieprawdopodobne męstwo i zręczność, uwierzy w prawdziwość twojej władzy. A wówczas nic nie zdoła cię już powstrzymać: pewnego dnia mógłbyś zjednoczyć wszystkie trzy królestwa pod jednym berłem i przejść do historii jako wybawiciel naszego narodu.

— Naprawdę sądzisz, że to wszystko ma dla mnie jakieś znaczenie? — zapytał Wei z nieobecny wyrazem twarzy.

Starzec zaś skłonił głowę z lekkim westchnieniem, nic nie mówiąc.

Nagle zerwał się wiatr, gdzieś zaskrzypiało okno, w oddali zaszczekał pies, a płomień w palenisku zdawał się lekko przygasać.

— Późno już — stwierdził w pewnej chwili Wei. — Chcę stąd odejść. Każ oddać broń, odzienie i insygnia wojownikom z Taqin Guo. Za siedem dni będą walczyć z Latającymi Lisami.

— Zrobię jak mówisz, panie. Nie będziesz miał powodów, żeby się uskarżać.

Między obydwojoma mężczyznami siedzącymi naprzeciw siebie na piętach znów zapadło milczenie.

Naraz nocny spokój przerwał śpiew, a może jęk wiatru. Był to ostatni dźwięk, jaki dało się usłyszeć w nieruchomej ciszy poprzedzającej brzask.

27

Dni niewoli stanowiły dla Marka Metellusa okres niepokoju, przez cały bowiem czas zastanawiał się, jaki los czeka jego i jego kompanów, jakiej pomocy może się spodziewać z zewnątrz i czy owa pomoc w ogóle nadejdzie. Chociaż siedział z dala od wszystkich w swojej celi, starał się porozumiewać z żołnierzami już to wołając, już to stukając w drzwi kłykciami, aby zostać usłyszonym, dodać im otuchy i wzbudzić nadzieję. Doskonale wiedział, jak ogromny ma na nich wpływ. Obiecał, że zaprowadzi ich do domu, toteż spędzał teraz długie godziny na snuciu planów, jak tego dokonać, lecz monotonia nagich ścian celi, przerywana jedynie przez znajdujące się tuż pod sufitem małe okienko, przez które sączyło się zaledwie słabe światło, zdawała się odbierać wszelką nadzieję.

Pomyślał, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być jeszcze gorzej. Już chyba wołałby straszne warunki w Aus Daiwa od tego potwornego

odosobnienia i całkowitej pustki, które trudno mu było znieść. Tam przynajmniej widywał się ze swymi kompanami, mogąc choć w skromnym zakresie troszczyć się o tych, którzy tego potrzebowali. Wspominał Uksala i jego szorstkie przejawy przyjaźni, zastanawiając się, co by powiedział lub zrobił, gdyby znalazł się wraz z nimi w tym więzieniu.

Każdej nocy przed zaśnięciem jego myśli wędrowały ku przodkom, ku Klelii; oczyma duszy starał się dojrzeć w ciemnościach jej twarz, ciemne błyszczące oczy, miękkie, ładnie wykrojone usta. Jej napawające smutkiem rysy przywoływały natychmiast wspomnienie jakże odległego, jakże zagubionego synka. Może jeszcze żywego, może już martwego, bezbronnej ofiary sił, nad którymi nie sposób zapanować. Myślał o Aurelianie, lojalnym i walecznym przyjacielu, mając nadzieję, że stanie się on bastionem broniącym ojczyzny i syna.

Niekiedy spośród owych obrazów wyzierał jeszcze jeden, nieoczekiwany i niepokojący: roziskrzony i zagadkowe oczy Yun Shan, dziewczyny, z którą wymienił ukradkowe spojrzenia w klasztorze, tuż przed tym, nim zabrano go wraz z Danem Qingiem. Ogarnęło go wówczas osobliwe uczucie, jakieś niejasne oczekiwanie, wręcz tajemnicze przyciąganie.

Wkrótce wszakże sobie uświadomił, że w odosobnionym i głuchym pomieszczeniu myśli krążą w pustce, usiłował więc zająć umysł jakąś inną czynnością, jak choćby rachunkami bądź słowami. Próbował recytować z pamięci pieśni „Eneidy” Wergiliusza, przypominając sobie naukę z lat młodości, albo początkowy rozdział „Anabazy” Ksenofonta po grecku, który tyle razy sylabizował w szkolnej ławie.

Jedyny kontakt ze światem zewnętrznym następował w trakcie posiłków, kiedy to przez kłapę w drzwiach podawano mu jadło i wodę i przez krótką chwilę można było dostrzec twarz dozorca, starca z długą siwą brodą. Pewnego dnia uzmysłowił sobie, że stracił wszelką nić porozumienia z kompanami. Nie słysząc żadnej odpowiedzi doszedł do wniosku, że przenieśli ich gdzie indziej, co wywołało głębokie przygnębienie. Teraz otaczała go jedynie cisza. Cały budynek wydawał się pusty, jego głos zaś natychmiast milki w ciemnościach.

Po kilku dniach owego niby-życia zaczął tracić rozum. Przyszło mu do głowy, że to może trwać przez wiele miesięcy albo lat, a nawet do końca życia, i że tego nie zniesie. Usiłował nawet sobie wyobrazić, co by zrobił na miejscu tego, kto trzymał go w niewoli, ponieważ jednak nie potrafił sobie uzmysłwić, w jaki sposób rozumuje owa wroga dusza, wszelkie przypuszczenia wydawały mu się nieprawdopodobne. Postanowił, że gdy nie będzie już w stanie znieść tej absurdalnej pustki, odbierze sobie życie z honorem, jak przystało na Rzymianina. Aż do tej chwili będzie wszakże ćwiczył umysł i ciało, aby zachować idealną sprawność. Jediną osobliwością tej niewoli były względna obfitość i różnorodność jadła, znakomita jakość wody, a także napar o barwie bursztynu, podawany do każdego posiłku.

Pewnej nocy tuż przed świtem usłyszał jakieś hałasy, skrzypienie drzwi, odgłos odsuwanych rygli, po czym znów nastała cisza.

Szukając wyjścia zdał sobie sprawę, że nie znajduje się ono tam gdzie zawsze, po czym odnalazł je po omacku na innej ścianie. Jak to możliwe? Poczuł lęk i zagubienie — może naprawdę traci rozum?

Kiedy hałasy rozległy się na nowo, przystawił ucho do drzwi, aby lepiej słyszeć, lecz ku jego zdziwieniu skrzydło ustąpiło pod dotykiem i się otworzyło. Znalazłszy się w korytarzu, który słabo oświetlała lampka oliwna, ostrożnie ruszył naprzód. Korytarz był dość krótki i prowadził do dużej izby, do której przylegały kolejne cele. Nie było żadnej drogi ucieczki. Co to wszystko miało znaczyć?

Podszedł do jednych z drzwi i dotknął rygla.

— *Quis est?* — odezwał się ktoś po łacinie. Rozpoznał głos Marcjanusa.

— Czy to ty? — zapytał.

— To ja, wodzu! Ale co ty tu robisz? I co się z tobą działo? Od wielu dni nie słyszeliśmy twojego głosu.

— Nie wiem — odparł. — Moje drzwi były otwarte. — Po czym odsunął rygiel. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Co się dzieje?

— Nie wiem — powtórzył Metellus. — Nie wiem.

— Ej! — zagrział głos Kwadratusa. — To ty, wodzu?

— Jesteśmy tutaj! — rozległy się pozostałe głosy. Odsunawszy po kolei wszystkie rygle, Metellus uwolnił swych kompanów. Padli sobie w ramiona. Po całkowitym, jakże niepokojącym odosobnieniu nie mogli uwierzyć, że znów są razem.

Balbus położył mu dłoń na ramieniu.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział. — A co się teraz stanie? Zdaje się, że stąd nie ma wyjścia.

— Ja też tak myślę — zgodził się z nim Metellus — ale przynajmniej coś się będzie działo. Skoro zebrali nas wszystkich razem, musieli mieć jakiś powód.

Lucjanus zabrał się do oglądania ścian kawałek po kawałku, kiedy jednak zdał sobie sprawę, że budowla przypomina kamienną puszkę bez żadnych otworów, zakłął po grecku.

— Czy któryś z was pamięta, którądy tu weszliśmy? — zapytał.

— Bodajbym pękł, jeśli pamiętam choć jeden szczegół z tej nocy — odrzekł Rufus drapiąc się po rudawej czuprynie.

— Kiedy wchodziliśmy, było ciemno — przypomniał Septymiesz.

— Wodzu, czy rozumiesz coś z tego wszystkiego? — zapytał Publiusz podchodząc do Metellusa. — Żaden z nas nie rozpoznaje tego miejsca. Żaden z nas nie przypomina sobie, w jaki sposób tu weszliśmy, ani nie pojmuje, jak można się stąd wydostać. A przecież ktoś zostawił otwarte drzwi do twojej celi. Musiał więc jakoś wejść, a potem wyjść.

Zastanowiwszy się przez chwilę w milczeniu, Metellus rzekł:

— Jest tylko jedno wytłumaczenie: podczas gdy spaliśmy, przeniesiono nas do innego miejsca niż to, do którego weszliśmy pierwszym razem.

— Wodzu — odparł Antoninus — ja się budzę nawet wtedy, gdy karaluch chodzi po klepisku.

— Widocznie ktoś cię uspił — stwierdził Metellus. — Bez trudu mogli nam dosypać czegoś do jadła albo do wody.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy z jednej z otwartych cel dobiegł jakiś hałas, coś jakby zgrzyt kamienia pocierającego o kamień, po czym

zjawił się przed nimi mężczyzna odziany w zieloną jedwabną tunikę, która sięgała mu aż do pięt. Wszyscy odnieśli wrażenie, że przybył znikąd, niczym duch.

— Który z was to komendant Xiong Ying? — zapytał.

— Ja — odrzekł Metellus występując naprzód. — Skąd znasz moje chińskie imię? Czyżby przysłał cię książę? Przyszedłeś, żeby nas uwolnić?

Mężczyzna w zielonej tunice nie odpowiedział, lecz dał im znak, by podążyli za nim, po czym przekroczył próg celi, z której się uprzednio wyłonił.

Kiedy Metellus i jego kompani ruszyli za nim, zdali sobie sprawę, że mur w głębi celi, w której zamknięto Septymiusza i Rufusa, jest otwarty: cała ściana obróciła się w zawiasach niczym drzwi, za nią zaś znajdowało się kolejne pomieszczenie. Przekroczony kamienny próg, stanęli jak wryci, nie wierząc własnym oczom. Na drewnianych wieszakach wisiały rzędem ich zbroje, które znajdowały się w idealnym stanie. Na tle pozostałych wyróżniał się z powodu czerwonego grzebienia lśniący hełm Marka Metellusa.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał po chińsku Metellus.

— Że przyszedłem zwrócić wam wolność — odrzekł mężczyzna wyraźnie wymawiając każde słowo, aby mieć pewność, że zostanie dobrze zrozumiany.

— Mów jaśniej — naciskał Metellus. — Chcesz przez to powiedzieć, że możemy odejść?

— Wolność to cenna rzecz — odparł mężczyzna — którą trzeba zdobyć.

Metellus pojął, że nie czeka ich nic dobrego.

— Jutro jest nasz Nowy Rok. Nasz pan, czcigodny Wei, postanowił przywrócić pewien stary zwyczaj, pochodzący z pierwszych lat dynastii, a polegający na tym, że cudzoziemscy więźniowie toczą walkę z naszymi najlepszymi wojownikami. Jeśli zwyciężą, odzyskają wolność. Jeśli przegrają, zostaną pochowani na cmentarzu dla obcych przybyszów wraz z szatami i zbrojami.

Metellus westchnął głęboko.

— Co on mówi? — zapytał Antoninus.

— Mówi, że będziemy musieli walczyć z ich najlepszymi wojownikami, jeśli chcemy odzyskać wolność. Ma to być coś w rodzaju walki gladiatorów.

— Powiedz mu, że jesteśmy gotowi — odparł Kwadratus. — Nie boimy się nikogo.

— Pewnie, lepiej zginąć od porządnego ciosu mieczem, niż zdechnąć w tej norze — przytaknął Publiusz.

Wszyscy pozostali byli tego samego zdania.

— Jesteśmy gotowi — powtórzył Metellus. — Jakie są zasady?

— Nie ma żadnych zasad — odrzekł mężczyzna w zielonej tunice. — Będzie to walka na śmierć i życie, która zakończy się dopiero wtedy, gdy zginiecie wy wszyscy albo wasi przeciwnicy.

Przetłumaczywszy jego słowa, Metellus spojrział w oczy każdemu ze swych kompanów, najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek miał pod swoimi rozkazami. Patrzył na nich tak, jakby oglądał ich po raz pierwszy: na starego centuriona Eliusa Kwadratusa, centuriona Sergiusa Balbusa, *optio* Antoninusa Salustiusa, legionistów Marcjanusa, Publiusza, Septymiusza, Lucjanusa, Rufusa i Sewera, którzy doskonale władali mieczem i oszczepem, potrafili znosić długi marsz i niewygody, lubili wino i kobiety, którzy byli twardzi i nieustraszeni. Którzy byli żołnierzami.

Zwracając się do odzianego na zielono mężczyzny nie miał żadnych wątpliwości.

— Zgadzą się — oświadczył.

Skinąwszy głową na znak, że przyjął do wiadomości jego decyzję, mężczyzna oddalił się. Zniknął w masywnych drzwiach z brązu, które otwały się w głębi sali.

— Oto dlaczego tak dobrze nas karmili — powiedział Marcjanus. — Nie wiem, czy zauważyliście, ale jadło, które nam ostatnio podawali, było pożywieniem wojowników: bagienne zboże, mięso, jarzyny, ryby i jajka.

— Ja zauważyłem tylko, że jedzenie jest smaczne, chociaż wcale mi się to nie podobało. Czasami karmi się dobrze tych, którzy zostali skazani na śmierć — stwierdził Rufus.

— W takim razie co robimy? — zapytał Septymiusz.

— Przygotowujemy się do walki — odrzekł Metellus.

— Nie miejmy żadnych złudzeń: każą nam się bić z najlepszymi wojownikami, jakich mają, i zdążyliście się już przekonać na własnej skórze, jacy są groźni.

— Masz na myśli Latające Lisy, wodzu? — upewnił się Balbus.

— Właśnie tego się obawiam — przytaknął Metellus.

— Posłuchajcie, skoro każą nam walczyć, to znaczy, że ich zdaniem nie ma dla nas żadnej nadziei. Oczywiście istnieje możliwość, że liczebność przeciwników znacznie przewyższy naszą, że ich sztuka wojenna jest na o wiele lepszym poziomie niż nasza albo obie te rzeczy naraz. Jesteśmy żołnierzami i nie boimy się śmierci. Rezygnacja z walki z pewnością nie ocaliła by nam życia, w gruncie rzeczy jednak nie możemy wykluczyć, że przeżyjemy i odzyskamy wolność. Tak czy inaczej jedynym wyjściem dla nas jest bić się ze wszystkich sił wykorzystując całe męstwo, jakie posiadamy. W najgorszym razie nie zginiemy jak tchórze, lecz jak żołnierze. W najlepszym razie, jak już mówiłem, wywalczymy sobie nawet wolność. Czy ktoś ma coś do dodania?

Spojrawszy na swoich podkomendnych, Balbus i Kwadratus odparli jednocześnie:

— Zdaje się, że wszyscy są zgodni, wodzu.

— Doskonale. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak przygotować ludzi do walki, centurioni.

Kwadratus skinął głową i przemówił do swych żołnierzy:

— Niech każdy przejrzy swoją zbroję, gladius i oszczep. Wszystko. Nie chciałbym, żeby coś nam umknęło. Potem trzeba ustalić plan bitwy. Obawiam się, że czeka nas najtrudniejsza próba w życiu.

Sewer i Antoninus, dwaj *fabri*, podeszli do tarcz i dokładnie je obejrzeni.

— Znakomicie — stwierdził Sewer. — Wygląda na to, że nic nie zauważyli.

— Co masz na myśli? — zdziwił się Metellus.

— Kiedy naprawialiśmy nasze zbroje w karawanseraju na granicy, wspomnieliśmy ci o pewnej niespodziance. Oto ona. To robota, którą zaczęliśmy jeszcze w karawanseraju, a dokończyliśmy w wiosce

księcia. Widzicie tę małą dźwignię za uchwytem tarczy? — zapytał zwracając się również do pozostałych żołnierzy. — Otóż wystarczy za nią pociągnąć, a na całej powierzchni pojawia się osiem żelaznych bolców, które przebijają się przez zewnętrzną warstwę skóry. Nieprzyjaciel zna naszą metodę walki, bo już ją kiedyś widział, ale to jest taka drobna zmiana, która może mu sprawić niespodziankę. Balbus już zamierzał pociągnąć za dźwignię, ale Antoninus go powstrzymał.

— Nie rób tego, centurionie — ostrzegł. — To jest mechaniczny spust, który można uruchomić tylko raz. Jeśli przebijesz ochronną warstwę skóry, będzie widać dziury, a wtedy żegnaj, niespodzianko. Musielibyśmy wówczas rozebrać tarcze i nałożyć nową warstwę skóry. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że zadziała, kiedy nadejdzie czas.

— Rozumiem — odrzekł Balbus. — Wobec tego kiedy przejrzy-cie broje, wróćcie tutaj, to rozpoczniemy ćwiczenia: utworzymy dwie drużyny, które będą ze sobą walczyć. Musimy się przygotować na nieprawdopodobną szybkość naszych przeciwników. Trzeba doprowadzić do tego, żeby nikt nie zdołał się przebić przez naszą obronę. Zapamiętajcie słowa tego poety, którego imię gdzieś mi umknęło: „Lis zna wiele sztuczek. Jeżozwierz tylko jedną, za to dobrą.”

— Archiloch — odpowiedział Metellus.

— Właśnie — przytaknął Balbus, po czym ciągnął: — Celność ciosów nie jest najważniejsza, każda zadana rana jest dla nas korzystna, ponieważ ogranicza sprawność wroga, spowalnia jego ruchy i zdolność reakcji, osłabiając go i sprawiając, że staje się bardziej bezbronny. Chociaż nie mamy łuków, zresztą i tak pewnie nie byłibyśmy w stanie ich użyć, nasi oszczepnicy uderzą za każdym razem, gdy nieprzyjaciel zechce zbyt mocno wykorzystać własną umiejętność unoszenia się w powietrze. Rufusie, ty jesteś najlepszym oszczepnikiem, postaraj się więc, żeby żaden rzut się nie zmarnował.

Przez cały dzień Metellus obserwował ze swojej celi ćwiczenia żołnierzy. Pod wieczór wielkie drzwi z brązu w głębi sali ponownie się rozwarły, po czym weszli dwaj słudzy niosąc jadło. Dopiero wówczas

dał swym ludziom znak, żeby przerwali i zasiedli do wieczerzy.

— Jak myślisz, wodzu, dlaczego nas odurzyli, a potem przenieśli w inne miejsce, o ile tak właśnie było? — zapytał Marcjanus.

— Żeby nikt nas nie zobaczył. Nasz wygląd bardzo przyciąga uwagę — odparł Metellus. — To mi nasuwa przypuszczenie, że obawiali się, iż ktoś mógłby spróbować nas uwolnić. Może jeszcze o nas nie zapomniano. Może jeszcze jest jakaś nadzieja. Nie traćmy ducha; w gruncie rzeczy powinniśmy robić jedynie to, do czego przyuczano nas przez całe życie, i walczyć.

Nieco później zjawił się mężczyzna w zielonej tunice, który zaprowadził ich do innego pomieszczenia, za drzwiami z brązu, gdzie przygotowano dla nich postania.

Kiedy żołnierze położyli się spać, Metellus długo przysłuchiwał się ich cichym rozmowom, przyglądał się, jak Marcjanus i Antoninus grają niemal w całkowitym milczeniu w morę, jak Kwadratus przechadza się w tę i w tę wzdłuż muru z dłońmi splecionymi za plecami, Balbus zaś przesuwając powoli osetką po ostrzu miecza. Nosił ją zawsze na łańcuszku zawieszonym na szyi, niczym amulet.

Długo rozmyślał nad zmiennością fortuny, jakiej doświadczyli w ciągu ostatnich lat, nad kaprysmi losu, który najpierw zesłał na nich klęskę i niewolę, następnie ofiarował wolność, po czym znów niewolę, teraz zaś wystawiał ich na najcięższą, prawdopodobnie ostatnią, próbę. Któż to mógł wiedzieć? Przemknęło mu przez głowę, że odepdzie w walce i że będzie mu towarzyszyło wspomnienie o tych, których kocha i kiedyś kochał, i że nie mógłby otrzymać lepszego wiatyku. Stawił czoło przeznaczeniu pod opieką przodków, przedstawicieli rodu Akwilów, z których wszyscy wstawili się honorem i wiernością własnym przekonaniom. Właśnie ich prosił o wsparcie i opiekę, a nie bogów, do których przestał się modlić już we wczesnej młodości. Było ich zbyt wielu, niemal tyle samo co ludzi, dla niego zaś oznaczało to, że skoro bóg ukrywa się za tyłoma twarzami, nie zasługuje, aby go szukać. W końcu jednak zasnął i spał smacznie aż do świtu.

Gdy sługa przyniósł strawę, zjedli wspólnie siedząc na ziemi, prowadząc spokojną rozmowę, jakby ów posiłek nie mógł być ostatni.

Metellus wstał pierwszy i zabrał się do wkładania zbroi. Antoninus zaś natychmiast się poderwał, by pomóc mu związać naramienniki i kirys. Następnie przewiesił mu przez ramię pas i przymocował pochwę. Na koniec podał mu gladius, miecz z najlepszej stali z dębowym jelcem, przekazywany z ojca na syna od siedmiu pokoleń. Metellus wsunął go do pochwy z suchym metalicznym szczękiem. Wreszcie włożył hełm i zawiązał pod brodą osłony na policzki.

Pozostali żołnierze również przywdziali zbroje pomagając sobie wzajemnie, kiedy zaś skończyli, każdy przewiesił sobie przez ramię wygiętą tarczę. Marcjanus i Rufus chwycili oszczepy i umieścili je na plecach. Byli gotowi. Septymiusz ucałował amulet, który nosił na szyi. Sewer, który był kiedyś chrześcijaninem, przeżegnał się pośpiesznie i niemal ukradkiem. Antoninus zaś oparł głowę o ścianę szepcząc jakieś zaklęcie. Po czym drzwi z brązu się rozwarły i mężczyzna w zielonej tunice dał im znak, żeby poszli za nim.

Przemierzyli marszowym krokiem długi korytarz, posuwając się w dwuszeregu za dowódcą i centurionami. Rytmiczny stukot nabijanych ćwiekami sandałów napełniał ich odwagą. Maszerujący rzymscy żołnierze — kto zdołałby ich powstrzymać?

Nagle na końcu korytarza otwarły się kolejne drzwi i przez chwilę oślepiło ich słońce. Następnie wyszli na zalany światłem plac, na którym roilo się od uzbrojonych wojowników. Stały tam dwa rzędy żołnierzy na koniach, odzianych w zbroje, z łukami przewieszonymi przez ramię. Metellus rozpoznał w nich najemników, którzy eskortowali ich do Luoyangu.

W miarę jak posuwali się wzdłuż owego szpaleru, byli coraz bliżej potężnego trzydrzwiowego wejścia, przed którym kłębił się tłum i dał się słyszeć głośny szmer. Usiłowali się przez nie wdrzeć jacyś ludzie, na arenie wszakże nie było już prawdopodobnie wolnych miejsc. Kiedy Metellus podszedł do wejścia, przez całe ciało przebiegł mu dreszcz jak wówczas, gdy szykował się do pierwszej w życiu bitwy. Wydało mu się to dziwne, zaraz jednak domyślił się powodu tej reakcji,

rozejrzawszy się bowiem wokół, spostrzegł dwoje czarnych i zagadkowych błyszczących oczu, które przenikały go na wylot. Ten sam wzrok, który uderzył go w klasztorze, nim wyruszył w drogę ku niewoli: Yun Shan!

Odwzajemnił jej spojrzenie z pełną smutku głębią, nie wiedząc, jaką wiadomość mu przekazuje, nie będąc pewnym, czy jej obecność oznacza dlań nadzieję czy też przypieczerowanie losu. Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna usiłuje do niego podejść, wkrótce wszakże stracił ją z oczu.

Wbrew oczekiwaniom Metellusa nie wprowadzono ich na ogromną arenę widoczną zza potrójnych drzwi, lecz do bocznego wejścia w czymś w rodzaju wieży strażniczej obok obszernego placu, skąd mogli go zobaczyć przez kilka okien.

Nagle weszli odziani w cudowne szaty tancerze, potrzęsając długimi kolorowymi tkaninami przymocowanymi do drążków, którymi obracali w taki sposób, aby utworzyć w powietrzu zachwycające obrazy. Następnie wkroczyły na scenę smoki z materiału, które wyginały się zupełnie jak żywe, wypuszczając przez nozdrza dym.

Olbrzymi plac otaczały na całej długości schodkowe trybuny, w głębi zaś znajdowała się duża scena, na której można było dostrzec odzianą na czarno postać siedzącą pod czarnym baldachimem. Obok niej stało kilku mężczyzn, również w czarnych strojach, które sięgały im aż do kostek, i w krótkich tunikach z długim rękawem.

Gdy popisy tancerzy i smoków dobiegły końca, nadeszła kolej na zapaśników, którzy pokazali szereg nader widowiskowych chwytów i ciosów. Następnie można było obejrzeć pojedynki na miecze między wojownikami chińskimi a barbarzyńcami z Północy, sławetnymi Xiong Nu. Niemal wszystkie skończyły się śmiercią tych ostatnich, Metellus i jego kompani zaś mieli okazję zaobserwować, jak Chińczycy władają mieczem, jak wykonują zwody, jak uderzają i jak robią uniki.

Po rozstrzygnięciu ostatniej walki pewien mongolski olbrzym chwycił maczugę i rąbnął z siłą w coś w rodzaju brązowego dzwonu. Słyszając ów dźwięk, który rozbrzmiał echem w całym mieście, pilnujący Metellusa i jego kompanów oficer popchnął ich ku drzwiom

prowadzącym na wewnętrzny plac. Pojawszy, że nadeszła pora, Metellus dał znak swoim ludziom, aby ruszyli za nim.

Niespodziewanie znaleźli się na ogromnym dziedzińcu pałacu cesarskiego, gdzie roilo się od gawiedzi. Metellus przyglądał mu się w osłupieniu, podczas gdy szmer cichł coraz bardziej, po czym zapadła nierzeczywista, niepokojąca cisza.

Z oszołomienia wyrwał go głos Sergiusa Balbusa.

— Czekają tylko na nas, wodzu — zauważył centurion.

— Też tak myślę — przytaknął Metellus. — Teraz zabawa może się już rozpocząć.

28

Ruszyli na środek obszernego placu w kształcie prostokąta, rozglądając się wokoło i czując na sobie wzrok tłumu Metellus szedł pośrodku, po jego prawej stronie kroczyli Kwadratus, Sewer, Lucjanus i Antoninus, po lewej zaś Balbus, Publiusz, Septymiesz, Rufus i Marcjanus. Obaj centurioni pozostali na zewnątrz, jakby dowodzili manipulami liczącymi setki żołnierzy. Stanowili brzegi owej małej armii, kotwice tego małego okrętu. Z kolei Antoninus, jedyny *optio*, zastępca Balbusa, stanowią jej środek.

Metellus niósł tylko oba swoje miecze, podczas gdy każdy z pozostałych dzierżył w lewej ręce ciężką tarczę, trzymając ją blisko ramienia, co sprawiało, że gdy się patrzyło z boku, wszystkie tarcze wyglądały jak jedna, natomiast z przodu były ledwie widoczne.

Powietrze było rześkie, słońce świeciło jasno, wokół zaś panowała wręcz nierzeczywista cisza. Ów nastrój wyczekiwania wprowadził ich w osłupienie, spodziewali się bowiem dzikiego ryku.

Wtem rozległ się bardzo wyraźny głos herolda, który wyrecytował:

— Nasz wielki dobroczyńca, wielce czcigodny Wei, z przyjemnością ofiarowuje wam widowisko, o jakim wam się nie śniło, stary, dawno zapomniany zwyczaj, który miał na celu zapewnienie pomyślności w nowym roku. Będzie to rytualna walka między Synami Niebios a okrutnymi barbarzyńcami, wrogami Najwyższego Porządku panującego w naszym kraju. Przed chwilą widzieliście, jak gwardia cesarska rozgromiła dzikich Xiong Nu. Teraz zaś ujrzycie, jak dziesięciu cudzoziemskich diabłów, ludzi przybyłych z dalekiego Taqin Guo, siejących postrach, owłosionych i posiadających okrągłe oczy, wyposażonych w groźną broń i tak silnych, że zdołali podbić wszystkie narody Zachodu, będzie walczyło z naszymi najdzielniejszymi wojownikami, bohaterami, którzy czuwają nad naszym snem i spokojem: z Latającymi Lisami!

Potoczywszy wzrokiem wokoło w poszukiwaniu Yun Shan, której spojrzenie byłoby dlań wiatykiem na ostatnią podróż, Metellus dostrzegł jedynie mrowiący się tłum.

— Słońce świeci nam prosto w oczy — powiedział do swych żołnierzy — ale stoi już dostatecznie wysoko, więc nie będzie nas tak bardzo oślepiać. Bądźcie gotowi.

Yun Shan nie spuszczała go z oczu ani na chwilę, wpatrując się uparcie we wspaniały pancerz rzymskiego dowódcy, w ozdobiony grzebieniem hełm, który lśnił w słońcu, i w ściągnięte rysy jego twarzy.

Nagle z zamyślenia wyrwał ją czyjś głos, który szepnął jej prosto do ucha:

— Księżniczko.

— Daruma.

Indyjski kupiec stał tuż za jej plecami.

— Wszystko gotowe, księżniczko Yun Shan. Na szczęście dowódca straży Baj Renjie jest po naszej stronie. Znalazł pięć „koni, które toczą krwawą pianę”, najszybszych, jakie w ogóle istnieją, żeby wywiozły twojego brata w bezpieczne miejsce. Na ciebie zaś będzie czekała łódź ukryta w zakolu rzeki Guan-dong, tuż za brodem. Przez jakiś czas wszyscy będą zajęci oglądaniem walki. Mój zwierzak też jest gotów do drogi. Powiedz swoim przyjacielom, że muszą się ruszyć; ta bitwa nie może długo trwać.

Yun Shan nie mogła oderwać wzroku od dowódcy Metellusa. Daruma, który stanął u jej boku, zauważył to.

— Zapomnij o nim, księżniczko; ten człowiek już jest martwy. Nie możesz nic zrobić, żeby go ocalić.

Yun Shan spuściła oczy, po czym jąła wykonywać jakieś gesty dłońmi — były to znaki, które ktoś znajdujący się po drugiej stronie placu, dokładnie naprzeciwko niej, potrafił odczytać. Po chwili, podczas której w powietrzu falowała czerwona szarfa, księżniczka zwróciła się do Darumy:

— Oddział jest gotów. Będzie w umówionym miejscu, zanim tam dotrzesz. Możesz ruszać.

— A ty nie idziesz?

— Później — odrzekła Yun Shan.

Nie powiedziawszy ani słowa więcej, Daruma oddalił się w kierunku wyjścia, podczas gdy Yun Shan przepychała się przez tłum, aby znaleźć się jak najbliżej dziesięciu wojowników, którzy posuwali się powoli ramię w ramię. Wtem rozległy się rytmiczne, uporczywe i natrętne uderzenia bębna, po czym nagle ucichły.

Balbus zalewał się potem pod hełmem.

— Tyle razy oglądałem gladiatorów. Nigdy się nie zastanawiałem, co myślą ci ludzie w obliczu śmierci. Teraz już wiem.

— Ach tak? — syknął przez zęby Rufus. — A co takiego myślą?

— Że w takiej chwili wszystko wydaje się zbędne i bez znaczenia.

— Nie raz spoglądaliśmy śmierci w oczy.

— Ale to nie było to samo. Wtedy walczyliśmy, żeby przeżyć. Teraz mamy walczyć po to, żeby umrzeć.

— Może po prostu mają ochotę się zabawić, a na koniec pozwolą nam odejść — powiedział Septymiusz.

— Niby dlaczego? — zdumiał się Publiusz. — W gruncie rzeczy śmierć to najbardziej podniecające widowisko, i to w każdym zakątku świata. A tamten odziany na czarno nie sprawia wrażenia kogoś, kto żywi przyjazne uczucia.

— Dość tego — przerwał im Metellus. — Skoro mamy zginąć, zginiemy jak żołnierze. W tej chwili nie wolno nam myśleć o niczym

innym jak o tym, by spożytkować nasze siły w najlepszy możliwy sposób. Nikt nie potrafi przewidzieć, co gotuje nam los. Niestety nie mamy włócznie ani oszczepów, a nasze miecze są krótkie. Możemy tylko się bronić.

— Ja ocaliłem to — oświadczył Septymiesz wyciągając zza pasa procę. Po czym otworzył dłoń pokazując kilka pocisków z ołowiu w kształcie żołądzi. — I to — dodał.

— Lepsze to niż nic — stwierdził Metellus.

Tymczasem Publiusz wy dostał zza pasa parę noży do rzucania, najwyraźniej przerobionych z długich ciesielskich gwoździ.

— A ja mam to — oznajmił.

Metellus uśmiechnął się na widok tej cudownej i niemal naiwnej siły przetrwania.

— Znakomicie, a teraz bądźcie gotowi zamknąć szyk na mój rozkaz.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle z paszczy jednego ze smoków z brązu, znajdujących się pod sceną, wydobył się mrożący krew w żyłach ryk, po czym wyskoczył uzbrojony w miecz wojownik Latających Lisów.

Wydawszy długie westchnienie, Metellus wyciągnął swój. W martwej ciszy rozległ się świst żelaza wyjmowanego z pochwy.

— Szyk zamknięty — rozkazał, jego żołnierze zaś natychmiast dobyli gladiusów i wystawili przed siebie tarcze robiąc z nich mur od przodu i po bokach, tak że wystawały jedynie klingi. — I przygotować się do *testudo*, w razie gdyby tamci zaczęli latać.

Wtem rozległ się kolejny ryk i z nozdrzy drugiego smoka wyskoczył następny wojownik. Po nim trzeci, czwarty, piąty, aż liczba się wyrównała — dziesięciu na dziesięciu.

— Spodziewałem się tego — stwierdził Metellus. — Musiało nas być po równo.

Przeciwnicy stanęli tuż przed nimi z obnażonymi mieczami, które świszczwały w powietrzu z taką szybkością, że były niemal niewidoczne. Po czym nagle jeden z nich wykonał nieprawdopodobny skok, lądując na ziemię zaś przełamał stopami jedno z bocznych drzewc podtrzymujących cesarskie sztandary.

Wyczuwając, co wkrótce nastąpi, Metellus zdążył krzyknąć w samą porę:

— Testudo!

Pał zwałił się bowiem na Rzymian i gdyby nie dach utworzony błyskawicznie z tarcz, rozgniółby ich na miazgę.

— Uwaga! — wrzasnął Metellus. — Stopy, dłonie i całe ciało to ich najgroźniejsza broń. Antoninusie, bądź gotów, kiedy znów wyskoczą.

Tymczasem Septymiusz wszedł w głąb szeregu kompanów, kiedy zaś Metellus rozkazał im się zatrzymać, położył tarczę na ziemi i zaczął obracać procą.

Nieprzyjaciel zacieśnił krąg, zadając niespodziewane ciosy ze wszystkich stron, toteż obronę mógł im zapewnić jedynie szczelnie zamknięty sześcian utworzony z tarcz.

— Zaraz spróbują się przedrzeć! — ostrzegł Metellus. — Uwaga! Uwaga!

Jego krzyk jeszcze nie zdążył ucichnąć, gdy jeden z Lisów nagle wyskoczył i odbiwszy się od swego towarzysza, poszybował w górę.

— Otwierać! — wrzasnął w tej samej chwili Metellus.

Wypuszczony przez Septymiusza pocisk wyleciał w powietrze i ugodził w sam środek czoła chińskiego wojownika, który zwałił się na ziemię bez czucia. Rzymski oddział zaś uformował jeżozwierza.

Odpowiedź Latających Lisów była natychmiastowa i pełna wściekłości: dwóch z nich wyskoczyło w górę obracając mieczami z zamiarem wdarcia się do wewnątrz nieprzyjacielskiego kręgu, zanim jednak zdążyli wylądować, testudo się zamknęła, z ust Sewera zaś padł jakiś rozkaz. Nagle z zewnętrznej warstwy skóry na każdej tarczy wyłoniło się osiem bolców, które poprzebijały stopy Chińczyków w chwili, gdy szybowali w dół. Zwalili się z wrzaskiem na ziemię, po czym zginęli pod ciosami Lucjanusa i Septymiusza, którzy dobili ich gladiusami.

Następnie sześcian znów został szczelnie zamknięty.

— Damy radę, ludzie! — powiedział Metellus. — Już jest nas dziesięciu przeciw siedmiu. Zewrzeć szyki, ramię przy ramieniu! Zaprzeć się nogami!

Siedzący na tronie siny ze złości Wei rzekł do swego doradcy:

— Jeśli tak dalej pójdzie, narodzi się kolejna legenda na temat cudzoziemskich diabłów. Muszą zginąć natychmiast, ale nie wszyscy.

Na jego znak ze smoczych nozdrzy wyłonili się następni wojownicy, trzymający w rękach niespotykaną broń: giętkie toporki, które obracały się w powietrzu z przenikliwym świstem. W jednej chwili dołączyli do pozostałych siedmiu.

— Przyznali się do porażki! — zawołał Metellus usiłując dodać otuchy wyczerpanym kompanom. — Wystawili czternastu przeciwko naszej dziesiątce. Nie dajmy się. Jeszcze możemy ich pokonać!

Latające Lisy jeły sobie dawać porozumiewawcze znaki. Z ich ust wyrwało się kilka gardłowych dźwięków i nim Rzymianie zdążyli wykonać jakikolwiek ruch, czterej uzbrojeni wojownicy wyskoczyli ponad ich głowy, przebijając obracającymi się toporkami wzniesione do góry tarcze. Następnie w środek koła wdarli się kolejni, wywijając mieczami, aż zdławili zaciekły opór maleńkiego oddziału nieprzyjaciela przerywając mur poprzez zmuszenie ich do indywidualnych potyczek.

Tymczasem ci, którzy pozostali na zewnątrz, zaczęli posuwać się ławą naprzód, wywijając mieczami coraz szybciej, aż w końcu świst zmienił się w głuchy pomruk rozlegający się w upiornej ciszy ogromnej areny. Kiedy jednak znaleźli się w niewielkiej odległości od Rzymian, rozległ się przeraźliwy krzyk podobny do wołania sokoła, po czym odziany w czerń mężczyzna siedzący na scenie między dwoma smokami z brązu wstał i zrzuciwszy na ziemię długą szatę, poszybował ku arenie ubrany jedynie w lekki strój z czarnego jedwabiu, dzierżąc w dłoni niesamowicie ostry miecz, który lśnił błękitnym blaskiem. Przyglądającą się temu Yun Shan przeszedł dreszcz. Oto sam Wei wyruszał na pole bitwy, aby pokierować atakiem Latających Lisów! Zacisnęła pięść na ukrytym pod płaszczem Lodowym Ostrzu, powstrzymała się jednak, wiedziała bowiem, że jeśli się zdradzi, to będzie koniec.

Pojawienie się Wei przypominało błyskawicę. Atak zamienił się w chaotyczny deszcz ciosów; tarcze poddawały się jedna po drugiej

zabójczej broni, pancerze zostały roztrzaskane na strzępy. Latające Lisy wykonywały niesamowicie szybkie ruchy z taką zgodnością, jakby słuchały rozkazów jednego mózgu, który sprawiał, że ich kończyny wyginały się i wymachiwały w powietrzu w nadludzki sposób, miecze zaś zadawały niewidzialne ciosy siekąc i przekłuwając na wy-lot.

Tym razem tłum krzyknął wydając z siebie dziki wrzask, jakby dawał ujście długo tłumionej energii, jakby aż do tej pory dławił go jakiś ukryty strach, osobliwe wahanie.

Metellus skoczył jak lew, ociekając krwią, trzymając się blisko swych żołnierzy. Chociaż odpierał i zadawał cios za ciosem, czuł się tak, jakby miał przed sobą jakąś monstrualną hydrę o tysiącu ramion i tysiącu mieczy. Najpierw ujrzał, jak pada Sewer, pomysłowy faber, po nim zaś Publiusz, który dzięki znakomitemu rzutowi zdążył jeszcze wbić nóż w ramię jednego z Latających Lisów.

Następnie patrzył, jak Rufus, rudowłosy Sycylijczyk, osuwa się na kolana przecięty mieczem, trzymając w dłoni własne wnętrzności, na próżno osłaniany przez Antoninusa, który natychmiast został przeбитy ostrzem, jak Septymiusz, jasnowłosy Septymiusz, wielki łowca i nieustraszony procarz, walczy mimo obciętej ręki, rycząc niczym ranione dzikie zwierzę, a krew tryskająca z jego kikuta ochlapuje twarz przeciwnika, po czym ginie przekłuty jednocześnie trzema mieczami. Pozbawiony broni Lucjanus rzucił się na jednego z Chińczyków zatapiając zęby w jego ramieniu niczym wilk, nim ugodzono go w brzuch i podeźnięto mu gardło. Marcjanus upuścił miecz, z którego został mu już tylko kikut, by chwycić za sztylet, lecz nie zdążył, powaliły go bowiem uderzenia twardych jak skała dłoni i stóp, przedśmiertnemu rżeniu zaś towarzyszył trzask jego łamiących się kości. Ostatni poległ Balbus i Kwadratus: pierwszy z nich otrzymał zabójczy cios nogą prosto w pierś, po czym został przygwożdżony do ziemi sztyltem, drugiego zaś czterej przeciwnicy naraz zasypali gradem razów od tyłu i z boków, podczas gdy próbował osłonić przyjaciela. Zwalił się na ziemię niczym zarżnięty byk.

Po czym zaległa cisza.

Metellus chwiał się na nogach, straciwszy wszystkie siły. Krew kapłała obficie z licznych ran, jego ciało zaś zamieniło się w jedną czerwoną miazgę. Chociaż zdawał sobie sprawę, że śmierć wkrótce nadejdzie, chwile owej bolesnej samotności ciągnęły się w nieskończoność. Miał zaraz umrzeć, nie potrafił wszakże pojąć, dlaczego nie zadano mu jeszcze ostatecznego ciosu. Rozwiązał hełm i rzucił go na ziemię, następnie zaś pancerz, który upadł u jego stóp.

Tymczasem Wei upuścił miecz.

Otarłszy krew z oczu, ciężko dyszący Metellus ujrzał czyhającą nań czarną śmierć: przepięknego młodzieńca o kruczoczarnych włosach i okrutnych oczach, który krążył wokół niego, jakby zamierzał go powalić jedynie siłą wzroku.

Znajdująca się tuż-tuż Yun Shan przeczuwała, w jaki sposób umrze wojownik z Taqin Guo: od ciosu tygrysa, uderzenia, którego tajemnica przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, a które pochodzi wprost od mistrza Mo. Ciosu tak szybkiego, że wydaje się niewidzialny. Poczwała, że powinna go odeprzeć, przyjąć na siebie przynajmniej część jego zabójczej siły. Yun Shan skupiła całą swą energię w piersi rannego wojownika, który ciągle ścisnął w dłoni miecz. Nagle podniósł go chcąc uderzyć, Wei jednak okazał się szybszy: lewą ręką uderzył tak mocno, że omal nie złamał ramienia przeciwnika, który wypuścił broń jęcząc z bólu. Jednocześnie prawą wyprowadził niewidzialny cios. Yun Shan wykrzywiła się boleśnie; przez chwilę było widać jedynie białka jej oczu, serce zaś przestało bić.

Kiedy odzyskała zdolność widzenia, Metellus leżał bez czucia na ziemi, oszalały tłum zaś wrzeszczał na cześć zwycięzcy, który wspinał się po schodach między dwoma smokami z brązu o otwartych paszczach. Kiedy Wei obejrzał się na chwilę szukając czegoś wzrokiem, Yun Shan zdała sobie sprawę, że patrzy dokładnie w jej stronę, chociaż z tak dużej odległości nie jest w stanie rozpoznać jej twarzy. Wprawdzie czuła potworny ból w klatce piersiowej, zmusiła się wszakże, by odejść, z trudem torując sobie drogę wśród stłoczonej cizby.

Stojący na scenie Wei napawał się swoim tryumfem, podczas gdy kilkoro sług zbierało ciała poległych ładując je na wóz.

— Jak widzisz, panie — odezwał się stary doradca — nie myliłem się. Teraz masz lud po swojej stronie.

Wei skinął potakująco głową.

— Dobrze — odrzekł. — Wiesz, co masz robić.

Doradca dał znak jednemu z mandżurskich najemników wyższych rangą, aby podszedł bliżej, po czym szepnął mu coś na ucho, a po chwili tamten oddalił się biegiem.

Olbrzymi słoń zaatakował wściekle, popychany przez indyjskiego mahuta, gdy tymczasem zaczajony od tyłu Daruma obserwował uważnie róg domu. Uderzywszy łbem i obitymi żelazem kłami w ceglany mur, który miało przed sobą, zwierzę zrobiło w nim szeroki wyłom. Natychmiast kilku mężczyzn z Czerwonego Lotosu przedostało się przez szczelinę, za którą ujrzeli zdumionego i ogłuszonego Dana Qinga. Następnie przywiązali dwie liny do żelaznych pierścieni, do których był przykuty, i ponownie popędzili słonia, ten zaś cofając się wyrwał je ze ściany.

Chwilę później Dan Qing siedział już na rączym wierzchowcu i mknął galopem, za nim zaś podążali kompani, którzy go uwolnili. Tymczasem Baj Renjie wraz z garstką żołnierzy stawiali czoło strażom, które nadbiegły podnosząc larum. Widząc ze swego punktu obserwacyjnego, że z przeciwnej strony, z części pałacu, gdzie odbywała się walka, galopuje oddział mandżurskich jeźdźców, Daruma uświadomił sobie, że z pewnością widzieli ucieczkę Dana Qinga. Musiał zatem za wszelką cenę ich zatrzymać, nawet gdyby miał tym samym przeciąć drogę ucieczki Bajowi Renjie i jego towarzyszom, którzy ciągle toczyli bitwę ze strażami, aby uniemożliwić im pościg za księciem. Włożył więc dwa palce do ust i zagwiszczył. Natychmiast na drodze pojawiło się stado wielbłądów, osłów i mułów, całkowicie ją tarasując. Chociaż mandżurscy najemnicy robili wszystko, by się przedostać, po chwili nadbiegły kolejne zwierzęta, jeszcze ciasniej zastawiając przejazd.

Podczas gdy Dan Qing i jego kompani z Czerwonego Lotosu zniknęli w głębi ulicy, Baj Renjie wraz z kilkoma żołnierzami zostali

schwytni i rozbrojeni. Daruma, który skulił się w swej kryjówce, odetchnął z ulgą. Nie miał wyboru, za to zdążył zadziałać w samą porę. Jeszcze tylko chwila wahania, a plan uwolnienia Dana Qinga by się nie powiódł.

Z piersi nocnego drapieżnika przycupniętego na suchej gałęzi wyrwała się żałosna skarga, po czym na widok nadjeżdżającego wozu przerażony ptak wzbił się do lotu. Zniknął w ciemnościach bezszelестnie bijąc skrzydłami.

Dwaj mężczyźni siedzący na koźle pociągnęli za wodze, po czym muły przystanąły. Zszedłszy na ziemię, otworzyli wypaczoną furtkę wiodącą na cmentarz dla obcych, gdzie świeżo wykopany szeroki dół czekał na trupy cudzoziemskich diabłów. Powiesili lampion na gałęzi drzewa, po czym chwycili zwłoki za stopy i ramiona i zaciągnęli na krawędź dołu, kładąc jedne na drugich. Po chwili przerwali, by odpocząć, kiedy zaś rozprostowali kości, oniemieli na widok zjawy. Oto stał przed nimi wojownik z zakrytą twarzą i czerwoną szarfą na ramieniu, z mieczem w dłoni. Mężczyźni spojrzeli na siebie porozumiewawczo i ruszyli do ucieczki, lecz ich odrąbane od szyj głowy po turlały się do tyłu, wpadając do dołu, podczas gdy ciała nadal gnały do przodu, popychane siłą rozpędu.

Wojownik odkrył twarz odsłaniając delikatne kobiece rysy i wzdychając głęboko, po czym pochylił się nad zwłokami Rzymian i jał odwracać je kolejno na plecy, aż wreszcie zatrzymał się nad ciałem tego, który dowodził nimi na arenie podczas przerażającej i rozpaczliwej walki. Dotknąwszy dłonią jego serca, następnie tętnicy szyjnej, spuścił głowę zniechęcony.

Trwał tak kilka chwil bez ruchu, gdy nagle odpowiedział mu czyjś oddech, po czym ledwie słyszalny głos szepnął:

— Yun Shan...

Kiedy dziewczyna gwałtownie podniosła głowę, ujrzała cudzoziemca, który wodził wzrokiem wokoło patrząc na okaleczone ciała swych poległych kompanów.

— Moi żołnierze, moi bracia... Przyrzekłem, że zaprowadzę ich z powrotem do domu, ale poprowadziłem na śmierć...

Yun Shan poczuła napływające jej do oczu łzy.

— Ty żyjesz — powiedziała gładząc go po spuchniętej twarzy. — Żyjesz...

Metellus przytulił ją do siebie pozwalając, by przeniknęło go ciepło jej ciała.

Yun Shan spojrzała mu w oczy.

— Nie ma ani chwili do stracenia. Spróbuj wstać; musimy iść.

Pomogła mu się dźwignąć, po czym niemal przeniosła go przez odległość kilku kroków, jaka dzieliła ich od wozu. Następnie ułożyła Rzymianina wygodnie i zasłoniła zakrwawioną szmatą, którą przykryte były wcześniej trupy.

W tej samej chwili nadszedł grabarz, który miał zakopać zwłoki, zanim jednak zdążyła go zauważyć, skulił się za krzakiem drżąc ze strachu.

Wyczuwając czyjaś obecność, chwyciła lampion rozglądając się dokoła, w drugiej zaś ręce dzierżąc obnażony miecz, lecz nic nie dostrzegła. Włożywszy więc na głowę kapelusz jednego z woźniców i narzuciwszy sobie jego płaszcz na ramiona, popędziła muły. Wóz ruszył kołysząc się i skrzypiąc, po czym wkrótce zniknął w ciemnościach.

Tymczasem grabarz, który wreszcie mógł oddychać, pobiegł co sił w nogach, aby oznajmić, że jakaś uzbrojona w miecz niewiasta zabiła dwóch żywych, żeby zabrać ze sobą martwego. Ktoś uznał go za szaleńca. Znalazł się natomiast ktoś, kto potraktował go poważnie.

29

Pod wieczór dwunastu mandżurskich najemników doprowadziło Baja Renjie przed oblicze regenta Wei. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były narzędzia tortur, na myśl zaś, z jak potworną bezwzględnością potrafią one zadawać ból, poczuł dreszcz. Świadomość, że znalazł się całkowicie na łasce nadzwyczaj przebiegłego i niewiarygodnie okrutnego wroga, który nienawidził świata za doznane cierpienia, wywołała na dnie jego duszy fale strachu, Baj Renjie musiał je więc bez przerwy

tłumić, aby nie paść na kolana i nie błagać o litość.

— Dokąd pojechali? — zapytał eunuch.

Westchnąwszy głęboko, Baj Renjie odrzekł szybko:

— Nie mogę ci powiedzieć niczego, o czym byś nie wiedział.

— W takim razie pojechali do Li Cheng.

Baj Renjie milczał.

— Jak dojechać do Li Cheng? — zapytał eunuch z niewzruszonym spokojem.

Baj Renjie potrafił sobie doskonale wyobrazić, jakie potwory kryją się w jego na pozór spokojnym wnętrzu. Zdobywszy się na odwagę, oświadczył:

— Tego nie wiem i nawet gdybyś mnie torturował, nie mógłbym ci wyjawić czegoś, czego nie wiem. Nikt, kto nie jest członkiem założycielem Czerwonego Lotosu, nie ma pojęcia, gdzie się znajduje Li Cheng.

— Nie kpij sobie ze mnie — odparł Wei. — Nawet jeśli sam nie wiesz, gdzie jest Li Cheng, z pewnością znasz kogoś z Czerwonego Lotosu.

— Oczywiście. Ale żaden z nich nigdy nie wspomniał o ich kryjówce. Podobnie jak Latające Lisy nie zdradzają swojej, gdy zostaną złapane.

Wei schylił głowę, samo to zaś, że schował twarz, wzbudziło w Bajju Renjie ogromny niepokój. Usiłował sobie wyobrazić, jaką będzie miał minę, gdy na niego spojrzy. W tej samej wszakże chwili wszedł jeden ze zbrojnych regenta. Padł na twarz, po czym szepnął mu coś na ucho.

Wei podniósł głowę i wbił lodowaty wzrok w dowódcę Dana Qinga.

— Ciało przeciwnika, którego pokonałem na arenie, zostało wykradzione, natomiast dwom wiernym sługom tej ziemi w odrażający sposób obcięto głowy, podczas gdy zamierzali pogrzebać tych walecznych barbarzyńców z należną im czcią... Potrafisz to wyjaśnić?

Baj Renjie spoglądał nań osłupiały, podczas gdy kat podchodził coraz bliżej wraz z każdym wypowiedzianym przez niego zdaniem.

— Niestety to oznacza, że najprawdopodobniej wcale nie był martwy. Bo inaczej po co miałby go ktoś zabierać? — Baj Renjie nie potrafił ukryć rozczarowania.

— Rozumiem cię — ciągnął eunuch. — Twój książę woli obcego, przybyłego z daleka barbarzyńcę, cudzoziemca, od ciebie. Czyż nie? Powtórzono mi, że patrzyłeś na niego z zazdrością, kiedy jechał obok Dana Qinga na honorowym miejscu. Słyszałem nawet, że uzyskał pozwolenie, aby nie padać na twarz w obecności księcia. To przywilej niemal nie do pomyślenia.

— Mylisz się, to mnie nie obchodzi. Ja nie...

— To zrozumiałe. Zawsze byłeś mu wierny. Kto wie... Może w głębi serca starego wiernego żołnierza marzyłeś o tym, że mógłby ci oddać rękę Yun Shan... Dlaczego nie? Kto by nie chciał tej pachnącej róży, tej porannej gwiazdy? W gruncie rzeczy byłeś jedynym człowiekiem, na którego mógł liczyć. Nie mów, że nie miałeś takiej nadziei... Aż tu nagle zjawia się ten cudzoziemski diabeł i zajmuje twoje miejsce. Mam rację? Natomiast ona, bo przecież to musiała być ona, idzie po jego okaleczone ciało, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo, żeby mu ocalić życie. I wcale nie jest powiedziane, że jej się to nie udało... — Tymczasem kat przystanął spoglądając nań oczyma bez wyrazu, jak jakaś machina.

— Za to ja potrafiłbym cię docenić, gdybyś mi pomógł. Popatrz na mnie, Baj Renjie, spójrz mi w oczy i powiedz, że ta myśl jest ci obojętna.

Spoglądając nań Baj Renjie miał wrażenie, że patrzy w oczy kobry, czuł, jak wzrok ten go osacza, podporządkowuje sobie, pozbawia niemal całej siły woli.

— Jak dojechać do Li Cheng? — powtórzył eunuch.

Baj Renjie zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Mogę wyjawic jedynie pogłoski. Mówią, że to miejsce niedostępne, podobno można się tam dostać idąc z prądem rzeki Liao Ho, ale każda łódź, która by tamtędy popłynęła, zniknie bez śladu w środku nocy. Powiadają, że tylko ptaki mogą unieść się na dach Li Cheng.

Wei przymknął oczy.

— Tylko ptaki. Może masz rację. Może to jest właściwy sposób.

Na jego znak kat wycofał się bezszelestnie wraz ze swymi pomocnikami, po czym zniknął w głębi sali. Eunuch zaś zeszywniał, jakby przeszył go nagły ból, nawiedziła myśl bądź demon. Pogrążoną w mroku ogromną salę ogarnęły dziwne drgania, które nasiliły się wydając cichy, srebrzysty dźwięk, słaby i ledwie słyszalny, po czym chwilami wyraźniejszy, jakby zaatakował ją porywisty zachodni wiatr wiejący pod zewnętrzną kolumnadą.

Yun Shan spoglądała na małe amulety z brązu, wiszące na sznurczku rozciągniętym nad drzwiami wejściowymi. Dzwoniły przy każdym podmuchu, wydając dźwięki, które wiatr unosił daleko.

Nagle za jej plecami odezwał się czyjś głos.

— Chodź do środka, dziecino, schowaj się... Zanosi się na burzę.

Siedząca na schodach w proggu Yun Shan odrzekła nie odwracając się:

— Co też ty mówisz, nianiu? Świeci księżyc i niebo jest pogodne.

Staruszka podeszła bliżej. Jej twarz miała barwę terakoty, oczy wyglądały jak szparki, siwe włosy zaś były upięte w węzeł na karku.

— Coś złego wisi w powietrzu — oznajmiła. — Czuję to. Prędko, mówię, prędko!

Przeszedłszy pod amuletami, Yun Shan przystanęła przed miedzianym paleniskiem, które napełniało izbę przyjemnym ciepłem i delikatnym blaskiem. Przysiadła na piętach spoglądając w oczy staruszki.

— Będzie żył? — zapytała.

— Zrobiłam, co mogłam — odrzekła tamta.

— Pomóż mi, Shi Wanli, nie chcę, żeby umarł.

— Walczył na arenie z Latającymi Lisami i eunuchem Wei, chociaż nie miał żadnego doświadczenia — powiedziała staruszka. Jej głos zabrzmiał jak wyrok śmierci. — Trudno przeżyć taką próbę. Ma sporo połamanych kości. Nawet jeśli mu się to uda, będzie wrakiem, nie człowiekiem.

Oczy Yun Shan zalśniły.

— Widziałam, jak walczy z odwagą, w której była rozpacz, jak stara się ochronić swoich towarzyszy za wszelką cenę... Ja... Wzięłam na siebie część ciosów przeznaczonych dla niego.

Mówiąc to rozpięła szatę odsłaniając siną plamę między nieskazitelnie białymi pierściami.

Staruszka otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Użyłaś dla niego energii ukrytego serca... Zrobiłaś to, prawda?

Yun Shan skinęła potakująco głową.

— Nie powinnaś była — zgromiła ją Shi Wanli. — Otrzymałaś ją dla ratowania życia, w razie gdybyś nie miała innego wyjścia. Upłynęło wiele lat, nim zdołasz zgromadzić ją na nowo. rozumiesz? Wiele lat długich medytacji i twardej dyscypliny.

— Nie dbam o to. Nie mogłam pozwolić, żeby umarł.

— To cudzoziemski barbarzyńca. Bądź ostrożna.

— Dlaczego?

— Bo odejdzie i złamie ci serce. Jeśli kiedykolwiek wyzdrowieje, odejdzie stąd.

— Może tak, może nie. Widziałaś mnie, nianiu. Czy twoim zdaniem jestem odpychająca?

— Każdy zalotnik oddałby całe swoje bogactwo, byleby tylko móc cię podglądać z ukrycia, naga, dziecino... — westchnęła staruszka. — Ale przeszłość mężczyzny, którego nie znasz, może się okazać bezdenną otchłanią...

Wtem rozległ się jęk. Yun Shan poderwała się z miejsca i pobiegła do sąsiedniej izby, gdzie na rozciągniętej na podłodze macie leżał Metellus. Obudził się, a jego oddech brzmiał jak bolesne rżenie. Był bez odzienia, jedną rękę zaś i nogę ścisnęły mu bambusowe łąbki. Miał całe ciało pokryte ranami, które Shi Wanli zaszyła po kolei jedwabną nicią. Na rozciętych wargach widniały skrzepy krwi. Oczy miał tak spuchnięte, że prawie nie było ich widać, a obrzmiała kość jarzmowa po prawej stronie napawała niepokojem. Kończyny sprawiały wrażenie zwichniętych. Wyglądał jak kupa cierpiącego mięsa, aż trudno go było rozpoznać.

— To ty? — szepnął.

Dziewczyna podeszła bliżej szukając jego wzroku.

- Jestem tutaj — odparła. — To ja, Yun Shan.
- Odziana w chmury... Sicut luna — wyszeptał Metellus.
- Co powiedziałaś?
- Mówiłem w moim języku — odrzekł.
- A ty? Jak masz na imię?
- Marek... Metellus... Akwila. W twoim języku zważ mnie Xiong Ying — zdołał wykrztusić, po czym osunął się niemal bez czucia.
- Dumny orzeł... — westchnęła Yun Shan muskając palcami jego ramię — ale z połamanymi skrzydłami.

Z każdym dniem Shi Wanli okazywała coraz większy niepokój i zmartwienie. Od czasu do czasu schodziła do pobliskiej wioski, aby zrobić zapasy, czekając zarazem na jakąś wiadomość albo znak, zawsze pod osłoną ciemności, aby nikt jej nie zauważył. Pewnej nocy wróciła w ogromnym pośpiechu, wcześniej niż zwykle.

— Nareszcie! — zawołała, przekroczywszy próg domu.

— Przybył ten, na kogo czekałaś. Wyruszyście jeszcze dziś w nocy. Pospieszmy się, czuję, że to co wisi w powietrzu, jest coraz groźniejsze.

Yun Shan milczała przez chwilę, po czym rzekła:

— Pomóż mi go załadować na wóz. Zaciągniemy matę do samych drzwi, a stamtąd na platformę. Ty będziesz powozić aż do brodu. Ja pojedę przodem, aby się upewnić, czy droga jest wolna, może też uda mi się spotkać przyjaciela, jeśli już się zjawił.

— W takim razie do roboty — odparła Shi Wanli.

— Każda stracona chwila może się okazać fatalna w skutkach.

Yun Shan skinęła głową, po czym obie podeszły do rannego. Wspólnie przeciągnęły po podłodze matę, na której leżał Metellus, aż do drzwi. Następnie dziewczyna zaprzęła muła do wozu i kazała mu się cofać, dopóki platforma nie znalazła się na tym samym poziomie. Po czym przesunęły matę na wóz i otuliły leżącego bez czucia Metellusa wełnianą derką. Kiedy Shi Wanli usiadła na koźle, Yun Shan wskoczyła na konia i popędziła do dębowego lasu, który rozciągał się przed domem, ustępując po chwili miejsca porośniętej wierzbami polanie sięgającej aż do brzegów rzeki. Na widok mieniającej się srebrzyście

wody wśród liści drzew Yun Shan zatrzymała konia.

Zsiadłszy na ziemię, czekała wpatrzona w przeciwległy brzeg. Po pewnym czasie usłyszała w oddali szelest gałęzi i śpiew syczka. Jeden, dwa, trzy razy. Wskoczywszy więc z powrotem na konia, przekroczyła bród wznecając srebrzyste krople wody.

— Yun Shan... — przywitał ją znajomy głos.

— Daruma!

— Dzięki niebiosom nic ci nie jest. A jak tam cudzoziemiec?

— Żyje. Więcej nie mogę powiedzieć.

— To i tak dużo. Jeszcze nikomu nie udało się przeżyć po ciosach Wei.

— Przyniosłeś to, co mi obiecałeś?

— O tej porze łódź powinna być przycumowana tam, za tym zakolem. Zajęli się tym zaufani przyjaciele. Zaczekam tak długo, jak będzie trzeba. Jeśli nie wrócisz, to znaczy, że wszystko poszło dobrze i że już płyniesz.

— Zgoda. Dziękuję ci. W ten sposób może uda się go uratować. Wstrząsy wywołane jazdą mogłyby go zabić.

— Nie musisz mi dziękować. Znam Xiong Yinga o wiele dłużej niż ty.

— Jak mogę ci się odwdziaczyć?

— Ratując mu życie.

— Zrobię to. Niczym więcej?

— I przekazując ode mnie pozdrowienia dla twojego brata Dana Qinga.

— Nie jest mi łatwo. Mój brat głęboko mnie zranił, zresztą nie tylko mnie.

— To będzie dla was okazja, żeby zbliżyć się do siebie z powrotem. Minęło sporo czasu. On sam cierpiał z powodu niewoli i tęsknoty za ojczyzną. Potrzebuje ciebie i potrzebuje przyjaciół. Ale teraz się pospieszcie, zanim was zauważą. Ludzie Wei podążają waszym tropem.

Wkrótce zjawiała się Shi Wanli. Przywiązawszy konia do wierzby, Yun Shan usiadła na kozle obok niani. Wierzchowiec zarzął usiłując się uwolnić.

— Wybacz mi, Ognisty Oddechu — powiedziała Yun Shan popędzając batem muła, który ciągnął wóz.

Przejechali przez bród aż do zakola, gdzie czekała na nich łódź. Obie kobiety ułożyły Metellusa wygodnie na jej dnie, obok niego zaś umieściły dzban wody źródlanej i worek z jadem.

Yun Shan dała znak Darumie, że wszystko jest w porządku, po czym uściskała nianię.

— Zaopiekuj się Ognistym Oddechem — poprosiła.

— Zrobię to. Bądź spokojna — zapewniła Shi Wanli, popędzając muła i zawracając.

Yun Shan już chciała odczepić cumy, słysząc wszakże kroki za plecami, błyskawicznie dobyła miecza. Odwróciwszy się, ujrzała przed sobą nieuzbrojonego mężczyznę, który trzymał w dłoni małą klatkę.

— Daruma zapomniał ci to dać — oświadczył. — To podarunek dla księcia — dodał wręczając jej klatkę z gołębicą w środku.

Wziąwszy od niego upominek, Yun Shan wsiadła do łodzi i zabrała się do wiosłowania.

Ze swojego miejsca Daruma widział, jak łódź opuszcza ukrytą zatoczkę, po czym wypływa na środek rzeki i oddala się powoli srebrzystą smugą nakreśloną przez promienie księżyca. Przyglądał jej się dopóty, dopóki nie zniknęła za zakolem. Wówczas odetchnął z ulgą i zawrócił.

Wraz z nastaniem świtu Yun Shan mogła się lepiej przyjrzeć swemu drugiemu pasażerowi — gołębicę zamkniętej w srebrnej klatce wyśmienitej roboty. Przywiązany do jej czubka pasek papieru głosił, że to podarek dla Dana Qinga. Uśmiechnęła się. Przynajmniej to stworzenie sprawi, że zapomni o swych zmartwieniach.

Tymczasem przed jej oczami roztaczał się czarowny widok. Oto bowiem przepływała przez jezioro, z którego wylaniały się niezliczone wysepki — jedne wystawały tuż nad powierzchnię wody, inne, wyższe, opadały gwałtownie, wszystkie zaś porastała bujna roślinność. Każda z nich przeglądała się w krystalicznie czystej wodzie tworząc grę obrazów, które odbijały się na tysiące rozmaitych sposobów, w miarę

jak łódź posuwała się po spokojnych wodach, niesiona ledwie dostrzegalnym prądem. W pewnej chwili nad jeziorem jeła się unosić delikatna mgielka otulająca każdy kształt i każdy zarys falującym welonem.

Łódź płynęła bezszelestnie, za każdym zaś razem gdy mijąła jedną z wysepek, witały ją krzyki kormoranów wzbijających się do lotu w poszukiwaniu pożywienia.

Yun Shan pomagała sobie wiosłami, oglądając się co chwila na swego towarzysza podróży, który leżał na dnie bez czucia, w gorąccie. Co pewien czas moczyła chusteczkę i obmywała mu czoło oraz skronie. Wówczas Metellus otwierał oczy i wypowiadał jakieś słowa, jego wzrok zaś przepęśniał lęk — może w mieniającej się toni widział zakrwawione twarze swych zabitych kompanów.

Po czym następowały długie godziny milczenia, którym towarzyszył powolny chłupot wiosel i spokojne gruchanie gołębiczy, siedzącej w srebrnej klatce.

Posuwali się przez trzy dni. Przemierzywszy jezioro, jęli płynąć w dół rzeki, która rozszerzyła się z powodu paru dopływów. Od czasu do czasu mijali inne łodzie, należące do rybaków albo i do kupców, począwszy wszakże od pewnego miejsca nie spotkali już ani jednej. Rzeka zrobiła się dziwnie pusta, Yun Shan zaś odnosiła wrażenie, że obserwują ją czyjeś oczy ukryte w gęstym lesie, który porastał brzegi. Metellus obudził się zaledwie kilkakrotnie i za każdym razem domagał się wody.

Czwartego dnia wieczorem przystanęli u stóp olbrzymiego urwiska pokrytego kaskadową roślinnością i poprzecinanego cienkimi żyłkami wodnymi, które żłobiły powierzchnię skały, wpadając zaś do rzeki odgrywały koncert rozmaitych dźwięków, wydawanych przez każdy strumyk: rozlegały się ciche pomruki, chłupot, szum i niewyraźny szmer wody unoszącej ze sobą gałęzie i liście różnych roślin.

Tam gdzie linia wody łączyła się z linią horyzontu, słońce chyliło się ku zachodowi barwiąc czerwienią rzekę i chmury na niebie, podążając powoli ku swemu odległemu przeznaczeniu. Schowawszy się za skałę, gdzie prąd był niemal nieuchwytny, Yun Shan wyjęła spod

odzienia długi zwój czerwonego jedwabiu, po czym rozwinęła go w wodzie tworząc coś w rodzaju szkarłatnej smugi, która położyła się na powierzchni niczym nitka krwi.

Metellus, który otworzył oczy, przyglądał się tej osobliwej czynności.

— Co teraz robimy? — wykrztusił z trudem.

— Nic — odparła Yun Shan. — Czekamy.

Czekali dopóty, dopóki zza warstwy błękitnawych oparów nie wyłonił się ogromny księżyc w pełni, który kołysał się powoli nad owym nierzeczywistym krajobrazem, niczym czarodziejska lampa.

Po czym od wschodu nadeszła chmura, która zasłoniła księżyc przekształcając rzekę w ołowianą równinę. Nagle tuż nad ich głowami rozległ się krzyk nocnego drapieżnika, przerażona gołębnica zaś jęła trzepotać skrzydłami, uderzając o ściany klatki. W tej samej chwili dał się słyszeć niespodziewany świst: z wody wyłoniły się cztery zjawy, które wskoczyły na łódź — dwie na dziób i dwie na rufę. Metellus zdołał dojrzeć jedynie mokre sylwetki, żelazne kończyny, które poruszały się z zadziwiającą lekkością, pozbawione ciężaru ciała, które zdawały się nie dotykać podłoża. Wszystkie przepasane były szkarłatną wstęgą przypominającą krew, w dłoniach zaś trzymały przeraźliwie ostre miecze, w których odbijała się połyskująca srebrzyście woda.

Yun Shan złożyła przed sobą ręce i skłoniła się przed nimi na znak szacunku. Nikt się nie odezwał ani słowem.

Metellus usłyszał najpierw zgrzyt żelaza o skalę, następnie zaś metaliczny stukot. Poczul silne kołysanie, po czym do jego uszu dobiegło kapanie, które mogło świadczyć tylko o jednym: łódź wynurzała się z wody, podniesiona na zaczepionych do burt linach, przymocowanych do wbitego w wierzchołek skały metalowego drąga, i zawisła w powietrzu. Gdy księżyc wyłonił się zza chmur, Metellus ujrzał w jego promieniach, jak porośnięta krzakami, pnączami i sterczącymi pochyło drzewami ściana skalna ucieka w dół, w miarę jak łódź wznosi się wyżej i wyżej. Zobaczył, a może tylko usłyszał, jak ptaki, którym zakłócono nocny odpoczynek, wzbijają się do lotu trzepocząc skrzydłami

i zostawiając swe gniazda na pastwę tego czegoś, co wisi w powietrzu w zadziwiający sposób.

Wtem łódź znieruchomiła, po czym została przyciągnięta i wylądowała na wierzchołku urwiska. Czterej wojownicy zeskoczyli na ziemię, natychmiast wszakże nadbiegli inni z wykonanymi z bambusowych kijków noszami, na których ułożyli rannego cudzoziemca. W blasku pochodni ukazał się książę Dan Qing.

— Siostrzyczko! — zawołał na widok Yun Shan.

Dziewczyna skłoniła głowę bez słowa.

— Tak długo czekałem! Przez wszystkie te lata marzyłem o chwili, gdy padniesz w moje ramiona... Ale... rozumiem cię. Proszę cię, nie zamykaj serca i daj sobie czas, aby też mnie zrozumieć. Wtedy zdasz sobie sprawę, że nawet jeśli popełniłem błąd, uczyniłem to w przekonaniu, że postępuję słusznie. Musi być jakiś powód, skoro niebiosa pozwoliły nam się tutaj spotkać po tylu latach rozłąki. — Spojrzał na Metellusa. — Xiong Ying! — zawołał.

— Książę — zdołał wykrztusić Metellus, który usiłował odruchowo podnieść się na łokciu, opadł jednak zaraz z powrotem na plecy krzywiąc się z bólu.

Tymczasem Yun Shan chwyciła srebrną klatkę i podała ją bratu.

— To podarek od Darumy.

— Podarek... — uśmiechnął się Dan Qing. — Jakby jeszcze nie dość zrobił. Ten człowiek wydostał mnie z niewoli, gdy straciłem już wszelką nadzieję.

— Za cenę życia wielu ludzi — wtrąciła Yun Shan.

Jej brat nie odpowiedział. Rozkazał za to noszowym, aby natychmiast zanieśli Metellusa tam, gdzie ktoś się nim zajmie. Podczas gdy się oddalali, jego uwagi nie uszła ani plama krwi, jaką pozostawił po sobie na dnie łodzi, ani spojrzenie, jakie Yun Shan posłała znikającemu w ciemnościach Rzymianinowi.

Dotarłszy do miejsca, gdzie zanieziono Metellusa, wszedł do środka. Wokół rannego zdążyło się już zgromadzić kilku mnichów. Ktoś podgrzewał wodę, ktoś inny mieszał jakąś ciemną substancję w stojącej na ogniu czarce z brązu. Jeszcze inni szykowali bandażę, narzędzia

chirurgiczne i bambusowe łubki.

Kiedy zdjęli otulającą Metellusa derkę, w miejscach, gdzie tkanina przykleiła się do zaschniętej krwi, rany znów się otworzyły. Na widok udręczonego ciała Xiong Yínga na twarzy Dana Qinga odmalował się smutek. Spojrzał na chirurgów pytającym wzrokiem.

— Ten, kto pozszywał mu rany, z pewnością zwiększył jego możliwości przeżycia — stwierdził jeden z nich — ale czekają go jeszcze ciężkie próby i to dzisiejszej nocy, kiedy jest skrajnie wyczerpany. Z drugiej jednak strony nie mamy wyboru. Dłuższe zwlekanie oznaczałoby skazanie go na pewną śmierć.

— W takim razie zaczynajcie — polecił Dan Qing.

Jeden z nich podszedł do szafy i wyjął z niej srebrną kasetkę, po czym otworzył ukazując sporą liczbę cienkich jak włos igieł. Na ich widok Metellus zacisnął szczęki, przeświadczony, że będzie musiał znieść kolejny ból. Wiedział z doświadczenia, jak sobie poczynają wojskowi chirurdzy, Dan Qing uśmiechnął się wszakże do niego jak przyjaciel, który pragnie mu dodać otuchy.

— Zaczynamy — powiedział chirurg. — Przede wszystkim musimy odłączyć ośrodki bólu.

Chwyając kolejno igły, jał je wbijać w rozmaite miejsca na tym okaleczonym ciele. Wkłuwał się tuż pod skórę wykonując dokładne i pewne ruchy, wkrótce też pojawił się las srebrnych igieł wyznaczających tajemnicze ścieżki.

W pewnej chwili na znak chirurga jeden z jego pomocników zbliżył płonąca pochodnię do stopy Metellusa, który w ogóle nie zareagował. Wówczas chirurg skinął głową i wzięwszy z rąk drugiego pomocnika czarzę, przytknął ją do ust rannego.

— Pij — powiedział Dan Qing. — To przeraźliwie gorzkie, ale pomoże ci zapaść w senne odurzenie. Nie będziesz czuł bólu.

Metellus wypił powoli napar, który był bardziej gorzki niż trucizna, po czym głowa opadła mu na matę. Przez kilka chwil widział jeszcze nad sobą pochylone głowy mężczyzn, po czym pogrążył się w nicości.

Od tej pory Metellus wkroczył w taki stan umysłu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał. Znalazł się w zawieszonym, rozproszonym wymiarze, podobnym do snu, lecz głębszym, chwilami zachowując przytomność, chwilami zaś odrywając się od wszelkiej znanej mu rzeczywistości. Pomyślał, że umarł i że ów rodzaj wątlej duszy, który zdołał w sobie dostrzec, to zaświaty. Coś, co opisywali poeci. Pozbawiony boskości, lecz zaludniony zjawami Hades.

Pierwsi ukazali mu się jego kompani, którzy polegli w zaciętej walce z niepokonanym przeciwnikiem. Przybywali mu na spotkanie z twarzami zakrwawionymi i oszpeconymi od ciosów, z okaleczonymi kończynami, z wywalonymi na zewnątrz trzewiami, po czym rozpływali się jak we mgłę nie mówiąc ani słowa i nie odpowiadając na jego wołanie. Wiedział jednak, że domagają się zemsty i że właśnie dlatego pojawiają się w jego płynnej, choć nie pozbawionej pamięci świadomości. Niespokojne cienie ludzi, którym nie dane było dotrzymać obietnicy, że wrócą, i którym nie pozwolono nawet na pogrzeb.

Następnie przyszła kolej na Klelię, słodką zjawę, mniejszą, niż była w rzeczywistości, niemal dziewczynkę, która spoglądała nań po drodze, pieszcząc go wzrokiem wiernej i kochającej żony. Wyglądała tak, jakby chciała mu coś powiedzieć, chwilami bowiem jej wargi się poruszały, lecz nie wydostawał się z nich żaden dźwięk. On zaś krzyczał wzywając z płaczem jej imienia. Na próżno.

Rozpłynęła się.

Czasami wydawało mu się, że zaraz zrozumie, że znajduje się o krok od poznania prawdy. Ale jakiej prawdy? Może o sensie życia albo o sensie śmierci, wrażenie to obracało się wokół własnej osi w coraz szybszej spirali, aż w końcu tworzyło wir, który wsysał go od góry niczym liść pozostający na łasce jesiennego wiatru.

Pragnął usłyszeć dźwięki, za którymi tęsknił, głos synka, który zapewne zmienił się po tak długim czasie, lecz mu się to nie udało...

Nie udało się! Pomyślał, że to może być dobry znak: że Tytus żyje i dlatego nie może mu się ukazać w Hadesie. Mimo to odczuwał jego brak i zdawał sobie sprawę — a jakże! — że nie zobaczy go już ani nie usłyszy tak, jak był do tego przyzwyczajony. Ze został na zawsze pozbawiony owych silnych i głębokich wrażeń, dzięki którym czuł się ojcem.

W tych warunkach czas stracił wszelkie znaczenie: nie było już ani światła, ani cienia, ani dnia, ani nocy, nic, co pozwalałoby w jakikolwiek sposób śledzić przebieg wydarzeń czy też rozpoznać, jak długo trwają, kiedy się kończą lub kiedy następuje przerwa. Jedynym wrażeniem, które przypominało mu o istnieniu, był zapach — lekki, niemal ciągły. Który chwilami zdawał się słabnąć, by następnie znów wrócić. Nie mogąc go jednak dopasować do żadnej osoby, obrazu ani pojęcia, doszedł do wniosku, że to zapach zaświatów.

Łąka pełna złotogłowiu? Wydawało mu się, że ją widzi: długie, smukłe łodygi, na ich końcach zaś bielusieńkie kwiaty, ciągnące się na wszystkie strony jak okiem sięgnąć, bez horyzontu, bez końca, poruszone jakimś tajemniczym drganiem, być może podmuchem wiatru, a może ich wewnętrznym światłem, które wibrowało bez sensu w owym rozproszonym mroku, w tej pozbawionej wszystkiego pustce.

W ten sposób jego byt stał się zapachem, z czasem zaś ów zapach przybrał również postać ciepła. Zdawało mu się, że płynie, doznawał wrażeń, które przypominały mu życie. I miał świadomość, że sobie przypomina... Po czym podczas pojedynczego wydarzenia, którego nie umiałby umiejscowić w żadnej chwili swego życia, nastąpiła pieśczoła.

Pieśczoła.

Wiedział, że jest to jeden z cyklów jego bezcielesnego bytu, bo inaczej co? Nigdy nie miał wszakże tak nagłego, tak namacalnego poczucia prawdy. Kolejne wrażenie okazało się olśnieniem.

Delikatnym. Bezbarwnym. Bez zarysów, za to narastającym bezustannie, z niespodziewanym drżeniem, w coraz bardziej szalonym rytmie. Aż wreszcie poczuł, że ma oczy.

I ży.

— Xiong Ying...

Łzy spływały mu po twarzy aż do ust, mógł więc poczuć ich smak. Ujrzał czarne błyszczące oczy, do jego nozdrzy zaś dotarł zapach, tym razem połączony ze spojrzeniem, z ciałem, z wyrazem twarzy.

— Yun Shan.

— Wróciłeś.

— I... żyję.

— Tak, żyjesz, ale...

— Jak długo?

— Tyle dni i tyle nocy.

— A ty przez cały czas byłaś ze mną?

— Nic nie mów.

— Dlaczego?

— Bo nie masz na to siły.

Przyniosła mu napój o dziwnym smaku, lekko gorzkim, następnie zaś niemal płynne pożywienie. Z każdym dniem wracały mu siły, a z nimi razem ból. Ostry ból w ramionach, w nogach, w piersi.

— Będiesz czuł ból — uprzedziła go wcześniej Yun Shan.

— Ból... to przynajmniej życie. Życie, które zawdzięczam tobie.

— Medykom.

— A jednak czuję, że to ty ocaliłaś mnie od pewnej śmierci. I nie wiem dlaczego.

— Każdy czuje to, co podpowiada mu serce.

— Co mi zrobili? Dlaczego nic nie pamiętam?

— Kiedy otworzyli twoje ciało i składali kości, powstrzymali ból, żeby nie doszedł do twego umysłu. To tam czujemy ból, a nie w dłoniach i ramionach. Zamknęli twój umysł w kręgu cienkich igieł.

— Nie rozumiem.

— A potem cię uśpili.

— Czy znów będę taki jak dawniej?

— Tak. Ale musi upłynąć jeszcze trochę czasu.

— Dni? Miesiące?

— Tyle, ile będzie trzeba.

Metellus zamilkł, pograżając się na nowo w zamyśleniu.

— Co zrobisz, kiedy wyzdrowiejesz, Xiong Ying? Wrócisz do kraju... Do rodziny?

— Do mojego kraju, do Taqin Guo... Od dawna nie miałem stamtąd żadnych wieści. Widziałem, jak mój cesarz umiera w więzieniu niczym niewolnik. Zostawiłem moje miasto w szponach wroga... Widziałem, jak moja żona pada przebita strzałą i jak uchodzi z niej życie... A nasz synek... zostawiłem go na pastwę nieprzyjaciół.

— I właśnie z tych powodów pragniesz wrócić... Słusznie.

— Sam już nie wiem, co jest słuszne. Sam już nie wiem, jaki świat zastanę... A moi towarzysze, którzy zginęli w tak haniebnym sposób... Ich cienie domagają się sprawiedliwości i spełnienia nie dotrzymanej obietnicy.

— Czy to dla ciebie takie ważne?

Metellus poszukał wzrokiem jej oczu.

— Nie... Kiedy na ciebie patrzę, myślę o czym innym. Wydaje mi się, że moje życie odmierza bicie twojego serca.

Yun Shan spuściła głowę.

— Ostatnio ciągle śni mi się ten sam sen: jestem na wielkim dziedzińcu pałacu cesarskiego. Ciała moich kompanów leżą wokół mnie bez życia, przede mną zaś znajduje się nieprzyjaciół, który szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. Kiedy jego dłoń przecina powietrze, ty stajesz między nami i przyjmujesz cios na siebie... Dokładnie tu, w samo serce.

— Xiong Ying... — szepnęła dziewczyna — sny to tylko sny.

— Właśnie tutaj... — zbliżył dłoń do jej piersi. — To tak, jakbyś oddała część własnego życia, aby ocalić moje. Czy nie mam racji? Nie wiem jak, ale czuję, że tak jest.

Yun Shan milczała. Nadal miała spuszczonego wzrok.

— Dlaczego to zrobiłaś? Będę ci za to wdzięczny przez cały czas, jaki mi pozostał do końca. Ale proszę cię, powiedz, dlaczego to zrobiłaś.

Dziewczyna podniosła głowę i popatrzyła mu w twarz. Żaden język nie zdołałby wyrazić tego, co w ciągu jednej chwili odrzekło jej spojrzenie, odpowiedzi, która powędrowała wprost do jego serca,

uczucia, które płonęło tajemniczą mocą, palącą namiętnością.

Jej oczy lśniły od łez, twarz zaś zachowała najwyższą godność i podniosłą harmonię. Wszystko trwało jedno drgnienie. Po czym Yun Shan wstała i wyszła z ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Metellus zaś opadł na matę i przymknął powieki, jakby chciał zatrzymać w sobie owo spojrzenie i odcisnąć je w swym sercu.

Nie widział jej przez wiele dni, za to odwiedzał go Dan Qing, który pokazał mu podarunek od Darumy. W górnej części klatki znajdował się mechanizm, który wprawiał ją w ruch niczym maleńki firmament pokazujący na jej podstawie miesiące, pory roku i zodiak, posiadający w Chinach osobliwe nazwy: Małpa, Szczur, Królik. Mechanizm ów napędzały ruchy bujającej się na swej huśtawce gołębicy.

W końcu Metellus wstał z postania i zaczął najpierw chodzić, po kilku dniach zaś nawet po trochu biegać. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy, gdzie jest—wiedział jedynie, że gdzieś w cytadeli Li Cheng. Sala, w której miał wrócić do zdrowia, była obszerna z wiązaniami dachowymi w postaci olbrzymich dębowych bali, z podłogą z gładkich sosnowych desek i ścianami z bielonych cegieł.

Niekiedy pozwalano mu przechadzać się po ogrodzie, gdzie panowała boska doskonałość i gdzie należało się poruszać po wyznaczonych ścieżkach, bez wykonywania żadnych gwałtownych gestów, które mogłyby złamać jakąś gałązkę albo strącić listek. Porastały go rośliny, jakich nigdy dotąd nie widział, o barwach jak ze snu i baśniowym układzie gałęzi i liści. Jego uwagę zwróciła szczególnie jedna, odbijająca się w sztucznym jeziorze, pokryta ogromnymi mięsistymi kwiatami w kolorze różowym przechodzącym w biel. Niebiańska roślina godna Elizjum, o zadziwiająco harmonijnej urodzie i szlachetnym wyglądem. Kwiaty były tak liczne, że tworzyły prawdziwą chmurę, dopóki zaś nie opadły wszystkie płatki, nie otworzył się żaden liść.

W jezioru rozkwiatały kwiaty czerwonego lotosu, będącego symbolem i herbem sekty mnichów, która zamieszkiwała to miejsce, na

dnie zaś, po żwirze utworzonym z kunsztownie przemieszanych białych i szarych kamyków, pływały ryby o prześlicznych barwach: czerwone, błękitne i tęczwozielone.

Owa naturalna doskonałość, będąca owocem najbardziej wyszukanego arcyzmu, z jednej strony napępiała go głębokim spokojem, z drugiej zaś wprawiała w stan osobliwego podniecenia, budząc dreszcze, które czuł pod skórą. Z owego naturalnego tarasu, który przylegał do ściany skalnego urwiska, widać było zakole rzeki, dalej zaś ciągnące się w nieskończoność lasy i mokradła, skąd o świcie podrywały się do lotu chmury ptaków mijając słońce skąpane w gęstych oparach mgły, jakie unosiły się znad bagien i drzew.

Niekiedy będąc w swojej izbie dostrzegał Yun Shan, która przechadzała się po tym zaczarowanym ogrodzie odziana w szatę z błękitnego jedwabiu, spowijającą jej figurę z wdziękiem i elegancją. Widział, jak przenika przez ukwiecone gałęzie, jakby była istotą bezcielesną, lekką i zwiewną niczym obłok.

Miał ochotę przemówić do niej i spojrzeć jej w oczy, aby się przekonać, czy nadal lśni w nich ów blask, który przeszył mu serce tamtego dnia, gdy poczuł, że jest mu tak niewiarygodnie bliska. Rozumiał jednak, że ów ogród stanowi miejsce dla ducha, że należy wyłącznie do tego, kto się w nim zanurzył. Był on niczym kawałek zaświatów, gdzie owe niezwykle istoty przygotowywały swe dusze do stanu niezmażonej szczęśliwości, do życia bez końca.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy zaczął zgłębiać tajniki starych sztuk walki, których mistrz Mo nauczył swych adeptów, zarówno tych, co do tej pory podążają wytyczonym przezeń szlakiem, jak i tych, co zboczyli z drogi.

— Możesz się ruszać tak, jak ja się ruszam, co wielokrotnie widziałeś — powiedział Dan Qing — jak Latające Lisy albo nawet lepiej, jeśli tylko w to uwierzysz, jeśli będziesz pewien, jaką drogą powinieneś podążać.

— Tao... — odrzekł Metellus.

— Nie tyle fizyczna dyscyplina, ile filozofia, głębokie przekonanie, poryw umysłu. Nazywamy ją Go Ti. Musisz poruszać się w

zgodzie z przyrodą, dostrzec jej oddech, pozwolić, aby przeniknął przez twoje ciało. Nie ma takiej rzeczy, której nie możesz osiągnąć. Nie wolno ci jednak kurczowo dążyć do celu, powinieneś pozwolić się unieść prądowi życia, kosmicznej energii, która przepływa zarówno przez każde źdźbło trawy, jak i przez twoje ciało, zarówno przez ziarenko piasku, jak i przez gwiazdy drgające na bezkresnym niebie. Musisz nauczyć się medytacji, tak jak nauczył mnie jej mistrz Wangzi, musisz wymazać z pamięci wszystko to, czego nauczyłeś się w twoim kraju, ponieważ przywiodło cię to do upadku i zagłady twoich żołnierzy.

— Wszystko z wyjątkiem jednego — odparł Metellus. — Mojego wkładu w sprawę: siły, dzięki której męstwo moich żołnierzy przekroczyło wszelkie możliwe granice równowagi, która potrafi skłonić do najwyższych poświęceń wyłącznie dla wiary w przekazane wartości.

— Skoro tak chcesz, niech tak będzie. Być może tylko wspominając poświęcenie twoich kompanów potrafisz walczyć z demonem, który ich pozabijał, i mieć nadzieję na zwycięstwo. Potrafisz połączyć swój los z naszym, poznać inne życie, świat, o którym ci się nawet nie śniło, cywilizację utworzoną przez niedosiężną głębię myśli. Nie po to, by dotrzeć do prawdy, która zawsze się od nas oddala niczym horyzont wędrowca, lecz po to, aby przeżyć życie z najwyższą intensywnością, do jakiej zdolna jest istota ludzka. Chcesz się nauczyć tego wszystkiego, Xiong Ying? Chcesz się do nas przyłączyć i stoczyć naszą bitwę?

— Chcę — zapewnił Marek Metellus.

— I tak się stanie. Ale pod jednym warunkiem. Musisz przysiąc na swój honor, że ta wiedza nigdy nie opuści granic naszego kraju.

— Przysięgam — odparł Metellus — ale w jaki sposób mnie przekonasz, że ponosisz mniejszą winę niż twój wróg? Że jego okrucieństwo nie stanowi następstwa twojego okrucieństwa, twojej przesadnej żądzy władzy? Szukając harmonii między siłą ciała i siłą ducha zapomniałeś, że wszystko to traci sens, jeśli zabraknie cnoty. Jeżeli udzielisz mi wyjaśnienia, zgodzę się z nim, ponieważ jestem twoim przyjacielem, przyjaźń zaś, podobnie jak miłość, nie zważa na żadne ograniczenia.

Dan Qing spojrział mu głęboko w oczy, po czym się uśmiechnął.

— Teraz mówisz i myślisz jak Chińczyk, Xiong Ying... Niestety w tej chwili nie mogę ci powiedzieć nic, co zdołałoby cię przekonać. W tamtych czasach byłem zbyt młody, żeby się oprzeć niszczycielskiej sile władzy. Zareagowałem na coś, co uznałem za zagrożenie, ze zbytnią porywcznością i przesadą, która w komnatach najwyższego władcy zdawała się czymś całkowicie normalnym. Mądrym środkiem, by ocalić dynastię przed chaosem i rozpadem. Dopiero teraz w pełni sobie uświadamiam zło, jakie wyrządziłem niszcząc w brutalny sposób miłość dwojga młodych ludzi, burząc przy użyciu najwyższej przemocy najwyższą harmonię kosmicznego uczucia. Czasami myślę, że to właśnie z tego powodu nasz kraj odniósł śmiertelną ranę i został rozczłonkowany na trzy odrębne i wrogie części. Wszystko, co mogę w tej chwili zrobić, to postarać się naprawić szkody, zjednoczyć kraj walcząc, nie szczędząc sił i nie cofając się przed żadnym niebezpieczeństwem i opatrzyć ranę, którą sam zadałem w serce Yun Shan. Mam wrażenie, że ona cię kocha.

— Co ty mówisz, Danie Qingu?

— Tak, jestem o tym przekonany. Właśnie dlatego cię unika... Ponieważ się ciebie boi. Boi się po raz kolejny poddać uczuciu, które zostanie jej zakazane. To ona będzie cię uczyć, to ona stanie się twoim zaciętym wrogiem w walce i fechtunku. Uważaj, bo może cię ugodzić mocniej niż to konieczne. Z drugiej jednak strony nie mamy wyboru. Ani ja, ani Yun Shan nie możemy pokonać Wei, ponieważ tak naprawdę nie potrafimy go nienawidzić. Jak sam powiedziałeś, częściowo jego okrucieństwo i odrażająca bezlitosność to moja zasługa. Co zaś do Yun Shan, kochała go miłością niewinną, być może nieświadomą, dziecinną, toteż nie mogłaby go zabić z zimną krwią i bez wahania. Tylko ty jesteś w stanie to zrobić i przywrócić harmonię w tym kraju.

— Również na Zachodzie, w Taqin Guo, w mojej ojczyźnie, harmonię zburzył łańcuch potwornych zbrodni, które rozdarły mi serce. Kto uratuje mój daleki kraj?

— Teraz o tym nie myśl, Xiong Ying, teraz musisz spełnić obietnicę, którą dałeś mnie i twoim towarzyszom, zabitym bez litości przez te potwory, ja zaś postaram się zdobyć jakieś wieści z twojego kraju. Przysięgam ci. Dopiero wtedy będziesz mógł podjąć decyzję.

— Niechaj się stanie tak, jak mówisz — odrzekł Metellus.

— Zacznijmy jak najprędzej. Nie mogę dłużej czekać.

Tak oto spędzili wiosnę i lato na nieustannych i wyczerpujących ćwiczeniach, podczas których ciągle się zmieniali coraz bardziej doświadczeni, coraz szybsi i zadający coraz silniejsze ciosy nauczyciele. Dopiero gdy dokonali jego całkowitej przemiany i gdy potrafił odgadnąć zamiary przeciwnika, nim tamten zdążył zadać cios, zaprowadzili go do ogromnej sali pojedynków. Był to pierwszy zimowy poranek Roku Smoka, trzeci dzień drugiego miesiąca.

Gdy umilkł natrętny warkot bębna, wypełniającego olbrzymią, pogrążoną w półmroku izbę, nagle z góry dobiegi rozdzierający krzyk. Pod wpływem kopnięcia w lewy bark upadł na ziemię obracając się wokół własnej osi.

— Broń się! — wrzasnęła Yun Shan. — Gdybym chciała, zabiłabym cię! Broń się — zawołała, podczas gdy jej stopa świsnęła w powietrzu.

Metellus po raz wtóry przetoczył się pod nogi Dana Qinga.

— Musisz zapomnieć, że to kobieta — poradził książę.

— Ona nie jest kobietą, lecz przeciwnikiem, który może cię zabić. Pamiętaj, jak użyłeś dwóch mieczy? Teraz musisz posłużyć się dwiema rękami tak samo, jak kiedyś posługiwałeś się dwoma mieczami, rozumiesz? W ten sposób będziesz w stanie ją pokonać.

— Teraz walczymy na poważnie — powiedziała Yun Shan rzucając się do przodu z wyciągniętymi sztywnymi ramionami, gotowa uderzyć.

Metellus zdążył się już wszakże podnieść i pojąć istotę rzeczy. Musiał zastosować w praktyce sztuczkę, jakiej nauczył go pewien święty mnich, aby uniknąć ran od miecza za pomocą gołych rąk. Teraz zaś jego ramiona szybowały w powietrzu z coraz większą prędkością,

odpierając i zadając pchnięcia i ciosy krawędzią dłoni.

Yun Shan miała dłań jednak w zanadrzu kolejne niespodzianki. Przykucnąwszy nieoczekiwanie, skosiła go stopą. Metellus znów znalazł się na ziemi.

— Nadal walczysz jak barbarzyńca — stwierdził Dan Qing pochylając się nad nim. — Siła ducha przewyższa bez porównania siłę ciała. Spójrz! — Po czym na oczach osłupiałego Metellusa stanął na rękach podnosząc w górę nogi. Jego ciało było proste niczym świeca. Następnie oderwał jedną dłoń od ziemi, opierając się tylko na drugiej.

Metellus nie wierzył własnym oczom, lecz oto Dan Qing zaczął odrywać od ziemi po kolei wszystkie palce dłoni, na której się opierał, aż został mu tylko palec wskazujący, prosty i sztywny niczym żelazny pręt.

— Naucz mnie tego — poprosił Rzymianin. — Naucz mnie Go Ti.

Dan Qing wrócił do normalnej pozycji.

— Ta dyscyplina to nasza najsilniejsza broń, najcenniejsza tajemnica. Żaden barbarzyńca nie doszedł jeszcze do takiego poziomu wiedzy. Zdradź mi powód, dla którego miałbym to zrobić.

— Ponieważ jestem twoim przyjacielem — odrzekł Metellus. — Ponieważ wiążąc mój los z twoim straciłem wszystkich moich towarzyszy. Ponieważ chcę ich pomścić i przywrócić spokój ich duszom zabijając Wei własnymi rękami.

— I nie będziesz więcej mnie osądzał? — zapytał Dan Qing.

— Nie, nie będę.

— Ani ty, siostrze?

Schyliwszy głowę z westchnieniem, Yun Shan odparła:

— Ani ja, bracie.

— Pamiętaj — dodał Metellus — teraz wydaje się, że muszę się jedynie uczyć, ale nadejdzie czas, kiedy odzyskasz tron, a wtedy to ja będę musiał nauczyć wielu rzeczy ciebie i twoich ludzi, rzeczy, o których nie wiecie, a które mogą nawet zdecydować o losach walki.

Dan Qing uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Więc dlaczego nie ocaliłeś twojego cesarza? Widziałem, jak pada na kolana przed swoim wrogiem. Może już o tym zapomniałeś?

— Zostaliśmy pokonani przez oszustwo, a nie przez męstwo! — krzyknął doprowadzony do ostateczności Metellus. — Nie potrzebuję ani ciebie, ani twoich tajemnic. Odzyskam siłę, stawię czoło temu demonowi i zabiję go jak psa, a jeśli będę musiał zginąć, zginę.

Oczy płonęły mu od niepohamowanego gniewu.

Wówczas podeszła doń Yun Shan. Dan Qing zaś wpatrywał się weń w milczeniu. Siła spojrzenia sprawiła, że dostrzegł, a może nawet pojął, czym jest męstwo tego barbarzyńcy.

— Chodź za mną — powiedział.

31

Podczas gdy siedzieli na piętach naprzeciwko siebie, ich profile rysowały się w promieniach światła. Pozycja ta przestała już być niewygodna dla Metellusa, jak to miało miejsce w oazie nad Khaborasem, kiedy gościł w namiocie Darumy. Trwali tak w milczeniu przez jakiś czas, aż wreszcie słońce jęło powoli gasnąć i zapadł zmierzch. Aż wszystko pochłonęła ciemność.

Czas mijał dalej, w całkowitej ciszy, w całkowitym braku światła. Metellus nie potrzebował już żadnych punktów odniesienia, miał wrażenie, że sam w sobie stanowi całość. Zdawał sobie również sprawę, że jest sam, i wcale nie musiał wyciągać ręki, by się przekonać, że przestrzeń naprzeciwko jest pusta.

Nagle gdzieś rozległ się głos Dana Qinga.

— Gdzie jest twój umysł, Xiong Ying?

— Tutaj, wewnątrz mnie — odrzekł.

— Gdzie? — odezwał się ponownie głos.

Inny, bardzo podobny do głosu Yun Shan. Jednocześnie z gór spadł promień światła, a w nim znajdował się odziany na czarno mnich z

czerwoną szarfą na ramieniu, który wyskoczył jak błyskawica i ugodził go w bok.

— Nie! — rozległ się głos Dana Qinga. — On jest w twoim boku, tam gdzie dociera cios. Uważaj! Uważaj!

Promień zgasł. Postać zniknęła.

— Gdzie jest twój umysł, Xiong Ying? — krzyknął po raz drugi Dan Qing.

— Powiedziałeś, że to Yun Shan będzie mnie przygotowywać! — odkrzyknął Metellus.

— I rzeczywiście to ona! Ona wszystkim kieruje. Nie widzisz jej, ale to ona popycha cię ku przeciwnikom. Ale to ona była przeciwnikiem. Uważaj!

Metellus wyciągnął przed siebie ręce chcąc odparować cios bez względu na to, skąd nadejdzie. Wówczas ciemność rozświetlił kolejny promień i niespodziewanie wyłoniła się następna postać, która ugodziła go mocno w ramię.

Metellus upadł.

Promień zgasł.

— Pamiętaj, Xiong Ying! Jest noc, ty jesteś młodym żołnierzem i stoisz na straży. Skąd nadchodzi nieprzyjacielska strzała? Uważaj! Uważaj! Podpowie ci to twój instynkt. Po prostu podążaj swoim tao!

W blasku trzeciego promienia pojawiła się sylwetka kolejnego napastnika.

— Pamiętaj, Xiong Ying! — rozległ się ponownie głos Dana Qinga. — Pamiętaj: żeby zrobić naczynie, formuje się glinę, zastosowanie naczynia zaś zawiera się w pustej przestrzeni!

Po czym czyjeś dłonie śmignęły niczym pazury, tym razem wszakże ramiona Metellusa odparowały cios z błyskawiczną szybkością. Przeciwnik zaś zniknął.

Syk, dwa głucho uderzenia. Pojawiły się dwa gladiusy, jeden niedaleko drugiego. Ledwie widoczne dzięki lśniącym klingom. Kiedy tylko Metellus zdążył je pochwycić, zjawili się dwaj napastnicy, podczas gdy słabe światło oświetlało ciasne pole walki, zarazem jednak nie było wiadomo, skąd pochodzi. Byli uzbrojeni w miecze, długie chińskie miecze ozdobione cieniusieńkimi nacięciami. Gdy rozległo

się rytmiczne walenie bębna, napastnicy zasypali go gradem ciosów.

Metellus wściekle wywijał mieczami, które zadawały i odparowywały ciosy, ich twarda siła zaś bardzo różniła się od smukłej giętkości chińskich mieczy, przypominających wijące się żelazne węże. W pewnej chwili wszystkie cztery ostrza skrzyżowały się nad głowami wojowników tworząc nierozzerwalną płataninę, dociskane przez niezwykłą siłę trzymających je ramion. Klingi załśniły w mocniejszym świetle. Obaj przeciwnicy odsunęli się od siebie ze zgrzytem żelaza, po czym zagłębili się w mroku.

Światło zgasło, natychmiast jednak rozbłysło w innym miejscu: na podłogę spłynął biały stożek, w którego środku pojawiła się Yun Shan dzierżąca Lodowe Ostrze. Światło jęło migać, jakby jakiś nieznaną mechanizm gasił je i zapalał coraz szybciej, zacierając kształty. Wydarłszy się z owego świetlnego wiru, Yun Shan skoczyła ku niemu niczym tygrys, z obnażonym mieczem, po czym rozpoczął się pojedynek. Miecze były jak języki ognia, jak kłapiące się nawzajem ze zgrzytem żelazo, na ich klingach i w oczach walczących lśnił blask, nagłe błyski dzikiej energii. Miecze jaśniały w tym świetle jak płonące gwiazdy, jak iskry; ogromną nagą izbę, w której znów rozbłysło światło, przeszywał łoskot metalu.

Nagle Yun Shan odskoczyła do tyłu, odbiła się i rzuciła ponownie na swego przeciwnika zadając cios o przerażającej sile. Wówczas z dołu wyłoniły się oba gladiusy Metellusa, po czym skrzyżowawszy się nad jego głową, uwięziły Lodowe Ostrze w żelaznym ucisku.

Oboje spojrzeli sobie w oczy zdyszani.

— Zabiłabyś mnie? — zapytał Metellus.

Yun Shan nie odpowiedziała.

— Zabiłabyś mnie? — powtórzył Metellus podchodząc bliżej.

— Tak — odparła dziewczyna. — Ponieważ śmierć z rąk Wei będzie o wiele boleśniejsza.

Metellus upuścił miecze. Lodowe Ostrze opadło z nieubłaganą dokładnością, zawisło wszakże o włos od jego głowy. Odepchnął ramię

Yun Shan i przysunął się jeszcze bliżej. Czuł ciepło jej oddechu.

— Ale nie mogłaś tego zrobić — powiedział.

Yun Shan schowała Lodowe Ostrze do pochwy.

Podczas gdy na niebie gasły ostatnie promienie słońca, Metellus objął ją mocno i złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek.

Walczyli przez cały dzień, aż do zmroku.

W tej samej chwili Dan Qing wszedł do swej komnaty, zamykając za sobą drzwi. Zaraz też usłyszał znajomy dźwięk — łykanie mechanizmu, który wprawiał w ruch górną część srebrnej klatki podarowanej mu przez Darumę. Po czym nagle rozległ się tak wyraźny szcęk, że aż się odwrócił. Naraz drzwi klatki się otworzyły, gołębica zaś wyleciała na dwór przez okno. Dan Qing patrzył, jak przelatuje nad dziedzińcem po ciemniejącym niebie, następnie zaś zaczyna zataczać koła zagubiona. Miał nadzieję, że wkrótce wróci, jak to robią często domowe zwierzęta wraz z zapadnięciem zmierzchu, zdążył się bowiem do niej przywiązać, gołębica jednak poszybowała w stronę lasu, który porastał okoliczne wzgórza, i zaraz zniknęła mu z oczu.

Nazajutrz Metellusa obudził jeden z mnichów, który oznajmił, że Yun Shan czeka nań na dziedzińcu palestry i że ma się tam stawić w stroju do jazdy konnej. Metellus umył się więc i odział, po czym wybiegł na dziedziniec. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć, co się stanie. Jeśli rzeczywiście udadzą się na przejażdżkę, opuści swą kwatere po raz pierwszy, odkąd przybył do Li Cheng.

Nie czekając nawet, aż się z nią przywita, Yun Shan wskoczyła na konia i popędziła przed siebie. Kiedy Metellus uczynił to samo, przegalopowali pod otwartą bramą wiodącą ku zabudowaniom.

Była to niewielka wioska rozciągająca się u zbocza wzniesienia, domy zaś skupiały się wzdłuż głównej drogi wybrukowanej starym kamieniem. Jako że przejechali przez nią ze sporą szybkością, zdążył stwierdzić jedynie brak obecności w pobliżu mnichów, z czego wynioskował, iż muszą się znajdować w fortecy. Spozstrzegł również,

że spotykane po drodze osoby miały nader osobliwy wygląd i bardzo się różniły od ludzi o skośnych oczach.

Przekroczwszy bramę wioski, wjechali do gęstego, porośniętego olbrzymimi trzciniami lasu, który ciągnął się na południe po skalistych wzniesieniach chylących się ku otwartej równinie. Kiedy minęli las, ich oczom ukazał się rozległy pofałdowany krajobraz, z niezliczonymi zielonymi wzgórzami, pośród których płynęła niezbyt szeroka rzeka, na obu zaś jej brzegach wzbijały się w górę gigantyczne, zapewne bardzo stare drzewa. Od zachodniej strony rzeki ujrzeli grupę szarych skał o imponującym wyglądzie. Ich barwa i kształt, jakże odmienne od falującej zieleni krajobrazu, sprawiały wrażenie naturalnej rzeźby.

Widząc, że Yun Shan kieruje się właśnie tam, Metellus jechał obok niej, dopóki nie ściągnęła wodzy i nie zeskoczyła na ziemię, pozwalając koniowi paść się swobodnie. Marek poszedł w jej ślady, wołał wszakże przywiązać swego wierzchowca, którego nie znał, do krzewu. Kiedy się odwrócił, Yun Shan stała oparta o wielkie drzewo rosnące w szczelinie między dwiema olbrzymimi skałami. Zbliżywszy się do niej, poszukał wzrokiem jej oczu.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Jak ktoś, kto wrócił ze świata umarłych. Jak nowy człowiek — odparł Metellus.

— Przypuszczam, że to przyjemne doznanie.

— Po części tak, choć trudno wymazać z pamięci dawne życie... Dlaczego tak długo trzymałaś się ode mnie z daleka?

— Chciałam, żebyś stawił czoło własnym wspomnieniom, podczas gdy ja walczyłam z moimi. Uważam, że teraz możemy sobie spojrzeć w oczy nie raniąc się za każdym razem.

— Nadal jesteś przekonana, że mój przeciwnik mnie zabije?

— Zna tajniki sztuki uprawianej od wieków...

— A ja uczę się zaledwie od paru miesięcy.

— Tak czy inaczej ćwiczyłeś w palestrze, którą osobiście wskazał Mo. Niewielu spotkał ten zaszczyt.

— W jaki sposób powstawały te promienie i pojawiali się tak niespodziewanie moi przeciwnicy?

— Dokładnie nie wiem. Wiem tylko tyle, że to jakaś machina.

— A kto wie? Dan Qing?

— Nie. Nie sądzę. Wie przywódca mnichów, człowiek w szacownym wieku, którego uczniem był mój mistrz Wangzi.

— Będę musiał posłużyć się sztuką, której mnie nauczyłaś, żeby pokonać Wei... A przecież to on jest ofiarą.

Yun Shan spuściła głowę.

— To prawda — powiedziała cicho. — Lecz Wei wybrał drogę, która prowadzi jedynie ku zniszczeniu, ku okrutnej, nieograniczonej władzy. Latające Lisy to bractwo żądnych krwi, bezwolnych fanatyków, którzy są mu ślepo posłuszni. Być może jest coś jeszcze bardziej niepokojącego...

— Wiem, co masz na myśli — wpadł jej w słowo Metellus. — W pewnej chwili podczas walki odniosłem wrażenie, że Latające Lisy poruszają się jak kończyny tego samego ciała, którym zawiaduje jeden umysł.

— Wydaje mi się, że dobrze widziałeś. Moim zdaniem to prawda. Aby jednak doprowadzić do czegoś takiego, trzeba stracić wszelki szacunek do ludzkiego losu.

— Są rany, których nie można wyleczyć — dodał Metellus.

Kiedy Yun Shan spojrzała mu w oczy, jej wzrok przepełniony był bolesnym, nieprzeniknionym smutkiem. Metellus pogładził ją po włosach. Dziewczyna odwróciła się doń plecami, po czym weszła do grotty otwierającej się u stóp wielkich szarych skał.

Metellus uświadomił sobie, że jeśli on także wejdzie do tej grotty, jego życie ulegnie zmianie i nic nie będzie już takie jak dawniej, zarazem jednak poczuł, że pragnie Yun Shan bardziej niż własnego życia. Jej zapach, który przywołał go z zaświatów, był teraz silniejszy niż jakiegokolwiek inne wspomnienie. Wkroczywszy powoli do środka, rozejrzał się dokoła. Była to ogromna naturalna jaskinia, której upstrzone wapieniem ściany pokrywały rzeźby przedstawiające sceny polowań, stada uciekających zwierząt, galopujących jeźdźców

strzelających z łuku — obrazki z zamierzcłej przeszłości w kraju, który sam w sobie był już i tak zamierzcły.

Na dnie leżał czysty piasek złotego koloru, na którym widniały ślady bosych stóp.

Stała naprzeciw niego z kruczoczarnymi włosami opadającymi na plecy. Wpatrywała się weń gorączkowym, płomiennym wzrokiem, który rozpalał mu całą duszę i serce. Zapomniał o wszystkim, kiedy objęła go ramionami, kiedy jej włosy jeły muskać mu szyję i barki. Opadli spleceni w uścisku na piaskowe łożo i położywszy się na własnych ubraniach, wtulili się w siebie z niecierpliwym pośpiechem, szukając się nawzajem z gorączkowym drżeniem dłoni. Wówczas Metellus znów poczuł ów mocny zapach emanujący z jej włosów, z ust, z miękkiego, płonącego pożądaniem brzucha. Całował jej skórę, podczas gdy ona poddawała się jego gorącemu oddechowi, otwierając swe nieskalane ciało przed jego namiętnością, przed jego drżącym, burzliwym pragnieniem.

Kochali się długo i zapalczywie, później zaś powoli, sennie. W końcu padli wyczerpani, wsłuchując się w szum wiatru, wiejącego wśród gigantycznych trzcin.

— Zostaniesz ze mną, Xiong Ying?

— Zostanę — odrzekł Metellus.

Wypowiadając te słowa był szczery. Burza zmysłów i zamęt duszy ustąpiły miejsca głębokiemu spokojowi, smutnemu przeświadczeniu, że od tej pory jego los związany jest z ową krainą bez granic, z ową ziemią strzeżoną przez niewidzialne smoki, skąd nie ma ucieczki.

— Zapomnisz — powiedziała Yun Shan. — Kiedy zwyciężysz, zapomnisz. Nauczysz się odradzać co rano wraz ze słońcem.

Wróciwszy przed zmierzchem, przystanęli, by podziwiać mury fortecy oświetlone promieniami słońca, które chowało się właśnie za górami. Wybrana droga była w tym miejscu lśniąca niczym marmur i śliska. Ruszyli dalej na piechotę, trzymając konie za uździenice.

— Li Cheng to jedyne miejsce oporu przeciwko Wei — wyjaśniła Yun Shan. — Jak dotąd pozostało niezdobyte, bo nikt nie wie, jak tu

dotrzeć. Od strony rzeki jest tylko urwisko, od tej strony zaś otacza je i zasłania gęsty las bambusów, toteż nie sposób je zobaczyć, dopóki człowiek nie znajdzie się tuż obok.

Metellus przyglądał się gołębiczy, która zataczała szerokie kręgi na ciemniejącym niebie.

— Tylko tamten ptak — stwierdził — jest w stanie dojrzeć je w całości i policzyć wszystkie domy.

— Istotnie — przytaknęła Yun Shan. — Tylko że on nie umie mówić, więc nie może tego nikomu wyjawić.

Nagle minął ich chłopiec, który niósł dwa cebry wody przy-czepione do końców wiklinowego kosza i który przystanął wpatrując się ciekawie w obcego przybysza.

Metellus również obserwował go zdumiony: miał prosty nos i duże ciemne oczy. Podszedł bliżej, aby lepiej mu się przyjrzeć, wystraszo-ny malec jednak uciekł, porzuciwszy cebry.

— Zaczekaj! — zawołał Rzymianin. — Zaczekaj, proszę, nie chcę ci zrobić krzywdy.

Chłopiec zatrzymał się, po czym na widok uśmiechającej się uspo- kajająco Yun Shan powoli zawrócił. Metellus podszedł bliżej, następ- nie przykucnął, tak że jego wzrok znalazł się na wysokości oczu mal- ca, który wcale nie miał rysów typowych dla mieszkańca Wschodu. Oba ogarnęło jakieś dziwne, bezwiedne wzruszenie, podczas gdy spoglądali sobie nawzajem w oczy, w pewnym stopniu się rozpozna- jąc, czując w jakiś tajemniczy sposób, że są sobie bliscy i do siebie podobni. Metellus pogładził go po policzku.

— Przypomina ci kogoś, prawda? — zapytała Yun Shan.

— Tak — odrzekł Metellus, którego oczy błyszczały. — Tak.

Onieśmielony chłopiec cofnął się i włożywszy sobie z powrotem na ramiona wiklinowy kosz z cebry, oddalił się.

— Jak to możliwe? — dziwił się Metellus. — Jak to możliwe?... Te rysy, kolor oczu...

Jeszcze nie skończył mówić, gdy na spotkanie chłopcu wyszedł ja- kiś mężczyzna, który odebrał od niego cebry z wodą. Prawdopodobnie ojciec. Był to mężczyzna wyższy niż tutejsi ludzie, z gęstą krzaczastą

brodą, z kwadratową szczęką i orlim nosem. Przypominał Sergiusza Balbusa, wiernego centuriona. Metellus śledził go wzrokiem powtarzając:

— Jak to możliwe? Przecież ten człowiek też ma...

— Takie same rysy? Takie same oczy i brodę?...

Kiedy wsiedli z powrotem na konie i ruszyli powoli obok siebie, Yun Shan rozpoczęła swą opowieść.

— Krąży w tych stronach pewna historia...

— Jaka historia? — niecierpliwił się Metellus.

— Historia o Trzystu Najemnych Diabłach... Za panowania cesarza Yuandiego na naszej zachodniej granicy wydarzyło się coś dziwnego. W tamtych czasach, jakieś trzysta lat temu, nękały nas ciągłe najazdy ze strony barbarzyńców z Północy, których nazywamy Xiong Nu. Cesarz zdołał przemówić im do rozumu dopiero wtedy, gdy zasiadł wśród nich niezgodę i podjudził jedno plemię przeciw drugiemu...

— *Divide et impera* — mruknął Metellus pod nosem.

— Co powiedziałeś?

— Dziel i rządź — odparł. — My też tak robimy. To oczywiste, że wszystkie imperia uciekają się do tych samych sposobów. Ale proszę cię, mów dalej.

— Otóż jeden z jego marszałków, zapuściwszy się na Zachód, aby zapewnić bezpieczeństwo na Jedwabnym Szlaku, dowiedział się od swych szpiegów, których wysłał na rozpoznanie, że oddział cudzoziemskich żołnierzy zajął przygraniczną fortecę. Natychmiast wydał rozkaz, aby ich stamtąd usunąć, po czym wysłał silny hufiec piechoty i jazdy, który miał ich wykurzyć, wojsko jednak wróciło w opłakanym stanie, poniosłszy ogromne straty. Wielki marszałek kazał zabić nieudolnego dowódcę, który dał się pobić garstce barbarzyńców, i wysłał drugi, bardziej waleczny i liczniejszy oddział z poleceniem, żeby nie wracał, dopóki nie wykona misji. Drugi oddział zaatakował, ale znów został odparty przez tych niezłomnych żołnierzy. Po powrocie członkowie wyprawy opisali cudzoziemskich diabłów w taki sposób: kosmaci, o okrągłych oczach i kwadratowych szczękach. Okropni...

Metellus uśmiechnął się spoglądając na czarne włosy na rękach i dotykając dłonią podbródka.

— Walczyli ustawieni na kształt rybich łusek, a czasem zakładając tarcze na głowy.

Yun Shan wypowiedziała ostatnie słowa z patosem i nie bez wzruszenia, przed oczyma miała bowiem właśnie rozpaczliwą obronę Metellusa i jego towarzyszy w bitwie z Latającymi Lisami. Metellus domyślił się przyczyny jej poruszenia, gdyż ten sam obraz przemknął także przez jego głowę, starał się go jednak odepchnąć, jako że był zbyt bolesny.

— Mów dalej — poprosił.

— Rozwścieczony marszałek postanowił rozpocząć oblężenie fortecy, ale zza murów posypały się głazy i żelazne strzały nieprawdopodobnej wielkości, jakby wyrzucane rękami i wystrzelone przez łuki jakichś niewidzialnych olbrzymów.

„Balisty i katapulty”, pomyślał Metellus, którego ta opowieść fascynowała coraz bardziej.

— Wśród żołnierzy zapanował strach — ciągnęła Yun Shan — stracili zapał do walki, co dotarło do uszu cesarza Yuandiego, który zapragnął udać się na miejsce i zobaczyć obcych na własne oczy. Pełen podziwu i wzruszenia dla tak niezwykłego męstwa, zażądał spotkania z ich dowódcą, nie istniał wszakże żaden wspólny język, który umożliwiłby im rozmowę. Wobec tego cesarz wysłał im nauczyciela, który nauczył ich chińskiego, a kiedy byli w stanie się porozumieć, przystąpili do układów. Yuandi pozwolił im zamieszkać w fortecy pod warunkiem, że będą bronić tego odcinka granicy przed najazdem wszelkich wrogów. Tak też się stało. Poza tym trzystu z nich zgodziło się zostać jego strażą przyboczną i służyło mu wiernie przy niezliczonych okazjach. Na łożu śmierci cesarz przyznał członkom swojej gwardii prawo utworzenia títuan, czyli kolonii, i osiedlenia się właśnie tu, w Li Cheng, jako ludzie wolni. Oto dlaczego mieszkańcy wioski mają taki wygląd. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, dostrzegam, że w pewnym stopniu są do ciebie podobni... — dodała przyglądając mu się tak, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

Metellus miał łzy w oczach.

— Co się z tobą dzieje, Xiong Ying? — zdziwiła się dziewczyna.

— Powiedziałaś, że kiedy miało miejsce to wydarzenie?

— O ile sobie dobrze przypominam, było to w dwudziestym drugim roku panowania Yuandiego, czyli... mniej więcej trzysta piętnaście albo trzysta szesnaście lat temu.

— Byli Taqin jak ja, prawda?

— To możliwe — odrzekła Yun Shan. — A mówiąc o ich sposobie walki z tarczami nad głową myślałam o was, tamtego dnia na arenie.

— Trzysta piętnaście lat temu... Muszę to przełożyć na nasze lata... To znaczy, to znaczy... Siedem wieków od założenia naszego miasta... stolicy Taqin Guo. O bogowie na niebie! Przecież to Zaginiony Legion!

— Co to znaczy? — zapytała Yun Shan, która nic nie rozumiała.

— Dwa lata przed wydarzeniami, które właśnie mi opisałaś, nasze wojska zostały rozgromione w bitwie z Persami. Tylko jednemu oddziałowi, jednemu legionowi, udało się przerwać okrążenie i uratować, ale rozpułnął się w powietrzu. Nikt nie wie, co się z nim stało...

Słońce chyliło się właśnie ku zachodowi za pokrytymi czerwonymi dachówkami domami Li Cheng, chmury zaś jeły przybierać barwę od ognistoczerwonej przez pomarańczową do błękitnoszarej, gdy w położonej poniżej dolinie rozległy się dźwięki rogów wzywających do medytacji.

— W pozostałej części kraju — ciągnęła Yun Shan — ci żołnierze to legenda. Powiadają, że byli niepokonani. Powiadają, że choćby jednemu z członków dynastii Han groziło niebezpieczeństwo, powstaną z grobów i przyjdą z pomocą...

Metellus spojrział jej prosto w oczy.

— I nie zostawili żadnego śladu swojej obecności? Nie zauważyłaś nigdy niczego szczególnego w wiosce albo w okolicy?

Yun Shan schyliła głowę, jakby te słowa niespodziewanie ją poruszyły, po czym rzekła:

— Chodź za mną... Może wielki zielony kamień...

— Co takiego?

— Chodź za mną — powtórzyła. — Jeśli jest tak, jak myślę, może ty potrafisz to zrozumieć.

Skręciwszy w prawo, popędziła w górę wioski wybrukowaną ścieżką, Metellus zaś podążył za nią.

Wkrótce dotarli do ogromnej skalnej ściany, do której wiodły szerokie stopnie, a która w dolnej części sprawiała wrażenie wykutej przez człowieka. Zeskoczywszy na ziemię, Yun Shan podeszła do fragmentu ściany całkowicie zakrytego pnączami, które zasłaniały go w dużej mierze przed ludzkim wzrokiem. Obejrzała się sprawdzając, czy Metellus idzie za nią, po czym odsunęła rośliny, a wówczas ich oczom ukazał się nadgryziony zębem czasu wykuty w kamieniu napis.

Był po łacinie!

Czując napływające do oczu niepohamowane łzy, Metellus podeszedł do ściany, aby je ukryć. Przesuwając ręką po zatartych znakach doznał wrażenia, że nadal są ciepłe od dotyku dłoni, które je wykłuły. Dłoni żołnierzy, którzy zdołali umknąć przed zagładą pod Karrami, żołnierzy mitycznego Zaginionego Legionu!

— To oni? — zapytała z niepokojem Yun Shan. — Naprawdę przybyli z twojego kraju?

Metellus przytaknął z powagą, nie odrywając dłoni od skały.

— Trzysta piętnaście lat temu. Żaden z nich nie wrócił. Żaden nie zobaczył więcej żony ani dzieci. Kiedy wykuli ten napis, postanowili, że nigdy więcej nie będą używać ojczystej mowy, nawet między sobą, aby zapomnieć... Aby nie cierpieć. Tak tu jest napisane — stwierdził dotykając palcem ostatnich wersów.

ITAQUE LINGVAE MAIORVM ELIGIMVS OBLIVISCI

NE POENA AMISSAE PATRIAE INTOLERABILIS FIERET

— „Tak oto postanowiliśmy zapomnieć mowy naszych przodków, aby tęsknota za utraconą ojczyzną nie stała się nie do zniesienia”... Napisali to dla mnie — dodał opierając głowę o ścianę. — Nikt przede mną nie zdołałby tego przeczytać.

Wleciawszy przez okienko w wieżycze górującej od wschodu nad pałacem cesarskim w Luoyangu, gołębica przysiadła na podpórcie, na której czekały czysta woda i karma. Wprawdzie sługa odpowiedzialny za gołębnik natychmiast ją zauważył, jednakże ani drgnął. Pozwolił się jej napić i najeść, gdy zaś zagruchała, podszedł bliżej i zręcznie ją chwycił w dłonie.

Zbiegłszy czym prędzej po schodach, stanął przed salą audiencyjną i powiedział coś do straży. Wówczas jedna z nich zniknęła w środku, po czym wkrótce wróciła, aby doprowadzić go przed oblicze eunucha.

Wei natychmiast chwycił gołębicę w dłonie i przytulił do policzka szepcząc jej na ucho ciche słowa:

— Nareszcie wróciłaś. A teraz zaprowadzisz nas tam, gdzie byłaś przez cały ten czas. Zaprowadzisz nas do Li Cheng, prawda, maleńka?

Sługa wycofał się do wyjścia, przekonany, że ów człowiek rzeczywiście zna mowę zwierząt i potrafi z nimi rozmawiać.

Kiedy Wei uderzył w zawieszoną między dwiema kolumnami tarczę z brązu, zjawił się jego zausznik, jeden z przywódców Latających Lisów.

— Panie — rzekł z ukłonem.

— Widzisz tę gołębicę? Właśnie wróciła z długiej podróży i jest bardzo zmęczona, ale kiedy odpocznie i odzyska siły, będzie w stanie zaprowadzić nas do fortecy Czerwonego Lotosu, do Li Cheng. Zniszczymy ich, podobnie jak pozabijaliśmy uczniów Wangzi w Klasztorze Szemrzących Wód. Zbierz natychmiast na wewnętrznym dziedzińcu wszystkich żołnierzy, jakich mamy. Zaraz do was przyjdę. Po drodze przyślij mi dowódcę straży.

Mężczyzna oddalił się.

Zostawszy sam, Wei spuścił głowę, aby przyjrzeć się trzymanej na kolanach gołębicy, po czym ją powoli głaskał, przesuwając woskowymi dłońmi po jej grzbiecie z wdziękiem i lekkością, niemal z niszczycielską miłością. Po chwili zaś przysunął ją do twarzy. Jej brzuch dotykał jego prawej dłoni, pazurki zaś tkwiły między palcami

wskazującym i środkowym. Lewym kciukiem podtrzymywał jej łebek, tak że oko ptaka znajdowało się tuż przy czubku jego nosa.

Wtem do sali wkroczył dowódca Zhong Wu, który przystanął w odległości dwudziestu kroków od Wei i skłonił się głęboko.

— Wreszcie możemy znaleźć drogę do Li Cheng i zniszczyć kryjówkę Czerwonego Lotosu — oświadczył eunuch pieścąc gołębicę, w jego głosie zaś nie słychać było żadnego podniecenia, jakby mówił o czymś zupełnie naturalnym.

Zhong Wu spuścił głowę, jakby chciał wyrazić w ten sposób szacunek dla człowieka, który zdołał osiągnąć coś takiego, w rzeczywistości wszakże pragnąc ukryć grymas niezadowolenia. Owo istotne odkrycie dokonane przez władcę oznaczało bowiem dla niego znie wagę, ponieważ pozwolił się wyprzedzić.

— Od tej chwili każdy, komu nie ufasz, musi być trzymany pod strażą. Przy każdym podejrzanym ruchu należy przedsięwziąć natychmiastowe kroki: pozamykaj albo po prostu pozabijaj wszystkich szpiegów, albo poślij za nimi kogoś, żeby poznać ich dalsze możliwe powiązania. Jak przypuszczam, nie muszę cię tego uczyć.

Dowódca ponownie się skłonił.

— Twoje rady zawsze są cenne, ja zaś gotowym uczynić z nich skarb, panie.

Wei milcząco skinął głową wobec owego służalczego pochlebstwa, nie przestając pieścić gołębicę. Jego dłonie zaciskały się tak szczelnie na jej skrzydłach i łapach, że mogła poruszać jedynie łebkiem. Robiła to nieustannie, jakby czymś bardzo pobudzona.

— Kiedy wreszcie zgładzimy zepsuty ród cesarski — ciągnął Zhong Wu — i pozbędziemy się ostatniego spadkobiercy, będziesz mógł obwieścić wieczny upadek panującej dynastii. Będiesz mógł się ogłosić Synem Niebios.

Wei westchnął, po czym rzeki:

— Powierzyłem ci też inne zadanie.

— Wiem, panie.

— I co?

— Ograniczyłem wybór do bardzo małych dzieci, które zostały sierotami albo których rodzice gotowi są je oddać za odpowiednią ilość złota bądź też za pewne łaski. Jesteśmy w trakcie oceny ich zachowania i naturalnych zdolności, lotności umysłu, bystrości, odwagi. Trudno jednak rozpoznać te zalety u tak małych dzieci, jakich sobie zażyczyłeś.

— Wybraniec musi mnie uznać we wszystkim za swojego ojca. Kiedy zaś zdobędziemy Li Cheng, chłopiec będzie miał również matkę. A teraz idź. Rób, co powiedziałem.

Dowódca skłonił się i oddalił. Tymczasem Wei wstał z miejsca obok tronu cesarskiego, na którym jeszcze nie zdecydował się usiąść, i ruszył do drzwi wiodących na wewnętrzny dziedziniec pierwszego pawilonu, przez cały czas przyciskając gołębicę do piersi.

Na jego widok nadbiegł dowódca czujki, gotów wysłuchać rozkazów, gdyby tylko zechciał je wydać.

— Zawołaj konnych kurierów — polecił. — Najszybszych, jakich mamy. Natychmiast.

Oficer podbiegł do wartowników i wydał podwładnym suche rozkazy. Wkrótce hufiec jazdy, wojsk pomocniczych z regionów północno-zachodnich, wskoczył na konie, niezmordowane wierzchowce stepowe, droższe niż tygrysie kocięta, które przybywały z Syjamu w postaci podarunków dla władców. Ze względu na ich nadzwyczajną szybkość i wytrzymałość zwano je „końmi, które toczą krwawą pianę”.

— Musicie biec za tą gołębicą — wyjaśnił im Wei. — W przeciwieństwie do innych ptaków tego gatunku została tak wyćwiczona, żeby umiała wrócić do miejsca, w którym przebywała co najmniej sześć miesięcy. Biada wam, jeśli straciecie ją z oczu. Wówczas będziecie przykładnie ukarani. Dobrze wiecie, co mam na myśli.

Jeźdźcy słuchali siedząc nieruchomo na włochatych wierzchowcach, odziani w ciężkie skórzane kaftany skrzyżowane na piersiach.

— Co wieczór — ciągnął Wei — jeden z was wróci do Luoyangu, żeby zdać sprawę z położenia waszego oddziału. Ostatni goniec powie nam, gdzie znajduje się Li Cheng. Wtedy wyruszy ekspedycja, która zdobędzie wioskę i fortecę. Nie bójcie się, wasza misja nie będzie trudna.

To stworzenie będzie waszym przewodnikiem i zapewniam was, że jej nie zgubicie.

Mówiąc to otworzył dłonie i wypuścił gołębicę. Przyglądał się nieruchomo, jak leci zrazu niepewnie, po czym z coraz większym rozmachem, kierując się ku jasnemu niebu. Jeźdźcy zaś pogalopowali jeden za drugim podążając za swym skrzydlatym przewodnikiem.

Tymczasem Wei wrócił do wielkiej, cichej sali i pogрузił się w medytacji. Szukał zagubionego miejsca, w którym ukrywali się jego zaciekli wrogowie i w którym — był tego pewien — ukryła się także Yun Shan wraz z obcym barbarzyńcą. Czuł, że on nadal żyje, że przeżył jego ciosy i śmierć swoich towarzyszy. Czyżby Yun Shan go kochała? Myśl ta sprawiała mu nieznośny ból, rodząc wątpliwości, które toczyły go niczym czerw. W głębi duszy podejrzewał, że Yun Shan wymazała z pamięci miłość, która łączyła ich, kiedy byli jeszcze dziećmi, i męki, jakie musiał znosić. Pamiętał ostatnie słowa wypowiedziane przez nią po pojedynku, jaki stoczyli w samym środku nocy pod murami Luoyangu.

Potęga jego własnych myśli, a także nienawiść, która wydobywała się z jego umysłu jak trucizna, nie wystarczała jednak, aby wyjawić mu, co się działo w miejscu, gdzie Yun Shan oddawała się innemu mężczyźnie i być może otwierała przed nim serce. Miał wrażenie, że widzi rozmaite obrazy, spojrzenia, pieszczoty, ukryte żądze. Z całej siły, do jakiej był zdolny, pragnął śmierci swego przeciwnika i wydawało mu się niemożliwe, aby od ciosu, który mu zadał, nie pękło serce.

Pozostał w tym stanie przez wiele dni, poszcząc i pijąc jedynie napar z gorzkich ziół. Niekiedy bywał tak wyczerpany, że umysł zwodził go pokazując idealnie piękne obrazki: rodzinę, składającą się z niego samego, Yun Shan i dziecka, które postanowił wychować w pałacu, aby dać początek nowej dynastii. Widział, jak sam uczy go podstawowych wiadomości, matka zaś obrzędów, które zbliżają człowieka do nieba. W gruncie rzeczy obrazki te pozostawiały mu wszakże tylko uczucie palącej pustki i wściekłego gniewu, który ugasić

zdołałaby jedynie przelana krew.

Przerywał medytację za każdym razem, gdy nadjeżdżał goniec, który powiadał mu, gdzie właśnie znajduje się gołębica i na jakim etapie jest podróż, która doprowadzi ich w końcu do Li Cheng. Wydarzenie to zawsze budziło w jego sercu niemal dziecięcy lęk.

Czasami zaś, chcąc uśmierzyć gryzącą go nienawiść, ćwiczył się w kaligrafii na cienkiej jedwabnej tkaninie barwy kości słoniowej, przepisując teksty klasyczne, jakie ocalały z pożaru Wielkiej Biblioteki Luoyang: ideogramy bardzo starej wersji „I Ching”, księgi objawionej. Za każdym razem coś zdawało się pchać jego rękę, by kreśliła zmienne linie podwójnego heksagramu, który stawiał mu przed oczami natarczywy obrazek steli nagrobnej. Szukał wówczas odpowiedzi w przepowiedniach wyrytych na byczych i baranich kościach, którymi rzucał ze złością na posadzkę sali tronowej.

Stela nagrobna. Zapowiedź śmierci. Tylko dla kogo?

Gdy pewnego wieczoru do komnaty wkroczył jeden z sług, z jego miny wywnioskował, że przynosi złe wieści.

— Jakiś człowiek czeka na ciebie w sali audiencyjnej, panie — oznajmił i czym prędzej się oddalił.

Wei wstał, kiedy zaś wszedł do sali audiencyjnej, otrzymał potwierdzenie swych przypuszczeń. Oto stał przed nim jeden z gońców ze straży cesarskiej, który wyglądał na przestraszonego.

— Straciliśmy z oczu gołębicę, panie — powiedział, na jego twarzy zaś malowało się przerażenie. Twarz Wei wykrzywiła się w grymasie pogardy i gniewu. — Szukaliśmy wszędzie, rozdzieliliśmy się i każdy pojechał w inną stronę, ale poleciała nad obszar niedostępny, po którym nasze konie nie dały rady się poruszać. Nikt nie przewidział takiej możliwości, panie...

Jeszcze nie skończył zdania, gdy ręka Wei świsnęła w powietrzu i uderzyła go w szyję. Mężczyzna zważył się na ziemię bez jęku. Eunuch zaś obrócił się na pięcie i udał do swych komnat. Po czym usiadł i chwyciwszy pędzelek, jął kreślić na jedwabiu starą przepowiednię.

Jego dłoń poruszała się z najwyższą gracją, gesty były wyważone i pełne elegancji, ideogramy zaś powstawały na tkaninie jak za sprawą czarów, niczym kwiaty rozkwitające na łące. Ramię pozostawało prawie nieruchome w zawieszeniu, pozycję zmieniał wyłącznie nadgarstek rozkazując palcom i pędzelkowi. Inkaust zdawał się spływać na materiał wprost z jego ciała, w czarnym potoku złej krwi. Odłożywszy wreszcie pędzelek na podstawkę z różanego drewna, pogрузił się w głębokim skupieniu, jakby zasnął. Rysy twarzy mu złagodniały, kończyny odprężyły się, powieki zaś niemal zamknęły się na gałkach ocznych.

Długo trwał w owym stanie pozornej nieświadomości, bez ruchu, cały zaś pałac zdawał się zatopiony w ciszy.

Co jakiś czas do jego komnat zaglądała przydzielona mu służka niosąc na tacy parującą czarkę z naparem, który zwykł wypijać rano i po południu. Stała przez chwilę w należytej odległości, bez ruchu, spoglądając nań z lękiem i zarazem podziwem, być może ulegając urokowi drapieżnie pięknej twarzy swego pana. Następnie postawiwszy tacę na stoliku, oddalała się cichym krokiem. Rozpływała się wśród jedwabnych kotar w kolorze indygo poruszanych lekką bryzą, która zawsze wiała w pałacu, a która była wynikiem zmyślnych sztuczek architektonicznych polegających na tajnych przewodach kominowych i wypolerowanych powierzchniach.

Wreszcie pewnego dnia zapowiedziano kolejnego pośtańca, a wówczas Wei wstał otrząsając się z odrętwienia i udał się do sali audiencyjnej. Natychmiast rozpoznał w nim członka Latających Lisów.

— Panie — rzekł przybysz — nasz dowódca polecił mi przekazać, że pozwolił sobie wysłać za oddziałem jazdy kilku naszych, którzy w razie potrzeby mieli się posłużyć środkami typowymi dla pościgu na obszarze niedostępnym. Ma nadzieję, że wybaczysz mu tę samowolę, ponieważ przyniosła oczekiwane wyniki. Podążano za gołębicą tam, gdzie konie nie mogły wkroczyć, teraz zaś wiemy dokładnie, gdzie znajduje się Li Cheng. Jeźdźców także uprzedzono, rozbili więc obóz w bezpiecznej odległości od fortecy; zachowują się cicho i są niewidocznymi. Mogą stamtąd przesyłać wiadomości na czas, abyśmy zdołali

przedsięwziąć odpowiednie kroki i wykonać konieczny ruch.

Wei nie posiadał się z radości, lecz nie dał tego po sobie poznać.

— Przekaż swoim braciom, żeby byli gotowi wyruszyć jak najszybciej. Wyjeżdżamy, gdy tylko będzie to możliwe, uzbrojeni jak na wojnę. Zabieramy ze sobą najlepsze oddziały armii cesarskiej w liczbie, która zapewni powodzenie naszej misji.

Po upływie trzech dni wojsko było przygotowane do wymarszu. Poprowadził je sam Wei na czele Latających Lisów. Dosiadał wierzchowca z Xixia, czarnego i lśniącego niczym krucze skrzydło, którego podarował mu jeden z marszałków z Południowego Zachodu.

Wraz z pierwszym braskiem ciche ulice miasta przemierzył długi rząd jeźdźców, piechoty, wozów i zwierząt jucznych, nie pozostał wszakże nie zauważony.

Darumę, który spał właśnie niezbyt spokojnym snem w izbie w karawanseraju, gdzie mieszkał od pewnego czasu, obudził stukot kopyt o bruk. Odziewszy się w pośpiechu, wypadł na dziedziniec i pobiegł na miejsce, w którym składował swe towary i trzymał juczne zwierzęta.

Nagle za jego plecami rozległ się czyjś głos:

— Ależ z ciebie ranny ptaszek, Darumo!

33

Słońce kryło się za doliną zalewając blaskiem urwiska, które otaczały wioskę Li Cheng od wschodu, z przeciwnej zaś strony dachy klasztoru wojujących mnichów z Czerwonego Lotosu, przycupniętego na skalistym płaskowyżu położonym nad zakolem rzeki.

Dan Qing spoglądał na fasadę grobowca cesarza Yuandiego, którego strzegły skrzydlate smoki o otwartych paszczach i do którego prowadziły majestatyczne schody. Stojąc tak wysoko miał także widok

na ścieżkę wijącą się do góry aż ku południowej bramie. Nagle jego uwagę przykuła chmura pyłu, zbliżająca się szybko do fortecy. Wkrótce zdołał dostrzec jeźdźca, który pędził co koń wyskoczy, bez ustanku poganiając swego wierzchowca.

Przekroczywszy bramę, jeździec zeskoczył na ziemię i zamienił kilka słów ze strażnikami. Ci z kolei wskazali mu brukowaną drogę wiodącą do ogromnego grobowca cesarskiego, po chwili zaś stanął przed obliczem księcia. Cały aż lepił się od potu i kurzu.

— Książę, otrzymaliśmy znak od naszych szpiegów. Wei idzie właśnie na Li Cheng.

Dan Qing pociemniał na twarzy.

— Skąd ta pewność? Jak daleko jest od nas?

— Jakies dwa tygodnie marszu, ale zdążył już wysłać oddziały zwiadowców na koniach, które dotarły niemal do stóp płaskowyżu. Nie ma możliwości, żeby zmierzały do innego miejsca. Jeśli się mylimy, tym lepiej, ale uznaliśmy, że powinniśmy cię uprzedzić.

— Postąpiliście słusznie. Czy wiecie też, ilu ich jest?

— Około trzech tysięcy ludzi, do tego Latające Lisy, co najmniej dwieście. Wei jedzie na ich czele.

— W takim razie nie ma wątpliwości, dokąd się kieruje. Powiedz, żeby dali ci miejsce w stajni dla konia i jakąś izbę, w której mógłbyś spać dziś w nocy.

Metellus i Yun Shan, którzy zjawili się niemal natychmiast, najwyraźniej już słyszeli od straży, że szykuje się coś niedobrego.

— Złe wieści? — zapytał Metellus.

— Uzurpator maszeruje na Li Cheng. Jest dwa tygodnie drogi stąd. Prowadzi sporo wojska i Latające Lisy. Nie mamy zbyt wielu możliwości, żeby przeżyć. Chyba powinieneś stąd odejść, Xiong Ying.

— Odejść? — powtórzył Metellus z gorzkim uśmiechem. — A niby dokąd?

Odwróciwszy się za siebie, ku monumentalnym schodom, Dan Qing zapytał:

— Jesteś gotów?

Metellus skinął potakująco głową, dając Yun Shan znak, by poszła za nim.

— Nie — odrzekła księżniczka. — Idź sam.

Dan Qing wyciągnął pochodnię z uchwytu w murze, po czym ją się wspinać po stopniach wiodących do cesarskiego grobowca.

— Yun Shan mówiła, że widziałeś zielony kamień z napisem.

— Widziałem — potwierdził Metellus.

— Naprawdę przybyli z twojego kraju?

— Bez wątplenia. Napis jest w moim języku.

— A wspominała o legendzie?

— Opowiedziała mi ją — odparł Metellus. Dan Qing przystanął i spojrzał mu w oczy.

— Chciałbyś... ich zobaczyć?

Rzymianin popatrzył na niego z zakłopotaniem.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Wcale nie — odrzekł Dan Qing. — Cesarz Yuandi pragnął być pochowany tutaj, w Li Cheng, ponadto życzył sobie, aby Trzystu Najemnych Diabłów pełniło straż przy jego grobie przez całą wieczność. Pewnie stąd wzięła się legenda.

— Nie... rozumiem.

— W takim razie chodź za mną. Jeśli zdecydujesz się pozostać w tym miejscu i narażać własne życie, bez wątplenia spotkasz tych, którzy byli tu przed tobą.

Kiedy dotarli na szczyt schodów, Dan Qing zapalił pochodnię od któregoś z trójnogów wotywnych płonących przed wejściem, po czym pokazując Metellusowi jednego ze strzegących mauzoleum smoków rzekł:

— Popchnij ten posąg w lewo, a jak popchnę drugi w przeciwną stronę.

Gdy Metellus spełnił polecenie, to co wyglądało na gładką skalną ścianę, cofnęło się odsłaniając korytarz.

Słońce zdążyło się już skryć za górami, Dan Qing zaś, podniósłszy na chwilę wzrok ku ciemniejącemu niebu, wszedł do środka, a za nim podążał jego towarzysz.

Kiedy pokonali odległość jakichś trzydziestu kroków między dwiema ścianami z litej skały, na których wyryte były teksty przepowiedni,

po lewej stronie ujrzeli ciemne wejście i liczące ze dwadzieścia stopni schody prowadzące do krypty. Dan Qing podniósł pochodnię, aby oświetlić obszerne podziemie, a wówczas oczom oszołomionego Metellusa ukazał się bajeczny widok. Sarkofag cesarza Yuandiego został wykuty w jednym bloku nefrytu, który mienił się różnymi kolorami od zieleni po złotą żółć, strzegło go zaś trzysta posągów. I choć żołnierze odziani byli na chińską modłę, przedstawiali bez wątpienia rzymskich legionistów z epoki republiki, przyodzianych w prawdziwe zbroje. Mimo upływu czasu hełmy i kirysy znajdowały się jeszcze w dobrym stanie; odbijały tu i ówdzie światło pochodni tworząc metaliczne refleksy.

— Bogowie... Wszechmocni bogowie... Nie mogę w to uwierzyć — szepnął Metellus krążąc między szeregami nieruchomych wojowników po tym ogromnym podziemiu, gdzie czas się zatrzymał.

Na piersi każdego z nich wisiał *ritulus*, ołowiana tabliczka, na której Metellus mógł odczytać łamiącym się ze wzruszenia głosem imię, stopień, przydział i odznaczenia każdego z nich. Przechadzał się wzdłuż rzędów owych niespokojnych wizerunków, jakby dokonywał przeglądu wojska zjaw.

Po czym nagle w blasku pochodni wyłoniła się z ciemności postać odmienna od wszystkich pozostałych. Nie był to żaden żołnierz, lecz siedzący człowiek odziany w długą tunikę i płaszcz, na kolanach zaś trzymał jakąś kasetkę. Autentyczny przedmiot, nie wymodelowany w glinie jak reszta posągu. Na wierzchu zaś widniał napis:

CORNELIUS AGRICOLA, PRAEFECTUS FABRORUM

— Rozumiesz, co to znaczy? — zapytał Dan Qing. — Wielu naszych bardziej uczonych mnichów usiłowało odczytać... to. — Otworzywszy kasetkę, pokazał mu znajdującą się wewnątrz garść zwojów.

Metellus rozwinął ostrożnie jeden z nich i przybliżył do płomienia. Wewnątrz znalazł znaki, formuły, rysunki, plany budowlane, wskazówki dotyczące składania poszczególnych elementów, napisane po łacinie i w grece.

— Ja... Nie mogę w to uwierzyć — powtarzał oszołomiony widokiem, rozwijając zwoje jeden po drugim.

— Co to jest? — dopytywał się Dan Qing. — O co tu chodzi? Wyglądają jak maszyny, ale nasi budowniczowie w ogóle nie potrafili się w tym rozeznaczyć.

— Bo wskazówki zapisano starym szyfrem wojskowym, sekwencje rysunków zaś umieszczono w odwrotnej kolejności. Ten człowiek był największym wynalazcą machin wojennych swoich czasów. Nieoczekiwanie zniknął, a po jego dziele nie został nawet ślad... To oznacza, że być może uda nam się znaleźć w tych dokumentach sposób na wygranie bitwy, chociaż jest nas o wiele mniej. A wówczas się przekonasz, że każda cywilizacja, nawet ta najlepiej rozwinięta, zawsze może się czegoś nauczyć od innych. Powiedz mi: czy w tym grobowcu są jakieś inne wyjścia, które prowadzą na zewnątrz?

— Tak, więcej niż jedno.

— Muszę wiedzieć, gdzie dokładnie się znajdują i dokąd prowadzą.

— Co chcesz zrobić?

Metellus omiótł spojrzeniem żelazne pancerze i wiszące u pasów miecze.

— Wkrótce się dowiesz — odparł. — A teraz chodźmy, nie ma ani chwili do stracenia.

Gdy wynurzyli się z powrotem na szczycie schodów, pod wygwieżdżonym niebem, Metellus zwrócił się do księcia:

— Musisz dać mi pozwolenie, żebym dokonał zaciągu i wyćwiczył żołnierzy z Li Cheng i okolicznych wiosek.

Dan Qing zgodził się natychmiast; w oczach Xiong Yinga lśnił władczy blask charakterystyczny dla dowódcy wojsk. Znowu był gotów stanąć do walki.

— Niech tak będzie — odrzekł. — Przydzielę ci jednego z moich przybocznych. Ale pamiętaj, że twoich własnych ćwiczeń nie wolno przerywać nawet na jeden dzień. Yun Shan czeka na ciebie w palestrze, choćby zaraz.

— Wiem — powiedział Metellus. — Żegnaj.

— Xiong Ying.

— Tak, książę?

— Posłuchaj: nikt nie przewidział tego, co ma się wkrótce wydarzyć, ale muszę być z tobą szczerą. Niestety istnieje małe prawdopodobieństwo, że uda nam się przeżyć. Siły Wei są przytłaczające, nasze mury zaś długo nie wytrzymają. Na dodatek ma po swojej stronie Latające Lisy. Wiesz, co to oznacza, prawda?

— Wiem — potwierdził Metellus.

— Więc dobrze się zastanów, skoro masz jeszcze czas. To nie jest twoja wojna; zrobiłeś wszystko co w twojej mocy i zapłaciłeś bardzo wysoką cenę. Możesz odejść, jeśli chcesz. Jedyne, o co cię proszę, to słowo żołnierza, że nigdy nie zdradzisz nikomu tego, czego się tutaj nauczyłeś. Ufam ci.

— A ja z kolei uważam, że jest już za późno — uśmiechnął się Metellus. — W Li Cheng jest kawałek mojego serca, nie sądzisz? A właściwie czym się martwisz? Legenda głosi, że jeśli dynastia znajdzie się w niebezpieczeństwie, Trzystu Najemnych Diabłów powstanie z grobu i rozgromi wroga. Dobrej nocy, książę.

— Dobrej nocy, Xiong Ying.

Metellus zniknął w ciemnościach.

Przez dwa tygodnie w południowej kwaterze Li Cheng rozlegały się dniem i nocą dziwne odgłosy, nieustanny stukot młotków, dyszenie miechów, rytmiczne okrzyki ułatwiające zbiorowy i jednoczesny wysiłek wielu mężczyzn. Nic wszakże nie było widać. Obcy przybysz, którego wszyscy zwali Xiong Ying, otrzymał pozwolenie, aby w obszernej szopie służącej do młócenia ryżu urządził swoją siedzibę. Mężczyźni oddani pod jego rozkazy nie pokazywali się ani na chwilę w ciągu dnia; opuszczali to miejsce dopiero po zmierzchu, przed świtem zaś stawiali się z powrotem do pracy.

Pewnego dnia wrota ogromnej budowli rozwarły się, po czym wyjechały ciągnięte na kołach osobliwe maszyny, których kształtu można się było jedynie domyślać, skrywały je bowiem szerokie płachty płótna.

Dan Qing natychmiast pobiegł je zobaczyć, za nim zaś zjawiała się Yun Shan. Przyglądali się ze zdumieniem i z podziwem dla ich ogromu i wspinałego zmysłu.

— To niezwykle maszyny — stwierdził Dan Qing. — A co one wyrzucają?

— Kamienie, strzały, kotły z wrzącą smołą — odparł Metellus.

— Sądzę, że nasi mnisi znają coś lepszego od smoły. Postaram się, żeby przygotowali ci odpowiednie pociski.

Metellus kazał przeciągnąć maszyny między dwoma rzędami słoczzonej gawiedzi ku części murów wychodzącej na południe, na płaskowyż, czyli jedyne miejsce, z którego można się było dostać do fortecy.

Maszyny zostały wciągnięte na drewniane pomosty, które ustawiono wcześniej nad galerią na murach i zasłonięto ścianami z desek. Oto nowatorskie niegdyś pomysły, które opracował *praefectus fabrorum* Cornelius Agricola, przybrały rzeczywiste kształty w żelazie i drewnie i były idealnie sprawne.

Marek Metellus miał jednak w zanadru inną, jeszcze bardziej tajemniczą broń, nad którą pracował codziennie po zmierzchu, na polanie po zachodniej stronie, za wysokimi szarymi skałami wznoszącymi się samotnie na płaskowyżu. Do owych przygotowań nie dopuścił nikogo, nawet Dana Qinga i Yun Shan, wszyscy wszakże dochowywali tajemnicy, do czego zobowiązali się również uroczystą przysięgą ludzie Metellusa.

Pewnej nocy, gdy do świtu zostało zaledwie parę godzin, Yun Shan wspięła się na przedpiersie do Metellusa, który usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności.

— Orły nie widzą w mroku — zauważyła.

— Niestety nie, ale podczas niezliczonych nocy, kiedy to czuwałem na wielkim murze u granic naszego imperium, rozwinąłem w sobie rodzaj tajemnego zmysłu. Nauczyłem się wyczuwać nadchodzącego wroga, jeszcze zanim go zobaczyłem.

— Wy też macie mur obronny na granicy?

— Oczywiście, że tak. Na północy opanowaliśmy olbrzymią wyspę, która się nazywa Brytania. Na jej najbardziej odsłoniętej części postawiliśmy wał, który przecina ją całą od brzegu do brzegu. Żeby go przejść, potrzeba dziesięciu dni marszu.

Yun Shan uśmiechnęła się w odpowiedzi.

— Nasz ochrania całą północną granicę i żeby go przejść od początku do końca, potrzeba sześciu miesięcy. Jest tak szeroki, że na jego szczycie biegnie droga, po której mogą przejeżdżać wozy i marszerować całe armie w obu kierunkach.

— To musi być niesamowity widok — przyznał Metellus. — Chciałbym go kiedyś zobaczyć.

— Zobaczysz go... Przeżyjemy.

— Mam nadzieję. Ze względu na ciebie...

Zaległo długie milczenie, po czym Metellus zapytał:

— Co mówią wasi mędrcy, żeby odegnąć strach przed śmiercią?

— „Gdy śmierć nadejdzie, przyjmijmy ją z obojętnością i pozwólmy się zaprowadzić w głąb tajemnicy” — odparła Yun Shan. — A wasi?

— Pewien nasz cesarz napisał: „Kiedy nadejdzie godzina, odejdz w pokoju, albowiem przy tym, który cię wzywa, panuje pokój.” Jak widzisz, myślą podobnie. Z kolei pewien nasz poeta napisał: „Odegnaj strach przed śmiercią za pomocą miłości.”

Yun Shan przytuliła się do niego mocno. Wdychając zapach, który trzymał go przy życiu, kiedy był nieprzytomny, poczuł, jak pierś przepełnia mu fala silnego wzruszenia. Gdy ją pocałował, pod wpływem miękkości i ciepła jej warg doznał wrażenia, że całuje boginię. Chwycił jej dłonie w swoje i przytknął do twarzy.

— Wydaje się niemożliwe, aby takie dłonie potrafiły pięścić i zadawać śmierć z jednakową lekkością.

Yun Shan odsunęła się szukając jego oczu w ciemnościach.

— Nie dam się wziąć żywcem, wiesz o tym, Xiong Ying, prawda?

— Wiem, Yun Shan, i sama myśl o tym mrozi mi krew w żyłach. Jak to możliwe, że się odnaleźliśmy, że przywołałaś mnie z zaświatów, aby potem znów wyruszyć na spotkanie śmierci? Dlaczego Czerwony Lotos chce bronić tej fortecy za wszelką cenę? Czy nie ma innego miejsca, dokąd mógłby się udać?

— Nie. Wei wszędzie by nas odnalazł, nie mamy więc innego wyjścia, jak się z nim zmierzyć. Postanowił ukoić własne cierpienie cierpieniem i śmiercią innych i nic nie zdoła go od tego odwieść.

— Nawet ty?

— Myślałam o tym. Gdybym mogła ocalić Li Cheng oddając się w jego ręce, nie wahałabym się ani chwili, ale jestem pewna, że to nie wystarczy. Jego pragnienia nie da się zaspokoić, jego niespełniona miłość płonie mocniej niż jakakolwiek inna, ponieważ żyje jedynie w jego wyobraźni, rodzi krwawe zjawy, potwory, które zatruwają mu noc i przenikają do medytacji. Nie ma spokoju dla Wei. Sam chce się stać złym snem, jednym z potworów, które przywołuje co noc, gdy zamyka oczy.

Metellus przytulił ją do siebie tak mocno, że poczuł bicie jej serca mieszające się z jego własnym. Ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go jeszcze raz.

— Chciałabym, żeby ta noc nigdy się nie skończyła — powiedziała. — Chciałabym, żeby ciemności nas przykryły i schowały, chciałabym, żeby czas się zatrzymał, żeby wymazał z twojej pamięci wszystkie wspomnienia poza tymi, które obejmują wspólnie przeżyte chwile.

— Moje wspomnienia sprawiają jedynie, że uczucie, jakie żywię do ciebie, Yun Shan, staje się głębsze i zżera mnie coraz bardziej, ponieważ są to wspomnienia człowieka, który nie ma nic do ukrycia...

— Przerwał na chwilę. — Posłuchaj... Nadchodzą.

Yun Shan nadstawiła ucha.

— Jazda i piechota... Mnóstwo... Całe tysiące.

Wiatr niósł ze sobą ledwie dosłyszalny szelest, który cichł, gdy poddmuchy traciły na sile.

— Masz słuch jak lis.

— Mówiłem ci, że spędziłem długie godziny na warcie przy granicy i widziałem, jak wielu moich towarzyszy zginęło, bo nie wyczuli wroga, który skradał się w ciemnościach ze sztyletem w zębach. A teraz patrz — dodał wskazując horyzont.

Roilo się tam od świateł, od tysięcy płomyczków, drżących i falujących w ciemnościach, jakby poruszał nimi ten sam wiatr, który wiał

wśród cichych zaułków Li Cheng. Z początku tworzyły one zwartą ścianę, stopniowo wszakże jęły się rozciągać coraz bardziej, aż w końcu pokryły całą powierzchnię płaskowyżu.

Ludzie znaleźli się w zasięgu wzroku o brzasku, gdy niebo jęło zmieniać barwę, gdy nieliczne jasno świecące gwiazdy zawisły niczym diamenty na kobaltowej kopule. Po czym świt umieścił między wzgórzami świetliste ostrze i delikatną smugę obłoków.

Wówczas armia Wei stała się widoczna.

Piechota parła naprzód niosąc długie żółte sztandary przywiązane do drzewc włóczni. Za nią zaś podążali wojownicy stepowi w skórzanych hełmach ozdobionych długimi końskimi kitami, mandżurscy jeźdźcy w pancerzach z brązu i z dzidami przybranymi włosiem onagrów, a także jazda cesarska z długimi szarfami z czerwonego jedwabiu, na których wyhaftowany był złotą nicią monogram rodu Han, w pancerzach ze skóry i brązu i hełmach z tego samego lśniącego metalu.

Pośrodku posuwało się czarne serce armii — Latające Lisy. Czarni na czarnych koniach, nawet z tej odległości wzbudzali strach.

Wtem Metellus usłyszał nad głową trzepot skrzydeł — nad dachami przeleciała gołębicą, po czym wpadła do jednego z klasztornych okien, do komnaty Dana Qinga.

— To dziwne — stwierdził. — Widziałaś? Wróciła gołębicą twojego brata, która wcześniej uciekła. Na ogół gołębie wracają po tym, jak się je celowo przeniesie gdzieś daleko, ale nigdy odwrotnie. Uprzedź brata, że nadchodzą. Ja zostanę tutaj.

Yun Shan pobiegła do klasztoru, po chwili zaś wróciła z bratem uzbrojonym w łuk, pałkę i miecz. Dan Qing omiół spojrzeniem stojące nieruchomo wojsko w rynsztunku bojowym. Tylko sztandary falowały w porannej bryzie, połyskując w pierwszych promieniach słońca.

— Na co czekają? — zapytał Metellus.

— Nie wiem. Może aż ktoś otworzy im bramę.

— To niemożliwe — zaprotestował Rzymianin.

— To, że dotrze tutaj cała armia, też było niemożliwe. Nigdy do-
tąd się nie zdarzyło.

— Może ktoś nas zdradził — podsunęła Yun Shan.

— Mielicie jakieś wieści o Bajui Renjie? — zapytał Metellus.

— Brał udział w moim uwolnieniu, ale potem nie stawił się na
umówione spotkanie. Obawiam się, że go złapali. Pewnie nie żyje.

— Czy wie, jak się tu dostać? — nie ustępował Metellus.

Za ich plecami słychać było uzbrojonych żołnierzy, którzy biegli
na przedpiersia, aby przygotować się do obrony, oraz zgrzytanie ma-
chin, ustawianych przez strzelców, którzy ściągali z nich płachty płót-
na odsłaniając ogromne wyrzutnie, potężne kusze o wielu ramionach.

— Nie — odrzekł Dan Qing. — Nikt spoza Czerwonego Lotosu
nie zna położenia tej fortecy. Żaden zaś z członków Czerwonego Lo-
tosu nigdy nie zdradził.

— A jeśli to twoja gołębicą? — zapytał ponownie Metellus. Yun
Shan spojrzała na niego zdumiona. — Klatka posiadała pewien me-
chanizm, który po wykonaniu określonej liczby obrotów uwalniał
mieszkającego w niej ptaka. Przecież musi być jakiś powód... Co zro-
biłaś z tą klatką, Yun Shan?

— Mówiłam Danowi Qingowi, że dał mi ją Daruma; to był poda-
runek dla księcia.

— Daruma... — szepnął do siebie Metellus. — Daruma... Czy to
możliwe?

— Daruma zaplanował moje uwolnienie — powiedział Dan Qing.
— Dlaczego?

— Uwaga! — rozległ się czyjś głos. — Uwaga, nadchodzą.

Do murów dobiegł oddział łuczników, którzy zajęli pozycje niemal
przy samym wjeździe.

— Kryć się! — wrzasnął Metellus. — Wszyscy kryć się,
będą strzelać!

Natychmiast też w górę poszybowała chmara strzał, które zatoczy-
ły szeroki łuk i spadły wewnątrz murów. Jeden z uzbrojonych żołnie-
rzy, który nie zdążył się schować, upadł przebity wieloma strzałami
jednocześnie, podobnie zresztą jak krążące po placu zwierzęta domo-
we: trzy psy i oswojona małpa.

— Nikt nie atakuje fortecy przy pomocy łuczników — oświadczył Metellus zwracając się do Dana Qinga. — Chcą odwrócić naszą uwagę, żeby móc nas dopaść z drugiej strony. Uwaga! — krzyknął. — Uwaga!

Kolejny grad pocisków zasypał dachy, wieżyczki i przedpiersie.

Zaległa cisza, nieskończona chwila głębokiej ciszy.

Po czym niebo przeszył świst.

34

— Latające Lisy! — zawołał ktoś. — Larum! Larum!

Wzniósłszy oczy ku niebu, Metellus ujrzał pełen zdumienia coś, czego nigdy wcześniej nie udało mu się dokładnie zobaczyć: chmurę lecących mężczyzn zawieszonych na wielkich jedwabnych skrzydłach, którzy szybowali na wietrze niemal dotykając koron drzew.

— Łucznicy! — krzyknął Dan Qing. — Strzelajcie!

Odwróciwszy się, łucznicy wycelowali w przestrzeń wewnątrz murów i wystrzelili chybiając celu, przeciwnik był bowiem zbyt ruchliwy i znajdował się jeszcze zbyt daleko. Wkrótce wypuścili kolejną salwę, sporo strzał zahaczyło jednak o gałęzie drzew i spadło nie raniąc nikogo. Dwóch latających napastników, którzy zostali trafieni, roztrzaskało się o ziemię, dwóch innych odniosło rany, reszta zaś wylądowała cała i zdrowa i natychmiast rozgorzała zacięta walka między nimi a mnichami, którzy nadbiegli, by ich otoczyć.

Na widok wojska napierającego na mury Metellus kazał załadować pociski do machin, prawdziwego arsenału artylerii polowej: wieloramiennych katapult, kusz o wielu ramionach, które wypuszczały żelazne harpuny, balist wyrzucających wrzącą smołę, do której polecił dodać tajemniczą miksturę sporządzoną przez mnichów, jeden z ich zazdrośnie strzeżonych sekretów.

— Strzelać! — zawołał. — Teraz!

Każda z balist wypuściła cztery ciężkie ładunki jeden po drugim, robiąc wyłom wśród przerażonych mandżurskich jeźdźców. Leciały na przemian strzały i kotły z wrzącą smołą. Szybowały niczym płonące meteory, po czym ku ogromnemu zdumieniu samego Metellusa roztrzaskały się w powietrzu wśród potwornych wybuchów zasypując wrogie oddziały deszczem ognia. Wielu żołnierzy rzuciło się do ucieczki, lecz znajdujące się po bokach Latające Lisy spiorunowały ich śmiercionośnymi strzałami z łuków: była to kara przeznaczona dla tchórzy. Nagle rozległ się krzyk Wei, przenikliwy niczym wołanie sokoła, po którym wojsko zwarło szyki i ponownie ruszyło do natarcia, wrzeszcząc i wypuszczając tysiące strzał na oblężonych i maszyny wojenne. Wielu spośród obrońców na przedpiersiach zostało trafionych i wykluczonych z walki.

Ci, co przeżyli, załadowali pociski na nowo i wystrzelili: pierwszy, drugi, trzeci i czwarty ładunek. Pociski poszybowały z sykiem uderzając w nieprzyjacielską piechotę i łuczników i powalając wielu z nich. Kolejne meteoryty przecięły niebo rozpryskując kule ogniste, które tym razem wybuchły na ziemi dziesiątkując żołnierzy przy każdej eksplozji. Wei pędził na wroga, jakby nic nie było w stanie go powstrzymać, jakby pociski odbijały się od otaczającej go groźnej aury. Gdy z jego gardła wydobywał się ostry, przenikliwy, niemal nieludzki ryk, nikt już nie próbował uciekać — nieprzyjaciele parli wciąż naprzód pod gradem pocisków, biegnąc wzdłuż wjazdu aż do południowej bramy. Metellus słyszał za plecami wrzaski walczących i odgłosy zaciętej bitwy, nie widząc zaś u swego boku Yun Shan, wyobrażał sobie, że rzuciła się w sam jej środek, i choć zżerał go niepokój, trwał na swej pozycji zawiadując bezustanną zabójczą pracą machin.

Zrozumiałwszy, że jego żołnierze nigdy nie przekroczą bramy, dopóki owe maszyny nie zamilkną, Wei rozkazał wypuścić swym łucznikom zapalające strzały, które natychmiast wzniciły ogień wbijając się w drewniane ściany nośne. Wielu strzelców musiało opuścić swoje stanowiska, starając się go ugasić.

Nagle za mury fortecy przedostały się kolejne dwa oddziały Latających Lisów, które przysły z odsieczą swym otoczonym przez

nieprzyjaciela towarzyszom, przechylając szalę zwycięstwa na ich stronę. Dan Qing i Yun Shan, wspomagani przez swych najlepszych wojowników, natychmiast rzucili się do ataku. Stojący na murach Metellus widząc, że Latające Lisy zamierzają otworzyć bramę od wewnątrz, rozkazał kilku łucznikom do nich strzelać i wybić tyłu, ilu się da. Wielu z nich poległo, reszta zdołała jednak jakimś cudem uniknąć trafienia i parli dalej naprzód, wywijając mieczami z podziwu godną szybkością, wykonując przy tym zawrotne skoki ze zwierzęcą energią. Zdawał się ich ożywiać jakiś niewyczerpany zapal, jakby kierował nimi jeden umysł. Metellus widział już ów sposób walki na dużym dziedzińcu pałacowym w Luoyangu, toteż ogarnął go strach, czoło zaś pokryło się zimnym potem. Teraz liczna grupa napastników wbiegała właśnie po schodach na mury rozlewając się niczym lawa. Metellus rzucił się do walki na śmierć i życie dzierżąc w obu dłoniach miecze.

Nie zdążył jeszcze wypróbować swoich nowych umiejętności w prawdziwej wojnie ani poczuć niewiarygodnej szybkości ciosów, świst żelaza zaś, śmigającego o włos od twarzy, głowy czy serca, wprawiał go w szaleńcze podniecenie, którego nigdy dotąd nie doświadczył, nawet podczas najbardziej zażartej bitwy. Skupiał się na ruchach swych przeciwników z taką siłą, że w porę robił uniki odgadując ich kierunek, tak jakby były trzykrotnie wolniejsze niż w rzeczywistości. Jego dwa gladiusy cięły i przekłuwały z niesamowitą mocą, krzyżując się w górze i na dole, odpierając razy i zmieniając kierunek, wykonując pchnięcia, uderzając do przodu, rżnąc.

W ferworze walki wojownicy starali się wszakże znaleźć pojedynczego przeciwnika, toteż bitwa rozdrobniła się na tysiąc pojedynków, które niemal w każdej chwili miały swych pokonanego i zwycięzcę.

— Yun Shan! Yun Shan, gdzie jesteś? — wrzasnęła na całe gardło Metellus, po czym zepchnął przeciwników ze schodów, aż pospadali jeden na drugiego.

Sam sprawiał wrażenie niepowstrzymanej maszyny wojennej. Chociaż został ugodzony najpierw w prawe ramię, potem w lewe udo, parł ciągle naprzód nie zważając na ból. Nagle w pobliżu bramy wyładowała na ziemi kolejna gromada Latających Lisów i nim wojownicy

Czerwonego Lotosu zdążyli cokolwiek zrobić, otoczyła ich.

Wei i jego żołnierze wpadli do środka jak błyskawica, jednakże na rozkaz Metellusa z przedpiersia natychmiast posypał się, siejąc śmierć i spustoszenie, wściekły grad pocisków: żelaznych harpunów i kotłów z wrzącą smołą. Odziany na czarno i siedzący na czarnym koniu Wei, będący ich duszą, nie przestawał wszakże posuwać się naprzód, bez wytchnienia ciągnąc za sobą pozostałych, którzy mknęli jak opętani, nie zważając nawet na poległych i depcząc po nich w swym szaleńczym marszu. Przez rozwartą bramę nieustannie napływały kolejne fale napastników, niczym rzeka, która przerwała tamę.

Przyglądając się temu wszystkiemu z wysoka, Metellus doszedł do wniosku, że nie ma już dla nich ratunku.

— Stawiajcie opór za wszelką cenę! — zawołał do swoich żołnierzy. — Osłaniajcie mnie!

Po czym pobiegł, jak zdołał najszybciej, po murach ku schodom wiodącym do mauzoleum cesarza Yuandiego. Nagle zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Tymczasem na dużym dziedzińcu wojownicy Wei otaczali właśnie pierścieniem mnichów Czerwonego Lotosu, którzy pod wodzą Dana Qinga i Yun Shan bronili się z rozpaczliwym męstwem. Zeskoczywszy z konia, Wei nacierał z mieczem w dłoni, kosząc jednego po drugim każdego, kto stanął mu na drodze, i zbliżając się coraz bardziej do nieprzyjaciela. Widział przed sobą Yun Shan i wyglądało na to, że nie zdoła go powstrzymać.

Kiedy jednak wszystko wskazywało na to, że nadszedł kres Czerwonego Lotosu, niespodziewanie rozległ się metaliczny dźwięk, po nim kolejny i jeszcze jeden. Na obszernym tarasie mauzoleum, nad ich głowami, nastąpił wybuch. A potem dwa następne. Wszyscy się obejrzeni zdumieni, po czym dało się słyszeć potężne walenie w bęben, nadające tempo czymś niewidzialnym krokom.

Po kilku kolejnych wybuchach cały fronton mauzoleum przykryła gęsta zasłona dymu, schodząc powoli wzdłuż stopni. Warkot bębna stał się jeszcze głośniejszy i bardziej natarczywy, podczas gdy chmura

zaczęła rzednąć odsłaniając niesamowity widok: oto maszerowało po stopniach ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy stu pięćdziesięciu glinianych wojowników w rzymskich zbrojach, tworzących nieprze-nikniony żelazny mur. Prowadził ich zaś sam Marek Metellus Akwila, Xiong Ying, Dumny Orzeł!

Wtem z głębi ziemi ozwał się grzmiący głos:

— Najemne Diabły! Wróciły z za grobu!

Ogarnięte przerażeniem wojska Wei jęły się cofać. Tymczasem armia zjaw przystanąła. Rozległ się kolejny metaliczny dźwięk, po czym z muru, jaki tworzyły tarcze, posypał się grad pocisków spadając na szeregi Wei i dziesiątkując je niczym wichur. Armia ruszyła naprzód wypuszczając następne chmary strzał, które uczyniły kolejne wyłomy wśród nieprzyjaciół.

— Najemne Diabły wróciły z za grobu i przysły nam z odsieczą! — wrzasnął Dan Qing. — Przepowiednia się sprawdziła! Naprzód, naprzód, zwycięstwo jest nasze!

Na te słowa i na ten widok mnisi, których siły zdawały się opuszczać, poczuli w sobie zwiokrotnioną ponad wszelką miarę moc i rzucili się do ataku na oszołomione, osłupiałe wojska Wei spychając je na dół.

Warkot bębna stał się ogłuszający, widok glinianych zjaw poruszających się w osobliwy sposób, niczym maszyny, napawał lękiem, toteż Latające Lisy przestały słuchać wrzasków Wei, który zagrzewał je do walki.

— To Najemne Diabły! — krzyknął jeden z jego żołnierzy. — Zaraz wciągną nas pod ziemię!

Chociaż Wei natychmiast ściał mu głowę mieczem, przerażona mandżurska armia rzuciła się do ucieczki przez ciągle otwartą bramę, za nimi zaś gromada piechurów, rozgromionych przez upiorne wojsko Metellusa.

Po chwili rozległ się jeszcze jeden grzmot, zbocze wzgórza przesłoniły gęste opary, po czym spod ziemi wyłonił się kolejny manipuł glinianych wojowników. Ziemia drżała pod ich ciężkimi krokami, gdy wśród chrzęstu żelaza podążali naprzód groźni, pokryci pancierzami nie do przebicia. Zaatakowani również z tej strony, zdziśiatkowani i ogarnięci trwogą żołnierze Wei ruszali w ślad za swymi towarzyszami,

którzy znajdowali się już za murami.

Jedynie Wei na czele oddziału Latających Lisów nadal walczył z dziką furją, Dan Qing i jego mnisi zaś z trudem odpierali jego ataki.

Widząc, że Yun Shan jest w niebezpieczeństwie, Metellus zawołał jej imię. Zaalarmowany jego głosem Wei odwrócił się i natarł nań wywijając lśniącym od krwi mieczem.

Metellus odparowywał cios za ciosem, łącząc wspaniałą umiejętność władania dwoma mieczami z tajnikami sztuki walki, której nauczył się w Li Cheng. Gdy minęło wszakże początkowe zaskoczenie, jego przeciwnik zaatakował z przerażającą gwałtownością. Wykonawszy widowiskowy skok, wylądował za plecami Rzymianina, jednocześnie uderzając go mieczem w łędźwie. Tamten obrócił się na pięcie robiąc zwód, nie zdołał jednak uniknąć cięcia w bok, z którego siknęła mu krew. Wei powalił go na kolano, ugodziwszy stopą w nogi. W tej samej chwili Metellus ujrzał oczyma duszy, jak jego kompani giną jeden po drugim, po czym usłyszał śmiech Wei, który pochylał się nad nim tak samo jak wtedy.

— Twoich towarzyszy pożarły psy! — krzyknął. — A ciebie czeka ten sam los.

Na te słowa Metellus poczuł, jakby przeszywało go płonące ostrze, toteż wypchnąwszy do przodu biodro, uskoczył do tyłu, po czym natarł z całą siłą, do jakiej tylko był zdolny. Eunuch, który zachwiał się i cofnął przed tym niespodziewanym atakiem, znalazł się nad krawędzią otchłani, skąd wyłonił się ostatni manipuł Najemnych Diabłów. Metellus usiłował go wepchnąć do środka, Wei wszakże odskoczył w bok, po czym to Rzymianin spadł w przepaść.

Yun Shan, która przez cały czas przyglądała się owemu śmiertelnemu pojedynkowi, krzyknęła myśląc, że Metellus nie żyje, po czym popędziła ku miejscu, gdzie zniknął. Wei bez wahania pognał za przeciwnikiem. Zbiegłszy w kilku susach po schodach wiodących do podziemi, błyskawicznie przemierzył długi korytarz, zeskoczył po kolejnych stopniach, aż wreszcie znalazł się przed olbrzymią bogato zdobioną bramą. Przed nim rozciągało się ogromne podziemie cesarza

Yuandiego, strzeżone przez armię niemych upiórów.

Ukryty za sarkofagiem Metellus widział, jak Wei stoi w bramie w czarnych szatach, dzierżąc zakrwawiony miecz. Czując, że się zbliża, wycofał się w głąb mauzoleum, tam gdzie mógł zastawić na niego pułapkę. Krążył ostrożnie wśród zjaw z Zaginionego Legionu, trwających bez ruchu z zastygłym na twarzach kamiennym uśmiechem.

Yun Shan, która zjawiła się tuż po chwili, jęła skradać się po schodach w dół nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu. Wkrótce stanęła przed łukowatym wejściem do mauzoleum, niemal całkowicie pogrążonego w mroku. Odetchnawszy głęboko, wśliznęła się do środka, prawie natychmiast zagłębiając się w ciemnościach. Jedynie kilka zawieszonych na ścianach lampek oliwnych dawało nikłe, drżące światło. Z pozostałych zaś, w których olej zdążył się wypalić, unosił się dym.

Wtem zgasała kolejna lampka. Metellus uświadomił sobie, że nie gasną same, lecz że zdmuchuje je idący wzdłuż muru Wei. W końcu w wielkiej sali zapadł mrok. Przez bramę przedostawało się jedynie blade światełko, które odbijało się od ścian. Metellus krążył między posągami ze zmysłami wyostrzonymi do granic możliwości, z wściekłe łomoczącym sercem. Czuł, że niebezpieczeństwo może nadejść z każdej strony.

Nagle w głowie zabrzmiał mu głos Dana Qinga: „Uważaj, Xiong Ying! Stoisz na straży w ciemnościach! Skąd nadchodzi nieprzyjacielska strzała? Skąd wyłania się sztylet?” Na dźwięk tych słów jego ramię śmignęło niczym błyskawica ku plamie cienia, która pojawiła się przed nim. Klinga gladiusa ominęła o włos gardło...

— Yun Shan!

W tej samej jednak chwili za jego plecami wynurzył się Wei celując weń nieubłaganie mieczem.

— Xiong Ying, nie! — zdążyła jeszcze krzyknąć Yun Shan.

Rzymianin odwrócił się wszakże powoli ku stojącemu nieruchomo przeciwnikowi, trzymając drugi gladius wbity w jego pierś aż po jelec.

Kiedy Metellus wyciągnął miecz, Wei upuścił swój, który upadł na ziemię ze srebrzystym dźwiękiem odbijającym się od ścian i posadzki,

po czym sam runął z szeroko otwartymi, pełnymi niedowierzania oczyma. Yun Shan, która uklękła obok niego, pochwyciła w ciemnościach jego ostatnie spojrzenie. Po czym zamknęła mu powieki szepcząc:

— A teraz odpocznij wreszcie, młody Wei, niechaj twoja dusza pograży się w zapomnieniu...

Uklękawszy, Metellus chwycił go za ramiona i wyniósł jego ciało na zewnątrz.

Na oczach walczących zszedł po schodach trzymając w ramionach ciało pobladłego jak płótno młodzieńca, którego długie szczupłe ręce bezwładnie kołysały się przy każdym kroku.

Bitwa ustała, ci zaś, co przeżyli, czmychnęli przez bramę i pobiegli do obozu.

Położywszy ciało Wei u stóp schodów, zbliżył się do Dana Qinga prowadząc za rękę Yun Shan. Nie było wybuchów radości ani okrzyków zwycięstwa. Ziemię pokrywały zwłoki powyginane w gwałtownych skurczach przedśmiertnych, każdy zaś z ocalałych szukał swoich towarzyszy, rozdzielając ich ostrożnie od nieprzyjaciół.

Dan Qing kazał sobie przyprowadzić wierzchowca, po czym na czele swych wojowników wyruszył w pogoń za uciekinierami. Metellus i Yun Shan również dosiedli koni i pogalopowali za nim. Gdy obóz został całkowicie otoczony, żołnierze armii cesarskiej padli na kolana przed księciem w geście poddania, błagając o łaskę.

Gliniane wojsko zniknęło po zwycięstwie równie nagle, jak się pojawiło.

Yun Shan nie zatrzymała się, lecz przejechała pędem przez cały obóz, jakby kogoś szukała, aż dotarła do zagród dla zwierząt, gdzie znalazła Darumę, który usiłował się wymknąć na wielbłądzie, i nie zważając na protesty Hindusa, doprowadziła go za pomocą kuksańców przed oblicze Dana Qinga.

— To on nas zdradził, to on umieścił na łodzi gołębicę.

Daruma spojrział na nią oszołomiony.

— Gołębicę? O jakiej gołębicy mówisz?

— Nie udawaj, że nie wiesz! Mówię o gołębicy, która pokazała Wei drogę do Li Cheng, a którą umieściłeś na mojej łodzi jako podarunek dla Dana Qinga.

Daruma otworzył szeroko oczy ze zdumienia, Yun Shan nie przestawała go wszakże atakować.

— Powinieneś być się domyślić, że to pułapka; tylko ty wiedziałeś, dokąd płynę.

Wówczas podszedł do niego Metellus i chociaż spoglądał nań spokojnie, jego głos był twardy jak żelazo.

— Dlaczego? — zapytał.

Daruma patrzył na niego wilgotnymi oczami, bezbronnym wzrokiem, w którym widniał patos.

— Jestem kupcem, Metellusie. W mojej naturze leży kupowanie i sprzedawanie wszystkiego, czasem nawet... samego siebie. Ale nie zdradziłem cię. Nigdy bym tego nie zrobił. Naprawdę nie wiem, o czym mówicie, ale tak czy inaczej to Baj Renjie przygotował łódź.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to Baj Renjie? — naskoczyła na niego Yun Shan.

— Nie było czasu na tyle wyjaśnień. Mówiłem, że chodzi o zaufanych przyjaciół, pamiętasz? Baj Renjie podszedł do mnie pewnej nocy w karawanseraju. Był obdarty, wstrząśnięty i powiedział, że udało mu się uciec. Zapytał o ciebie, a wtedy ja odrzekłem, że muszę koniecznie znaleźć jakąś łódź, abyś mogła popłynąć w bezpieczne miejsce razem z Metellusem, ale że nie wiem, jak to zrobić. Zaofiarowałem mi pomoc. Zapewnił, że przyprowdzi łódź ze wszystkim co niezbędne do zatoki na rzece Liao Ho. A ja podziękowałem, bo co miałem zrobić?

— Ale to jeden z twoich ludzi wręczył mi klatkę z gołębicą — zauważyła Yun Shan.

— Jeden z moich ludzi? — powtórzył Daruma. — To niemożliwe. Byłem sam.

Zawahawszy się przez chwilę, Yun Shan zapytała ponownie:

— Skoro więc nie masz z tym nic wspólnego, to dlaczego próbowałaś uciec niedawno, kiedy do ciebie podeszłam?

— Bo nie chciałem się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ponieważ bałem się, że to wzbudzi podejrzenia, co zresztą dokładnie się sprawdziło. Ale nie jest tak, jak myślisz, wier mi. Znalazłem się tutaj bez mojej woli. Piętnaście dni temu szykowałem się właśnie do opuszczenia karawanseraju, gdy nagle pochwyciły

mnie strażę Wei, a wtedy nabrałem pewności, że zdradził mnie Baj Renjie, jedyny człowiek, który wiedział i któremu ufałem. Co do klatki zaś, to nawet gdybym ją zobaczył, i tak niczego bym nie podejrzewał. W jaki sposób gołębica miałaby zdobyć szturmem Li Cheng?

— Może w taki, że jak powiadają, nikt, kto usiłował dotrzeć do Li Cheng łodzią, nie wrócił stamtąd. Podążając za łódką, Wei z pewnością schwytałby Yun Shan i Metellusa, ale i tak nigdy by się nie dowiedział, gdzie leży Li Cheng, który nie dawał mu spokoju.

Dan Qing skinął powątpiewająco głową.

— Ja mu wierzę — oświadczył Metellus.

— Ja też bym chciał, ale nie mogę — odparł książę. — Kto powiadomił Wei o naszym powrocie do ojczyzny? Dlaczego Latające Lisy napadły na nas tuż po tym, jak przekroczyliśmy granicę? Tylko Daruma wiedział, dokąd zmierzamy.

Daruma, który do tej pory sprawiał wrażenie raczej ogłuszonego niż zaniepokojonego, jał się zmieniać na twarzy.

— Przecież nie możesz wierzyć w te rzeczy... Książę, po co miałbym cię najpierw uwalniać, żeby potem oddać cię w ręce wroga? To nie ma sensu!

— A właśnie że ma — odrzekł Dan Qing — bo wiąże się z diabelnie sprytnym planem. Otóż dopiero po powrocie z długiej niewoli zdołałbym skupić wokół siebie wszystkich buntowników, wszystkich tych, którzy sprzeciwiali się tyranii, lecz działali rozproszeni po całym kraju. W ten sposób Wei mógłby się ich pozbyć wszystkich za jednym zamachem. I właśnie tak się miało stać za sprawą jednego człowieka, którego nikt nie podejrzewał. Tylko ty wiedziałeś, kiedy mamy przekroczyć granicę, a kiedy wyruszyłem do Klasztoru Szemrzących Wód, pożegnałeś się z nami, ponieważ wiedziałeś, co nas czeka. Potem, w Luoyangu, znów pomogłeś mi odzyskać wolność, żeby zaskarbić sobie moje zaufanie. Wykorzystałeś moją siostrę, żeby dowiedzieć się, gdzie leży ta kryjówka, i doprowadzić do niej wojska Wei. A dowodem na to jest twoja obecność w obozie.

— Ale... Ale to tylko zbieg okoliczności! — zaprotestował Daruma.

— Możliwe — rzeki Dan Qing — ale ja nie mogę narażać życia.
— Po czym zwrócił się do swych żołnierzy: — Zabrać go.

Metellus podszedł bliżej.

— Proszę cię, przemyśl to, nie pozwól, żeby zawładnął tobą demon podejrzania. Już raz dopuściłeś się okrucieństwa, którego musiałeś potem żałować.

Dan Qing odwrócił się doń plecami bez słowa, po czym ruszył do swego wierzchowca.

— Pomóż mi! — zawołał do Metellusa Daruma.

— Niestety obawiam się, że mój brat ma rację — powiedziała Yun Shan podchodząc bliżej. — Kiedy spotkałam Darumę, właśnie wsiadał na wielbłąda z zamiarem ucieczki.

— Przecież sam się do tego przyznał — odparł Metellus.

— Ja też bym tak postąpił. Nie mógł dać się złapać w tym miejscu.

W tej samej chwili nadbiegł zdyszany jeden z mnichów.

— Prędko, chodźcie!

Ruszywszy za nim, Metellus i Yun Shan dotarli do namiotu, gdzie na środkowym maszcie wisiał Baj Renjie. Rzymianin spojrzał nań przygnębiony.

— Zdaje się, że to wystarczy, aby uniewinnić Darumę — oświadczył. — Chodźmy uprzedzić twojego brata.

— Tak — zgodziła się Yun Shan. — Zaraz pobiegnę go zatrzymać.

— Panie! — rozległ się w pobliżu czyjś głos. — Spójrz, pojaliśmy go, gdy próbował uciec.

Czterech jego ludzi prowadziło właśnie jakiegoś mężczyznę odzianego na perską modłę.

— Ktoś ty? — zapytał go po persku Metellus.

Mężczyzna milczał.

— Jestem rzymskim dowódcą, który wraz z dziesięcioma żołnierzami uciekł z obozu w Aus Daiwa. Zdajesz sobie sprawę, co ci zrobię, jeśli nie zaczniesz mówić? — Wypowiedział te słowa tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

— Po ucieczce człowieka o świdrujących oczach wielki król Szapur wysłał mnie, żebym powiadomił Wei. Nigdy bym nie przypuszczał, że uciekliście razem.

— Prawdę mówiąc wcale tak nie było! — rozległ się za jego plecami głos Dana Qinga. — Spotkaliśmy się przez przypadek.

— Czy teraz jesteś przekonany? — zapytał Metellus.

Dan Qing kiwnął głową.

— Gdzie Daruma?

— Jest cały i zdrowy — oświadczyła Yun Shan wracając biegiem z namiotu. — W samą porę.

— W samą porę... — powtórzył Metellus. — Zawsze należy trochę odczekać, nim się osądzi winnego. I zanim odbierze mu się życie.

— Chodź, wracamy do Li Cheng — powiedział podchodząc doń Dan Qing. — To był długi dzień. Jutro zobaczymy wszystko w innym świetle.

Wsiadli na konie i ruszyli powoli do Li Cheng. Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Kiedy przekroczyli bramę fortecy, Dan Qing skierował wzrok ku mauzoleum Yuandiego, a potem na Metellusa.

— Jak to zrobiłeś? — zapytał.

— Nic nie wzbudza większego strachu niż to co nieznane — odrzekł Metellus. — Nawet najodważniejsi ludzie boją się czegoś, z czym się dotąd nie spotkali. Sprawilem, że potwierdziła się stara legenda. W tej wiosce jest mnóstwo mężczyzn podobnych do nas, Rzymian. Wybrałem spośród nich tych, którzy mają najbardziej zachodnie rysy, następnie wyćwiczyłem ich w naszym sposobie walki, a w decydującej chwili mieli się pojawić w zbrojach zdjętych z posągów, z twarzami i rękami pokrytymi gliną. Uzyskawszy to, czego chciałem, kazałem im zniknąć. Na krótki czas legenda stała się prawdą, historią, po czym historia z powrotem zamieniła się w mit. Wszyscy zapamiętają ten dzień na zawsze.

Z klasztornego balkonu Metellus podziwiał widok słońca chowającego się za porośniętymi lasem górami wśród ognistoczerwonych obłoków, które powoli zmieniały barwę z płomienistej ku błękitnej, a następnie głęboko niebieskiej na zachodzie, gdzie już świeciła gwiazda wieczorna. Z ogrodu, w którym podczas długiego powrotu do zdrowia widywał Yun Shan pojawiającą się niczym duch, dobiegał śpiew słowika. Owe nocne trele wzruszały go, przywołując odległe wspomnienia i obecne, nie mniej silne, uczucia. Nagle jego dłoń odruchowo powędrowała do pasa, aby dotknąć drewnianego słonika z rozsypłaną trawą, zabawki, którą miał nadzieję wręczyć synkowi po odzyskaniu wolności...

Usłyszał jej zbliżające się kroki. Stała naprzeciw niego.

— Wiesz, co zatrzymało ostrze mojego miecza tuż przed twoją szyją tam, w mauzoleum Yuandiego? — zapytał. — Twój zapach... Zapach twoich włosów, jedyne doznanie, jakie zapamiętałem z długiego okresu, kiedy leżałem bez czucia i byłem leczony. Teraz ten zapach jest częścią mojej duszy i zmysłów.

— Twoje serce zaś jest częścią mojego, Xiong Ying.

— Wiem, tajemne serce o niezwykłej mocy, które ocaliło mnie na arenie, a może także tam na dole, w mauzoleum Yuandiego, tuż przed tym, nim Wei zdążył mnie przebić mieczem.

— Nie, co to to nie — zaprzeczyła Yun Shan. — Moja energia na pewno nie była w stanie go powstrzymać.

— W takim razie dokonała tego sama twoja obecność. Wiem, że nie potrafiłbym być szybszy niż on. On cię dostrzegł mimo gęstego mroku; poczuł, że jesteś blisko, i się zawahał...

Dziewczyna spuściła głowę ukrywając łzy.

Zapadła długa cisza, kiedy zaś Yun Shan podniosła wzrok, ujrzała, że Metellus obraca w dłoniach jakiś drobny przedmiot.

— Mogę zapytać, o czym myślisz, Xiong Ying?

Metellus popatrzył na nią oczyma przepelnionymi smutkiem.

— O czym myślisz, Xiong Ying? — powtórzyła cicho.

Otworzył dłoń pokazując drewnianego słonika.

— Był schowany w moim pasie od tak dawna, że o nim zapomniałem. Kupiłem go dla synka... Ja... Muszę wrócić, Yun Shan.

— Wrócić? Ale dlaczego? Tutaj masz miłość... wszystkich.

— Kocham cię, księżniczko — odrzekł Metellus — bardziej niż własne życie, ale muszę wyjechać. W chwili gdy przeczytałem ten napis na zielonym kamieniu, poczułem, że muszę wrócić. Były to słowa ludzi, którzy zrezygnowali nawet z własnej mowy, aby móc zapomnieć o kraju ojców i o tych, których zostawili, chociaż im się to nie udało... Złożyłem obietnicę mojemu umierającemu cesarzowi, że wrócę, aby zapobiec zagładzie mojego świata, synkowi zaś przyrzekłem, że nie zostawię go samego. Nie mógłbym tak żyć, Yun Shan, rozumiesz? Dzień po dniu uginałbym się coraz bardziej pod ciężarem niedotrzymanych obietnic, myśli o synu, który ciągle ma nadzieję, że wrócę, nie wiedząc, że to się nigdy nie stanie. Wybacz mi, moja uwielbiona, mój śnie, moja duszo...

Yun Shan oddaliła się cała we łzach. Dan Qing, który dostrzegł ją wychodząc ze swych komnat, podszedł do Metellusa.

— Kiedy kobieta płacze, mężczyzna traci część swego serca, jak mówi stare przysłowie.

— To prawda, Danie Qingu.

— Miłość, jaką moja siostra do ciebie żywi, wymazała także część moich win. Bardzo zasmuca mnie myśl, że ona może się skończyć.

— Nigdy się nie skończy, książę. Będę kochał Yun Shan, dopóki starczy mi tchu, i żadna kobieta nigdy nie zdoła jej zastąpić w moim sercu.

— Mówisz jak ktoś, kto zamierza odejść.

— Bo tak jest. Muszę wyjechać. Minęło zbyt wiele czasu. Obiecałem cesarzowi, że wrócę, aby zapobiec zagładzie państwa. Obiecałem to człowiekowi, który właśnie umierał...

Dan Qing spojrział nań z gorzkim uśmiechem.

— Pamiętasz, jak powiedziałem, że zasięgnę języka na temat twojego kraju, Taqin Guo? Otóż wieści nadeszły. Niestety to złe wieści. Gońcy zajędzili konie przemierzając całą Azję, aby przekazać, że Taqin Guo już nie istnieje. Kłótnie między dowódcami wojsk podzieliły je na wiele części, które idą na dno niczym kawałki statku rozbitego przez burzę. Dokładnie to samo stało się z naszym krajem. Wrócisz na próżno, Xiong Ying. Tutaj natomiast masz wszystko: będziesz dowódcą mojej armii, otrzymasz tytuły i zaszczyty i zostaniesz moim bratem poślubiając Yun Shan. Wspólnie zjednoczymy ziemię, zapewnimy jej pokój i dobrobyt.

Metellus uśmiechnął się smutno w odpowiedzi.

— Niebiosa wiedzą, jak bardzo pragnę być częścią tej przyszłości — rzekł — ale nie mogę... Nie mogę. Próbowałem. Myślałem, że miłość Yun Shan pozwoli mi zapomnieć o wszystkim, nawet o własnym synu... — Po policzkach jęły mu spływać łzy. — Ale nie dałem rady, Danie Qingu, starałem się, lecz nie dałem rady.

Dan Qing popatrzył nań ze wzruszeniem.

— Nie odchodź, Xiong Ying... Kochamy cię. Nie odchodź... Proszę cię.

Oto książę krwi z dynastii Han, prawowity władca Państwa Środka, błagał go płacząc.

Metellus spuścił głowę w milczeniu.

Ze szczytu wzgórza otoczony strażą przyboczną Dan Qing wraz z Yun Shan, mając serca przepełnione smutkiem, spoglądali na ciemne sylwetki Darumy, jego karawany i Metellusa na koniu, odcinające się na tle ogromnego czerwonego słońca, przesłoniętego dalekimi chmurami, kryjącego się za stepem.

— Nie zapomnij o nas, Xiong Ying! — krzyknął w pewnej chwili Dan Qing ulegając wzruszeniu. — Zawsze będziemy cię nosić w sercach!

Wiatr zaniósł jego słowa do uszu Metellusa, który jął machać ramionami wołając:

— Nie zapomnę o was!

Dan Qing odwrócił się, by spojrzeć na siostrę, na jej twarz zalaną łzami, których nie potrafiła powstrzymać.

— Nie sądzę, żebyś zdołała uszczęśliwić jakiegokolwiek mężczyznę w moim królestwie czy w królestwach ościennych. Zrób to, co podpowiada ci serce, siostrzyczko...

Skłoniwszy z szacunkiem głowę, Yun Shan popatrzyła na brata, czego od dawna nie czyniła, wzrokiem przepelnionym gorącą miłością i żalem.

— W takim razie zegnaj, bracie, niech niebiosa dadzą ci wszystko, czego pragniesz. Pozostaniesz w moim sercu na zawsze.

— A ty w moim, siostro. A teraz jedź, zanim rozplączę się jak dziecko.

Yun Shan spięła konia i popędziła po zboczach wznoszących się nad kupieckim szlakiem.

— Spójrz — powiedział Daruma. — Spójrz tam!

Metellus odwrócił się, widząc zaś małą amazonkę mknącą po łańcuchu górskim w tumanach czerwonego pyłu, poczuł przyspieszone bicie serca. Spiąwszy więc swego wierzchowca, wyjechał jej na spotkanie. Po chwili kochankowie zeskoczyli na ziemię i padli sobie w ramiona, podczas gdy szalejący wokół wiatr spletał ich włosy i szaty, jakby byli jednym ciałem.

— Wiesz, co nas czeka, księżniczko? — szepnął jej do ucha Metellus. — Ból, trudy, śmiertelne niebezpieczeństwa. Pomyśl o tym, proszę, dopóki masz jeszcze czas.

Yun Shan odsunęła się od niego i dotknęła jego piersi palcem wskazującym.

— Tutaj jest połowa moich sił vitalnych, czyżbyś o tym zapomniał? Z dala od ciebie druga połowa by zgasła. Czy tego właśnie chcesz? Zabierz mnie ze sobą, Xiong Ying, jeśli mnie kochasz.

Metellus zamknął ją w długim uścisku, po czym oboje dosiedli koni.

Dan Qing nadal był widoczny w oddali. Spiąwszy swego wierzchowca, machał ręką w ostatnim pożegnaniu.

Przez wiele miesięcy wędrowali w piekącym słońcu, wśród odbijających jego oślepiające promienie śniegów, wzdłuż wijących się rzek,

przemierzając puste stepy, brzegi olbrzymich słonych jezior otoczonych bielusieńkimi jałowymi przestrzeniami, aż wreszcie nadeszła pora, by pożegnać się również z Darumą. Jego karawana miała bowiem skrócić w lewo, ku przelęczcy, którą pięć wieków wcześniej przekroczył sam Aleksander przed najazdem na Indie.

— Wolę powierzyć was przewodnikom, którym ufam, niż załadować na statek należący do jakichś psich synów, gotowych sprzedać was na najbliższym targu niewolników na wybrzeżu piratów. Ale przekażę wasze listy kapitanowi pierwszego okrętu odpływającego na Zachód i postaram się, żeby je doręczono. Moi wysłannicy potrafią oddać mi przysługę, kiedy o nią poproszę, docierają zaś nawet do Aleksandrii i Antiochii. — Oparłszy dłonie na ramionach Metellusa, spojrział mu prosto w oczy. — Ocaliłeś potężne królestwo, przede wszystkim jednak uratowałeś człowieka od grożącego mu zepsucia, przywracając mu poczucie własnej godności i cnoty. Powiedziałem ci kiedyś, że wyglądasz na jednego z tych Rzymian twardych jak skała, ale także trochę głupich.

— Pamiętam, jakby to było wczoraj — odrzekł z uśmiechem Metellus.

— No cóż, myliłem się. Niech twoi bogowie mają cię w opiece, wodzu Akwilo.

— I niech mają także w opiece ciebie, Darumo, mój przyjacielu. Za każdym razem gdy usłyszę szelest jedwabnej szaty, będę o tobie myślał.

Uściskał go mocno i ucałował w oba policzki, Darumą ruszył w swoją drogę.

Siedząc nieruchomo na wierzchowcach, Metellus i Yun Shan przyglądali się karawanie, która wspinała się krętą ścieżką widoczną od wąwozu, w otoczeniu majestatycznych nieskalanych szczytów Paropamisos, aż wreszcie zniknęła wśród gigantycznych pofałdowań tej bezkresnej krainy.

Trzy miesiące później nadeszła kolej na następny postój: Aus Daiwa. Metellus kazał rozbić namioty niezbyt daleko od obozu i tak, aby były wyraźnie widoczne, nie chciał bowiem budzić podejrzeń ani niezdrowej ciekawości. Pragnął, aby wyglądali jak zwykła karawana

kupców zmierzająca na zachód, do oazy nad Khaborasem.

Nazajutrz przed wieczorem na widok gromadki perskich żołnierzy, którzy podeszli zaledwie o kilkadziesiąt kroków od niego, podniósł ramię na znak powitania. Wysłał nawet sługę z pytaniem, czy nie mają ochoty się czegoś napić. Podziękowawszy gestem ręki, Persowie pogalopowali z powrotem do obozu. Z pewnością przekażą wiadomość, że to tylko karawana jakiegoś pokojowo nastawionego kupca.

Tamtej nocy Metellus opowiedział Yun Shan o wszystkim, co wycierpiał w obozie, o podnieceniu, jakie odczuwał na myśl, że jest wolny i że znajduje się tak blisko tych, którzy oddaliby wszystko, byleby go dostać w swoje łapy. Odczekawszy jeszcze kilka dni i upewniwszy się, że nikt go nie szpieguje, udał się do zaznaczonego kamieniem miejsca, w którym ukrył prochy Waleriana. Wydobył bez trudu gliniane naczynie, zakopane pod kilkoma warstwami piasku, i schował wśród sprzętów domowych, które wioził ze sobą. Wspominał swą ucieczkę i nadzieje, jakie żywił wspólnie z kompanami, że wrócą wszyscy razem.

Wracał nie tylko z garścią prochów, ale także z dotrzymaną obietnicą, która podsycala w nim wiarę, że zdoła dotrzymać również pozostałych. Za każdym zaś razem gdy spoglądał na Yun Shan, uświadamiał sobie, że znalazł nieoceniony skarb.

Sześć miesięcy później dotarli do Nisibis w północnej Syrii, spale ni słońcem, mając spierzchnięte wargi i skórę wysuszoną po wędrówce przez niekończące się pustynie, oczy Metellusa płonęły wszakże magicznym blaskiem, który zdawał się pochodzić z głębi duszy.

— To mój kraj, Yun Shan — powiedział. — To jest Rzym, który zwiecie Taqin Guo.

— Twoje szczęście napawa mnie radością, Xiong Ying. Ziemia nigdy nas nie zawodzi, ona nie znika jak budowle stworzone przez człowieka. Myślisz, że twój kraj nadal istnieje?

— Wkrótce się dowiemy, już jutro, kiedy dotrzemy do bram mojego miasta, gdzie ma siedzibę dowództwo armii wschodniej.

— A jeśli zastaniesz tam obcych, albo gorzej: wrogów?

— Wtedy się zastanowię. Każdy dzień niesie nowe zmartwienia.

Odprawiwszy przewodników, wędrowali sami aż do zmierzchu, potem przez cały następny dzień, aż wreszcie o zachodzie słońca ujrzeli przed sobą Edesę.

Metellus przystanął, by podziwiać jej imponujące mury i wspaniałe wieże, jego myśli zaś poszybowały ku Klelii, najbliższej żonie, która być może spoczywała w ich cieniu. Po czym pogalopował ku ogromnemu kamiennemu łukowi z napisem, który kazał tam umieścić Trajan, a który głosił, że znajduje się tu oddział straży.

Drogę zagroziło mu dwóch legionistów krzyżując włócznie.

— **Consiste!** — zawołał młodszy nakazując nieznanemu się zatrzymać.

Dopiero wówczas Metellus zdał sobie sprawę ze swego nędznego wyglądu, z zakurzonych szat, z turbanu, który przykrywał mu głowę i twarz pozostawiając jedynie oczy, a także z tajemniczego wyglądu swojej towarzyszki. Zsiadł więc z konia, odsłonił twarz, podszedł bliżej i po tak długim czasie przemówił po łacinie.

— Kto ma władzę nad tą ziemią, żołnierzu?

— Lucjusz Domicjusz Aurelian, cesarz Rzymian.

— Lucjusz Domicjusz... Kiedy stąd wyruszałem dawno temu, był znakomitym dowódcą i wielkim żołnierzem.

— Uświadomiwszy sobie, że stracił rachubę czasu, zapytał:

— A co się stało z Galienem?

— Musiało cię naprawdę długo nie być, przyjacielu. Lucjusz Domicjusz skazał go na śmierć za to, że zostawił swojego ojca w rękach barbarzyńców. Teraz Aurelian szykuje się do marszu na ostatnich buntowników, którzy zabarykadowali się w Palmyrze, żeby ostatecznie zjednoczyć imperium. Ale kim jesteś, skoro tego nie wiesz?

Metellus zdjął turban i pokazał małą terakotową urnę, którą trzymał na piersi pod płaszczem, odsłaniając zarazem wiszący na szyi titulus, zawierający jego imię, rangę i przydział.

— Jestem tym, kto dzielił z cesarzem Walerianem gorzką niewolę aż do jego śmierci i kto przywiózł właśnie do ojczyzny jego prochy, tak jak obiecał. Jestem Marek Metellus Akwila, legat z Drugiego Legionu Augusta, dowódca wojsk syryjskich.

Obaj legioniści spojrzeli na niego osłupiali, po czym odsunęli się nieco i wyprężyli w pozdrowieniu wojskowym.

— Witaj, wodzu Akwilo — rzekł starszy z nich. — Nigdy cię nie zapomnieliśmy. Cesarz będzie szczęśliwy mogąc cię uściskać i powierzyć ci znowu wysokie dowództwo, które ci się należy za zjednoczenie na powrót imperium. Nie mniej szczęśliwy będzie twój syn.

Odpowiedziawszy na pozdrowienie, Metellus wsiadł na konia i ruszył ku miastu. Po chwili obok znalazła się Yun Shan. Uśmiechnął się do niej, po czym spojrzął na słońce, które zachodziło już za stepowym płaskowyżem.

— Pospieszmy się — powiedział. — Obiecałem synowi, że wrócę przed wieczorem.

I puścił się galopem.

OD AUTORA

Powieść ta jest owocem wyobraźni, podobnie jak jej główni bohaterowie, z wyjątkiem wielkich postaci historycznych ze stanowiącej jej tło epoki: cesarza Licyniusza Waleriana, Szapura I czy Galiena, jako inspiracja do jej napisania posłużyła mi wszakże — ostatnio wielokrotnie dyskutowana — hipoteza o obecności rzymskich żołnierzy w Chinach.

Oficjalnie po raz pierwszy ten temat poruszył Homer Dubs w publikacji z 1942 roku. Stanowiła ona komentarz do fragmentu „Historii wcześniejszej dynastii Han”, w której jest mowa o bitwie rozegranej w pewnej miejscowości nad rzeką Talas, w pobliżu miasta Zhizhi w Gansu (dzisiejszym Duszanbe w Tadżykistanie) między oddziałami chińskimi a armią jakiegoś zbuntowanego lokalnego watażki. Po stronie zbuntowanych wojsk walczyli cudzoziemcy, prawdopodobnie najemnicy, stosujący wyjątkową taktykę: za pomocą owalnych tarcz ułożonych w kształt rybich łusek. Informacja ta nasunęła Dubsowi myśl, że byli to Rzymianie, którzy posługiwali się swym tradycyjnym sposobem walki zwanym *testudo*. Ponadto żołnierze ci okopali się na początku w obozie wykonanym z grubych drewnianych pali, jednym słowem w czymś w rodzaju *castrum*.

Bitwę wygrały oddziały Hana, cudzoziemscy żołnierze zaś trafili do niewoli, jednakże cesarz Yuandi pozwolił im się osiedlić w okręgu Fanmu (dzisiejszym Yongchang). Miasto, gdzie ich przewieziono, zostało nazwane przez cesarza Lijianem, co w tamtych czasach

oznaczałoby ogólnie rzecz biorąc ziemie na Zachodzie, a także Rzym. Powszechnie bardziej przyjęte wyjaśnienie głosi, że nazwa Lijian w rzeczywistości pochodzi od Alexandrei, czyli że nazwą miast założonych przez Aleksandra Wielkiego w Baktrii i Azji Środkowej określano ogólnikowo wszelkie osady przybyszów z Zachodu. Z kolei ze źródeł chińskich wynika, że Lijian pozostało niezależne przez sześćset dwanaście lat — rzecz nader osobliwa i absolutnie wyjątkowa.

Jeśli jednak odpowiada to prawdzie, kim mogli być owi Rzymianie? Opierając się na zbieżności chronologicznej wielu uznało, że byli to rzymscy jeźdźcy, którzy przeżyli pogrom w bitwie pod Karrami w 53 roku p.n.e., a których Persowie wywieźli do najbardziej wysuniętych na wschód rejonów swego imperium. Skądinąd wiadomo, że kiedy August ustanawiał warunki pokoju z Partami w 20 roku p.n.e., żądając zwrotu insygniów i jeńców, pierwsze zostały oddane, po drugich zaś nie było śladu. Gdzie się zatem podzieli?

Według Homera Dubsa, po nim zaś licznych naukowców zarówno chińskich, jak i innych narodowości, po długiej wędrówce dotarli do granicy Chin i tam zbudowali osadę.

Ostatnie odkrycia w miejscowości Zhelaizhai i wykopaliska archeologiczne pozwalają badaczom przypuszczać, że mają przed sobą starą osadę rzymską w Chinach, a nawet w rysach miejscowej ludności doszukano się podobno cech charakterystycznych dla Rzymian.

Trzeba przyznać, że na ogół argumenty przemawiające na korzyść tej tezy są słabe, lecz nie można z góry wykluczyć ewentualności dotarcia rzymskich żołnierzy w tak odległe miejsce, trzeba ją potwierdzić bardziej przekonującymi dowodami.

Nie zmienia to wszakże faktu, że Rzymianie i Chińczycy wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. Przyświadczają temu nie tylko Horacy, Pliniusz i inni autorzy, ale także największe dzieło kartograficzne starożytności, „Tabula peutingeriana”, które w najdalej wysuniętej na wschód części świata pokazuje *Sera Maior*, czyli Ziemię Jedwabiu, Chiny. Warto przypomnieć pewne osobliwe wydarzenie, jakie miało

miejsce między 97 a 98 rokiem n.e., za panowania cesarza Hedięgo, kiedy to chiński marszałek Ban Chao, wysłany na Zachód w celu przywrócenia porządku i bezpieczeństwa wzdłuż Jedwabnego Szlaku, dotarł aż do Morza Kaspijskiego. Ban Chao był bratem sławnego historyka Ban Gu i prawdopodobnie właśnie za jego namową zdecydował się wyprawić wysłanników pod wodzą swego namiestnika Gana Yinga, którzy mieli znaleźć władcę Taqin, mitycznego cesarstwa na dalekim Zachodzie, czyli Cesarstwa Rzymskiego! Gan Ying dotarł w pobliże granicy, nie wiadomo jednak dokładnie gdzie: do regionu mezopotamskiego, syryjskiego czy kaukaskiego; wiadomo tylko, że przewodnicy, poznawszy jego zamiary, odradzili mu dalszą podróż przedstawiając mu tak wielkie trudności, że chiński oficer był zmuszony zrezygnować z tych planów. Partowie ciągnęli ogromne korzyści z opłat za ładunki jedwabiu, które przemierzały ich terytorium, nie mogli zatem pozwolić, by Cesarstwo Rzymskie i imperium Hana nawiązały ze sobą kontakt i bezpośrednie stosunki, odsuwając ich na bok. Gdyby misja Gana Yinga się powiodła, mogłaby mieć niewyobrażalne następstwa. Wówczas dwa największe imperia na ziemi mogłyby wymieniać się wiedzą, a może nawet zawrzeć przymierze, tym bardziej że Rzymem rządził wtedy człowiek mądry, inteligentny i uczciwy, cesarz Nerwa. Obydwa cesarstwa dzieliła tak duża odległość, że nie istniała groźba współzawodnictwa, a jedynie interes, jaki miałyby we współdziałaniu. Być może historia obrałaby zupełnie inny kierunek, gdyby Rzym i Luoyang się ze sobą porozumiały!

W gruncie rzeczy prawdopodobnie wszystkie imperia są do siebie podobne, toteż i Rzym, i Chiny miały ze sobą wiele wspólnego: organizację sił zbrojnych, system dróg, zwyczaj zakładania kolonii wojskowych, sposób mierzenia i dzielenia ziemi, pojęcie granicy i wału obronnego, zwyczaj osiedlania barbarzyńców wewnątrz murów, aby ich naturalizować i wykorzystywać do obrony terytorium przed innymi barbarzyńcami. Miały też wspólnych wrogów, o ile jest prawdą, że Xiong Nu, o których wspominają chińskie dokumenty, to Hunowie z rzymskich źródeł.

W ostatecznym rozrachunku Chiny przetrwały, przekazując w nie-naruszonym stanie tradycję, cywilizację i jedność państwa przez ponad cztery tysiące lat historii aż po dziś dzień, gdy tymczasem Rzym upadł dawno temu. Zamierzeniem autora niniejszej książki jest opisanie niczym we śnie, jak cudowne przeżycia mogłyby się stać udziałem człowieka Zachodu, na przykład powieściowego Marka Metellusa Akwili, gdyby kiedykolwiek udało mu się dotrzeć do owej dalekiej krainy zwanej **Sera Maior**. Nie było to zupełnie niemożliwe wydarzenie, ale jedno z wielu, o których historia zapomniała albo które zawieruszyły się gdzieś w burzliwych kolejach losu, z jakich składa się życie ludzkości.

Valerio Massimo Manfredi